

LIRA
WYDAWNICTWO

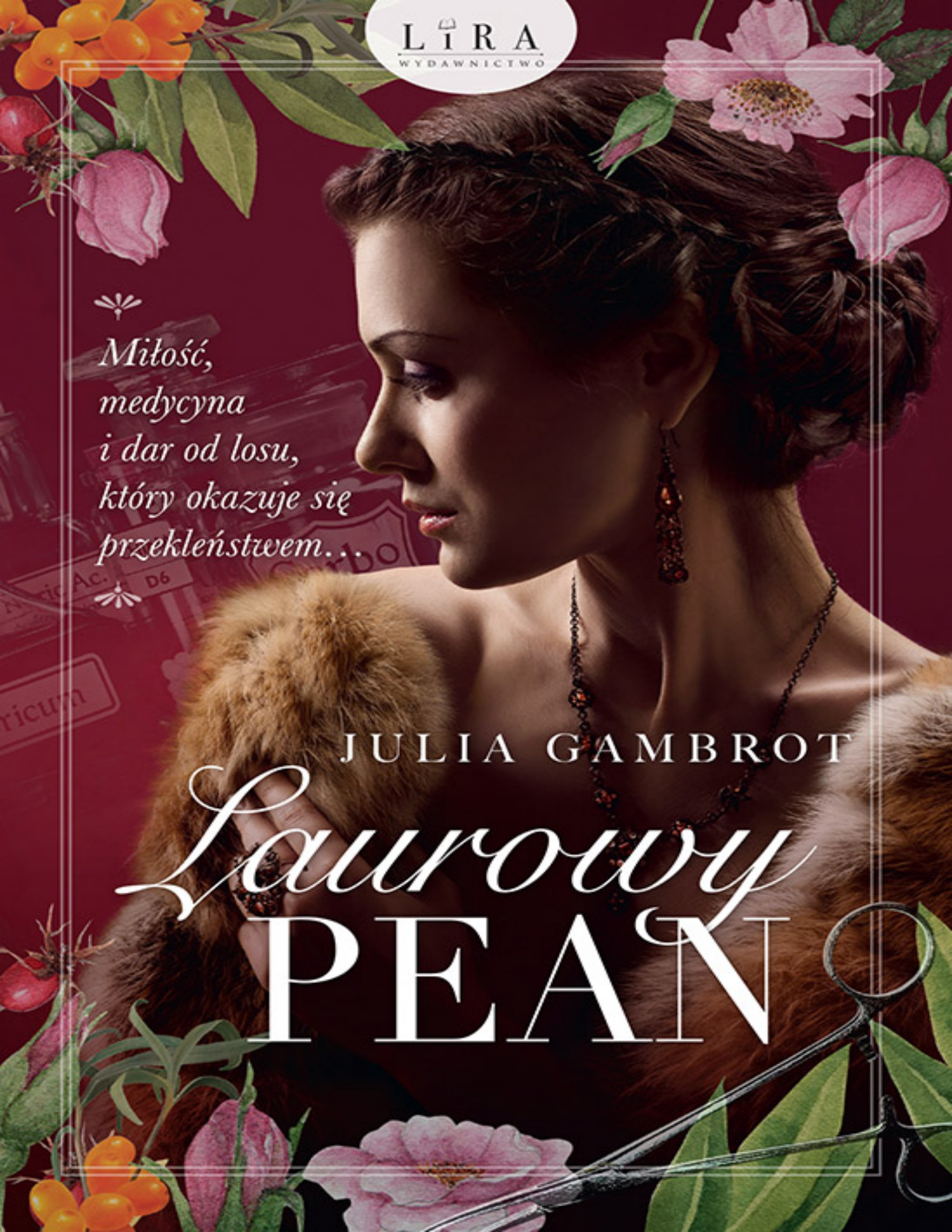


*Miłość,
medycyna
i dar od losu,
który okazuje się
przekleństwem...*



JULIA GAMBROT

Łaurowy
PEAN



JULIA GAMBROT

Laurowy
PEAN

L  R A
WYDAWNICTWO

WARSZAWA 2022

© Copyright by Lira Publishing Sp. z o.o., Warszawa 2022
© Copyright by Julia Gambrot, 2022

Redaktor inicjujący: Paweł Pokora
Redakcja: Ewa Popielarz
Korekta: Renata Kufirska-Biegajło
Skład: Klara Perepłyś-Pająk

Projekt okładki: Magdalena Wójcik
Zdjęcia na okładce: © amiloslava/Adobe Stock;
© inarik, © meggichka, © natalypaint/123 RF
Zdjęcie Julii Gambrot: © Maciej Zienkiewicz Photography
Redakcja techniczna: Kaja Mikoszevska
Retusz zdjęcia okładkowego: Katarzyna Stachacz

Producenci wydawniczy:
Anna Laskowska, Magdalena Wójcik, Wojciech Jannasz

Wydawca: Marek Jannasz






Lira Publishing Sp. z o.o.
Wydanie pierwsze
Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67084-84-0 (EPUB); 978-83-67084-85-7 (MOBI)

Lira Publishing Sp. z o.o.
al. J.Ch. Szucha 11 lok. 30, 00-580 Warszawa



www.wydawnictwolira.pl

Wydawnictwa Lira szukaj też na:     

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



SPIS TREŚCI

Dedykacja

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Rozdział XI

Rozdział XII

Rozdział XIII

Rozdział XIV

Rozdział XV

Rozdział XVI

Rozdział XVII

Rozdział XVIII

Rozdział XIX

Rozdział XX

Rozdział XXI

Rozdział XXII

Rozdział XXIII

Rozdział XXIV

Rozdział XXV

Rozdział XXVI

Rozdział XXVII

Rozdział XXVIII

Rozdział XXIX

Rozdział XXX

Rozdział XXXI

*Dla mojego Taty, który sprawił,
że pokochałam medycynę,
i dla mojego Syna,
by zrodziła się w nim miłość do świata*

ROZDZIAŁ I

Oparłam skroń o zakurzoną szybę w przedziale pociągu. Od kilku dni ze zmęczenia i niewyspania odczuwałam bez przerwy ćmiący ból głowy, którego nie potrafiły uśmierzyć już żadne tabletki. Wsłuchiwałam się w miarowy stukot kół o metalowe szyny. Promienie słoneczne przedzierały się przez moje przymknięte powieki, ogrzewając swoim ciepłem. Suszyły zastygłe łzy, wprawiając mnie ponownie w stan sennej melancholii. Myśli uporczywie wracały jednak do minionych trudnych chwil, które chciałam na zawsze wyrzucić z pamięci. Krtań ścisnął mi zdławiony szloch, powodujący ostre pieczenie w gardle. Tak wiele wydarzyło się w ostatnim czasie... Teraz uciekałam od mojego poprzedniego życia, zostawiając je daleko za sobą.

Przez uchylone okno napływała letnia, morska bryza, łaskocząc delikatnie moje policzki, jakby była zapowiedzią lepszych dni. Powoli zbliżaliśmy się do celu, co konduktor oznajmiał, każdorazowo wykrzykując w języku fryzyjskim nazwy kolejnych mijanych stacji. Miałam wysiąść dopiero na ostatniej – w Westerland. Krajobraz za oknami się zmieniał. Dookoła pełno było zielonych wzgórz, poprzedzielanych pasami pól i łąk, na których pasły się stada owiec. Gdzieniegdzie stały drewniane domy, pomalowane na biało, z dachami pokrytymi porostem i mchem. Zbliżyliśmy się właśnie do grobli, która łączyła wąskim pasmem lądu wyspę Sylt z resztą świata.

– Mamo! – Z rozmyślań wyrwało mnie wołanie. Podniosłam głowę, by zobaczyć, co się stało. – Popatrz! Dookoła nas jest woda! – wykrzyknęła podekscytowana Hanna, z radości klaszcząc w dłonie.

– Tak, to Morze Wattowe – odparłam, siląc się na uśmiech. Pomimo że nigdy wcześniej tutaj nie byłam, nie potrafiłam zachwycać się jego urokiem.

– Będziemy mogły się bawić w morskich falach? Najlepiej jeszcze dziś! Pójdziemy na plażę? – dopytywała Adalia, wpatrując się we mnie błagalnie swoimi okrągłymi oczami w kolorze orzecha laskowego, otoczonymi koroną długich, podkreślonych rzęs. Chociaż była młodsza od swojej siostry o niecałe dwa lata, nieprawdopodobne było dla mnie to, jak bardzo się między sobą różniły, zarówno wyglądem, jak i charakterem. – Chciałabym wyruszyć na poszukiwania bursztynów!

– Przecież one występują tylko nad Bałtykiem! – pouczyła ją z wyższością Hanna. – Nie sądzę, aby twoje marzenie mogło się dziś spełnić. Najpierw trzeba będzie się rozpakować. Nie wiadomo także, jakie plany ma pan Arens, który będzie nas gościł – wyjaśniła. Poczułam wdzięczność, że wybawiła mnie z kłopotu formułowania odmowy.

– Zobaczymy... – westchnęłam cicho. – Przyszłość sama pokaże... – powiedziałam i ponownie popadłam w zadumę, odpływając myślami daleko.

Dziewczynki zaczęły się coraz bardziej niecierpliwić, przekrzykując się jedna przez drugą i drocząc się ze sobą. Usłyszałam chrząknięcie pełne dezaprobaty i poczułam na sobie karcące spojrzenie gentlemiana, który siedział naprzeciwko nas, czytając w skupieniu prasę. Popatrzyłam na niego przeprasząco i spuściłam wzrok.

– Proszę was, zachowujcie się spokojnie! – upomniałam córki. – Już niedługo będziemy na miejscu, w naszym nowym domu...

Współpasażer ponownie zniknął za szeleszczącymi kartkami gazety. Wtedy rzucił mi się w oczy nagłówek napisany tłustą, czarną frakturą: „Zwłoki bez głowy i rąk znalezione obok torów w okolicach Rendsburga. Zbyt wielki stopień rozkładu nie pozwala na identyfikację”. Wzdrygnęłam się na samą myśl. Pomimo że od wielu lat byłam żoną medyka sądowego, nie udało mi się nigdy przywyknąć do słodko-mdłego zapachu, jakim przesiąkały jego ubrania i ręce. Na szczęście mieliśmy gosposię, która wyręczała mnie w praniu, tym samym nie musiałam nigdy oglądać krwistordzawych plam zaschniętych na tkaninie. W domu zabraniałam też poruszania tematów autopsji i gnijących trupów.

Jednocześnie zawsze miałam ogrom podziwu dla wszystkich lekarzy sekcyjnych i anatomopatologów, którzy poświęcali życie na próby ustalenia przyczyn śmierci, grzebiąc w sztywnych i zimnych ciałach, czasami będących jedynie bezkształtną, w domyśle tylko ludzką masą.

Lokomotywa zaczynała zwalniać, wyrzucając z siebie kłęby pary i gwizdząc donośnie. Pasażerowie zerwali się, by ściągać z półek swoje bagaże. Kolejka z dużymi walizkami ustawiała się w przejściu, gdzie panowały niesamowity zaduch i ciasnota. Zwiastowało to, że cel naszej podróży jest już bardzo blisko. Dziewczynki także zebrały wszystkie swoje rzeczy i tak obciążone ledwo utrzymywały się na szczupłych nogach pod ich ciężarem. Poprawiłam im kołnierzyki i przecesałam pośpiesznie palcami grzywki, aby wyglądały schludniej. Wiele godzin podróży w upale i z kilkoma przesiadkami zrobiło jednak swoje. Ich sukienki z aksamitu w kolorze *bois de rose* były mocno pogniecione.

– Skąd będziemy wiedziały, jak wygląda pan Arens? – wyraziła swoje zaniepokojenie Hanna, rozglądając się bacznie dookoła. Uniosła podbródek oraz swój lekko zadarty, zaokrąglony nosek, próbując wspiąć się na palce i wyjrzeć ponad ramionami otaczających nas ludzi.

W duchu zadawałam sobie to samo pytanie. Do tej pory kontaktowaliśmy się jedynie za pośrednictwem poczty. Miałam też nadzieję, że mój ostatni list zawierający szczegóły naszego przyjazdu dotarł do rąk adresata.

Peron, na którym się znaleźliśmy, szybko opustoszał – każdy z podróżnych podążył w swoim kierunku. Ze zmęczenia przysiadłyśmy na walizkach, nie przestając uważnie obserwować otoczenia. Zaczynałam się coraz bardziej niepokoić. Zastanawiałam się, co pocniemy, gdy zostanie nas tutaj noc. Po niebie wypełnionym poświatą zachodzącego słońca przelatowały srebrzystobiałe mewy, które szukały miejsca na wieczorny spoczynek.

Powoli dopadało mnie znużenie.

– Pani doktor Laura Kader? – usłyszałam nagle nad głową pytanie. Uniosłam oczy, by spojrzeć na mojego rozmówcę. Stał przede mną człowiek o krępej budowie ciała, w średnim wieku, z podkreślonym wąsem i lekko przeredzonymi włosami, przyprószonymi delikatnie siwizną. W jednej ręce trzymał zwinięty niedbale kapelusz, a w drugiej dewizkę. Był ubrany starannie, ale bez nadmiaru elegancji.

– Tak, zgadza się – odrzekłam, wstając, by się przywitać. Ucisnął mi dłoń i złożył na niej pocałunek, nie spuszczając ze mnie wzroku. Przez chwilę mogłam przejrzeć się w jego źrenicach, otoczonych błękitnografitowymi, mieniącymi się tęczęwkami. Wyglądał na człowieka, któremu można było zaufać.

– Lothar Arens – przedstawił się. – Proszę wybaczyć moje spóźnienie, ale wiadomość o pani przyjeździe dzisiaj otrzymałem w ostatniej chwili. To cud, że przyszła na czas! Tutaj listonosz nie zawsze dotrze w porę. Sama pani zrozumie, jak pomieszka na wyspie. Morze nie bywa codziennie łaskawe, a przez ostatnie dni prawie ciągle był sztorm – usprawiedliwiał się, chrząkając nerwowo.

– Proszę nie zaprzętać sobie tym głowy. To ja przepraszam za kłopot. Obarczyłam pana obowiązkiem odebrania mnie i moich córek ze stacji. Jednakże, tak jak wspominałam w naszej korespondencji, nie znam na wyspie nikogo.

– Ależ proszę się tym nie martwić! Szybko zjedna sobie pani znajomych i przyjaciół. Pracuję tutaj jako lekarz już od ponad dwudziestu lat i wiem, że wszyscy są w tym miejscu jak jedna wielka rodzina. Do tej pory nigdy nie mieliśmy specjalisty od chorób kobiecych. Musiałem więc sam zajmować się odbieraniem porodów czy przeprowadzaniem ginekologicznych zabiegów. Cieszę się, że od teraz to się zmieni za sprawą pani pobytu na Sylcie.

Uśmiechnęłam się w odpowiedzi, a w głowie miałam gonitwę rozedrganych myśli. Skromnie spuściłam wzrok, szukając tematu do rozmowy.

– Dziewczynki, przedstawcie się! – upomniałam wreszcie córki, które onieśmiałe dygnęły sztywno, podając nieśmiało dłonie na przywitanie.

– Miło mi was poznać! Nadmorskie powietrze z pewnością dobrze wam zrobi i wkrótce pokochacie to miejsce. – Pan Arens zwrócił się do Adalii i Hanny, po czym zmienił temat: – Tylko tyle bagażu? – Podniósł nasze tobołki i skierował się w stronę stojącego w pobliżu wolanta zaprzęzonego w pstrokatego ogiera. Na ten

widok otworzyłam szeroko oczy ze zdumienia, a nasz towarzysz pośpieszył z wyjaśnieniem.

– Na wyspie auta stanowią wciąż jeszcze rzadkość z uwagi na problem z dostawą paliwa. Stać na nie jedynie najbogatszych. Ja sam mojego samochodu używam w zasadzie tylko wtedy, gdy jest niepogoda. Cieszę się, podobnie jak wszyscy mieszkańcy, że teraz już kolej dowozi towary. Wcześniej byliśmy uzależnieni od statków – wyjaśnił, gdy zasiadłyśmy obok niego w pojeździe. – Nie w każdym domu jest też elektryczność. Północna Fryzja ma swoje uroki, ale życie tutaj bywa trudne... – westchnął głęboko. Zagwizdał na konia, po czym powóz ruszył.

Zostawiliśmy w tyle ceglany budynek stacji, kierując się w stronę piaskowych dróg, które w zachodzącym słońcu wiły się niczym wstęgi pomiędzy wzgórzami porośniętymi dziką różą i rokitnikiem. O tej porze roku krzewy obsypane były dojrzewającymi owocami. Mogłam wyobrazić sobie, jak wyglądają, gdy zakwitną. Ponieważ nigdzie nie pojawiały się drzewa, można było sięgać wzrokiem daleko, aż po sam horyzont.

– To odmiana róży pomarszczonej, która pierwotnie rosła na Kamczatce, zanim rozprzestrzeniła się na całą Europę. Ludzie, którzy przybywali na wyspę, przynieśli ją ze sobą prawdopodobnie przypadkowo. Roślina ta znalazła tutaj szczególnie dobre warunki do wzrostu i całkowicie zdominowała krajobraz. Ma płatki kwiatów w kolorach różu i bieli – wyjaśniał nasz gospodarz, widząc zachwyt, jaki odmalował się na moim obliczu. – Jestem pewien, że jeszcze bardziej zakocha się pani we wrzosowiskach!

W resztkach słonecznych promieni mieniła się tafla morza, wyglądająca zza piaskowych wydm. Bryza muskała delikatnie skórę moich policzków.

– Tu jest jak w raju... – szepnęłam do siebie, sądząc, że moja uwaga nie zostanie usłyszana.

– Tak, lato jest szczególnie piękną porą. Ale proszę pamiętać, że to północ. Niebawem przyjdzie jesień, a dni staną się bardzo krótkie. Zmrok zacznie zapadać szybko. Dookoła będzie szalał lodowaty wicher przesywający do szpiku kości. Cała okolica zostanie spowita gęstą, nieprzeniknioną mgłą... To drugie oblicze tego jeszcze do niedawna zapomnianego skrawka lądu. Proszę mi wierzyć, że w takim miejscu szybko dopada człowieka samotność, a czasem nawet szaleństwo...

Na dźwięk jego słów poczułam, jak dziwny ból przenika moje ciało i pojawia się niewysłowiona tęsknota za czymś, co na zawsze utraciłam.

– Wyspa ma też swoje tajemnice, które niechętnie zdradza – dodał pan Arens po chwili milczenia, a jego głos przybrał dziwną barwę.

Zastanawiałam się, co dokładnie mógł mieć na myśli, postanowiłam jednak nie dociekać tego teraz. Od strony morskiego brzegu zawiął zimny, ostry niczym sztylet wiatr... Aż zadrzałam. Aby odsunąć niepożądane myśli, zwróciłam uwagę na zabudowania, które zaczynały pojawiać się w oddali. Były to niskie domy kryte strzechą, o ceglanych lub białych ścianach, z ramami okiennymi w kolorze zielonym lub błękitnym. Przy niektórych z nich stała figura świętego, zapewne opiekującego się domostwem, i inskrypcja poświadczająca, w którym roku zostało ono wybudowane. Moją uwagę zwróciło też nietypowe ogrodzenie przy jednym z domów.

– To kości potwala – objaśnił pan Arens. – W tych rejonach brakuje drewna, bo nie ma lasów. Trzeba było więc zastępować je innym budulcem. Wielorybnictwo i rybactwo stanowiły główny

dochód ludności z tych terenów, zanim dotarli tutaj turyści. Część mieszkańców zajmuje się też hodowlą owiec na wełnę oraz mleko.

Miałam wrażenie, że w czasie naszej rozmowy doktor Arens raz po raz rzuca mi zaciekawione spojrzenia, jakby próbował dociec, dlaczego tutaj przyjechałam – do miejsca, które można byłoby śmiało nazwać końcem świata, gdyby Ziemia nie była kulą.

– Nie sądziłam nawet, że istnieją takie zakątki na naszej planecie. Ale mało w życiu podróżowałam i widziałam... – usprawiedliwiłam się.

– Teraz ma się to szansę zmienić – odparł mój rozmówca z uśmiechem i cmoknął na konia, by ten przyspieszył. Robiło się coraz chłodniej, a ja marzyłam, by jak najszybciej dotrzeć do celu. – W domu czeka na nas wieczerza i oczywiście imbryk z gorącą herbatą fryzyjską – zapewnił pan Arens, jakby odgadywał moje myśli.

Wreszcie powóz zatrzymał się przy jednym z domów położonym na szczycie wzniesienia, z którego rozciągał się piękny widok na taflę morza. Wygramoliłyśmy się z pojazdu, w czym pomagał nam chłopak, który wybiegł nam naprzeciw. Ukłonił się, w pośpiechu uchylając kaszkietu.

– To Oskar... pracuje w stajni. Oprócz tego pociągowego wałacha ma pod opieką jeszcze dwa moje wierzchowce – powiedział gospodarz, poklepując zwierzę po szyi i podsuwając mu schowaną w kieszeni kostkę cukru. – Uwielbiam w wolnych chwilach wybierać się na przejażdżki po plaży i okolicznych wzgórzach. Zresztą przez większą część roku to moja jedyna rozrywka – dodał, jakby chciał się komuś wyżalić.

Młody człowiek, który zdążył już zanieść nasze bagaże do domu i teraz zaczął rozprzęgać konia, mruknął coś pod nosem. Tymczasem moich uszu dobiegło tubalne szczekanie. Ledwo się obejrzałam,

a w naszą stronę ruszyły dwa olbrzymie psy o długiej, złotej sierści i czarnych pyskach. Dziewczynki z przerażeniem wtuliły się we mnie, ale nasz gospodarz natychmiast nas uspokoił.

– To Amber i Leo. Nie bójcie się ich. Chociaż wyglądają na groźne, wcale takie nie są. To leonbergery. Muszę przyznać, że kocham tę rasę. Odkąd tutaj zamieszkałem, te psy zawsze mi towarzyszą, chociaż ich ojczyzną są góry.

Wkrótce słowa doktora okazały się prawdziwe – zwierzęta zaczęły się o nas ocierać, liżąc nas przyjaźnie swoimi szorstkimi językami.

– Mamusiu, mogłybyśmy mieć kiedyś takiego ogromnego futrzaka do przytulania? – zaczęły dopraszać się dziewczynki. Nie zdążyłam im odpowiedzieć, bo z sieni dobiegł nas przyjazny kobiecy głos:

– Zapraszam do środka! Kolacja zaraz będzie podana!

Mignął mi tylko skrawek białej spódnicy z bordowym kaftanem w pasy oraz czerwone pończochy i buty z klamrą. Stanowiło to odświętny strój ludowy we Fryzji, jak dowiedziałam się chwilę później.

– Tak, zdecydowanie pośpieszmy się. Teresa, moja gospodyni i towarzyszka, nie lubi, jak potrawy stygną na stole – wyjaśnił pan domu, zachęcając nas gestem do wejścia. – Można by rzec, że to prawdziwa Hestia! – zażartował.

Po przywitaniu znaleźliśmy się w przytulnej jadalni. Na środku stał okrągły stół na wygiętych, łukowato rzeźbionych nogach, z haftowanym biało-niebieskim obrusem, na którym postawiono świeczniki. Zauważyłam, że na parapecie każdego z okien także płonęła świeczka ustawiona w lichtarzu. Domyśliłam się, że to musi być tutejsza tradycja – by rozświetlić ponury mrok panujący dookoła. Przydawało to domowi miłej atmosfery.

Po chwili podano półmisek dymiących smażonych kartofli z boczkiem oraz gładzicę złowioną zapewne w Morzu Północnym. Dopiero teraz uzmysłowiłam sobie, jak bardzo byłam głodna. Szybko uporałam się ze swoją porcją, Hanna i Adalia także spałaszowały wszystko, stukając widelcami o talerze.

W czasie posiłku rozmawialiśmy na rozmaite tematy, między innymi wspominaliśmy, jak wyglądało podróżowanie i przemieszczanie się po kraju krótko po Wielkiej Wojnie, gdy pociągi jeździły przeraźliwie opóźnione z powodu braku węgla zabranego przez Francuzów i Anglików. Czasem z tej przyczyny stały po wiele godzin w polu. Nie były ogrzewane, a materiałowa tapicerka z siedzeń została już dawno zdarta i przerobiona na ubrania.

– Uważam, że te straszne czasy jeszcze powrócą! – przepowiedziała Teresa, zbierając brudne naczynia. Pan Arens uśmiechał się pod nosem, a gdy gospodyni wyszła, nachylił się do mnie.

– Zawsze trzymało się jej czarnowidztwo! – wyrzekł półszepsem, po czym mrugnął porozumiewawczo i wskazał, bym zajęła wygodniejsze miejsce na sofie. – Czy słyszała pani o Henriecie Hirschfeld-Tiburtius?

– Niestety nie – wyznałam lekko zawstydzona, czując podświadomie, że powinnam wiedzieć, o kogo chodzi.

– Z pewnością zainteresuje się nią pani, bo była jedną z pierwszych kobiet stomatologów praktykujących w naszym kraju. Urodziła się właśnie tu, w Westerland w 1834 roku. Jej życiorys zawsze napawał mnie nadzieją, że w życiu na nic nie jest za późno.

– To znaczy?

– Proszę sobie wyobrazić, że bardzo młodo, bo nie mając jeszcze dwudziestu lat, wyszła po raz pierwszy za mąż. Człowiek ten okazał

się dla niej zupełnie nieodpowiedni, a głównym jego problemem było pijaństwo. Małżeństwo, jak można było przewidzieć, rozpadło się. Henrietta zbliżała się już do trzydziestego roku życia, gdy otrzymała wreszcie zgodę na rozwód. Została zupełnie sama, bez środków do życia. Schroniła się u swojego przyjaciela w stolicy, gdzie przypadkowo natrafiła na artykuł o angielskich siostrach Blackwell, które wyjechały na studia medyczne do Ameryki. Ponieważ sama często cierpiała na bóle zębów, uznała, że idealnie byłoby zostać dentystką. Kupiła bilet na statek i dostała się do Pensylwanii, gdzie mieściła się uczelnia medyczna. Oprócz poznania tajników anatomii, fizjologii i patomorfologii musiała nauczyć się mówić po angielsku. W wieku trzydziestu pięciu lat otrzymała zasłużony dyplom i wróciła do kraju.

– To nieprawdopodobna historia! – zachwyciłam się.

– Proszę posłuchać dalej – zachęcił pan Arens. – Otworzyła swój gabinet na ulicy równoległej do Unter den Linden w Berlinie. Po kilku latach wzięła po raz drugi ślub, ze swoim długoletnim adoratorem, lekarzem wojskowym. I jeszcze zdążyła urodzić mu dwóch synów, z czego drugiego już w bardzo późnym wieku. Jako kobiecie nie było jej łatwo w zawodzie. Udało jej się ostatecznie założyć klinikę w robotniczej dzielnicy Berlina. Pomogły jej w tym szwagierka i młodsza siostra. Obie skończyły medycynę w Szwajcarii. Ponieważ tutaj ich tytuły nie zostały uznane, musiały na szyldzie umieścić napis: „Doktor z Zurychu”. Podawały się oficjalnie za naturopatki, by nie narażać się męskiemu środowisku. Walczyły, aby studia na wydziale lekarskim stały się dostępne dla płci pięknej również w Niemczech.

– Byłam właśnie jedną z pierwszych kobiet, którym udało się skończyć uniwersytet w Breslau – powiedziałam, czując, jak z dumy unosi mi się pierś.

Zdawałam sobie sprawę, że trudna walka o prawa kobiet w dalszym ciągu się nie zakończyła. Panowie, zbulwersowani tym, że ich żony nie chcą być dłużej jedynie matkami, kucharkami i sprzątaczkami, założyli organizację – Ligę Praw Mężczyzn, by zwalczać ich zdaniem niebezpieczną emancypację. Kiełkujące dążenia do równouprawnienia płci starano się zdławić, publikując pseudonaukowe prace, jak chociażby *O psychicznym niedorozwoju niewiast*.

Niebo przybrało kolor szaroczarny, rozświetlane jedynie przez księżyc w pełni i gwiazdy. Pomimo tego moje córki koniecznie chciały udać się jeszcze tego wieczoru na plażę, by chociaż dotknąć morskich fal. Próbowałam je bezskutecznie przekonać do zmiany planów, gdy z pomocą przyszedł im doktor Arens.

– Ależ ja sam chętnie przewietrzyłbym się, zanim udam się na nocny spoczynek. Myślę, że spacer brzegiem morza nie jest złym pomysłem... Widać skąd doskonale Gwiazdę Polarną – zakończył z nutą rozmarzenia w głosie.

Tak oto, otulone wełnianymi pledami, znalazłyśmy się na miękkim, wilgotnym piasku, pośród szumu wody. Z rozkoszą wciągnęłam słone powietrze do płuc. Z każdym oddechem nabierałam nadziei, że od teraz mój los się odmieni. Błogi spokój powoli wypełniał moje wnętrze.

Dookoła nas biegały radośnie psy. Moja starsza pociecha od razu wpadła na pomysł, by rzucać im patyk do aportowania, a czworonogi podchwyciły zabawę. Dla lepszej widoczności doktor Arens zabrał z domu zapaloną latarnię, którą teraz postawił na wzgórk, po czym usiadł obok niej. W skupieniu zapatrzył się w dal.

– Niebo to jedyne, co było widać z okopów. Nocą godzinami wpatrywałam się w te niezliczone ciała niebieskie. Dawały mi

wówczas nadzieję, że gdzieś istnieje lepszy świat niż ten, w którym przyszło nam egzystować... – Nasz gospodarz niespodziewanie przerwał ciszę, dając się ponieść wspomnieniom, które zdawały się w dalszym ciągu żywe w jego umyśle. – Nasłuchiwałem też, czy nie nadlatują samoloty... Początkowo każdy taki nalot wywoływał w moim pułku panikę. Ta wojna nauczyła nas, że śmierć może przyjść również z powietrza. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że nasze maszyny oznakowane były krzyżem, a nieprzyjacielskie kółkami. Dlaczego nikt nam tego od razu nie powiedział? – zaśmiał się bezgłośnie, po czym ciężko i przeciągle westchnął. – Jutro pokażę pani szpital i miejsce, gdzie będzie można urządzić ambulatorium ginekologiczne – zmienił temat. – Tylko proszę nie spodziewać się zbyt wiele. Mamy raczej skromne wyposażenie.

– Przybyłam tutaj właśnie po to, by temu zaradzić – odparłam pewnym siebie głosem osoby posiadającej misję zmieniania świata na lepsze. – Myślę, że jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to w ciągu kilku tygodni będziemy mogli zacząć działać – dodałam pełna entuzjazmu. – Powinny wówczas przyjść zamówione przeze mnie leki i narzędzia operacyjne. Nie mogę się doczekać, aż... – Chciałam kontynuować, ale naszą rozmowę przerwało głośne, nerwowe ujadanie jednego z molosów.

– Musiały coś wyczuć, bo są jakoś dziwnie niespokojne – zawyrokował pan Arens. – Jakby złapały trop... Ciekawe, co to takiego, nie ma tutaj dzikiej zwierzyny, a okolica jest raczej nieuczęszczana – powiedział, po czym wstał i otrzepał spodnie. Wziął do ręki latarnię, by rozejrzeć się dookoła. Wyteżał wzrok, marszcząc czoło i próbując przeniknąć gęstą ciemność. Odszedł kilka kroków, zatoczył krąg, ale najwyraźniej nie dostrzegł niczego niepokojącego, bo po chwili przysiadł z powrotem na wydmie. –

Leonbergery zachowują się tak, jeżeli wyczują zagrożenie – wyjaśnił, sądząc zapewne, że nie znam się na zwierzętach.

– Ale chyba jest tutaj bezpiecznie i nie ma się czego obawiać? – zapytałam, czując irracjonalny narastający lęk. Wokół słychać było tylko odgłos fal rozpryskujących się o skały i śmiech moich córek. Poczułam na karku lodowate zimno, niby czyjeś niewidzialne palce zaciskające się wokół mojej szyi. Mrok, który otulał nas dookoła, momentalnie wydał mi się nieprzenikniony i wrogi. Rozglądałam się nerwowo, chcąc zawołać dzieci, by już wracały.

– Cóż, do tej pory raczej nic takiego się nie działo, może poza... – zaczął, lecz był zmuszony przerwać, bo akurat przybiegła zdyszana Adalia, trzymając coś w ręku. Najwyraźniej nie chciał, aby usłyszała, o czym rozmawiamy.

– Mamo, popatrz, co psy wyłowiły z fal – powiedziała, podając mi ociekający wodą przedmiot.

– To chyba kobiecey but – orzekłam, dostrzegając w ciemności obcas i cholewkę zapinaną na guziki. Natychmiast pojawiła się we mnie dziwna odraza do tego znaleziska i instynktownie odrzuciłam je za siebie.

– Morze wyrzuca na brzeg różne rzeczy. Część pochodzi z kutrów i statków – wyjaśnił doktor Arens spokojnie.

– Z pewnością ma pan rację. Jednak myślę, że czas już wracać do domu – stwierdziłam, przecierając piekące ze znużenia oczy.

– Amber, Leo! – zawołał nasz gospodarz, lecz jego pupile jeszcze dłuższą chwilę nie przybiegały, krążąc z nosami przy ziemi, jakby wyczuły nowy dla nich zapach. Nagle w ciemności poczułam zimną dłoń dotykającą moich palców i z trudem opanowałam się, żeby nie krzyknąć.

– Mamo, czy myślisz, że tam ktoś utonął i teraz w wodzie pływa jego ciało? – usłyszałam przenikliwy szept Hanny. Takie straszne

tematy nie były jej obce. W końcu była córką medyka sądowego i mimo moich starań czasem słyszała dobiegające z salonu strzępki rozmów, gdy nasz dom odwiedzali śledczy czy prokuratorzy. W tym oświetleniu widziałam tylko biel jej twardek i mieniący się w szerokich źrenicach blask.

– Nie sądzę. Skąd ci to przyszło do głowy, kochanie?

– Bo wydaje mi się, że widziałam dryfujący cień...

– Myślę, że najzwyczajniej w świecie ci się przywidziało. Jest już późno, a ty na dodatek jesteś zmęczona. Powinnyście obie pójść jak najszybciej spać. Jutro też będzie dzień pełen wrażeń... – powiedziałam, głaszcząc córkę po włosach.

Ruszyliśmy powoli w stronę migoczących w oddali świateł. Co chwilę zapadałyśmy się w grząskim piasku, a podmuchy wiatru powodowały, że jego ziarenka dostawały się nam do oczu i ust, tak że czułam okropne chrzączenie między zębami. Cieszyłam się, że każdy krok zbliża nas do przytulnego domu.

Gdy wreszcie mogłam usiąść przy płonącym kominku i wyciągnąć ręce w jego kierunku, by się ogrzać, wsłuchałam się w trzask drewna i obserwowałam strzelające co jakiś czas w górę iskry. Dziewczynki udały się już na piętro, gdzie czekała przygotowana dla nich sypialnia. Odprowadziłam je, by poczekać, aż położą się do łóżek.

– Czy zgodzisz się, żebyśmy także miały szczeniaka? – usłyszałam po raz drugi w tym dniu pytanie, gdy już leżały pod pierzynami.

– Zobaczymy – odparłam wymijająco. – Na razie trzeba się tutaj jakoś zorganizować...

– To nasze marzenie od dawna, dobrze o tym wiesz! – przekonywała mnie Adalia.

Połaskotałam ją ręką po policzku.

– Porozmawiamy o tym, gdy już się wyśpicie. Dobranoc! – Z tymi słowami zgasiałam światło i zamknęłam za sobą drzwi. Wróciłam na fotel z zausznikiem, by zatopić się w miękkości jego aksamitu.

Po chwili Teresa przyniosła gorącą czekoladę z bitą śmietaną na wierzchu.

– To tak zwana martwa ciotka – zwrócił się do mnie pan Arens, podając mi porcelanową filiżankę z napojem. Uniosłam brwi, nie rozumiejąc, co gospodarz ma na myśli.

– Ach! – Machnął ręką i pospieszył z wyjaśnieniem. – To taka nasza tutejsza opowieść... O tym, jak pewna ciotka wyruszyła na zachód, za ocean, aż do Ameryki w poszukiwaniu lepszego życia. Gdy się zestarzała i wiedziała już, że nie uda jej się przed śmiercią wrócić do ukochanej Fryzji, poprosiła, by chociaż jej ciało spoczęło w utęsknionej ziemi, gdzie się urodziła. Ponieważ nie stać jej było na należyty pochówek, bliscy wysłali jej prochy w tym, co było dostępne... czyli w puszcze po kakao. Tak zrodziła się legenda, najpewniej całkowicie zmyślona – objaśnił pan Arens. – Ale to dzięki niej czekoladowy napój zyskał w tych stronach tak osobliwą nazwę.

Zorientował się chyba, że jego opowiadanie mogło zabrzmieć mało delikatnie w mojej obecności, bo na jego obliczu pojawiło się wyraźne zmieszanie. Czując, że niechcący mógł popełnić towarzyskie *faux pas*, próbował odwrócić moją uwagę, przywołując gwizdaniem swoje dwa psy. Brytany z zadowoleniem ułożyły się u stóp swego pana, dysząc przy tym ciężko i zajmując niemalże cały dywan przed kominkiem.

– Pysznie smakuje – odezwałam się, aby przerwać kłopotliwe milczenie.

– Tak, a to dzięki zawartości odrobiny rumu...

– Zapewne zastanawia się pan, jak długo zabawię pod pana dachem – rozpoczęłam, uważając, że należy mu się wyjaśnienie.

Wciągnęłam głęboko powietrze i wstrzymałam na chwilę oddech. Nie lubiłam korzystać z pomocy innych ani czuć się od nich zależna. Zawsze mnie to krępowało. Tym razem jednak nie miałam wyjścia.

– Otóż mam nadzieję, że szybko, najdalej w przeciągu miesiąca, uda mi się zakończyć sprawy spadkowe i zamieszkać w domu mojej krewnej. Tak jak pisałam, odziedziczyłam po niej posiadłość. Nie chciałabym być dla pana ciężarem... – Powoli wymawiałam każde słowo, czując, że najtrudniejsze już za mną, a napięcie stopniowo opada. – Proszę mi wierzyć, że wiadomość o jej śmierci i o tym, że zapisała mi swoją rezydencję, była tak niespodziewana... a przy tym poczułam się, jakbym wygrała na loterii! Chociaż to kiepskie porównanie, zważywszy na okoliczności... – zmiłygowałam się, by nie posunąć się za daleko. – Było to ogromne zaskoczenie, ale zarazem jakby dar od losu i nadzieja na nowe, lepsze życie – kontynuowałam, bardziej zważając na to, co mówię, a doktor cierpliwie słuchał. – Ta szansa pojawiła się akurat w momencie, kiedy najbardziej tego potrzebowałam – zdobyłam się na osobiste wyznanie.

– Hmm... – Pan Arens wstał gwałtownie i sięgnął po pogrzebacz. Nerwowo rozrzucił żar w kominku. Myślami zdawał się być daleko, stał się jakby nieobecny. Jego oczy przybrały wygląd matowej stali. – Czy wie pani, w jaki sposób odeszła pani ciotka Sybilla Gebler? – Zbliżył się do mnie niespodziewanie, ścisząc głos, jakby nie chciał, by ktokolwiek nas usłyszał. Poczułam dziwne mrowienie na skórze głowy, a przez moje ciało przeszedł niemiły dreszcz.

– Prawnik napisał do mnie, że był to nieszczęśliwy wypadek... – odparłam niepewnie szeptem, który ledwo wydobył się z mojego ściśniętego gardła.

– Taką przyczynę przyjęto oficjalnie. Niemniej okoliczności śmierci pani familiantki nie są w pełni wyjaśnione i z tego, co wiem, budzą duże wątpliwości. Trudno było zidentyfikować zwłoki, bo nie miała przy sobie żadnych dokumentów. Nie wszyscy wierzą w to, że starsza kobieta z własnej woli mogła znaleźć się w środku nocy na pustkowiu. Sama pani rozumie... – Przerwał na chwilę i przełknął powoli ślinę. – Jej ciało wyłowiono z Morza Wattowego tuż przy torach, gdzie potrącił ją pociąg. Miejsce wyjątkowo odludne, idealne do ukrycia zwłok... Ona prawie nigdy nie opuszczała domu, a już na pewno nie po zmroku... Z rzadka jeździła do Altony albo do Hamburga na zakupy. Trzymała się na uboczu, żyjąc w samotności i nie wdając się z nikim w konflikty. Odeszła niespodziewanie, w sposób zastanawiający... Wszystkich mieszkańców bardzo to poruszyło, mimo że nie znaleźmy jej bliżej. Do tej pory nic podobnego tutaj się nie zdarzyło. To spokojna okolica, niewiele się tutaj dzieje.

– Czy podejrzewa pan, że mogły się przyczynić do tego osoby trzecie? – zapytałam, czując, jak mój głos zmienia barwę i zaczyna nerwowo drżeć.

– Nie, ja niczego nie sugeruję. Wtajemniczę panią jeszcze, że sekcja zwłok także niczego nie wniosła do rozwikłania sprawy. Nie będę wdawać się w szczegóły. Niemniej zanim stanie się pani pełnoprawną właścicielką rezydencji na czerwonym klifie, z pewnością czekają panią przesłuchania... Wiem, że przybędzie tutaj inspektor Haberland, który prowadzi dochodzenie w tej sprawie. Będzie chciał z panią porozmawiać. To bardzo zawzięty

człowiek, który nie spocznie, dopóki nie rozszyfruje zagadki. Mówię to tylko po to, aby panią przestrzec...

– Przestrzec? – odparłam ledwie słyszalnie. – Na szczęście nie mam w tej kwestii nic do ukrycia! – zapewniłam, gdy udało mi się odzyskać rezon.

Pan Arens przyjrzał mi się badawczym wzrokiem. Poczułam się, jakbym już była przez niego indagowana. W głowie wirowały mi najrozmaitsze refleksje, których nie potrafiłam zebrać w całość. Zupełnie nie spodziewałam się takiego obrotu spraw. Złapałam się dłońmi za skronie, próbując wyciszyć ich pulsowanie.

– Niepotrzebnie może wspomniałem o tym teraz... Jest pani wykończona podróżą i powinna odpocząć. Proszę mi wybaczyć moją niedelikatność. Wskażę pokój, który moja gospodyni przygotowała dla pani.

Skinęłam głową, z wdzięcznością przystając na tę propozycję, i ruszyłam za doktorem po drewnianych, skrzypiących schodach. Moja nowa sypialnia znajdowała się zaraz przy wejściu na piętro. Wewnątrz pachniało suszonymi ziołami, umieszczonymi w haftowanych saszetkach, które zawieszono na ramie łóżka. Pokój urządzone był minimalistycznie. Nie było w nim nic poza szerokim łóżkiem, biurkiem, krzesłem i skrzynią na ubrania. Pościel miała za to piękny wzór gałązek dzikiej róży. Obok, na małym stoliku stała cynowa misa i porcelanowy dzbanek przygotowany do mycia, a całość oświetlało wątle, migoczące światło żarówki zwisającej z sufitu w maleńkim kloszu z namalowanymi polnymi kwiatami. Przeszło mi przez myśl, że ludzie w tych okolicach żyją raczej skromnie, w zgodzie z surową i kapryśną naturą, od której w dużej mierze są uzależnieni.

Zanim się położyłam, uchyliłam okno i stojąc w nim przez chwilę, wsłuchiwałam się w odgłosy morza, które jak gdyby czymś

rozniewane, z impetem wyrzucało spienione fale, by rozbiły się o brzeg.

Przymknęłam ciężkie ze znużenia powieki, jednakże natychmiast przed oczami stanęły mi wszystkie smutne obrazy, jakich ostatnio nie szczędziło mi życie. To przed nimi szukałam tutaj schronienia. Serce nerwowo przyspieszyło. Usiadłam na prześcieradle, wpatrując się w nieprzeniknioną ciemność roztaczającą się za oknami. Moje myśli znów powędrowały do znaleziska z plaży, które miało dla mnie w sobie coś tajemniczego i niepokojącego. Roztrząsałam na nowo sprawę mojej zmarłej w niejasnych okolicznościach ciotki i domu, w którego progach miałam niebawem zamieszkać. Do niedawna nie wiedziałam jeszcze o istnieniu Sybilli Gebler, aż któregoś dnia nagle przyszedł telegram, w którym napisano, że wyznaczyła mnie na jedyną spadkobierczynię swojej fortuny. Wszystko to, do tej pory wydające się pięknym, baśniowym snem, teraz zostało splamione krwistą rysą, wdzierającą się nieprzyjemnie do mojej świadomości. Po raz pierwszy naszły mnie refleksje, że być może przeprowadzka na Sylt nie była dobrym pomysłem, a jedynie kolejnym zapętleniem w moim życiu. Pomyślałam, że może tak naprawdę los zesłał mnie na tę wyspę w zupełnie innym celu, niż zakładałam...

ROZDZIAŁ II

Gdy się obudziłam, zegar w hallu bił akurat po raz dziesiąty. Bardzo rzadko zdarzało mi się wstawać o takiej porze. Przez większą część nocy nie mogłam zmrużyć oka i zasnęłam dopiero, gdy na horyzoncie już świtało.

Z dołu dochodziła do mnie kuchenna krzątanina. Wyjrzałam za okno – pogoda nie była zachęcająca. Niebo przestaniały ołowiane, kłębiące się chmury, a w szyby raz po raz uderzały wicher i krople deszczu. Pośpiesznie wyszykowałam się, by móc zejść na śniadanie. Poczulałam zapach pieczonego ciasta drożdżowego, zapewne z kruszonką, i zaraz przypomniało mi się moje dzieciństwo.

– Dzień dobry – zawołałam od progu do Teresy, która nucąc coś pod nosem, stała przy kuchence, przekładając fajerki.

– *Moin, moin!* – przywitała się ze mną w sposób typowy dla mieszkańców Fryzji. – Dobrze pani spała? Podobno pierwszy sen w nowym miejscu zawsze się spełnia! – rzekła z promiennym uśmiechem.

– Niestety, nie pamiętam go – skłamałam.

W rzeczywistości miałam same koszmary. Wydawało mi się, że ktoś mnie dusi i że nie mogę złapać powietrza. Było w nich też gasnące światło, oddalające się w ciemnym tunelu, powracający motyw z wielu moich snów. Poza tym cały czas towarzyszył mi ściskający ból w potylicy.

– Proszę udać się do stołu w jadalni, tam nakryję do posiłku. Tutaj panuje okropny nieład – powiedziała gospodyni lekko zawstydzona, wskazując na pęk marchwi z nacią, świeżo

wyciągniętej z ziemi, na misę z solanką, zawierającą złowione ryby przyszykowane najpewniej do wędzenia, i na stertę niewyrzuconych obierków od kartofli. Obok z półki zwiślały warkocze czosnku i cebuli. Na stole położono koper i kminek, a także bukiety zaszuszonej mięty, melisy oraz szaławii. Jak każda przezorna pani domu, Teresa przyrządzała najpewniej przetwory na zimę, w tym marmolady, sądząc po stosach jabłek, śliwek, owoców jarzębiny oraz brusznic w drewnianych fasach i cebrzykach. Obok stała konew i bijak od maselnicy.

– Kiedy ja bardzo lubię taką atmosferę sielskiej wsi – odpowiedziałam. – Pozwala mi powrócić do dziecięcych lat! Jeżeli to nie będzie kłopot, najchętniej zostałabym w kuchni – poprosiłam, a Teresa uradowana skinęła głową, dając tym do zrozumienia, że nie ma nic przeciwko. – Gdzie dziewczynki? – zapytałam, uzmysłowiwszy sobie, że nie ma ich ani tutaj, ani w sypialni, do której wcześniej zaglądałam.

Wyjrzałam do ogrodu, nasłuchując ich głosów. Zobaczyłam jednak jedynie ponurą, przygarbioną gruszę z zawieszoną na niej huśtawką. Delikatnie poruszała się na wietrze, jakby siedział na niej duch. Przez krótką chwilę zastanawiałam się, do kogo należała.

– Wstały bardzo wcześnie, zjadły pajdę chleba z owczym twarogiem, a teraz poszły na plażę szukać muszelek. Po południu Oskar chce je wziąć do portu, aby wsiadły z nim na kuter i zobaczyły, jak łowi się ostrygi. Jeśli oczywiście wyrazi pani zgodę. – W odpowiedzi potaknęłam twierdząco. – Ten chłopak doskonale zna się na rzeczy, bo robi to od małego – zapewniła mnie gospodyni.

– Wspaniale... – szepnęłam cicho. Każdy głośniejszy dźwięk nasilał moją migrenę.

– Doktor Arens musiał udać się do pacjenta, ale zapewne niebawem wróci – oznajmiła Teresa, jakby uważała, że moja zafrasowana twarz jest wynikiem niepokoju o to, gdzie znajduje się gospodarz. – Wówczas zabierze panią do szpitala i pokaże resztę wyspy – dodała, szczerząc zęby. Wydawało mi się, że w jej ciepłym uśmiechu mogłaby zmieścić się dobroć zebrana z całego wszechświata. Podziałało to na mnie krzepiąco.

Siadłam przy drewnianej ławie, obok dymiącej kawiarki. Nalałam sobie do filiżanki czarnego jak smoła napoju.

– Mogę jeszcze dać pani mleka prosto od krowy – zaproponowała Teresa, wskazując na bańkę, w której na wierzchu zbierała się śmietanka. – To z dzisiejszego udoju, tak zapewniała mleczarka.

Podziękowałam jej za uprzejmość. Rozejrzałam się po pomieszczeniu, w którym na zapiecku w dębowej dzieży rośło ciasto chlebowe. Nagle mój wzrok padł na przedmiot leżący nieopodal. Postawiono tam kobiecy, sznurowany trzewik, którego skóra była zniszczona przez słońca wodę i piasek. Od razu skojarzyłam, że to ten sam but, który wczoraj psy znalazły na plaży. Zastanawiałam się, jak tutaj trafił i z jakim zamiarem ktoś go przyniósł. Teresa zauważyła, dokąd wędruje moje spojrzenie, bo odezwała się:

– Musiał to tutaj położyć pan domu. Zbiera wszystkie takie rzeczy, które morze wyrzuca, a potem je zakopuje – wyjaśniła, po czym schowała pośpiesznie znalezisko do szmacianego worka.

– W jakim celu to robi? – zdumiałam się.

– Hmm... nie wiem, czy powinnam o tym mówić. – Zawahała się, przerywając obieranie ziemniaków. – Któregoś dnia sam się pani zwierzy, o ile zechce. Powiem tylko, że ma to związek z panią Arens...

– Doktor Arens jest żonaty? – zdziwiłam się, gdyż do tej pory w swoich opowieściach nigdy o tym nie wspominał.

– Proszę nie pytać... To delikatna kwestia. Ja nie powinnam... Nieopatrznie wyjawiałam za dużo i boję się, że mógłby mieć o to do mnie żal – zakończyła smutnym tonem. – Najlepiej będzie, jak pani zapomni, co ode mnie usłyszała – poprosiła, przełykając powoli ślinę.

Widziałam, że na jej twarzy napięły się mięśnie, zmieniając jej dotychczas pogodne oblicze w mocno przygaszone. Jej zachowanie wydało mi się dziwne. Nie kontynuowałam jednak drażliwego wątku. Popatrzyłam na moją dłoń, gdzie na palcu serdecznym ciągle widniał jeszcze odcisk noszonej latami obrączki ślubnej. Ściągnęłam ją tuż przed przyjazdem tutaj. Poczułam na nowo wewnętrzne rozdarcie i rozpaczliwie rozejrzałam się dookoła, starając się na siłę pomyśleć o czymś innym.

– Nigdy w życiu nie wyszło mi ciasto drożdżowe. Zawsze opadało w piecu albo nie wyrastało... – odezwałam się po chwili ciszy, gdy stanęła przede mną jeszcze gorąca blacha ze złocistym wypiekiem poprzecinanym warkoczami z masy makowej. Zauważywszy moje zdziwienie, Teresa wyjaśniła:

– Mak jest tutaj prawdziwym rarytasem. Ale pani przyjazd to dla nas święto! A co do pieczenia rozmaitych słodkości, pani jest lekarzem i nie musi się pani tym kłopotać – rzekła, wymachując w powietrzu kuchenną ścierką. – Dokonuje pani ważniejszych rzeczy na co dzień w swojej pracy – próbowała mnie pocieszyć. – Proszę mi wierzyć, że ciasto drożdżowe to nic trudnego. Mam swoją niezawodną recepturę, jeszcze od mojej babki. Daję do miski pięć szklanek mąki, pięć jajek, po jednej szklance cukru, oleju i ciepłego mleka, a do tego rozkruszam pół kostki drożdży. Zostawiam na kilka godzin, w ogóle nie zagniatając, dopiero na końcu mieszam łyżką,

przekładam na blachę, posypuję kruszonką, a później wstawiam na godzinę do pieca – wyrecytowała jednym tchem, zadowolona, że udało jej się uciec od kłopotliwego tematu, na który niechcący zboczyła.

Próbowałam zapamiętać jej przepis, gdy nagle dobiegł mnie odgłos otwieranych drzwi wejściowych. Po chwili w progu stanął pan Arens. Nie uszło mojej uwadze, że chociaż nie była to niedziela, był starannie ogolony i ubrany, a w powietrzu unosił się intensywny zapach wody po goleniu. Na powitanie ucałował szarmancko moją dłoń, przytrzymując ją odrobinę dłużej, niż wypadało, po czym spojrzał mi prosto w oczy. W tym uścisku i spojrzeniu zdawała się wyrażać tęsknota za kobiecym ciałem i bliskością. Już dawno odwykłam od takiej kurtuazji, byłam więc mile zaskoczona.

– Wybacz pani, że nie mogłem jej towarzyszyć w trakcie śniadania, jednakże wezwały mnie obowiązki służbowe, jak to zwykle bywa u medyków! Pojechałem do mojego starego pacjenta cierpiącego na *arthritis osteomyelitica* na tle tuberkulozy. Biedak już od dawna nie umie samodzielnie się poruszać. Tak ma opuchnięte stawy, że leży całymi dniami w łóżku. Ponieważ tym razem miał gorączkę z dreszczami, zdecydowałem się zrobić punkcję wodniaka kolana, upuszczając ropną treść. Jak się spodziewałem, zawierała ona laseczniki Kocha, co mogłem stwierdzić jednakże dopiero w szpitalu, pod mikroskopem, po odpowiednim zabarwieniu preparatu. Konieczne będzie naświetlanie promieniami rentgenowskimi, aby mógł powrócić do zdrowia... – referował, sądząc zapewne, że konwersacja na tematy zawodowe będzie dla mnie interesująca, ale także chyba po części po to, aby zaimponować mi swoją wiedzą i praktyką.

- Sposoby leczenia gruźlicy istnieją najprawdopodobniej tak długo, jak sama choroba – odparłam, cofając się myślami w przeszłość. – Jak wiadomo, każda epoka miała swoich zapaleńców, którzy łudzili nadzieją, że ostatecznie pokonają to schorzenie. Były i czasy, gdy próbowano terapii sublimatem, kwasem garbnikowym, jodoformem, fosforem czy kamforą... – wyliczałam z pamięci wszystkie poznane przeze mnie metody. – Każdy z tych specyfików królował przez pewien okres w medycynie, a nawet dokonywał cudów, zanim został ostatecznie zdetronizowany. Niestety, sok pleśniowy, w którym ostatnio pokładano nadzieję, okazał się również nieskuteczny. Ratuje za to inne, nie mniej beznadziejne przypadki, chociaż jeszcze nie jest stosowany na szeroką skalę – zakończyłam swoją wypowiedź, nawiązując tym samym do niedawnego odkrycia dokonanego przez Fleminga.

W laboratorium tego szkockiego naukowca, jak donoszono, panował nieprawdopodobny bałagan, w którym tylko on potrafił się odnaleźć. To właśnie ten nieporządek przyczynił się do jednego z najważniejszych wydarzeń w historii ludzkości. Podczas jego dłuższej absencji w pracy okazało się, że na szalkę z koloniami gronkowców wdała się pleśń. Po powrocie Fleming spostrzegł, że pod wpływem działania substancji wydzielanej przez grzyba *Penicillium* doszło do zniszczenia komórek bakteryjnych. Nie przypuszczał jeszcze wtedy, ile istnień zostanie dzięki temu ocalonych. Co ciekawe, kilka lat wcześniej w równie nietypowych okolicznościach odkrył lizozym – enzym, który powoduje rozpad drobnoustrojów i jest jednym z naturalnych mechanizmów obronnych organizmu w walce z zarazkami. Stało się to wówczas, gdy Fleming pracował przeziębiony i kropla kataru po kichnięciu spadła na próbkę hodowli bakterii. Gdy naukowiec obejrzał ją

ponownie kilka dni później, po mikrobach w miejscu, gdzie zetknęły się z wydzieliną, nie było śladu. Trudno więc oprzeć się stwierdzeniu, że największe odkrycia w dziejach bywają dziełem przypadku i roztargnienia wielkich umysłów.

– Myślę, że naukowcy nie poddadzą się, dopóki nie znajdą lekarstwa i na tę straszną chorobę, jaką jest gruźlica – odezwałam się ponownie z nadzieją w głosie.

Zauważyłam wówczas, że najpewniej od dłuższej chwili nikt mnie nie słucha. Teresa wyszła do ogrodu, a doktor grzebał w swojej przepastnej torbie lekarskiej. Szybko zmieniłam temat.

– Bardzo chciałabym możliwie jak najszybciej udać się do szpitala i poznać nowe miejsce mojej pracy – poprosiłam, przymilnie się uśmiechając.

– Oczywiście. Możemy jechać natychmiast. Nie mogę się też doczekać, kiedy pokażę pani wyspę! Dzisiaj aura nie jest ku temu najlepsza, ale jak to mówią na północy, nie ma złej pogody, są jedynie niewłaściwe ubrania.

– Z największą przyjemnością, lecz nie wiem, co z córkami...

– Ależ tak, proszę jechać i o nic się nie martwić – zapewniła mnie Teresa. – Zajmę się dziewczynkami, gdy wrócą. Niczego im nie zabraknie!

Byłam wzruszona jej dobrocią.

– Nie wiem jak ani kiedy się pani za to wszystko odwdzięczę – wyznałam.

– Odda pani tę dobroć innym ludziom, którzy będą jej potrzebować. Tak to już jest. – Gospodyni westchnęła, a jej twarz zastygła w półuśmiechu.

Wyszliśmy na zewnątrz i od razu poczułam silny wiatr, zmieszany ze słoną bryzą, tak że momentami z wysiłkiem nabierałam powietrze. Jego podmuchy wbijały się w moje ciało niczym

lodowate szpilki. Morze w oddali było wzburzone, co nie zapowiadało rychłej zmiany pogody.

– Możliwe, że będzie sztorm – zawyrokował pan Arens, patrząc na ołowiane chmury.

Pewnie to przesądziło o tym, że wybraliśmy się w podróż czarnym jak smoła wartburgiem.

– Proszę mi wierzyć, że marzę o czasach, gdy w pełni dotrze tutaj cywilizacja, a tym samym stacje benzynowe dla aut. Wówczas sprowadzę sobie z Hamburga jakiś sportowy wóz w wersji kabriolet. Uwielbiam czuć prędkość! – wyznał, siadając za kierownicą. Odpalił silnik i po chwili mknęliśmy już po krętej, piaszczystej drodze.

– Czy mógłby mi pan coś opowiedzieć o historii wyspy? – zapytałam, rozglądając się dookoła.

– Z miłą chęcią, ale boję się panią zanudzić, co mi się nieraz zdarzało, ponieważ mógłbym o Sylcie opowiadać bez końca. Cóż, proszę sobie wyobrazić, że do 1362 ten skrawek ziemi złączony był na stałe z lądem. Połączenie to zostało zerwane wskutek gwałtownej burzy na morzu. Los nie oszczędzał przybyłych tutaj osadników. Nie dość, że musieli toczyć nierówną walkę z żywiołami niełaskawej natury, to na dodatek prawie wszyscy mieszkańcy zmarli podczas epidemii dżumy w XIV wieku. Trudno byłoby nie wspomnieć o toczących się tutaj podbojach! Zadziwiająco, że ta osada, słynąca głównie z połowu śledzi i produkcji soli, była miejscem zaciętych i krwawych walk o wpływy. Czasy dobrobytu wiązały się głównie z wyprawami morskimi i przywożeniem tak zwanych towarów luksusowych. Pewne bogactwo przyniosło też nadmienione już przeze mnie wielorybnictwo. Ale przez stulecia to miejsce, gdzie diabeł mógłby mówić dobranoc, było tak naprawdę zapomniane. Dopiero

w połowie ubiegłego wieku odkryto je na nowo i dostrzeżono jego walory naturalne. Tak powstało uzdrowisko. Gdy zbudowano sanatorium, zaczęli przybywać pierwsi kuracjusze. Latem całkiem sporo tu turystów, ale zimą miejsce to pustoszeje zupełnie, jakby Bóg je porzucił. Pogrąża się w ciemnościach i mgle, o czym już zresztą opowiadałem – złapał się na powtórzeniu. – Ach, chyba za bardzo się rozgadałem... Mam w sobie duszę gawędziarza i zdaję sobie sprawę, że czasem mogę nudzić moich słuchaczy – zaśmiał się. – Należy mi wtedy przerwać!

– Nie, proszę mówić – zaprzeczyłam. – To bardzo ciekawe – zachęciłam go. – Niezręcznie mi to przyznać, ale niewiele wiem o północnej Fryzji, która ma się stać moim nowym domem.

– Wszystko przed panią! – odparł.

Miałam wrażenie, że przez większość czasu, zamiast patrzeć na drogę, spoglądał w moją stronę. Właśnie podjechał do wybrzeża i z impetem wcisnął pedał hamulca, aż rzuciło nas do przodu. Stąd można było podziwiać piaszczystą plażę i liczne wiklinowe kosze, wysłane materiałem w biało-błękitne pasy. Mimo złej pogody w niektórych siedzieli nieliczni już wczasowicze, inni przechadzali się gdzieśgdzie, osłaniając się parasolami od mżącego deszczu. Wydawało się jednak, że zaczyna się przejaśniać, bo promienie słońca przebijały się przez chmury. Co odważniejsi mężczyźni, ubrani w jednoczęściowe trykotowe, wzorzyste stroje kąpielowe, zanurzali się we wzburzonych falach. Na niebie unosiły się pojedyncze papierowe latawce z falującymi ozdobnymi ogonami. Słysząc było śmiech dzieci i ujadanie psów, prowadzonych na smyczy przez dostojne damy. Pan Arens przekręcił w stacyjce kluczyk i zaparkował na chwilę pojazd, aby dane mi było nacieszyć się tym widokiem.

– A nazwa Sylt? Czy wie pan, skąd pochodzi?

– Hmm... Teorii jest wiele – odparł, zamyślając się i drapiąc po brodzie. – Słowem „sild” nazywano w tych terenach śledzia. Skandynawowie używają słowa „sylte” oznaczającego peklowanie. Te wytłumaczenia są do przyjęcia. W końcu były tutaj rybackie osady. Przerazić może jednak możliwość, że to miejsce zostało nazwane od staroangielskiej nazwy „svelta”

– A co ona oznacza? – zapytałam.

– Wyspa umarłych – wyrzekł półgłosem po chwili ciszy.

Poczułam nieprzyjemne ciarki na skórze. Ponownie zrobiło się ciemno, bo na horyzoncie znów pojawiły się chmury, gęste i czarne jak dym z komina. Zawiał zimniejszy wiatr, jakby dusze ludzi spoczywających w tym miejscu wróciły na chwilę na ziemię. To niebywałe, jak dynamicznie zmieniała się tu pogoda.

– Niezwykle duża liczba kurhanów, które się tutaj znajdują, może wskazywać na specjalne miejsce pochówku jeszcze z czasów przedchrześcijańskich... – kontynuował doktor Arens.

Samochód jechał teraz znów w stronę miasta i na horyzoncie wyłaniały się coraz to liczniejsze zabudowania. Jako jeden z pierwszych dostrzegłam duży budynek z czerwonej cegły, pokryty brązową dachówką. Domyśliłam się, że to szpital. Wyglądał całkiem okazale, zupełnie inaczej, niż go sobie wyobrażałam.

– Mam nadzieję, że ambulatorium będzie jeszcze puste o tej porze.

– Pan Arens wypowiedział swoje myśli na głos, zatrzymując samochód w pobliżu. Niestety, jego życzenie nie zostało wysłuchane.

Kiedy weszliśmy do środka, cała poczekalnia wypełniona była ludźmi, część z nich stała, bo zabrakło wolnych krzeseł. Niektórzy pojękiwali z bólu, inni pochrząkiwali i sapali głośno, ale wszyscy byli zmęczeni panującym zaduchem. Ten i ów okazywał zniecierpliwienie, że tak długo trzeba czekać na udzielenie pomocy.

Pacjenci dudnili laskami o podłogę albo dobijali się do drzwi gabinetu. Zostałam pośpiesznie przedstawiona personelowi medycznemu i otrzymałam lekarski kitel, który naprędce założyłam. Był o wiele za duży i o męskim kroju, ale nie mogłam się spodziewać niczego innego. W dalszym ciągu widok kobiety lekarza nie był częsty, zwłaszcza na prowincji.

– Doktorze, prędko! – zawołała dramatycznym głosem jedna z pielęgniarek. – Mamy dziecko, które się dusi! Proszę pozwolić za mną – wyrzekła błagalnie.

Sytuacja wyglądała bardzo poważnie, a każda sekunda zwłoki mogła doprowadzić do tragedii.

Nie wahając się ani chwili, ruszyliśmy w pośpiechu w stronę sali zabiegowej. Panowało tam niemałe zamieszanie. Wszyscy czekali na nas jak na zbawienie. W środku siedział chłopiec, mogący mieć około dziesięciu lat, i z trudem łapał powietrze. Jego oddech przerywany był przeraźliwym kaszlem, jakby miał zaraz wypluć płuca. Trzymał się kurczowo krzesła, na którym siedział, a w jego szerokich źrenicach odbijał się niewystłowny lęk. Gdy nabierał powietrza, widać było zaciąganie dołków podobojczykowych i przestrzeni międzybrownych. Skóra wokół ust i palców przybrała kolor siny. Po brodzie spływała wolno krwista strużka. Obok siedziała przerażona kobieta, obejmująca chłopca silnie ramieniem, jakby chciała go w ten sposób wyrwać ze szponów śmierci. Musiała być jego matką. Poczułam ogrom współczucia dla niej, doskonale wiedząc, jak teraz cierpi.

– Mój Boże! – krzyknął pan Arens od progu.

Zdezynfekował szybko dłonie w spirytusie mydlanym i przystąpił natychmiast do badania.

– Kiedy to się stało?! – zwrócił się do opiekunki małego pacjenta, przyglądając się uważnie jego szyi. Musiał mieć z nim już wcześniej

styczność. Sądząc po reakcji doktora, dobrze znał tego chłopca.

– Nie dalej jak godzinę temu. Od razu zaczął się dusić i pluć krwią – wyszłochała w odpowiedzi zrozpaczona niewiasta. – Popędziliśmy natychmiast tutaj, ale jako że mieszkamy we wsi położonej na południowym krańcu wyspy, zabrało to trochę czasu.

– Rok temu robiłem u tego dziecka tracheotomię dolną z powodu gruźlicy krtani – wyjaśnił mi doktor Arens. – Chory przebywał w domu, bo został nauczony, jak ma sam wymieniać sobie kaniulę tchawicową. W czasie manipulacji rurka zewnętrzna musiała oderwać się od szyldzika i wpaść do dolnych dróg oddechowych... – zawyrokował, wzdychając ciężko, po czym się zasepił. Patrzyłam z rozpaczą na cierpiące katusze dziecko, zastanawiając się nad sensem tej męki, jak każda kobieta, która sama posiadała potomstwo.

– Oddech stenotyczny nasilony, o podzwiewku metalicznym... Musimy wykonać zdjęcie rentgenowskie, aby upewnić się co do rozpoznania. – To powiedziawszy, lekarz przysunął do chłopca lampę i załadował świeżą kliszę. Po chwili, która wydawała się nieskończenie długa, naszym oczom ukazała się widoczna na negatywie rurka tracheotomijna, która uwięzła w *bronchus sinister*, co potwierdziło wstępne rozpoznanie.

Doktor Arens podał dziecku znieczulenie miejscowe.

– Proszę przygotować sztancę ząbkowaną – zwrócił się do instrumentariuszki. Włożył narzędzie w otwór na szyi chłopca. Manipulował przez moment, zanim udało mu się wreszcie uchwycić i usunąć ciało obce tkwiące w oskrzelach. Potem już spokojniej zainstalował nową rurkę do oddychania. Wentylacja szybko się poprawiła, a wraz z nią także stan chłopca. Musiał jednak pozostać na obserwacji w szpitalu.

Inne przypadki tego dnia na szczęście nie były już tak tragiczne ani spektakularne.

Zalecono pewnej starszej pani enemy z wody z cukrem i bizmutem z powodu podejrzenia glistnicy. Podano śródmięśniowo zastrzyk z jodochininy z bizmutem i olejkim migdałowym w celu zalecenia kiły u pacjenta w średnim wieku. Przepisano maść borową, okłady z lodu oraz osłonę aluminiową na obrzmiałe i zapalone gruczoły piersiowe u położnicy, która urodziła przed kilkoma tygodniami. Pojawił się jeszcze chory z grzybicą strzygącą na skórze głowy i dziecko z figówką gronkowcową.

Na koniec przyszedł zmartwiony mężczyzna, niemający więcej jak trzydzieści lat, z niegojącymi się owrzodzeniami okolicy pachwin i moszny, pokrytymi szarawą warstwą strupów.

– Leczenie przeciwgrzybiczne, jakie wdrożyłem, w ogóle nie przynosi poprawy – rzekł zatroskany doktor Arens, kręcąc głową.

– Czy mógłby pan otworzyć usta i pokazać gardło? – zwróciłam się do pacjenta, prowadząc go do okna, aby znaleźć lepsze oświetlenie.

Młody człowiek był wyraźnie zawstydzony moją obecnością. Niepewnie wykonał kilka kroków.

– Proszę spojrzeć, śluzówka jest zaczerwieniona i nacieczona nalotami, które wyglądają na błonnicze. Być może te wykwity skórne są pochodzenia dyfterytowego? – zwróciłam się do mojego współpracownika, a ten, nie kryjąc podziwu, aż klasnął w dłonie.

– Pani Kader, to może być genialny ślad. Jak pani na to wpadła? – dopytywał się zaintrygowany.

– Kiedyś miałam pacjentkę z bardzo podobnymi zmianami w pochwie. Potem wyhodowałam maczugowce błonicy na pożywce. Po podaniu surowicy wszystko ustąpiło.

– Tak spróbujemy postąpić i w tym przypadku – rzekł uradowany doktor, obejmując mnie niespodziewanie ramieniem.

Poczułam się odrobinę skrępowana jego śmiałym gestem. Musiał to zauważyć, bo natychmiast cofnął rękę i chrząknął nerwowo.

– Proszę usiąść na kozetce – zwrócił się do chorego. – Zaraz wykonam zastrzyk, tylko znajdę ampułkę w torbie.

Przez krótką chwilę przyglądałam się z boku jego poczynaniom. Pomyślałam, że w młodości musiał być bardzo atrakcyjnym mężczyzną. Do tej pory zostało mu sporo wdzięku. Z tego, co zdołałam zauważyć, niezwykle o sobie dbał. Strzygł starannie wąsy i nakładał brylantynę na włosy, zaczesując je na bok. Paznokcie miał nienagannie czyste i obcięte, a na palcach nie widziałam żółtych śladów po tytoniu.

Pomyślałam, że z pewnością, żyjąc w samotności, musiał być spragniony kobiecego ciała i rodzinnego ciepła. Chociaż na początku sądziłam, że Teresa jest dla niego kimś więcej niż jedynie gospodynią domową, teraz, widząc, jakimi spojrzeniami zaczął mnie obdarzać, stwierdziłam, że musiałam się pomylić w tej ocenie. Niestety, nie wiedział, jaka jest moja sytuacja, sądząc zapewne, że skoro przybyłam w to miejsce sama, jedynie z dwiema córkami, muszę być albo wdową, albo rozwódką. Tym samym być może uznał, że będzie miał drogę otwartą w zdobywaniu moich względów. Moja wyobraźnia jak zawsze wiła się niczym pnącze, meandrując w moim umyśle.

– Jest pani głodna? – Moje rozmyślenia przerwało zadane pytanie, sprowadzając mnie z powrotem na ziemię. Pokręciłam przecząco głową.

– Niespecjalnie. Chętnie zobaczyłabym część szpitala przeznaczoną na oddział ginekologiczno-położniczy, o ile to koniec pracy w ambulatorium.

– Na to wygląda. Proszę zatem podążać za mną – rzekł pan Arens opiekuńczym tonem.

Szliśmy korytarzem, a potem po schodach na piętro. Wnętrze, w którym miałam pracować, wydawało się dość mroczne. Biuro wyposażone było w ciemne, orzechowe meble i biurko. W jego centralnej części stał zakurzony mikroskop, przykryty białą tkaniną.

W witrynach zobaczyłam rozmaite fiołki oraz ampułki z medykamentami. Na środku postawiono fotel ginekologiczny, który miejscami był zardzewiały, podobnie jak emaliowa misa stojąca pod nim. Skórzane opaski do przypinania kończyn dolnych były mocno przetarte. Przeszłam po skrzypiącej, drewnianej podłodze w stronę szafy, rozglądając się dookoła. Sceneria przypominała bardziej salę tortur niż gabinet lekarski. Otworzyłam szuflady i znalazłam w nich wzierniki, peany, kochery, klemy, kulociągi, miednicomierze, słuchawki do badania tętna płodu, a także kleszcze położnicze.

– Cóż, tak jak mówiłem, za wiele nie można się spodziewać... – odezwał się pan Arens, drapiąc się po głowie i zaciskając usta. – Większość porodów odbywa się w domu, przy pomocy akuszerki. Jeżeli zachodzi potrzeba cesarskiego cięcia, wówczas na dole mamy salę zabiegową. Jest też kilka pomieszczeń, które można zaadaptować dla ciężarnych i położnic.

– Nie boję się wyzwania i postaram się, aby za sprawą mojego pobytu tutaj polepszył się standard opieki – wyrecytowałam formułkę, którą ułożyłam sobie wcześniej, po czym wyciągnęłam z kieszeni notatnik, by spisać brakujący sprzęt. Przygryzając końcówkę ołówka w zębach, próbowałam się skupić.

– Od kiedy chciałaby pani zacząć? – dopytywał mój rozmówca.

– Jak najszybciej, gdy tylko dopełnię wszelkich formalności – odparłam z pewnością siebie. Miałam wrażenie, że kamień spadł

mu z serca. Być może obawiał się, że przyzwyczajona do pracy w zgoła innych warunkach, zrezygnuję z zatrudnienia w tym miejscu.

– Zostawię zatem panią samą, aby miała pani czas zapoznać się z wszystkim, i wrócę za jakąś godzinę. Liczę, że wówczas zechce pani się już posilić i wrócimy do domu, gdzie zasiądziemy do wieczerzy w blasku świec – zakończył rozmarzonym głosem.

Poczułam jakiś dziwny ścisk w gardle. Chociaż niewątpliwie wypadało coś odpowiedzieć, w tym momencie mogłam się zdobyć jedynie na skinięcie głową. Doktor Arens jednak nie wydawał się zrażony moim zachowaniem. Udał się w stronę drzwi w doskonałym nastroju, wesoło pogwizdując.

Po dokładniejszej ekspertyzie znalazłam trochę medykamentów, między innymi fiołki ze srebrem koloidowym, wykorzystywanym do płukania dróg rodnych, octan glinu, podawany przy atonicznych krwotokach położniczych, a także morfinę do uśmierzania bólu porodowego. Natrafiłam również na *Natrium bromovalerianicum*, remedium stosowane przy atakach hysterii. Freud, który przypisywał tę dolegliwość jedynie płci pięknej, wierzył, że kobiety doświadczają napadów, ponieważ nie są w stanie pogodzić się z utratą „metamorficznego” penisa. Jak wielu lekarzy przed nim, zalecał, by leczyć histerię poprzez małżeństwo i regularne stosunki płciowe. Jeszcze na początku XX wieku popularny był wymyślony kilka stuleci wcześniej masaż macicy, prowadzący do leczniczego orgazmu. Dopiero Wielka Wojna i ataki hysterii wśród żołnierzy na froncie raz na zawsze zmieniły sposób postrzegania tego schorzenia jako wyłącznie damskiego problemu.

W ferworze pracy nie zorientowałam się, jak szybko mijał czas. Dopiero gdy do moich uszu dobiegło pukanie, spojrzałam na zegarek. Dochodziła szósta po południu.

– Niestety, nie udało mi się skończyć... – wyznałam, gdy ujrzałam doktora Arensa wychylającego głowę zza framugi.

– Jutro też jest przecież dzień, jak to mówią, a ten był wyjątkowo dla nas pracowity. Myślę, że czas wracać.

Przypomniałam sobie o Hannie i Adalii. Nie powinnam ich zostawiać samych na tak długo. Pośpiesznie zaczęłam ściągać z siebie fartuch i pakować rzeczy do torby.

Ledwo podjechaliśmy pod dom, gdy furтка otworzyła się na oścież i dziewczynki wybiegły nam na powitanie. Jedna przekrzykiwała drugą w trakcie relacjonowania swoich dzisiejszych przygód. Staralam się cierpliwie wszystkiego wysłuchać, ale moje myśli ciągle odbiegały do innych spraw. Najważniejsze było dla mnie, że obie wyglądały na szczęśliwe, więc musiały się tutaj dobrze czuć.

– Mamo, czy wiesz, że gdy do ucha przyłoży się muszlę, to słychać szum morza? – powiedziała Adalia z dziecięcą ufnością. Pokręciłam przecząco głową, uśmiechając się pobłaźliwie.

– Zobacz, co znalazłyśmy! Oskar powiedział nam, że ten gatunek małży nazywany jest brzytwą morską – rzekła rozentuzjasmowana Hanna, po czym pokazała mi słoik ze zbiorami. Były tam również rogowce, wieżyczniki oraz omułki.

Zasiedliśmy do kolacji, na którą podano jagnięcinę z zieloną fasolą i sałatką z kartofli. Przy wieczerzy towarzyszyły nam psy, błagalnie wpatrujące się w podnoszone do ust kęsy jedzenia. Jeden z nich położył pysk na stole, pomiędzy półmiskami, ku dezaprobowaniu Teresy. Ich właściciel jednak wszystko wybaczał swoim pupilom i po kryjomu podkarmiał je pod stołem.

Na zakończenie przyniesiono imbryk z herbatą i rozstawiono porcelanowe filiżanki, malowane w błękitne wzory. Wiedziałam już z opowiadań doktora Arensa, że w północnej Fryzji istniała

specyficzna kultura picia tego napoju, sięgająca początku XVII wieku. Stało się to niemalże świętym rytuałem. Początkowo, gdy herbatę przywożono z kolonii, zyskała popularność jako lekarstwo, wypierając całkowicie napar z mięty, pietruszki czy melisy. Z czasem tak bardzo przyzwyczajono się do niej, że gdy cesarz Fryderyk II zakazał jej picia w obawie, że pieniądze jego poddanych będą zasilać gospodarkę innych krajów, wybuchła wojna herbaciana. Nie pomogło nawet zachęcanie do picia piwa, które było produkowane lokalnie. To „zioło z Chin” przemycano i potajemnie sączono. Tradycja okazała się o wiele silniej zakorzeniona niż strach przed karą.

Teresa podała śmietankę w dzbanku, a do tego kandyzowany brązowy cukier i specjalne szczytce ze srebra do jego nakładania. Zanim przelała wrzący napój do filiżanki, na jej dnie ułożyła kryształki cukru, aby usłyszeć charakterystyczny trzask podczas nalewania herbaty. Łyżeczką nałożyła śmietankę, która utworzyła kremową chmurkę na wierzchu. Całość trzeba było zamieszać w stronę przeciwną do ruchu wskazówek zegara, aby symbolicznie zatrzymać czas. Przyglądałam się z zainteresowaniem całej tej ceremonii, która wydawała się dla ludzi z Syltu prawdziwym *sacrum*.

Rozmowy toczyły się na miłe tematy o życiu wyspy i jej mieszkańców, a gdy wszyscy skończyli raczyć się naparem, nalewano następną porcję. Dowiedziałam się, że każdy powinien wypić przynajmniej trzy filiżanki, inaczej było to uznawane za obrazę gospodarza. Potem, gdy gość miał dosyć, należało odłożyć porcelanę do góry dnem na spodku.

Adalia i Hanna, wykończone po całym dniu zabaw, udały się do swojego pokoju na nocny spoczynek. W pomieszczeniu od razu

zrobiło się cicho i słychać było jedynie tykanie leciwego zegara, które działało na mnie kojąco.

– Miałbym pewną propozycję na dzisiejszy wieczór. – Pan Arens zbliżył się do mnie, ścisząc głos. W jego oczach dojrzałam zmysłowy blask, a na twarzy zachęcający uśmiech. – Czy zechciałaby pani wybrać się na jeszcze jedną przejażdżkę autem, tym razem do rezydencji na czerwonym klifie, której niebawem zostanie pani właścicielką? Wiem, że będziemy mogli podziwiać obiekt niestety jedynie z zewnątrz, bo jeszcze nie otrzymała pani do niego oficjalnie praw ani kluczy. Ale znajduje się w bardzo malowniczej okolicy, niedaleko latarni morskiej. Można więc będzie pójść na spacer, zwłaszcza że pogoda się poprawiła.

– Z przyjemnością pojechałabym go obejrzeć! – zawołałam skuszona propozycją. – Tak naprawdę to o niczym innym nie marzę, odkąd tu dotarłam! – obwieściłam z nieskrywanym entuzjazmem. – Na razie obraz posiadłości mam tylko w swoich fantazjach.

– Zatem zapraszam na wycieczkę – rzekł, puszczając mnie przodem z lekkim ukłonem. Zastanawiałam się, czy jego pomysł nie był jedynie pretekstem, abyśmy pobyli tylko we dwoje. Teresa zapewne nawet nie zauważyła naszego wyjścia, zajęta sprzątaniami kuchni.

Gdy znaleźliśmy się na zewnątrz, na letnim, zachmurzonym niebie dojrzałam mewy – zataczające kręgi i odlatujące w tylko sobie znanym kierunku. Było jeszcze widno, chociaż słońce zaszło już jakiś czas temu. Na morzu panowała flauta, wydawało się więc tym razem wyjątkowo spokojne.

– Nieruchomość położona jest na północnym krańcu wyspy – oświadczył pan Arens, zatraskując drzwiczki pojazdu.

Dach auta był złożony. Ponownie doświadczyłam tego cudownego uczucia wiatru we włosach zmieszanego z letnią bryzą

i przymknęłam powieki. Moje serce biło coraz szybciej w ekscytacji pomieszanej z czymś w rodzaju lęku przed nieznanym. Nagle poczułam dziwny ścisk w klatce piersiowej, jakbym zbliżała się do jakiegoś niebezpieczeństwa, przed którym próbowała mnie ostrzec moja intuicja. Otworzyłam z przestachem oczy i rozejrzałam się dookoła.

– Oto i ona! – krzyknął pan Arens, wskazując w stronę wzniesienia, na którym w oddali stał samotny piętrowy budynek z czerwonej cegły, kryty strzechą.

Wyglądał monumentalnie, wyłaniając się spośród wzgórz obrosniętych krzewami i wydm z falującą od podmuchów powietrza trawą. Tradycyjnie krótsze boki były zwrócone w kierunku wschodnio-zachodnim, aby wiejący często od tej strony wiatr nie wychładzał zbyt ścian. Wjechaliśmy na boczną, piaszczystą drogę prowadzącą do bramy i zatrzymaliśmy się tuż przed nią. Mogłam teraz zauważyć pnący się po murach dziki bluszcz, zarastający gdzieś okna z białymi szprosami. Nad głównym wejściem znajdowała się niewielka urocza lukarna. Dostrzegłam inskrypcję informującą, że dom postawiono w 1895 roku. Całość otoczona była ogrodzeniem wykonanym z polnych kamieni. Do ścieżki prowadziła półkolistą niebieską furtką, ukryta wśród pędów winorośli. Tuż za nią rosły dwie podeschłe jabłonie, których poskręcane konary wiły się żałośnie ku niebu. Na zachwaszczonych rabatach przebijały się kwitnące o tej porze roku rudbekie i aksamitki, rozsiewające się bez udziału ludzkiej ręki.

– Nie sądziłam, że jest taki ogromny – odezwałam się po chwili zadumy. – Tak naprawdę to nic o nim nie wiem. Podobnie jak jedną wielką zagadką jest dla mnie moja familiantka, Sybilla... – wyjawiłam. – Może dziwnie to zabrzmie, ale zanim otrzymałam testament, nie wiedziałam nawet o jej istnieniu... Dopiero wówczas

zapytałam o nią matkę, która powiedziała mi, kim dla nas była ta kobieta – wyszeptałam, czując, jak oczy robią mi się wilgotne ze wzruszenia, że wkrótce będą mogła zamieszkać w tym pięknym miejscu. – Moja rodzicielka z trudem wygrzebała jej obraz z zakamarków swojej pamięci. Niestety, od kilku lat cierpi na postępującą demencję.

– Jeśli pani nawet nie znała ciotki, dlaczego wybrała akurat panią jako swoją jedyną spadkobierczynię? – zapytał mój rozmówca, marszcząc swoje krzaczaste brwi.

– Naprawdę nie mam pojęcia... – wyznałam i dodałam po chwili: – Ale może tutaj czeka na mnie odpowiedź. Czuję, że właśnie tak jest! – wykrzyknęłam. Oparłam się o bramę i spojrzałam w stronę domostwa.

Nagle zawiął silniejszy wiatr, a do naszych uszu dobiegł trzask łamiącej się suchej gałęzi, która z impetem spadła na ziemię. To najprawdopodobniej spłoszyło przyczajoną w mroku sowę, która zaczęła niemiło pohukiwać, jakby zwiastowała mające nadejść nieszczęścia. Poczułam silny zawrót głowy i gdyby nie silne ramię doktora Arensa, być może padłabym omdlała.

– Chyba jest pani przemęczona – odezwał się troskliwie. – Myślę, że czas wracać do domu.

– Ależ nic mi nie jest! – zaprotestowałam. – Obiecał mi pan jeszcze pokazać klif i latarnię morską – przypomniałam, gdy tylko poczułam się lepiej.

– Cóż, może nie są to najlepsze okoliczności. Ale ja nigdy nie odmawiam damom i dotrzymuję swoich obietnic. – Pomógł mi wsiąść do auta. – Jestem pewien, że za chwilę widok, jaki pani ujrzy, odbierze pani mowę!

Ruszyliśmy w drogę, a ja kilkakrotnie oglądałam się jeszcze za siebie i wpatrywałam się w opuszczoną rezydencję, która miała

zostać niebawem moim domem. Pośród spowijającego ją teraz mroku i mgły sprawiała wrażenie ponurej i przytłaczającej. Wydawało mi się, że w oknie na piętrze przemknęło jakieś światełko, a za nim przygarbiony cień, jakby ktoś był w środku i bacznie obserwował to, co działo się wokół.

Przez krótki moment chciałam sprawdzić, czy mam rację, i poprosić mojego towarzysza, by zawrócił. Uznałam jednak, że musiało to być tylko złudzenie spowodowane moim wyczerpaniem. Imaginacja płatała mi figle.

– Czy znał pan bliżej moją krewną? Mógłby mi pan coś o niej opowiedzieć? – wznowiłam rozmowę.

– Szczerze powiedziawszy, była bardzo skrytą i zamkniętą osobą. Trzymała się na uboczu. Gdy tutaj przybyła przed laty, spekulowano, że to majątna wdowa. Ale czy była to prawda? Nikt nie wiedział nic o jej życiu i trudno powiedzieć, czy kiedykolwiek miała męża. Weszła w posiadanie nieruchomości, stając się, o ile pamiętam, jej drugą właścicielką. Wolała przebywać z dala od ludzi, jakby unikała ich towarzystwa. Zdarzyło się raz, że była moją pacjentką, gdy przechodziła odmiedniczkowe zapalenie nerek. Wówczas pojechałem do niej na wizytę domową, a podejmowała mnie, leżąc w łóżku w swojej sypialni. Dziwiłem się, że nie ma żadnej pomocy domowej. Nikogo, kto mógłby jej chociaż zrobić herbaty, gdy była chora. Miała naprawdę twardy charakter.

– Czyli mieszkała w tym wielkim budynku zupełnie sama? – zapytałam w nadziei, że może wpadnę na jakiś trop, który rozwieje aurę tajemniczości, jaka roztaczała się wokół tego miejsca.

– Chyba tak... – odparł doktor niepewnym głosem, wyraźnie skoncentrowany na prowadzeniu pojazdu.

– Myślałam, że dowiem się o niej czegoś więcej... – westchnęłam, nie kryjąc rozczarowania.

Spojrzałam na oblicze pana Arensa, jakby próbując z niego wyczytać, czy powiedział mi prawdę. Nie mogłam pozbyć się uporczywego wrażenia, że jest coś, co stara się przede mną ukryć. Przygryzał nerwowo wąsy, a wzrokiem unikał moich spojrzeń. Pomyślałam, że chodziło mu jedynie o zachowanie tajemnicy lekarskiej. Dałam więc za wygraną i zamiast drążyć temat, rozglądałam się zaciekawiona po okolicy. Poza szumem wiatru i morza wydawało się, że dookoła nie ma żywej duszy. Silnik pracował teraz cicho, bo jechaliśmy bardzo wolno. Nagle od strony klifu do naszych uszu dotarły ludzkie krzyki.

– Tam chyba ktoś jest i wzywa pomocy! – zawyrokowałam, pokazując ręką, skąd dochodziły odgłosy. Mój towarzysz najwyraźniej musiał mieć te same odczucia, bo wcisnął nerwowo pedał hamulca. Po chwili znaleźliśmy się blisko skalistego brzegu, skąd było widać morze. Na skrawku lądu w świetle reflektora samochodu zauważyłam grupę ludzi z latarniami. Część z nich była zanurzona po kolana w wodzie, jakby usiłowała wyłowić z niej jakiś przedmiot.

– Niech pani tu lepiej zaczeka – zwrócił się do mnie pan Arens, chwytając torbę lekarską i wysiadając z wozu. Ruszył po urwistym zboczu w dół, asekurowując się rękami, aby nie spaść. Nie miałam jednak zamiaru go słuchać. Czułam, że moja pomoc także może się przydać. Błyskawicznie podążyłam za nim. Trzymając się skał, powoli schodziłam po stromiźnie. Chwilami serce podchodziło mi do gardła. Starłam się jednak nie patrzeć, jak wysoko się znajdowałam, z uwagi na moją akrofobię.

– Doktorze Arens, jak dobrze pana widzieć! To chyba cud, że akurat pan tędy przejeżdżał! – odezwał się ktoś z tłumu. – Proszę pozwolić za mną! To koszmarna sytuacja...

– Ona nie żyje co najmniej od kilku dni. – Do moich uszu dobiegły słowa kryjące w sobie trwogę. Chwilę później znalazłam się przy napuchniętym ciele topielicy.

Twarz zasłaniały jej ciemne włosy, zmieszane z piaskiem i wodorostami. Z półotwartych ust wydobywał się muł. W świetle latarni, którą ktoś usłużnie podsunął, ujrzałam alabastrową skórę pomarszczoną na dłoniach jak u praczki. Natychmiast zwróciłam uwagę, że na jednej nodze brakowało buta, a ten, który znajdował się na drugiej, wyglądał podobnie jak trzewik znaleziony przez nas w nocy w czasie pobytu na plaży. Poczułam napad mdłości, a potem dreszcze wstrząsające moim ciałem. Na chwilę musiałam odejść na bok.

– Przecież to Klara Lindner! – Jedna z kobiet dokonała identyfikacji, przysuwając płomień świecy do twarzy nieboszczki. – Mój Boże! – lamentowała głośno. – Najprawdopodobniej wracała z posiadłości na czerwonym klifie, której zwykła doglądać po śmierci pani Gebler, gdy przydarzył jej się ten wypadek... Co za nieszczęście! To była przecież jeszcze młoda dziewczyna. Miała całe życie przed sobą! – biadoliła kobieta, wznosząc ramiona ku niebiosom.

Wyostrzyłam słuch, stając się jeszcze bardziej czujna. Nikt nie wspomniał mi wcześniej o osobie, która opiekowała się domostwem mojej zmarłej ciotki.

– Tamto miejsce zawsze było przeklęte... Cięży nad nim klątwa – wyszeptała złowieszczym tonem jakaś matrona. – Oby tylko zmarła okrutnie nieboszczka nie została gongerem...

– Proszę o spokój! – przerwał doktor Arens. – Zwłoki muszą zostać przewiezione do kaplicy. Zanim zostaną pochowane, trzeba wykonać autopsję, chociaż w tym wypadku przyczyna zgonu wydaje się nazbyt oczywista... Należy powiadomić posterunek

policii. A teraz proszę pozwolić, że się oddalę, bo nic już tutaj po mnie... – Zasepił się i westchnął ciężko.

Stałam na uboczu, drżąc po części z przejęcia, a po części z zimna, i przyglądałam się całej tej scenie. Zdawałam się zupełnie niewidzialna dla tej społeczności, pogrążonej w szoku. Powoli zaczynałam się wycofywać, czując, jak nogi odmawiają mi posłuszeństwa.

– Wracajmy do domu – usłyszałam nad uchem słowa mojego towarzysza. W milczeniu skierowałam się w stronę czekającego auta. Musieliśmy pokonać jeszcze stromą ścieżkę w górę, zanim zdyszani dotarliśmy do samochodu. W głowie kłębiło mi się mnóstwo pytań, które pozostawały bez odpowiedzi.

– Skąd się wzięła tamta kobieta?! – zapytałam, przerywając dręczącą ciszę. – Nie powiadomiono mnie, że ktoś pilnuje posiadłości mojej krewnej.

– Ja o tym także nie wiedziałem – odparł łagodnym tonem, jakby wyczuwał moje wrzące emocje. – Zapewne została do tego wyznaczona przez prawnika zajmującego się spadkiem. Być może kierowała nim obawa, by ktoś nie włamał się do środka. Co za niefortunny zbieg okoliczności! Denatka zginęła najpewniej podczas sztormu, który rozszalał się, gdy wracała wybrzeżem...

– Dlaczego to wszystko jest takie skomplikowane?! Gdy wydaje się, że człowiek dotarł do bezpiecznej przystani, czy musi okazać się ona fatamorganą? – Wiedziałam, że nie otrzymam odpowiedzi na moje rozterki. Byłam pewna, że mój spokój i perspektywa odnalezienia szczęścia na nowo zostały bezpowrotnie zaprzepaszczone. – Mam wrażenie, że ten spadek, który otrzymałam, stanie się moim przekleństwem...

– Musi pani przede wszystkim odpocząć. Takie tragedie zawsze się zdarzały i będą zdarzać. Nie jest to niczyja wina ani zamierzone

działanie. Po prostu nieszczęśliwa koincydencja – powiedział pan Arens, nie odrywając wzroku od drogi. – Nie doszukiwałam się w tym żadnego fatum...

– Co to jest gonger? – przerwałam mu, zadając kolejne z nurtujących mnie pytań.

– Według tutejszych wierzeń to zły duch topielca. Ludzie z tych terenów mają przekonanie, że osoba, którą zabrało morze, wraca do swojego domu rodzinnego, aby powiadomić o tym bliskich, by zaprzestali bezcelowych poszukiwań. Według legendy, jeżeli ktoś młody utonie, wraca dopiero po kilku pokoleniach, by obudzić na powrót pamięć o sobie. Mówi się, że taka zbłąkana dusza pojawia się w nocy w domu, kładąc się do swojego łóżka w ociekających wodą ubraniach. A jedynym śladem, że była w tym miejscu, jest mokra pościel...

– Absurdalne...

– To tylko podania ludowe, a mieszkańcy Fryzji mają głębokie przywiązanie do tradycji.

– Chciałabym towarzyszyć panu w tej sekcji – zażyczyłam sobie tonem nieznośnym sprzeciwu.

Mojego rozmówcę wyraźnie zadziwiła moja stanowczość, ale nie oponował. Skinął jedynie głową w głębokim zamyśleniu, na znak, że się zgadza.

– Tak się składa, że medycyna sądowa poniekąd jest mi bliska... – wyznałam, nie tłumacząc jednak, co miałam na myśli.

Jechaliśmy jeszcze przez jakiś czas w milczeniu, wsłuchując się w grzmienie morskich fal w oddali. Próbowałam się wyciszyć, ale cała aż drżałam w środku – nie wiedziałam tylko, czy z lęku, czy z zimna. Wyspa, na którą przybyłam, wydała mi się nagle obca i wroga, niczym monstrualna otchłań, która próbowała mnie pochłonać...

ROZDZIAŁ III

Kolejny poranek był deszczowy i mglisty. W powietrzu czuć było coraz wyraźniej aurę nadchodzącej jesieni. Siedziałam w kuchni, przy drewnianym stole, popijając czarną kawę bez cukru, która w tej chwili najbardziej pasowała do mojego nastroju. Rozgrzewałam zmarznięte dłonie, chuchając w nie i przysuwając w stronę rozpalonego pieca. Myślami byłam jednak daleko stąd.

– Pani Kader, jeżeli podtrzymuje pani chęć uczestnictwa w badaniu pośmiertnym denatki, musimy powoli wyruszać... – usłyszałam zachrypnięty głos doktora Arensa.

W milczeniu skinęłam głową i dopiłam pośpiesznie zawartość emaliowanego kubka, parząc przy tym usta i język. Zabrałam swój płaszcz z sieni i otuliwszy się szczelnie, wyszłam na zewnątrz. Krople dżdżu natychmiast osiadły na moich włosach, sprawiając, że te zaczęły się skręcać w niesforne loki, które pośpiesznie zaczesalam ręką.

– Nie znoszę takich dni – stwierdził doktor Arens, rzucając resztkę cygara na ziemię, które ugasił wypastowanym oksfordem.

– Ma pan na myśli sytuacje, kiedy musi pan dokonać sekcji zwłok osoby zmarłej zbyt wcześnie?

– Chodziło mi głównie o pogodę – odparł, marszcząc czoło i spoglądając w niebo. Znowu kłębiły się na nim brudnoszare chmury, powodując, że chociaż był dzień, w okolicznych domach zapalono lampy naftowe. – Do obowiązku przeprowadzania autopsji u topielców i rozbitków zdążyłem już przywyknąć. Nie zliczyłbym, ile razy wykonałem je w życiu. Nie ma roku, żeby nie zdarzyło się kilka takich wypadków, zwłaszcza gdy przybywają

letnicy. Niewiele trzeba, by porwały kogoś fale – wyjaśnił tonem wyzutym z jakichkolwiek uczuć.

Byłam odrobinę zaskoczona jego chłodem i obojętnością. Pamiętam, że mój mąż pomimo lat praktyki, ilekroć wołano go do kostnicy, zawsze w pewien sposób to przeżywał. Zwłaszcza jeżeli nagła śmierć była wyjątkowo okrutna. Nie odezwałam się już jednak więcej. Gdy przybyliśmy na miejsce, pan Arens wyciągnął z auta czarny parasol i podał mi ramię, abym także mogła się pod nim schronić.

Kamienna budowla z małą salą prosektoryjną znajdowała się na zupełnym odludziu, pośród wzgórz porośniętych dziką różą. Obok rozciągał się cmentarz, jedyny na wyspie, gdzie dokonywano pochówków mieszkańców. Przy wejściu, na kamiennej bramie siedział kruk i nieprzyjemnie krakał, aż ciarki przechodziły po plecach, jakby przemawiał głosem umarłych.

W kaplicy wszystko wydawało się już przygotowane. Poczułam na sobie czyjeś spojrzenie i obróciłam się. W półmroku dostrzegłam łysą czaszkę, w której błyszcząły małe, czarne niczym węgielki oczy. Należały one do bezzębnego, garbatego starca, który stał w rogu, wycierając szmatką nóż sekcyjny i piłę do przecinania czaszki. Miał nienaturalnie powykrzywiany kręgosłup, jakby cierpiał na chorobę Bechterewa.

– Panie Krauter, tym razem pozwoliłem sobie przyjechać z panią Laurą Kader, naszym nowym lekarzem na wyspie – przedstawił mnie mój towarzysz.

Tajemniczy człowiek skinął jedynie głową, nie przerywając swojego zajęcia, pogrążony w jakimś makabrycznym transie. To zachowanie wydało mi się na tyle osobliwe, że poczułam się nieswojo. Spuściłam wzrok, by uniknąć jego spojrzenia. Na stole pośrodku sali leżało już ciało przykryte białym płótnem. Poczułam

lęk i chęć ucieczki na widok wyraźnie zarysowanych pod białą tkaniną kształtów nosa, ust i rąk zmarłej.

Doktor Arens powoli odstłonił zwłoki i przystąpił do wstępnych oględzin, chodząc dookoła i pogwizdując, jakby chciał przerwać upiorną martwość.

– Nie widzę charakterystycznego grzybka piany wokół ust lub nosa, który świadczyłby o ostrej postaci wodnej rozedmy płucnej – wtrąciłam, sądząc, że to cenna uwaga.

– Proszę pamiętać, że ten objaw występuje jedynie w przypadku utonięcia w wodzie słodkiej – mruknął mój towarzysz w odpowiedzi, skupiony na spisywaniu własnych adnotacji. – Spodziewamy się, że płuca będą mokre. Morska toń jest hiperosmotyczna, co oznacza, że płyn przenika z krwi, zalewając w efekcie pęcherzyki płucne.

Pan Arens odstłonił włosy z czoła denatki, a wówczas moim oczom ukazały się rany tłuczone i podbiegnięcia krwawe. Wydawało mi się jednak, że doktor nie zwrócił na to szczególnej uwagi, bo w milczeniu chwycił nożyczki preparacyjne Metzenbauma, szykując się do rozcinania powłok. Następnie poprzecinał żebra, by móc wyciągnąć na zewnątrz zawartość klatki piersiowej.

– Nie wydobywa się pianista ciecz! – rzuciłam, gdy kroił płuca.

– Cóż, nie można wykluczyć, że doszło w tym wypadku do utonięcia nietypowego w postaci spazmu krtani, który nie pozwolił na dostanie się wody w dalsze części dróg oddechowych – odparł, po czym przystąpił do badania jamy brzusznej, zakładając metalowy rozwieracz tkankowy. – Szukamy objawu Wydlera, który mógłby nam potwierdzić tezę, że było to zwykłe utonięcie – wyjaśnił, przystępując do dalszych czynności. I tym razem wydawało mi się, że zarówno żołądek, jak i jelito cienkie nie

zawierały płynu topielnego. Postanowiłam jednakże pozostawić te spostrzeżenia dla siebie. Nie można było wszakże wykluczyć, że ów brak spowodowany był dłuższym przebywaniem ciała w wodzie.

Nie czekając na przyzwolenie, zbliżyłam się do zwłok i zaczęłam szukać wylewów krwawych w mięśniach klatki piersiowej i szyi, co potwierdzałoby domniemaną przyczynę śmierci. I tym razem jednak czekało mnie rozczarowanie.

Na końcu doktor Arens otworzył czaszkę, wyjął mózg i pospiesznie zabrał się do krojenia go na cienkie plastry. Następnie zarządził zakończenie autopsji, a sam wpisał na karcie zgonu jako powód śmierci uduszenie gwałtowne wskutek utonięcia.

– Nie będzie pan rozcinał zatoki klinowej w poszukiwaniu płynu topielnego? – zdziwiłam się. Widziałam po reakcji doktora, że moja dociekliwość wyraźnie go zirytowała.

– Nie widzę takiej potrzeby! – obruszył się moją uwagą. – Wszystko w tym przypadku wydaje się aż nazbyt oczywiste – dodał, wzruszając ramionami. Ściągnął zakrwawiony fartuch, zwinął go, po czym obmył starannie ręce w spirytusie mydlanym i sięgnął po zegarek na dewizce, by sprawdzić, która jest godzina. – Prawie południe! – oświadczył, łapiąc się za głowę. – Muszę pędzić do ambulatorium.

– Proszę zaczekać! – zatrzymałam go zdecydowanym ruchem. – Naprawdę uważa pan, że uczyniliśmy wszystko, co było możliwe w tym wypadku, aby wyjaśnić, dlaczego ta kobieta umarła?

– Nie rozumiem do czego pani zmierza. – Doktor zmarszczył brwi.

– Do tego, że moim zdaniem Klara Lindner znalazła się w wodzie, już będąc martwa, a przyczyna śmierci jest tutaj zupełnie inna... – wychrypiałam, czując, że głos odmawia mi posłuszeństwa.

– Skąd takie śmiałe wnioski? – odrzekł wyraźnie niezadowolony, że podważam jego autorytet.

– Tak naprawdę nie znaleźliśmy nic, co przemawiałoby jednoznacznie za utonięciem. Pozostają jeszcze dziwne obrażenia głowy denatki...

– Cóż, jestem pewien, że powstały one wskutek uderzenia o skały w czasie upadku – odpierał zarzuty. – Nie widzę w tym nic niezwykłego. Tonąca widocznie próbowała wydostać się na brzeg. Fale mogły być silne, tym samym od uderzeń zapewne straciła przytomność.

– Nie dopuszcza pan wersji, że przebieg wydarzeń mógł być inny? Że padła czyjąś ofiarą, a następnie jej ciało wrzucono do morza, by pozbyć się śladów?

– Pani Kader, pozwolę sobie udzielić pani rady... – wycedził powoli doktor Arens. – Jak to mówią w naszym fachu, gdy się słyszy tętent kopyt, to szuka się konia, a nie zebry. Myślę, że doszukuje się pani czegoś, co wytworzyła pani wyobraźnia, albo chce pani za wszelką cenę zabłysnąć odkryciem czegoś niezwykłego... – Jego ostatnia uwaga była niczym cios wymierzony w moją ambicję. Postanowiłam ją jednak zignorować i wysłuchać do końca, co ma mi do powiedzenia. – Przytoczę pewną historię, aby to pani udowodnić. Kiedyś, dawno temu wezwano mnie tutaj, na wyspie, do pewnego wisielca, abym stwierdził jego zgon. Byłem wówczas świeżo upieczonym adeptem sztuki medycznej. Znalazłem zwłoki denata wiszące na pętli przewieszanej przez belkę. Na jego głowie także dopatrzyłem się ran tłuczonych. Wysnułem przypuszczenia, że być może nie było to samobójstwo, tylko brały w tym udział osoby trzecie. Sporządziłem stosowny raport i powiadomiłem wszystkie służby. Rozpoczęło się śledztwo i przesłuchania, ale ostatecznie nikt nie doszedł do żadnych wniosków i sprawa utknęła w miejscu. Wówczas pewien stary, doświadczony lekarz powiedział mi, że obrażenia ciała musiały

powstać w czasie drgawek przedśmiertnych, bo sznur był na tyle krótki, że denat obijał się głową o drewno. To była dla mnie niezwykle cenna lekcja. Również pokory... – zakończył, kierując się w stronę wyjścia. – Dam pani chwilę i poczekam na zewnątrz.

Zostałam sama w ciemnym pomieszczeniu. Niewiele się zastanawiając, podeszłam do preparatów i odciąłam fragmenty płuc, nerek oraz wątroby, a następnie schowałam je do szklanej fiolki, którą owinęłam szczelnie w gazę i wsunęłam do kieszeni. Postanowiłam, że w szpitalu przeanalizuję te próbki pod kątem obecności okrzemków. Ich znalezienie mogłoby potwierdzić, że doktor Arens miał rację i kobieta rzeczywiście zginęła od utonięcia w morzu. Intuicja uparcie podpowiadała mi jednak, że dokonana ekspertyza jest błędna... Dodatkowo niepokoiło mnie to, że zwłoki znaleziono blisko domu na czerwonym klifie, w którym wkrótce miałam zamieszkać. Nie można było również wykluczyć, że był on ostatnim miejscem, do którego tragicznie zmarła udała się przed śmiercią. Myśl ta napawała mnie trwogą...

Po chwili dołączyłam do mojego towarzysza. Na niebie zebrały się burzowe chmury i co jakiś czas słychać było złowrogi pomruk grzmotów nadchodzącej nawałnicy. Doktor Arens stał przed kaplicą, rozmawiając o czymś z panem Krauterem. Ich głosy były jednak ściszone i chociaż oddałabym wiele, by dowiedzieć się, czego dotyczyła ta wymiana zdań, nie było to możliwe – gdy pojawiłam się w progu, natychmiast umilkli. Podeszłam do nich, by się pożegnać. Zarządca nekropolii uścisnął moją dłoń swoją kościstą ręką, lodowatą, jakby należała do nieboszczyka, a nie do żywego człowieka. Zauważyłam, że miał długie, przebarwione na brązowo paznokcie, za którymi tkwiły czarne pasma, najpewniej cmentarnej ziemi. Wzdrygnęłam się na ten widok. Pan Krauter patrzył na mnie

dziwnym, przesywającym spojrzeniem szaleńca, aż ścisnęło mnie w gardle. Zastanawiałam się, gdzie krążyły jego myśli.

Na horyzoncie pojawiły się pierwsze błyskawice. Pośpiesznie udałam się więc do auta, chcąc jak najszybciej uciec z tego potwornego miejsca. Zaczęło padać. Siedząc w samochodzie w oczekiwaniu na doktora Arensa, poczułam na sobie czyjś wzrok. Podniosłam głowę i ponownie ujrzałam postać starca z prosektorium, rozmytą częściowo w strugach deszczu spływających po szybie. Z jego piersi wydobył się nagle upiorny chichot pomieszany z wyciem podobnym do wydawanego przez dzikie zwierzęta, co nadało mu brzmienie jakby rodem z zaświatów. Doświadczyłam dziwnego mrowienia na karku i zaczęłam cała dygotać. Dopadł mnie strach przed czymś niezbadanym i niepojętym. Mój towarzysz, który właśnie wrócił do auta, zapewne zrozumiał przyczynę mojego rozedrgania, bo rozpoczął rozmowę:

– Proszę sobie nie brać do serca zachowania pana Krautera. Wszyscy znają go tutaj i wiedzą, że od lat cierpi na tak zwany cmentarny obłąd.

– Nie bardzo rozumiem!?! – Wypowiadając te słowa, nie poznawałam brzmienia własnego głosu.

– Otóż jest to człowiek wiekowy, jak się zapewne pani zorientowała. Niektórzy twierdzą, że ma blisko sto lat, ale tego nikt do końca nie wie. Zachowuje się dziwnie, lecz posiada wiedzę na temat praktycznie wszystkiego, co wydarzyło się na Sylcie od dziesiątków lat, bo urodził się tutaj i wychował. Niechętnie się nią jednak z kimkolwiek dzieli. Proszę sobie wyobrazić, że w XIX stuleciu ludzie po śmierci lękali się dwóch rzeczy. Tego, że ktoś obrabuje ich grób, wywlecze ciało, sprzeda anatomom do badań bądź też na własną rękę stworzy coś w rodzaju Frankensteina.

Drugą obawą, o wiele okropniejszą, była możliwość pochowania żywcem. Nie potrafiono wówczas kategorycznie stwierdzić, czy dana osoba jest na pewno martwa, a nie pogrążona na przykład w letargu. Dlatego przy wielu grobowcach montowano na powierzchni specjalny dzwoneczek ze sznurkiem, którego koniec znajdował się w trumnie. Gdyby okazało się, że popełniono błąd, przedwcześnie pochowany mógł wezwać w ten sposób pomoc. Na mogiłkach zatrudniano specjalnych strażników, którzy patrolowali teren, by przegonić ewentualnych rabusiów oraz by nasłuchiwać dzwonienia...

– Chyba kiedyś o tym słyszałam – wtrąciłam. Mój kompan tymczasem kontynuował opowieść.

– Pilnowanie dzień po dniu, a czasem noc po nocy terenu, gdzie spoczywali umarli, powodowało, że wielu z nich doświadczało halucynacji zarówno wzrokowych, jak i słuchowych, nieraz popadając przez to w zupełną paranoję albo podejmując próby samobójcze. Pan Krauter jest jedną z takich osób. Jest wyjątkowo małomówny. Zdarza mu się natomiast rozmawiać na głos samemu ze sobą. Nikt nie wie, co się dzieje w jego głowie, ale mogę zapewnić, że jest zupełnie niegroźny. Na swój sposób na pewno lubi tę osobliwą pracę. Cmentarz stał się dla niego czymś w rodzaju domu. Nie ma żadnej rodziny i czasem nocuje w kaplicy, na zapleczu. Znam go od dawna i szanuję jako człowieka...

– Ma pan rację. To by wiele wyjaśniało – podsumowałam, raz jeszcze przypominając sobie nietypowe zachowanie starca.

W ambulatorium czekało nas sporo pracy. Nie było więc mowy, abym mogła w spokoju obejrzeć pod mikroskopem zabrane z prosektorium preparaty. Zdołałam jedynie schować je w bezpiecznym miejscu, by uczynić to przy najbliższej okazji.

– Pani doktor Kader, proszę tego posłuchać – zwrócił się do mnie pan Arens, podając mi do rąk stetoskop.

Przede mną wiła się rozpaczliwie dziewczynka mająca nie więcej jak dwa lata. Pomiedzy płaczem dziecka starałam się osłuchać płuca. Szmer pęcherzykowy i drzenie głosowe wydawały się osłabione od środka łopatki ku dołowi. Przy opukiwaniu zauważyłam stłumienie odgłosu. Dziecko było rozpalone od gorączki.

– Czy pani też się wydaje, że to lewostronne zapalenie opłucnej jako powikłanie *pneumonitis*?

– Wszystko na to wskazuje... – odparłam posępnym głosem, jak zawsze w sytuacjach, gdy diagnoza była niepomyślna dla pacjenta. Pamiętam, że przed laty, wkrótce po wojnie, jedna z moich córek również miała podobne rozpoznanie. Wobec braku innych metod leczenia w akcie desperacji zalecono jej wtedy bodźcowo autopyoterapię, polegającą na upuszczeniu treści ropnej z opłucnej, a następnie wstrzyknięciu jej domięśniowo. Stan chorego początkowo gwałtownie się pogarszał, a potem następowały długie godziny wyczekiwania, które przynosiły albo wyzdrowienie, albo zgon. Hanna miała wtedy szczęście, bo przeżyła. A ja odtąd codziennie dziękowałam w swoich modlitwach Bogu, że miał ją wtedy w opiece.

– Trzeba założyć próbę Pirqueta, aby wykluczyć gruźlicę – zaordynował mój współpracownik. – A przede wszystkim spróbować usunąć patologiczną treść, by później móc wypłukać opłucną mleczanem etakrydyny i optochiną.

Przytaknęłam w milczeniu, pomagając mu przygotować małą pacjentkę do zabiegu. Dziewczynka próbowała się bronić, wobec czego zawinięto ją w prześcieradła, aby unieruchomić jej kończyny. Widząc przerażenie na twarzy matki, próbowałam jej dodać otuchy, wyjaśniając:

– To dla niej jedyna szansa, by przezwyciężyć chorobę. Trzeba wierzyć, że nasze działania okażą się skuteczne...

Po chwili w strzykawce znalazła się żółta, gęsta wydzielina, która natychmiast została zabrana do laboratorium, by przygotować preparat do oceny mikrobiologicznej. Dziewczynka musiała zostać przyjęta na oddział, by zabieg oczyszczania opłucnej można było powtarzać przez najbliższe dni.

W międzyczasie do gabinetu wszedł pacjent, który regularnie odwiedzał szpital, jako że cierpiał na moczówkę prostą.

– Pani jest nową pielęgniarką na wyspie? – zapytał podejrzliwie, lustrując mnie monoklem od stóp do głów.

– Nie, tak się składa, że jestem lekarzem od spraw kobiecych.

– Och, szkoda zatem, że nie jestem niewiastą – próbował żartować, ale jego poczucie humoru mnie rozdrażniło. Widziałam kątem oka pożądlivy wzrok, jakim mnie obrzucił.

– Proszę wziąć ten proszek i wciągać go nosem – zwrócił się do niego pan Arens, podając pacjentowi wyciąg z tylnego płata przysadki.

– Nie osłucha mnie pan? – zapytał wyraźnie zawiedziony. – Myślałem, że chociaż zajrzy mi pan do gardła i pomaca brzuch. Z prostatą też u mnie kiepsko, więc może by zbadać *per rectum*? – domagał się z coraz większą natarczywością.

– Był pan przecież u mnie dwa dni temu! – zezłościł się doktor Arens. – Nie sądzę, aby coś się od tego czasu zmieniło, a widzi pan, ile czeka mnie jeszcze pracy... – powiedział, wskazując w stronę korytarza, gdzie kłębił się tłum pacjentów. Chory, wzdychając ciężko, podniósł się z kozetki i pocłapał z wysiłkiem w stronę wyjścia, jakby licząc jeszcze, że zostanie zawrócony.

Następna pacjentka cierpiała na niedokrwistość złośliwą, której nie dało się wyleczyć preparatami żelaza. Jedną z polecanych metod

w tego typu przypadkach było podawanie doodbytnicze wyciągu z wątroby. Pielęgniarka więc zabrała ją do sali zabiegowej, by wykonać lewatywę.

W gabinecie pojawił się także jeden z rybaków, przeraźliwie oszpecony przez owrzodziały toczeń gruźliczy na policzkach. Doktor Arens zdecydował się na wyłyżeczkowanie ogniska chorobowego, a następnie pokrył wyskrobane zagłębienie grubą warstwą wazeliny zawierającej nadmanganian potasu z kwasem salicylowym i nowokainą o działaniu znieczulającym.

– Słyszałem, że taka terapia środkami żrącymi była prezentowana przed kilkoma laty w Paryżu na posiedzeniu towarzystwa dermatologicznego – objaśnił mi. – Z uwagi na skromne środki, jakie tutaj posiadamy, chwytamy się czasami najprostszych metod. Po kilku dniach rozpadła tkanka gruźlicza zostanie ostatecznie usunięta, a rana przemyta wodą. Da to szansę na pojawienie się zdrowej skóry – dopowiedział, ocierając przedramieniem spoczone czoło.

– Zawsze zastanawiało mnie, jak wyglądałaby nasza codzienna praca, gdyby na świecie nie istniała tuberkuloza albo gdybyśmy umieli ją skutecznie wyleczyć – stwierdziłam smutno.

– Słusznie! – przytaknął. – Nie ma dnia, abyśmy nie zetknęli się z powodowanym przez nią cierpieniem.

Potem pan Arens zawołał mnie do pracowni rentgenowskiej. Miał tego dnia wykonać lecznicze naświetlania wrzodów dwunastnicy u pewnego młodzieńca oraz skurczu odźwiernika u niemowlaka. Nigdy wcześniej nie słyszałam o skuteczności podobnych metod, z ciekawością więc udałam się za doktorem, by mu asystować.

Ciało dziecka było w większości zakryte nieprzepuszczającą promieniowania gumą ołowianą, z wyjątkiem okolicy żołądka.

– Przerosły mięsień odźwiernika u oseska jako tkanka młoda jest szczególnie wrażliwy na naświetlanie i dzięki temu przerost szybko się cofa. Możliwe też, że promieniowanie, oddziałując na nerwy, hamuje skurcz odźwiernika – wyjaśnił mój towarzysz. Przytaknęłam w milczeniu głową, podziwiając, jak daleko zaawansowana jest już medycyna, i obserwując poczynania mojego kolegi po fachu.

– Co my, medycy, zrobilibyśmy, gdyby nie rentgen! Leczy tyle chorób, które do tej pory kończyły się operacją, a czasem i *exitus letalis* – szepnęłam z podziwem.

– To prawda! Osobiście znam przypadek chłopca leczonego skutecznie na bakteryjne zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych właśnie naświetlaniem głowy! – wtrącił pan Arens. – Zapewne gdyby nie ta eksperymentalna terapia skończyłoby się to jak w podobnych przypadkach... tragicznie.

Nieco później, korzystając z zamieszania i z tego, że wszyscy dookoła byli mocno zajęci, postanowiłam udać się wreszcie do laboratorium, aby obejrzeć zabrane próbki. Byłam w pomieszczeniu zupełnie sama i nie zanosiłoby się, aby ktoś mógł mi przeszkodzić.

Pamiętam, jak mój mąż Tadeusz czasem wykonywał podobny test, gdy zachodziło podejrzenie, że denat nie umarł wskutek utopienia. Pośpiesznie przygotowałam kilka preparatów i podłożyłam pod mikroskop. Serce biło mi jak oszalałe. Zastanawiałam się, jak będę się tłumaczyć, gdy ktoś przyłapie mnie na tej czynności. Czułam jednak, że za wszelką cenę muszę poznać prawdę. Nerwowo przesuwiałam pod obiektywem wycinek tkanki, szukając pierwotniaków.

– Nigdzie nie ma okrzemków... – wymamrotałam sama do siebie, gdy kończyłam oglądać ostatnią z próbek. W tym momencie usłyszałam skrzypienie drzwi. Niezdarnym ruchem próbowałam

ściągnąć szkiełko ze stolika, a w rezultacie upuściłam je na podłogę, na której się rozprysło.

– Wreszcie panią znalazłem! – usłyszałam od progu znajomy męski głos. Po chwili pan Arens był już obok.

– Przepraszam, że tak się oddaliłam bez słowa... – wyznałam skruszona.

– Ależ nic się nie stało! Po prostu był u mnie inspektor Haberland w sprawie protokołu sekcyjnego. Gdy dowiedział się, że już pani dotarła na wyspę, powiedział, że chciałby z panią porozmawiać. Zostawił numer telefonu do swojego biura. Prosił, żeby tego nie odkładać... – wręczył mi wizytówkę.

– Oczywiście, taki mam zamiar... – oświadczyłam ledwie słyszalnie, jednocześnie zakrywając obcasem i rozgniatając na mniejsze drobinki fragmenty potłuczonego szkła laboratoryjnego. W tej chwili moje myśli krążyły wokół zupełnie innych spraw.

– Proszę się niczego nie obawiać – pocieszył mnie mój towarzysz. – To mój stary znajomy. Musi po prostu wyjaśnić, co dokładnie się stało ze świętej pamięci Sybillą Gebler. Odeszła tak niespodziewanie, a nie była przecież jeszcze starą kobietą.

– Czy pan wie, ile miała lat? – zapytałam, chcąc się dowiedzieć czegoś więcej.

– Około sześćdziesięciu, ale nie jestem tego pewien – odparł lakonicznie, po czym szybko uciął temat, wyraźnie nie chcąc, abym dalej go drażyła. – Myślę, że na dziś już wystarczy wrażeń.

– Zdecydowanie – odparłam, łapiąc się zimnymi palcami za skronie. Czułam, że moje ręce mimowolnie się trzęsą, chociaż starałam się to opanować.

– Zabieram panią do domu. – Doktor otoczył mnie opiekuńczo ramieniem i skierował ku drzwiom.

Spojrzałam ostatni raz w stronę mikroskopu, wracając myślami do mojego frapującego odkrycia. Musiało na razie pozostać tajemnicą.

* * *

W domu czekała na mnie niemiła niespodzianka – obie dziewczynki skarżyły się na ból gardła. Najpewniej za długo przebywały na dworze, a pogoda była ostatnio nie najlepsza.

– Trzeba obłożyć szyję okładami z zimnej wody i dać kilka kropel Pantoponu – zaordynował nasz gospodarz, wyrzucając drewniane szpatułki po badaniu. – Powinno jutro przejść, bo nie wygląda, żeby to była *angina lacunaris* – dodał uspokajająco.

Teresa przyniosła dziewczynkom krople opioidowe. Krzywiły się na ich smak, ale specjalnie nie protestowały. Z powodu swojej niedyspozycji szybko udały się do łóżek, więc wieczerzę spożywałam jedynie z doktorem i gospodynią. Postawiono przede mną talerz z dymiącym rosołem z kiełbaskami. Czekając, aż ostygnie, wpatrywałam się w milczeniu w płomienie świec na lichtarzu. Widziałam ogień odbijający się w szerokich źrenicach pana Arensa i próbowałam przeniknąć jego myśli.

– Jest pani jakby nieobecna – zwróciła się do mnie gosposia. – Pytałam, czy nalać odrobinę absyntu na lepsze trawienie.

– Poproszę... – odpowiedziałam bez zastanowienia, a ona podała mi kieliszek zdobiony szlifem z arabeski. – Dzisiejszy dzień mnie wycieńczył, dlatego tak mało się odzywam – usprawiedliwiłam się.

– Może przygotuję pani po kolacji odprężającą kąpiel? Myślę, że mogłaby pomóc – zaproponowała, a ja z wdzięcznością skinęłam głową, wyciągając rękę w jej stronę, aby uścisnąć jej dłoń. Teresa udała się do salonu kąpielowego, więc zostaliśmy z doktorem sami. Tak bardzo miałam ochotę dowiedzieć się czegoś więcej

o człowieku, pod którego dachem teraz przebywałam. Chciałam, by otworzył się przede mną, lecz bałam się o cokolwiek zapytać.

– Nie tęskni pani za swoim poprzednim życiem? – odezwał się nagle ochrypłym głosem.

– Chyba nie – odparłam niepewnie. – Na razie próbuję zapomnieć o tym, co było, by móc zacząć wszystko na nowo, ale jak widać, nie jest to takie proste.

– Do niedawna myślałam, że moje życie skończyło się wiele lat temu – wyznał niespodziewanie doktor. – Uważałem, że nie ma ono większego sensu i egzystowałem, nie zastanawiając się, co przyniesie mi kolejny dzień, miesiąc czy rok. Było mi to obojętne. Ale teraz wydaje mi się, że los znów daje mi szansę...

Chciałam się koniecznie dowiedzieć, co ma na myśli i jakie tragiczne wydarzenia spowodowały, że się zagubił. Ale w tym momencie do pomieszczenia weszła ponownie bogini tego domowego ogniska, jak zwykłam nazywać ją w swoich myślach, i oznajmiła, że czeka na mnie gorąca kąpiel. Nie pozostało mi więc nic innego, jak udać się na piętro, gdzie znajdowała się łazienka.

– Jaka ogromna – rzekłam na widok wanny, która była takiej wielkości, że mogłam się w niej w całości położyć.

– Pan Arens zamówił ją przed laty specjalnie dla swojej żony. Uwielbiała długo tu przesiadywać, najchętniej przy świecach. Bardzo ją kochał i rozpieszczał. Był gotów spełnić każde jej marzenie, zachciankę, kaprys...

Słyszając te słowa, poczułam na skórze dziwne mrowienie. Nagle zapragnęłam poznać odpowiedź na pytanie, które niepostrzeżenie wyszło z moich ust.

– Wiem, że nie chcesz o tym mówić, Tereso, ale powiedz chociaż: czy ona była piękną kobietą?

– Włosy koloru hebanu, a oczy niczym czarne migdały... Wydaje mi się, że macie ze sobą wiele wspólnego – odparła, przypatrując mi się uważnie.

Ponownie zadrżałam, bo to porównanie w irracjonalny sposób mnie zaniepokoiło.

– Zostawiam panią samą – skwitowała Teresa. – Ręczniki dopiero co ściągnęłam z pieca, będą więc przyjemnie ciepłe, gdy już pani zechce zakończyć kąpiel. – Po tych słowach wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

Zanurzając się w mydlanej pianie, poczułam ukojenie, ale nie mogłam uspokoić swoich myśli. Wyobrażenie, że kąpię się w wannie, w której przed laty lubiła spędzać czas pani Arens, kobieta, z którą wiązała się jakaś tajemnica, powodowało, że czułam napływający lęk. Dodatkowo rozmyślałam o odkryciach dokonanych w czasie dzisiejszej autopsji. Zastanawiałam się, dlaczego doktor ignorował moje uwagi i za wszelką cenę chciał, by wpisać w rubryce jako przyczynę zgonu utonięcie, chociaż było kilka dowodów ewidentnie temu przeczących. Jeszcze raz przypominałam sobie nasz pierwszy wieczór na plaży i znalezisko dokonane przez psy. Wyjątkowo dziwne wydawało się też, że przedmioty wyrzucone przez morze lekarz zabierał do domu, organizując im pochówek w swoim ogrodzie. Jak gdyby zacierał jakieś ślady...

Przetarłam parę wodną z tafli lustra i ubrana w płaszcz kąpielowy przez dłuższą chwilę przypatrywałam się swojemu odbiciu. Nagle dostrzegłam w kącie pomieszczenia mocno zakurzoną, bakelitową pudernicę i pusty flakon kobiecych perfum z czarnego szkła. Podeszłam do niego, pchana od wewnątrz niewidzialną siłą. Odkręciłam korek, by poczuć zapach niewiasty, do której należało pachnidło. Była to Habanita, popularna w latach powojennych,

z nutą bergamotki, kwiatu pomarańczy i brzoskwini. Zawstydziałam się swojego zachowania i pośpiesznie odłożyłam wszystko na miejsce.

Gdy szłam do mojej sypialni, przemierzając w ciszy ciemny korytarz, ujrzałam smugę światła z parteru, co świadczyło o tym, że mój gospodarz jeszcze nie spał. Do moich uszu dobiegły strzępki rozmowy prowadzonej w salonie.

– Powinniśmy jej powiedzieć. Uważam, że źle jest zatajać prawdę... Nawet najstraszniejszą...

– Masz rację, Tereso, ale to, czego by się dowiedziała, do reszty zburzyłoby jej spokój. Myślę, że pewne rzeczy należy przemilczeć – odparł stanowczo pan Arens. Być może rozmowa toczyłaby się dalej, ale leonbergery musiały coś wyczuć na zewnątrz, bo zerwały się nagle z posłania i zaczęły niespokojnie szczekać.

– Chyba ktoś jest w sadzie! – zawołała zaniepokojonym głosem gospodyni. – Widzę jakąś ciemną, przygarbioną postać! – To powiedziawszy, musiała szarpnąć za zasłony, które przesunęły się po karniszu, jak mogłam sądzić po dochodzących do mnie dźwiękach.

– Ale kto mógłby to być? O tej porze?! Może pacjent potrzebujący pomocy?

– Raczej jakiś przyczajony złodziej! Każdy, kto nie miałby złych intencji, zaszedłby od frontu!

– Zaraz wypuszczę psy, to zrobią z nim porządek! – odgrażał się pan Arens. – Co roku robi się tutaj coraz bardziej niebezpiecznie, za dużo obcych do nas przyjeżdża.

Wycofałam się spod drzwi i zajrzałam do pokoju córek, by sprawdzić, czy śpią spokojnie. Poprawiłam im kołdry i odgarnęłam włosy z czoła. Uspokojona, że hałas z dołu ich nie obudził, zaszyłam się w mojej sypialni. Zgasłam lampę i wyjrzałam

przez okno, za którym znajdowało się pustkowie otulone bezkresną ciszą panującą wokół. Gdy spojrzałam w stronę wydm, wydawało mi się, że w oddali posuwa się powoli, jakby kulejąc, niewyraźny cień przypominający bardziej monstrum niż istotę ludzką. A może był to jedynie wytwór mojej wyobraźni...

ROZDZIAŁ IV

Kolejne dni upłynęły mi na załatwianiu przeróżnych formalności związanych z moim pobytem na wyspie. Zarejestrowałam swoją działalność lekarską na Sylcie, a w międzyczasie przyszła pierwsza partia lekarstw i narzędzi chirurgicznych, które zamówiłam w Hamburgu. Zamierzałam jak najszybciej rozpocząć praktykę.

Ponadto dopełniłam reszty formalności i udało mi się skontaktować z prawnikiem w sprawie przekazania kluczy do domu na czerwonym klifie, co obiecał niezwłocznie uczynić. Nie chciałam nadużywać gościnności pana Arensa, chociaż było mi w jego domu bardzo dobrze.

Postanowiłam również zamieścić w lokalnej gazecie ogłoszenie, że poszukuję pomocy domowej, ale jak dotąd pozostawało ono bez odpowiedzi.

Hannę i Adalię zapisałam do szkoły, by nie miały zaległości w nauce. Za radą Teresy kupiłam im rowery, tym samym mogły bez problemu pokonywać drogę z domu do miasta. Skończył się dla nich beztroski czas. Dotąd niemal każdy dzień spędzały na plaży, budując zamki z piasku lub grając w piłkę, a wieczorami robiły sobie bransoletki i naszyjniki z muszelek sercówki białej. Cieszyłam się, widząc, iż dobrze się odnalazły w nowym miejscu. Wiedziałam, że będę musiała sprowadzić jeszcze moje auto, aby móc swobodnie przemieszczać się po wyspie i dojeżdżać do pacjentek, gdy będą mnie potrzebować.

– Wygląda pięknie – usłyszałam głos za plecami, gdy wbijałam ostatni gwóźdź przytrzymujący szyld z moim imieniem i nazwiskiem na drzwiach gabinetu.

Odwróciłam się i ujrzałam doktora Webera, którego poznałam kilka dni wcześniej, a który był lokalnym pediatrą. Człowiek ten był już niemłody, korpulentny, o dobrodusznym wyrazie twarzy, do tego ze sporą łysiną. Siwe kępkę włosów zachowały mu się jedynie na skroniach. Ludzie robili sobie z niego żarty, gdyż był ciągle kawalerem, choć nie brakowało kobiet, którymi się interesował, jak plotkowano. Mieszkał ze swoją wiecznie niezadowoloną z wszystkiego matką, której był całkowicie posłuszny.

– Dziękuję – odparłam z uśmiechem. – Od jutra chciałabym zacząć.

– To bardzo dobrze! Wiem, że jest wiele pacjentek, które potrzebują pani opieki. Myślę, że w sprawach natury kobiecej, tak intymnych i delikatnych, jedna niewiasta najlepiej zrozumie drugą. Czy z okazji otwarcia praktyki lekarskiej na Sylcie dałaby się pani zaprosić do miejscowej herbaciarni? Wiem, że jak co piątek będzie tam dziś koncert fortepianowy. Jestem prawdziwym koneserem wszelkiego rodzaju sztuki, lubię się w niej rozsmakowywać, zwłaszcza w doborowym towarzystwie! – rozentuzjzmowany pisnął cienkim głosem, zupełnie niepasującym do jego postury, tak podekscytowany, że aż niechcący się opluł. Dyskretnie oblizał językiem wargi i dodał już spokojnie: – Tak przyjemnie słuca się muzyki, patrząc na szumiące morze...

Już otwierałam usta, by odpowiedzieć, gdy nagle ktoś wtrącił się do rozmowy.

– Absolutnie ma pan rację! Ale muszę pana rozczarować. Pani Kader już wcześniej obiecała mi towarzystwo na dzisiejsze

popołudnie. – U mojego boku niespodziewanie stanął doktor Arens. Miałam wrażenie, że w jego głosie pobrzmiwała nuta zazdrości, iż oto na mojej drodze pojawił się inny adorator.

Byłam mile zaskoczona, bo wydawało mi się, że nie jestem już w kręgu męskich zainteresowań. W moim otoczeniu nie brakowało przecież młodszych, pełnych wdzięku dam o zalotnych spojrzeniach, a moja kobiecość powoli i nieuchronnie przemijała. Kiedyś nie mogłam narzekać na brak powodzenia. Dostawałam wiele listów miłosnych od różnego rodzaju amantów i tajemniczych wielbicieli. Byłam dość ładna, ale musiałam mieć w sobie także jakiś magnetyzm, którym przyciągałam płęć przeciwną, bo znałam urodziwsze od siebie panny niecieszące się takim jak ja powodzeniem. Stałam się raz nawet muzą dla zakochanego we mnie na zabój poety. Kiedy indziej otrzymałam swój portret namalowany ręką początkującego malarza, urzeczonego moimi oczami. Trudno mi było teraz samej w to uwierzyć, bo te czasy już dawno minęły.

– Dziękuję za zaproszenie – odparłam grzecznie doktorowi Weberowi, uśmiechając się. Skłonił się, jak na gentlemiana przystało, i ruszył przed siebie, a ja szepnęłam do mojego towarzysza: – A panu dziękuję za wybawienie...

– Ależ to straszny nudziarz! Nie dopuściłbym, aby była pani skazana na jego towarzystwo. Zaraz zacząłby panią zamęczać opowiadaniem o dolegliwościach, na jakie cierpi jego wiekowa rodzicielka. Reumatyzm, podagra, hemoroidy, chloroza... Ciekawe, że mając tyle chorób, wygląda lepiej od swojego syna!

Zaśmiałam się bezgłośnie.

– Zatem da się pani porwać na pełne wrażeń popołudnie? – zapytał tonem, jakby znał odpowiedź, i nie czekając na to,

co powiem, podał mi płaszcz. Dopiero teraz zauważyłam, że musiał mieć go od dłuższej chwili w ręku.

– Jeżeli mam panu towarzyszyć w tym wydarzeniu, które zapewne skupia całą śmietankę towarzyską wyspy, to z pewnością powinnam zacząć od zmiany ubioru... – odparłam i wskazałam na moją suknię ze stalowoniebieskiej *veloutine*, z białym kołnierzem i plisą z guzikami z przodu, którą nosiłam na co dzień.

– Zatem skoro na dzisiaj mamy pracę skończoną, zdążymy przygotować się na wieczorne wyjście! – odparł doktor, podsuwając mi ramię, które chwyciłam, i oboje ruszyliśmy w kierunku szpitalnej bramy.

* * *

Czułam się bardzo podekscytowana perspektywą wyjścia z domu. Od tak dawno nigdzie nie chodziłam, że niemalże zapomniałam, jak to jest bywać w towarzystwie. Zasiadłam przed toaletką, bacznie przyglądając się swojemu odbiciu w lustrze. Moje oblicze, poza delikatnymi zmarszczkami w kącikach oczu, wyglądała wciąż młodo, a cera miała mlecznobiały kolor. Rzęsy po podkręceniu zalotką nabrały kuszącego wyglądu, podobnie jak usta pomalowane na karminową czerwień. Mocny makijaż i ciemna szminka były modne, chociaż nadawały twarzy poważniejszy i smutniejszy wygląd. Wykonałam bardzo popularne ostatnio czarne kreski na powiekach, na które nałożyłam wcześniej ciemne cienie. Twarz zmatowiłam pudrem ryżowym, białym niczym łabędzi puch. Moje włosy w dalszym ciągu były gęste i lśniące, a co ważniejsze, nie miałam ani jednego pasma siwizny, tak przecież częstej u kobiet w moim wieku. Nałożyłam pomadę i upięłam je w gładki kok, po czym założyłam opaskę. Nie mając zbyt wielkiego wyboru, zdecydowałam się na suknię wieczorową rozkloszowaną po bokach,

ze srebrnego *crêpe-satin*, przybraną koronką i ozdobioną haftowanymi wstawkami na plecach. Nałożyłam ściągacz do ramion, aby nadać swojej sylwetce lepszy kształt. Stroju dopełniała kopertowa, lakierowana torebka i boa z piór narzucone na plecy – w ostatniej chwili dorzuciłam je do bagażu, wybierając się na Sylt.

– Wygląda pani olśniewająco – zawołał pan Arens, gdy pojawiłam się na półpiętrze. Spuściłam skromnie wzrok, nie wiedząc, jak powinnam przyjąć ten komplement. On także zmienił strój na wieczorowy. Miał na sobie wełniany garnitur z krawatem w ukośne paski, a do tego czarne borsalino. Dookoła unosił się duszący zapach wody kolońskiej.

– Dlaczego nie możemy iść z tobą? – Poczułam szarpnięcie falbany mojej sukni i po chwili zawisła na niej Adalia, wpatrująca się we mnie błagalnie.

– Już wam mówiłam, że to nie jest miejsce dla pańienek w waszym wieku. Będą tylko dorośli, a tematy rozmów, jakie są poruszane w takim gronie, z pewnością nie nadają się dla uszu tak młodych dam – wyjaśniłam spokojnie.

– Tato by nam pozwolił! – krzyknęła z pretensją w głosie Hanna, a siostra jej zawtórowała. Poczułam bolesne ukłucie. Nie był to najstosowniejszy moment na wspomnienie ojca. Doktor Arens chrząknął z zakłopotaniem i wycofał się do sieni, aby dać mi możliwość swobodnej rozmowy.

– Porozmawiamy o tym, gdy wrócę. Idźcie teraz do siebie! – odparłam surowym, karcącym wręcz tonem. Dziewczynki skrzywiły się z niezadowoleniem, ale posłusznie ruszyły na górę, tupiąc donośnie na schodach. Poczułam, jak na mojej twarzy pojawia się rumieniec wstydu. W oczach Teresy i mojego gospodarza musiałam zapewne nie najlepiej wypadać jako matka. Prawda była taka,

że z uwagi na ogrom pracy lekarskiej i wieczną konieczność zgłębiania naukowych książek w czasie wolnym poświęcałam córkom z pewnością zbyt mało uwagi.

– Proszę się nie martwić. W ich wieku bunt to rzecz zwyczajna – pocieszył mnie doktor Arens, gdy dołączyłam do niego w samochodzie.

– Mam obawę, że w tym wypadku może chodzić o coś więcej – odparłam, wzdychając ciężko. Bałam się, że będzie pytał o moją sytuację rodzinną, a tego pragnęłam w tej chwili za wszelką cenę uniknąć. Wykazał się jednak niebywałą delikatnością oraz taktem. Gdy tylko wyruszyliśmy w stronę Keitum, które stanowiło najstarszą część wyspy, natychmiast zmienił temat.

– Musi pani dzisiaj spróbować faryzeusza. Jest to specjalna kawa z dodatkiem bitej śmietany, cukru i rumu. Wiąże się z nią pewna ciekawa opowieść. Otóż w roku 1874, podczas przyjęcia z okazji chrztu mieszkańcy pewnej z wysp fryzyjskich, z szacunku dla pastora, postanowili zataić swoje alkoholowe przyzwyczajenia. W czasie uroczystości poczęstowali duchownego, który wymagał od nich całkowitej abstynencji, samą kawą. Pozostałych gości natomiast uraczono mieszanką kawy z rumem. Podczas wieczoru zamieniono jednak szklanki i duszpasterz nagle dostał zawrotów głowy. W końcu wykrzyknął ze złości: „Wy świętoszki, wy faryzeusze! Oszukaliście mnie”. I tak do dziś kawa z dodatkiem białego puchu i alkoholu jest jednym z ulubionych napojów w tym rejonie.

– Na pewno jej spróbuję – zapewniłam, uśmiechając się.

Tarcza słońca chowała się już za horyzontem. Mknęliśmy w ostatnich jego promieniach pośród wzgórz. Dookoła przemieszczały się tylko ptaki, zbierające owoce dzikiej róży. Gdzieś

w oddali widać było morski brzeg i żaglowce zawijające na noc do portu.

Wreszcie dotarliśmy na miejsce. Przed budynkiem, pokrytym tradycyjną strzechą z trzciny, rozciągał się parking z kilkoma samochodami. Po otaczającym kawiarnię ogrodzie przechadzali się gentlemani, gładko zaczesani na bok, z nałożoną na włosy brylantyną oraz we frakach i smokingach z eleganckimi muszkami. Ich głowy zdobiły najrozmaitsze kapelusze, filcowe meloniki i fedory, słomkowe boatry i śnieżnobiałe panamy. Towarzyszyły im wytworne damy, w sukniach z obniżoną talią, udekorowanych frędzlami lub falbanami. Zwiewne tkaniny wyglądały w tańcu niczym trzepoczące skrzydła motyla. Do tego panie miały długie atłasowe rękawiczki, w dłoniach cygaretki, zaś na szyjach sznury pereł. Wieczorną toaletę wieńczyły nakrycia głowy: jedwabne turbany ozdobione kamieniami szlachetnymi oraz pomponami, przekrzywione na bok toczki i *cloche* w stylu *art déco*. Wokół panowała atmosfera wytworności i przepychu. Wewnątrz herbaciarni pachniało ponętnie różnymi mieszankami herbat. Zgromadzeni siedzieli na aksamitnych kanapach, szeszlach i fotelach, pogrążeni w zadumie lub rozmowach. Niektórzy pochłaniali prasę, która donosiła właśnie o pierwszym locie sterowcem dookoła kuli ziemskiej oraz o możliwym zbliżającym się kryzysie gospodarczym. Z kąta dobiegały pełne dekadencji dźwięki fortepianu.

Zasiedliśmy przy jednym ze stolików, a kelner podał nam kartę.

– To prawie wszystko bogaci letnicy. Zobacz pani, jak zrobi się pusto, gdy za kilka tygodni wyjadą – skomentował doktor Arens. – Znam to od lat. Prawdziwa rewia mody i wyścigi, a wszystko na pokaz, by udowodnić innym, kto ma najwięcej pieniędzy. Dla mnie to dość próżne towarzystwo...

Rozglądałam się dookoła i odnosiłam wrażenie, że doktor Arens miał rację. Otaczające mnie twarze przybierały w większości zblazowany wyraz. Jakaś dama karmiła swojego białego pudła, siedzącego na jej kolanach, okruchami ciasta. Inna wyciągnęła lusterko i poprawiała sobie makijaż. Panowie leniwymi ruchami rzucali karty do gry na stół, zaciągając się cygarami. Na stolikach rozstawiono także warcaby, a co dostojniejsi gentlemani głowili się nad szachownicą.

Wreszcie podano zamówiony przeze mnie tort różano-marcepanowy i tradycyjne ciasto z makiem dla mojego towarzysza. Na stole stanął też gorący imbryk z herbatą, z zainstalowanym specjalnym metalowym zasysaczem. Podczas nalewania nie można było uronić ani kropli cennego napoju, uznano by to za świętokradztwo. Rytuał picia herbaty był we Fryzji jak msza święta w niedzielę, o czym zdążyłam się już nieraz przekonać.

– Kogo ja widzę! Doktor Arens! Nie wierzę własnym oczom!

Obróciłam się tam, skąd dobiegał głos, i dostrzegłam mężczyznę w idealnie skrojonym białym garniturze w czarne paski, z melonikiem na głowie.

– Pan Gestner! Znów jest pan u nas na urlopie? – odparł mój towarzysz z rozpromienioną miną, witając się ze znajomym, a ja poczułam, jak moje ciało kamienieje na dźwięk tego nazwiska.

– Właśnie dzisiaj wysiadłem na stacji w Westerland. Jak co roku przywozłem moją matkę, by mogła w sanatorium podreperować swoje zdrowie. Przy okazji spędzam tu miesiąc miodowy. Klotyldo, pozwól, chcę ci kogoś przedstawić – zawołał do młodej blondynki, która najwyraźniej zapomniawszy, że jest nowo poślubioną żoną, obdarzała innych młodzieńców zalotnymi spojrzeniami.

– To pani doktor Laura Kader, która dopiero co przybyła na Sylt. Zajmuje się chorobami natury kobiecej – przedstawiono mnie.

Podaliśmy drżącą rękę, którą znajomy pana Arensa szarmancko ucałował.

– Klemens Gestner – wypowiedział z naciskiem, jakby chciał dać mi do zrozumienia, że jest kimś ważnym. – Bardzo mi miło. Nie uwierzy pani, ale mój świętej pamięci zmarły tragicznie ojciec także był lekarzem, chirurgiem. – Na te słowa poczułam, jak serce zaczyna mi łomotać, jakby chciało wyrwać się z piersi. Starłam się z całych sił, aby moje zmieszanie pozostało niezauważone. – Dlatego bardzo szanuję wszystkich medyków i ich niezwykle ważną, a zarazem trudną misję, jaką mają do spełnienia. Ja z kolei wybrałem zupełnie inną profesję, jestem mianowicie fabrykantem w przemyśle tytoniowym – kontynuował. – I nie żałuję, bo zarobiłem dzięki temu miliony.

To powiedziawszy, wyciągnął humidor, by poczęstować cygarem doktora Arensa. Po chwili sam zatonął w kłębach dymu. Biła od niego pewność siebie zmieszana z pychą.

– Napijmy się wszyscy. Na mój koszt! – Skinął palcem na kelnera. – Proszę nam podać schłodzoną butelkę szampana! – wydał polecenie i zawołał radośnie, tak żeby wszyscy mogli go usłyszeć: – Uczcijmy to spotkanie!

Obok mnie wystrzelił korek i połała się piana złocistego napoju. Brzdęknęły kieliszki.

– Za nasze zdrowie! – odezwały się głosy dookoła, a za nimi brawa.

Po chwili, gdy nikt nie zwracał już na nas uwagi, pan Gestner odciągnął mnie delikatnie na bok.

– Skoro zajmuje się pani zawodowo sprawami tak delikatnymi, może i ja mógłbym zasięgnąć pewnej porady, korzystając z okazji? – spytał ściszym głosem.

– To znaczy? – spytałam zaskoczona, nie mając pojęcia, do czego zmierza.

– Tak jak pani wspominałem na wstępie, jestem tutaj w podróży poślubnej. Żona młoda i wymagająca... Nie wiem, czy... no wie pani... czy podołam zadaniu – wyznał prawie szeptem, a w jego żrenicach zapaliły się iskry podniecenia.

– Ach, o to panu chodzi... – odparłam półszeptem, zawstydzona, nie spodziewając się takiej bezpośredniości. – Myślę, że mogłabym panu wypisać receptę na wyciąg śródmiaższowy z jąder. Podobno w tej kwestii jest niezawodny. Doskonale leczy również blednicę czy neurastenię... – dodałam zakłopotana, bo nie przywykłam o takich sprawach rozmawiać z mężczyznami. Pan Gestner był wyraźnie usatysfakcjonowany odpowiedzią, bo chwycił ogarek cygara między zęby, szczerząc się w uśmiechu.

– W jakim hotelu pan się zatrzymał? – chciał wiedzieć doktor Arens, który właśnie zbliżył się do nas. – Chętnie wybrałbym się do pana jak zwykle na partyjkę brydża i kieliszek koniaku.

– Tym razem w hotelu Rungholt. Wiąże się z nim pewna sprawa sprzed lat, którą chciałbym koniecznie wyjaśnić. – Rozmówca zaciągnął się nowym cygarem.

– Czy zechciałby pan uchylić rąbka tajemnicy? – nalegał doktor.

– Oczywiście, ale może najpierw usiądziemy – zaproponował, kierując się w stronę stolika, a my zgodziliśmy się skinieniem głowy. Pan Arens szarmanckim gestem odsunął dla mnie krzesło. – Tak jak nadmieniłem, mój ojciec odszedł przedwcześnie i niespodziewanie, na skutek nieszczęśliwego wypadku samochodowego. Stało się to w 1899 roku w Królestwie Danii – rozpoczął swoją opowieść pan Gestner. – Wyruszył w swoją ostatnią podróż z zupełnie niezrozumiałych dla rodziny powodów. Po prostu pewnego dnia oświadczył nam, że musi pilnie wyjechać

w sprawach zawodowych, jak wszystkich zapewniał, ale szczegółów nie podał wówczas nikomu. Wiem, że miał przed nami wiele sekretów, których nie zdradził nawet po śmierci. – Mężczyzna zaśmiał się sarkastycznie. – Ostatnio, w czasie przeprowadzki z naszego rodzinnego domu w jednej z książek z biblioteki znalazłem list wysłany na kilka tygodni przed wypadkiem właśnie stąd, z hotelu Rungholt na Sylcie. Ktoś podpisany nieznanymi mi inicjałami wzywał pilnie Ludwika Gestnera na pomoc. Prośba miała charakter bardzo osobisty, ale z treści korespondencji nie sposób było wywnioskować, o co mogło chodzić. Chociaż minęło już tak wiele czasu i nie wiem, czy ktokolwiek może coś pamiętać, odkąd dowiedziałem się o istnieniu zagadkowego listu, sprawa ta nie daje mi spokoju. Nie liczę, że zdołam pozyskać jakieś informacje. Ale nie byłbym sobą, gdybym nie spróbował – zakończył swoją opowieść i jednym ruchem dopił kieliszek z absyntem, którym się raczył.

– Rzeczywiście sprawa wygląda tajemniczo, sam pewnie także próbowałbym dojść prawdy, gdyby chodziło o mojego ojca – odparł w zamyśleniu doktor Arens, a następnie zwrócił się do mnie: – A pani? Pani zrobiłaby tak samo?

– Oczywiście – odparłam lakonicznie, unikając jego wzroku i udając, że patrzę na dno filiżanki. Czułam, jak moje całe ciało zaczyna drżeć z napięcia. – Przepraszam, ale muszę na chwilę wyjść, by zaczerpnąć świeżego powietrza... – dodałam, po czym pośpiesznie wstałam od stolika, by jak najprędzej znaleźć się na zewnątrz.

Stojąc pod gołym niebem, pod kobiercem mieniących się srebrem gwiazd, czułam, jak powoli wyparowują ze mnie nagromadzone emocje. Wciągałam gwałtownie chłodne powietrze, wywołujące niemalże ból w oskrzelach, i wydychałam je z impetem.

– Pani Kader? – usłyszałam za moimi plecami. Głos nie należał do nikogo, kogo bym znała. Odwróciłam się i ujrzałam postawnego, wysokiego mężczyznę w średnim wieku, z nienagannie przystrzyżoną brodą, wyłaniającego się z półmroku. Wypielęgnowany zarost otaczał całe usta. Początkowo jego twarz przysłaniało rondo kapelusza, nie mogłam więc dostrzec wszystkich szczegółów.

– Zgadza się... – odparłam niepewnie. – O co chodzi? – Zmarszczyłam brwi, lustrując uważnie mojego rozmówcę od góry do dołu.

– Inspektor Haberland – przedstawił się nieznajomy i na potwierdzenie pokazał mi swoją odznakę, mrużąc przy tym żółtobrązowe oczy, które wyglądały tak, jakby należały do węża, a nie człowieka. – Nie sądziłem, że spotkamy się akurat tutaj, w tej pięknej scenerii – odezwał się z lekką ironią w głosie. – Miała się pani do mnie zgłosić, a dni mijają i mijają... – W jego tonie wyczułam nutę zniecierpliwienia i reprimendy.

– Najmocniej przepraszam... Musi pan zrozumieć, miałam mnóstwo pracy z urządzaniem się w nowym miejscu. Organizacja życia po przeprowadzce nie jest taka prosta... – żaliłam się z nadzieją, że nie potraktuje mnie zbyt surowo za to, że do tej pory nie stawiałam się na przesłuchanie.

– W tym tygodniu! I nie chcę słyszeć żadnych wymówek – zakończył naszą wymianę zdań, po czym uchylił kapelusza i z fałszywą galanterią dodał: – Miłego wieczoru!

Pomyślałam, że musi to być straszny człowiek, i nerwowo przełknęłam ślinę. Teraz, gdy już go poznałam, tym bardziej pragnęłam mieć tę rozmowę za sobą. Nie miałam przecież nic do ukrycia, jego zachowanie jednak wzmagało we mnie irracjonalne poczucie winy. Odwróciłam się i ruszyłam z powrotem, by dołączyć

do towarzystwa, rozcierając ramiona, które od stania na dworze zrobiły się zimne.

– Przeziębili się pani! – Doktor Arens wyszedł mi na spotkanie i teraz zdjął marynarkę, abym mogła się nią okryć. Z wdzięcznością przyjąłem jego gest. – Chyba czas już wracać – dodał, spoglądając na zegarek.

– Tak, ma pan rację... Zrobiło się późno – przyznałam i skierowałam się w stronę lśniącego w blasku księżyca wartburga.

– Może mi się wydawało, ale miałem wrażenie, że coś zaszło między panią a panem Gestnerem... Gdy wyszeptał pani coś na ucho, jakby od razu straciła pani humor. Czy to dotyczyło może mojej osoby?

Pokręciłam przecząco głową.

– Ależ skąd! Pytał mnie wyłącznie o sprawy zawodowe. A moje zachowanie wynika jedynie ze zmęczenia – skłamałam. – Przepraszam, jeżeli inaczej pan to odebrał...

– W takim razie nie ma o czym mówić – odparł z wyraźną ulgą. Przez chwilę zastanawiałam się, czego obawiał się doktor Arens. Czy było coś, co pragnąłby przede mną ukryć?

Przez dłuższy czas prowadził wpatrzony w drogę, po czym nieoczekiwanie zatrzymał pojazd przy wydmach. Po tym, jak zgasił silnik, dało się słyszeć jedynie szum morza. Wpatrywaliśmy się przez chwilę w milczeniu w jego czarną, spienioną tafelę. Nie miałam odwagi spojrzeć w oczy mojemu towarzyszowi, bojąc się, że będzie liczył na coś więcej z mojej strony.

– Jak pięknie... – westchnęłam ledwie słyszalnie.

– Chciałbym móc pokazywać pani takie miejsca. Odkrywać je wspólnie z panią i dzielić się niezwykłymi chwilami – wyznał cicho.

W odpowiedzi uśmiechnęłam się, wciąż nie przenosząc na niego wzroku. Chyba wyczuł, że nie jestem gotowa na jakąkolwiek

bliskość między nami, bo ponownie przekręcił kluczyk w stacyjce i po chwili ruszyliśmy znów w drogę. Mijały minuty, a on uparcie milczał, pomimo że próbowałam zachęcić go do konwersacji. Poczułam lekkie ściśnięcie w sercu, ale wiedziałam, że nie mogłam postąpić inaczej. Przecież w dalszym ciągu byłam żoną Tadeusza Kadera. Nasze małżeństwo przechodziło poważny kryzys, który zmierzał do rozwodu, ale nic nie było ostatecznie przesądzone. Pozostawały też Hanna i Adalia, które na pewno nie zaakceptowałyby w obecnej sytuacji nowego mężczyzny u boku swojej matki.

Gdy dotarliśmy do domu, podziękowałam za wspólnie spędzony wieczór i udałam się pospiesznie schodami na górę. Wreszcie znalazłam się sama w swoim pokoju. W blasku lampy naftowej odszukałam srebrny medalion, który dostałam wiele lat temu. Przysunęłam go do światła, a moim oczom ukazało się zdjęcie. Zawsze gdy się w nie wpatrywałam, uderzało mnie, że mam niemal identyczne oczy i usta. Łza spłynęła mi powoli po policzku na wspomnienie tego, co nas łączyło. Jej słony smak poczułam wkrótce na ustach.

– Byłeś także moim ojcem, chociaż nikt poza nami o tym nie wiedział – wyszeptałam. – Kto wysłał ci wtedy ten list z Syltu i dlaczego musiałeś odejść tak wcześnie? – zapytałam, gładząc palcami fotografię, jakbym oczekiwała odpowiedzi z zaświatów. – Dowiem się prawdy, tato, obiecuję...

Przycisnęłam mój skarb mocno do serca, chcąc, by dodał mi sił. Za oknem huczał wiatr, aż szyby zaczęły się trząść. Wyspa zaczynała odsłaniać przede mną coraz więcej ze swoich tajemnic...

ROZDZIAŁ V

Krople deszczu powoli spływały po szybie. Śledziłam ich kręty tor na szkle, chcąc za wszelką cenę uciec z miejsca, w którym się znajdowałam. Kłębiące się na niebie chmury miały kolor mlecznogrnatowy. Wicher zawodził ponuro i przejmująco, wciskając się w szpary budynku. Mrok pomieszczenia rozświetlała ledwie żarząca się żarówka, oślepiając oczy męczącym światłem. Wydawało mi się, że czas stanął w miejscu i nadciąga apokalipsa, ale przeczyła temu wskazówka tykającego zegara leniwie poruszająca się do przodu.

– Zadaję pani jeszcze raz to samo pytanie – ponownie z rozmyślań wyrwał mnie nieprzyjemny, zachrypnięty, przepalony głos inspektora Haberlanda. – Jak pani myśli, dlaczego Sybilla Gebler zdecydowała się wybrać na swoją jedyną spadkobierczynię właśnie panią?

– Już mówiłam, że naprawdę nie mam pojęcia... – westchnęłam zrezygnowana.

– Ciekawe jest to, że data testamentu świadczy o tym, iż został on spisany na kilka tygodni przed śmiercią denatki. Nie zastanowiło pani to? Czy to nie jest podejrzane? – rzekł, po czym włożył sobie pióro między zęby i przygryzł jego końcówkę, jakby próbował w ten sposób zahamować przyptyw frustracji wynikający z tego, że przesłuchanie nie idzie po jego myśli.

– Nikt z nas nie wie, kiedy przyjdzie na niego kres... – odparłam, a funkcjonariusz zaczął coś nerwowo kreślić w swoim raporcie.

Zapadła martwa cisza, przerywana jedynie dźwiękiem tarcia metalu o papier. Ze stalówki wylał się czarny atrament, stawiając

na kartce spory kleks, co jeszcze bardziej rozłościło inspektora. Sięgnął po szklankę, by upić łyk czarnej kawy z fusami, które zostawiły ślad na jego ustach.

– Jak dokładnie łączyło was pokrewieństwo? – Kolejne pytanie wystrzeliło niczym pocisk karabinu.

– Zmarła była kuzynką mojej matki. Już o tym wspominałam na wstępie. Niestety, trudno mi cokolwiek więcej powiedzieć. Znaczna część mojej rodziny już zmarła, a moja rodzicielka cierpi od kilku lat na postępującą demencję. Z trudem przypomina sobie różne fakty. Dopiero po dłuższym czasie odgrzebała w swojej pamięci postać Sybilli Gebler. Nie utrzymywała z nią kontaktu, więc ja też nie mogłam wiedzieć, że ktoś taki istnieje.

– Dlaczego?! – padło lakoniczne pytanie. – Dlaczego tego nie robiła?

Z popielniczki unosił się gryzący dym niedopałków papierosów, a mnie zebrało się na mdłości.

– Nie wiem. Może dlatego, że mieszkały tak daleko od siebie? – Rozłożyłam ręce na znak, że mam już dość i się poddaję. Inspektor poczynił kolejne skrupulatne notatki, po czym odchrząknął donośnie.

– A jak ona w takim razie dowiedziała się o pani istnieniu? – wysyczał, a jego szpary powiekowe jeszcze bardziej się zwężyły.

– O to chyba należałoby ją zapytać, a nie mnie... – broniłam się logicznie, czując coraz większą niechęć do miejsca, w którym się znalazłam.

– Bardzo zabawna odpowiedź, zważywszy na okoliczności – odparł cynicznie. – Widzę, że niczego nie można się od pani dowiedzieć! Czy to jakaś zмова? – dociekał.

– Powiedziałam już wszystko, co wiem o tej sprawie. Gdybym jeszcze coś sobie przypomniała, obiecuję uzupełnić zeznania –

zapewniłam.

– Pani chyba nie jest świadoma tego, co się wydarzyło! Pozwoli pani, że opowiem raz jeszcze całą historię. Pod kołami pociągu, w środku nocy zginęła kobieta. Doszło do urazu wielonarządowego, co było bezpośrednią przyczyną jej śmierci. Jej ciało, pokryte w całości mułem, zostało znalezione przypadkiem w Morzu Wattowym, zaraz przy grobli. Próbujemy ustalić, czy był to tylko nieszczęśliwy wypadek, czy też samobójstwo. A może komuś szczególnie zależało na tym, by pozbawić ją życia, i to w sposób trudny do rozpoznania?

– To chyba powinni ustalić biegli z medycyny sądowej... – wtrąciłam nieśmiało.

– Dom na czerwonym klifie od lat cieszy się złą sławą. To nie jest pierwszy przypadek przedwczesnej śmierci, która dotyczy jego mieszkańców... – wycedził przez zaciśnięte zęby.

– Co pan ma na myśli? – Poczułam mrowienie całego ciała. Niespokojne serce zaczęło bić szybszym rytmem.

– To, że pani ciotka nie była pierwszą osobą, która straciła życie w okrutny sposób. Nie da się tego racjonalnie wytłumaczyć. Zwłoki właścicieli domu znajdowano w różnych miejscach i w dziwnych okolicznościach. Do tej pory nikomu nie było dane zamieszkać, zestarzeć się i umrzeć w jego murach w sposób naturalny. Mieszkańcy wyspy uważają, że budynek jest nawiedzony przez złe moce, dlatego na ogół, chociaż sam w sobie jest bardzo piękny, omijają go szerokim łukiem. Zapewniam panią, że jeśli zapragnie go pani sprzedać, to tablica z ogłoszeniem będzie wisiała bardzo długo. Tę posiadłość mogą kupić jedynie nieświadomi jej historii nowo przybyli na wyspę...

– Nie wierzę w duchy i nawiedzenia – odparłam stanowczym tonem.

– To tak jak ja. Dlatego próbuję się dowiedzieć, czy fakt, że jest pani jedynym spadkobiercą niemałej fortuny po Sybilli Gebler, nie wpłynął na to, że miała pani coś wspólnego z jej niespodziewanym odejściem. Ale widzę, że albo jest pani rzeczywiście niewinna, albo...

– Albo? – powtórzyłam ostatnie słowo w napięciu.

– Umie pani świetnie ukrywać prawdę. Na dzisiaj to już wszystko, ale będę miał panią na oku. – To powiedziawszy, zmarszczył czoło i wycelował we mnie oskarżycielsko palcem wskazującym.

Pożegnałam się chłodno i oficjalnie, po czym wyszłam z komisariatu. Przez chmury wreszcie zaczęły przebijać promienie słońca, jakby chciały dodać mi otuchy. Byłam kompletnie zagubiona, a to, czego się przed chwilą dowiedziałam, nie poprawiało mojego nastroju. Miałam wrażenie, że cały świat dookoła mnie wiruje.

– Pani Kader! – Za plecami usłyszałam wołanie i trąbienie auta. Gdy się odwróciłam, moim oczom ukazał się doktor Weber. – Zmierza pani w stronę kliniki? Może mógłbym zaoferować podwiezienie? – zapytał, zatrzymując pojazd na ulicy.

– Dziękuję – odparłam. – Ale może lepiej będzie, jeżeli przejdę się piechotą. Zdołam trochę ochłonać i dojść do siebie. Morskie powietrze cuci lepiej niż kofeina...

– Ależ absolutnie nie pozwolę, aby szła pani taki kawał drogi! – Wyskoczył z auta i otworzył drzwi szarmanckim gestem. – Zapraszam do środka. Jest pani tak blada, że boję się, iż może dojść do omdlenia.

Tym razem już nie protestowałam. Usiadłam na siedzeniu pasażera i wyruszyliśmy. Doktor Weber był wyjątkowo rozmowny.

– Czy pobyt na Sylcie pani służy? Jakoś pani zmarniała... – zatroskał się.

– Po prostu źle ostatnio sypiam i mam dużo pracy – zbagatelizowałam jego uwagę, nie chcąc wtajemniczać go w swoje sprawy.

– Główny walor wyspy to klimat, na który ma wpływ Gólsztrom. Ten prąd morski przynosi w te rejony cieplejsze wody – rzekł, po czym przyhamował gwałtownie, aż rzuciło mną do przodu i uderzyłam o kokpit. – Widziała już pani pomnik patronki wyspy Wilhelminy?

Właśnie przejeżdżaliśmy obok rzeźby kobiety o rubensowskich kształtach, zażywającej kąpieli. Pokręciłam jedynie przecząco głową, nie będąc w stanie zebrać myśli.

– Jestem przekonany, że pokocha pani białe noce! Przyjdą wraz z letnim przesileniem! Prawie cały czas jest wówczas jasno, a prawdziwy zmrok nigdy nie zapada – kontynuował opowieść, puszczając na moment kierownicę i gestykulując.

Musiał jednak zauważyć, że nie biorę czynnego udziału w konwersacji, bo wkrótce zamilkł. Zastanawiał się pewnie, w jaki sposób przerwać męczącą ciszę.

– Słyszałem, że ma pani dwie córki? – zapytał, a ja potwierdziłam skinieniem głowy. – Bardzo lubię dzieci, i to nie tylko z racji mojego zawodu. Chociaż własnych nie mam i już mieć raczej nie będę, myślę, że byłbym dobrym ojcem. – Na dłuższą chwilę oderwał wzrok od jezdni i spojrzał w moją stronę. Jego oczy zza szkieł okularów wydawały się wielkie jak u sowy. – Jestem przez najmłodszych pacjentów wprost uwielbiany – zakończył, uśmiechając się z zadowoleniem.

Zastanawiałam się w jakim celu dzieli się ze mną tymi informacjami.

– Słyszałam o panu jako o lekarzu dużo dobrego – wtrąciłam kurtuazyjnie, aby przerwać swoje przydługie milczenie, które

mógłby uznać za impertynencję z mojej strony.

– Och, ludzie jak zwykle przesadzają! – Machnął niedbale ręką, jakby zawstydzony komplementem, chciał się od niego opędzić. – Moja matka zarzuca mi, że marnuję się na wyspie, zamiast jechać do Hamburga na uniwersytet i się habilitować. Lecz ja wolałem wybrać wolność i spokój. Nie imponują mi ci profesorzy, te ich mądre wywody, togi i gronostaje... – Prychnął w teatralny sposób. – Kocham swoje życie – wyznał na koniec szczerze.

– Jednym słowem, jest pan tutaj szczęśliwy? – spytałam, jakbym szukała dla samej siebie potwierdzenia, że na Sylcie można odnaleźć życiowe spełnienie.

– O tak, zdecydowanie. A pani nie? Moja matka zawsze mi mówi, że chociaż możemy przemierzyć cały świat wzdłuż i wszerz w poszukiwaniu szczęścia, nigdy go nie odnajdziemy, jeżeli nie nosimy go w sobie.

– To bardzo trafne spostrzeżenie... – odparłam po chwili w zamyśleniu.

– Bo moja matka to jest niezwykle mądra kobieta! Zawsze doradzi mi najlepiej, dlatego żadnej decyzji nie podejmuję bez konsultacji z nią – zapewnił, ponownie patrząc na mnie spod grubych szkielek.

Jechaliśmy jeszcze chwilę, a ja liczyłam, ile razy w naszej wymianie zdań doktor wspominał swoją rodzicielkę. Za każdym razem wypowiadał się o niej z niebywałym namaszczeniem w głosie. Pod koniec kąciki ust drgały mi już bezgłośnie od tłumionego rozbawienia.

– Wreszcie się pani rozpogodziła! Cieszę się, że tak miło spędziliśmy czas – rzekł, parkując pod szpitalem. – W śmiechu jest klucz, który pozwala nam rozszyfrować całego człowieka. Tak powtarza mi zawsze moja matka!

– Dziękuję jeszcze raz za wszystko. Proszę ją ode mnie koniecznie pozdrowić – rzuciłam na odchodne, biegnąc już w stronę mojego gabinetu. Czułam, że moja przepona jeszcze długo nie będzie mogła się uspokoić.

Dzięki chwilom spędzonym w towarzystwie doktora Webera zdołałam się trochę oderwać od ponurych myśli, jakie zawładnęły moim umysłem. Jak zwykle o tej porze poczekalnia była pełna pacjentek. Pośpiesznie przebrałam się w fartuch, splatając włosy w niedbały kok. Nie zdążyłam nawet usiąść do biurka, gdy usłyszałam niecierpliwe pukanie do drzwi. Ktoś, nie czekając na odpowiedź, nacisnął klamkę i w pomieszczeniu znalazła się młoda dziewczyna w towarzystwie kobiety w średnim wieku.

– Pani doktor, proszę nam pomóc! Co za skandal, co za wstyd... – biadoliła starsza niewiasta, chwytając się rękami za siwiejące włosy.
– Moja nieletnia córka jest w ciąży, a na dodatek nie chce się przyznać, kto jest ojcem dziecka, i zarzeka się, że nigdy jeszcze nie była z mężczyzną... Rozbierz się! – rozkazała zahukanej dziewczynie, która trzęsącymi się rękami odsłoniła obszerny płaszcz. Moim oczom ukazał się zaokrąglony brzuch, jakby była w szóstym miesiącu ciąży. Stała tak, z rozpaczą wpatrując się we mnie zaszklonymi od łez oczami.

– Aby stwierdzić, czy macica jest brzemienna, będę musiała wykonać badanie – odrzekłam, otaczając pacjentkę troskliwie ramieniem i kierując się z nią w stronę fotela ginekologicznego. – A pani usiądzie za parawanem – zwróciłam się do matki, wskazując krzesło, żeby dodatkowo nie krępowała córki swoją obecnością.

– Czy masz regularne krwawienia comiesięczne? – zapytałam pacjentkę.

– Do tej pory tak, ale od kilku miesięcy już nie – wyznała strapionym głosem. – Do tego schudłam, pani doktor, i w ogóle nie

czuję się dobrze, mam bóle brzucha... – żaliła się.

Ze zdziwieniem stwierdziłam, że *hymen* był nienaruszony, co rzeczywiście potwierdzałoby, że badana jest jeszcze dziewicą. Z trudnością udało mi się wsunąć do pochwy palec wskazujący, by wyczuć bardzo twardą szyjkę macicy, a w sklepieniach nieruchome guzowatości, wypełniające całą jamę Douglasa. Po zbadaniu powłok brzusznych wydawało mi się, że cała jama brzuszna wypełniona jest przez *tumor*, niemal sięgający do dołka podsercowego. W całej jego przestrzeni odgłos wypukowy był stłumiony, ale bez obecności wolnego płynu. Poczułam uderzenie tętna w skroniach, a następnie suchość w ustach. Bynajmniej nie miałam pomyslnych wiadomości.

– Pani córka z całą pewnością nie jest w stanie błogostawionym...
– wyrzekłam z trudem po dłuższym milczeniu.

– Bogu niech będą dzięki. – Kobieta dziękczynnie wzniosła ręce ku niebiosom.

– Faktem jest też, że nigdy nie współżyła. Niestety, tutaj kończą się dobre wieści... – Nabrałam powoli powietrza, by oznajmić złą nowinę. – Zwiększenie obwodu brzucha spowodowane jest obecnością dużego guza, który trzeba niezwłocznie operować – zakończyłam, czując, że mój głos drży.

– To nie może być prawda... – Matka pacjentki załamała ręce. – Trzeba ją ratować! Błagam, niech mi pani obieca, że ona z tego wyjdzie! – zawodziła zrozpaczona, łapiąc mnie za rękaw fartucha.

– Zrobimy wszystko, aby jej pomóc, ale niestety nikt nie może dać pani takiej gwarancji... – odparłam smutno, odwracając wzrok. – Musisz zostać na razie w szpitalu – zwróciłam się do dziewczyny, która w tym czasie zdążyła się ubrać. Była wyjątkowo opanowana i spokojna, jakby to nie ona miała zaraz położyć się na stole

chirurgicznym. – Pójdę teraz wpisać chorą do planu operacyjnego, a w międzyczasie przyjdzie pielęgniarka, aby pobrać krew do badań.

Skierowałam się w stronę sali zabiegowej. Przez moją głowę przechodził prawdziwy huragan myśli. Sama też przecież byłam matką dwóch dorastających córek i nie chciałam sobie nawet wyobrazić, co czułabym w podobnych okolicznościach. Po drodze spotkałam doktora Arensa.

– Wszystko w porządku? – Zatrzymał mnie na korytarzu. Widząc, że jestem przygnębiona, otoczył mnie opiekuńczo ramieniem. Ku własnemu zaskoczeniu nie zaprotestowałam, chociaż z pewnością tak powinnam uczynić.

– Właśnie chciałam pana poprosić o asystę w jutrzejszym zabiegu usunięcia guza jamy brzusznej u młodej pacjentki.

– Oczywiście! Zawsze może pani liczyć na wsparcie starego chirurga, czyli mnie – zapewnił ochoczo.

Przez resztę popołudnia nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Wracało do mnie wspomnienie przesłuchania i niepokój, jaki wzbudziły słowa inspektora o mieszkańcach domu na czerwonym klifie. To wszystko zaczynało być jak koszmar śniony na jawie. Mimo wietrznej pogody wybrałam się na długi, samotny spacer po plaży, chociaż musiałam zamykać powieki, aby piasek niesiony podmuchami wiatru nie dostawał się do oczu. W powietrzu unosił się zapach wodorostów i alg. Widziałam małe kraby wędrujące po brzegu i polujące na ryby mewy, które przekrzykiwały się głośno. Patrzyłam na spienione fale i taflę wody sięgającą aż po horyzont. Wydawało mi się, że dotarłam na sam kraniec świata – do wyspy osamotnienia na bezkresnym oceanie życia. Nagle usłyszałam znajome tubalne szczekanie i po chwili poczułam na rękę zimny dotyk psiego nosa. Zatopiłam dłoń w miękkiej sierści

leonbergera, a za moment oba już radośnie merdały przy mnie ogonami, ziejąc wielkimi jęzorami.

– Trafiły na pani trop. – Doktor Arens próbował przekrzywić panujący dookoła szum. Starał się dotrzymać tempa swoim pupilom, które parły naprzód. Chociaż początkowo nie chciałam z nikim rozmawiać, ostatecznie ucieszyłam się ze spotkania.

– Dowiedziałam się dziś, dlaczego dom mojej zmarłej ciotki cieszy się złą sławą... – rozpoczęłam, gdy tylko doktor zrównał się ze mną. Musiałam wyrzucić z siebie wszystkie negatywne uczucia, które rozsadzały moje wnętrze. Wpatrywałam się w dal, w rozmyty we mgle krajobraz wydm.

– Kiedyś musiało się to stać... – westchnął ciężko, jakby jego pierś przygniótł gład. – Chciałem pani tego oszczędzić... Ochronić przed tą koszmarem prawdą, dlatego sam o tym wcześniej nie wspomniałem – usprawiedliwił się, jakby uważał, że mam do niego o to żal. – Ale jeżeli pyta pani o moje zdanie, to sądzę, że te wypadki są jedynie nieszczęśliwą koincydencją. Mogły przecież wydarzyć się wszędzie... – dodał po chwili milczenia, powoli wymawiając każde słowo, jakby nie był pewien, co wypada w tym momencie powiedzieć. – Moim zdaniem nie powinna pani brać sobie tego, co się tam wydarzyło, do serca, tylko skupić się na sobie i na dniach, które dopiero nadejdą. Nie radziłbym żyć przeszłością, zwłaszcza jeżeli jest mroczna i wciąga nas jak w matnię.

Przystanęłam na chwilę, powtarzając w myślach ostatnie zdanie, które wypowiedział mój rozmówca. Tymczasem on kontynuował swój wywód.

– Nie było tajemnicą, że tę posiadłość zbudował człowiek, który był z zawodu safiannikiem. Produkował luksusowe obuwie, głównie dla arystokracji czy innych bogaczy i przemysłowców. Czerwony klif wydawał się do tego idealny. Pięknie położony nad

morzem, można tu było pracować i cieszyć się życiem. Rezydencja kosztowała fortunę, ale nowego właściciela było na to stać. Rzekomo budynek miał być wyposażony w dodatkowe tajemne przejścia i ukryte pokoje, ale nikt tego z pewnością nie wiedział ani nie znał ich przeznaczenia. Być może to tylko historie zmyślane przez robotników, którzy stawiali mury tego domostwa, podsycane przez żądnych sensacji ludzi. Było to przecież bardzo dawno temu, ale opowieści nadal krążą. To miejsce od początku owiane było aurą tajemniczości... Przez lata bano się go i przypisywano mu nadprzyrodzoną, upiorną moc. Gdy umarł... – ciągnął mój rozmówca, ale tu stanowczo mu przerwałam.

– Chyba nie chcę poznać szczegółowo życiorysów ludzi, którzy mieszkali tam przede mną i odeszli przedwczesną śmiercią. Albo być może nie jestem na to teraz gotowa... – wyznałam. – I tak nie mam wyjścia i muszę się tam wprowadzić, bo nie będę przecież w nieskończoność korzystać z pana gościny. Nie chciałabym wtajemniczać w to wszystko dziewczynkę, zależy mi, by czuły się dobrze w nowym domu. Utrzymajmy to w tajemnicy chociaż przez pewien czas, nim się zaaklimatyzują... – poprosiłam.

– Jak sobie pani życzy. Tak jak wspominałem, moim zdaniem dużo w tym wszystkim jest ludzkiego gadania i zwykłej przesady. Sama się pani przekona, że mam rację!

– Czy dlatego do tej pory nie zgłosiła się żadna chętna osoba na posadę mojej pomocy domowej, pomimo że obiecałam zapłacić całkiem sporo jak na tutejsze warunki? – zapytałam, chociaż z góry znałam odpowiedź.

– Należy poszukać kogoś poza wyspą! – odparł wymijająco doktor. – Pomogę pani w przeprowadzce. Możemy też spróbować małym kosztem odświeżyć wnętrze, by czuła się pani w nim lepiej – zaoferował, a ja z wdzięcznością przyjął jego pomoc.

Wtem poczułam na swojej zziębniętej ręce ciepły dotyk. Doktor Arens schował moją dłoń do kieszeni własnego płaszcza, aby ją ogrzać. Znowu nie zaoponowałam, potrzebując w tym momencie tego dotyku i łaknąc odrobiny czułości. Patrzyłam na fale wdzierające się w ląd i czułam, jak niewysłowiony smutek przeżera moją duszę. Wyspa znowu wydawała mi się obca i wroga, a jedynym światłem w tunelu pozostawało serce, które biło teraz u mego boku.

– Chyba powinniśmy wracać – zwrócił się do mnie doktor Arens.
– Dzisiaj na kolację Teresa przyrządza gęś pieczoną w ziołach i jabłkach. Powinna być lada moment gotowa – dodał z zachęcającym uśmiechem.

Zawróciliśmy i szliśmy teraz powoli pod wiatr, który był tak silny, że aż dławiłam się napływającym powietrzem. W pobliżu domu zauważyłam w oknie jedną z moich córek. Pośpiesznie odsunęłam się od doktora Arensa, mając nadzieję, że nasza chwilowa bliskość nie została przez nią zauważona. Weszliśmy do środka. W kuchni, w której krzątała się gospodyni, donośnie gwizdał czajnik, a w salonie płonęły świece na lichtarzach. Hanna i Adalia pomagały nakryć stół. Obie wydawały mi się wyjątkowo małomówne, jakby coś się wydarzyło. Wystraszyłam się, że być może nie są zadowolone z tego, że w moim życiu pojawił się mężczyzna, który nie był ich ojcem.

– Czy wszystko dobrze w szkole? – zapytałam, a one zgodnie skinęły głowami.

– Przerabiają tutaj o wiele prostszy materiał i nauczycielka ma cię zapytać, czy możemy przejść do klasy wyżej – odparła moja starsza latorośl.

– Będę musiała z nią w takim razie pomówić. Cieszę się, że dobrze sobie radzicie – rzekłam z ulgą w głosie. – A poza tym co robiłyście?

- Dzisiaj puszczałyśmy latawce na wydmach, a potem przypadkowo odkryłyśmy jakieś zasypane groby. Okazało się, że to cmentarz dla psów pana Arensa, jak wyjaśniła nam Teresa – dodała moja młodsza pociecha.

- Tak, powiedziałam dziewczynkom, żeby nie zapuszczały się samotnie tak daleko od domu – potwierdziła gospodyni, która akurat pojawiła się w progu z dymiącym półmiskiem. – Nigdy wszakże nie wiadomo, kogo spotka się na tych bezdrożach. Teraz coraz szybciej zapada zmrok i pojawia się gęsta mgła. Samemu łatwo zabłądzić – dodała z troską, podchodząc do okna, by opuścić zasłony.

Stanęłam obok niej i wyjrzałam przez okno, za którym unosiły się mlecznoszare opary, tak że ciężko było cokolwiek dostrzec.

- Pani Arens odeszła właśnie w taką noc... – wyszeptała kobieta sama do siebie, chwytając za srebrny krzyżyk, który nosiła na szyi. Przycisnęła go do piersi.

Jakby żałując swoich słów i chcąc odwrócić od nich uwagę, szybko zabrała się za rozkładanie srebrnych sztućców na lnianym obrusie. Polerowała je dokładnie bawełnianą chusteczką i przeglądała się w ich odbiciu. Pomyślałam, że gdy tylko nadarzy się ku temu sposobność, będę musiała dowiedzieć się czegoś więcej o zaginięciu żony doktora, o ile on sam będzie chciał mi to opowiedzieć. Sprawa ta, chociaż nie dotyczyła mojej osoby, to nie przestawała mnie nurtować.

Posiłek upłynął nam w miłej atmosferze, a po nim zasiedliśmy wszyscy wokół kominka, w którym wesoło buzował ogień. Płomienie zmieniały kolor z pomarańczowego na biały i niebieski. Podano na deser ciasto maślane z waniliowym puddingiem i tradycyjnie już herbatę w niebiesko-białej porcelanie malowanej w kwiaty. Na zewnątrz panowała zupełna ciemność. Dopiero

co kazałam dziewczynkom pójść szykować się do snu, gdy usłyszeliśmy pukanie do drzwi.

– Kogo licha znowu niesie – mruknął nasz gospodarz, zapewne obawiając się, że być może to jakiś pilnie potrzebujący pomocy lekarskiej pacjent. Psy zerwały się i wypełniły hall ujadaniem, aż od ścian odbijało się echo.

– To tylko listonosz – odezwała się Teresa, gdy wróciła z sieni z przesyłką w ręku.

– O tej porze?! – oburzył się pan domu. – Nie wypada tak późno kogoś nachodzić!

– Pewnie poczta dotarła dopiero teraz z powodu sztormu, który szalał przed południem – wyjaśniła ze spokojem. – Przesyłka do pani Laury Kader. – To powiedziawszy, wręczyła mi szarą, grubą kopertę.

Spodziewałam się, że na dniach przyjdzie ostateczne pismo z kancelarii prawniczej w sprawie spadku. Nie pomyliłam się. Był to napisany do mnie przez notariusza list, do którego załączono akt własności domu, ustanawiający mnie jego jedynym właścicielem.

– To korespondencja dotycząca testamentu mojej ciotki – wyjaśniłam, przesuając pośpiesznie oczami po tekście. – Jest jeszcze klucz.

Wyciągnęłam z koperty brelok przedstawiający kielich, kotwicę i krzyż. Przez chwilę obracałam go w palcach, czując, jak dwa sprzeczne uczucia przenikają moją świadomość. Z jednej strony była to radość, że będę mogła wreszcie rozpocząć nowy rozdział życia i uporządkować wiele spraw. Z drugiej, w świetle tego, co już wiedziałam, miałam w sobie mnóstwo niepokoju i lęku przed tym, co przyniesie przyszłość.

– Co oznaczają te symbole? – zapytałam gosposię, która zasiadłszy w fotelu, zajęta była szydełkowaniem koronek. Oderwawszy wzrok

od robótki, przyglądała się przez chwilę w skupieniu metalowemu przedmiotowi. Widziałam, jak jej mięśnie mimiczne tężeją, jakby stawała się kamiennym posągiem.

– W kulturze północnej Fryzji oznaczają one miejsce pochówku ludzi morza – odezwała się niepewnie grobowym tonem. – To bardzo dziwne, że ktoś użył ich jako zawieszki do pęku kluczy. Ten dom najwyraźniej ma w sobie tajemnicę, której odkrycie jest chyba pani przeznaczeniem. Od tego nie da się uciec... – zakończyła. Jej słowa zabrzmiały jak złowrogie proroctwo.

Zapadła cisza, którą przerwało dopiero dzwonienie zegara, jakby tym samym chciał potwierdzić, że oto wybiła godzina, kiedy miałam wejść w największe misterium mojego życia...

ROZDZIAŁ VI

Tego poranka obudziły mnie promienie słońca. Łaskotały delikatnie moje powieki i policzki, dodając mi nowej energii do życia. Otworzyłam okno na oścież, by wpuścić do wnętrza zapach morskiej bryzy i posłuchać szumu fal. Niebo miało kolor lazuru i nie było na nim ani jednej chmury. Wiedziałam, że dzień z uwagi na czekający mnie zabieg może być trudny. Czułam jednak przypływ sił i nadziei.

Gdy przybyłam do szpitala, sala zabiegowa była już gotowa, a pielęgniarki kończyły rozpylać w powietrzu dezynfekujący jodoform. Chora, przebrana w koszulę operacyjną, siedziała na stole. Skulona ze strachu, nerwowo skubała skórki przy paznokciach. Szybko założyłam sterylny fartuch, czepek i maskę, a do tego niciane rękawiczki, po czym podeszłam do pacjentki, aby podłączyć aparat Boyle'a, stosowany do znieczulenia. Stanowił on przełom w dziedzinie anestezjologii, gdyż miał trzy zbiorniki, pozwalające na dokładne dawkowanie eteru, podtlenku azotu i tlenu. Wcześniej zdarzało się, że przy zastosowaniu anestetycznych gazów dochodziło do zgonu, gdyż skuteczna dawka była zbliżona do letalnej. Nowy aparat czynił narkozę bezpieczniejszą.

Przystąpiłam do przemywania pola operacyjnego. Na myśl o tym, co zastanę po otwarciu powłok, czułam ogromny niepokój. Obecność doktora Arensa dodawała mi otuchy. Wykonałam podłużne cięcie skalpelem od pępka aż po spojenie łonowe. Przez chwilę na skórze widniał krwisty ślad, który pośpiesznie wycierała gazikiem pielęgniarka. Bałam się, że znajdujący się w jamie brzusznej guz okaże się złośliwy. Podejrzewałam, że to najpewniej

mięsak, wywodzący się z narządu rodnego. Natychmiast po dostaniu się do jamy otrzewnowej zauważyłam, że patologiczna masa jest zrosnięta z otrzewną ścienną. Była to niekorzystna oznaka. Z trudem usuwałam zmienioną tkankę, hamując obfite krwawienie. Powoli przystępowałam do rozpreparowywania kolejnych warstw.

– Czy to nie jest przypadkiem plastron po przebytych *appendicitis*? – mruknął spod bawełnianej maseczki pan Arens. – Guz wygląda na zmieniony zapalnie... Sądzę, że pierwotnie wszystko zaczęło się w wyrostku robaczkowym.

– Byłaby to na pewno wspaniała wiadomość – odparłam, kończąc grzebanie w jamie brzusznej i zaszywając ranę jednopiętrowym szwem. – Zbadam usunięte tkanki pod mikroskopem i wtedy będziemy mieli jasność.

Rzuciłam na stolik igłę i reszkę katgutów jodowych, po czym ściągnęłam ubrudzone krwią rękawiczki. Zmieniłam fartuch na czysty, wycierając pot z czoła. Poczułam ulgę, gdy pacjentka wracała do świadomości. Ponieważ wykrzywiała się w grymasach bólu, podałam jej zastrzyk z morfiny. Ledwo wywieziono świeżo zoperowaną chorą na oddział, gdy w sali zjawił się nowy pacjent. Tym razem okazał się nim chłopiec mający nie więcej jak dwa lata. Wyglądał na złęcznionego, ale nie płakał. Już miałam kierować się do wyjścia, gdy zatrzymał mnie doktor Weber, który nieoczekiwanie wbiegł do pomieszczenia.

– Doktor Kader, czy może pani chwilę poczekać? Chciałbym usłyszeć również pani opinię w pewnej sprawie... – nalegał, zatrzymując mnie. – Otóż trafiło do mnie dzisiaj to dziecko – rozpoczął opis przypadku przejętym tonem. – Przed trzema miesiącami uległo wypadkowi, wpadając pod rozpędzony powóz, i cudem uszło z życiem. Matka nie wie, czy synek został uderzony kopytem konia, czy też kołem. Bezpośrednio po zdarzeniu nie badał

go żaden lekarz. To bardzo uboga rodzina, dlatego też zdecydowali się czekać i udać się po pomoc jedynie w ostateczności... – Doktor z trudem przełknął ślinę. – Malec pozostawał przez kilka dni nieprzytomny. Potem wymiotował i miał drgawki, ale z każdym dniem było coraz lepiej, jeśli wierzyć relacji rodziców. Niestety, z tyłu czaszki wybadałem guz wielkości jaja kurzego, który stale się powiększa... Chciałem więc, żeby zerknął na niego chirurg, bo moim zdaniem konieczne jest wykonanie odbarczenia. Nie mam się kogo poradzić – zakończył z ubolewaniem, załamując ręce. Zwróciłam uwagę, że chłopczyk miał zniekształconą główkę w okolicy ciemieniowej. Podeszłam bliżej i dotknęłam delikatnie skóry, pod którą znajdował się chęłboczący guz. Wokół niego można było wyczuć twarde zgrubienie okostnej w postaci wału. Przy dnie musiało dojść niewątpliwie do rozszczepu kości czaszki.

– Według mnie to może być *cephalhydrocele traumatica* – stwierdziłam po krótkim badaniu. – Rzadkie uszkodzenie czaszki występujące praktycznie tylko w pierwszych latach życia. Osobiście spotykałam się z nim czasem po porodach z użyciem kleszczy – dodałam.

– Wykonany rentgenogram wykazał szczelinę w kości ciemieniowej, bez odłamów ani innych zmian – usłyszałam za plecami głos doktora Arensa, który właśnie nacierał skórę spirytusem mydlanym. – Szykuję się do wykonania punkcji – oznajmił, po czym z zachowaniem zasad aseptyki wykonał nakłucie, by upuścić surowiczo-krwisty płyn. Po jego ewakuacji ukazała się szpara w kości ciemieniowej. – Można wyczuć w głębi tętniące mózgowie. Proszę tylko spojrzeć! – wskazał. – Założymy teraz opatrunek uciskowy.

Ku mojemu zaskoczeniu mały pacjent zachowywał się bardzo spokojnie, a pod koniec nawet zasnął.

– Sądzę, że problem wróci szybciej, niż myślimy... – mruknął zafrasowany doktor Weber.

– Dlatego trzeba będzie dokonywać co jakiś czas upustów płynu, aby zmniejszyć guz. Względnie wstrzykiwać rozcieńczoną jodynę, chroniąc pacjenta przed zakażeniem. Jeżeli dziecko przeżyje, za kilka lat konieczna będzie rekonstrukcja kości czaszki – zawyrokował doktor Arens. Spojrzałam na niego z nieukrywanym podziwem, który musiał najpewniej zauważyć. Wypiął dumnie pierś, jakby zawisł na niej niewidzialny medal uznania. Doktor Weber także zwrócił na to uwagę, bo spuścił głowę i odezwał się z rezygnacją:

– Zostawię więc ten przypadek wam, nieustraszonym chirurgom, królom skalpela! Do was wszakże należy wykonywanie trepanacji czaszek, laparotomii czy innych amputacji... Co innego ja, skromny pediatra, posługujący się jedynie stetoskopem i wziernikiem...

Wychodząc z sali, rzucił jeszcze niechętnie spojrzenie w stronę kolegi po fachu, jakby traktował go w tym momencie niczym rywala, po czym wycofał się, nerwowo pochrzäkując. Ja także podążyłam w stronę mojego gabinetu, podejrzewając, że czeka mnie jeszcze sporo pracy tego dnia. Odkąd otworzyłam praktykę, codziennie odwiedzały mnie tłumy pacjentek. Widok kobiety w fartuchu ośmielał je i powodował, że powierzały mi najintymniejsze sekrety. Cieszyłam się, że udało mi się zdobyć ich zaufanie w tak krótkim czasie.

* * *

Pomału musiałam zacząć się przygotowywać do rozpoczęcia nowego życia w domu na czerwonym klifie. Dostałam informację, że w drodze są moje meble w stylu *art déco*, które tak lubiłam, oraz reszta niezbędnych przedmiotów codziennego użytku. W dalszym ciągu czekałam też na auto, mające przypłynąć promem.

Tego dnia otrzymałam również list od Róży, mojej bratniej duszy jeszcze z czasów studiów na uniwersytecie medycznym, która teraz pomagała mi w wielu sprawach, zresztą nie pierwszy raz. Przed wieloma laty uratowała mi życie, za co byłam jej dozgonnie wdzięczna. To wydarzenie scementowało na zawsze naszą przyjaźń. Odkąd wyprowadziłam się tak daleko, miałyśmy rzadszy kontakt. Tym bardziej się ucieszyłam, gdy rozdarłam uperfumowaną kopertę zaadresowaną jej pismem. Przebiegłam wzrokiem po tekście, spodziewając się przede wszystkim dobrych wieści.

*Kochana Lauro,
nawet nie wiesz, jak bardzo brakuje mi Ciebie i naszych rozmów. Odkąd moi synowie rozpoczęli naukę w Berlinie, czuję się bardzo samotna w swoim domu. Alexander zdał na kolejny rok medycyny ze wspaniałymi wynikami. Martwię się jednak o Sebastiana, który zdecydował się porzucić studia prawnicze i zapisał się do partii komunistycznej. Jakby tego było mało, stał się członkiem Związku Bojowego Czerwonego Frontu i brał udział w zamieszkach z nacjonalistami. Bardzo się o niego boję, ale jest kompletnie zatracony w swoich utopijnych ideach. Zakochał się w aktywistce, koleżance z uczelni, córce robotnika, która powoli wciąga go w ten świat. Rodzina przestała mieć na niego jakikolwiek wpływ... Zawsze był niepokorny i niezależny, o naturze buntownika. Nie sądziłam jednak, że sprawy przybiorą taki obrót.*

Nie pisałam Ci jeszcze, chociaż powinnam być może od tego zacząć, że pomiędzy mną a moim mężem Fryderykiem doszło do poważnego rozłamu. Przypadkowo wyszła na jaw pewna sprawa sprzed lat, jeszcze z czasów Wielkiej Wojny, co do reszty zburzyło mój spokój. To, czego się dowiedziałam, przekreśla na zawsze wszystko między nami. On chciałby za wszelką cenę

*ratować nasze małżeństwo, twierdzi, że nadal mnie kocha...
Trudno mi w to jednak uwierzyć... Rodzina, rzecz jasna, pragnie,
abyśmy się pogodzili. Lilia, mimo że chodzi o jej rodzonego brata,
stała po mojej stronie. Potrzebuję teraz czasu i odpoczynku.
Gdybyś się zgodziła, abym odwiedziła Cię w domu
na czerwonym klifie, będę bardzo szczęśliwa. Myślę, że czas
spędzony na Sylcie, z dala od wszystkiego i wszystkich, dobrze
by mi zrobił. Uważaj na siebie i pisz do mnie jak najczęściej!*

Twoja Róża

Przycisnęłam papier do piersi, nabierając głęboko powietrza. Postanowiłam jeszcze dziś odpisać na ten list. Zastanawiałam się, co takiego mogło się wydarzyć w życiu mojej przyjaciółki, że znalazła się w tak trudnym położeniu. Byłam pewna, że wtajemniczy mnie we wszystko, gdy się spotkamy. Wiedziałam, że przed laty u jej mężonka zdiagnozowano obłęd dwoisty, nazwany później przez słynnego niemieckiego psychiatrę Kraepelina cyklotymią. Fryderyk popadał w okresy melancholii, przeplatane nieuzasadnioną euforią, w czasie której był niczym dynamit. Odkąd przeszedł nowoczesną terapię elektrowstrząsami, choroba się wyciszyła – powracała rzadziej i w mniejszym nasileniu. Być może jednak znów dała o sobie znać.

Zastanawiałam się, co słyhać u moich dwóch pozostałych przyjaciółek, z którymi pozostawałam w bliskich kontaktach, odkąd zostałyśmy pierwszymi w historii uczelni kobietami lekarkami. Lilia Hanzel, z domu von Schiller, niebieskooka blondynka, o kredowobladej cerze, która wydawała się najśłabsza z nas, ostatecznie została chirurgiem, jak jej ojciec. Dzielnie leczyła żołnierzy na froncie, wyciągając kule, zszywając przestrzelone naczynia krwionośne czy dokonując amputacji kończyn, w które wdała się gangrena. Pod koniec wojennej zawieruchy została po raz

pierwszy matką. Dziewczynka miała na imię Natalia, a dokładnie rok później urodził się jej upragniony syn Leopold.

Iris, która także była towarzyszką moich dziecięcych zabaw, pochodziła z zamożnej, żydowskiej, kupieckiej rodziny. Po uzyskaniu dyplomu szybko wyszła za mąż za dużo od siebie starszego naukowca, mikrobiologa, i wyprowadziła się do Berlina. Tam urodził się ich jedyny potomek Aaron. Od zawsze w medycynie najbardziej fascynowały ją oczy, toteż wybór dalszej drogi był w jej przypadku niemalże oczywisty. Oddana okulistycznej karierze naukowej, najwyraźniej nie pragnęła więcej dzieci. A może przyczyniła się do tego osobista tragedia, która spotkała ją przed wielu laty. Co jakiś czas widziałam w gazetach lekarskich doniesienia o jej publikacjach czy wystąpieniach na konferencjach. Zajmowała się między innymi leczeniem gruźlicy przedniego odcinka gałki ocznej za pomocą promieni rentgenowskich. Czytając o nowych technikach zabiegowych, jakie stosowała, takich jak naszywanie błony śluzowej policzka na owrzodzenie rogówki celem jego szybszego zagojenia się, zastanawiałam się, gdzie leży kres możliwości rozwoju współczesnej medycyny. Byłam z niej dumna, że tak doskonale radzi sobie w tym męskim, niełatwym świecie medycyny.

W skrzynce pocztowej czekała jeszcze korespondencja od mojego męża. Postanowiłam przeczytać jej treść dopiero przed pójściem spać. Drżącymi rękami odsunęłam kopertę od siebie, kładąc ją na stoliku nocnym. Instynktownie wyczuwałam, że list przynosi niedobre wieści. Sięgnęłam do szuflady po tabletkę weronalu, którego ostatnio nadużywałam, aby uspokoić swoje zszargane nerwy. Ilekroć przełykałam białą, gorzką pigułkę, rozmyślałam o tym, że lek ten o działaniu nasennym i uspokajającym zawdzięczał swoją nazwę włoskiej Weronie, którą jego odkrywca,

Joseph von Mering, uznał za najbardziej spokojne miejsce na świecie. Nigdy tam nie byłam, ale potrafiłam sobie wyobrazić kojącą atmosferę miasta, w którym żyli Romeo i Julia.

Tego popołudnia miałam pojechać z doktorem Arensem obejrzeć dom i wynotować prace niezbędne do wykonania, zanim się do niego wprowadzimy wraz z Hanną i Adalią. Usłyszałam nieśmiałe pukanie, a następnie moich uszu dobiegły słowa:

– Udam się już do auta, bo muszę jeszcze zajrzeć pod maskę, by sprawdzić poziom oleju. Gdy będzie pani gotowa, proszę zejść na dół.

– Dziękuję – odparłam, pośpiesznie ściągając z oparcia krzesła mój kloszowy kapelusz i poprawiając kosmyki włosów.

Nie kazałam na siebie zbyt długo czekać. Zabrałam wierzchnie okrycie z sieni i wyszłam wprost do ogrodu. Mój towarzysz bacznie mi się przypatrywał, a jego szerokie źrenice mieniły się dziwnym blaskiem.

– Czy coś się stało? – zapytałam, zastanawiając się, dlaczego patrzy na mnie w tak dziwny sposób.

– Ależ nie. Po prostu, gdy tak panią obserwuję, coraz bardziej przypomina mi pani kogoś, kto był mi bardzo bliski... Ta sama głębia spojrzenia... Niemal identyczny tembr głosu oraz iskry świecące w oczach. Dostrzegam także inne podobieństwa – orzekł, skupiając wzrok na małym pieprzyku, który miałam od dzieciństwa nad ustami. Zawsze się go wstydziłam i starałam ukryć pod warstwą pudru. Pomimo tego pozostawał jednak widoczny. – Aż trudno mi uwierzyć, że pani pojawienie się tutaj, na Sylcie, jest dziełem przypadku, a nie opatrności! – zakończył tajemniczo, zapalając silnik samochodu.

– Czy chodzi o pańską żonę? – zapytałam niepewnym głosem, a on znieruchomiał niczym posąg, naciskając pedał gazu. Pojazd

przyspieszył gwałtownie.

– Nie sądziłem, że pani o niej wie... – odparł wyraźnie niezadowolony, że poruszam tę kwestię.

– Tylko tyle, że istniała. Nic więcej – rzekłam uspokajająco.

– To dobrze. Krąży tutaj dużo lokalnych plotek, których słuchania się wystrzegam. I panią proszę, by nie dawała im wiary. Bardzo przeżyłem to, co się stało, i teraz już nie chciałbym do tego wracać. Nie było w tym mojej winy, wbrew temu, co mi przypisywano... – zapewnił nienaturalnym głosem, jakby się czegoś obawiał.

Chociaż tak bardzo pragnęłam, aby się przede mną otworzył, zdawałam sobie sprawę, że powinnam zachować milczenie.

– Szykuje się przyptyw. Księżyc w pełni powoduje, że pływy są teraz największe. – Mój towarzysz odezwał się w końcu, gdy zbliżyliśmy się do brzegu. Morskie fale, rozpryskujące się na skałach, wydawały się tego dnia wyjątkowo wysokie. – Niebawem będzie coraz trudniej dostać się na wyspę z uwagi na nadejście jesiennych sztormów...

Domyślałam się, że wypowiedział te słowa jedynie po to, aby odwrócić moją uwagę od tego, o czym rozmawialiśmy wcześniej.

– Chciałabym jak najszybciej zamieszkać w posiadłości na czerwonym klifie – wyznałam, gdy dojeżdżaliśmy do budynku z czerwonej cegły. – Marzę o Bożym Narodzeniu w tym domu, oczekiwaniu na pierwszą gwiazdkę i wigilijną wieczerzę ze stosem prezentów... – popadłam w zadumę.

– To dobry pomysł, ale zapewne nie zdaje sobie pani sprawy z tego, że święta tutaj wyglądają inaczej niż w innych rejonach. Z braku drzew nie ma tradycyjnej choinki, lecz składa się ją z suchych patyków, przyozdabia bluszczem lub bukszpanem i zawiesza figurki z masy solnej.

– Myślę, że pokocham te nowe tradycje – rzekłam z przekonaniem w głosie, kierując się ścieżką prowadzącą do furtki. Z zainteresowaniem rozejrzałam się po otoczeniu.

– Niemalże tuż za ogrodzeniem roztaczają się wydmy. – Mój towarzysz wskazał palcem wzniesienie porośnięte przez rokitnik zwyczajny. Dalej widać było kobierce z połocznika nagiego i rozchodnika. – Część brzegu jest bardzo stroma, bo zajmują go skały, ale zaraz obok jest piaszczysta plaża – relacjonował doktor Arens.

Podaliśmy mu klucze, a on przez chwilę zmagał się z otwarciem furtki. Wreszcie zaskrzypiała donośnie, przypominając, że dawno nikt jej nie używał. Pierwszy raz znalazłam się w tutejszym ogrodzie. Był bardzo zarośnięty, a kolczaste krzewy wystające na dróżkę prowadzącą do domu raz po raz zaczepiały się o moją spódnicę. Pod pantoflami szeleściły niezagrabione, lekko zgniłe liście. Unosił się zapach rozkładających się jabłek, które pospadały z drzew. Mijając zaniedbane klomby i rabaty, dostrzegłam błękitno-pomarańczowe ubarwienie zimorodka, który siedząc na kamiennej studni w ogrodzie, stoszył swoje pióra. Przez nieprzeniknione chaszczki przebijały się gdzieś kwitnące jako jedne z ostatnich dzikie astry i pomarszczone od przymrozków dzwoneczki miechunki. Rozejrzałam się dookoła, myśląc, jak wiele pracy trzeba będzie włożyć, aby przywrócić temu miejscu dawną świetność. Wtem zobaczyłam, że pod murem, gdzie znajdowało się trochę błota, odcisnięte były wyraźnie ślady męskich butów. Pomyślałam z przerażeniem, że ktoś zapewne odwiedza to opuszczone miejsce.

– Chyba domem zaczynają się interesować złodzieje. Dobrze zatem, że budynek nie będzie stał dłużej pusty – skomentował doktor Arens, gdy zauważył moje znalezisko. – Chce pani sama otworzyć zamek? – zapytał, jakby wyczuwając mój niepokój.

Nie miałam pewności, co zastanę za drewnianymi, pomalowanymi na modry kolor drzwiami z okrągłym witrażem na środku. Zauważyłam przyklepioną do nich żeliwną kołatkę z maskaronem, wokół którego wiły się dwa węże.

– Nie, proszę to zrobić. – Drżącą dłonią uczyniłam gest wskazujący, by poszedł przodem. Rygiel szczęknął dwa razy, zanim ukazała się szpara na progu, a my poczuliśmy zapach stęchlizny zmieszany z wilgocią. To był przełomowy moment. Przekraczałam po raz pierwszy próg swojego nowego domu. Wdychałam zapach przeszłości, wciągając powietrze głęboko do płuc.

Weszliśmy do ciasnej sieni, w której wisiało kilka płaszczy, a dopiero później do obszernego hallu. Coś połaskotało mnie po twarzy. Skrzywiłam się z obrzydzeniem, ściągając pajęczynę z policzków. W środku panował półmrok. Podążyłam dalej, stąpając uważnie. Korytarz prowadził najpierw do kuchni.

– Myślę, że nie będzie problemu, aby podciągnąć tutaj instalację elektryczną – zawyrokował mój towarzysz, znajdując na parapecie pudełko zapalek i zapalając olejną lampę, która wypełniła wnętrze ciepłym światłem.

Zobaczyłam piec obłożony wzorzystymi, ceramicznymi kaflami w kolorze biało-niebieskim, przedstawiającymi sceny rodzajowe. Pod fajerkami był jeszcze niesprzątnięty popiół. Stało tam też kilka garnków, a w jednym znalazłam spleśniałą potrawę. Na ścianach wisiały półki z ciemnego drewna, na którym wyeksponowano biskwitowe talerze, kamionkowe beczułki oraz miedziane dzbanki. W rogu stał kosz wiklinowy z ziemniakami, które miały już pobrużdżoną ze starości skórę ze sterczącymi kielkami. Wewnątrz znajdował się również magiel kołowy i cynkowa bania na naftę.

Przysiadłam przy kuchennym stole obok okna. Na szybach brzęczały duże, czarne muchy, próbujące wydostać się na zewnątrz.

Nagle poczułam pod dłonią delikatne ukłucie. Szybko cofnęłam rękę, wzdrygając się. Na haftowanej serwecie leżały czyjeś obcięte paznokcie, a obok nich zardzewiałe nożyczki, które ktoś zapomniał sprzątnąć. Mimowolnie wstrząsnęły mną dreszcze obrzydzenia. Pośpiesznie zwinęłam nakrycie, aby wytrzepać je na zewnątrz. Zastanawiałam się, ile jeszcze takich nieprzyjemnych odkryć czeka na mnie tutaj. Doktor Arens w tym czasie obchodził resztę pomieszczeń. Trafił między innymi do spiżarni, z której wyszedł z zakurzonym słoikiem w ręku.

– Są tutaj całkiem niezłe zapasy. Znalazłem tradycyjną fryzyjską konfiturę z porzeczek, malin, jeżyn, borówek oraz wiśni, z dodatkiem semoliny. Proszę tylko zajrzeć do schowka! Jest sprytnie ukryty za regałem.

– To wspaniale! Spróbuję nam zagotować herbaty – zaoferowałam, rozcierając zgrabiałe z zimna ręce i biorąc do rąk czajnik.

– Wyśmienity pomysł – usłyszałam w odpowiedzi.

W końcu udało mi się rozpalić ogień pod kuchnią, a po chwili w domu rozległo się gwizdanie czajnika informujące, że woda się zagotowała. Bez trudu znalazłam blaszaną puszkę z suszonymi liśćmi do sporządzenia naparu i platerową cukiernicę z kostkami cukru w kształcie serca. Kilka minut później, trzymając w ręku parującą filiżankę, przechadzałam się po pozostałych pokojach. Po raz pierwszy poczułam się w tym miejscu całkiem przyjemnie.

Dom wyposażony był bogato. W jadalni znajdował się duży, owalny, drewniany stół z rzeźbionymi krzesłami obitymi oliwkowym aksamitem. Ściany zostały oklejone błękitną, wzorzystą tapetą. Wisiały na nich obrazy przedstawiające w większości okręty na wzburzonym falach, poza jednym, który był reprodukcją *Ostatniej Wieczery* Leonarda da Vinci. Sądząc po tym

i po obecności krzyży, ciotka, podobnie jak większość miejscowej społeczności, musiała być osobą religijną. Pomieszczenie było ponure, ale miały je rozświetlać świeczniki z odblasznicami. Wewnątrz panował półmrok. Na suficie namalowano plafon przedstawiający sceny marynistyczne. Pod moimi obcasami skrzypiała drewniana podłoga w kolorze hebanu. W przeszklonych witrynach ustawiono rozmaite porcelanowe figurki i zdobione serwisy do kawy. Była tam postać idyllicznej pastereczki z gąskami, dziewczę trzymające owieczkę z dzwonkiem na szyi, cherubiny w tańcu, amorki ostrzające strzały i najbardziej niepokojąca – figurka przedstawiająca orła, który w szponach trzymał martwą ofiarę.

W salonie znalazłam zegar szafkowy z kurantem, który udało mi się nakręcić. Oprócz niego była także kanapa oraz kominek z ozdobnym gzymsem, na którym postawiono czteroramienne kandelabry. Obok stały dwa fotele z oparciami i podnóżkiem. Wnętrze oświetlała lampa wisząca z amplą oraz druga, kolumnowa, z trzonem z onyksu w stylu secesyjnym, zdobiona dodatkowo ornamentem kwiatowym.

Na parterze znajdował się także niewielki gabinet z biurkiem i małą biblioteka. Stały tam głównie romantyczne powieści i kilka książek kucharskich, w tym jedna o tytule *Receptury na czas wojny* z 1915 roku, z emblematem carskiego orła na okładce. Zawierała instrukcje dla gospodyń domowych odnośnie do prostego i taniego odżywiania w czasach, gdy panował powszechny głód. Moja krewna musiała się też lubować w literaturze grozy, bo na honorowym miejscu postawiono przekład noweli *Doktor Jekyll i pan Hyde* oraz *Frankensteina* autorstwa Mary Shelley, a także napisane w duchu czarnego romantyzmu powieści *Piaskun* i *Diable eliksiry* autorstwa Hoffmanna.

Ruszyłam schodami na piętro, gdzie było aż sześć sypialni, znajdujących się w obu skrzydłach domu. Starodawne łóżka umieszczono w specjalnych wnękach, zasłoniętych kotarą. Uniosłam jedną z nich, a w powietrze wzbiły się tumany kurzu. Przetarłam rękawem szybę i wyjrzałam przez okrągłe okno, za którym w oddali roztaczała się tafla morza.

– Ta kamienna budowla w ogrodzie musi być lodownią – stwierdził mój towarzysz, wskazując na niewielki wzgórek. Dotychczas nie miałam potrzeby posiadania takich pomieszczeń, bo łód w celu przechowywania żywności można było bez problemu kupić w mieście.

Idąc wzdłuż ścian, dotykałam palcami wzorzystej tapety w róże położonej w korytarzu. Doktor Arens przez cały czas towarzyszył mi, tłumacząc, co będzie jego zdaniem wymagało natychmiastowego remontu, a co będzie mogło jeszcze trochę poczekać. Nie ukrywałam przed nim, że na ten moment nie stać mnie było na większe wydatki i chciałam ograniczyć się do niezbędnego minimum. Weszłam do największego z pomieszczeń, w którym znajdowała się lukarna, wpuszczająca teraz resztki promieni zachodzącego słońca. Domyśliłam się, że to najprawdopodobniej alkowa mojej ciotki. Zapewne kochała lustra, bo na jednej ze ścian wisiały aż trzy, sięgające niemalże od podłogi do sufitu. Uwagę przykuwało duże łóżko z orzechowego drewna, w stylu neorokokowym, wsparte na czterech esowatych nóżkach. Wezglowie było ozdobione licznymi elementami floralnymi oraz muszlami rocaillowymi, a zwieńczone rzeźbą kobiety odzianej w tunikę, przeglądającej się w zwierciadle. Została ona otoczona ozdobami z ażurowych liści akantu i kwiatów, na przyczółku niższym umieszczono zaś uskrzydłone główki puttów. Było to prawdziwie królewskie łoże, oddające wyrafinowany gust swojej

właścicielki i zdradzające skłonności do luksusu. Dookoła porozkładane były części damskiej garderoby, jakby Sybilla Gebler wyszła jedynie na chwilę i zaraz miała tutaj wrócić. Na rzeźbionej konsoli stały niedbale poustawiane flakony z perfumami, szminki oraz pudernica. Poczułam nagły ścisk w żołądku. Wdychając jej zapach, czułam przez chwilę, jakbym przez kilka sekund mogła spojrzeć na świat przez źrenice zmarłej krewnej. Widziałam teraz wszystko oczami kobiety, której wyglądu nawet nie znałam. Nie miałam pojęcia, jak brzmiał jej głos i śmiech, jakie były jej marzenia oraz refleksje. Zastanawiałam się, czy miała poczucie humoru i lubiła żartować, czy była raczej stonowana i melancholijna. Próbowałam odgadnąć, co stanowiło jej pasję, a czego szczerze nie znosiła. Pozostawała dla mnie wielką, nieprzeniknioną zagadką, którą próbowałam zgłębiać po omacku, jak niewidomy, przesuwający palcami po alfabecie Braille'a. Teraz miałam zamieszkać w jej domu i sekretnym świecie, w którym się ukrywała. Nagle usłyszałam z dołu skrzywienie drzwi, a potem huk zamykanego okna, aż zadrżały szyby.

– Czy jest tu ktoś jeszcze? – zapytałam złęknioma, przypominając sobie ślady wokół budynku.

– Proszę poczekać, pójdę sprawdzić – odezwał się doktor Arens. – Prawdopodobnie to tylko przeciąg.

Słyszałam kroki mojego towarzysza idącego po schodach na parter i czułam, jak rośnie we mnie napięcie. Wydawało mi się, że słyszę jakiś szelest i delikatne stukanie na dole.

– Ach, mam cię, łajdaku! – usłyszałam niespodziewany okrzyk, a następnie wybuch śmiechu. Zbiegłam na dół, by zobaczyć, co się stało. W jednym z pokoiw latał przestraszony gawron. – Musiał dostać się kominem albo przez niedomknięte okno. Zaraz się go pozbędziemy! – To powiedziawszy, doktor próbował przepłoszyć

ptaszysko. – Sama pani widzi, że większość dziwnych i niepokojących odgłosów ma jednak swoje racjonalne wytłumaczenie.

Odetchnęłam z ulgą, łapiąc się ręką za serce. Nadszedł czas, by wracać. Na zewnątrz zapanowała już prawie ciemność. W drodze powrotnej popadłam w zadumę. Zdawałam sobie sprawę z tego, że upłyną tygodnie, o ile nie miesiące, zanim zdołam uporządkować wszystkie rzeczy, jakie otrzymałam w spadku. Czułam jednak przypływ optymizmu i sił, wpatrując się w rozgwieżdżone niebo, jakie rozpościerało się nad naszymi głowami.

* * *

W domu pachniało wieczerzą. Tym razem na talerzach leżało przygotowane przez Teresę i czekające na nasz powrót tradycyjne danie z północy, nazywane przez miejscowych *labskaus*. Choć było smaczne, to jego widok mógł niejednego przyprawiać o mdłości. Głównym składnikiem tej potrawy była papka z solonego mięsa, ziemniaków oraz cebuli, z dodatkiem gotowanych buraków, korniszonów i sadzonego jajka.

Udałam się na górę, by opowiedzieć dziewczynkom, co zastałam w rezydencji na czerwonym klifie. Zapukałam do drzwi, lecz nie otrzymałam odpowiedzi, chociaż byłam pewna, że są w środku. Zdecydowałam się więc wejść pomimo braku zaproszenia. Moja obecność została całkowicie przez nie zignorowana. Obie udawały, że są pochłonięte lekturą.

– Dlaczego nic nie mówicie? – zaczęłam, siadając na łóżku jednej z nich.

Po chwili dłuższego milczenia Hanna zdecydowała się zabrać głos. Jej twarz była blada z przejęcia, a krtań drgała nerwowo.

– Okłamałaś nas... – Wymierzyła oskarżycielsko palec w moją stronę. – On wcale do nas nie przyjedzie... Nasz tata nigdy już nie będzie mieszkał razem z nami! Postanowił odejść na zawsze! – Wybuchła szlochem.

– Skąd to wiecie?! – zapytałam, czując, jak zaczyna mi się łamać głos.

W odpowiedzi otrzymałam otwartą kopertę z listem, który przyszedł dzisiejszą pocztą. W pierwszej chwili zagotowałam się z gniewu, że moje dzieci otworzyły korespondencję, która nie była dla nich przeznaczona. Później jednak pomyślałam, że wszczynanie teraz awantury z pewnością nie polepszy i tak już trudnej sytuacji.

– Chciałam wam o tym powiedzieć, ale do tej pory nie było okazji... Drogi moja i waszego ojca rozeszły się bezpowrotnie już wiele lat temu. Tak naprawdę stało się to wtedy, gdy odszedł wasz brat Adam... Dawno wypaliło się uczucie, które było między nami. Ale to nie znaczy, że przestaliśmy was kochać – tłumaczyłam się rozpaczliwie.

– To wszystko twoja wina! – wyszlochała Adalia. – Potrafisz kochać tylko siebie.

– I oczywiście swoją pracę! – wtórowała jej siostra. – My się już dla ciebie nie liczymy!

– Nie podoba nam się ta wyspa! Chcemy wracać. Pojechać do domu, do naszego domu... – zawodziły żałośnie.

– Nie chcę tego słuchać! – przerwałam im. – Zostaniecie tutaj ze mną, czy wam się to podoba, czy nie – rzekłam, starając się, by mój ton brzmiał stanowczo i ze spokojem, chociaż wewnątrz mnie szalał huragan. – Docieńcie to, jak ciężko pracuję i staram się, aby było wam dobrze i niczego wam nie zabrakło. Nie jest mi lekko, uwierzcie mi. A teraz doprowadźcie się natychmiast do porządku i zejździe na dół na kolację! – Ostatnie słowa

wypowiedziałam podniesionym tonem, czując, że za chwilę sama wybuchnę płaczem.

Opuściłam pokój i zamknęłam za sobą drzwi. Czułam, jak cała drzę z wściekłości i bezsilności. Uważałam, że córki nie mają prawa tak mnie oceniać. Ale nie były świadome tego, przez co przeszłam w życiu. Nigdy im się nie zwierzałam ani nie skarżyłam.

Od dłuższego czasu towarzyszyła mi myśl, że jestem złą matką. Spostrzeżenie to mnie dobijało. Dodatkowo teraz bałam się, że nasza kłótnia mogła zostać przypadkowo usłyszana przez doktora Arensa bądź Teresę, co rzuci na mnie niekorzystne światło. Nie chciałam, aby moje rodzinne kłopoty wyszły na jaw. Gdy pojawiłam się w jadalni, wszyscy byli już przy stole. Moje latorośle zachowywały się grzecznie, tylko co jakiś czas rzucały mi niechętnie spojrzenia.

– Na wyspie grasuje jakiś złodziej – odezwała się gospodyni, aby przerwać dręczącą ciszę. – Rozmawiałam z kilkoma sąsiadkami, które zauważyły, że pod osłoną nocy ktoś zakrada się do gospodarstw. Ginie głównie żywność. Nie udało się go złapać, więc trzeba uważać – przestrzegła.

Od razu przypomniałam sobie ślady wokół domu na czerwonym klifie. Poczułam niemiły dreszcz przechodzący przez całe ciało.

– To musi być ktoś obcy. Mieszkańcy raczej znają się nawzajem... – mruknął doktor Arens, niespecjalnie zainteresowany tematem.

– Jedna z pań z naszego koła dziewiarskiego stwierdziła, że w nocy natknęła się na lekko kulejącego mężczyznę, który samotnie szedł w kierunku Keitum. Miała w ręku ledwie tłącą się lampę naftową, toteż nie była w stanie wiele dostrzec. Przestraszyła się i czym prędzej uciekła. – Teresa gestykulowała z przejęciem. – Twierdziła, że miał dziwnie zdeformowaną głowę... – Ostatnie słowa wypowiedziała ściszym, upiornym szeptem, aż poczułam

na karku dziwne mrowienie. – Teraz kobiety ze wsi boją się wychodzić samotnie po zmroku.

– Być może to jeden z tych ciągle włóczących się po kraju inwalidów wojennych, który nie może sobie znaleźć miejsca. To tak zwane złamane twarze, żołnierze bezpowrotnie okaleczeni i oszpeceni na froncie. Ich wygląd nie daje im szansy na normalne życie pośród ludzi, dlatego trzymają się na uboczu. Nie są oni z reguły groźni. Wystarczy dać im kilka fenigów zapomogi i idą dalej – skomentował doktor Arens, na którym opowiedziana historia nie zrobiła większego wrażenia.

– Nie byłabym tego taka pewna... – Teresa pozornie dała za wygraną, bo wstała od stołu i zaczęła zbierać puste talerze, widziałam jednak urazę malującą się na jej obliczu. Informacja, którą nam przekazała, została zlekceważona. – Obyśmy tylko nie mieli okazji przekonać się, że byliśmy w błędzie! – rzuciła złowrogo, wracając do kuchni.

Pan domu nie zważał jednak na jej gadanie. Patrzył w dal, na pustkowie, i zaciągał się fajką trzymaną w zębach. Odnosiło się wrażenie, że jego myśli unoszą się wraz z wypuszczanym dymem.

Tego dnia udałam się wcześniej do mojej sypialni. Czułam ból głowy i zmęczenie. Nie mogąc zasnąć, otworzyłam szeroko okno i próbowałam przeniknąć wzrokiem panującą dookoła ciemność. Czułam się przeraźliwie samotna. Tak bardzo pragnęłam usłyszeć czyjś głos. Pragnęłam, by ktoś przytulił mnie i zapewnił, że wszystko będzie dobrze, chociażby miało się to okazać nieprawdą... Odpowiadała mi jedynie martwota panująca wokół, przerywana szumem fal w oddali...

ROZDZIAŁ VII

Do gabinetu przez grube zasłony wpadały nikłe promienie popołudniowego słońca. W powietrzu leniwie unosiły się drobinki kurzu. Przede mną, na fotelu ginekologicznym siedziała pacjentka ubrana jedynie w bawełnianą koszulę. Zarysowywały się pod nią wychudzony szkielet i wisząca skóra na brzuchu. Była pomarszczona jak suszona śliwka i pobrużdżona srebrzystymi rozstępami. Chociaż młodsza ode mnie, wyglądała o wiele starzej. Wielokrotne ciąży i porody zrobiły swoje. Jej kości stały się cienkie od osteoporozy, pracy ponad siły i zapewne nie najlepszego odżywiania.

– Chodzi o to, pani doktor, że ja już nie chcę po raz kolejny być brzemienna, a mój mąż nie zachowa wstrzeźliwości. Wie pani, jak to jest z męskimi potrzebami... – żaliła się, spoglądając na mnie cierpiącym wzrokiem.

Westchnęłam ciężko. Problem ten był mi znany aż za dobrze jako lekarce. Kobiety brały ślub często jeszcze jako młode dziewczyny, a przez kolejne lata rokrocznie wydawały na świat potomstwo. Nieraz nie udawało im się przeżyć porodu bądź połogu i osierocały swoje dzieci. Inne, na skraju wyczerpania, umierały przedwcześnie. Jakakolwiek forma zapobiegania ciąży była uznawana przez pobożne niewiasty lub ich mężów za ciężki grzech i sprzeciwianie się boskiemu rozkazowi, jaki otrzymał Noe po potopie – aby się rozmnażać i zaludnić ziemię. Państwo także popierało liczną prokreację, formalnie walcząc o każde ludzkie istnienie. Nawet bardzo znane naukowe czasopismo „Lancet” stało na straży poglądu,

że żona, której mąż praktykuje zapobieganie ciąży, siłą rzeczy równa się z prostytutką.

Różne poradniki, w tym *Higiena życia płciowego* autorstwa Maxa von Grubera, rozpowszechniały informacje, jakoby stosunek dawał kobiecie rozkosz i szczęście jedynie wtedy, gdy mogła mieć nadzieję, że zostanie dzięki temu matką.

Ginekolodzy, którzy oficjalnie przeciwstawiali się takim poglądom, nie mieli łatwo i narażali się na groźby czy nawet wykluczenie z grona lekarskiego. Wystarczy wspomnieć Wilhelma Mensingę, wynalazcę pessarium, czyli gumowej nakładki z elastycznymi brzegami, którą nakładano na szyjkę macicy, aby uniemożliwić przedostanie się nasienia i jego kontakt z komórką jajową. Lekarz ten był nie tylko szykanowany, ale padł na niego również ciężki zarzut niszczenia ludzkości.

– Wcześniej starałam się zapobiegać poczęciu poprzez płukanie pochwy wodą z dodatkiem ałunu, cukru ołowianego, kory dębu lub octu. Jednakże metoda ta w moim przypadku nie okazała się skuteczna. Innej nie mogłam zastosować, by nie dowiedział się o tym mój mąż... – wyznała pacjentka, spuszczając smutnie głowę.

Domyślałam się, że w tej sytuacji nie wchodzi w grę stosowanie kondomów, które odkąd wynaleziono kauczuk, stały się bardziej dostępne niż te wykonywane z jelit czy pęcherzy zwierzęcych. Od 1912 roku produkowano je również z lateksu.

Problem antykoncepcji był zresztą stary jak świat. Już w starożytności poszukiwano metod, by kontrolować liczbę urodzeń. I tak kochankowie w dawnym Egipcie stosowali prezerwatywy wykonane z papirusu, a kobiety wkładały sobie do wagiń odchody zwierząt uznanych za magiczne, takich jak krokodyl czy hipopotam. Hipokrates zalecał picie mikstury z dodatkiem siarczanu miedzi, aby zapobiec niechcianym poczęciom.

Rzymianki wykonywały specjalne korki z alg i wodorostów. Jednak najśłynniejszym środkiem było *silphium*, krzew o żółtych kwiatach i długiej łodydze, pochodzący z Afryki. Roślina ta stała się ofiarą własnej popularności, bo tak eksploatowano jej zasoby, że wyginęła. Cudowny specyfik przetrwał do naszych czasów tylko na starożytnych obrazkach. Później, wraz z nadejściem średniowiecza i rosnącym wpływem Kościoła na życie seksualne wiernych, zaniechano wielu ze znanych wcześniej sposobów. Zadbano też o to, by usunąć z istniejących pism wiedzę na temat antykoncepcji. Dalsze wzmianki o ograniczaniu płodności pojawiają się między innymi we wspomnieniach Casanovy, który używał prezerwatyw z jagnięcych jelit lub kozich wyrostków robaczkowych. Metresy z kolei chętnie stosowały wydrążone połówki cytryn, zatyczki z wosku czy gąbki nasączone octem. W XVII wieku we Francji w sypialniach pojawiły się bidety, przeznaczone do wypłukania plemników z dróg rodnych zaraz po odbytym stosunku.

Żadna z tych metod nie była jednak w pełni skuteczna, nie mówiąc już o tym, że często wymagała zgody obydwu stron na jej stosowanie, co w niektórych przypadkach pozbawiało kobietę szans na uniknięcie poczęcia.

W ostatnim czasie przeczytałam w czasopiśmie ginekologicznym o pojawieniu się specjalnej wkładki domacicznej autorstwa berlińskiego ginekologa Ernsta Gräfenberga – w formie pierścienia ze srebrnego drutu. Zainteresowałam się bliżej tym wynalazkiem, który wydawał mi się wprost genialny, i w swoich zapasach miałam kilka sztuk na wszelki wypadek. Do stosowania głównie wówczas, gdy stan brzemienny mógł być zagrożeniem dla życia kobiety z powodu innych towarzyszących jej chorób.

Intuicyjnie wyczułam, że mąż mojej pacjentki zapewne nie wie o jej wizycie u mnie i że będzie musiało to pozostać w tajemnicy.

– Jest pewien sposób... – przerwałam męczące milczenie. – Konieczne będzie wykonanie krótkiego zabiegu w narkozie eterowej – wyjaśniłam, a niewiasta popatrzyła na mnie z niemą wdzięcznością. – Najpierw będę musiała jednak wykluczyć, czy nie jest pani we wczesnej ciąży. W tym celu potrzebuję próbki porannego moczu – zakończyłam, kierując się w stronę biurka.

Jednym z testów na ustalenie, czy kobieta nie jest przy nadziei, była technika odkryta przez Aschheima i Zondeka, a polegająca na wstrzyknięciu pobranego moczu w kilku porcjach myszom. Gryzoni zabijano po pięciu dniach i robiono im badania. W przypadku wyniku dodatniego można było stwierdzić przyspieszone dojrzewanie pęcherzyków Graafa z krwawymi punktami na jajnikach. Niektórzy lekarze używali modyfikacji tej metody, wykorzystując do niej młode szczury i przekonując, że jest ona wówczas dokładniejsza.

Umówiliśmy się więc, że pacjentka wróci do mnie nazajutrz. Miałam nadzieję, że nikt nie dowie się o tym, w jaki sposób postanowiłam jej pomóc. Zdawałam sobie sprawę, że stąпам po bardzo niebezpiecznym gruncie, zważywszy na to, jak konserwatywna była tutejsza społeczność.

W poczekalni, ku mojemu zaskoczeniu, siedział jeszcze pewien elegancko ubrany gentleman. W oczekiwaniu skręcał swoje długie wąsy palcami poźółkłymi od tytoniu.

– Pani doktor... – zaczął nieśmiało. – Czy moglibyśmy pomówić na osobności? – zapytał niepewnie, rozglądając się dookoła. Problem, z jakim przychodził, musiał należeć do rodzaju wstydlivych.

– Oczywiście – odparłam i zaprosiłam mężczyznę do gabinetu. Przez lata pracy zdażyłam się przyzwyczaić do tego, że przychodzili do mnie mężowie, narzeczeni lub kochankowie moich pacjentek, a kwestie, z jakimi się zgłaszali, najczęściej dotyczyły ich seksualności. – Słucham pana – zachęciłam gościa do rozmowy, zamykając drzwi gabinetu.

– Sprawa, z którą przychodzę, jest natury bardzo delikatnej. Ale słyszałem od mojego przyjaciela, pana Gestnera, że można ufać pani umiejętnościom i wiedzy – wyjaśnił zmieszany, drapiąc się po głowie. Jego wzrok błędniał niespokojnie, jakby szukał drogi ucieczki.

– Chętnie pomogę, o ile zdołam – zapewniłam, starając się, by mój ton dodał mu odwagi.

– Chodzi o moją małżonkę. Jesteśmy po ślubie już ładnych kilka tygodni, a ona nie pozwala mi się do siebie zbliżyć. Na każdą próbę współżycia reaguje histerią, twierdząc, że odczuwa taki ból, jakby ktoś przeszywał ją sztyletem... – wyrzucił z siebie jednym tchem. – Przyszedłem do pani sam, bez jej wiedzy, bo może istnieją jakieś proszki czy tabletki, które mogłaby zażywać przed pójściem do alkowy... – Rozłożył bezradnie ręce.

Z opisu domyślałam się, że musi to być przypadek dolegliwości nazywanej *vaginismus*, zdiagnozowanej po raz pierwszy przez amerykańskiego ginekologa Simsa w 1861 roku. Opisował on ją jako drażliwą, spazmatyczną reakcję, wywoływaną przez najdelikatniejszy dotyk. Samo dotknięcie pędzelkiem z włosia wielbłąda lub ptasim piórem w okolicy ujścia narządów rodnych wywoływało taką reakcję bólową, że badana niewiasta krzyczała, porównując swoje odczucia do dźgania metalowym ostrzem. Przypadłość, chociaż z pozoru wydawała się błaha, była o tyle poważna, że uniemożliwiała pożycie małżeńskie i nie pozwalała

na poczęcie potomka. Słyszałam, że niektórzy lekarze w dramatycznych przypadkach stosowali nawet u swoich pacjentek krótkotrwałą narkozę eterową, aby umożliwić im odbycie aktu płciowego celem prokreacji.

– Będę musiała zbadać pańską żonę – powiedziałam, przerywając ciszę. – Wydaje mi się, że zdołam znaleźć jakieś rozwiązanie, by zaradzić tym trudnościom – zakończyłam z uśmiechem. Mój rozmówca także się rozpromienił.

– Przyprowadzę ją najszybciej, jak się da – rzekł, kłaniając się w pas z wdzięcznością.

Zostałam ponownie sama. Sięgnęłam do witryny po jeden z moich podręczników. Były tam opisane sposoby leczenia pochwicy. W łagodnych postaciach stosowano stopniowe rozciąganie wagi za pomocą szklanych baniek. W innych konieczne było postępowanie operacyjne, z wycięciem resztek błony dziewiczej i nacięciem warstwy mięśni. Decyzję co do dalszej terapii mogłam podjąć jednak dopiero po wizycie chorej w ambulatorium.

Mogłam już zakończyć pracę, bo korytarz zupełnie opustoszał. Przed szpitalem stał mój zaparkowany horch z pięknie lśniąca w blasku zachodzącego słońca białą karoserią. Przybył na wyspę kilka dni wcześniej promem. Jako kobieta i kierowca wzbudzałam tu ciągle niemałą sensację. Prowadzić automobil nauczył mnie Tadeusz, który jako jeden z pierwszych w mieście przesiadł się do pojazdu silnikowego. Teraz już trudno było mi wyobrazić sobie życie bez motoryzacji.

Ten dzień był wyjątkowy, ponieważ po raz pierwszy miałyśmy zanocować w posiadłości mojej zmarłej ciotki. W ostatnim czasie spędzałam każdą wolną chwilę, by przy pomocy Teresy, Oskara i doktora Arensa doprowadzić budynek do porządku. Ten ostatni

wydawał się szczególnie zasmucony faktem, że opuszczamy jego progi.

– Znów będzie tak cicho i pusto – westchnął smutno, pomagając mi znosić walizki po schodach.

– Będzie pan zawsze u nas mile widzianym gościem! – zapewniłam. – Na szczęście czerwony klif jest całkiem niedaleko. Można nawet przejść się plażą przy okazji spaceru z psami.

Widziałam, że moje zaproszenie wyraźnie go ucieszyło, i byłam pewna, że będzie chciał z niego często korzystać. Dziewczynki pożegnały się grzecznie, aczkolwiek dość chłodno, mierząc doktora niechętnym spojrzeniem. Usiadły na tylnych fotelach wozu i popędzały mnie, by jak najszybciej wyruszać do nowego domu, bo zaczynał zapadać zmrok.

Jechałyśmy na północ Syltu po ciemnej szosie, oświetlanej teraz jedynie przez gwiazdy i oddaloną latarnię morską, znajdującą się na krańcu wyspy. Dookoła panowała ciemność, a my zostawiałyśmy przeszłość za nami. Skręciłyśmy w bok z głównej drogi, kierując się w stronę bramy. W pewnym momencie w świetle reflektora ukazała mi się tuż przed maską tajemnicza ciemna postać. W ostatniej chwili odskoczyła na pobocze, po czym zniknęła równie niespodziewanie, jak się pojawiła. Niezwłocznie nacisnęłam pedał hamulca, aż zapiszczały opony. Przy gwałtownym hamowaniu silnik zgasł, a pojazd zatrzymał się, mocno szarpiąc. Jeszcze przez chwilę nie mogłam z wrażenia złapać tchu, dygotałam tylko na całym ciele. To cud, że nie doszło do wypadku, być może tragicznego w skutkach. Zastanawiałam się, kto to mógł być i dlaczego przemierzał pod osłoną nocy tutejsze okolice. Fantazja podpowiadała mi różne możliwe wyjaśnienia.

– Mamo, co się stało? – zapytała zatroskana Hanna. Rozcierała dłonią guz, którego nabiła sobie, uderzając o blachę.

– Też go widziałyście?! – zapytałam, starając się opanować emocje.

– Nie, nikogo tutaj nie było – odparła ze spokojem Adalia. – Pewnie musiało ci się coś przywidzieć. Wyobraźnia lubi robić niespodzianki, zwłaszcza gdy mózg jest przemęczony – dokończyła, cytując moje własne słowa.

Powoli przekręciłam kluczyk w stacyjce i ponownie ruszyliśmy. Już sama nie byłam pewna, czy tajemniczy człowiek istniał naprawdę, czy był tylko moją halucynacją. Wkrótce w nikłej poświacie księżyca otwierałam już drzwi wejściowe. Skrzypnęły niemiło na powitanie. Pan Arens zapomniał je naoliwić, mimo że obiecał. Ze środka doszedł nas delikatny zapach wilgoci.

– Możecie iść i zobaczyć, jaki pokój czeka na was na górze – zwróciłam się do córek, gdy zapaliłam lampę i hall wypełniło ciepłe światło. Dziewczynki spojrzały na siebie niepewnym wzrokiem, nie ruszając się z miejsca. – O co chodzi? – zapytałam, marszcząc brwi.

– Wiemy, że to miejsce nie jest takie, jakby się mogło wydawać – zaczęła Hanna.

– Co masz na myśli?

– W szkole dowiedziałyśmy się, jaka była jego historia. Nie jest łatwo mieszkać tam, gdzie krąży klątwa i śmierć – wyjaśniła. – W tych ścianach czai się zło...

– Podobno każdy, kto przebywał w rezydencji na czerwonym klifie, stawał się szaleńcem... – wtrąciła drżącym głosem Adalia.

– Bzdury! – zaprotestowałam stanowczo, przykładając dłoń do skroni. Czułam, że znów zaczyna nieznośnie boleć mnie głowa, co w ostatnim czasie zdarzało mi się dość często. – To zabobony stworzone przez ludzi niewykształconych. Wszystko ma swoje racjonalne wytłumaczenie, te tragiczne zdarzenia, które miały tutaj miejsce, także. Zapewniam was, że nic nam nie grozi!

– Ale obiecaj, że jeżeli tylko coś dziwnego zacznie się dziać, uciekniemy stąd i wrócimy do Breslau – poprosiła moja młodsza latorośl, z wysiłkiem przełykając ślinę przez ściśnięte gardło.

– Zrozumcie, że teraz tutaj jest nasz nowy dom. Musicie się do tego przyzwyczaić. Zobaczcie tylko, ile pracy zostało włożone, aby odremontować wewnątrz i przywrócić mu chociaż częściowo dawny blask.

Ruszyłam schodami na górę. W ciągu ostatnich tygodni pozbyłam się niemalże wszystkich oszczędności, wykonując najpilniejsze prace konserwacyjne. Zdawałam sobie sprawę, że była to jedynie kropla w morzu, bo posiadłość była bardzo zaniedbana. Zaczęłam od naprawy ogrodzenia, w obronie przed ewentualnymi włamywaczami. Cieśla musiał wymienić kilka przegniłych krokwi, a dekarz prawie cały dach ze strzechy, który miejscami przeciekał. Położono więc świeże snopki *Phragmites australis*, gatunku używanego tutaj powszechnie jako budulec. Nie udało mi się niestety wymienić instalacji hydraulicznej, która była z pewnością przestarzała, bo często leciała z niej woda rdzawego koloru. Podciągnięto za to elektryczność, co bardzo ułatwiło życie. Poza pokojem córek pozostawiłam wszędzie stary wystrój. Postarałam się jednak, aby pomieszczenia stały się przytulniejsze. Dołożyłam kilka swoich secesyjnych mebli z rzeźbionymi motywami kwiatowymi i zawiesiłam nowe zasłony. Domyślałam się, że najpewniej nikt nie odnawiał budynku od momentu, gdy go postawiono.

– W waszej sypialni wszystko jest nowe. Tapety, dywany, meble...

– Przynajmniej nie musimy mieszkać już pod jednym dachem ze starym doktorem, który chciałby za wszelką cenę zająć miejsce naszego taty – mruknęła Hanna pod nosem, sądząc zapewne, że nie usłyszę jej słów.

– Młoda damo, nie życzę sobie podobnych komentarzy! – skarciłam ją. – To są sprawy dorosłych, w które nie powinnaś się wtrącać.

Zamilkła zgaszona, rzucając mi ukradkiem nieprzychylnie spojrzenia. Gdy się rozpakowałyśmy, przynajmniej częściowo, zeszłam do kuchni, aby przygotować kolację. Nasza pierwsza wieczerza była dość skromna. Składała się na nią konserwa z tuńczykiem i pajda razowego chleba, popijana czarną herbatą. Cieszyłam się jednak, patrząc na buzujący w kominku ogień, i chciwie wyciągałam w jego stronę zziębnięte dłonie.

– Za kilka dni powinna przyjechać gospoia, gotowa na podjęcie pracy u nas – poinformowałam córki. – Będzie nam łatwiej – oznajmiłam, chcąc dodać sobie i im otuchy.

Spojrzały po sobie w milczeniu, jakby potwierdzały myśli krążące w mojej głowie – że nie jestem najlepszą panią domu. Rozpalony przeze mnie piec po chwili zgasł i ciężko było ponownie wzniecić płomień. Udałyśmy się więc spać owinięte w wełniane pledy, po umyciu się w zimnej wodzie.

Weszłam do pokoju ciotki Sybilli. Nie zmieniałam tu nic, jedynie uporządkowałam jej rzeczy. Chciałam mieszkać w tym samym wystroju co ona, aby poznać ją lepiej i przeniknąć jej duszę, chociaż wydawać by się mogło, że jest już na to za późno. Starłam kurze z flakoników perfum stojących na komodzie, a w obszernej szafie pachnącej naftaliną powiesiłam swoje sukienki. Zamierzałam w najbliższym czasie zgłębić zawartość sekretarzyka zamykanego na klucz, sądząc, że uda mi się dzięki temu dowiedzieć o tajemniczej krewnej czegoś więcej.

Zasiadłam przed psyche – ruchomym lustrem pozwalającym obejrzeć odbicie całej postaci, zamontowanym w wiekowej toalecie. Powoli rozczesywałam swoje rozpuszczone włosy, przyglądając się

sobie. Z mojego oblicza bił teraz spokój, jaki już od dawna nie panował w moim sercu. Miałam nadzieję, że pomimo całego bagażu, jaki nosił w sobie dom na czerwonym klifie, zdołam zaznać w nim szczęścia. Popatrzyłam na szerokie, puste łóżce z krochmaloną, haftowaną pościelą i zamarzyłam, abym nie musiała kłaść się w nim sama. Moje myśli mimowolnie uciekły do chwil spędzonych z doktorem Arensem. W wyobraźni poczułam na skórze dotyk jego męskich rąk i drażniące klucie wąsów, gdy składał pocałunek na moich dłoniach. Nie chciałam pozostać samotna i, nawet wbrew woli córek, myślałam o ułożeniu sobie życia na nowo, gdy tylko formalności rozwodowe zostaną dopełnione. Ostatnimi czasy znów nabrałam pewności, że potrafię być jeszcze atrakcyjna jako kobieta.

Zdmuchnęłam wątyły płomień lampy, wokół którego latały ćmy, trzepocząc swoimi srebrzystobiałymi skrzydełkami. Położyłam się i zamknęłam ciężkie ze zmęczenia powieki. Nie wiem, ile trwał mój sen, gdy nagle wyrwały mnie z niego odgłosy dochodzące z kuchni. Słyszałam wyraźnie szcęk metalowej puszkii uderzającej o podłogę. Drżącymi rękami sięgnęłam po zapałki, postanawiając nie zapalać żarówkii. Wyszłam z pokoju, by sprawdzić, co się dzieje. Starałam się stąpać jak najciszej. Zajrzałam najpierw do sypialni córek, a upewniwszy się, że obie są w łózkach, dygocąc z zimna i strachu, ruszyłam powoli na dół. Widziałam przez okno, jak ciemne chmury przesuwiają się po nocnym niebie, przysłaniając zamglony księżyc. Przechodząc koło kominka, złapałam pogrzebacz. Deski podłogowe donośnie i rozdzierająco zaskrzyphiały pod moimi bosymi stopami. Wokół panowała niczym niezmacona martwota, jakby poprzednie hałasy były jedynie iluzją. Gdy znalazłam się obok starego pieca, na podłodze dojrzałam pozrucane konserwy. Z niepokojem rozejrzałam się dookoła, jednakże nie zauważyłam niczego podejrzanego. Nagle usłyszałam huk zatraskującego się zamka,

aż klucz wypadł z niego na podłogę. Zamarłam z przerażenia, nasłuchując czyichś kroków. Po chwili pełnej niepokoju ciszę rozdarło żałosne miauczenie za moimi plecami. Obejrzałam się za siebie i w blasku świecy zobaczyłam wpatrzone we mnie kocie oczy koloru agrestu z wrzecionowatymi źrenicami.

– Nieźle mnie wystraszyłeś – powiedziałam ni to do siebie, ni do kota, czując, jak spływa ze mnie całe napięcie. – Jak się tutaj dostałeś? – Ośmielone zwierzę zaczęło ocierać się o moje nogi.

Ruszyłam w stronę otwartych drzwi prowadzących do ogrodu, którymi teraz poruszał wiatr. Były źle domknięte, najpewniej przez uszkodzony rygiel. Pomyślałam, żeby nazajutrz wezwać kogoś do naprawy. Nalałam buremu kocurowi trochę mleka na kamienny spodek. Przyszedł mi do głowy pomysł, aby bezdomny futrzak pozostał razem z nami – mógłby się przydać w walce z gryzoniami. Powoli wróciłam do siebie i zapadłam w głęboki sen. Do świtu nic już na szczęście nie zakłóciło mojego spokoju. Tymczasem nazajutrz nastał piękny wschód słońca, którego poświata wypełniła pokój różanym blaskiem. Usłyszałam śpiew pierwszych ptaków. Wyspa ponownie budziła się do życia.

Po wstaniu z łóżka poszłam od razu do kuchni i sięgnęłam po emaliowy kubek, by zaparzyć sobie w nim kawę. Czarnej i gorzkiej, czyli takiej, jaką lubiłam najbardziej. Zmiliłam powoli ziarna, delektując się ich aromatem, a następnie postawiłam czajnik na palniku. Udałam się w stronę wyjścia do ogrodu, chcąc jeszcze raz przyjrzeć się zepsutemu zamknięciu. W sadzie obok domu wesoło świergotały wróble, mocząc się w kałuży i otrzepując piórka. Musiało padać, bo trawa była wilgotna. Spacerując jedną z alejek, z rozkoszą wdychałam rześkie poranne powietrze, obserwując smużkę pary wychodzącą z moich ust przy każdym wydechu. Domyśliłam się, że woda już się zagotowała. Był to czas,

aby wrócić do domu. Sięgnęłam ręką do klamki, a wtedy mój wzrok padł na plamy na zewnętrznej stronie futryny. Była to zaschnięta rdzawa substancja, jakby krew. Poczułam dreszcz odrazy przechodzący przez moje ciało. Zastanawiałam się, kiedy te ślady mogły powstać. Niewykluczone, że stało się to w trakcie odnawiania domu. Ale istniała także możliwość, która przerażała mnie o wiele bardziej – że ktoś próbował ubiegłej nocy dostać się do środka budynku i być może uszkodził przy tym zamek. Pośpiesznie wyjęłam z kieszeni bawełnianą chusteczkę, aby zetrzeć zabrudzenia. Po raz kolejny poczułam, jak narasta we mnie niepokój przed czymś nieokreślonym, czego nie umiałam nazwać, a co być może czaiło się w zakamarkach mojej podświadomości...

ROZDZIAŁ VIII

Kończyłam właśnie oglądać i opisywać preparaty mikroskopowe, gdy pielęgniarka pilnie wezwała mnie do ambulatorium. Mając złe przecucia, od razu zostawiłam wszystko, a fartuch nakładałam pośpiesznie już w trakcie zbiegania po schodach. W gabinecie ujrzałam nieprzytomną młodą kobietę w zaawansowanej ciąży, którą podtrzymywało kilka położnych. Ciało pacjentki aż podskakiwało w napadzie rzucawki.

– Trzeba podać morfinę podskórną – rzuciłam pośpiesznie, przystępując niezwłocznie do badania. – Co wiemy o chorej?

– To wieloródka. Rodziła cztery razy, były też poronienia. Raz miała z tego powodu czyszczoną macicę. Obecnie jest w dziewiątym miesiącu ciąży, tak mówił jej mąż, który ją tutaj przywiózł. Od rana miała już dwa napady. Chciano leczyć ją upustem krwi, ale ostatecznie zdecydowano się na przywiezienie do szpitala – zreferowała mi jedna z pielęgniarek.

Eclampsia była jednym z powikłań w czasie ciąży i porodu; mogła skończyć się zejściem śmiertelnym zarówno matki, jak i jej dziecka. Choroba ta znana była już od wielu stuleci, jeszcze przed rozpoczęciem naszej ery. Na przestrzeni wieków zmieniały się tylko metody jej leczenia. W antycznej Grecji poszukiwano przyczyn rzucawki w zaburzeniu równowagi czterech płynów ciała: flegmy, krwi, żółci i czarnej żółci. Zarówno Hipokrates, jak i Platon uważali, że macica ma zdolność wędrowania po ciele, siejąc spustoszenie w różnych narządach, między innymi w wątrobie, żołądku, śledzionie, ale także w głowie. Struktura kobiety, zdaniem starożytnych uczonych, była porowata i miękka, dlatego groziło jej

wciągnięcie zbyt dużej ilości wilgoci, co skutkowało nadmiarem płynów i późniejszą chorobą. Ten pogląd utrzymywał się przez lata. Nic więc dziwnego, że najczęstszym sposobem leczenia rzucawki, po jaki sięgano, był upust krwi. W średniowieczu zalecano nawet profilaktyczną flebotomię. Z braku innych metod stosowano ją w praktyce lekarskiej do stosunkowo niedawnych czasów, a różni znachorzy odwoływali się do niej w dalszym ciągu. Długo nie znano odpowiedzi na pytanie o to, jaka jest etiologia konwulsji pojawiających się u brzemiennych. Schorzenie to uważano nawet za zakaźne, a cierpiącą na nie położnicę izolowano. W leczeniu stosowano ciepłe kąpiele, opioidy, polewanie ciała lodowatą wodą, pijawki lub wyciąg z wątroby. Jasne i oczywiste stało się w końcu dla położników to, że jedyną próbą ocalenia życia kobiety jest niezwłoczne zakończenie ciąży. Gdy płód był wystarczająco dojrzały, także udawało mu się przeżyć, o ile interwencja podjęta była natychmiastowo. Zdarzało się również, że żywe dzieci wyciągano z macicy martwych już matek.

Sądzone, że podczas ataków macica się kurczy i jad łożyskowy dostaje się do krwiobiegu, powodując zatrucie, dlatego konieczne było jak najszybsze wydobycie placenty. Gdy polepszyła się jakość mikroskopów i poddano badaniu osad moczu ciężarnych z rzucawką, zauważono obecność w nim białka, a tym samym powiązano chorobę z zaburzeniem funkcji nerek. Był to prawdziwy przełom.

– Proszę położyć pacjentkę na kozetce – wydałam polecenie, po czym włożyłam rękę odzianą w gumową rękawiczkę do jej pochwy. Ujście wewnętrzne nie przepuszczało mojego palca. Nad wchodem znajdowała się balotująca główka. Postanowiłam niezwłocznie wykonać przezpochwowe cięcie cesarskie metodą

Dürhssena. – Musimy przewieźć pacjentkę na salę operacyjną – oznajmiłam, gdy skończyłam badanie.

Czasu było niewiele, więc pośpiesznie przygotowywałam pole operacyjne. Ograniczyłam się do przecięcia szyjki macicy i dolnego odcinka *uterus* od przodu, co okazało się wystarczające do urodzenia dziecka. Oddałam je natychmiast w ręce pielęgniarek. Początkowo omdlałe i sine, nie wydawało z siebie żadnych dźwięków. Dopiero po chwili masowania i rozcierania pomieszczenie wypełnił krzyk noworodka. Był to moment szczęścia, ale nie mogłam zbyt długo poddawać się temu wzruszeniu, bo rana u matki krwawiła obficie. Metodą Credego wygniotłam na zewnątrz łożysko, po czym zaszyłam ściany macicy i pochwy. Na koniec założyłam sączek z gazy kseroformowej. Odkładając na stolik zakrwawiony pean i igłę z katgutem, poczułam chwilową ulgę. Wiedziałam jednak, że o tym, czy wszystko się udało, zadecydują najbliższe godziny.

Pacjentka powoli wracała do świadomości, ale była jeszcze zamroczona działaniem morfiny. Zostawiłam ją pod opieką położnych, a sama udałam się do przebieralni, by ściągnąć zabrudzony fartuch. Gdy dotarłam do drzwi mojego gabinetu, rzucił mi się w oczy liścik wetknięty we framugę, który okazał się zaproszeniem na kolację do hotelu Rungholt, wysłanym przez Klemensa Gestnera. Uczta miała się odbyć dzisiejszego wieczoru. Byłam zdziwiona jego inicjatywą, ale uznałam, że zapewne chciałby się zrewanżować za pomoc, jaką otrzymał ode mnie. Pomimo braku specjalnej ochoty zadecydowałam, że zjawię się w *lounge*. Musiałam zacząć bywać w towarzystwie, skoro Sylt miał się stać moim miejscem na ziemi. Po cichu liczyłam, że być może zdołam pozyskać więcej informacji na temat tajemniczego listu wysłanego przed wieloma laty do mojego ojca. To, czego się niedawno dowiedziałam, rzucało zupełnie nowe, przerażające

światło na okoliczności jego przedwczesnej śmierci. Chciałam koniecznie ustalić, co dokładnie się wówczas wydarzyło, chociaż zdawałam sobie sprawę, że będzie to bardzo trudne, a ostatecznie może się okazać niemożliwe po tylu latach. To, że odszedł tak szybko, bardzo odbiło się na moim życiu, bo byliśmy blisko ze sobą związani mimo nieczęstych spotkań. Do końca swoich dni zdołał utrzymać moje istnienie w sekrecie przed światem. Nigdy też nie poznałam moich przyrodnych braci. Teraz przewrotny los sprawił, że spotkałam jednego z nich na mojej drodze, i czułam, że jest w tym głębszy sens. Musiałam przy tym pozostać bardzo ostrożna, aby nie zdradzić więzów krwi, jakie nas łączyły.

Wiedziałam, że trzeba będzie się na tę okazję stosownie ubrać. Tym razem zdecydowałam się na klasyczną wieczorową toaletę w postaci czarnej sukni z *chiffon velour* z krótkim *sortie* ze srebrnej lamy. Na stopy wsunęłam modne pantofelki z *crêpe-de-Chine* w kolorze fioleto. Założyłam też perłowe klipsy i opaskę z piórkiem. Na koniec zatonęłam w mgiełce perfum Ambre Antique. Wreszcie byłam gotowa do wyjścia!

Nie pomyliłam się. Na przyjęciu w hotelowej restauracji zebrała się cała elita wyspy. Wytworne damy w sukniach z białej satyny, deseniowego aksamitu i jasnej żorżety, przybrane po królewsku lisami lub futrem z gronostajów, stały w kularach, obserwując wzajemnie swoje wyszukane kreacje. Panowie rozmawiali o interesach, polityce i innych ważnych dla świata sprawach. Raczyli się angosturą, czyli gorzką wódką z Trynidadu i Tobago, mającą charakterystyczną czerwoną barwę. W XIX wieku zrobiła prawdziwą karierę jako remedium na dolegliwości żołądkowe, przez co sprzedawano ją w aptece. Obecnie stała się modnym dodatkiem do drogich drinków. Produkowano ją na bazie korzenia z drzewa chininowego i sandałowego oraz skórek pomarańczy.

Wypatrywałam znajomych twarzy, czując się początkowo bardzo niepewnie. Dookoła krążyli wystrojeni odświętnie kelnerzy w białych koszulach z czarnymi muszkami, przepasani fartuchami z jedwabiu, trzymając w ręku pozłacane tace z krewetkami, mulami i krabami oraz karafkami z winem musującym.

– Jak miło, że skorzystała pani z mojego zaproszenia! – usłyszałam znajomy głos. Odwróciłam się, a Klemens Gestner ujął w szarmanckim geście moją dłoń i złożył na niej pełen szacunku pocałunek.

– Ja również cieszę się, że pana widzę. Przyznam, że nie miałam jeszcze okazji nikogo tutaj poznać – wyznałam lekko onieśmielona.

– Zatem usiądzie pani koło mnie przy stole, abym mógł panią przedstawić towarzystwu. – Wskazał gestem, abym poszła przodem.

Podeszliśmy do okazałego stołu pośrodku sali, przy którym siedziało już kilka osób. Odsunąwszy krzesło, pan Gestner zaprosił mnie do zajęcia miejsca. Na widok pięknej zastawy, wykwintnych potraw i licznych finezyjnie ułożonych sztuczków dostałam zawrotu głowy. Nie miałam pojęcia, do jakich dań są przeznaczone. Z całego zestawu zdołałam rozpoznać jedynie widelec do homara. Przyglądałam się zatem dyskretnie innym, naśladując ich zachowanie. Nie byłam przyzwyczajona do takich wystawnych bankietów, pełnych przepychu i luksusu.

Na półmisku położono plastry łososia w sosie kaparowym, jesiotra w galarecie, obłożonego połówkami cytryn, cieleńce serca nadziewane boczkiem, rolmopsy ze śledzia i rozmaite owoce morza. Patrzyłam, jak wyszukane potrawy pośpiesznie znikają ze stołu. Usłyszałam rubaszny śmiech i kątem oka dostrzegłam otyłego mężczyznę w binoklach pochłaniającego ostrygi. Jedna z nich zsunęła mu się po brodzie i upadła na spodnie. Strzepnął ją ręką niedbale pod stół i sięgnął po kolejne. Inna elegantka, dbająca

zapewne o linię, wyraźnie znudzona bawiła się jedzeniem, grzebiąc widelczykiem koktajlowym w talerzu. Rozglądała się przy tym bacznie, czy w otoczeniu nie pojawi się ktoś godny jej uwagi.

W powietrzu unosił się różany, fiołkowy czy też bursztynowy zapach perfumowanych bibułek papierosów, tak modnych w ostatnich latach wśród płci pięknej. Na smukłych szyjach i pełnych dekoltach mieniła się biżuteria, odbijając światło kryształowych żyrandoli. Dzwoniły szklance i puchary pełne złocistych trunków. Akurat serwowano w posrebrzanych wazach zieloną zupę z żółwia.

Patrząc dookoła, trudno było uwierzyć w panujący w kraju i na świecie kryzys gospodarczy, jaki nastąpił po czarnym czwartku na nowojorskiej giełdzie. Naszła mnie refleksja, że są miejsca, gdzie nikt nie myśli o ludzkich istnieniach, głodnych, brudnych i chorych, niemogących liczyć na niczyją pomoc, co w mojej pracy oglądałam codziennie. Popatrzyłam jeszcze raz na zgromadzonych dookoła i pomyślałam, że dla wielu z tych ludzi pieniądze są jedynym bogactwem, jakie posiadają, bo dusza ich dawno już się zatraciła.

– Źle się pani bawi? – usłyszałam pytanie gospodarza i natychmiast przecząco pokręciłam głową.

– Ależ nie! Może po prostu wychodzi ze mnie zmęczenie – próbowałam się usprawiedliwić.

– Czy wie pani, że niebawem Sylt ma odwiedzić sama Marlena Dietrich? Wystąpi w klubie Trocadero.

– Nie słyszałam o tym...

– Musi pani zdecydowanie mniej czasu poświęcać na sprawy zawodowe. Życie mamy tylko jedno. Proszę o tym pamiętać! – pouczył mnie, wypełniając mój kieliszek prosecco.

– A pan długo jeszcze zamierza zabawić na wyspie? – zapytałam, upijając łyk i próbując podtrzymać konwersację.

– Cóż, niestety myślę, że czas będzie mi wracać. Muszę pilnować interesów. Gdy mnie nie ma, ponoszę straty. I tak zostałem dłużej, niż planowałem, ale przynajmniej nacieszyłem się moją młodą małżonką, i nie tylko – zakończył z lubieżnym błyskiem w oku.

Poczułam dreszcz odrazy i natychmiast zmieniłam temat.

– Czy udało się panu dowiedzieć czegoś więcej o zagadkowym liście, o którym pan wspomniał?

– Ach! Nie sądziłem, że będzie pani o tym pamiętać! – odparł mile zaskoczony, że ktoś okazał mu zainteresowanie.

– To niezwykła historia – wyjaśniłam, wbijając wzrok w porcelanowy talerz, by rozmówca nie mógł z moich oczu wyczytać żadnych emocji. – Myślę, że każdy na pana miejscu chciałby dociec prawdy.

– Taaak... – rzekł, zapalając papierosa i zaciągając się dymem. – Niestety, wszystko utkwilo w martwym punkcie. Po tylu latach nikt już niczego nie pamięta. Nie ma też chyba drugiej osoby poza mną, którą mogłoby to obchodzić...

Zadrzałam na dźwięk jego ostatnich słów.

– Myślę, że w tym układzie nie pozostaje mi nic innego, jak o wszystkim zapomnieć – dodał po chwili zadumy, po czym zaczął szperać po kieszeniach marynarki, by wyciągnąć z niej pożółkły pergamin, który położył przede mną na stole. – Oto i on – wychrypiał przepalonym od tytoniu głosem. – Najwyższy czas, by spłonął w ogniu...

– Czy mogłabym go przeczytać? – zapytałam nieśmiało.

Moja prośba wydała się być może dość osobliwa, ale Klemens Gestner bez słowa podał mi pognieciony papier, po czym sięgnął znów do kieszeni, zapewne w poszukiwaniu kolejnego papierosa. Przesuwałam nerwowo oczami po tekście zapisanym drukowanymi

literami nakreślonymi czarnym atramentem. Czułam, jak moje serce przyspiesza gwałtownie, a w skronie uderza fala gorącej krwi.

SYLT, 1.03.1899

*NAJDROŻSZY LUDWIKU,
NIE PYTAJ, PROSZĘ, O NIC. JEŻELI CHCESZ
URATOWAĆ MOJE ŻYCIE, PRZYBĄDŹ
JAK NAJSZYBCIEJ NA WYSPĘ SYLT. WIEM,
ŻE TYLKO TY JEDEN MOŻESZ MI POMÓC...
OCALIĆ MNIE... BĘDĘ NA CIEBIE CZEKAĆ
W HOTELU RUNGHOLT. TAK BARDZO
CHCIAŁABYM, ABYŚ ZDAŹYŁ, ZANIM...*

M.Sch.

– I co pani o tym sądzi? – zapytał mój rozmówca, bacznie mi się przyglądając.

– Kobieta, która to napisała, musiała być naprawdę zdesperowana i widziała w pana ojcu jedyne wybawienie – odezwałam się po chwili, starając się, aby mój głos brzmiał normalnie. – Myślę, że skoro zdecydowała się na taki krok, była również pewna, że i ona nie jest obojętna adresatowi listu, który był widocznie w stanie wiele dla niej poświęcić... Musiała być między nimi niezwykła bliskość – zakończyłam. W odpowiedzi Klemens Gestner zaśmiał się cynicznie.

– Nie ona jedna tak uważała... To nie pierwsza, ale jak pokazało życie, ostatnia flama ojca, który nigdy nie potrafił dochować wierności mojej matce... Poślubił ją jedynie, by otrzymać jej ogromny posag. Sam był biedny jak mysz kościelna i aby skończyć medycynę, musiał pracować, dorabiając na różne sposoby. Tak trafił do domu swojej przyszłej żony, której jako student udzielał korepetycji. Nieraz chodził głodny i w dziurawych butach. A miał

duże aspiracje. Chciał za wszelką cenę dostać się do wyższych sfer... – wyrzekł te słowa głosem wyzutym z wszelkich uczuć, gasząc syczącego papierosa w popielniczce. – Żał mi jedynie, że w swoją ostatnią podróż zabrał jeden z niezwykle cennych dla mojej rodziny klejnotów rodowych, którym chciał zapewne obdarować swoją oblubienicę. Chodzi o złotą kolbę z chryzoprazem, na której wyryty był herb mojego prapradziadka przedstawiający czarną różę. Według rodzinnej legendy została ona nam podarowana przez samego cesarza Fryderyka Wilhelma II, który uważał, że kamień ten ma szczególną moc, i sam nie rozstawał się ze swoim pierścieniem z chryzoprazu i brylantów. W regionach, z których pochodzę, wydobywane są najpiękniejsze okazy na świecie, a kruszec ten nazywany jest zielonym złotem. – Przerwał na chwilę, by sięgnąć do kieszeni. – Drogocenny naszyjnik został uwieczniony na licznych portretach w galerii moich przodków i na tym dagerotypie przedstawiającym moją prababkę. – To powiedziawszy, wyciągnął z połączanej lufki zwiniętą fotografię. Zobaczyłam kobietę o głęboko osadzonych oczach, patrzącą z dumą przed siebie. Na jej pełnym dekolcie błyszczała wspomniana rodzinna pamiątka. Przez chwilę analizowałam zdjęcie, zanim pan Gestner schował je z powrotem i kontynuował: – Nikt nie wie, co się z nim stało, bo nie znaleziono go we wraku samochodu. Możliwe, że ktoś zdążył go skraść albo zabrała go tamta kochanka... Jakkolwiek było, pozostaje mi jedynie zapomnieć... – wyrzekł na zakończenie, po czym przedarł pergamin na kilka części i wrzucił go do popielniczki.

Poczułam bolesne ukłucie w sercu. Przez chwilę z trudem oddychałam, nie mogąc uspokoić emocji. Bez zastanowienia przechyliłam kieliszek z alkoholem, by wypić całą jego zawartość. Gorąca fala krwi uderzyła mi w skronie, przynosząc chwilowe

otumanienie. Poczułam się teraz tak, jak gdybym oglądała wszystko z matowej szyby.

– Na pewno dobrze się pani czuje? – zapytał z troską mój rozmówca. – Proszę zjeść trochę kawioru, właśnie podali. Ja jem go regularnie, bo to naturalny afrodyzjak. Osobiście uważam, że... – chciał kontynuować, ale przerwałam mu, czując mdłości podchodzące mi do gardła.

– Proszę wybaczyć... Chyba powinnam zaczerpnąć świeżego powietrza. Często ostatnio miewam napady migreny – usprawiedliwiłam się, wstając gwałtownie z krzesła.

– Może powinienem pani towarzyszyć? – zapytał uprzejmie, lecz pokręciłam przecząco głową.

– Naprawdę dam sobie radę. Ma pan wszakże jako gospodarz tego wieczoru inne obowiązki – odpowiedziałam, siląc się na uśmiech.

Do naszego stołu właśnie podeszła żona Klemensa Gestnera, domagając się od niego uwagi. Korzystając z chwili zamieszania, sięgnęłam pośpiesznie po strzępki listu, otrzepałam je z popiołu i schowałam do torebki. Po czym natychmiast ruszyłam w stronę wyjścia. Nikt zapewne nie zauważył mojego zniknięcia, bo akurat na scenę wszedł zespół i zaczął grać charlestona. Towarzystwo ruszyło więc tłumnie na parkiet.

Przed oczami cały czas widziałam starannie wykaligrafowane inicjały „M.Sch.”. Tętnice pulsowały mi jak w malignie. Znalazłam się pod hebanowym niebem usianym miliardami gwiazd, z których najsilniej świecił Polaris.

– Lilio, tylko ty możesz znać odpowiedź... Musisz przyjechać na wyspę... – wymamrotałam ledwie słyszalnie słowa, których adresatem była moja przyjaciółka. Ponownie zapadła cisza, przerywana jedynie podmuchami wiatru. Wpatrywałam się w dal,

nieobecna myślami. Z restauracji dobiegały dźwięki saksofonu i trąbek.

– Gwiazdy odbijają się w pani pięknych oczach, w których można się zatracić niczym we wszechświecie... – usłyszałam szept i przestraszona odskoczyłam w tył. Byłam przekonana, że jestem zupełnie sama. – Przepraszam, nie chciałem pani wystraszyć. – Z ciemności wyłonił się pan Arens. Ubrany był we frakową kamizelkę, koszulę ze sztywnym gorsem i czarną muszką, a na wierzch zarzucił gabardynowy płaszcz. Skłonił się w pas, ściągając z głowy homburg.

– Jak się cieszę, że pana widzę – wyznałam szczerze, idąc w jego kierunku. Mój głos zabrzmiał zapewne tak, jakbym w tej chwili potrzebowała schronić się w silnych męskich ramionach.

– Spóźniłem się dość mocno. Ale jak to mówią, ostatni będą pierwszymi. To wszystko przez pacjenta, u którego...

– Proszę, nie mówmy dziś o tym... – przerwałam mu, przykładając delikatnie palec do jego ust. – Rozkoszujmy się chwilą. Ulotną jak powiew zefiru... jak ludzka egzystencja...

Najwyraźniej moje zachowanie go zaskoczyło, ale nie czuł się onieśmielony moją propozycją. Gwałtownie przyciągnął mnie do siebie, chwytając w pól. Nie zaprotestowałam, chociaż w głębi ducha po raz kolejny poczułam, że postępuję źle. Przed oczami miałam niewyraźną mgiełkę, przymknęłam więc powieki. Przez chwilę czułam drażniący, silny zapach jego wody kolońskiej. Wstrzymałam na moment oddech, by ta woń nie przedostawała się do mojego wnętrza, a wtedy poczułam, jak jego usta składają namiętny pocałunek na moich wargach. Następnie rozchylił futrzaną etolę i muskał wargami moją szyję. Upajałam się tym momentem, odczuwając na skórze na zmianę jego gorący oddech i chłodne powiewy nadmorskiej bryzy wiejącej od wybrzeża. Jego

dłonie odnalazły moje piersi i delikatnie pieściły je przez materiał sukienki. Poczułam strumień wzburzonej krwi zalewający moje ciało. Uczucie, którego tak dawno już nie przeżywałam, że zdołałam niemalże całkowicie zapomnieć o jego istnieniu.

– Tutaj ktoś może nas zobaczyć – wydyszałam do jego ucha w ekstazie. Wtedy poczułam, jak ciągnie mnie delikatnie w stronę parkingu, gdzie stał należący do niego czarny wartburg. Wsiadłam do środka, a gdy zapalił silnik, ruszyliśmy.

Przez chwilę jechaliśmy w całkowitym milczeniu. Miałam wrażenie, że świat dookoła wiruje, jakbym zatraciła świadomość swoich czynów. Zatrzymaliśmy się pośrodku wydm. Zaraz za nimi roztaczała się czarna tafla morza, które wzburzone wyrzucało spienione fale na brzeg. Mój towarzysz otworzył drzwi i pomógł mi wysiąść. Gdy już znalazłam się na zewnątrz, oparłam się delikatnie o maskę samochodu. Podwinęłam ręką falbanę sukni, odsłaniając uda, które w poświacie księżyca wydawały się mlecznobiałe. Poczułam, jak zapinka od pończoch ustępuje pod jego palcami, a następnie docierały do mnie już tylko muśnięcia jego warg na mojej skórze. Mimo woli zaczęłam drżeć, czując rozlewającą się po ciele coraz silniejszą rozkosz. Jego pieśczoły stawały się śmielsze, gdy zbliżał się do najskrytszych zakamarków mojej kobiecości. Wydałam z siebie kilka głębszych westchnień. Najwyraźniej poczuł, że jestem gotowa, bo zatonął we mnie głęboko, splatając ze sobą nasze ciała, i zwieńczył miłosny akt. Przez kilka sekund staliśmy jeszcze nieruchomo, zespoleni ze sobą niczym posągi, oddychając płytko i wsłuchując się w szybkie bicie naszych serc. Powoli zaczynało do mnie docierać to, co się właśnie stało. Wysłowodziłam się z jego uścisku, poprawiłam stan mojej garderoby i przeczesałam pośpiesznie palcami włosy.

– Chciałabym już wrócić do domu. – To były pierwsze słowa, jakie wydobyły się z mojego wyschniętego gardła. Zdawałam sobie sprawę, że powinnam w tej chwili powiedzieć coś zupełnie innego, że zapewne nie tego oczekiwał. W jego spojrzeniu odbiło się wyraźne rozczarowanie, które jednak próbował skrzętnie ukryć.

– Jak sobie życzysz, Lauro... – odrzekł, otwierając drzwi auta i wpuszczając mnie na siedzenie pasażera.

– Może jednak powinniśmy zostać przy oficjalnej formie zwracania się do siebie, gdy nie będziemy sami... To mogłoby zrodzić niepotrzebne plotki – zaproponowałam. Ujrzałam po raz kolejny zawód na jego twarzy i poczułam w krtani bolesny ścisk. W ostatnim czasie stałam się kimś, kogo nie potrafiłam zrozumieć ani zaakceptować.

– Skoro tego chcesz... – odpowiedział ochrypłym głosem. – Chyba źle odczytałem twoje intencje – przyznał ze smutkiem, a ja w jednej sekundzie poczułam, jakby właśnie spadła na mnie lawina kamieni.

– To nie tak! – zaprotestowałam gwałtownie. – Naprawdę nie chciałam, aby zabrzmiało to w ten sposób. Po prostu nie wiesz nic o mnie ani o moim życiu... Nie znasz mojej historii, bo nigdy nie zdobyliśmy się na osobiste wyznania. Być może gdybyś ją poznał, nie chciałbyś... – Przerwał mi, unosząc ręką delikatnie mój podbródek, by spojrzeć mi w oczy.

– Wiem, że jesteś cudowną kobietą. Od samego początku byłem tego pewien. Nie obchodzi mnie, co było wcześniej. Teraz jesteśmy my i tylko to się dla mnie liczy. Myślę, że jest to rodzaj przeznaczenia, które sprawiło, że znaleźliśmy się oboje na tej wyspie... Osamotnieni, jak dwa żeglujące okręty, spotkaliśmy się właśnie tutaj... Nic nie dzieje się przypadkiem. Wierzę w to głęboko.

Po tych słowach rozszalało się we mnie emocjonalne tornado, ściskając moje wnętrze aż do bólu. Nie mogłam dłużej nic nie mówić i podtrzymać jego złudzenia.

– Jestem mężatką! – wykrzyczałam, nie poznając barwy własnego głosu. – W trakcie rozwodu... Tak, uciekłam od mojego męża, bo przerosła mnie rzeczywistość. Bo już nie chciałam, nie mogłam... – wyrzuciłam z siebie jednym tchem.

Przez kilka sekund panowała między nami głęboka cisza, jakby ktoś przed chwilą zmarł albo coś bezpowrotnie pękło. Spuściłam głowę, nie mając odwagi spojrzeć w oblicze doktora Arensa. Zdecydowałam się jednak pierwsza przerwać to paraliżujące milczenie.

– Chociaż żyliśmy razem pod jednym dachem, to byłam najbardziej samotną osobą na świecie. Oddaliliśmy się od siebie tak bardzo... To stało się wkrótce po tym, jak nasz jedyny syn odszedł po kolejnym ataku hemofilii. Nie potrafię przestać się o to obwiniać... Od tamtej pory nie mogę się pozbierać, chociaż minęło tyle lat – załkałam, ukrywając twarz w dłoniach.

Doktor cierpliwie słuchał. Wyciągnął nieśmiało dłoń i pogładził moje włosy.

– Zagubiłam się zupełnie i naprawdę nie wiem, jak odnaleźć z powrotem właściwą drogę...

– Nie jesteś w tym sama. Pamiętaj o tym! – wyszeptał. Jego oczy zaszkliły się łzami, które próbował powstrzymać.

– Czasem myślałam, że już nic dobrego nigdy mnie nie spotka. Że już nic ani nikt na mnie nie czeka... Bezpowrotnie minęły najpiękniejsze lata i momenty.

– Jak możesz tak mówić?! – Zbliżył się do mnie. – Przecież masz przed sobą jeszcze całą, piękną drugą połowę życia, którą możemy odkryć i przeżyć razem. O ile oczywiście tego zechcesz... Czekają

na ciebie te wszystkie wschody słońca i wieczory niczym białe kartki papieru, gotowe, by zapisać je nową historią...

Pokręciłam przecząco głową.

– Po co ci dzielić życie z kimś takim jak ja? – zapytałam, czując, jak moja broda drży z emocji i przejęcia. – Nie lepiej poślubić jakąś piękną młodą kobietę, która nie ma takiego bagażu doświadczeń? Z którą przeżyjesz niezapomniane chwile, zapierające dech w piersiach? Mającą w sobie jeszcze niewinność i niezgaszoną radość? Która urodzi ci dzieci i zadba o dom?... Będzie dla ciebie niczym rozkwitający kwiat... a nie taki, który stracił już większość płatków ze swojej korony...

– Wiesz, Lauro, kiedy zaczyna się prawdziwa starość? Staje się to podobno wtedy, gdy człowiek ma więcej wspomnień niż planów na przyszłość. Ty jeszcze wiele możesz zmienić i dokonać. Musisz tylko w to uwierzyć, zacząć inaczej postrzegać to, kim teraz jesteś.

Wysłuchiwałam się w jego słowa, a po policzkach spływały mi łzy. Gdy je zauważył, natychmiast wyjął haftowaną chusteczkę z butonierki i podał mi ją.

– Ja wcale nie pragnę tej młodości... idealnego ciała bez skazy, szalonych wzlotów namiętności, uniesień pożądania, niepokromionego żywiołu... Szukam dojrzałej towarzyszkę życia, z którą mógłbym dzielić codzienność, pokrewnej mi duszy, która by mnie rozumiała, powierniczki i czułej kochanki.

– Niewielu mężczyzn myśli w ten sposób – stwierdziłam i popatrzyłam na jego twarz, która przybrała teraz nieodgadniony wyraz. Odwrócił głowę, ale w dalszym ciągu widziałam jego blade rysy odbite w szybie samochodu.

– To, w jaki sposób postrzegamy świat, jest kształtowane przez nasze doświadczenia, przeżycia, przeciwności losu, jakie napotykamy na swojej drodze... To one nas wzbogacają i poszerzają

horyzonty, których kiedyś baliśmy się przekroczyć. Życie nas nigdy nie pyta, czy jesteśmy na coś gotowi, czy damy radę udźwignąć ten ciężar, ogrom nieszczęścia, które na nas spada. Jesteśmy zawsze stawiani przed faktem dokonanym... – rzekł powoli ochrypłym głosem, po czym ponownie zapadła między nami cisza.

Wyczułam, że chce mi powiedzieć coś ważnego, więc nie przerywałam jej.

– Niegdyś co wieczór stawałem w oknie, wypatrując jej... Mojej żony, która pewnego dnia zniknęła nagle, bez wieści... Nigdy nie odnaleziono jej ciała, co pozwalało mi żywić nadzieję, że do mnie powróci. Ale też przez te wszystkie lata nie dostałem żadnego dowodu na to, że żyje. Początkowo komisarz policji uważał, że mogę mieć coś wspólnego z jej zaginięciem lub że nawet przyłożyłem do tego rękę. Są i tacy, którzy do dziś mają mnie za mordercę. Prawdę znam tylko ja... Śledczy rozważali różne teorie, a za najbardziej prawdopodobną uznali tę, że utonęła w morzu, które pochłonęło ją na zawsze. Odeszła w sztormową noc, po jednej z naszych licznych kłótni. Nie mogę sobie do dziś wybaczyć tego, co się stało... Zrobiłem wszystko, by spróbować ją odnaleźć, poruszyłem przy tym niebo i ziemię...

– Czy dlatego w dniu, kiedy znaleźliśmy na brzegu damski but, zabrałeś go, żeby go zakopać? – zapytałam łamiącym się głosem, chociaż znałam już odpowiedź.

Pokiwał potakująco głową.

– Nie mogłem urządzić jej nawet symbolicznego pochówku. Dlatego zbieram te wszystkie rzeczy, które wyrzucą fale, jakbym nadal się łudził, że znajdę jakiś ślad po niej albo dostanę znak... i okazję, by się z nią ostatni raz pożegnać. Najgorsza jest niepewność. Jestem przekonany, że nigdy już nie zdołam się dowiedzieć, co się stało owego feralnego wieczoru. Będę musiał

z tym żyć już zawsze i to jest chyba w tym wszystkim najstraszniejsze... To cud, że po tym, co przeszedłem, nie popadłem jeszcze w obłąd, chociaż byłem blisko... – wyszeptał, patrząc w moją stronę, a jego oczy zrobiły się wilgotne. Odwrócił szybko głowę, by dyskretnie je otrzeć.

Złapałam w ciemności jego skostniałą z zimna dłoń, pragnąc pokazać, że współodczuwam z nim ten ból. Odwzajemnił uścisk, ale w dalszym ciągu nie spojrzał na mnie, jakby było jeszcze coś, czego nie chciał mi zdradzić. Tajemnica, którą postanowił zabrać ze sobą do grobu...

ROZDZIAŁ IX

Zbliżało się pierwsze Boże Narodzenie w moim nowym domu. Tutaj, na Sylcie, wszystko wydawało się zupełnie inne. Nie było śniegu, a jedynie gęsta, mlecznobiała mgła, którą co rusz przecinały strugi lodowatego deszczu. Wiejący wicher zawodził żałośnie, dobijając się do szyb, jakby to dusze umarłych próbowały przedostać się z powrotem do świata żywych. W każdym z okien po zmroku mieszkańcy mieli zwyczaj stawiać lampę albo chociaż zapaloną świeczkę. Światło to, migoczące w ciemnościach, w przedziwny sposób przywracało nadzieję i dodawało otuchy, że Bóg nie zapomniał o tym skrawku ziemi, na którym przyszło mi teraz żyć.

Zastanawiałam się, jakie uczucia będą mi towarzyszyć w czasie pierwszych świąt na wyspie. Najbardziej bałam się tęsknoty za światem, który został przeze mnie bezpowrotnie utracony. Tym bardziej ucieszyłam się więc z niespodzianki, którą przygotowały dla mnie moje przyjaciółki Róża i Lilia – otóż powiadomiły mnie o swoim przyjeździe planowanym na luty. Co ciekawe, w liście nie wspomniały, aby wybierał się z nimi Fryderyk, co mogło świadczyć, że w małżeństwie Róży w dalszym ciągu nie układa się najlepiej. Mąż Lilii znany był natomiast z tego, że bardzo niechętnie opuszczał swoje laboratorium i klinikę. Był typem dociekliwego badacza, a swoimi naukowymi teoriami potrafił godzinami zamęczać słuchaczy. Nie dziwiło mnie więc, że nie udało jej się go namówić na daleką podróż. Za to miały towarzyszyć im ich dzieci, Alexander, jeden z bliźniaków Róży, oraz Natalia i Leopold.

Pierwszy raz przygotowaliśmy razem z dziewczynkami fryzyjską choinkę, nazywaną w tych stronach *Jöölboom*. Niewiele miała wspólnego z tradycyjnym, pachnącym igliwim świerkiem, przystrojonym w szklane bombki i oplecionym srebrzystymi łańcuchami. Tutaj, w północnej Fryzji, był to rodzaj drewnianej ramy, w którą wplatano wieniec z bukszpanu lub bluszczu. Na dole umieszczano figurki Adama i Ewy z masy solnej. Zawieszano również na niej konia, koguta, świnię, rybę oraz żaglowiec, które nawiązywały do pogańskich wierzeń i miały znaczenie symboliczne. Dodatkowo przyozdabiano wszystko rajskimi jabłuszkami. Tak przygotowaną dekorację umieszczano na parapecie okna.

Inne też były potrawy, jakie pojawiały się na wigilijnym stole. Był to tradycyjny gulasz z rzepy, gruszki z fasolą i boczkiem czy zupa z jabłek i czarnego bzu, a do tego kompot z bażynowych jagód. Wszystko to wydawało się zupełnie obce naszemu podniebieniu.

W Westerland zbudowano jarmark bożonarodzeniowy, na którym można było kupić rzemieślnicze wyroby z wełny, skóry, owcze sery i wędzone ryby. Rozłożono drewnianą karuzelę tarczową, z rzeźbionymi alabastrowymi końmi i baśniową karetą z dyni, które wirowały dookoła przy dźwiękach pozytywki. Każdy, kto chciał poczuć, jak pachną i smakują tradycyjne święta, musiał skosztować ponczu i trufli herbacianych. Na rogatkach stali muzycy, wygrywający nostalgiczne melodie na kobzach zwanych tutaj *Hümmelchen*. Mieszkańcy wyspy w świątecznym okresie przyrządzali grog z korzennymi przyprawami, migdałami oraz rodzynekami. Ten rozgrzewający napój pito już w adwencie. Czasem ubijano też z jajek masę, do której dolewano rumu.

Miałam szczęście, że w przygotowaniu świątecznej wieczerzy pomagała mi pani Edeltraud, nasza nowa gospodyni. Przyjeżdżała

do nas regularnie, prawie codziennie, z Husum, ostatniego miasta położonego na łądzie. Nie zgodziła się jednak zamieszkać pod dachem posiadłości na czerwonym klifie. Była kobietą przesadnie bogobojną i chorobliwie przesadną. Pilnowała na przykład, by nigdy w czasie odpływu nie wykipiało mleko, co przynosiło według tutejszych wierzeń pecha. Tak samo jak napicie się morskiej wody przez psa w czasie przyptywu powodowało, że dostawał wścieklizny. Na nic zdawały się moje tłumaczenia o tym, jak przenoszą się choroby zakaźne. Ona wiedziała swoje i nie zamierzała zmieniać w tej kwestii zdania. Czuła się za to upoważniona, aby pouczać mnie na każdym kroku, jakbym była jej niesforną córką, nic niewiedzącą o życiu. Przyjmowałam jej nauki ze spokojem, nieraz powstrzymując się, by usta nie drgały mi zbyt mocno od tłumionego śmiechu.

Nosiła przy sobie zawsze medalionik z Matką Boską i Biblią, aby chroniły ją od złych mocy. Kilka razy dziennie modliła się, w czym nie wolno było jej przeszkadzać. Wkładając ciasto na chleb do brytfanki, zawsze robiła na nim palcem znak krzyża, by w ten sposób uświęcić pokarm. Jej obecność była jednakże dla mnie wybawieniem, bo w prowadzeniu gospodarstwa domowego nie miała sobie równych. Wszystkie pościele i obrusy były zawsze nieskazitelnie białe i sztywne od krochmalu. Na meblach nie osiadały drobinki kurzu, gdyż nie pozwoliłoby na to jej czujne oko. W srebrach można się było przeglądać niczym w lustrze, bo w wolnych chwilach pani Edeltraud siadała przed kominkiem, by je starannie polerować. Wyznawiała zasadę, że nic nie ma prawa się zmarnować. Miała w zwyczaju z pozostałych łupin z jabłek po upieczeniu szarlotki sporządzać ocet, a obierzyny z kartofli suszyła, by później używać ich jako rozpałki w piecu. Fusami z kawy podlewała bluszcz, by jego liście rosły bujne i zielone. Gdy

gotowała, lubiła sobie nucić pod nosem różne melodie, co wypełniało dom radością.

Bałam się tego, jak przebiegną świąteczne dni. W Wigilię, zasiadając do kolacji, miałam oczy pełne łez. Obraz płonących w lichtarzu świec rozmywał mi się co chwilę. Starłam się jednak nie okazywać prawdziwych uczuć. Dziewczynki także były małomówne. Wiedziałam, że tęsknią za życiem, które już bezpowrotnie minęło. Mimo moich starań w dalszym ciągu czuły się na wyspie obco. Najbardziej bałam się tego, co odpowiem, gdy będą pytały o swojego ojca. One jednak unikały delikatnego tematu. Ucieszyły je paczki z prezentami wysłane przez niego kilka tygodni wcześniej, a które mogły rozpakować tego wieczoru. Ja otrzymałam od męża jedynie lakoniczny list, że ma się dobrze oraz że bardzo pochłaniają go sprawy zawodowe. Dodawał, iż w chwili obecnej nie jest możliwe, aby spotkał się z córkami. Prosił, by mógł uczynić to na początku stycznia, proponując, aby przyjechały do Lübeck, gdzie zaplanował pobyt w hotelu. Miasto to słynęło od wieków z marcepanu, istniało tam nawet poświęcone mu specjalne muzeum, co mogło tym bardziej zachęcić dziewczynki do podróży. Życzenia spokojnych świąt i szczęśliwego nowego roku zabrzmiały w obecnej sytuacji jak ponura ironia.

Wiedziałam, że mąż jest zaangażowany w śledztwo w sprawie morderstwa właściciela pałacu Jannowitz, o które oskarżony był sam syn hrabiego. Jego ojca znaleziono pewnej nocy martwego w swoim gabinecie, leżącego na dywanie w krwistej masie, z raną postrzałową głowy. Sprawą tą przez długi czas żyła prasa w całym kraju, a teraz przed sądem toczył się proces, w którym Tadeusz był jednym z biegłych. Zawsze gdy problemy w życiu go przerastały, uciekał w pracę. Potrafił być dokładnym medykiem sądowym i zachowywać zimną krew, gdy wykonywał autopsję ofiar

morderstw i gwałtów, topielców czy ciał wyciągniętych z pożaru. Bez wzdrygnięcia chodził na oględziny zwłok w stanie najwyższego rozkładu. Pojawiał się wszędzie tam, gdzie wydarzyła się ludzka, niewyobrażalna tragedia. Ale nie potrafił poradzić sobie z nieszczęściem, które spadło na jego dom. Zadziwiające było dla mnie to, jak bardzo byliśmy teraz sobie obcy. W ciągu kilku minionych lat mój mąż stał się dla mnie człowiekiem całkowicie nieprzewidywalnym, okresowo niepanującym nad własnymi emocjami. Nie żałowałam, że podjęłam decyzję, by odejść. Najbardziej bolało mnie, że straciłam tyle lat życia, czego nie mogłam już w żaden sposób nadrobić. Należało rozstać się z nim o wiele wcześniej, ale niestety nie zdobyłam się wówczas na odwagę. Dopiero ostatnie miesiące małżeństwa przelały czarę goryczy.

Złapałyśmy się z dziewczynkami za ręce, aby stworzyć przy stole krąg i wspólnie się pomodlić. Z gramofonu, w którym ciągle zacinąca się płyta, płynął chóralny śpiew kolęd, nadając chwili podniosły nastrój. Czułam ciepły uścisk dłoni Hanny i Adalii, które nagle wydały mi się takie dorosłe. Ich dzieciństwo się kończyło, a bliski rozwód niewątpliwie dodatkowo skrócił ten beztroski czas. Poczułam ścisk w gardle, gdy to sobie uświadomiłam. Specjalnie nie zaprosiłam na ten dzień nikogo do rezydencji na czerwonym klifie. Chciałam, aby był to wyłącznie nasz czas. Doktor Arens zrozumiał moją decyzję, chociaż wydawał się smutny, gdy mu to oznajmiłam. Ostatnimi czasy widywaliśmy się praktycznie w każdej wolnej chwili, co było dla mnie mocno uciążliwe, bo musiałam utrzymywać to w sekrecie przed córkami i gosposią. To nie był z pewnością właściwy okres na oznajmienie dziewczynkom, że w moim życiu oficjalnie pojawił się nowy mężczyzna. Nie miałam złudzeń i wiedziałam, że nie przyjmą tego dobrze.

Odwlekałam więc ten moment, nie mając odwagi spojrzeć córkom w oczy. Poza tym brakowało ostatecznego orzeczenia sądu o tym, że nasze małżeństwo przestało istnieć. Formalnie więc w dalszym ciągu pozostawałam żoną Tadeusza Kadera. Szczególnie więc musiałam ukrywać intymne kontakty, jakie połączyły mnie z doktorem, bo niemiecki Kodeks karny przewidywał karę więzienia za cudzołóstwo.

Wrzucałam do kominka porozrywany ozdobny papier po prezentach, patrząc, jak płonie.

– Myślałam, że dostaniemy w prezencie szczeniaka – odezwała się jedna z moich córek, wyrywając mnie z zamyślenia. Nie kryjąc rozczarowania w głosie, szła już na górę do swojego pokoju. – Zawsze nam obiecywaliście, że kupicie psa, jak już obie pójdziemy do szkoły, bo wtedy będziemy na tyle duże, by się nim zająć.

– Sądzę, że wasze marzenie kiedyś się spełni, ale to naprawdę nie jest dobry moment, by decydować się na posiadanie czworonoga – próbowałam wyjaśniać, ale nie chciały mnie dłużej słuchać. Przyspieszyły tylko kroku, biegnąc po stopniach schodów. Cieszyłam się, że nie usłyszałam od nich tego wieczoru czegoś znacznie bardziej przykrego i że nie zadawały mi trudnych pytań, na które sama nie znałam odpowiedzi.

Po posiłku zdecydowałam się udać na pasterkę do kościoła pod wezwaniem Świętego Mikołaja z Miry, patrona żeglarzy. Jako że było już późno, wcześniej wysłałam dziewczynki do łóżek. Potrzebowałam odrobiny samotności, a w głębi duszy liczyłam na to, że być może Lothar także wybierze się na nabożeństwo.

Wystroiłam się w kostium z czerwonej wełny, z kołnierzem karakułowym, pod którym miałam żakiet z poszerzonymi na ramionach odstającymi plisami, do tego założyłam spódnicę z gorsecikiem. Wokół szyi zawiązałam jedwabną apaszkę

w kolorach bursztynowych, z nadrukowanym kraciastym wzorem. Na policzki nałożyłam róż, by nie wyglądały zbyt blado, fioletowawe sińce pod powiekami przypudrowałam starannie, a usta pomalowałam karminową szminką.

Udało mi się zaparkować autem blisko głównego wejścia do świątyni. Wchodząc do środka, zauważyłam romańską kamienną chrzcielnicę. Była wyraźnie nadgryziona zębem czasu, ale musiała być świadkiem tylu ważnych wydarzeń. Zdecydowałam się zanurzyć dłoń w święconej wodzie, jakbym chciała w ten sposób odrodzić się tego dnia na nowo. Przeżegnałam się i ruszyłam w stronę ławek, by zająć miejsce blisko ołtarza. Poczułam chłód minionych wieków bijący z ceglanych murów, a zarazem niezwykły spokój wstępujący w moją duszę. Wyobraziłam sobie ludzi, którzy byli tutaj przede mną, i próbowałam przenieść się do ich czasów. Przymknęłam powieki, chłonąc całą sobą to misterium. Poczułam zapach kadzidła, do moich uszu dobiegł dźwięk organów, a później chóralny śpiew wznoszący się ku niebiosom. Przez krótką chwilę miałam wrażenie, że Bóg rozmawia ze mną, wypełniając moje wnętrze. Głos kapłana niósł się echem po świątyni. Trwałam w tym oczarowaniu, gdy nagle doznałam silnego wrażenia, że ktoś mi się przygląda...

Liturgia dobiegała już końca. Boży dom pomału pustoszał, a kościelny chodził z gasidłem, by dosięgnąć świec płonących w żyrandolach. Rozejrzałam się niespokojnie dookoła, lecz nie dostrzegłam nic niepokojącego. Podeszłam do klęcznika, by się pomodlić. Po raz kolejny zimny dreszcz przeszedł mi przez plecy, jakby ktoś próbował przewiercić mnie wzrokiem. Odwróciłam się gwałtownie za siebie i wtedy dostrzegłam kobietę w czerni, w kapeluszu z woalką całkowicie przysłaniającą jej twarz. Siedziała samotnie na emporze, wyraźnie śledząc każdy mój ruch. Gdy się

zorientowała, że spostrzegłam jej obecność, pośpiesznie się obróciła i ruszyła w stronę wyjścia. Ja także wstałam i zaczęłam biec w jej kierunku.

– Dokąd tak pani pędzi? – Wzburzony duchowny próbował mnie zatrzymać, lecz ominęłam go, mamrocząc pod nosem niezrozumiałe dla niego słowa wyjaśnienia. Chciałam za wszelką cenę dowiedzieć się, kim była nieznajoma i dlaczego mnie obserwowała. Niestety, gdy znalazłam się na deptaku, nie było po niej śladu. Rozglądałam się bezradnie jeszcze przez dłuższą chwilę. Nad miastem opadła gęsta, mleczna mgła, co dodatkowo utrudniło poszukiwania. Najwyższy czas było wracać do domu.

Jechałam powoli wzdłuż wydm, krętymi drogami po wzgórzach porośniętych dziką różą. Miejsce to, które zawsze wyglądało dla mnie malowniczo, teraz wydawało się mroczne i złowrogie. Widoczność była bardzo słaba, a ja czułam się nieswojo, jakby w dalszym ciągu podążała za mną widmowa niewiasta. Nie dawały mi spokoju dręczące pytania, skąd się nagle wzięła i co ją ze mną łączyło.

Gdy jednak zbliżyłam się do posiadłości, co innego pochłonęło moją uwagę. Dostrzegłam w kuchennym oknie migoczącą lampę naftową. Byłam pewna, że wyjeżdżając, zgasiałam wszystkie światła. Mogło to oznaczać, że moje latorośle nie spały i udały się na dół. Widocznie nie zapaliły żarówki, wiedząc, że ostatnimi czasy starałam się mocno oszczędzać, żeby podreperować domowy budżet.

Wbiegłam do środka, lecz nie słychać było żadnych odgłosów. Budynek zdawał się pogrążony we śnie. Gdy weszłam do kuchni, zobaczyłam ledwie się tłący płomień, ale wokół nie było żywej duszy. Jedyne pokrywki od garnków były ściągnięte i ułożone niedbale. Wewnątrz tkwiła zatopiona w potrawie drewniana łyżka.

Zapewne któraś z dziewczynek zdążyła zgłodnieć w międzyczasie. Zdenerwowałam się na pozostawiony nieporządek i na ich niefrasobliwość, która mogła doprowadzić do pożaru. Ale postanowiłam, że nie będę robić z tego awantury. Udałam się na zasłużony spoczynek do mojej sypialni, chcąc jak najszybciej przyłożyć głowę do pachnącej suszoną lawendą poduszki. Nie pamiętam, kiedy przyszedł sen.

* * *

Następnego dnia po południu Hanna i Adalia wybierały się z panią Edeltraud do Hamburga, aby obejrzeć operę Wagnera *Złoto Renu*. Miały zanocować w hotelu i wrócić dopiero nazajutrz. Ja z kolei potrzebowałam wolnego wieczoru, by uporządkować swoje sprawy, a także musiałam się przygotować na wizytę moich przyjaciółek, które miały niebawem zjawić się na Sylcie. Nie spodziewałam się pilnych wezwań ze szpitala do nagłego przypadku – żadna z moich pacjentek na szczęście w najbliższym czasie nie miała rodzić.

Nalałam sobie największy kieliszek wina, jaki znalazłam, i sącząc go powoli, otworzyłam sekretarzyk mojej zmarłej ciotki, by wreszcie przejrzeć i posegregować dokumenty. Nie znalazłam jednakże nic poza starymi, pożółkłymi rachunkami. Jeden z nich wydawał się zapłatą za bardzo drogie leczenie u niejakiego doktora Nielsa Finsena. Znużona wrzuciłam wszystko do pieca kuchennego, chcąc użyć papierów jako podpałki przy najbliższej okazji. Zastanawiałam się, dlaczego do tej pory podczas porządków nie natrafiłam na żadną fotografię ciotki Sybilli. W dalszym ciągu nie miałam pojęcia, jak wyglądała. Jej osobiste dokumenty gdzieś zaginęły, a identyfikacja zwłok odbyła się przy udziale koronera

i mieszkańców wyspy. Wszystko to wydawało mi się coraz bardziej irrealne.

Znów pojawił się ból głowy, jaki zaczęłam miewać stosunkowo często, odkąd zamieszkałam w domu na czerwonym klifie. Rozmasowywałam powoli skronie, dopijając resztkę alkoholu. Poszłam do łazienki, by umyć się przed snem. Stała tam balia z drzewa świerkowego, w której przygotowałam gorącą kąpiel. Zanurzyłam się cała, razem z głową, próbując się zrelaksować. Otworzyłam pod wodą oczy i wpatrzyłam się w biały sufit. Miałam wrażenie, jakby przemknął po nim cień. Wyskoczyłam pośpiesznie na zewnątrz, rozglądając się nerwowo dookoła. Nie zauważyłam jednak nic niepokojącego. Moja wyobraźnia znów płatała mi figle. Po chwili znalazłam się na powrót w korytarzu, odziana jedynie w wilgotny ręcznik. Gdy stąpałam cicho bosymi stopami po wełnianym dywaniku, usłyszałam nad głową skrzypienie desek, jakby ktoś chodził po strychu. Zamarłam w bezruchu, nasłuchując, lecz odgłosy już się nie pojawiły. Pomyślałam, że zapewne musiały to być kuny, które nieraz dawały się tu we znaki, wyrządzając niemałe szkody.

Nagle usłyszałam dzwonek do drzwi. Podskoczyłam z przestachu w miejscu i chwilę mi zajęło, zanim znów się uspokoiłam. Narzuciłam na siebie jedwabną wieczorną podomkę i szlafrok, po czym zbiegłam po schodach. Ktoś był wyraźnie niecierpliwy, bo w tym czasie nacisnął guzik jeszcze kilkakrotnie. O tej porze rzadko przychodziły dobre wieści...

– Lothar! – wyszeptałam z niedowierzaniem, gdy w progu ujrzałam doktora Arensa, ubranego tylko w lekką marynarkę.

Rzuciłam mu się na szyję, ciesząc się na jego widok.

– Lauro, tak bardzo się za tobą stęskniłem – wyszeptał namiętnym, gorącym głosem wprost do mojego ucha. Chciwie

wdychał mój zapach, upajając się nim, jakbym była jego narkotykiem. – Wiedziałem, że tego wieczoru będziesz sama, i postanowiłem cię odwiedzić.

W jego oczach płonął żar pożądania. Czułam, jak pochłania mnie swoimi szerokimi źrenicami.

– Widziałem twoje córki i gosposię, jak wsiadały do ostatniego dziś pociągu jadącego na ląd. Dłużej nie byłem w stanie wytrzymać bez ciebie... – wyznał, rozpinając delikatnie guziki mojej haftowanej koszuli, by odsłonić nagie piersi, które nabrzmiały z podniecenia.

Pociągnęłam go za sobą do salonu, gdzie w kominku w dalszym ciągu palił się ogień, rzucając łunę na ściany. Lothar ściągnął wierzchnie okrycie i kamizelkę, poluzował też muszkę. Pomogłam mu się rozebrać z koszuli i przywarliśmy do siebie nagimi ciałami, upajając się bliskością. Po chwili leżałam już na owczej skórze rozłożonej tuż obok marmurowego gzymsu, a on położył się na mnie. Odczuwałam muskające ciepło płomieni i ogień wypełniający mnie od środka z każdym głębszym pchnięciem jego silnych męskich bioder. Pierwsza poczułam tysiące iskier eksplodujących pod przymkniętymi powiekami i falę rozkoszy zalewającą mnie od wewnątrz. On szczytował chwilę po mnie, a potem położył głowę na moim udzie, delikatnie głaszcząc mnie palcami. Upajałam się tą piękną chwilą, mając nadzieję, że nie jest snem i że zaraz się nie obudzę. Odpłynęłam, mając wrażenie, że kołyszę się na falach.

Mój kochanek musiał zasnąć, bo słyszałam jego miarowy oddech. Leżałam jeszcze dłuższą chwilę w bezruchu, gdy nagle usłyszałam odgłos spadających z regału książek. Hałas był na tyle głośny, że oboje zerwaliśmy się na równe nogi.

– Co się stało? – dopytywał rozgorączkowany Lothar, pośpiesznie się ubierając. Ja także narzuciłam na siebie niedbale peniuar, który

leżał na oparciu krzesła.

– Nie mam pojęcia – odparłam rozdygotana. – Ktoś chyba jest w bibliotece... – powiedziałam przenikliwym szeptem, mając nogi miękkie jak z waty.

– Zostań tutaj, a ja pójdę sprawdzić. – Uścisnął mi uspokajająco dłonie.

Skinęłam tylko głową, nie będąc w stanie wydobyć z siebie ponownie głosu. Od razu przypomniałam sobie wszystkie historie o włamywaczach i bezwzględnych mordercach. Dookoła domu panowała całkowita ciemność. Nie było stąd widać nawet światła latarni morskiej.

– Nikogo tutaj nie ma – zawołał po chwili mój towarzysz. – Po prostu zerwała się półka – dodał uspokajająco. – Stare domy pełne są dziwnych odgłosów... Może to jakaś zbłąkana dusza?

– Przestań, proszę! – upomniałam go. Gdy znalazłam się obok niego, moim oczom ukazały się porzrzucone woluminy i podręczniki z ginekologii. Pośpiesznie zaczęłam zbierać je z podłogi, otrzepując okładki i sprawdzając, czy nie zostały uszkodzone.

– Jutro pomyślimy, jak ją z powrotem przykręcić – odezwał się doktor Arens, próbując naprędce naprawić antyczny mebel.

Stałam obok oparta o biurko i spoglądałam w dal. Mój towarzysz od razu się zorientował, że myślami błędzę gdzieś daleko. Zaszedł od tyłu i położył głowę na moim ramieniu, a rękami objął mnie w talii.

– O czym tak myślisz? – mruknął tuż nad moim uchem, skubiąc wargami jego płatek.

– Pamiętasz, jak opowiadałeś mi historię safiannika i tajemnych przejść do ukrytych pokojów, których przeznaczenia nikt nie zna? – Wyswobodziłam się delikatnie z uścisku i popatrzyłam mu w oczy.

– Ale przecież sprawdzaliśmy na planach i niczego takiego nie zaznaczono. Podczas prac robotnicy także nie natrafili na nic, co mogłoby potwierdzać taką teorię. Myślę, że to jedna z licznych zmyślonych opowieści, którymi żywią się żądni sensacji ludzie. Ten człowiek zmarł dawno temu, tym samym jego życie zdążyło obrosnąć legendą...

– Odkąd tutaj zamieszkałam, cały czas mam wrażenie, że oprócz mnie w tym domu jest ktoś jeszcze. Ciągłe dzieją się dziwne, niewyjaśnione rzeczy. Po nocach budzą mnie hałasy. Zza ścian dobiegają niepokojące odgłosy. Jakby obok toczyło się czyjeś życie...

Odpowiedział mi jedynie śmiech, który bardzo mnie zirytował.

– Więc może jednak to prawda z tymi duchami? – zapytał, przyciągając mnie znów do siebie. – Wiesz, tutaj, w północnej Fryzji, wierzą, że co roku od 25 grudnia niebo jest otwarte dla dusz przez dwanaście dni i nocy. Mogą one wtedy swobodnie wędrować z powrotem na ziemię.

– Myślałam, że chociaż z tobą mogę pomówić poważnie – odparłam, nie kryjąc urazy w głosie i wyrrywając się z jego objęć.

– Och, Lauro... To przecież żarty. Czy straciłaś poczucie humoru? – zawołał za mną, ale ruszyłam już w stronę salonu, by zasiąść w ciszy w fotelu.

– Zrobię ci herbatę – zaoferował. – Muszę tylko na nowo rozpalić piec, bo widzę, że dawno zgasł. Gdzie masz zapałki?

– Poczekaj, pokażę ci, bo nigdy nie znajdziesz – rzekłam, kierując się w stronę kuchni. Po chwili wręczyłam mu tekturowe pudełeczko. Lothar wyciągnął spod fajerki kartkę papieru, którą wcześniej tam wrzuciłam, aby za jej pomocą wzniecić ogień.

– Doktor Niels Finsen, niemożliwe! – zawołał nagle, przyglądając się zapisowi.

- Znasz go? – zapytałam, unosząc brwi.
- A ty nie? – odparł ze zdziwieniem.
- Nigdy się z nim nie zetknęłam...
- Przecież to pionier nowoczesnej fototerapii w medycynie. Laureat Nagrody Nobla.
- Naprawdę o nim wcześniej nie słyszałam – powiedziałam zawstydzona, spuszcżając wzrok.
- Może dlatego, że mieszkał i pracował w Kopenhadze. Jako student byłem na jednym z jego wykładów. Niestety, śmierć zabrała go przedwcześnie. W ostatnich latach życia poruszał się na wózku inwalidzkim i cierpiał z powodu wodobrzusza. Ponieważ chorował na sfigomielinozę, na którą nie ma lekarstwa, sam szukał drogi, by sobie pomóc. Tak wpadł na pomysł terapii światłem ultrafioletowym. Skonstruował w tym celu lampę nazwaną od jego nazwiska. Okazała się wyjątkowo skuteczna w terapii gruźlicy skóry. Tym właśnie zasłynął. Ludzie z całej Europy jeździli do niego, aby się ratować. Zmarł wiele lat temu, zresztą ten dokument datowany jest na 16 marca 1899 roku...
- Co takiego? Pokaż mi to, proszę! – rzekłam, wrywając mu gwałtownie z rąk pomiętą kartkę.
- Lauro, jakie to ma teraz znaczenie?! – zapytał zdziwiony moim nietypowym zachowaniem.
- Tego samego dnia zginął mój ojciec! Jego zwłoki znaleziono w samochodzie. Było to nieopodal stolicy Królestwa Danii.
- Dalej nie rozumiem...
- Ja też nie. Ale czy nie sądzisz, że to dziwny zbieg okoliczności?
- Myślę, że jeszcze wiele innych rzeczy zdarzyło się tamtego dnia
- rzekł, głaszcząc mnie czule po głowie.
- Czy na rachunku jest napisane imię i nazwisko pacjenta?

– Niestety, nic takiego nie widzę – odparł, studiując tekst przez monokl. – Lauro, być może po prostu twoja ciotka albo ktoś z jej bliskich, jak wielu innych, cierpieli na toczeń gruźliczy i jeździli do słynnego doktora na konsultacje. Nie robiłbym z tego specjalnej sensacji. Chodź, zagotowała się woda – rzekł, podchodząc do kuchenki, by zestawić z palnika gwizdzący czajnik.

Podążyłam za nim, ale rachunek włożyłam do kieszeni. Usiedliśmy w półmroku z dymiącymi filiżankami. Wtuliłam się w jego męski, silny tors, słuchając spokojnego i miarowego bicia jego serca.

– Wiesz co mnie najbardziej zadziwia? – odezwał się, przerywając ciszę.

– Nie... – wyszeptałam w zamyśleniu.

– Do niedawna myślałem jeszcze, że mężczyźni w moim wieku mogą mieć problemy z... sama wiesz... A przy tobie czuję się, jakbym znów miał dwadzieścia lat. Jak ty to robisz?

Uśmiechnęłam się w odpowiedzi, głaszcząc go po policzku. Myślami byłam daleko stąd, w zupełnie innym miejscu. Przed oczami stanął mi tamten ponury, pochmurny marcowy dzień, gdy dowiedziałam się, że już nigdy więcej nie zobaczę Ludwika Gestnera, mojego ojca. Projektowałam w wyobraźni, jak mogły wyglądać jego ostatnie chwile, i ponownie moje ciało zaczęło dygotać z nerwów. To największe kłamstwo tego świata, że czas leczy rany. On niczego takiego nie robi. Tylko je zabliznia, a pod tą blizną tkwi wciąż boląca, jątrząca się gangrena, która co jakiś czas się ujawnia, zadając niewyobrażalne cierpienie...

ROZDZIAŁ X

Nadszedł ostatni dzień starego roku. Na Sylcie obchodzono go w szczególny sposób. Tradycją było, że dzieci przebrane za przedstawicieli różnych rzemieślniczych zawodów krążyły po domach, by w zamian za zaśpiewanie piosenki otrzymywać słodycze i jabłka. Gromadnie przemieszczały się po wyspie, oznajmiając swoje przybycie poprzez dudnienie na specjalnie wykonanym bębenku z garnka i pęcherza świńskiego. Nikt jednak nie zapukał do drzwi posiadłości na czerwonym klifie. Wiedziałam, że w obliczu ostatnich wydarzeń miejsce to uznano ostatecznie za przeklęte i na wszelki wypadek omijano je z daleka.

Trudno było się dziwić, bo ja, mieszkając tutaj, także nie czułam się dobrze. Często miewałam bóle i zawroty głowy. Wstawałam rano niewyspana. Co noc dręczyły mnie koszmary senne i czułam się ciągle osłabiona. Nie potrafiłam wyjaśnić tych dolegliwości inaczej jak aurą tego miejsca.

Nadejście północy przywitałam samotnie, słuchając bicia kurantowego zegara, a potem poszłam na spacer po plaży, wypatrując Lothara, z którym umówiłam się w tym miejscu. Tuliliśmy się do siebie, siedząc na kocu na zmarzniętym piasku i pijąc na rozgrzanie grog. Wydawało się, że czas stanął w miejscu, a kula ziemską na moment się zatrzymała, gdy patrzyliśmy w rozgwieżdżony nieboskłon. Jak zawsze odnajdywaliśmy Mały Wóz z najjaśniej świecącą Gwiazdą Północną. Potem Lothar zabrał

mnie do swojego domu, gdzie kochaliśmy się długo, namiętnie i bez pośpiechu.

– Mamy dla siebie całe życie, Lauro – mówił do mnie. – A najpiękniejszych jego chwil nie da się zaplanować. One przychodzą same. Dlatego celebруем je, kiedy z nami są!

Zgodziłam się z nim w milczeniu i położyłam głowę na jego umięśnionej klatce piersiowej. Część włosów na niej już posiwiiała, co mimowolnie przypominało mi, ile mamy lat. Nie czułam jednak upływu czasu, bo człowiek staje się młody za każdym razem, kiedy się ponownie zakocha.

* * *

Noworocznym zwyczajem na wyspie było rzucanie o ściany domu porcelaną, co miało sprawić, że wszystko, co złe, zostanie w starym roku. Chociaż kompletnie w to nie wierzyłam, zgodnie z tutejszymi tradycjami zabrałam filiżankę malowaną w kwiaty dzikich róż, by rozbić ją o ceglane mury. Rozprysła się w drobny pył. Chwilę stałam tak w ogrodzie, wdychając mroźne powietrze zmieszane z solą i patrząc na parę wydobywającą się z moich ust. W oddali szumiało morze, które o tej porze roku podchodziło blisko wydm. Tarcza słońca chowała się za horyzontem, pozostawiając krwistą świetlną łunę. Chociaż byłam zupełnie sama, wyraźnie wyczuwałam czyjąś obecność. Rozejrzałam się dookoła, lecz w zapadającym szybko zmroku nie dostrzegłam nic niezwykłego. Weszłam więc z powrotem do ciepłej kuchni i od razu wstawiłam wodę, by rozgrzać się herbatą. Wtem na pobliskich, pogrążających się w ciemności wydmach ujrzałam kobiecą postać, z twarzą wyraźnie zwróconą w stronę budynku. Stała tuż za ogrodzeniem. Nie mogłam jednak dostrzec wiele poza czarną woalką i kapeluszem. Byłam niemalże pewna, że to ta sama osoba, którą

wcześniej widziałam w kościele. Nie zastanawiając się, złapałam wełniany pled, niedbale narzuciłam go na siebie i zabrawszy z szuflady latarkę na korbkę, wybiegłam pośpiesznie na zewnątrz. Silne podmuchy wiatru sprawiały, że kosmyki włosów wciąż wpadały mi do oczu. Starłam się odgarniać je ręką, ale po tajemniczej nieznamym nie został żaden ślad.

– Kim jesteś? – krzyczałam, próbując zagłuszyć huk fal. Lecz moje pytanie pozostało bez odpowiedzi. Nie mogło mi się przecież przywidzieć. Byłam pewna tego, co widziałam...

Powoli wróciłam do domu, rozcierając zgrabiące z zimna ręce. Siedziałam potem przy rozgrzanym kaflowym piecu, trzymając na nim zmarznięte dłonie. Szyby domu drżały pod naporem wichru, wydając przenikliwe jęki. Wtem głośne pukanie do drzwi sprawiło, że podskoczyłam w miejscu z przestachu. Tak bardzo pragnęłam, by stał za nimi Lothar. Niestety, tym razem moje życzenia nie zostały wysłuchane.

– Pani doktor, dziewczyna z naszej wsi rodzi już drugą dobę. To jej pierwsze dziecko. Na dodatek poród zaczął się przed terminem. Trzeba jej pomóc! – zawołał od progu mężczyzna, chwytając mnie za rękę i ciągnąc w stronę powozu.

– Proszę wieźć ją do szpitala! Wezmę tylko moją lekarską torbę i także się tam udam – odrzekłam, z trudem panując nad emocjami. Chociaż jeszcze nie widziałam położnicy, intuicja podsyłała mi uporczywe myśli, że tym razem nie będzie szczęśliwego finału.

Ów człowiek pobiegł do bryczki i świsnął batem w powietrzu, a konie ruszyły cwałem. Z podręczną torbą pod pachą wsiałam do auta i chwyciłam w obie ręce zmarzniętą kierownicę. Silnik na szczęście odpalił bez większych problemów. Jechałam znanymi piaszczystymi, krętymi drogami, które teraz pogrążyły się w gęstniejącej mgle.

Brama szpitalna zaskrzypiała złowrogo, gdy nacisnęłam mosiężną klamkę. W ambulatorium panowała niepokojąca cisza, zwiastująca, że tej nocy wiele się wydarzy. Gdy znalazłam się wewnątrz pomieszczenia, zobaczyłam położną trzymającą za rękę rodzącą, z której ust wydobywały się jedynie ciche westchnienia. Skóra jej była chłodna i wilgotna, a usta sine i spierzchnięte. Słysząc było charczenie – najprawdopodobniej zdążyła ochrypnąć od wcześniejszego krzyku i wzywania pomocy. Przyłożyłam słuchawkę do jej brzucha, jednak nie udało mi się odnaleźć tętna dziecka. Poczułam się, jakbym miała ołowianą kulę w żołądku. Chociaż należało działać szybko, o ile była jeszcze jakakolwiek szansa uratowania pierwiastki, moje ruchy stały się toporne i sztywne, a nogi całkiem skamieniały. Sięgnęłam po kleszcze Kiellanda, próbując w ten sposób wydobyć płód, lecz natrafiłam na nieoczekiwaną przeszkodę. Tylna ściana wagi była uwypuklona przez sprężysty guz, który wypełniał całkowicie jej światło. Ponieważ pacjentka straciła przytomność, chwyciłam za skalpel i przecięłam szeroko ściany pochwy. Udało mi się dotrzeć do jamy wypełnionej rozmaitej wielkości pęcherzami. Usunęłam patologiczną tkankę, a chwilę później bez żadnej pomocy na zewnątrz wyszło martwe dziecko. Owinęłam je szczelnie płótnem, nie sprawdzając nawet, jakiej było płci. Świat na moment przestał istnieć. Jak zawsze w tak strasznych chwilach, miałam wrażenie, że to nie dzieje się naprawdę, że to jedynie klatki kinematografu przesuwają się na ekranie przed moimi oczami. Obraz w okamgnieniu zrobił się czarny, by po chwili znów wypełnić się jaskrawą jasnością.

Sięgnęłam po pean i nici, by zaszyć ranę.

– Pani doktor, ona sinieje, a źrenice robią się szerokie! – przekazano mi niepomysłne wieści. Widziałam, jak na skórze

kobiety powstają wybroczyny, nazywane także cmentarnymi różami. Pacjentka znajdująca się w stanie septycznym była pogrążona w agonii, miała przed sobą ostatnie minuty życia. Złapałam ją za rękę, czując, jak robi się chłodna i sztywna. Ciało przybierało alabastrowy kolor. Jeszcze walczyła o życie, niczym ryba wyciągnięta z wody, chciwie łapiąca powietrze, zanim wydała z siebie ostatnie tchnienie. Chwyciłam stetoskop i przyłożyłam go do klatki piersiowej, szukając tonów serca. Lecz ono przestało już bić. Po raz ostatni zamknęłam palcami jej powieki.

– Co to było? – Z koszmaru na jawie wyrwało mnie pytanie jednej z pielęgniarek.

– Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że to echinokokoza umiejscowiona w miednicy małej, a więc w zupełnie nietypowym miejscu... – odezwałam się ledwie słyszalnie. – Pierwszy raz spotkałam się z czymś takim – wyznałam, odkładając zakrwawione narzędzia do sterylizacji.

Po minach położnych zorientowałam się, że moje tłumaczenie było zapewne dla nich niezrozumiałe.

– Inaczej mówiąc, to bąblowiec, czyli pasożyt, który powoduje powstawanie kulistych torbieli wypełnionych larwami. Ich wielkość może dochodzić nawet do rozmiaru ludzkiej głowy. Mogą zagnieździć się w najróżniejszych miejscach. Gdyby przeszkoda ta w drogach rodnych została wykryta wcześniej, być może zakończenie tej historii byłoby inne... – dodałam bez przekonania, opuszczając pomieszczenie.

Usiadłam w swoim gabinecie i wsłuchałam się w tykanie zegara. Nie wiem, ile czasu przesiedziałam w ten sposób, niezdolna uczynić jakikolwiek gest. To był jeden z tych momentów, kiedy nienawidziłam bycia lekarzem. Miałam ochotę zrzucić z siebie fartuch i nigdy już go nie zakładać. Wydawało mi się, że nie zniosę

więcej widoku ludzkiego cierpienia i śmierci, które były przecież dotąd moim chlebem powszednim.

Gdy wyszłam ze szpitala, był już środek nocy. Zrozumiałam jednak, że wcale nie chcę wracać do domu. Czułam się w nim zbyt samotna, przytłaczał mnie niewysłowiony smutek bijący z jego murów. Hanna i Adalia przebywały wciąż w Lubece, dokąd pojechały spotkać się z ojcem, i miały wrócić dopiero za kilka dni.

Ogarnęło mnie nieodparte pragnienie, by pojechać do doktora Arensa, ryzykując nawet, że nasz romans mógłby wyjść na jaw przed Teresą. Tak bardzo potrzebowałam schronić się w jego ramionach, poczuć jego dotyk i usłyszeć spokojny tembr jego głosu. Pokusa była bardzo silna, jednak ostatecznie zwyciężył zdrowy rozsądek. Jakaś niewyjaśniona siła spowodowała, że skręciłam gwałtownie kierownicę mojego horscha i znalazłam się na drodze prowadzącej wprost na cmentarz w Keitum. Piasek pod kołami zaskrzypiał i pojazdem zarzuciło na bok, aż prawie straciłam panowanie nad autem. Niewiele brakowało, a uderzyłabym w sękatę drzewo, które stało na poboczu. Poczułam falę gorącej krwi w skroniach i uspokoiłam się dopiero po wzięciu kilku głębszych oddechów. Nie umiałam wyjaśnić, dlaczego tak postąpiłam. Przycisnęłam pedał gazu, aż silnik zawył, i pomknęłam w nieprzeniknioną pomrokę.

Światła dawały widoczność zaledwie na kilka metrów, musiałam więc wkrótce zwolnić. Powodowała mną nieodparta tęsknota, by odwiedzić grób ciotki Sybilli. Sądziłam, że tego właśnie w tym momencie potrzebuję – że muszę z nią koniecznie porozmawiać, chociaż nie było jej już wśród żywych. Pragnęłam się pomodlić, bo wydawało mi się, że da mi to ukojenie i być może rozwieje posępną aurę, jaka roztaczała się nad posiadłością na czerwonym

klifie. Irracjonalnie szukałam w tym miejscu odpowiedzi na dręczące mnie pytania.

Szłam jak po omacku w stronę kamiennego nagrobka, którego wykonanie zleciłam parę tygodni temu. Chociaż byłam tam tylko raz, dobrze zapamiętałam drogę. Kilka razy się potknęłam, omal nie wykręcając sobie kostki. Jakaś niewidzialna moc pchała mnie jednak naprzód, jakby moje ciało przestało należeć do mnie, tylko bezwolnie wykonywało czyjeś rozkazy. Uspokoiliłam się dopiero, gdy stanęłam nad nasypem ziemi będącym jej mogiłą. Dotknęłam jej skostniałymi z zimna dłońmi, a następnie przesunęłam palcami po powierzchni granitu. Przeżegnałam się i przyklękłam. Sinymi z zimna ustami mamrotałam słowa: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie...”. Powtarzałam je kilka razy, jakbym chciała, by moja dusza została wyzwolona z sideł złej energii, ale nie czułam się ani trochę lepiej. Musiałam za bardzo oddalić się od Boga, skoro nie chciał mnie teraz słuchać. Podniosłam się bezsilnie, otrzepując płaszcz, i rozejrzałam się dookoła. Byłam zupełnie sama, otoczona lasem nagrobków. Za każdym z nich kryła się jakaś historia, w każdym z nich spoczywało jakieś ludzkie istnienie, które odeszło bezpowrotnie. Czułam misterium minionego czasu, który już nigdy nie powróci, losów, które już nigdy się nie odmieniają.

Przełknęłam gorzko ślinę i ruszyłam w drogę powrotną. Patrzyłam pod nogi, idąc powoli. W pewnym momencie na ścieżce tuż przede mną wyrósł człowiek. Odskoczyłam w przestkach, tłumiąc strwożony krzyk. Oślepiła mnie latarnia, którą trzymał w ręku, mimo to poznałam, kim był.

– Pan Krauter – wyszeptałam nieswoim głosem. – Nie spodziewałam się spotkać... To znaczy... – Nie wiedziałam, co powinnam powiedzieć.

Musiał mnie rozpoznać, bo w jego oku dostrzegłam błysk, a bezzębna szczęka wykrzywiła się w półuśmiechu. Przez chwilę wbijał we mnie wzrok, nic nie mówiąc. Światło migoczącej świecy odbijało się od jego łysiejacej czaszki. Wyglądał upiornie, jakby sam przed chwilą zmartwychwstał po długim leżeniu w grobowcu.

– To raczej ja powinienem być zaskoczony – wysapał. Kuśtykając, obrócił się na pięcie i powoli zaczął iść w stronę kaplicy. Podążałam za nim, jakby wydał nieme polecenie, bym tak uczyniła. – Pilnuję tego mogilnika od lat – wychrypiał. – Rzadko zdarza mi się o tej godzinie spotkać żywego człowieka...

– A błąkające się dusze zmarłych? Czy je pan spotyka? – zapytałam ochrypłym szeptem, on jednak przecząco pokręcił głową i spojrzał na mnie, nie dowierzając, że ktoś taki jak ja mógł zadać tak niedorzeczne pytanie. Ja sama zastanawiałam się, skąd zrodziło się w mojej głowie. Nigdy przecież nie wierzyłam w zjawiska nadprzyrodzone. Ale odkąd przeprowadziłam się tutaj, czułam ciągle czyjąś obecność w moim domu i nie potrafiłam tego wytłumaczyć w żaden racjonalny sposób.

Starszy mężczyzna machnął ręką i wybuchł demonicznym śmiechem.

– Nawet jeśli bym je spotkał, tobym się ich nie bał, bo krzywdę może zrobić tylko żywy człowiek.

Przyznałam mu rację skinieniem głowy. Mijaliśmy akurat grób z zawieszonym dzwoneczkiem, co przypomniało mi, w jakim celu je zostawiano. Przystanęłam, wpatrując się w żeliwny przedmiot poruszany delikatnie wiatrem.

– Panie Krauter, jest pan tutaj już tyle lat. Czy kiedykolwiek zdarzyło się panu usłyszeć dzwonienie?

Przystanął i spojrzał na mnie spode łba przenikliwym wzrokiem, jakby próbował coś wyczytać z mojej twarzy. Pytanie najwyraźniej

wydawało mu się podchwytliwe, bo dłuższy czas milczał.

– Więc już pani wie... – odparł zrezygnowany.

– O czym? – rzekłam zupełnie zbita z tropu.

– O starym safianniku.

– Czy chodzi o tego, który zbudował dom na czerwonym klifie?

– Tak... – westchnął ciężko. – Wiedziałem, że wcześniej czy później trafi pani do mnie, by drążyć ten temat, o którym chciałem już dawno zapomnieć. To jest klątwa, która cały czas powraca...

– Naprawdę nie mam pojęcia, o czym pan mówi... – Nieporadnie rozłożyłam ręce. Chciałam jednak, by koniecznie zdradził mi wszystko, co wiedział. – Proszę, niech mi pan o tym opowie... – nalegałam.

Nabrał w płuca powietrza i powoli je wypuścił. Widziałam, jak z jego ust uchodzi para.

– Było to wiele lat temu. Do kostnicy przywieziono ciało, które leżało tam jak zwykle dzień i noc, nie dając oznak życia. Wsunęliśmy wraz z innymi grabarzami trumnę do przygotowanego wcześniej dołu, przysypując ją powierzchownie ziemią. Nazajutrz mieliśmy dokończyć pochówek. Zgodnie z ostatnim życzeniem zmarłego włożyliśmy do środka sznurek, do którego przytroczono dzwoneczek. Zawsze uważałem ten zwyczaj za brednie, bo nie wydawało mi się możliwe, aby kogoś pogrzebać za życia. Nie wiedziałem nawet, do kogo należał ów grób. Nie interesowałem się tym specjalnie. Dopiero później, gdy zrobiło się o nim głośno, dowiedziałem się, że był to niejaki Raban von Spiegel. Pochodził podobno z arystokratycznej rodziny, ale familia z jakichś powodów wyrzekła się go. Tamtej nocy jak zwykle przechadzałem się po ścieżkach, gdy do moich uszu doleciał nagle cichy dźwięk dzwonienia. Początkowo sądziłem, że może to wicher albo jakiś ptak poruszył hełm dzwonka. Ale odgłos powtarzał się jeszcze

kilkakrotnie, więc ruszyłem w jego kierunku i natrafiłem na kopiec świeżego, mokrego jeszcze piasku. Nie zastanawiając się długo, pobiegłem po łopatę, by jak najszybciej odkopać trumnę. Pot spływał mi po plecach, mięśnie bolały z wysiłku, ale wiedziałem, że każda minuta jest cenna. Zdawało mi się, że słyszę jęki dobiegające spod ziemi. Nie wiem, ile trwało, zanim dostałem się wreszcie do środka, ale gdy to się stało, człowiek ten był już martwy. Zapewne zdążył się udusić. Dowodem, że przez chwilę jeszcze żył, była pozycja, w jakiej się znajdował; jego ciało było powykręcane. Twarz zastygła mu w grymasie cierpienia. Drapał drewniane wieko, próbując się wydostać, o czym świadczyły drzazgi wbite pod paznokciami. Białka jego oczu wywinięte były w górę, jakby oczekiwały pomocy z niebios. Zawołałem na pomoc doktora, ale na nic się wszystko zdało, bo było za późno. Przed pogrzebem musiano błędnie orzec, że umarł. Zgonu tego nie zbadał żaden medyk, dlatego doszło do tej straszliwej pomyłki. Od czasu tego wypadku mówią, że dom na czerwonym klifie jest...

– Jest przeklęty... – dokończyłam za niego. Słowa te brzmiały w moich ustach całkowicie nieracjonalnie, aż sama się ich zawstydziłam. Było jednak coś, czego nie potrafiłam w żaden naukowy sposób wyjaśnić, a co odczuwałam, przebywając w posiadłości mojej zmarłej ciotki.

– To był jeden jedyny raz, gdy usłyszałem dźwięk dzwoneczka, a pracuję tu już ponad pół wieku... – wyznał pan Krauter, wyciągając z kieszeni haftowaną chusteczkę, by przetrzeć czoło. Wyglądał, jakby się zmęczył naszą rozmową. – Teraz, skoro pani już poznała prawdę, proszę mnie więcej nie męczyć tym tematem.

– Oczywiście – obiecałam, czując w duchu wdzięczność, że wyjawiał mi swój sekret. Stary safiannik musiał zapewne z jakichś powodów zapaść w letarg, który czasem mylono ze śmiercią.

Obudzenie się we własnym grobie było koszmarem spędzającym za życia sen z powiek tak wielu, że nawet ochrzczono to zjawisko w medycynie mianem tafefobii. Do takich koszmarnych pomyłek dochodziło najczęściej podczas epidemii, wojen lub masowych egzekucji, kiedy to nieboszczyków chowano w pośpiechu, nie czekając na ostateczne potwierdzenie zgonu po trzech dniach czuwania przy ciele. Zdarzało się to także znanym osobom. Gdy ekshumowano ciało pisarza i dramaturga rosyjskiego, Mikołaja Gogola, który zmarł w 1852 roku w Moskwie, okazało się, że musiał obudzić się w trumnie, a w momencie pochówku znajdował się w stanie śpiączki. Po makabrycznej walce o życie został znaleziony skulony w rogu grobowca. Cała armia nieszczęśników podzieliła podobny los, o czym świadczą pozycje, w jakich zastano zwłoki w mogiłach, gdy przenoszono stare cmentarze.

Próbowano się przed tym ustrzec na wiele sposobów. By sprawdzić, czy człowiek na pewno nie żyje, polewano go wrzątkiem lub nacinano nożem. Inną metodą było stawianie na ciele zmarłego zapalonego stożka z wosku. Zakładano, że krążenie krwi pompowanej przez bijące serce spowoduje powstanie pęcherzy po oparzeniu skóry.

– Niech już pani lepiej wraca do domu – odezwał się pan Krauter, wyraźnie chcąc uwolnić się od mojego towarzystwa. Na jego obliczu znów pojawił się ten dziwny, niepokojący uśmiech, jaki zauważyłam w czasie naszego pierwszego spotkania. Miałam nieodparte wrażenie, że wie o czymś jeszcze, ale tej tajemnicy nie będzie chciał mi zdradzić. Tęczówki mieniły mu się niczym czarny onyks, zlewając się ze źrenicami, jakby jego oczy stały się portalem do innego wymiaru, a wyostrzone kości czaszki, powleczone półprzezroczystą skórą, sprawiały wrażenie, że nie należy już do świata żywych.

Moje palce ponownie zacisnęły się na lodowatej kierownicy, gdy wyruszyłam w swoją stronę. Droga była ciemna i kręta, jak losy mojego życia, ale widoczne na horyzoncie światło latarni dawało mi nadzieję, że wkrótce się to odmieni...

ROZDZIAŁ XI

Zimowe słońce wdzierało się przez oszronione szyby, wpuszczając smugę światła do pomieszczenia. Przymknęłam powieki, by rozkoszować się jego ciepłem. Ambulatorium było jak zwykle pełne pacjentek, ale przez chwilę pozostałam sama w gabinecie, czekając, aż sterylizacja wzierników do badania ginekologicznego dobiegnie końca. Historia tych narzędzi była bardzo ciekawa – archeolodzy odkryli je już w ruinach Pompei. Przypominały wówczas bardziej aparaturę do tortur, bo zbudowane zostały z dwóch ostrzy, które otwierały się i zamykały za pomocą mechanizmu zbliżonego do korkociągu. Chociaż stosowano je w starożytności, potem na wiele wieków zrezygnowano z ich używania, uznając je za nieprzyzwoite i sprawiające płci pięknej ból. Istniały również obawy, że kobiety przy takim badaniu doświadczą grzesznej przyjemności i będą chciały mu się poddawać znacznie częściej, niż wynikałoby to z rzeczywistych potrzeb. Kiedy zawód lekarza wykonywali wyłącznie mężczyźni, podczas badania żeńskich narządów płciowych wkładali palce pod spódnicę zupełnie na oślep. A wszystko po to, by nie zawstydzić swoich pacjentek, nawet kosztem postawienia niewłaściwej diagnozy. Wszystko zmieniło się za sprawą pewnego Amerykanina, Jamesa Mariona Simsa, do którego zgłosiła się nieszczęsna niewiasta po upadku z konia. Doktor ten nakazał jej położyć się na plecach i unieść nogi, a następnie uznał, że aby zajrzeć do środka, wykorzysta dwie wygięte łyżki od zastawy stołowej. Okazało się to przełomem w historii ginekologii. Później już tylko udoskonalano kolejne modele tego narzędzia.

Nagle poczułam uderzenie gorąca i zawroty głowy, co zdarzyło mi się nie pierwszy raz w ostatnim czasie. Pośpiesznie wstałam od biurka i udałam się w stronę okna, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Złapały mnie delikatne mdłości, które na szczęście zdołałam powstrzymać.

Tymczasem na fotelu do badania usiadła kolejna chora. Była nią młoda kobieta, która regularnie odwiedzała moją praktykę, jako że leczyła się na zapalenie przydatków. Bezskutecznie jednak, bo zabiegi wodolecznicze, przeciwzapalne i stałe leżenie w łóżku nie przynosiły w jej przypadku efektów. Jak podejrzewałam, nie zachowywała zalecanej przeze mnie wstrzemięźliwości płciowej. Wykonywałam jej kilkakrotnie śródmaciczne wstrzyknięcia argentaminy, wprowadzając na wziernikach strzykawkę do dna macicy. Znosiła wszystko bardzo cierpliwie pomimo niewyobrażalnego bólu. Teraz miała rozpalone czoło, zroszone kroplami potu z bólu i gorączki. Co jakiś czas dostawała ataku dreszczy.

– Od kiedy utrzymuje się wysoka temperatura? – zapytałam ją, dotykając rozpalonego czoła.

– Od kilkunastu dni, ale od dwóch jest o wiele gorzej – wysapała. Przez głowę przemknęła mi obawa, że to może być ropniak jajnikowy, który będzie musiał zostać wycięty abdominalnie. Zbadałam ją ostrożnie *per rectum*, w obawie, że gdyby znajdująca się wewnątrz ropa rozlała się w jamie brzusznej, wówczas uratowanie chorej byłoby niemożliwe. Twarz pacjentki wykrzywiały grymasy cierpienia, które jednak stawała się ukrywać. Moje najgorsze przypuszczenia potwierdziły się.

– Będę musiała wykonać operację, i to jak najszybciej. Stan jest bardzo poważny – zawyrokowałam, odwracając wzrok, jakbym się bała spojrzeć w oczy człowieka, który za kilka godzin może umrzeć.

Oznajmianie niepomyślnych wieści było chyba najtrudniejsze w zawodzie lekarza, nigdy nie umiałam sobie z tym poradzić.

Kobieta przyjęła to, co powiedziałam, milczeniem. Widziałam, że jest gotowa poddać się wszystkiemu, co uwolni ją od bólu. Z pozorną obojętnością zawołałam instrumentariuszkę i poprosiłam, aby przygotowała salę zabiegową.

Wielka Wojna odcisnęła swoje znamię także na ginekologii i położnictwie. Przemarsz wojsk, gwałty i przelotne romanse zaowocowały tym, co nieuchronne, czyli niechcianymi ciążami, które były często przerywane w niehigienicznych warunkach. Spowodowało to wysyp przypadków przewlekłych zapaleń przydatków i bezpłodności. Pacjentki i ich lekarze zmagali się z tym problemem latami, a w przypadkach zaostrzeń mogło się to zakończyć posocznicą i zgonem.

Podeszłam do umywalki, by się umyć i odkazić ręce sublimatem. Wiedziałam, że zabieg, o ile ma się zakończyć powodzeniem, wymaga skrupulatnego przestrzegania wszelkich środków ostrożności. Gdy pacjentka była już uśpiona narkozą werancetynowo-eterową, wykonałam nacięcie od strony pochwy zropiałego jajnika, by ewakuować patologiczną treść, po czym założyłam sącdek do jamy brzusznej. Z ulgą przystąpiłam do zakładania szwów.

– Myślę, że ma wystarczająco silny organizm, aby z tego wyjść – oznajmiłam pielęgniarkom, ale moja uwaga nie spotkała się z ich zainteresowaniem.

– Sama jest sobie winna – skwitowała jedna, nie odrywając się od cięcia gazy.

– Oddaje się marynarzom w porcie zaledwie za kilka marek – poparła ją druga. – Nie szkoda ładacznicy...

– Nie zawsze dane jest nam w życiu wybierać tak, jak chcemy. A przecież nikt nie zasłużył na taki los... – rzekłam ledwie słyszalnie, bo nie lubiłam w takich sytuacjach wchodzić w światopoglądową polemikę.

Popatrzyłam na śpiącą pacjentkę i uderzył mnie spokój, jaki odmalowywał się na jej twarzy. Do tej pory nigdy nie interesowałam się bliżej jej życiem. Poczułam wyrzuty sumienia, bo być może powinnam jej pomóc także w inny sposób.

Musiałam wracać do ambulatorium. Wiedziałam, że czeka mnie jeszcze tego dnia sporo obowiązków.

Jako następna do mojego gabinetu weszła kobieta w średnim wieku. Pod fałdami sukienki zaznaczał się zaokrąglony brzuch jak u ciężarnej. Była mocno wychudzona, a jej skóra zdawała się lekko zażółcona.

– Zastanawiam się, pani doktor, czy to możliwe, abym była kolejny raz w stanie błogosławionym. W moim wieku wydaje mi się to mało prawdopodobne, ale wówczas skąd urósłby mi tak nagle brzuch? Dziwne, bo zwykle czułam ruchy płodu – zaczęła od progu, oddychając z trudem.

Przemknęła mi przez głowę myśl, że przyczyna zmiany wyglądu jej ciała jest zupełnie inna. Gdy przystąpiłam do badania wewnętrznego, wyczułam zanikową macicę wiszącą na poluzowanych więzadłach. Śluzówka pochwy także była atroficzna. Nie miałam wątpliwości, że chora musiała przejść już klimakterium.

– Przykro mi to stwierdzić, ale nie jest pani w ciąży i nigdy już pani nie będzie – oznajmiłam, a na obliczu pacjentki odmalowało się rozczarowanie. – Jest pani po okresie przekwitania. Kiedy miała pani ostatni raz miesiączkę?

– Tak dawno temu, że nawet nie pamiętam – wyznała. – Ale to może i dobrze, że kolejnego potomka już nie będzie, bo kto by go wykarmił. W domu bieda, sama pani doktor wie, jak jest.

Pokiwałam ze zrozumieniem głową. Pomacałam jej brzuch, który zachełbotał. Opukałam go i zamiast odgłosu bębnowego usłyszałam stłumiony dźwięk. Nie byłam w stanie wy badać wątroby, ale patrząc na powłoki brzuszne, domyślałam się, że przyczyna problemów może leżeć właśnie w tym narządzie. Pacjentka miała także wygładzony język i sińce od skazy krwotocznej.

– To puchlina brzuszna. Przepiszę pani rtęciowe proszki, które zadziałają moczopędnie, aby zszedł płyn. W ten sposób poczuje pani ulgę – rzekłam, chwytając za pióro, aby zapisać terapię. Niestety, medycyna nie potrafiła w tym momencie zrobić wiele więcej dla tej kobiety. Jakakolwiek była przyczyna jej stanu, wiedziałam, że nie ma wiele życia przed sobą. – Proszę przestrzegać dawek, jakie zaleciłam, bo to lekarstwo w zbyt dużej ilości może spowodować zatrucie, nawet śmiertelne – ostrzegłam na zakończenie, wręczając receptę.

Kobieta odebrała ją drżącymi rękami, najwyraźniej przejęta tym, co ode mnie usłyszała.

– *Omnia sunt venena, nihil est sine veneno* – zacytowałam bardziej do siebie niż do pacjentki łacińską sentencję. To dawka sprawia, że dana substancja staje się lekarstwem, a nie trucizną.

Na koniec dnia pracy poszłam odwiedzić na oddziale ciężarną, u której występowało łożysko przodujące. Była już w ostatnich tygodniach ciąży i istniało poważne ryzyko wystąpienia krwotoku zagrażającego jej i nienarodzonemu dziecku. Leżała więc w łóżku, by niepotrzebnie się nie narażać. Chwilę z nią porozmawiałam i uspokoiłam się, bo zastałam ją w dobrym nastroju. Nie wiedziała

nawet, jak bardzo jej przypadek spędzał mi ostatnio sen z powiek. Ponieważ łożysko tylko częściowo przodowało, można było spróbować uniknąć cięcia cesarskiego, będącego operacją wykonywaną jedynie w ostateczności z uwagi na niebezpieczeństwo, jakie za sobą niosła. Należało spróbować wydobyć płód drogą pochwową, wykonując najpierw obrót Braxtona Hicksa. Nie wiedziałam, czy ostatecznie mój plan się powiedzie, i oboje – matka oraz dziecko – przeżyją. Uczono mnie, że w takich wypadkach życie położnicy jest cenniejsze i to ją należy najpierw ratować. Wybór ten był prawdziwie dramatyczny, ale tym bardziej uzasadniony, gdy w domu czekało starsze potomstwo. Gdy płód był żywy, należało go jak najszybciej wyciągnąć, by niedotlenienie było jak najmniejsze. Jeżeli zdążył obumrzeć, wówczas zalecano wymóżdżenie główki, by ułatwić poród.

– Pani doktor... – usłyszałam wołanie z jednej z sal. Była to chora, którą operowałam rano. Podeszłam do jej łóżka. Skóra jej była zimna i blada, ale kobieta oddychała spokojnie. Cieszyłam się, że odzyskała w pełni przytomność i najprawdopodobniej wraca do zdrowia. – Chciałam zapytać, kiedy stąd wyjdę – wyszeptała kredowobiałymi wargami.

– Musi minąć przynajmniej kilka dni – odparłam, ale wiedziałam, że moja odpowiedź nie była tym, czego się spodziewała.

– Ale ja muszę opuścić szpital o wiele szybciej i wrócić do pracy. Pomagam mojej matce, wdowie, w utrzymaniu rodzeństwa. Ja jestem najstarsza... – zwierzyła się.

– Czym się zajmujesz? – zapytałam ciekawa, czy powie prawdę. Ku mojemu zaskoczeniu na jej twarzy nie pojawiło się zmieszanie ani rumieniec wstydu.

– Jestem dziewczyną do towarzystwa – wyznała bez ogródek.

Popatrzyłam na nią ze współczuciem, ale moja rozmówczyni najwyraźniej nie tego oczekiwała.

– Mogłabym ci pomóc, gdybyś chciała... – odezwałam się, nie bardzo wiedząc, jak zacząć rozmowę na tak delikatny temat.

– Kiedy ja lubię to, co robię – odparła hardo, patrząc mi w oczy. Jej odpowiedź zbiła mnie z tropu. Najwyraźniej zauważyła moją konsternację, bo kontynuowała: – Wszystko zaczęło się, gdy zostałam zgwałcona przez jednego z pijanych rybaków, który na koniec rzucił mi zapłatę. Stwierdziłam wówczas, że nie było tak źle i że mogłabym w ten sposób zarabiać na chleb. Nie muszę się uczyć ani ciężko pracować fizycznie... – wyliczała zalety swojej sytuacji.

Wysłuchałam jej, nie przerywając. Tysiące myśli kłębiły mi się w głowie, ale ostatecznie uznałam, że powinnam zachować je dla siebie. A przede wszystkim nikogo nie oceniać, bo największą krzywdę wyrządzamy ludziom, mierząc ich swoją miarą.

W pierwszych latach powojennych wszechobecna nędza spowodowała, że wiele kobiet zostało zmuszonych do sprzedawania swojego ciała. Na berlińskich ulicach roiło się od prostytutek. Z pewnością łatwiej było zaspokoić żądze niż głód.

* * *

Tego popołudnia śpieszyłam się wyjątkowo, by zdążyć odebrać ze stacji przybywające po raz pierwszy na Sylt Różę i Lilię. Nie widziałam się z nimi przez tyle miesięcy.

Gdy ujrzałam je na peronie, machające rękami na przywitanie, łązy wzruszenia przesłoniły mi obraz. Było zupełnie tak, jakbym przeniosła się w bezpowrotnie minione czasy naszych studiów. Padłyśmy sobie w ramiona, zanosząc się śmiechem. Wpatrywałam się w ich oblicza, na których przybyło kilka zmarszczek wokół oczu

i na czole, ale w ich źrenicach ciągle paliły się te same iskry. Róża ubrana była w idealnie skrojony wełniany płaszcz koloru ognistego topazu, który dodatkowo podkreślał odcień jej kasztanowych włosów, upiętych w gładko zaczesany kok. Lilia podążała za obecną modą. Spod kapelusza *cloche* wystawały kosmyki fryzury chłopczycy. Była ubrana w jumper z plisami i komplet z *crêpe-de-Chine*, złożony z szarej sukni oraz ciemnoniebieskiego płaszcza.

Na powitanie podałam rękę Natalii i Leopoldowi, dzieciom Lili, oraz Alexandrowi von Schillerowi, synowi Róży, który wyrósł na niezwykle atrakcyjnego mężczyznę. Miał delikatnie piegowaty nos i czuprynę koloru miedzi. Szmaragdowe oczy romantyka odziedziczył po matce, ale już krój ust po ojcu. Pamiętam, jak poznałam Fryderyka von Schillera. Nie było chyba kobiety w jego otoczeniu, której się nie podobał i której żywiej nie zabiło serce, gdy się zbliżył. Do tego tembr jego głosu, działający jak magnes, i odurzająca woń wody kolońskiej, której używał w nadmiarze... Róża nieraz była zazdrosna, widząc, jakim spojrzeniem obdarzają go inne przedstawicielki płci pięknej, gotowe dać mu się uwieść. Pamiętam, że kiedyś, gdy omdlałam, jego męskie ramiona zniosły mnie do łóżka, gdzie ponownie się ocknęłam. Wiedziałam, że wówczas inne dziewczęta zazdrościły mi, iż przez moment byłam tak blisko sam na sam z przystojnym amantem.

– Wyjechałaś, Lauro, na sam koniec świata – żartowała Lilia. – Ale i tu cię odnalazłyśmy!

– Nawet nie wiecie, jak się cieszę, że was widzę – odpowiedziałam, przytulając je do siebie.

– Marnie wyglądasz! – orzekła Róża, lustrując mnie od stóp do głów. Nic nigdy nie uszło jej uwadze.

– Wydaje ci się – odparłam lakonicznie i zacisnęłam usta, nie chcąc poruszać na wstępnie przykrych tematów. Ja także jej się

przyjrzałam i stwierdziłam, że było coś, co musiało ją od dłuższego czasu trapić. Blask jej oczu nagle zgasł, a twarz przybrała posępny wyraz. Domyślałam się, że chodzi o problemy, o których wspominała mi wcześniej w listach. Do tej pory nie chciała jednak wyjawiać szczegółów.

Zostawiłyśmy dzieci w domu i udałyśmy się we trójkę do Café Orth. Zamówiłam herbatę z konfiturą różaną i tradycyjne fryzyskie ciasto nazywane żądłem pszczoły. Nie wiem, dlaczego zasłużyło sobie na takie miano, bo składało się po prostu z dwóch warstw ciasta drożdżowego, kremu waniliowego i chrupiącej, lepkiej, miodowo-migdałowej posypki. Widziałam, że Róża jest spięta i wykonuje nerwowe gesty, co było do niej zupełnie niepodobne. Wyciągnęła z torebki cygaretkę i bezceremonialnie zapaliła papierosa, chociaż nigdy wcześniej tak się nie zachowywała.

Nie miałam pojęcia, jak rozpocząć rozmowę, by dowiedzieć się, co ją gryzie. Patrzyłam na nią bezradnie, śledząc każdy jej ruch. Zatonęła przez chwilę w kłębach gęstego dymu, po czym dostała napadu kaszlu, który próbowała stłumić, klepiąc się ręką po klatce piersiowej. Lilia popatrzyła na nią z reprimendą, ale zaraz w jej oczach odmalowało się współczucie.

– Nie możesz tak postępować! – skarciła bratową. – Zniszczysz sobie zdrowie, a nic nie jest więcej warte niż ono. Sama wiesz... – Spuściła głowę, ale Róża tylko niedbale machnęła ręką, po raz kolejny wkładając do ust lufkę, by się zaciągnąć.

– Dziwisz mi się? – wykaszała z trudem, po czym kontynuowała: – Ciekawe, jak ty byś zareagowała, gdybyś kilkanaście lat po wojnie dowiedziała się, że twój mąż na froncie umiłał sobie czas z jakąś Francuzką i że ma z nią córkę! Ale chyba najbardziej boli mnie to, że przez te wszystkie lata utrzymywał z nią kontakt w tajemnicy przede mną. Mając na palcu obrączkę ślubną, szedł z nią do łóżka,

a potem jak gdyby nigdy nic wracał do mnie. Jak mógł tak mnie okłamywać?! – wykrzyczała na koniec, nie panując nad emocjami. Zaraz po tym ucichła, bo oczy obecnych w kawiarni skupiły się tylko na nas.

– Uspokój się, proszę... – wyszeptała Lilia, a rumieniec zalał jej policzki. Nie lubiła okazywać uczuć, a już na pewno nigdy nie robiła tego publicznie. Pochodziła z arystokratycznej rodziny, w której nie miano w zwyczaju dzielić się tym, co się miało w sercu.

Przez moment panowała między nami drętwa cisza, podczas której Róża odwróciła głowę, by nie patrzeć w naszą stronę.

– Wyjdę na chwilę na zewnątrz – powiedziała, zabierając swój szal. – Ochłonę i do was wrócę – oświadczyła, po czym niedbale narzuciła na siebie płaszcz i udała się w stronę wyjścia.

Patrzyłam wyczekująco na Lilię, chcąc by zdradziła mi coś więcej. Wbijając wzrok w haftowaną serwetę, w końcu zaczęła mówić:

– Odkąd się o tym dowiedziała, straciła całkowicie panowanie nad sobą. Zupełnie nie wiem, jak jej pomóc. Wpadła w nikotynizm, a na domiar złego widziałam, że po kryjomu lubi wypić alkohol przed snem. Wszystko, by zasnąć. Ma z tym problemy. Och, Lauro, nawet nie wiesz, jakie to wszystko jest skomplikowane. Nie można usprawiedliwić czynu Fryderyka, ale z drugiej strony to przecież mój brat... Jestem postawiona między młotem a kowadłem. Róża mówi, że nie chce go znać. Jest bardzo uparta i nieskora, aby znaleźć jakieś porozumienie. Chociaż w dalszym ciągu mieszkają pod jednym dachem, nie zamieniają z sobą ani słowa. Synowie, rzecz jasna, stanęli po stronie matki. Ciągłe wybuchają jakieś awantury, a ja już nie mam siły. Boję się o ojca, który także strasznie to przeżywa. W jego wieku, z takimi problemami sercowymi to może być gwóźdź do trumny... – zamilkła na moment, przygryzając wargi.

– Próbował nakłonić synową do zgody. Sam przecież też

wychowywał dziecko, które najprawdopodobniej nie było jego... Wybaczył mojej matce, chociaż było to niewątpliwie bardzo trudne.

Rozejrzała się, by sprawdzić, czy nikt nie podsłuchuje naszej poufnej rozmowy. Wiedziałam, że miała na myśli swojego brata Wilhelma, który zginął tragicznie przed wieloma laty. Jej familia z niejasnych przyczyn całkowicie wymazała go z pamięci, niszcząc po nim wszelkie ślady, jakby nigdy nie istniał.

Losy moje i Lilii splatały się w przedziwny sposób. Z pamiętnika mojego ojca dowiedziałam się, że w młodości miał romans z Melanią, jej matką. Była jego pierwszą prawdziwą miłością. Prawda wyszła na jaw, kiedy pewnego dnia nakryto ich na schadzce. Istniało więc silne przypuszczenie, że pierwородny potomek rodu von Schillerów nie został spłodzony w małżeńskiej alkowie, a jego ojcem może być Ludwik Gestner. Mówiono, że młody dziedzic był zupełnie niepodobny do kogokolwiek z rodziny, co dodatkowo podsycalo plotki. Medycyna nie znała jednak wówczas metod, które jednoznacznie potwierdziłyby jego ojcostwo. Na zawsze więc pozostały tylko domysły, że Wilhelm był naszym przyrodnim bratem. Nigdy o tym nie rozmawiałyśmy. Lilia skrzętnie unikała tego tematu, który uznawała zapewne za *blamage* i rysę na honorze swojej familii, niemożliwą do zmycia nawet przez czas.

– Jak Róża dowiedziała się o zdradzie Fryderyka? – zapytałam, by przerwać krępujące milczenie. Moja przyjaciółka nabrała głęboko powietrza i wypuściła je powoli.

– Natrafiła na ich korespondencję, którą trzymał w swoim biurze. Matka Solange, bo tak ma na imię, jest tancerką i postanowiła spróbować kariery w Ameryce, dokąd rusza z wędrowną trupą. Nie może zabrać ze sobą córki, stąd prosiła w listach, by dziewczyna mogła przyjechać do ojca. Fryderyk, z uwagi na Różę, próbował jej

odmówić... Nie wiedziała przecież nic o istnieniu kochanki, chociaż ta doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że zadaje się z żonatym mężczyzną. Tak przynajmniej wynikało z tego, co pisała...

– Cóż za perfidna kobieta! – osądziłam.

– Daj spokój, Lauro! Przecież wina leży zawsze po obydwu stronach. Siłą nie zaciągnęła go do swojej sypialni! – rzekła głośnym szeptem, a mnie zadziwił jej krytycyzm w stosunku do brata. – Gdyby to był jednorazowy epizod, można byłoby przypuszczać, że to chwila zapomnienia albo jeden z ataków jego nieuleczalnej choroby. Ale on spotykał się z nią wiele razy. Nawet już po wojnie. Okłamywał nas, że wyjeżdża służbowo, po czym wysiadał z pociągu w Paryżu, gdzie ona mieszkała. Owa kochanka jest na domiar złego sporo młodsza od Róży. Rzuciła się w objęcia Fryderyka, gdy była jeszcze dzielątką.

– Uważam, że wiele dziewcząt w adolescencji popełnia błąd i oddaje swoje serce oraz niewinność niewłaściwym mężczyznom – skwitowałam gorzko, mając na myśli między innymi siebie. – Są naiwne i niedoświadczone. Pragną miłości... Wierzą, że będzie ona odwzajemniona i potrwa aż do grobowej deski...

– Z pewnością masz rację, ale myślę, że akurat w tym wypadku było inaczej. Isabel jest kobietą w pełni wyzwoloną i niezależną. W każdym jej ruchu widoczna jest sama cielesność, a w spojrzeniu tyle zmysłowości, że jest niczym chodząca erotyka. Musi być bardzo otwarta również w sferze intymnej – skomentowała jakby z nutą zazdrości w głosie.

Przed oczami stanął mi obraz niezbyt urodziwego męża Lilii, który był niemal zawsze pogrążony w lekturze książek bądź naukowych czasopism. Wyobraziłam sobie, jak musi wyglądać miłosny akt w jego wykonaniu, i zaraz zawstydziłam się swoich śmiałych wizji. Zapewne ta sfera mogła nie być dla mojej przyjaciółki źródłem

pełnej satysfakcji i chociaż widocznie bała się przyznać do tego nawet sama przed sobą, być może chętnie poszukałaby jakiejś odmiany.

– Myślę, że właśnie to najbardziej pociągało w niej Fryderyka. Nie odnalazł pewnie tej namiętności w małżeńskim pożyciu. Francuzki są zupełnie inne. Już dawno pozbyły się tego konserwatywnego, ściskającego kagańca dobrych manier i zasad, który my jeszcze ciągle nosimy. U nas kobiety próbujące zrzucić gorset przyzwoitości uważane są za uosobienie grzechu... Nie wiadomo, co stałoby się z Anitą Berber, gdyby przedwcześnie nie zmarła na gruźlicę. Uważano ją za przeklętą i opętaną przez szatana, bo jako wyzwolona artystka nie bała się tańczyć publicznie nago czy uprawiać wolnej miłości. Isabel, podobnie jak ona, wydaje się nie mieć w tym względzie zahamowań.

Popatrzyłam na nią pytająco, zastanawiając się, skąd tyle wie o paryskiej Dulcynei swojego brata, a wtedy Lilia pośpieszyła z wyjaśnieniem.

– Spotkałam się z nią osobiście w sekrecie przed wszystkimi. Chciałam ją poznać... W końcu jest matką mojej bratanicy. Pojechałam po prostu na jeden z jej występów scenicznych i poczekałam na moment, gdy będzie sama – zakończyła, ścisząc głos, bo w drzwiach wejściowych akurat zjawiła się Róża.

– Mam wrażenie, Lauro, że ktoś cię obserwuje – zawyrokowała na wstępie, gdy podeszła do naszego stolika.

Poczułam ciarki na karku, bo przypomniałam sobie tajemniczą kobietę podążającą moimi śladami, którą kilka razy już widziałam. Obejrzałam się za siebie, ale tym razem dostrzegłam pana Webera siedzącego w kącie sali. Czytał „Obserwatora Ludowego”, raz po raz spoglądając w naszą stronę. Na nosie miał okulary *pince-nez*, które nienaturalnie zniekształcały jego oczy. Ucieszył się, że nawiązałam

z nim kontakt wzrokowy, bo od razu wstał, szurnął krzesłem, po czym poczłapał ciężko w naszym kierunku.

– Dzień dobry, miłym paniom! – Skłonił się w pas jak prawdziwy gentleman.

Widziałam, że w jednej dłoni trzyma ściśnięty szapoklak z mokrym potnikiem. Jego czoło także było wilgotne, a ręce blade. Najwyraźniej był czymś podenerwowany. Wstałyśmy od stołu, podając mu po kolei dłonie, a on całował je szarmancko.

– Jak wspaniale, że mam okazję poznać pani przyjaciółki – zwrócił się do mnie. – Przyznam się, że bardzo lubię damskie towarzystwo. Problemy płci pięknej są mi dobrze znane i absolutnie mnie nie nudzą! – zapewnił, zabiegając w ten sposób o naszą aprobatę. Spojrzał spod grubych szkieleł, a jego gałki oczne wyglądały teraz jak sadzone jajka. Przekrzywił głowę niczym papuga i kontynuował: – W końcu mieszkam pod jednym dachem z matką, więc wiem, co mówię! – Zaśmiał się. – Niebawem się tutaj zjawi, bo środowe popołudnie to czas, kiedy wychodzimy razem na miasto. Takie nasze małe święto w szarej codzienności. Będzie zachwycona, gdy zobaczy, kogo spotkałem!

Nie skończył jeszcze mówić, gdy dzwoneczek zawieszony u drzwi kawiarni poruszył się, oświadczając przybycie nowego gościa. Zwróciliśmy głowy w kierunku wejścia.

– Ooo! Oto i ona! – rzekł ucieszony pan Weber i pomknął w kierunku starszej damy, by pomóc jej rozebrać się z płaszczem i kapelusza oraz odebrać parasolkę.

Ku mojemu zaskoczeniu starsza pani wyglądała, jakby była jego siostrą. Miała zadbaną mlecznobiałą cerę i rumiane policzki, z grubą warstwą pudru i różu, a wokół koralowych ust układały się delikatne promieniste zmarszczki. Ubrana była w staromodną haftowaną suknię. Zgodnie z dawnym zwyczajem trzymała w dłoni

wachlarz. Widać było, że jej talia została wymodelowana w młodości przez mocno ściśnięty gorset. Podeszli razem do naszego stolika, lecz wbrew temu, co przewidywał doktor, na twarzy nowo przybyłej niewiasty zamiast radości ze spotkania pojawił się błysk podejrzliwości i niechęci, który próbowała ukryć za koroną doklejonych rzęs. Najwyraźniej nie była zadowolona, że w otoczeniu jej jedynaka pojawiły się inne damy.

Zostałam przedstawiona jako pierwsza i z pewnością, gdyby jej spojrzenie mogło mrozić, zmieniałabym się natychmiast w bryłę lodu. W jej oczach lśniły iskry zimne niczym sopłe. Podała mi sztywną, kościstą dłoń, ściskając moją mocno, prawie do bólu, jakby próbowała mnie przed czymś ostrzec, po czym wydeła teatralnie usta, dyskretnie prychnając z dezaprobatą. Razem z synem przysiedli się do nas, ale atmosfera zdawała się gęstnieć. Szanowna matrona potraktowała mnie najwyraźniej jako rywalkę, bo zamiast uczestniczyć w konwersacji, wnikliwie lustrowała wzrokiem na zmianę moją osobę i swojego syna. Jakby próbowała wyczytać z naszych twarzy, czy sprawy nie zaszły na tyle daleko, by nie zdołała odwieść go od błędnej decyzji angażowania się w relację ze mną. Jak się domyślałam, za wszelką cenę pragnęła pozostać jedyną kobietą w jego życiu.

– Czytałem właśnie w prasie, że w marcu odbędą się wybory. Ciekawi mnie, która partia zdobędzie większość! – rzekł podniecony pan Weber, odstawiając z impetem filiżankę. Omal nie wylał kawy na obrus. – Ja osobiście coraz bardziej skłaniam się, żeby oddać mój głos na NSDAP. Byłem kiedyś na wiecu i słuchałem przemówienia niejakiego Adolfa Hitlera.

– Było o nim głośno po tym, jak próbował dokonać puczu w Monachium w 1923 roku – wtrąciła Lilia, która jako jedyna zdawała się wykazywać zainteresowanie tematem. Gdy po Wielkiej

Wojnie kobiety zyskały prawa elekcyjne, zaczęła brać czynny udział w dyskusjach politycznych.

– Przyznam, że początkowo brałem go za austriackiego parweniusza, ale widzę, że ma plan, jak opanować zapaść gospodarczą. Sprzeciwia się też dyktatowi wersalskiemu, bo inaczej tego nazwać nie można! Ani feniga na reparacje! – powiedział rozedrgany, próbując opanować emocje, po czym nabrał głęboko powietrza. – Kryzys daje się wszystkim we znaki. Galopująca inflacja, plajtujące fabryki, miliony bezrobotnych, bezdomnych i głodnych... – westchnął. – W niektórych domach panuje prawdziwa nędza. Zapałki dzielą na cztery, a w raz posolonej wodzie gotują przez tydzień ziemniaki. Na wsiach w ogóle używają soli tylko dla bydła. Wszystko zdrożało, a paskarze bogacą się teraz szybko. Ktoś musi zrobić z tym w końcu porządek.

Pan Weber, wyczuwając, że sytuacja zaczyna być napięta, próbował na siłę drażnić tematy pozornie obojętne. Ale wiekowa niewiasta była wytrawnym graczem, stawiającym na szali zwycięstwa wszystko. Nie dała się więc łatwo wyprowadzić w pole.

– Mamusia coś mało mówi dzisiaj – zwrócił się do niej wyraźnie zatroskany.

– Tak mi jakoś duszno... Czuję, że chyba zbliża się atak dychawicy... Będę potrzebowała zażyć natychmiast lekarstwo! – oświadczyła, intensywnie się wachlując.

Kąciki ust mimowolnie zaczęły mi drgać z rozbawienia. Zaróżowiona karnacja i rumieńce zdradzały, że kobieta była okazem zdrowia. Z pewnością nie wyglądała na kogoś, kto miał za chwilę dostać ataku astmy.

– Musimy zatem szybko pojechać do domu! – krzyknął przestraszony syn. – W przeszłości mamusia przeszła bardzo

poważny zabieg zniszczenia kłębków szyjnych, co miało zadziałać jako bronchodylatator i pomóc w jej dolegliwościach – zwrócił się do nas z wyjaśnieniem. – Niestety, tak się nie stało i objawy, zamiast ustąpić, stały się jeszcze bardziej dokuczliwe. Teraz w trakcie napadu stosujemy eufilinę w czopkach. Mamusia ma bardzo kruche naczynia, tym samym nie odważyłbym się podać jej leku dożylnie. Panie wybaczą, ale na nas już czas. Cóż za pech! – zakończył z komicznym grymasem twarzy. Pośpiesznie się pożegnał i niedbale wziął pod pachę płaszcz, omal nie gubiąc po drodze kapelusza.

Starsza dama, odchodząc powolnym, dostojnym krokiem, obróciła się na chwilę za siebie, rzucając mi spojrzenie pełne satysfakcji i wyższości, że oto tę bitwę wygrała.

– Biedny człowiek – westchnęła ze smutkiem Lilia. – Całe jego życie podporządkowane zaborczej rodzicielce. A co się stanie, jak ona pewnego dnia wyzionie ducha i opuści ten padół? Jej syn będzie sam jak palec... – skwitowała. Moja przyjaciółka zawsze umiała zadziwiająco trafnie ocenić sytuację.

Kelner pomału uprzątał zastawę i spuścił w oknach zastony. Tym samym dawał klientom znać, że zbliża się godzina zamknięcia.

Znalazłyśmy się na powrót w domu na czerwonym klifie. Pani Edeltraud przygotowała dla nas wykwintną wieczerzę, więc teraz, przemarznięte do szpiku kości, mogłyśmy się rozgrzać zupą krabową.

Moją uwagę zwróciło nietypowe zachowanie Hanny podczas posiłku. Była milcząca i zamyślona, a jej oczy nieustannie wędrowały w kierunku krzesła, na którym siedział syn Róży. Wysyłała mu tęskne spojrzenia w nadziei, że je zauważy i odwzajemni. Wzdychała cicho i nieśmiało. Nieudolnie trzepotała rękami, próbując siły swojego wdzięku. Poczułam delikatny ścisk w sercu, że oto moja córka przestała być dziewczynką i wkracza

w dorosłość. Alexander tego wieczoru okazał się wyjątkowo czarującym młodzieńcem, opowiadającym głównie o swoich studiach i o tym, jak medycyna poszła do przodu w ciągu ostatnich lat. Słuchałyśmy go z uwagą i podziwem.

Po kolacji znów zostałyśmy z przyjaciółkami same. Młodsze pociechy poszły spać, a adept sztuki medycznej zgłębiał do późna wiedzę z podręczników, by przygotować się do egzaminów. Siedziałyśmy przed buzującym w kominku ogniem i patrząc, jak płomienie oplatają drwa niczym języki smoka, sączyłyśmy powoli likier z lukrecji. Zajął miejsce na bujanym fotelu, by móc delikatnie się kołysać. Róża niebawem oświadczyła, że czuje się na tyle znużona, iż musi już udać się na nocny spoczynek. Zostałyśmy więc we dwie z Lilią. Moment był idealny, więc podeszłam do komody i wysunęłam z zacinającej się, skrzypiącej szuflady szkatułkę, by wyjąć posklejany list, który przed wieloma laty otrzymał mój ojciec od tajemniczej nadawczynie, podpisującej się jedynie inicjałami.

– Lilio – zwróciłam się do mojej towarzyszki. – Jest jeszcze coś, co chciałam ci koniecznie pokazać. – Drżącymi z przejęcia palcami rozłożyłam pożąłkły papier.

– Co to takiego? – odparła, odbierając z moich rąk znalezisko. Jej źrenice zrobiły się okrągłe. Odbijał się w nich blask gasnącego ognia.

– Sama zobacz... – wyszeptałam. Przesunęła oczami po tekście, najwyraźniej czytając go kilkakrotnie, zanim odezwała się ponownie.

– To niemożliwe! – krzyknęła, po chwili łapiąc się dłonią za usta, jakby próbowała samą siebie uciszyć. – Skąd to masz?!

– Natrafiłam na to zupełnie przypadkowo. Proszę cię, aby sprawa ta pozostała jedynie między nami. To najprawdopodobniej ostatni

list, jaki otrzymał mój ojciec, zanim odszedł. Nadano go właśnie z Syltu, z hotelu Rungholt. To właśnie z jego powodu wyruszył w daleką drogę i zginął tragicznie w katastrofie samochodowej. Dotychczas uważałam, że to nieszczęśliwy splot wydarzeń, ale teraz, gdy poznałam nowe fakty, coraz częściej myślę, że nie był to przypadek. Zbyt wiele zaczyna na to wskazywać... Podejrzewam, że inicjały M.Sch. należały do twojej matki... W młodości łączył ich przecież płomienny romans, o czym dowiedziałyśmy się tamtej pamiętnej nocy, gdy czytałyśmy na strychu twojego domu pamiętniki Ludwika Gestnera – przypominałam łamiącym się głosem. – Musiała go tutaj wezwać... Nie wiem tylko z jakiego powodu i co stało się dalej.

– To nie ona... – wycedziła kredowobiałymi, ściśniętymi ustami Lilia. – Nie mogła tego zrobić – dodała, po czym zapadła martwa cisza. Popatrzyłam na przyjaciółkę błagalnym wzrokiem, przekonując ją, by kontynuowała. – W dniu nadania tej korespondencji już od kilku miesięcy nie żyła... – zakończyła Lilia głosem zmienionym przez uwięziony w krtani szloch. Poczułam, jak fala gorącej krwi odpływa z mojej głowy i kończyn, sprawiając, że stały się jak z waty, a obraz przed oczami zawęża się jak w ciemnym tunelu. Oparłam się o framugę drzwi, by nie omdleć.

– Kto mógł to zatem uczynić? – spytałam, marszcząc brwi.

– Nie mam pojęcia, Lauro... – odparła Lilia ponuro. – I nie wiem, czy kiedykolwiek zdołamy się tego dowiedzieć. – Bezsilnie rozłożyła ręce – Ale jest jeszcze coś, co mnie frapuje i nie pozwoli łatwo zasnąć tej nocy – wyrzekła grobowym głosem. Jej oblicze wyglądało tak, jakby w ciągu sekundy postarzała się o dziesięć lat.

– Zdradzisz mi, co to takiego? – naciskałam.

– Na pergaminie odcisnięto pieczęć mojej rodziny – odezwała się, wskazując pod światło na mocno wyblakły herb. Dopiero teraz

zauważyłam jego obecność.

List zatem musiał nadać ktoś, kto był w posiadaniu pieczęci rodu von Schillerów... Chociaż zegar wybijał właśnie północ, ja miałam wrażenie, że czas stanął nagle w miejscu. Z każdym jego uderzeniem wydawało mi się, że się oddalam, jakbym przestała być obecna i przenosiła się do innego świata...

ROZDZIAŁ XII

Uwielbiałam poranki w dworku na czerwonym klifie. Słoneczna poświata zalewała go od środka koralowym światłem, gdy dzień był pogodny. Morze było na tyle blisko, że mogłam wsłuchiwać się w jego fale przy otworzonym oknie. Gdy wiał wicher i krople deszczu bębniły o szyby, siadywałam w kuchni, przy nagrzanym piecu kaflowym. Pani Edeltraud jak co rano piekła precle posypane grubą solą, kminkiem lub czarnuszką. Lubiła opowiadać legendę związaną z ich powstaniem – jak pewien średniowieczny mnich w północnych Włoszech bądź w południowej Francji chciał upiec dziękczynny chleb. Uformował ciasto na kształt rąk złożonych do modlitwy, bo wówczas odmawiało się pacierz z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Stąd charakterystyczny wygląd precli.

Nasza gospoia urodziła się w Bawarii. Uważała więc, że śniadanie musi być solidne, dlatego oprócz pieczywa należy zjeść wówczas białą kiełbasę i kartoflaną sałatkę. Umiała przyrządzać specjalną musztardę cytrynowo-miodową, której zapach nieodłącznie kojarzył mi się właśnie z nią.

Zbliżało się jedno z najważniejszych świąt na Sylcie, nazywane w języku północnofryzyjskim *Biikebrennen*. Samo słowo *Biike* oznaczało coś w rodzaju znaku ognia, a początki rytuału leżały w odległej, jeszcze pogańskiej przeszłości, kiedy w ten sposób przebłagiwano złych bogów. Witano wówczas także nadchodzącą wiosnę, która na wyspach przychodziła o miesiąc wcześniej niż na lądzie. W późniejszych wiekach próbowano w ten sposób chronić marynarzy i wielorybników przed czarnymi mocami oraz odpędzać demony. Całą noc palono ogniska na plaży, bawiąc się

przy tym i wrzucając do nich najczęściej wszystko, co było już stare, zużyte i niepotrzebne. Czasem wykonywano słomiane lalki, symbolizujące odchodzącą zimę – miały one zostać strawione przez płomienie.

Róża i Lilia chciały koniecznie uczestniczyć w obchodach, toteż przedłużyły swój pobyt na wyspie.

Tego dnia zasiadłyśmy do śniadania w kuchni. Na parapecie wylegiwał się bury kocur, jeden z okolicznych przybłędów regularnie odwiedzających mój dom. Mył swoje futerko, przymykając powieki i rozkosznie mrużąc, jakby był u siebie. Pani Edeltraud nalewała dymiącą kawę zbożową dla dzieci, rzucając mu niechętne spojrzenia. Jej zdaniem miejsce zwierząt było na dworze, a nie w domu. Zapewne najchętniej pogoniłaby go kuchenną ścierką, ale musiała się powstrzymać z uwagi na moją obecność.

– Powinna pani powyrzucać te wstrętne kociska – zwróciła się do mnie. – Wszędzie tylko unoszą się ich kłaki, nie mówiąc już o tym, że łążą po kuchni i wyjadają pozostawione jedzenie z garnków. Ostatnio jeden z nich stłukł wazon. Musiałam rano zbierać potłuczoną porcelanę.

– Chyba pani przesadza... – próbowałam załagodzić sytuację.

– Jak tak dalej pójdzie, to postawię ultimatum i trzeba będzie wybrać: albo ja, albo te sierściuchy. Słowo daję, nie wytrzymam tego – utyskiwała.

Mruczek oderwał się na chwilę od swoich zajęć, jakby poczuł, że to on jest przyczyną całego zamieszania. Popatrzył na starszą kobietę, a złośliwy błysk przemknął mu przez wrzecionowate źrenice. Wiedziałam, że te zwierzęta potrafią być niesamowicie pamiętliwe i mściwe, jeżeli urazi się ich godność. Mogły w akcie zemsty zmoczyć pościel lub zadrapać meble. A teraz pani Edeltraud wkroczyła z nimi na wojenną ścieżkę.

Zwykle przed południem siadywałyśmy, by wypić wspólnie mokrą. Błogi kawowo-czekoladowy aromat unosił się w powietrzu.

– Co będzie dalej, Lauro? – zapytała mnie niespodziewanie Lilia. Domyśliłam się, że miała na myśli moje małżeństwo z Tadeuszem. Wiedziałam, że to pytanie musi w końcu paść, ale wciąż nie miałam na nie przygotowanej odpowiedzi.

– Nie wiem... – odparłam cicho, czując zbierające się w oczach łzy. Usiłowałam powstrzymać się od płaczu, ale z nerwów podbródek zaczął mi drzeć. Przyjaciółka, widząc moją reakcję, postanowiła się wycofać i zmienić temat.

– Wydaje mi się, że w kuchni za obrazem jest ukryty szyb kuchennej windy. Podobny zainstalowano w moim rodzinnym domu. Odkryłam go zupełnie przypadkiem. Malowidło musiało spaść w nocy, bo wypadł gwóźdź. Próbowałam je ponownie przytwierdzić i wtedy odkryłam, że ściana w tym miejscu jest metalowa.

– Dlaczego nic wcześniej nie powiedziałaś? – spytałam zaskoczona. – Będę musiała sprawdzić, dokąd prowadzi.

– Nie było kiedy. A z obrazem poradziłam sobie sama. Młotek znalazłam w piwnicy, w starej skrzynce na narzędzia.

– Szczerze powiedziawszy, do tej pory nie miałam czasu tam posprzątać... – wyznałam ze wstydem.

– Czy ta posiadłość należała wcześniej do szewca? W piwnicy natrafiłam na narzędzia do wyrobu obuwia, w tym szpilard, dratwę, cęgi i drewniane prawidła.

– W zasadzie do safiannika. To on zbudował ten dom... – wyjaśniłam. – Mieszkał tutaj przez kilka pierwszych lat, zanim odszedł tragicznie. Przedwczesna śmierć zabrała wszystkich dotychczasowych właścicieli tej posiadłości. W tym moją ciotkę...

– Poprzedni mieszkańcy musieli lubować się w tanatologii – skwitowała Róża.

– Co masz na myśli?

– W piwnicy obok płytowego aparatu fotograficznego był stary, zakurzony album, w którym znalazłam fotografie zmarłych. Przedstawiały głównie zdjęcia nieboszczyków w trumnach... Przekartkowałam go i nie oglądałam dokładnie, bo dla mnie było to zbyt makabryczne...

– Prosiłam cię, abyś o tym nie wspominała! – skarciła ją Lilia.

– Przecież to nic takiego. Po prostu dawny zwyczaj, przez niektórych w dalszym ciągu praktykowany. W wiktoriańskiej Anglii był dość mocno rozpowszechniony, tylko że zmarłych uwieczniano na negatywie w pozach, jakby dalej żyli. Wykonywano takie portrety, by dać wyraz kruchości życia... Ja osobiście nie rozumiem, komu potrzebna jest taka pamiątka... – Wykrzywiła usta. – Powinnaś spalić to znalezisko – poradziła mi. Widziałam, że na samo wspomnienie wstrząsnęły nią dreszcze.

Poczułam ścisk w trzewiach i nagły napad mdłości. Rezydencja na czerwonym klifie w dalszym ciągu ukrywała przede mną sporo tajemnic, które zdradzała powoli, jakby próbując wciągnąć mnie w otchłań swojego mroku. Przeprosiłam wszystkich na chwilę i udałam się do sąsiedniego pokoju, aby się trochę uspokoić.

– Widzisz sama, jak ją zdenerwowałaś. Musisz bardziej uważać na to, co mówisz! – usłyszałam upomnienie Lili wypowiadane przenikliwym szeptem.

– W tym domu jest coś dziwnego... Nie potrafię tego nazwać. Mówiłam ci już wiele razy, że to wyczuwam. Odkąd tutaj przybyliśmy, nie czuję się dobrze... Boję się, że Laurze grozi jakieś niebezpieczeństwo. Zauważyłaś, że w każdym pokoju jest krzyż wiszący na ścianie albo ustawiony na półce? Jakby jej krewna

obawiała się czegoś i chciała się w ten sposób się przed tym uchronić...

Dopiero teraz uzmysłowiłam sobie, że moja przyjaciółka ma rację. Sporej wielkości mosiężny krucyfiks postawiono nawet na szafce nocnej ciotki Sybilli.

– Przestań, Rózo! Posłuchaj samej siebie i zauważ, jak nedorzecznie brzmi to, co mówisz! Rozumujesz tak, jakbyś wierzyła w zabobony. Ale wiem, że twoja ocena sytuacji jest zaburzona, bo jesteś w złym stanie. Wyjazd tutaj miał być dla ciebie ukojeniem, a tymczasem twoja melancholia stała się jeszcze bardziej widoczna. Może podróż na Sylt o tej porze roku nie była najlepszym pomysłem... Wyspa wydaje się roztaczać przygnębiającą aurę... Jest jakby wymarła, prawie nie ma na niej ludzi.

– Zawsze chciałam zobaczyć, jak wygląda morze zimą... – jedynie westchnęła w odpowiedzi.

– Proszę cię tylko, abyś się opanowała i trzymała nerwy na wodzy przez pozostałe dni naszego pobytu – upomniała ją bratowa. – Może trzeba zwiększyć dawkę luminalu, bo ta, jak widać, przestała być skuteczna.

– A te dziwne odgłosy, które pojawiły się pierwszej nocy? – Róża nie dawała za wygraną.

– Tylko ty je słyszałaś! Odstawiłaś swój lek, więc mogły się pojawić halucynacje.

– Jestem pewna, że tutaj dzieje się coś złego... Uwierz mi! – lamentowała Róża, powtarzając w kółko te same słowa.

Na moment obraz przed moimi oczami pociemniał. Musiałam oprzeć się o ścianę, aby nie upaść. Mdłości nawróciły ze zdwojoną siłą i tym razem nie byłam już w stanie ich opanować. Gdy było po wszystkim, poczułam chwilową ulgę. Doprowadziłam się do porządku i wróciłam do moich gości.

– Tak blado wyglądasz – stwierdziła ze współczuciem Lilia na mój widok. – Wydaje mi się, że schudłaś, odkąd tutaj przybyłaś.

– Nie wiem czemu, ale ostatnio miewam problemy gastryczne, zwłaszcza rano – wyjaśniłam. – Przejdzie mi, na pewno! – zbagatelizowałam tę uwagę, dając zarazem do zrozumienia, że nie chcę, by rozmowa na ten temat była kontynuowana.

– Gdyby nie to, że rozstałaś się ze swoim mężem kilka miesięcy temu, podejrzewałabym, że możesz być przy nadziei. – Lilia próbowała żartować. – A tak pozostają inne, mniej przyjemne przyczyny twoich dolegliwości. Moim zdaniem po prostu potrzeba ci odpoczynku! Wiele ostatnio przeszłaś i odbiło się to na twoim zdrowiu.

Na dźwięk jej słów poczułam, jak moje ciało sztywnieje, jakby przeszedł przez nie elektryczny wstrząs. Do tej pory nie dopuszczałam do siebie nawet myśli o ciąży. Powoli wchodziłam w okres przekwitania, a wtedy poczęcie dziecka jest mało prawdopodobne. Zdarzało mi się jednak mieć pacjentki, które urodziły, będąc w moim wieku, a w ostatnich tygodniach namiętność, która wybuchła między mną a doktorem Arensem, przybrała na sile. Postanowiłam dla pewności i spokoju wykonać test ciążowy.

Do pokoju wszedł Alexander, któremu obiecałam pokazać tutejszy szpital. Jak prawie każdy student medycyny nawet w przerwie semestralnej szukał okazji, by zgłębiać wiedzę. Za nim podążała Hanna, która usilnie próbowała zwrócić na siebie uwagę czarującego młodzieńca – bezskutecznie. W jego oczach była podlotkiem, który nosił jeszcze plecione warkocze z kokardami i niedawno przestał bawić się lalkami. Lubił z nią rozmawiać czy zbierać wspólnie muszelki na plaży, aż kieszenie jego płaszcza

chrześcijaństwo, gdy się poruszał. Ale traktował to wyłącznie jako zabawę, a nie okazję do zalotów.

– Mamo, czy mogłabym pojechać razem z wami? – Córka popatrzyła na mnie błagalnie i złapała mnie za rękę. – Przecież wiesz, że ja też zostanę lekarzem. Ftyzjatrą! – dodała pewnym siebie głosem, spoglądając kątem oka, czy zdanie, które przed chwilą wypowiedziała, zostało usłyszane przez parę uszu, dla których było przeznaczone.

– Tłumaczyłam ci przecież, że to nie jest miejsce dla ciebie. Trafiają tam ciężko chorzy ludzie, mający często choroby zakaźne. Wielu z nich umiera. To nie są widoki dla młodej panienki.

Na twarzy mojej pociechy odmalowało się rozczarowanie pomieszane z rozgoryczeniem. Z dumą jednak podniosła głowę i oświadczyła:

– Pójdę w takim razie uczyć się do egzaminów do żeńskiej szkoły z internatem. Ona dobrze przygotowuje mnie na uniwersytet medyczny! – rzekła, po czym pobiegła schodami na górę.

W ciągu najbliższych tygodni obie moje córki miały opuścić Sylt. Ich ojciec, gdy dowiedział się, na jakim poziomie jest szkolnictwo na wyspie, zażądał, aby zdobywały wiedzę gdzie indziej. Z bólem serca musiałam się zgodzić, nie chcąc blokować im drogi do dobrej edukacji. Miały przyjeżdżać do mnie na letnie wakacje i ferie.

* * *

W ambulatorium panowało niemałe zamieszanie. Słyszałam głos doktora Webera, a więc za drzwiami musiał znajdować się pediatryczny pacjent.

– Niestety, wszystko wskazuje na to, że to opuszkowa postać choroby Heinego-Medina – zawyrokował smutnym głosem.

Zastałam go w trakcie badania, gdy osłuchiwał małą dziewczynkę stetoskopem.

Poliomyelitis było znane od starożytności, jak wskazywały na to egipskie malowidła i rzeźby przedstawiające dorosłych ludzi z wiotkimi kończynami oraz dzieci chodzące o lasce. Pierwszego opisu klinicznego dokonał jednak dopiero angielski lekarz Michael Underwood w 1789 roku, przedstawiając osłabienie kończyn dolnych. Późniejsze prace niemieckich lekarzy Jakoba Heinego i Karla Medina przyczyniły się do rozpowszechnienia nazwy choroby. Większość przechodzących ją osób miała tylko dolegliwości grypopodobne z gorączką i biegunką. Ale dla części chorych, u których dochodziło do zajęcia układu nerwowego, była ona wyrokiem śmierci lub skazaniem na kalectwo. Na początku XX wieku dowiedziono jej zakaźnego charakteru. W 1908 roku Erwin Popper i Karl Landsteiner zasugerowali wirusową etiologię. Starannie odfiltrowali płyn mózgowo-rdzeniowy osoby, która zmarła na polio. Wiadomo było, że filtry zatrzymują bakterie. Kiedy wstrzyknęli go małpom, te zachorowały. Naukowcy doszli więc do wniosku, że czynnikiem zakaźnym jest cząstka mniejsza niż bakteria. Do XIX wieku schorzenie występowało sporadycznie. Później wybuchła pandemia obejmująca głównie półkulę północną. W samych Stanach Zjednoczonych w 1916 roku straciło życie kilka tysięcy dzieci, a inne zostały na zawsze sparaliżowane. Epidemie letnie doprowadziły do powszechnego zamykania basenów, parków rozrywki i innych miejsc, w których gromadzili się najmłodszy.

– Czy może nas pani na chwilę zostawić samych? – Doktor Weber zwrócił się do matki dziewczynki. Kobieta skinęła w milczeniu i udała się w stronę wyjścia.

– Nie chciałem tego mówić przy niej, ale ta mała udusi się najdalej w ciągu kilku godzin – zawyrokował, gdy zostaliśmy sami.

– Podałem jej domięśniowo krew obojga rodziców w nadziei, że byli uodpornieni na tę chorobę. Zdecydowana większość dorosłych, zwłaszcza mieszkańców dużych miast, przechorowała polio w dzieciństwie. Ale nie przyniosło to poprawy. Nie pomogły też naświetlania promieniami rentgenowskimi. Osobiście nie wierzę w skuteczność strychniny i jodu, które są uparcie stosowane przez niektórych klinicystów w podobnych przypadkach. Niestety, nie istnieje żadne skuteczne lekarstwo. Co gorsza, nie ma też szczepionki, która zapobiegałaby rozprzestrzenianiu się tego zarazka... Mięśnie oddechowe zostaną wkrótce sparaliżowane i wtedy zacznie się dramatyczna agonía.

Patrzyłam na drobną i kruchą siniejącą istotkę, która z wysiłkiem łapała powietrze. Nie byłam w stanie wypowiedzieć słowa. Gardło ścisnęła mi niewyobrażalna gorycz, a zarazem wściekłość na niesprawiedliwość tego świata.

– Gdybyśmy byli w Ameryce, być może udałoby się ją uratować za pomocą żelaznych płuc – wtrącił się do rozmowy Alexander, a my spojrzeliśmy na niego pytająco. Nigdy o czymś podobnym nie słyszałam.

– To urządzenie ułatwiające oddychanie, które skonstruowano niedawno w Bostonie – wyjaśnił. – Ratuje pacjentów w ostrej fazie choroby, gdy dochodzi do niewydolności oddechowej. Czasem jednak chorzy wymagają podłączenia na dłużej. Słyszałem o tym w czasie jednego z wykładów na uniwersytecie – zakończył i zamilkł, wyczuwając, że chwila może nie jest odpowiednia, by kontynuować ten naukowy wywód.

– Ale jesteśmy niestety w Europie – mruknął poirytowany doktor Weber. Najwyraźniej nie spodobało mu się, że dużo młodszy

od niego mężczyzna popisuje się swoją wiedzą, na dodatek w sytuacji, gdy medycyna w tym momencie i tym miejscu nie mogła zrobić nic więcej. – Podam jej morfinę, by chociaż zmniejszyć uczucie duszności – oznajmił.

Poczułam, że nie dam rady dłużej przebywać w pomieszczeniu, w którym umierało dziecko. Wysłałam więc na zewnątrz, a syn Róży po chwili dołączył do mnie. Wręczyłam mu lekarski fartuch z poleceniem, aby go założył. Udaliśmy się do mojego gabinetu, gdzie zawsze o tej porze odbywały się wizyty. Jako pierwsza weszła do gabinetu młoda panienka, której problemem było opóźnione dojrzewanie. Nie miała do tej pory menstruacji, a zawiązki jej piersi pozostawały niewielkie. Jej matka była tym bardzo przejęta, bo dziewczyna była już zaręczona, a zaślubiny zaplanowano na kolejny rok.

– Unieważnią to małżeństwo, jak zobaczą, że nie umie wydać na świat męskiego potomka – lamentowała. – Może ktoś na nią rzucił urok? Ja w jej wieku byłam już w pełni rozwinięta... – Szukała u mnie potwierdzenia swoich teorii.

Zabrałam przestraszoną pacjentkę za parawan, by przeprowadzić intymne badanie.

– Myślę, że można by spróbować opoterapii z nasienia – zwróciłam się do mojego ucznia, gdy już skończyłam. – Najpierw podawałam chorej wyciąg jajnikowy, ale nie przyniósł widocznej poprawy. W takich przypadkach zaleca się podawanie ekstraktu ze spermy. Uważa się, że hormon męski w niej zawarty ma dobroczynny wpływ na żeńskie narządy rozrodcze.

– Tak! – zgodził się. – Słyszałem o tej hipotezie. Została potwierdzona u mężatek po aplikacji podskórnej nasienia ich mężów. Okazuje się, że może ono być lekiem także przy

zaburzeniach miesiączkowania oraz u dojrzałych dam, wyniszczonych przez różne choroby.

Widziałam, jak na twarzy matki pacjentki odmalowuje się zażenowanie faktem, że młody mężczyzna rozmawia ze mną tak swobodnie na tematy, których poruszanie byłoby zbyt wstydlive nawet w alkowie. Zapewne obawiała się, że jej córka przypadkiem mogła usłyszeć zbyt wiele o sprawach, które jej interesować jeszcze nie powinny. Pożegnała się więc i pośpiesznie zabrała ją ze sobą.

W moim gabinecie znalazła się za to młoda, brzemienna suchotniczka. Od wielu lat cierpiała na gruźlicę przewlekłą, ale ostatnimi czasy nie miała już objawów. Teraz z uwagi na jej stan istniało duże ryzyko uaktywnienia się choroby. W XVIII wieku uważano, że stan błogosławiony ma korzystny wpływ na przebieg choroby, ale późniejsze obserwacje wykazały, że może przyczynić się do jej zaostrzenia, łącznie z *exitus letalis*. Położnicy postawieni byli więc przed dylematem, czy kontynuować ciążę, narażając życie matki, czy też zawczasu ją przerwać. Groźba szybkiego osierocenia potomstwa bądź też jego zakażenia we wczesnym niemowlęctwie spędzały lekarzom sen z powiek.

– Czy wróciły zwyżki temperatury, poty i kaszel? – zapytałam, ale pacjentka pokręciła przecząco głową. Po badaniu wydawało się, że wszystko jest w normie, toteż chwilowo mogłam odetchnąć z ulgą.

– Pani doktor, czy uda mi się donosić tę ciążę? – zapytała z rozpaczliwą desperacją.

– Na razie nie widzę powodów do obaw. Ale rozmawiałyśmy już o tym, że to bardzo niebezpieczny dla pani okres. Miejmy nadzieję, że szybko minie i nic złego nie wydarzy się w tym czasie – próbowałam dodać jej otuchy.

– Może kiedyś medycyna znajdzie lekarstwo na tę chorobę i nie będzie trzeba dokonywać tak dramatycznych wyborów – odezwał się z przejęciem Alexander.

– Pamiętaj jednak, że zawsze rozwój medycyny, rozwiązując jedne problemy, jednocześnie ujawnia inne, których istnienia wcześniej nie byliśmy świadomi... – odpowiedziałam. – Najlepszym przykładem było zastosowanie pierwszej dializy u pacjentów z przewlekłą uremią z powodu niewydolności nerek. Stało się to niedawno, w 1924 roku. W tym celu niezbędne było podanie antykoagulantu, który zapobiegłby krzepnięciu krwi. Szybko okazało się, że stosowana w tym celu hirudyna jest toksyczna, tym samym należało poszukać innej substancji o podobnych właściwościach.

Młodzieniec zamyślił się, zapewne przyznając mi w milczeniu rację.

Musiałam tego dnia jeszcze zejść do pracowni, aby wykonać rentgenograficzną pelwimetrię. Było to badanie wykorzystujące promieniowanie Roentgena, celem ustalenia pozycji płodu przed porodem, a także sprawdzenia, czy kości miednicy umożliwią przyjęcie na świat poprzez kanał rodny bez większych komplikacji. Metoda ta zrewolucjonizowała oblicze położnictwa. Wcześniej ginekolog nigdy nie był pewien, jak dokładnie ułożone jest dziecko w macicy. Było to szczególnie ważne, gdy istniała konieczność założenia kleszczy, aby szybko zakończyć poród. W starożytności Hipokrates przekonywał swoich uczniów, że płody żeńskie leżą po lewej stronie, a męskie po prawej, natomiast te ułożone pośrodku będą hermafrodytami. W nowożytnych czasach radzono sobie, stosując w badaniu chwyty Leopolda, ale one także nie były w pełni rozstrzygające. Do oceny miednicy rodzącej stosowano za to pelwimetr.

– Na kliszy można stwierdzić, czy szkielet nienarodzonego dziecka jest zbudowany prawidłowo, a także wykluczyć niektóre wady wrodzone – zwróciłam się do Alexandra, pokazując mu świeżo wywołany negatyw, który wziął pod światło, aby go dokładnie obejrzeć. – Kończymy na dzisiaj – rzekłam przecierając zmęczone i piekące oczy.

* * *

Tego dnia na wieczerzę podano specjalne danie, które przyrządzano jedynie na *Biikebrennen*. Był to zielony jarmuż ze smażonymi ziemniakami, policzkiem wieprzowym i kiełbasą gotowaną. Młodzież pałaszowała prędko, bo chciała jak najszybciej znaleźć się na wybrzeżu, gdzie niedaleko latarni morskiej gromadzili się już mieszkańcy wyspy.

Obchody zaczęły się od procesji z pochodniami, którymi potem podpalono przygotowane stosy drewna. Nocne niebo rozświetliło się pomarańczowordzawą łuną. Od wieków rywalizowano, czyje ognisko będzie większe i da jaśniejsze światło. Słychać było gwizdy i tańce bawiących się przy dźwiękach akordeonu ludzi. Niektórzy śmiałkowicie przeskakiwali przez mniejsze płomienie. Spienione fale wyrzucały z hukiem słoną wodę.

Podeszłam do brzegu, upajając się widokiem i zapachem morza. Nagle dopadło mnie znajome wrażenie, że jestem obserwowana. Zawiał zimniejszy prąd powietrza i poczułam na karku niemiłe dreszcze. Obejrzałam się za siebie, lecz nie dostrzegłam nikogo.

– Tutaj jesteś, Lauro! – zawołała Lilia. – Już się bałam, że się zgubiłaś! – zaśmiała się. – Chyba czas wracać, bo już wygaszają ogień. Robi się bardzo zimno i chyba zaczyna kropić. – Popatrzyła w stronę atramentowego nieba, na którym tłoczyły się nocne chmury.

Przytaknęłam i skierowałam się w stronę zejścia z plaży. Gryzący nos dym, zmieszany z wiatrem i piaskiem, unosił się z pogorzeliśka. Znów naszło mnie niepokojące uczucie czyjejs obecności. Rozejrzałam się uważnie dookoła i wtedy mój wzrok padł na nadpaloną słomianą kukłę wielkości człowieka. Nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby nie to, że ktoś zawiązał jej na oczach moją apaszkę. Od dłuższego czasu nie mogłam jej znaleźć. Nie pamiętałam, kiedy dokładnie ostatni raz miałam ją na sobie, ale wydawało mi się, że było to owego wieczoru, gdy w kościele ujrzałam tajemniczą kobietę w kapeluszu z woalką. Nie rozpaczałam specjalnie nad stratą, bo i tak moja szafa ledwo zamykała się od nadmiaru ubrań. Poza tym chustka była podarunkiem od Tadeusza i nieustannie przypominała mi o nim.

Serce zaczęło mi gwałtownie łomotać, a oddech stał się płytki i szybki. Lodowaty pot wystąpił mi na czoło. Nie zastanawiając się długo, ruszyłam pośpiesznie w kierunku znaleziska, jakbym chciała się upewnić, że nie jest jedynie wytworem mojej wyobraźni.

– Dokąd tak pędzisz? – Róża próbowała mnie zatrzymać, chwytając za rękaw płaszcza, ale wyrwałam jej się gwałtownie.

– Błagam, puść mnie! – krzyknęłam zdesperowana, a ona, nie spodziewając się takiej reakcji, odskoczyła do tyłu.

Złapałam rękami skrawki dymiącego materiału, na którym wypalone zostały już czarne dziury. Parzył mi ręce, ale nie miało to dla mnie znaczenia. Przejechałam palcami po chropowatym hafcie z moimi inicjałami: „L.K.” Rozpaczliwie rozglądałam się dookoła, szukając tego, kto mógł być autorem ponurego żartu.

– Kim jesteś i czego ode mnie chcesz?! – wołałam. Czułam bezradność pomieszana z wściekłością. Rzuciłam strzępki jedwabnej tkaniny na ziemię i wdeptałam ją ze złością w piasek, jakbym

w ten irracjonalny sposób próbowała się wyżyć na moim prześladowcy.

– Co się dzieje? – Przyjaciółki dopiero teraz zdołały mnie dopędzić.

Zakryłam twarz w dłoniach i zaszlochałam.

– Po prostu czasem mam już dość – wyznałam z goryczą w głosie.

– Myślałam, że na Sylcie rozpocznę nowe życie i uwolnię się od przeszłości. Tymczasem mam wrażenie, że ona mnie osacza... Jakbym znalazła się w jądrze ciemności...

Róża podniosła apaszkę.

– Kto to zrobił? – zapytała, ściągając brwi i oglądając uważnie przedmiot.

– Naprawdę nie mam pojęcia... – westchnęłam z rezygnacją.

– Musiałś się komuś narazić – stwierdziła Lilia. – Ale przecież nikt normalny nie robi takich rzeczy! Czy podejrzewasz kto to mógł być?

– Nie... Nie mam pojęcia... – skłamałam. W rzeczywistości przed oczami stanął mi obraz zagadkowej niewiasty skrywającej swoje oblicze za czarną koronką.

– Chodźmy już do domu – zaproponowała Lilia. – W gruncie rzeczy to mało istotny incydent – próbowała zbagatelizować sytuację, aby mnie uspokoić. Otoczyła mnie ramieniem i osłoniła parasolką, by nie padał na mnie deszcz.

– Znam drogę na skróty przez wydmy – zasugerowałam i powoli ruszyliśmy do przodu, zapadając się w grząskim piasku. Nasze młodsze latorośle wróciły już wcześniej w towarzystwie Alexandra, tym samym miałyśmy chwilę, aby porozmawiać.

– Lauro, martwię się o ciebie – zwróciła się do mnie Róża. – Zachowujesz się inaczej niż zwykle. Jakbyś przestała być sobą.

Wiem, że przechodzisz teraz bardzo trudny czas... – zaczęła niepewnie, jakby bała się, że jej uwaga mnie obrazi.

– Tym bardziej pamiętaj, że masz w nas oparcie. Jesteś dla nas jak siostra – poparła ją Lilia.

Z wdzięcznością ścisnęłam ich dłonie, bo wzruszenie odjęło mi mowę.

– Czy nie sądzisz, że to matka Tadeusza doprowadziła do rozpadu waszego małżeństwa? – padło nagle pytanie z ust jednej z moich przyjaciółek.

Wzdrygnęłam się na samo wspomnienie tej antypatycznej kobiety i jej wiecznie niezadowolonego oblicza więdźmy. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek widziała, aby uśmiech zagościł chociaż na moment na jej suchej, kościstej twarzy. Znienawidziła mnie od momentu, gdy przekroczyłam progi jej domu, a ona zdała sobie sprawę, że jej pierworodny ma względem mnie poważne plany. Nie takiej synowej oczekiwała, co dawała mi odczuć na każdym kroku. Uważała, że nie jestem godna, by nosić herb jej szlacheckiego rodu. Traktowała mnie z pogardą i nieukrywaną wyższością, bo moja rodzicielka była służącą, a ja przyszłam na ten świat jako bękart, chociaż otrzymałam nazwisko po moim ojcu. Nie lubiłam odwiedzać dworku, w którym mieszkała, bo czułam się tam bardzo obco. Dodatkowo dochodziła kwestia narodowościowa. Polacy, których krew płynęła w żyłach mojego męża, traktowali Prusaków jak najeźdźców i gnębicieli. Związek ze mną był więc hańbą i czymś w rodzaju zdrady, co nieustannie przypominali mu jego krewni.

Swojemu niezadowoleniu moja teściowa dała nawet upust w dniu mojego ślubu z jej synem, gdy wykrzyczała na oczach wszystkich gości, że Tadeusz popełnia największy błąd swojego życia i że będzie tego żałował. Kazała mu wybierać pomiędzy nowo

poślubioną żoną a resztą rodziny. Bez wahania pozostał ze mną. Odtąd ta zawistna kobieta nie była obecna w naszym życiu, ale co jakiś czas przypominała o swoim istnieniu, uporczywie nękała nas listami i nie mogąc pogodzić się z tym, że jej własny syn ją odrzucił. Obarczała mnie winą za chorobę Adama, a gdy zmarł w wyniku jednego z krwotoków, była zdania, że to ja się do tego przyczyniłam. Ojciec mojego męża miał zbyt słaby charakter, aby jej się przeciwstawić. Wycofał się całkowicie z rodzinnego życia i chociaż temu zaprzeczał, powoli popadał w alkoholizm.

– Ta kobieta już dawno nie miała żadnego znaczenia w naszym życiu – odpowiedziałam na pytanie przyjaciółki. – Myślę, że wina leży wyłącznie w nas... – wyznałam, czując, że za chwilę wybuchnę płaczem. – Nie zauważyliśmy w porę, że za bardzo się od siebie oddalamy...

Miałam wrażenie, że przez to, co razem przeszliśmy, zostałam odarta z kobiecości w oczach mojego męża. Nie czułam się dla niego atrakcyjna, nie widziałam podziwu ani pożądlivych spojrzeń, jakie mężczyzna wysyła wybrance swojego serca. Ogień żarzący się między nami zgasł, a ja nie znalazłam sposobu, by rozpać go ponownie. Zostały tylko zgliszczca wypełniające nasze samotne serca.

– W naszym życiu nie było już iskier, wzlotów namiętności, czułych nocy i długich rozmów aż po świt. Najpierw przestał być moim kochankiem, a później straciłam w nim przyjaciela. Wszystko stało się szarą codziennością wypełnioną wzajemnymi pretensjami. W pewnym momencie zdałam sobie sprawę, że jeżeli od tego nie ucieknę, to zatracę samą siebie. Myślę, że on, chociaż tego nigdy nie przyzna, był zadowolony z mojej decyzji... – ciągnęłam z trudem, bojąc się, że zaraz kompletnie się rozkleję.

– Lauro, może jeszcze jednak nie wszystko jest stracone? – zapytała Lilia, ale pokręciłam przecząco głową.

– Nie chcę do tego wracać! – zdobyłam się na stanowczość. Pewnie nasza wymiana zdań trwałaby jeszcze dłużej, gdyby Lilia nie spostrzegła się, że straciła swój szal.

– Muszę zawrócić. Był dla mnie szczególnie cenny, bo przyczepiłam do niego broszkę w kształcie ważki z ametystem, którą mam po mojej matce... – powiedziała ze zdenerwowaniem w głosie.

– Chodź, pójdziemy wszystkie i pomożemy ci szukać – zaoferowała jej bratowa.

– Nie, chyba wiem, gdzie mogłam go zapodziać. To niedaleko stąd. Idźcie do domu, zaczyna coraz mocniej kropić – odparła, a sama zawróciła, udając się na poszukiwanie zguby.

– Znajdziesz drogę powrotną? – zapytałam z troską w głosie.

– Przecież stąd już widać światła posiadłości na czerwonym klifie! Niezwykle trudno byłoby zabłądzić – zaśmiała się. – Mam ze sobą latarkę, więc łatwo trafię na wydeptaną przez was ścieżkę. Jeszcze zdążę was dogonić! – zawołała i zniknęła wśród ciemności i kolczastych krzewów róż, które o tej porze roku były jeszcze bezlistne.

* * *

Gdy weszliśmy do ciepłego salonu, czekał na nas imbryk z gorącą herbatą. Usiadliśmy z filiżankami na sofie. Wydawało mi się, że Lilia za długo nie wraca. Co chwilę wstawałam nerwowo i podnosiłam zasłonę, spoglądając w stronę wybrzeża. Szukałam wzrokiem wyłaniającej się z mroku sylwetki, nikogo jednak nie było widać. Przypomniałam sobie historię młodej kobiety, której ciało wyłowiono z morza w pobliżu czerwonego klifu wkrótce

po moim przybyciu. Chociaż w rubryce jako powód zgonu podano „utonięcie”, do dziś uważałam, że w czasie tamtej autopsji doszło do licznych uchybień, a prawdziwa przyczyna śmierci być może nie została odkryta. Wyrzucałam sobie, że zgodziłam się na to, aby moja przyjaciółka samotnie w nocy wróciła na wybrzeże. Róża najwyraźniej podzielała mój niepokój, bo co chwilę wstawiała i szła w stronę drzwi wejściowych, jakby nasłuchując, czy Lilia nie nadchodzi.

– Zostań z dziećmi, a ja pójdę na plażę jej poszukać – zwróciłam się do mojej kompanki, zakładając kalosze i sztormowy płaszcz. – Boję się, że mogło wydarzyć się coś złego...

Znalazłam się w posępnym ogrodzie pogrążonym w zimowym śnie. W ciemnościach powykręcane konary drzew rzucały przerażające cienie. Przełykając z trudem ślinę przez ściśnięte ze strachu gardło i rozglądając się na wszystkie strony, stąpałam naprzód. Nie zdążyłam nawet wyjść przez ogrodową furtkę, gdy usłyszałam kobiecy krzyk. Po chwili dopadła do mnie, dysząc ciężko, przestraszona Lilia. Jej twarz była kredowobiała, prawie przezroczysta. Miała zwichrzone włosy, potargane, mokre ubranie i zadrapania od kolców na skórze. Przez chwilę tylko oddychała szybko, zanim wykrztusiła:

– Tam ktoś był! Jakiś potwornie okaleczony człowiek, ludzkie monstrum! Przez moment widziałam go w świetle latarki, gdy niechcący prawie na niego weszłam. Prawdopodobnie próbował ukryć się za krzakiem. Niestety, latarka mi wypadła i roztrzaskała się na skałach... – opowiadała rozgorączkowana, a jej ciało cały czas drżało. Słuchałam jej słów, czując, jak wszystko dookoła mnie zaczyna szybko wirować. Przed oczami stanęły mi czarne plamy, powoli zlewające się w jeden obraz.

Przez chwilę znalazłam się w stanie pomroczości, jakby to, co się działo, było jedynie strasznym filmem, wyświetlanym na klatkach kinematografu...

ROZDZIAŁ XIII

Ogień w kominku powoli trawił szczapy drewna, oświetlając pokój migoczącym światłem. Był już środek nocy, ale nie wiedziałam, która dokładnie jest godzina. Prawie całą podłogę zajmowały dwa pochrapujące, przemoczone leonbergery. Chociaż spały, pozostawały czujne i stroszyły uszy na każdy najmniejszy szelest.

– Panie Arens, jak znalazł się pan na wydmach w ten deszczowy wieczór? Świętowanie na plaży już dawno się skończyło... – Ciszę przerwało pytanie Lili, która siedząc na bujanym fotelu, okryta wełnianym pledem, próbowała się rozgrzać.

– Już pani wspominałem, że często chodzę nawet nocą wzdłuż wybrzeża na spacer z moimi czworonogami. Do moich uszu dobiegł niepokojący kobiecy krzyk... Jakby ktoś wzywał pomocy. Ruszyłem więc niezwłocznie w kierunku, z którego dochodził. Ponieważ nikogo nie znalazłem, skierowałem się do posiadłości na czerwonym klifie. Wystraszyłem się, że być może Laura, to znaczy pani Kader... – poprawił się i chrząknął nerwowo, po czym kontynuował – ...znalazła się w niebezpieczeństwie.

– Mówił pan, że psy wcześniej chwyciły jakiś trop? – Moja przyjaciółka nie przestawała drążyć tematu, jakby przeprowadzała przesłuchanie.

– Tak, myślę, że najprawdopodobniej natrafiły na pani ślady. Trochę błędziła pani w drodze powrotnej. Jestem jednak niemalże pewien, że nie było tam nikogo więcej.

– Wiem, co widziałam! – odparła sucho Lilia. Cały czas miałam wrażenie, że przygląda się podejrzliwie swojemu rozmówcy, jakby nie ufała ani jednemu jego słowu.

– Dlatego dobrze, że sprawa została zgłoszona na policję. Myślę, że nazajutrz, za dnia, przeszukają okolice i jeżeli rzeczywiście znajduje się tutaj ktoś taki, na pewno na niego natrafią.

– Pan nie rozumie! – zbulwersowana wstała z siedziska. – Przecież przez tyle godzin tak wiele może się wydarzyć! Ten człowiek może już nawet nie żyć! A może potrzebuje pomocy?

– Przepraszam, niech nie zabrzmie to niegrzecznie, ale pani także wydaje się oderwana od rzeczywistości. Proszę spojrzeć za okno! Jest sztorm! – W tym momencie potężny podmuch wiatru zmieszanego z ulewą uderzył o szyby domu, aż się zatrzęśły. – Chce pani wysyłać ekipę ratunkową na wybrzeże w taką pogodę? To jest szalejący żywioł! Niewiele trzeba, aby ktoś się utopił albo roztrzaskał o skały.

– Byłabym gotowa wyruszyć teraz nawet sama na poszukiwania!
– rzekła, unosząc dumnie podbródek.

– Lilio, już o tym mówiłyśmy, nigdzie nie idziesz! – Obie z Różą gorąco zaprotestowałyśmy.

– Niestraszne mi takie warunki. W czasie wojny służyłam na Wschodzie – kontynuowała, nie spuszczać wzroku z doktora Arensa, jakby rzucała mu rękawicę. – Przeżyłam tam srogie zimy, w czasie których zamarzał nawet smar w karabinach, a nieopatrzne dotknięcie metalowej lufy mogło skończyć się zdarciem płata skóry. Latem z kolei słońce i skwar dokuczały nam niemiłosiernie, powodując, że strużki potu lały nam się po plecach, nawet gdy operowaliśmy w środku nocy. Trzeba było racjonować wodę, a żołnierze padali jak muchy na tyfus... – Chciała opowiadać dalej, ale przerwano jej.

– Z całym szacunkiem, ale to chyba nie jest najodpowiedniejszy czas, by chwalić się swoimi dokonaniem na froncie... – stwierdził sucho doktor Arens.

Lilia obrzuciła swojego rozmówcę takim spojrzeniem, że aż sama poczułam ciarki na skórze.

– Ciekawa jestem, gdzie pan był w 1914? – odpowiedziała zaczepnie.

– Dajmy temu spokój! – próbowałam załagodzić sytuację, czując rosnące napięcie. – Ciągle dręczy mnie pytanie, kim mógł być tamten okaleczony mężczyzna.

– Być może to jakiś rozbitek? – zasugerował doktor Arens.

– Podobno nikt nie kontaktował się ze stacją radiową i nie zgłaszał, że jest na morzu i nie może wrócić do portu. Takiej informacji udzielono nam na posterunku – wtrąciła się Róża.

– Nie można wykluczyć, że to jeden z tych piratów, napadających i rabujących statki. Wypływają na łodziach, których stan techniczny pozostawia wiele do życzenia. A wtedy już tylko krok od tragedii. To uzasadniałoby, dlaczego uciekał, gdy spotkał panią Hanzel. Jakkolwiek było, myślę, że jego los nie leży już w naszych rękach.

– Jego nietypowe zachowanie wskazywało, że najpewniej miał coś na sumieniu. Poza tym gdyby naprawdę potrzebował pomocy, najpewniej udałby się do najbliższego domostwa – zgodziłam się z rozumowaniem Lothara.

– Ja jednak myślę, że tutaj dzieje się coś dziwnego – nie dawała za wygraną Lilia, która po raz kolejny obdarzyła doktora przeszywającym spojrzeniem. – Czy pana małżonka nie będzie się martwiła, że tak długo pan nie wraca? – zagadnęła niespodziewanie.

– Nie mam już żony – wyznał, a w jego głosie zabrzmiała dziwna nuta.

– Jest pan wdowcem? – Lilia uparcie próbowała dowiedzieć się jak najwięcej.

– Najprawdopodobniej... – odrzekł, a odpowiedź ta wyzwoliła nową falę nieufności w mojej przyjaciółce. – Jednej nocy wyszła z domu i już nie wróciła... Najpewniej nie zdołała opuścić wyspy, bo nie było jej na liście pasażerów żadnego ze statków. Cały teren został kilkakrotnie przeszukany, ale bez rezultatów. Śledczy podejrzewali, że pochłonięto ją morze.

– To straszne! – wykrzyknęła Róża. – Bardzo panu współczuję... Chyba nie może istnieć na świecie nic gorszego niż takie wątpliwości i rozdarcie. Z jednej strony zapewne pochował pan ją już w swojej świadomości, z drugiej być może ciągle w sercu tli się nadzieja, że się odnajdzie...

Doktor Arens zasępił się, jakby w milczeniu przyznając jej rację.

– Myślę, że czas już na mnie. Wydaje się, że nawałnica powoli ustaje. – To powiedziawszy, ruszył w stronę okna.

– Czy to na pewno bezpiecznie wracać o tej porze? Może lepiej byłoby poczekać, aż nastanie świt? – spytałam zatroskana, ale natychmiast dotarło do mnie, że w moim pytaniu zawierało się zbyt dużo czułości. Nie uszło to naturalnie uwadze Lilii, która teraz zapewne weźmie mnie na celownik.

– Złego diabli nie biorą – zaśmiał się doktor Arens w odpowiedzi i zagwizdał na psy, które poderwały się natychmiast, by stanąć przy nodze swojego pana. Ich czarne pyski ziały wielkimi jęzorami, z których ślina skapywała na deski podłogi. Widziałam, jak moja przyjaciółka dyskretnie otrząsnęła się z obrzydzenia.

Gdy doktor wyszedł, patrzyłam za nim, póki jego sylwetka nie rozmyła się w ciemnościach. Zamknęłam powoli drzwi, aż szczękniętą zamek.

– Lauro! – usłyszałam swoje imię tuż za plecami. – Ten człowiek mi się nie podoba – orzekła Lilia. – Jestem pewna, że coś przed nami ukrywa. Uwierz mi, znam się na ludziach po tym, co przeszłam.

– Chyba oceniasz go zbyt pochopnie – stwierdziłam, rzucając tęskne spojrzenie w stronę, w którą odszedł.

– Myślisz, że nie widzę, co tutaj jest grane?! Znam cię przecież doskonale – zawyrokowała. Próbowałam zaprzeczyć, ale powstrzymała mnie. – Zauroczył cię w jakiś sposób, ale przecież tak naprawdę nic o nim nie wiesz! On wyjawia przed tobą tylko to, co będzie chciał. Nie ujawni najbardziej mrocznych zakamarków swojej duszy. Musisz być ostrożna – przestrzegła mnie. – Pani Arens zaginęła w niejasnych okolicznościach. Kto wie, czy on nie maczał w tym palców... Nie odnaleziono żadnych śladów. Może sam ukrył gdzieś jej ciało? Nie wyglądał na kogoś, kto byłby pogrążony w żalu albo przeżył jakąś stratę, gdy o tym wspomniałam. Miałam wręcz odczucie, że ta sytuacja w jakiś sposób mu odpowiada.

– Lilio, błagam cię! – przerwałam jej wywód. – Chyba przesadzasz, a twoja wyobraźnia posunęła się zdecydowanie za daleko...

– To tylko dedukcja na podstawie tego, co wiem – broniła się. – Poznałam kiedyś czarującego mężczyznę, który w swoim wnętrzu skrywał potwora... – zakończyła nieoczekiwanie i popadła w smutną zadumę.

Jej oczy stały się wilgotne, ale próbowała to ukryć, wachlując ręką twarz, jakby chciała w ten sposób osuszyć zbierające się łzy. Odwróciła się i pospiesznie wstała z fotela, kierując się do schodów na górę. Postanowiłam zostawić ją samą i nie dociekać, co chciała jeszcze powiedzieć. W tym momencie z jej kieszeni wysunęła się fiolka i spadła na podłogę. Rozprysła się w drobny mak, a tabletki rozsypały się wkoło.

– Ach! Szlag by to trafił! – zdenerwowała się.

– Poczekaj, pozbieraj lekarstwo, a ja przyniosę miotłę i posprzątam resztę – zaoferowałam.

Gdy zagarniałam potłuczone szkło na szufelkę, moim oczom ukazała się etykieta z napisem Aurosan. Była to nazwa leku stosowanego powszechnie w terapii gruźlicy.

– Mój Boże, Lilio! – wykrzyknęłam przerażona niespodziewanym odkryciem. – To chyba nie jest twoje? – zapytałam z naiwną nadzieją w głosie, licząc na to, że zaprzeczy. Ona jednak zasmuciła się, po czym nabrała powietrza głęboko w płuca i powoli je wypuściła.

– Niestety, zaraziłam się dawno temu, może nawet od mojej matki. Zawsze była wątłego zdrowia, a w ostatnich latach życia cierpiała na skórny tuberkulid. Musiała przez to nosić bluzki i suknie z wysokim kołnierzem, aby nie było widać *lupus vulgaris* na szyi. Jeździła nawet na leczenie za granicę, po którym często bywała poprawa. U mnie na szczęście choroba ma łagodny przebieg. W dzieciństwie parę razy odwiedzałam sanatorium doktora Rolliera w Leysin. Nie miałam jeszcze wtedy objawów gruźlicy, ale z uwagi na delikatne zdrowie, które odziedziczyłam po matce, i skłonność do przeziębień wysyłano mnie tam profilaktycznie. Kuracjusze musieli leżeć dzień i noc w ujemnych temperaturach, leczeni alpejskim słońcem i światłem z lampy Finsena. – Przeniosła się na chwilę wspomnieniami w przeszłość.

Ja także pamiętałam, jak uczono nas na studiach, że wysokogórskie powietrze ma zbawienny wpływ na płuca gruźlika, bo jak uważano, pobudza jego mięsień sercowy do większej kurczliwości, poprawiając krążenie krwi. Z czasem przyznano, że może chodzić o czystość bakteriologiczną, dlatego pacjentów z ubogich warstw społecznych leczono, wywożąc ich

po prostu poza miasto, gdzie w lasach, najczęściej iglastych, zakładano specjalne placówki.

– Czas spędzony na froncie obniżył moją odporność, ale gorzej poczułam się dopiero po urodzeniu Leopolda. Teraz nie jest źle... – powiedziała markotnie, wyrywając mnie z rozmyślań. Próbowwała się uśmiechać.

– Na wiosnę zastosowano u mnie terapię z maską Kuhna. Być może o niej słyszałaś? – zapytała, ale pokręciłam przecząco głową. – Nakłada się ją na nos i usta. Ma ona utrudniać wykonanie wdechu, tym samym skutkując rozrzedzeniem powietrza w klatce piersiowej. Ostatecznie prowadzi to do przekrwienia płuc, ułatwia odkrztuszenie plwociny i zwiększa ilość hemoglobiny w erytrocytach. Mój lekarz zawsze żartuje, że jest to także poniekąd korzystna kuracja dla nadmiernie gadatliwych – zachichotała sztucznie, jakby starała się na siłę mnie rozbawić. – Przyjmuję też zastrzyki Angiolymphy, a to nowoczesna terapia i wierzę, że będzie skuteczna. Chyba że sama przed sobą się okłamuję. Tak naprawdę wyparłam to wszystko ze swojej świadomości. Tak żyje mi się łatwiej...

Podeszłam do przyjaciółki i przytuliłam ją mocno.

* * *

W następnych dniach przeszukano okoliczne wydmy i wybrzeże, jednakże nie natrafiono na jakikolwiek ślad. Tymczasem pobyt moich przyjaciółek na Sylcie dobiegł końca. Żegnałam je na dworcu kolejowym w Westerland, machając za odjeżdżającym pociągiem. Tamtego niedzielnego popołudnia na wyspie pozostało jeszcze jedno osamotnione serce – Hanna z rozpaczą w oczach patrzyła na znikający na horyzoncie wagon, w którym odjechał jej ukochany. Było to jej pierwsze młodzińcze uczucie.

– Mamo, jak sprawić, aby ktoś się we mnie zakochał? – spytała, cicho wzdychając, gdy jechałyśmy same autem do domu.

– Chyba nawet wiem kto – przekomarzała się Adalia, dając siostrze kuksańca.

– Nie istnieją takie sposoby, bo miłość to całkowicie nieracjonalne uczucie. To prawdziwe misterium rozgrywające się w sercach dwojga ludzi, o ile jest szczęśliwa. Ale częściej niestety bywa nieodwzajemniona i smakuje jak gorzkie cytryny. Kochając, pozwalamy drugiej osobie zamieszkać w naszej duszy. Dlatego musimy wybrać właściwie – niezdarnie próbowałam tłumaczyć moim dojrzewającym dzieciom, jak wygląda dorosłość. Nie wiem, ile zrozumiały z mojego wyводу.

– Napiszę do niego list! – wpadła na pomysł moja starsza córka.

– Moim zdaniem to mężczyzna powinien zabiegać o kobietę, a nie odwrotnie – wytknęła jej siostra.

– Może kiedyś tak było! Ale teraz są już inne czasy! – pouczyła ją Hanna z satysfakcją w głosie.

Kilka dni później obie dziewczynki odjechały do szkoły z internatem. Ubrane w granatowe mundurki z białymi marynarskimi kołnierzami i naszytymi dookoła trzema ciemnymi pasami, wydawały mi się o wiele starsze i dojrzsze, niż były w rzeczywistości. Czułam ból nieodwracalnego upływu czasu i tego, że nie można go w żaden sposób zatrzymać, chociażby na chwilę. Z wiekiem, jak się przekonałam, ten szalony pęd życia nabierał jeszcze większego tempa. Dzień stawał się godziną, a rok miesiącem. Nie sądziłam, że wyjazd moich córek z wyspy tak bardzo odbije się na moim nastroju. Najgorsza choroba ludzkości, zwana samotnością, dopadła mnie ze zdwojoną siłą.

* * *

Na Sylcie wiosna wybuchła z dnia na dzień. Krokusy, narcyzy i dzwonki rozkwitły na łąkach. Na wydmach, mieniących się kolorami od beżu aż po rdzę, delikatnie kołysała się na wietrze piaskownica zwyczajna. Zimozielone wrzosowiska zalał potok kwitnącej bażyny. Nie potrafiłam się jednak tym cieszyć. Myślami ciągle byłam daleko stąd, w moim poprzednim życiu. Pragnęłam stabilności i spokoju, ale nie dane było mi ich zaznać. Miałam wrażenie, że zbyt wiele złego wydarzyło się w zbyt krótkim czasie, a ja nie potrafiłam sobie z tym poradzić. Żałoba to układanie istniejącego świata na nowo, już bez udziału bliskiej osoby, którą straciliśmy. Nie każdy umie dokonać takiej zmiany w swojej świadomości. Naszą egzystencję można porównać do wielkiego domu z dziesiątkami różnych pokoiów. Życie polega na wędrówce przez jego kręte i niekończące się korytarze. W momencie, kiedy ktoś nowy pojawia się w naszym życiu, odkrywamy wcześniej nieznaną wewnątrz. Gdy osoba, którą kochamy, umiera, jedno z pomieszczeń zostaje z kolei bezpowrotnie zamknięte. Ból i tęsknota nie mijają, bo cierpimy, ilekroć przyjdzie nam minąć głucho zamknięte drzwi. Za nimi kryją się miliony spojrzeń, dotknięć i pocałunków, tysiące wspomnień oraz setki niewypowiedzianych słów, na które zabrakło czasu. I chociaż będziemy walić pięściami i drapać w drzwi, aż bolesne drzazgi powbijają się nam w palce, nikt i nic nie odwróci tego, co się wydarzyło. A gdy pewnego dnia przyjdzie i na nas czas, zamkniemy się w jednym z pokoiów, zostawiając za sobą pustkę i lament najbliższych. Nadzieję dla tych, co pozostali, stanowi jedynie dalsza wędrówka w nieodkryte miejsca w bezkresnym domu zwanym losem.

Gdy oglądałam zdjęcia, miałam ochotę przedrzeć się przez matową kliszę do tamtych chwil w rozpaczliwej próbie cofnięcia

czasu. Dlaczego cię wtedy jeszcze raz nie przytuliłam, dlaczego nie złapałam twojej ręki, nie pocałowałam twoich jasnych włosów, gdy byłeś obok? Niestety, nie da się nacieszyć na zapas kimś, kto jest dla nas całym światem. Zawsze pozostaje niedosyt i tęsknota.

Na szczęście nie zostałam całkiem sama z moimi ponurymi myślami. Był jeszcze Lothar Arens i praca.

– Pani doktor! – Do mojego gabinetu wbiegła rozgorączkowana położna. – Musi pani natychmiast pojechać do Archsum!

– Co się stało? – spytałam, podnosząc głowę znad książki i zsuwając okulary do czytania.

– Tam urodził się potwór... Brak mu podobno czaszki i ma okropnie wyłupiaste oczy – wyszeptała strwożona. – Położnica jeszcze się męczy. Nie wiadomo, co robić. Ludzie posłali po księdza, ale mówi, że nie ochrzczi tego wynaturzonego stworzenia, bo jest wynikiem obcowania ze zwierzętami, a to przecież ciężki grzech!

– Podaj mi moją lekarską torbę – wydałam polecenie, a pielęgniarka niezwłocznie je wypełniła.

Pośpiesznie narzuciłam płaszcz na fartuch i wybiegłam z budynku. Narodziny zdeformowanego dziecka od wieków budziły grozę, pomieszaną z odrazą. Jeśli dzieci rodziły się żywe, przeżywały najwyżej kilka godzin lub dni. Prości ludzie, nierozumiejący procesu embriogenezy, przypisywali takim wydarzeniom znaczenie magiczne lub traktowali je jako złą przepowiednię.

Dopiero w XIX wieku powstała nowa nauka – teratologia, od greckiego słowa *teratos*, oznaczającego potwora. W 1798 roku Napoleon Bonaparte wyruszył do Afryki Północnej w towarzystwie naukowców. Po tej kampanii przywieziono do Europy liczne splądrowane z grobowców i świątyń papirusy, posągi oraz mumie, będące pamiątkami po bajecznej kulturze starożytnego Egiptu. Prawie trzydzieści lat później przywiezionymi z podróży zbiorami

zajął się Étienne Geoffroy Saint-Hilaire. Był to francuski zoolog i badacz anatomii transcendentalnej, który poświęcił lata swojej pracy na analizowanie potworności, a w efekcie został uznany za ojca teratologii. To on odkrył, że wśród zoomorficznych mumii zrabowanych z nekropolii w Tuna-al-Dżabal, poświęconej bogu Księżyca, Thotowi, znajduje się zdeformowany płód, pozbawiony mózgowia. Dokonane odkrycie było tak sensacyjne, że mumię wystawiono w Paryżu, na światowej wystawie, zanim znalazła się na stałe w muzeum w Berlinie po odsprzedaniu kolekcji Prusom. Pośród zakonserwowanych zwłok pawianów płaszczowych i oliwkowych umieszczono ciało ludzkiego noworodka, który ze względu na swój wygląd został potraktowany przez starożytnych jako nieludzka istota. Mumia umieszczona była w pozycji siedzącej, tak jak robiono to ze zwierzętami, a na szyi miała amulet przedstawiający świętą małpę. Niemowlęta normalnej budowy, które umierały, układano w grobowcach w pozycji leżącej.

Inna historia, na którą natrafiłam kiedyś w naukowym czasopiśmie, wydarzyła się w 1897 roku. Pewna kilkunastoletnia dziewczyna w Stanach Zjednoczonych urodziła dziecko z anencefalią. Ponieważ mieszkała w karawanie razem ze swoim ojcem i człekokształtną małpą, orzeczono, że zwierzę dopuściło się bestialskiego czynu.

Pierwszy beczaszekowiec, którego zbadano i opisano zaraz po urodzeniu, przyszedł na świat w lutym 1902 roku. Przeżył ponad dobę, a w tym czasie odkryto, że nie jest całkowicie pozbawiony uczucia, bo reagował na ukłucia w brzuch, ciepło, zimno czy łaskotanie w podeszwy stóp. Nie udokumentowano, czy posiadał zmysły węchu, słuchu, smaku bądź wzroku.

Jadąc do pacjentki, wróciłam wspomnieniami do początków mojej praktyki lekarskiej, kiedy po raz pierwszy zetknęłam się

z ciężko zdeformowanym płodem. Było to na jednym z moich pierwszych nocnych dyżurów. Odbierałam poród, a dziecko ułożone było pośladkowo. Profesor Pfannenstiel nakazał mi czekać do momentu, gdy urodzą się nóżki i tułów aż do linii łopatek, a następnie wykonać manewr polegający na wyciągnięciu noworodka z jednoczesnym obrotem. Drżącymi rękami pociągnęłam bardzo mocno, tak że wyszedł na zewnątrz przy kolejnym skurczu partym. Gdy go ujrzałam, w pierwszym momencie pomyślałam, że użyłam zbyt dużej siły i urwałam główkę. Z nerwów rozplakałam się i dostałam spazmów. Dopiero stary, doświadczony położnik pomógł mi otrząsnąć się z szoku i wyjaśnił, co się wydarzyło. Na świat przyszło wtedy dziecko z akranią. Z uwagi na swoją letalną wadę nie miało szans na przeżycie. Ta historia mroziła mi krew w żyłach jeszcze przez długie lata.

Gdy przybyłam na miejsce, zostałam wprowadzona do kuchennego pomieszczenia z wiszącą nad stołem zapaloną lampą naftową. Dawała wokół rozproszone światło. W rogach pokoju było ciemno, a cienie siedzących wokół ludzi rzucały upiorne obrazy na otaczające nas ściany. Były tam też sienniki do spania wypełnione słomą.

Dziecko było martwe. Zauważyłam czerwony, miękki, pączkujący guz o nieregularnych kształtach zamiast sklepienia czaszki i gałki oczne, które prawie wypadały na zewnątrz. Nakryłam zimne, sine ciało prześcieradłem i natychmiast podeszłam do rodzącej, która cicho pojękiwała w malignie. Jej skóra była rozpalona, co mogło świadczyć o tym, że rozwija się gorączka połogowa. Zdezynfekowałam ręce spirytusem mydlnym i przystąpiłam do badania w asyście położnej.

– Tam jest jeszcze jeden płód! – zawyrokowałam, a zgromadzeni popatrzyli na mnie z przestachem, jakby bali się, że z łona rodzącej wyjdzie kolejne monstrum.

Wzięłam ampułkę z suprareniną połączoną z nowokainą i zaaplikowałam ją w okolicy szyjki macicy, aby zmniejszyć ból. Następnie wstrzyknęłam pituglandol, będący wyciągiem z przysadki mózgowej, zwiększający siłę skurczów i przyspieszający poród.

– Jest już w próżni miednicy – oświadczyłam po chwili. Widząc, że kobieta nie ma już siły, by przec, wprowadziłam kleszcze Naegelego, a następnie zamknęłam zamek. Wytoczyłam główkę dziecka na zewnątrz. Za chwilę w pomieszczeniu rozległ się pierwszy krzyk, będący płaczem zdrowego oseska. Pot zmieszany ze łzami spływał mi po twarzy. Był to tym razem jeden z pięknych momentów w życiu położnika.

Podobno pierwsze narzędzia do wydobywania płodu z kanału rodneg powstały już w starożytności, ale służyły głównie w sytuacjach, gdy był on martwy, a chodziło jedynie o ocalenie życia matki. W czasach nowożytnych w historii położnictwa zapisała się rodzina Chamberlenów, którzy jako pierwsi wydobyli w ten sposób żywego noworodka. Dwóch braci, będących z zawodu cyrulikami, musiało uciekać do Anglii przed prześladowaniami religijnymi. Ich wynalazek przekazywano z pokolenia na pokolenie, skrzętnie strzegąc tajemnicy przez ponad sto lat. Gdy istniała konieczność użycia kleszczy w czasie porodu, nakazywano wszystkim opuścić pomieszczenie, a sam przyrząd wnoszono w wielkiej drewnianej skrzyni z połączanymi rzeźbami, którą dźwigało dwóch tragarzy, aby sprawiać wrażenie dużej i skomplikowanej maszyny. Kobiecie zawiązywano opaskę na oczy, by nie umiała nikomu opowiedzieć, jakie manewry i jakimi

narzędziami były wykonywane podczas sprowadzania dziecka na świat. Gdy w następnym pokoleniu w rodzinie Chamberlenów nie narodził się męski potomek, któremu można by było przekazać rodzinny sekret, zdecydowano się wyjawić, jak były zbudowane tajemnicze kleszcze. Co ciekawe, te używane przez pioniera owej sztuki, Petera Chamberlena, odkryto w jego domu sto trzydzieści lat po jego śmierci, schowane pod deskami w podłodze. Później kleszcze doczekały się wielu modyfikacji. W 1849 roku edynburski profesor położnictwa James Young Simpson, znany później z pionierskiego zastosowania chloroformu jako znieczulenia przy porodzie, zaprojektował powietrzne vacuum, które składało się z metalowej strzykawki przymocowanej do miękkiego gumowego kubka zakładanego na główkę dziecka.

– Proszę mi podać fiolkę z argyrolem w glicerynie – wydałam kolejne polecenie. Był to jeden z najsilniejszych środków odkażających, mogący zapobiec rozwinięciu się posocznicy u rodzącej.

Wykonując przepisane czynności, zastanawiałam się, czy medycyna kiedykolwiek będzie umiała zapobiec temu ciężkiemu, niejednokrotnie śmiertelnemu powikłaniu. Niektórzy z szanowanych ginekologów zalecali, aby kobieta w połogu, u której występowało podwyższenie temperatury i uderzenia tętna, piła jedną butelkę wina czerwonego oraz pół butelki koniaku dziennie, najlepiej z wbitym do środka żółtkiem jaja. Twierdzili, że wpływ alkoholu na leczenie choroby jest wprost zadziwiający. Ale nie wszyscy dawali temu wiarę.

Gdy skończyłam, ledwie trzymałam się na nogach ze zmęczenia i głodu. Byłam pewna, że ten dzień zapamiętam do końca życia. Wreszcie mogłam wyruszyć z powrotem do domu, obiecawszy wcześniej, że nazajutrz zajrzę do pacjentki.

* * *

Tego wieczoru pani Edeltraud miała wolne. Odkąd wyjechały moje córki, jej obecność nie była już taka konieczna, dlatego rzadziej przebywała w domu na czerwonym klifie. Słońce zdołało już zniknąć za taflą morza, a srebrzyste mewy zataczały na szarym niebie coraz większe kręgi, szukając miejsca na nocny spoczynek. Gdy weszłam do domu, nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że ktoś był tutaj pod moją nieobecność. Usłyszałam cichy plusk na piętrze, pobiegłam więc czym prędzej do salonu kąpielowego. Ku mojemu zaskoczeniu stała w nim sporej wielkości przenośna wanna z podgrzewaczem. Z ciekącego kranu kapła leniwie woda. Rozejrzałam się dookoła, studiując uważnie tapetę w róże i prześlizgując się wzrokiem po stojącym w kącie ceramicznym piecu w kształcie rzymskiej kolumny, aż zatrzymałam się na lustrze. W jego tafli odbijał się wetknięty w drewnianą ramę liścik.

To podarunek, abys miała więcej chwil,

by rozmyślać o mnie

L.A.

Niespodzianka wydała mi się bardzo osobliwa. Zamiast miłych skojarzeń wzbudziła mój niepokój. Od razu przywołałam w pamięci słowa Teresy o tym, jak pierwsza, zaginiona żona doktora Arensa uwielbiała spędzać czas na kąpielach. Przypomniałam sobie historię opisywaną niegdyś przez gazety – o pewnym angielskim gentlemanie, który po poślubieniu kolejnej bogatej kobiety kupował za jej pieniądze piękną wannę, sporządzaną na miarę. Początkowo nie wzbudzało to niczyich podejrzeń. Po kilku miesiącach młodą mężatkę znajdowano w niej martwą. Zrozpaczony mąż wzywał lekarza, informując, że zdarzył się

nieszczęśliwy wypadek albo że wybranka jego serca zaśląbła niespodziewanie w łazience i nie udało się jej docucić. Organizował pogrzeb, po czym ruszał w świat w poszukiwaniu kolejnych ofiar. W końcu komuś wydało się dziwne, że w stosunkowo krótkim czasie kilkakrotnie owdowiał, dziedzicząc przy tym spory majątek. Dopiero wówczas okazało się, że żeliwne, często ozdobne, stojące na rzeźbionych nogach wanny, wybierane z taką pieczołowitością i troską, nie były dowodem miłości, ale narzędziem zbrodni, i to zbrodni doskonałej, bo niepozostawiającej śladów.

Poczułam, jak oblewa mnie pot, a na karku tysiące lodowatych igiełek wbijają mi się w skórę. Przez dłuższą chwilę strach w sposób irracjonalny władał moim ciałem. Wyobraźnia wędrowała do ukrytego miejsca na wydmach, nazywanego przez Lothara cementarzyskiem psów, gdzie miały spoczywać jego czworonogi. Nigdy nie zgodził się mnie tam zabrać. Zastanawiałam się, czy rzeczywiście tylko zwierzęta zostały tam pochowane. Ziarno podejrzliwości zasiane przez Lilię zaczęło kiełkować, oplatając się niczym pnącze wokół mojego umysłu.

– To absurdalne, Lauro! – wypowiadając na głos te słowa, zganiłam sama siebie. – Nie masz przecież żadnych podstaw, aby tak myśleć! A on daje ci tyle szczęścia...

Wtem co innego przykuło moją uwagę. Zastanawiałam się, jak mój ukochany dostał się do wnętrza posiadłości. Moja gospoia bardzo pilnowała, aby podczas gdy dom pozostawał bez opieki, wszystkie okna i drzwi były pozamykane. Wyszłam do sieni i zauważyłam, że w miejscu, gdzie trzymałam pęki kluczy, brakuje jednego – tego, który pasował do drzwi ogrodowych. Lothar, planując sprawić mi prezent, musiał niepostrzeżenie zabrać go podczas swojej ostatniej wizyty. Gdy otrząsnęłam się z zaskoczenia, poczułam tęsknotę za jego bliskością. Już dawno nie mieliśmy

okazji, by spędzić razem wieczór... Podgrzałam wodę i zanurzyłam się w niej, rozkoszując się błogą chwilą.

Po dłuższym czasie, gdy skóra opuszek moich palców była już pomarszczona, założyłam płaszcz kąpielowy i podeszłam do lustra. Przetarłam dłonią osiadłą na nim parę. Przyglądałam się swojemu rozmazanemu odbiciu. Rozmyślałam, jak mogła wyglądać kobieta, którą przed wieloma laty poślubił Lothar. Próbowałam odgonić uporczywe myśli, ale te nie dawały mi spokoju. Zastanawiałam się, czy była piękniejsza ode mnie, czy jej ciało było doskonalsze od mojego, a także czy miłosne uniesienia, jakie z nią przeżywał, dawały mu więcej doznań i rozkoszy niż te nasze. Poczułam ogarniającą mnie niewysłowioną zazdrość z powodu tego, że kiedyś istniała w jego życiu. Uczucie to rozlało się we mnie niczym paląca lawa, przeżerając moje wnętrze. I chociaż wstydziłam się go przed samą sobą, nie potrafiłam się od niego uwolnić.

Już leżąc w łóżku, zamknęłam powieki, ale przed oczami wciąż uparcie stawał mi obraz kobiety, który wytworzyła moja wyobraźnia. Chociaż nigdy jej nie poznałam, to znienawidziłam ją niemalże od samego początku. Nagle obleciał mnie strach, że ona jednak żyje i pewnego dnia jej powrót na Sylt zniszczy namiętność, jaka zrodziła się między mną a doktorem Arensem.

Sen długo nie nadchodził, sprawiając, że budziły się czarne demony mojej podświadomości...

– On jest teraz tylko mój... – szeptałam sama do siebie, a odpowiadała mi jedynie cisza zalegająca w bezkresnej ciemności.

ROZDZIAŁ XIV

Nastały kwietniowe noce i poranki wypełnione przeszywającym chłodem i wiatrem, niosącym w sobie nuty niezgłębionego smutku i tęsknoty. Wiosna z jednej strony oznaczała odrodzenie, ale z drugiej przypominała o przemijaniu. Chociaż zdawało się, że Lothar dawał mi wszystko, o czym marzyłam, to ciągle brakowało mi czegoś, czego sama nie potrafiłam nazwać.

Spędzaliśmy razem każdą chwilę. Zdarzało się nam galopować o świcie po wybrzeżu na karym, fryzyjskim ogierze w oczekiwaniu na wschód słońca. Ponieważ byłam słabym jeźdźcem, mój ukochany brał mnie na swoje siodło. Uwielbiałam to kołysanie, gdy końskie kopyta rozpryskiwały morską wodę i słony piasek. Siadywaliśmy później na wydmach, pijąc gorącą czarną kawę z wynalezionej niedawno urządzenia zwanego termosem. Nad naszymi głowami przelatowały klucze dzikich gęsi, które na wyspie miały swoje schronienie.

Czasem wybieraliśmy się na piknik. Nauczyłam się przyrządzać kanapki z krewetkami lub krabami z sosem *remoulade*, będące przysmakiem znad Morza Północnego. Bywało, że widywaliśmy na brzegu wylegające się szare foki. Innym razem wyruszyliśmy na rejs statkiem, by obserwować podpływające do brzegu wieloryby. Życie tutaj toczyło się innym rytmem, jakby zamknięte było w szklanej kuli. Uwielbialiśmy piesze wędrówki po klifie, po wzgórzach i wrzosowiskach. Doktor Arens pokazał mi sekretne, dawne miejsce kultu, nazywane przez miejscowych Denghoog, a będące zbiorowym grobowcem z czasów neolitu, odkrytym na wzgórzu w połowie XIX wieku przez geologa Ferdynanda Wibla.

Uczestniczyliśmy również w tak zwanych tanecznych herbatkach, które gromadziły tłumy spragnionych rozrywki połączonej z pićm wyśmienitego naparu. A czasem potajemnie opuszczaliśmy Sylt. Udawaliśmy się wtedy do Altony lub Hamburga, jak wówczas, gdy oglądaliśmy pokaz kinowy *Błękitnego anioła*, w którym grała Marlena Dietrich.

Ale to dom na czerwonym klifie, oczywiście pod nieobecność pani Edeltraud, był jedynym miejscem, gdzie nie musieliśmy ukrywać przed światem naszych uczuć. Długie godziny spędzaliśmy w wannie, czytając przy zapalonych świecach książki i poezję. Leżeliśmy otuleni jedynie kocem i wpatrywaliśmy się w nocne niebo, starając się zgłębić jego tajemnice. Z fascynacją przyjmowaliśmy chociażby wiadomości o tym, że w Układzie Słonecznym znajduje się Pluton, odkryty w lutym 1930 roku, o czym donosiła prasa.

Stawiając dymiący imbryk z herbatą na podgrzewaczu, rozkoszowaliśmy się widokiem, jaki roztaczał się tuż za oknem.

– Skąd tutaj tyle sierści zwierząt? – dziwiła się moja gospodyni i wzdygała się z obrzydzeniem, zmiatając na szufelkę włosie leonbergerów sprzed kominka. Przypatrywała mi się nieufnie, jakby chciała wybadać, co wiem na ten temat. Robiłam na to wielkie, zdziwione oczy, udając, że nie mam pojęcia, o czym mówi. Ta strategia przyniosła rezultat, bo z czasem pani Edeltraud przestała o tym wspominać.

Pokochałam te molosy, które miały serca tak wielkie jak posturę. Lubiłam ich donośne szczekanie, mogące obudzić umarłego, i spaceru po plaży, w czasie których wbiegały w morskie fale, aportując patyk.

Zdając sobie sprawę z tego, jak krótka, ulotna i nieprzewidywalna jest ludzka egzystencja, upajałam się tymi momentami, danymi

nam tylko raz, i chłonełam je całą sobą. Nigdy wszakże nie wiemy, który wschód słońca jest naszym ostatnim, która z naszych podróży będzie pożegnalna i czy dane będzie nam znów poczuć na policzkach wiosenny wiatr, gdy nadejdzie kolejny rok.

Niekiedy, chociaż staraliśmy się tego unikać, także między nami padały trudne pytania, na które odpowiedzi znał tylko czas.

– Lauro, ile to jeszcze potrwa, zanim sąd uwolni cię od złożonej przysięgi małżeńskiej? Życie nam ucieka, a ja już nie chcę dłużej ukrywać moich uczuć do ciebie przed światem. Wiem, że dużo dla mnie ryzykujesz...

Przełknęłam z trudem ślinę, czując niewysłowiony ścisk w gardle. Od kilku tygodni nie otrzymałam w tej sprawie żadnego listu od Tadeusza, wszystko utknęło w martwym punkcie. Bałam się dni, które miały wkrótce nadejść, ale niestety nikt nie mógł przeżyć ich za mnie.

– Musimy jeszcze trochę poczekać... Nie wszystko zależy ode mnie – szeptałam, czując suchość w ustach i drżenie mięśni na samą myśl o tym, co miało się wydarzyć. Byłam pewna, że podjęłam jedyną słuszną decyzję. Gdzieś w głębi odczuwałam jednak lęk przed tym, że mój mąż być może zmienił zdanie i będzie próbował skłonić mnie do powrotu, a mnie nie starczy sił, by się przed tym obronić.

Ponieważ cały czas czułam się osłabiona, kręciło mi się w głowie, miałam dziwne uderzenia gorąca i poranne mdłości, a kobieca przypadłość nie nadchodziła od dłuższego czasu, zdecydowałam się wykonać test ciążowy z maturinem. Substancja musiała być podana domięśniowo, a następnie w próbce moczu oznaczany był cukier, który pojawiał się tylko u brzemiennych. Z niepokojem oczekiwałam na wynik, kręcąc się niespokojnie po pomieszczeniu. Bałam się, aby w trakcie nie przeszkodziła mi pielęgniarka i nie zaczęła dopytywać, czym właściwie się teraz zajmuję. Odetchnęłam,

gdy test okazał się negatywny. Obok ogromnej ulgi pojawił się jednocześnie bolesny ścisk w środku, że moje objawy wynikają z nieuchronnie nadchodzącej menopauzy. Nie dopuszczałam do siebie myśli, że to już – jak nigdy wcześniej pragnęłam być dalej młoda.

Tymczasem coraz bardziej wtapiałam się w lokalną społeczność, ucząc się jej zwyczajów i dialektu, jakim się posługiwała. Zaczynałam żyć jej rytmem, wyznaczanym przez przyrodę.

Od kwietnia do czerwca mewy składały jaja w swoich gniazdach pochowanych na wydmach. Był to prawdziwy rarytas na lokalnych stołach, toteż liczni poszukiwacze wyruszali na łowy. Zgodnie z tradycją od stu lat działało się to zawsze w noc pełni księżyca. Lokalna policja miała za zadanie chronić ptaki podczas lęgów przed nadmierną grabieżą ich siedlisk, dlatego uciekano przed stróżami prawa. Mewie jaja pobudzały podniebienie delikatnym smakiem morza i ostryg. Jedną sztukę sprzedawano dawniej aż za pięćdziesiąt fenigów na miejscowym targu, dlatego mogli sobie na nie pozwolić jedynie bogatsi.

Nastała akurat jedna z tych nocy, gdy okrągła tarcza księżyca widnieje na nieboskłonie. Postanowiłam pozostać do rana w szpitalu. Zdarzało mi się to coraz częściej, bo pracy przybywało, a ja podświadomie broniłam się przed powrotem do miejsca, w którym odczuwałam dziwny niepokój.

Tego dnia odbierałam wyjątkowo ciężki poród, który zakończył się częściowym wycięciem kości. Był to sposób polecany u kobiet z płaską miednicą, wrodzoną bądź nabytą poprzez nabawienie się krzywicy w dzieciństwie lub osteomalacji w wieku dorosłym. Polegał na odjęciu z górnego i tylnego brzegu spojenia listewki chrzęstno-kostnej sięgającej aż do guza łonowego. Dzięki temu udawało się poszerzyć kanał rodny i bezpiecznie wydobyć

noworodka na zewnątrz. Wcześniejsze dwa porody pacjentki skończyły się wymóżdzeniem martwego płodu, jak wynikało z historii choroby.

– Pani doktor, ja nie wrócę do domu bez żywego syna albo córki. Wolę od tego śmierć – rzekła rodząca, łapiąc mnie błagalnie za dłoń.

Poczułam wyrzut adrenaliny do krwi i silne pulsowanie w tętnicach. Miałam teraz w swoich rękach dwa życia. Przystąpiłam do działania, starając się opanować, co było niezwykle trudne. W końcu byłam tylko człowiekiem, kobietą i na dodatek matką. Gdy zobaczyłam wreszcie główkę, poczułam niewyobrażalną ulgę. Wtedy okazało się, że wokół szyi jest owinięta pępowina. Z trudem docuciłam dziecko, aż wreszcie salę wypełnił pierwszy krzyk. Podałam zawiniątko położnicy, a sama przystąpiłam do zszywania ran i pęknięć.

– Pani doktor, czy mogłaby mnie pani ciasno zszyć? – poprosiła nieśmiało pacjentka. Jej prośba nieco mnie zdziwiła, ale po chwili kobieta wyjaśniła, co miała na myśli. – To tak dla męża... Boję się, że teraz przestanę być dla niego pociągająca i zacznie szukać uciech gdzie indziej – rzekła szeptem, rozglądając się w obawie, że ktoś mógłby ją usłyszeć.

– Niech się pani tym nie martwi. Na pewno nic się w tym względzie nie zmieni – odparłam, nie wiedząc, co innego powinnam odpowiedzieć. Wiele kobiet lękało się tego, jak będzie wyglądało ich pożycie po porodzie. Jedne bały się, że to, przez co przeszły, na zawsze odrze je z atrakcyjności, inne panicznie odwlekały moment, gdy znów zaczynały dzielić z mężem łóżko, nie chcąc ponownie zająć w ciążę lub odczuwając strach przed bólem.

Gdy zakończyłam zszywanie rany, położne zabrały pacjentkę i zawiozły na oddział, gdzie ułożono ją pomiędzy dwoma workami z piaskiem, aby dać czas miednicy na ponowne zrośnięcie się.

Ruszyłam jeszcze na ostatni obchód, zleciwszy położnicy sporysz do picia, aby zapobiec krwotokom – ten wywar nazywany był porodową herbatką. Ów grzyb, pasożytujący na zbożach i trawach, znalazł zastosowanie w ginekologii i położnictwie. W wiekach średnich nie wiadano jeszcze, jaki wpływ na organizm ma buławinka czerwona, która dostawała się do mąki, a potem do chleba. Uważano więc objawy występujące po jej spożyciu za epidemię zakaźnej choroby, którą nazywano ogniami Świętego Antoniego. Ludzie umierali w niewyobrażalnych męczarniach. Jak opisywali kronikarze, palce, dłonie, a nawet całe kończyny były nieraz czarne od rozwijającej się martwicy. Prawie dwieście lat później odkryto, że zjedzenie trzech spór grzyba wpływa na przyspieszenie przedłużającego się porodu. Była to precyzyjnie wyliczona dawka, której nie wolno było przekraczać. Akuszerki w ówczesnej Europie miały zawinięte w lnianą chusteczkę kilka czarnych ziaren, mielonych następnie w młynku do kawy, by podać je potajemnie rodzącej w celu przyspieszenia akcji porodowej i skrócenia cierpień. Niestety, zdarzało się, że ta ingerencja w naturę skutkowałą pęknięciem macicy, a w rezultacie zgonem matki i dziecka. Tym samym lekarstwo zaczęto nazywać *pulvis ad mortem*, czyli proszkiem śmierci.

Odpoczywałam w swoim gabinecie i rozkoszowałam się dzwoniącą w uszach ciszą. Przymknęłam powieki, próbując zasnąć, ale w pozycji pólsiedzącej było to trudne. Miałam dziwne przeczucie, że to nie będzie spokojna noc. Śniły mi się koszmary, z których wyrwały mnie głośne krzyki kobiety. Postanowiłam wyrzeć na korytarz. Odgłosy dochodziły z gabinetu zabiegowego, narzuciłam więc niedbale wełniany sweter, rozcierając rękami zziębnięte ramiona, i ruszyłam w jego kierunku. Na miejscu panowało niemałe poruszenie. Na samym środku pomieszczenia

wiła się na podłodze i nieludzko wrzeszczała pacjentka. Trzymało ją kilka pielęgniarek, a obecny tam doktor Arens usiłował podać jej pod skórę na udzie tlen. Terapia polegająca na wdmuchiowaniu tego gazu była stosowana w psychozach szalowo-zadumowych od 1913 roku. Niektórzy lekarze uciekali się do niej przy chorobie Parkinsona. Znałam także położników leczących w ten sposób niepowściągliwe wymioty ciężarnych. Istniało przy tym jednak ryzyko, że gdy igła trafi do małej żyły, może dojść do zatoru powietrznego i nagłej śmierci pacjenta.

Medycyna w dalszym ciągu nie umiała poradzić sobie w pełni z zaburzeniami natury psychicznej. Najrozmaitsze próby leczenia stosowano przez stulecia. W osiemnastowiecznej Anglii wykonywano nacięcia skóry, przez które wcierano żrące środki, stosowano upusty krwi aż do utraty przytomności, prowokowano wymioty, podtapiano pacjentów czy wreszcie używano specjalnego bujanego fotela, który wywoływał drgawki, mimowolne oddawanie moczu i defekacje. Z czasem pojawiły się nowe metody, do których należały elektrowstrząsy, operacje na mózgu, takie jak lobotomia, czy też śpiączka po podaniu insuliny.

– Musimy spróbować naświetlań głowy promieniami Roentgena
– zawyrokował doktor Arens, patrząc z bezradnością na powykręcane ciało, które przestało przypominać istotę ludzką, a zaczynało wyglądać jak stworzenie owładnięte przez diabła.

– Przed kilkoma tygodniami urodziła dziecko – zwróciła się do mnie przenikliwym szeptem jedna z położnych.

Od czasów Hipokratesa wiadano, że niektóre kobiety po porodzie w ciągu kilku dni lub tygodni popadają w szaleństwo objawiające się halucynacjami, urojeniami oraz wyczerpującą bezsennością. Była to jedna z pierwszych jednostek nozologicznych opisanych w połowie XIX wieku w raczkującej wówczas psychiatrii.

Stało się to jeszcze przed erą jej wielkich ojców: Bleulera, Freuda i Kraepelina.

– Myślę, że najpierw należałoby podać luminal – wtrąciłam się do rozmowy.

W momencie, gdy to powiedziałam, chora podniosła oczy i odgarnęła czarne kosmyki włosów z twarzy, zlepione teraz ze skórą śliną i potem. Jej wzrok spotkał się przez sekundę z moim i wówczas zauważyłam, jak jej źrenice się poszerzyły niczym u dzikiego zwierzęcia szykującego się do ataku. Chwilę tak trwałyśmy, przypatrując się sobie. Widziałam, jak oddech kobiety przyspiesza, a jej klatka piersiowa zaczyna unosić się coraz szybciej.

– Nie, nie! – krzyknęła, na nowo się miotając. – Zabierzcie ją!

Od jej wrzasku aż szyby w oknach zadrżały. Wskazała palcem w moją stronę i zaczęła się gwałtownie cofać, uderzając głową o podłogę, przy czym rozcięła sobie wargę i teraz plamiła kafle krwią. Ponownie cały zgromadzony personel wytężył mięśnie, aby ją unieruchomić.

– Ona jest przeklęta... – bełkotała pacjentka pod nosem, jakby nagle opadła z sił. Żarówka oświetlająca pomieszczenie migotała, paląc się to jaśniej, to słabiej, jakby zaraz miała nastąpić awaria elektryczności.

– Chyba ciągle ma omamy – stwierdził doktor Arens z niepokojem w głosie. – Musimy ją przypiąć pasami do łóżka, aby nie zrobiła sobie krzywdy.

Siłą zawlekl wyrywającą mu się chorą na kozetkę.

– Zadziwiające jest, jakiej siły dostają pacjenci podczas ataku psychozy... – rzekł, dysząc ciężko, gdy już ręce i nogi kobiety zostały przywiązane bandażami do metalowych uchwytów.

Patrzyłam na ten wstrząsający obraz, nie mogąc oderwać od niego oczu, jakbym nagle stała się kamienną rzeźbą.

Przeczuwałam, że zaraz wydarzy się coś jeszcze straszniejszego.

– To wszystko przez ciebie! – powtarzała, rzucając mi pełne wrogości spojrzenia. – To ty sprowadziłaś na nas z powrotem klątwę!

– Lauro, ona bredzi! Ma urojenia... – szepnął mi do ucha Lothar, gdy reszta pracowników opuściła pomieszczenie, zostawiając nas tylko we dwoje. Próbował mnie odciągnąć, ale coś nakazywało mi pozostać w miejscu.

– Nie dam się pochować żywcem jak tamta kobieta, która powiła dziecko w trumnie! Nie pozwolę! – Pacjentka w przyпадку nowych sił ponownie podniosła głos.

– O czym ona mówi?! – spytałam, napinając mięśnie policzków.

– Daj spokój, Lauro! Przecież oboje wiemy, że to efekt jej choroby! – rzekł, łapiąc mnie za rękę, ale wyrwałam się z jego uścisku.

– Nie! – zaprotestowałam. – Ona wie o czymś, o czym nikt nie chce mi powiedzieć!

– Ten dom jest opętany złem! Trzeba go zburzyć. Tylko tak można się wyzwolić... – Kobieta powtarzała swoją mantrę, usiłując rozerwać przytrzymujące ją węzły.

Jej słowa niczym ostrza sztyletu przesywały moją świadomość. W tym momencie do pomieszczenia weszła jedna ze starszych wiekiem sanitariuszek. Stała z boku i bacznie mi się przyglądała, mrużąc powieki. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że w duszy zgadzała się ze słowami, które właśnie padły.

– Czy może mi pani powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi? – zwróciłam się do niej, jakby intuicyjnie wyczuwając, że może mi udzielić wyjaśnień. Widziałam kątem oka wyraz twarzy Lothara, który patrzył na mnie teraz zatroskanym wzrokiem, bojąc się zapewne o mój stan psychiczny. – O kim ona mówi? Co to za ciężarna niewiasta, która urodziła dziecko w grobie? – Mój głos

stawał się coraz bardziej napastliwy. Zawstydziałam się i na chwilę zamilkłam, a wtedy ona się odezwała.

– Chodzi o żonę safiannika... – rzekła cicho, a czując na sobie moje wyczekujące spojrzenie, po chwili kontynuowała: – Zmarła w trakcie porodu, kilka miesięcy przed odejściem męża. Gdy się okazało, że kurdybanik został zakopany na cmentarzu za życia, nakazano odsunąć płytę nagrobną jego małżonki, by przekonać się, czy i jej nie spotkał podobny los. Wówczas wyszła na jaw makabryczna prawda... Była w grobie, ale już nie brzemienna, bo jej dziecko leżało obok. Musiało przyjść na świat pod ziemią... Mówi się, że od tego czasu trwa ta anatema. Nikt, kto mieszka w tamtym miejscu, nie zazna spokoju ani za życia, ani po śmierci...

– Ale to żaden dowód! To bzdura! – sprzeciwiłam się ostro. – W medycynie znane jest pojęcie porodu trumiennego. Wypchnięcie płodu i wyciowanie macicy w zwłokach następuje na skutek ciśnienia w jamie brzusznej wywołanego nagromadzeniem się gazów gnilnych – powiedziałam, szukając wzrokiem poparcia dla mojego naukowego wywodu u doktora Arensa. Ten jednak nie odzywał się, zaciskał tylko usta, aż jego wargi stały się kredowobiałe.

– Może ma nas pani za prostych ludzi i nieuków, ale my swoje wiemy – rzuciła sanitariuszka na odchodne. – A moja noga na pewno w tamtym miejscu nigdy nie postanie... – odgrażała się jeszcze, gdy szła korytarzem.

Ja także wyszłam, zamykając za sobą z impetem drzwi. Znalazłam się na powrót w swoim gabinecie, gdy do moich uszu dotarło ciche pukanie. Chociaż nie pozwoliłam, by ktokolwiek wszedł do środka, klamka poruszyła się i w progu stanął Lothar. Obróciłam się do niego tyłem, dając upust mojemu niezadowoleniu.

– Lauro... – zaczął łagodnie.

– Dlaczego mnie nie poparłeś? Jestem pewna, że wszystko, co się wydarzyło w posiadłości na czerwonym klifie, ma swoje racjonalne wytłumaczenie. Dość tych zabobonów!

– Dobrze wiesz, że jestem tego samego zdania, ale jednocześnie uważam, że nie warto wdawać się w zbędne dyskusje. I tak ich nie przekonasz, a wywołasz tylko niepotrzebny spór – odparł stoickim tonem, po czym dodał: – Martwię się o ciebie. Czasem wydaje mi się, że przestajesz być sobą, tracisz kontrolę nad tym, co mówisz i robisz... Dużo ostatnio przeszłaś, a ja chciałbym być dla ciebie oparciem w tym trudnym czasie.

Podeszłam do niego i wtuliłam się w jego ramiona.

– Może rzeczywiście przesadziłam. To było całkowicie nieuzasadnione – przeprosiłam. – Niepotrzebnie tak się ekscytuję tym tematem. Ale prawda jest taka, że ja także wyczuwam coś dziwnego i niepojętego w tamtym miejscu, nie umiem tego w żaden sposób wyjaśnić... Taka zła energia... demoniczna siła... Nigdy wcześniej tak się nie czułam. Tym bardziej jest mi z tym źle, bo do tej pory nie wierzyłam w zjawiska nadprzyrodzone, a ludzi, którzy to robili, miałam za niewykształconych – wyjawiłam, czując, jak napływające łzy rozmywają mi obraz.

– Daj sobie czas, a jestem pewien, że wszystko się ułoży – szepnął Lothar, rozczesując z czułością palcami moje włosy. – Teraz muszę wrócić do ambulatorium, zobaczyć, co z pacjentką. Mam nadzieję, że uspokoiła się już po podanych lekach.

– Poczekaj! – zatrzymałam go. – Pójdę z tobą. – To powiedziawszy, wyszłam za nim z gabinetu i ruszyliśmy po schodach w dół.

– Doktorze, jak dobrze, że pana widzę! – Pielęgniarka na nasz widok wzniosła dziękczynnie ręce ku niebiosom. – Właśnie miałam biec po pomoc, bo przywieziono mężczyznę po ciężkim urazie. To jeden z tych nocnych poszukiwaczy – wyjaśniła, przysłaniając usta

ręką. – Poślizgnął się na klifie i spadł, uderzając w skałę lewą okolicą łędźwiową. Po zderzeniu z ziemią stracił przytomność, a gdy ją odzyskał, kilkakrotnie wymiotował – zreferowała jednym tchem.

– Stało się to najprawdopodobniej kilka godzin temu, ale chwilę trwało, zanim został znaleziony. Nie pamięta wszystkiego, bo z bólu kilka razy zemdlał. Oddał też krwisty mocz – wtrąciła druga, wskazując na nocnik.

Lothar niezwłocznie przystąpił do badania. Poszkodowany miał powłoki koloru kości słoniowej. Cicho pojękiwał, żywo reagując na dotyk i ucisk.

– Występują objawy podrażnienia otrzewnej. Wyczuwam ponadto guz w okolicy nerki – zawyrokował doktor. – Tętno ponad sto na minutę – orzekł, puszczać przegub dłoni rannego. – Trzeba go unieruchomić, przyłożyć lód na brzuch i podać środki przeciwbólowe – wydał polecenie, wpisując notatkę w karcie zleceń.

Gdy chory poczuł zimny okład, ocknął się i poderwał.

– Gdzie ja jestem? – zapytał zdeorientowany, mrużąc powieki przed rażącym światłem.

– W szpitalu – odparł doktor Arens, który właśnie nabierał do strzykawki morfinę.

– A co się stało z tym kalekim mężczyzną, którego widziałem na wydmach? – Pacjent rozglądał się niepewnie po pomieszczeniu.

– Z kim?! – zapytaliśmy równocześnie z Lotharem.

– Ten człowiek, któremu próbowałem pomóc. Miał ciężko okaleczoną twarz... Uciekał przede mną, jakby się czegoś bał. Chciałem go zatrzymać i biegłem za nim. Wówczas przydarzył mi się wypadek...

– To on! Wrócił do swojego przeklętego domu... – zasyczała złowrogo chora, która leżała w kącie pomieszczenia,

unieruchomiona pasami. – Przybył z zaświatów... – bredziła, szarpiąc się tak, że węzły wrzynały się w jej skórę, raniąc ręce. Nikt jednak nie zważał na to, co mówiła.

– Musimy natychmiast powiadomić policję! – oznajmił doktor Arens, chwytając za słuchawkę telefonu.

Cała scena zaczęła się oddalać, jakbym była w tunelu, którego światło miało zaraz zniknąć. Moje ciało osunęło się bezwładnie po szorstkiej, chłodnej ścianie...

ROZDZIAŁ XV

Kolejne poszukiwania na wyspie dobiegły końca i nie przyniosły żadnego rezultatu. Przeczesano wydmy i wrzosowisko, przemierzono całe wybrzeże, ale nie natrafiono na ślady nikogo, kto odpowiadałby rysopisowi okaleczonego mężczyzny. Pomagały w tym nawet specjalnie szkolone posokowce – psy tropiące. Policja pozostawała bezradna, a inspektor Haberland z wściekłości rwał włosy z głowy. Nakazał wykonać portret pamięciowy, jednakże był on bardzo niedokładny. Wyłaniał się z niego przerażający obraz potwora, nieco karykaturalny. Odtworzona postać miała czworoboczny nos, jedną gałkę oczną zapadniętą, a drugą wytrzeszczoną. Z jamy ustnej wystawały krzywe, wyszczerbione zęby. Do tego postaci tej brakowało brody, jakby była zapadnięta. Głowa była nieproporcjonalnie duża, włosy zwichrzone i zaniedbane. Pomiedzy łopatkami znajdował się garb, a kończyny górne i dolne były powykręcane w przedziwny sposób. Oczywiście było, że jedyny świadek nie mógł dostrzec wszystkich tych szczegółów w środku nocy, nawet w świetle pełni księżyca. Najprawdopodobniej braki w swojej pamięci wypełniał barwnymi konfabulacjami, by dodać swojej historii niezwykłości i grozy. Przez kilka tygodni mówiono praktycznie tylko o tajemniczym monstrum, pisano o nim nawet w lokalnej prasie, przestrzegając turystów i mieszkańców wyspy przed oddalaniem się w ustronne, bezludne miejsca. Życie płynęło jednak dalej i jak zawsze przytłaczało ogromem codziennych obowiązków. O całej sprawie z czasem więc zapomniano, a zakurzone akta odłożono do archiwum.

Nadeszły długie letnie dni, w czasie których na północy prawie nigdy nie zapadała całkowita ciemność. Ponownie na Sylt zaczęły przybywać tłumy letników. Muszla koncertowa w Westerland rozbrzmiewała awangardową muzyką jazzową i bluesową, niosącą zapowiedź nowej epoki. Czasem występowały kabarety bądź wystawiano rewie i wodewile. Podczas dansingów parkiet huczał od stukotu obcasów, gdy tańczono fokstrota, shimmy czy stepowano. Miałam wrażenie, że to rodzaj buntu – na przekór panującej rzeczywistości. Zbiorowy krzyk całej ludzkości, która chciała wyrzucić z siebie pamięć o Wielkiej Wojnie i jej okrucieństwach.

Na promenadzie rozstawiły się stragany z pamiątkami, glinianymi figurkami, ceramicznymi pudełeczkami, naszyjnikami z muszelek i bursztynu oraz kartkami pocztowymi, a obok wozy z lodami i watą cukrową. Zewsząd nawoływali różnorodni kuglarze, prezentujący rozmaite sztuczki. Mimowicie z pomalowanymi na biało twarzami zastygali w półuśmiechu. Na niebie znów trzepotały latawce z długimi ogonami, a na plaży powstawały rzeźby z piasku.

Temperatura w moim gabinecie stawała się nie do wytrzymania, dlatego często otwierałam okno na oścież, wciągając przy tym morską, letnią bryzę do płuc.

Akurat do pomieszczenia weszły dwie dostojne matrony. Jedna okazała się matką panny młodej, druga zaś rodzicielką przyszłego małżonka. Uniosłam brwi w geście zdziwienia, zastanawiając się, czemu zawdzięczam tak nietypową wizytę.

– Chodzi o poświadczenie, że moja córka jest dziewicą – wyjawiała bez ogródek jedna ze starszych kobiet. Najwyraźniej było to dla nich czymś oczywistym i naturalnym. – Chciałabym, aby zanim stanie przed ołtarzem, została przez panią zbadana – poprosiła.

Kult dziewictwa był głęboko zakorzeniony nie tylko w religii chrześcijańskiej. Poślubienie niewiasty, która nigdy wcześniej nie współżyła, dawało mężczyźnie gwarancję, że to on jest ojcem potomstwa. Tym samym szukano żon wśród cnotliwych panien. Błona dziewicza była własnością najpierw ojca, a potem małżonka. W kulturze hellenistycznej zdarzało się, że rodzic mordował swoją córkę, jeśli została przyłapana na utracie cnoty przed ślubem. *Hymen* był traktowany jako bogactwo kobiety, tym samym gwałt na dziewicy karano o wiele surowiej.

W średniowieczu zabraniano lekarzom dotykać żeńskich narządów płciowych, a wydanie zaświadczenia o dziewictwie opierało się jedynie na obserwacji. Wstyd, skromność, strach, nienaganny chód oraz mowa i spuszczenie oczu przed rycerzami były niewątpliwym dowodem zachowania cnoty. Jak pisano w podręcznikach dla lekarzy, mocz dziewczyc był czysty i klarowny, czasem biały lub musujący. Dopiero w późniejszych wiekach popularne stało się badanie manualne. Uważano, że objętość dziewiczej pochwy wynosi „jeden palec”; zamężna kobieta oceniana była na „dwa palce”, a wieloródka – na trzy.

Gdy stwierdzono, że niewiasta została zhańbiona, można było wykorzystać jedną z technik przywracania dziewictwa, obejmujących całą gamę możliwości: od środków medycznych poprzez eliksiry i mikstury po modlitwy, zaklęcia i pseudonaukową szarlatanerię. Przepisy zawarte w starych, zakurzonych księgach, pamiętających czasy Gutenberga, mówią o gotowaniu liści mirtu i pokrzywy w wodzie. Następnie trzeba było używać tej mieszanki do mycia części intymnych każdego ranka i wieczora przez dziewięć dni, aby było to skuteczne. Innym sposobem było umieszczenie zmielonej gałki muszkatołowej w pochwie. W dziełach literackich, w tym autorstwa Owidiusza, zalecano wodę ałunową, czyli związek

chemiczny używany do garbowania skór, marynowania mięs oraz utrwalania barwnika. Kluczowe były jego właściwości ściągające – obkurczał on i napinał skórę. Zastosowany w okolicy waginy mógł zmniejszyć jej wejście, dając iluzję dziewictwa. Niektóre sposoby wykorzystywały fumigatory. Naczynie z ziołową substancją, często wydzielającą odór, ogrzewano nad otwartym ogniem, aż wytworzyła się para, którą przez rurkę wprowadzano do wnętrza upadłej niewiasty. Uciekano się też do perfumowanej żywicy, czopków i pierścionków, które wkładano do wagin średniowiecznych kobiet, aby zadziałały jako zastępstwo, skłaniając kochankę do myślenia, że śpi z dziewicą w stanie nienaruszonym. W kontekście tych wszystkich praktyk trudno sobie wyobrazić, że w starożytnym Egipcie panowała całkowita swoboda seksualna i nikt nie oczekiwał od wybranki zachowania niewinności.

Prośba o wydanie przeze mnie stosownego zaświadczenia wydała mi się dość osobliwa. Wszakże panu młodemu powinna wystarczyć w tym temacie ustna deklaracja jego wybranki. Jak widać jednak, nie miał do niej pełnego zaufania, skoro wolał oprzeć się na lekarskiej ekspertyzie. Zastanawiałam się, kim jest pacjentka, która niebawem miała zasiąść na fotelu ginekologicznym. Nie była to zapewne złąkniona pensjonariuszka ani rozmodlona mniszka, którą siłą wyrwano z zakonu, jak można było przypuszczać. I rzeczywiście, do środka weszła szczupła, modnie ostrzyżona chłopczyca, mająca niewiele ponad dwadzieścia lat, ubrana w sportową sukienkę z białego *toile-de-soie*, z krytymi fałdami, z modnym niebieskim skórzanym paskiem i apaszką w grochy. W dłoni trzymała szal, który nonszalancko rzuciła na krzesło. Unosiła się za nią woń bibułki do papierosów zmieszanych z perfumami Le Dandy, na które składały się nuty kwiatowe i aldehydy. Ironią było, że po ten zapach, stworzony dla młodych,

bogatyh i próżnych gentlemanów, sięgały najczęściej nowoczesne skandalistki i *garçonnes*. Bez najmniejszego skrępowania rozebrała się przede mną, ściągając bieliznę w modnym kolorze morelowym, wykonaną z żorżety. Po badaniu mogłam stwierdzić, że pomimo wrażenia, jakie czyniła, pacjentka zdołała zachować czystość. Na jej twarzy pojawił się lekko drwiący uśmiech.

– Śmiesz mnie to wszystko! – zawołała, podnosząc się. – Ten cały ślub! On jest bogaty, więc rodzice traktują to jak dobrą transakcję i życiową szansę. Ale za to dużo starszy ode mnie. Nie wie biedak, że będzie miał ze mną sporo problemów, bo po nocy poślubnej nie zamierzam dochowywać mu więcej wierności – rzekła kpiąco. – Myśli, że nie znam smaku męskich pieszczot, bo nawet nie wie, że może istnieć współżycie między kobietą a mężczyzną bez penetracji...

Patrzyłam na nią z niedowierzaniem, myśląc o tym, jak zmienia się świat. Ten, w którym się urodziłam, stawał się odległą historią. Byłam naocznym świadkiem zachodzącej rewolucji. Coś, co w czasach mojej młodości nie przeszłoby żadnej damie przez gardło, teraz wcale nie wydawało się nieprzyzwoite.

– To wszystko? – zapytała dziewczyna wyzywająco, mierząc mnie wzrokiem, gdy wręczyłam jej stosowny dokument. Skinęłam jedynie głową, a ona niedbale zwinęła papier w rulon i opuściła gabinet.

Zaczęłam uprzątać narzędzia po ciężkim dniu, gdy nagle klamka się poruszyła.

– Lauro – usłyszałam od progu znajomy, czuły głos Lothara. – Wiedziałem, że będziesz już sama... – Brzmiał dziwnie, jakby przynosił niepomyślną nowinę.

– Czy coś się stało? – zapytałam, gdy podszedł i złożył pocałunek na moim czole.

Przez chwilę milczał, jakby nie wiedział, jak powinien zacząć rozmowę.

– Chodzi o pacjentkę, która została przywieziona do szpitala z silnymi bólami i wymiotami. W badaniu brzuch był na szczęście miękki, nie bardzo wzdęty, a gazy odchodziły w nieznacznej ilości. Sądziłem, że to częściowa niedrożność przewodu pokarmowego w związku ze zrostami. Miesiąc temu przeszła cesarskie cięcie.

– Czy to ja wykonywałam ten zabieg? – spytałam, unosząc brwi.

– Tak – odrzekł, wypuszczając powoli powietrze. – Przeglądałem historię jej choroby i widziałem, że okres pooperacyjny był u niej bardzo niespokojny. Przez pierwsze dni wysoko gorączkowała, miała obustronne odoskrzelowe zapalenie płuc, silne bóle i wymioty żółciowe. Otrzymywała atropinę i pituglandol. Ale rana ropiała i otworzyła się na całym przebiegu cięcia. Z uwagi na to, by przy kaszlu nie wypadły trzewia, trzeba było ją ponownie zszyć. Ostatecznie całość pokryła się ziarniną, a stan pacjentki poprawił się tak, że mogła opuścić szpital razem ze zdrowym dzieckiem.

– Już wiem, o kim mówisz! – wykrzyknęłam, przywołując w pamięci obraz kobiety w średnim wieku, wieloródki, z poprzednimi powikłanymi porodami z użyciem kleszczy i przerośniętym łożyskiem. Gdy zgłosiła się do ambulatorium, miała duży brzuch wypełniony guzami. Poród się przedłużał, a skurcze były słabe, dlatego zdecydowałam się na *sectio caesarea* w uśpieniu z chlorku metylenu. – To była bardzo skomplikowana operacja, utrudniały ją rozdęte jelita – odparłam.

– Widząc ją ponownie w złym stanie, szykowałem się do otwarcia jamy brzusznej – Lothar kontynuował, skinąwszy głową. – Podałem jej siarczan magnezu. Po kilku godzinach chora poczuła silne parcie w kiszce stolcowej. Ostatecznie wydalila

tampon gazowy. Od tego momentu jej stan zaczął się szybko poprawiać... – Chciał mówić dalej, ale mu przerwałam.

– To niemożliwe! – Złapałam się ręką za wilgotne od potu czoło. – Jak mogło do tego dojść?! – pytałam samą siebie, krążąc nerwowo po pokoju. – Nie wyprowadzałam macicy z jamy brzusznej, lecz otoczyłam ją tamponami gazy, których stale używam do tego typu zabiegów, w liczbie dwudziestu. Przed zaszyciem powłok sprawdziłam ponownie ich liczbę. Wydawało mi się rzeczywiście, że jednego brakuje, ale wtedy jedna z sióstr oznajmiła, że się odnalazł...

– Musiał jednak pozostać w środku i wywołać zapalenie otrzewnej. Stopniowo, jako ciało obce, zaczął się otorbiać i skleił się ze ścianą jelita, nie dając wówczas ewidentnych objawów klinicznych. Nastąpiło ścieńczenie, a ostatecznie pęknięcie i tampon przedostał się do światła przewodu pokarmowego, powodując przejściowo jego częściową niedrożność. Na szczęście ruchy perystaltyczne przesunęły go w stronę odbytu.

– Nie chce mi się wierzyć, że mogłam być tak nieuważna! – krzyknęłam w złości na samą siebie.

– Daj spokój, nie rób sobie wyrzutów – próbował mnie uciszyć. – Każdemu się przecież może przydarzyć podobna historia. Nie znam chirurga, który nie miałby powikłań po operacji. Niektórzy radzą, by przywiązywać tampony do stołu operacyjnego lub zawieszać na nich ciężarki czy zakładać obrączki. Znam też takich, którzy używali tamponów z metalowymi nitkami.

– Nigdy do tej pory mi się to nie zdarzyło... – wyrzucałam sobie. – Szczęście, że wszystko się dobrze skończyło, bo inaczej nigdy bym sobie tego błędu nie wybaczyła!

– Może jesteś przemęczona? Uważam, że potrzebujesz odpoczynku – zasugerował, otaczając mnie ramieniem.

– Nie, to na pewno nie to! – zaprotestowałam gwałtownie. – To ten dom tak na mnie działa... Jego złowroga aura... – wyrzekłam, sama dziwiąc się swojemu wyznaniu.

Lothar spojrział na mnie, a jego szerokie źrenice rozświetlił dziwny błysk. Przez moment się nie odzywał, jakby zastanawiał się, co odpowiedzieć.

– Moim zdaniem powinnaś wyrzucić to, co należało do poprzednich właścicieli posiadłości na czerwonym klifie. Być może te przedmioty budzą w tobie złe skojarzenia. Pomogę ci wszystko uporządkować – zaoferował.

Wtuliłam się w ramiona ukochanego, przez chwilę wdychając jego zapach, będący połączeniem kumaryny z kamforową lawendą. Przymknęłam powieki i pozwoliłam sobie na moment poczuć się, jakbym przeniosła się w czasie do minionych lat, gdy zaplatałam dwa warkocze i zawiązywałam na nich kokardy, a letnie miesiące miały smak dojrzałych papierówek.

– Wszystko się ułoży, zobaczysz... – powtarzał, gładząc dłonią moje włosy.

* * *

Postanowiłam pójść za daną mi radą i przeprowadzić generalne porządki, zanim moje córki przyjadą ze szkoły z internatem na letnią przerwę. Czasu pozostało niewiele. Lothar zgodnie z daną obietnicą przyszedł, aby mi w tym towarzyszyć.

– Nie damy rady zrobić wszystkiego na raz – oświadczyłam, odstawiając na spodek filiżankę z fusami herbaty. Stałam akurat przed oknem, a w szybach mieniło się światło zachodzącego słońca.

– Od czego więc chciałabyś zacząć? – zapytał doktor Arens, zachodząc od tyłu i zaplatając ręce na mojej talii. – Tylko proszę, nie

mów, że od sypialni... – zamruczał, skubiąc wargami płatek mojego ucha, co bardzo lubił robić. Zaśmiałam się w odpowiedzi.

– Chyba najbardziej przeraża mnie piwnica. Te wszystkie pajęczyny i ślady po gryzoniach... – wzdygnęłam się. – Odkąd tutaj zamieszkałam, byłam tam tylko dwa razy.

– Wezmę latarkę i możemy iść – odparł, wypuszczając mnie na moment z objęć. Czuje psy natychmiast poderwały się z podłogi i podążyły za swoim panem.

Zeszliśmy po kamiennych schodach w dół. Z ceglanych ścian bił przyjemny chłód, a woń wilgoci pomieszanej z zapachem starości drażniła nasze nozdrza.

– Pójdę pierwszy – zwrócił się do mnie i nacisnął masywną mosiężną klamkę u drewnianych drzwi. Wewnątrz panowała całkowita ciemność i dopiero w świetle latarki można było dostrzec unoszące się drobinki kurzu. – Nikt z pewnością nie robił tutaj porządków od lat – wyrzekł Lothar, przesuwając palcem po brudnych półkach.

Podszedł do jednej ze skrzyń, by ją otworzyć. Drewno było już zbutwiałe.

– Takimi narzędziami można by kogoś torturować! – zażartował, wyciągając zardzewiałe noże rymarskie i młotek.

– To tylko przybory szewskie... Jest też szczotka z końskiego włosia i szydło. Przed laty musiała się tu mieścić pracownia. – Wskazałam na półkę z kowadłami.

– Spójrz na to prawidło zaciśnięte w stojaku. To musiało być ostatnie z jego dzieł – rzekł Lothar, podchodząc do biurka stojącego w kącie. Oświetlił drewniany model, a moim oczom ukazały się inicjały napisane ołówkiem: „L.G.”

– Tam jest coś napisane! – zwróciłam uwagę na swoje znalezisko.

– Zapewne było to jakieś indywidualne zamówienie na wymiar, więc rzemieślnik podpisał je imieniem i nazwiskiem klienta. To wyjątkowo duży but. Prawie niespotykany rozmiar. Ale i tak nie ma to teraz znaczenia – skwitował. – Chodź, spalimy to wszystko w piecu...

Nagle usłyszałam w ciemności brzęk szkła. Moja noga nadepnęła na jakiś przedmiot. Odskokczyłam z przestrachem.

– To tylko stare fiolki po barwnikach – uspokoił mnie doktor, odczytując w świetle latarki napisy na etykietach. – Mój Boże, przecież to anilina! Kto używa czegoś takiego? – Włożył monokl, by przyjrzeć się dokładniej. – Obuwie nią zabarwione mogło okazać się śmiertelnie niebezpieczne dla kogoś, kto założył je na stopę. Opisane są przecież przypadki zgonów po zatruciu tą aminą aromatyczną, która doskonale wchłania się przez skórę. Może wywołać krwimocz i duszności...

– Tutaj jest jeszcze stalowy stempel. – Wskazałam przedmiot do tłoczenia znaków na skórze.

– *Serpentes...* Są splecione w uścisku. – Lothar obrócił metalowy przedmiot w palcach. – To symbol trucizny, ale również, zgodnie z metafizyką, znak połączenia świata żywych z zaświatami. Zdolność do zrzucania zewnętrznych łusek przez węże była związana z kręgiem życia.

– Dobrze się znasz na heraldyce – oznajmiłam.

– Dawno temu się tym interesowałam... – westchnął, przecierając ręką oczy. – Ale to stare dzieje.

– Czasem wydaje mi się, że to miejsce kryje przede mną jakąś tajemnicę, którą zostawiła dla mnie ciotka Sybilla. I że w tym wszystkim, co się wydarzyło, jest ukryty sens, który kiedyś poznam...

– Jak wiesz, wychodzę z założenia, że nic w życiu nie dzieje się bez przyczyny. Nieraz ci o tym wspominałem. Wszystko jest gdzieś zapisane, a nam pozostaje to jedynie odkryć. Tak jak ja odnalazłem ciebie... – Ujął moją dłoń, by złożyć na niej pocałunek.

Wyraźnie chciał kontynuować, ale jeden z leonbergerów nastroszył uszy i zaczął powarkiwac. Drapał w futrynę, domagając się wypuszczenia z piwnicy. Gdy tylko uchyliłam drzwi, pomknął schodami wprost na piętro.

– Leo! – zawołał doktor Arens, ale ten go nie posłuchał.

– Pewnie wyczuł kota – stwierdziłam. – Pójdźmy lepiej za nim – zaproponowałam i ruszyliśmy po stopniach na górę. Ujądanie dochodziło z sypialni. Gdy dotarliśmy wreszcie do pomieszczenia, zastaliśmy wewnątrz jedynie psa, który stał na wprost lustra.

– Oszczekuje swoje odbicie – spostrzegł mój towarzysz. – Do nogi! Cicho! – wydał komendę, ale zwierzę było na nią głuche. Zjeżyło sierść tak, że wzdłuż jego kręgosłupa pojawiła się uniesiona, ciemna pręga. Pies szczyrzył białe, połyskujące kły. Jeszcze go nie widziałam w takim stanie. Czułam przeszywający strach, bo te molosy zawsze wydawały mi się dobrotliwe i łagodne...

Wreszcie udało się odciągnąć czworonoga od zwierciadła.

– Zachowuje się tak tylko wtedy, gdy wyczuwa zagrożenie. Na szczęście już się uspokoił. Naprawdę nie rozumiem, co go tym razem opętało... – oświadczył doktor Arens.

Ja rozumiałam. Wyczuwałam w tym miejscu to samo. Coś, czego nie potrafiłam w żaden sposób nazwać, a co przepętniało mnie od środka niepojętym lękiem...

ROZDZIAŁ XVI

To był jeden z najcięższych porodów w całym moim dotychczasowym życiu zawodowym. Na zawsze zapadł w moją pamięć. Zostałam wezwana jeszcze przed świtem i w szarej poświacie brnęłam autem przez kamieniste drogi do List, miasta położonego na najbardziej wysuniętym na północ krańcu wyspy. Wszystko utrzymywano w wielkim sekrecie, bo dziecko było owocem przelotnego romansu nastoletniej dziewczyny i młodego hrabiego, który słynął z tego, że hojnie rozsiewał po okolicy swoje nasienie. Rodzice młodej matki ukrywali ją podczas ciąży, a na miejsce porodu wybrali okolicę, w której nikt ich nie znał. Mieli w planach potem oddać dziecko zakonnicom, aby ustrzec się przed infamią i skandalem. Długo zwlekali z zawołaniem lekarza, chcąc, by narodzinom towarzyszyło jak najmniej świadków; korzystali jedynie z usług miejscowej akuszerki.

Gdy przybyłam na miejsce, położnica była całkowicie wyczerpana i miała głos ochrypnięty od krzyku. Złapała moją rękę, ściskając ją do bólu, a w jej oczach odmalowało się błaganie, żebym skróciła jej cierpienie. Pośpiesznie umyłam i zdezynfekowałam rękę sublimatem, po czym przystąpiłam do badania. Dziecko nie mogło przyjść na świat z powodu wyraźnej dysproporcji główkowo-miednicowej. Początkowo sądziłam, że to wynik niedojrzałości matki, jednakże po wprowadzeniu dźwigni mierniczej Bylickiego-Gaussa stwierdziłam, że wchód miednicy był prawidłowych wymiarów. Tym samym należało podejrzewać, że główka płodu

mogła mieć patologicznie powiększoną objętość w wyniku wodogłowa bądź istnienia jakiejś wrodzonej narośli. Spróbowałam ułożyć rodzącą w pozycji walcherowskiej, by dodatkowo zwiększyć wymiary miednicy. Gustaw Walcher, pochodzący ze Stuttgartu ginekolog, opracował to ułożenie ciała pod koniec XIX wieku na podstawie badań przeprowadzanych na zwłokach. Zwiększało ono szansę na przejście główki przez kanał rodny, czego można było spróbować przed przystąpieniem do bardziej inwazyjnych metod wydobycia płodu. Ułożyłam więc położnicę na brzegu łóżka, tak by kość krzyżowa nie wystawała poza jego obręb. Pod pośladki włożyłam jej kilka twardych poduszek. Kończyny dolne zwiisały swobodnie, nie dotykając podłoża. W przerwach między skurczami unosiłam nogi pacjentki i przyginałam do jej tułowia.

Główka dziecka w dalszym ciągu się nie wstawiała. Przystąpiłam do auskultacji tętna płodu, jednakże nie udało mi się usłyszeć bicia serca. Poczułam przejmujący smutek. Sama byłam matką, więc nie potrafiłam w takich sytuacjach pozostać obojętna. Trzeba było jednakże szybko działać, aby uratować życie młodej położnicy. Pozostało mi tylko jedno. Przystąpiłam do zabiegu...

Opisy najbardziej drastycznych operacji w całej medycynie, czyli zabiegów pomniejszających płód, zawarte zostały w egipskich papirusach, w dziełach Galena i Pawła z Eginy. Nie znano wówczas metod sprawdzania, czy dziecko jest żywe, a zakładano, że brak postępu porodu jest pewnym dowodem na jego śmierć. Techniki te przetrwały w położnictwie do czasów nowożytnych, w przeciwieństwie do obrotu wewnętrznego, który uległ zapomnieniu na kilka wieków, by przeżyć swój renesans w epoce odrodzenia. Przez wiele stuleci kraniotomię wykonywano głównie ze względu na dobro matki, co oznacza, że ta makabryczna metoda stosowana była również na żywym płodzie. Ten dramatyczny

wybór był powracającym, najkoszmarniejszym ze snów każdego położnika, przedyskutowanym setki razy w licznych publikacjach z przełomu XIX i XX wieku w kontekście etycznym. W czasach, kiedy blisko jedna trzecia dzieci umierała w czasie porodu, był to akt rozpacz i determinacji w nierównej walce życia ze śmiercią. W szczególnych sytuacjach, zwłaszcza gdy kobieta miała już potomstwo, nie można było pozwolić, by zostało ono osierocone.

Do perforacji główki celem zmniejszenia jej objętości używano noża, haków, ale również obcęgowatych narzędzi i specjalnie wymyślonych w tym celu ostro zakończonych kleszczy, nazywanych piestronem. Znani i cenieni lekarze, William Smellie i Franz Naegele, wprowadzili do użytku specjalne perforatory będące połączeniem noża i nożyczek. Przełomem okazał się kefalotryb, czyli przyrząd do miażdżenia czaszki, przedstawiony Akademii Paryskiej w 1829 roku. Drugim powszechnie przyjętym i stosowanym narzędziem był kranioklast, używany do wymóżdżenia, a następnie wyciągnięcia płodu. Został wynaleziony przez Jamesa Simpsona, który w historii zapisał się głównie tym, że znieczulił chloroformem poród królowej Wiktorii.

Zgodnie z zaleceniami, gdy udało mi się już opróżnić jamę macicy, poukładałam wszystkie wyciągnięte i rozczłonkowane fragmenty, by mieć pewność, że nic nie zostało wewnątrz, i wykonałam odkażające irygacje z sublimatu, aby nie rozwinęła się gorączka połogowa. Z krwią mieszały się moje łzy i przekleństwa na niesprawiedliwy los, wyrzekane w myślach.

Byłam wykończona psychicznie i fizycznie, a czekał mnie jeszcze powrót samochodem w tę nieprzyjemną pogodę. Jednak ten czas, kiedy musiałam skupić uwagę na błotnistej drodze, usianej tu i ówdzie kamieniami, które należało zręcznie omijać, by nie uszkodzić pojazdu – dobrze mi zrobił. Zatrzymałam się w pobliżu

szpitala. Gdy wyszłam na zewnątrz, padał ulewny, zimny deszcz. Stałam w nim dłuższą chwilę, czując, jak krople spływają mi po czole i moczą moje ubranie. Było mi jednak wszystko jedno. Spoglądałam w stronę szarego, zachmurzonego nieba, zastanawiając się, czy gdzieś istnieje lepszy świat niż ten, w którym przyszło nam egzystować.

Nagle poczułam nad sobą ochronny parasol.

– Pani Kader! Nabawi się pani zapalenia płuc! – Doktor Weber osłonił mnie z troską. – W pobliżu jest wyśmienita herbaciarnia. Może dałaby się pani zaprosić na filiżankę herbaty? Marnie pani wygląda... – skwitował, kręcąc głową.

– Chyba nie jestem w nastroju... Proszę wybaczyć...

– Chowa pani do mnie o coś urazę? – zaczął niepewnie. – Czy się mylę?

– Ależ absolutnie! – zaprotestowałam. – Moje troski mają zupełnie inną przyczynę.

– Ulżyło mi – odetchnął głośno. – Wydawało mi się... To znaczy w zasadzie moja matka twierdzi... że niespecjalnie ją pani polubiła. Takie odniosła wrażenie, ale całe szczęście, chociaż jest prawie nieomylna w swoich sądach, tym razem nie miała racji! – zawołał uradowany.

– Nie, nie miała, zapewniam – powtórzyłam od niechcienia, siląc się na uprzejmy uśmiech.

– Nie wiem, czy to wypada, ale byłbym bardzo rad gościć na podwieczorku w domu na czerwonym klifie. Mam gramofon, mógłbym go ze sobą zabrać. Posłuchalibyśmy Wagnera! Co pani na to?

– To bardzo kusząca propozycja... Przemyszę ją i dam panu odpowiedź. A teraz naprawdę... śpieszę się – oświadczyłam

wykrętnie. – Za kilka dni wracają moje córki, sam pan rozumie, muszę wszystko przygotować na ich powrót.

– Oczywiście! – wykrztusił, po czym ze zdenerwowania dostał ataku kaszlu. Białkówki jego oczu nabiegły krwią, a on dusił się, jakby za moment miał wypluć z siebie płuca. Patrzyłam na niego z przerażeniem, zastanawiając się, czy potrzebuje mojej pomocy, ale wtedy sięgnął po coś do kieszeni i włożył do ust.

– To tytoń przeciwastmatyczny. Pokrzyk, blekot, bieluń, konopie indyjskie i azotan potasu – wyjaśnił, wyrzucając z siebie jednym tchem, gdy zdołał wreszcie nabrać powietrza. – Kłopoty z oskrzelami mam po mojej mamusi – wyjaśnił, drapiąc się po głowie. – W każdym razie wie pani, gdzie mnie szukać. W razie czego jestem do usług! – pokrzykiwał ochoczo za moimi plecami, gdy już odchodziłam. – Chętnie poznam bliżej także pani latorośle! Będę czekał na wiadomość...

Ucieszyłam się, że udało mi się uwolnić od niechcianego towarzystwa. Skierowałam swoje kroki do ambulatorium, gdzie jak co dzień czekało na mnie sporo obowiązków. Musiałam podać zastrzyk ze srebra koloidowego celem leczenia trypru u mojej pacjentki, która była jedną z dziewczyn z portu szukających okazji do łatwego zarobku z marynarzami bądź przyjezdnymi wczasowiczami. Przychodziła do mnie po pomoc, ponieważ nigdy nie oceniałam jej postępowania. Choroba, na którą cierpiała, zyskała sobie w społeczeństwie nazwę „kawalerskiej przypadłości”, chociaż zapadali na nią nie tylko panowie stanu wolnego. Głównym źródłem jej rozprzestrzeniania się były, rzecz jasna, przybytki rozkoszy, które swój rozkwit przeżywały pod koniec XIX wieku, kiedy to panowie ze średnich i wyższych warstw niemal codziennie odwiedzali kurtyzany. Do powszechnie praktykowanego zwyczaju należało opłacenie przez ojca „fachowej” inicjacji

seksualnej dla dorastającego syna, powierzanego tym samym w ręce kapłanek miłości. Niektórzy dowódcy wojskowi fundowali nowo przybyłym do pułku oficerom noc rozkoszy. Ryzykowano wiele, bo do początków XX stulecia syfilis i rzeżączka były praktycznie nieuleczalne...

Następnie na fotelu do badań pojawiła się kobieta cierpiąca na przedwczesny zanik miesiączki, a tym samym owulacji. Znajdowała się w stanie psychicznego załamania, bo chociaż była w kwiecie wieku, nie miała szans, by począć dziecko. Patrzyła na mnie zawsze oczami pozbawionymi nadziei, a jej źrenice zdawały się matowe – całkowicie zatraciły dawny blask.

Wydawało się, że medycyna nie jest w stanie w żaden sposób jej pomóc. Zbieg okoliczności sprawił jednak, że natrafiłam w lekarskiej gazecie na artykuł mówiący o zastosowaniu w podobnych przypadkach zastrzyków z uryny ciężarnych. Zawierała ona cenne hormony, a co ważne, jak wykazały badania przeprowadzone na zwierzętach, nie była szkodliwa. Udowodniono, że mocz pobrany od brzemiennych potrafił pobudzić zmęczone lub drzemiące narządy rodne. Co ciekawe, swój zbawienny wpływ na płodność wykazywał również w przypadku mężczyzn. Nawet u pewnego starca terapia przyniosła znaczą poprawę nasienia. Było ono z powrotem tak dobrej jakości, jak u młodzieńca, a przynajmniej tak wynikało z naukowych doniesień. Co ważne, nie było także problemów z dostępnością leku. Mając niewiele do stracenia, podjęłam próbę leczenia.

– Początkowo wróciły mi okresy, ale teraz znów ich nie ma – powiedziała moja pacjentka monotonnym głosem, wyczutym z jakichkolwiek emocji. Westchnęłam ciężko, zakładając wziernik. Nie spodziewałam się niczego dobrego.

Wtem ujrzałam sinopurpurowe zabarwienie błony śluzowej pochwy, nazywane objawem Chadwicka, świadczącym o wczesnej ciąży. Serce zabiło mi żywiej. Nie mogłam jednak mieć jeszcze pewności. Aby się utwierdzić w moim przypuszczeniu, przeprowadziłam próbę Diensta. W probówce mieszałam wodę wodociągową z odsączoną surowicą i roztworem ninhydryny. Całość gotowałam przez minutę na ogniu, czując, jak narasta we mnie napięcie. Tak bardzo chciałam przekazać pacjentce dobrą nowinę. W wyniku reakcji chemicznej próbka powoli zabarwiała się na niebiesko. Świadczyło to o wzmożeniu ilości antytrombiny we krwi, co miało miejsce u ciężarnych. Uśmiechnęłam się w przyływie wzruszenia. Należało jednak wykonać ostateczny, potwierdzający test, polegający na wstrzyknięciu samicy królika moczu pacjentki. Na wynik trzeba było poczekać kilka dni.

– Będzie musiała mi pani dostarczyć poranną porcję uryny do badania.

– Czy to oznacza, że mam chore nerki? – zapytała moja podopieczna z przestachem.

– Ależ nie! – uspokoiłam ją. – Najprawdopodobniej bije w pani drugie serce... – wyjaśniłam, a ona w odpowiedzi rzuciła mi się na szyję.

– Sprawiała pani, że jestem najszczęśliwszą kobietą na ziemi! – łkała w moje ramię.

– Proszę jeszcze poczekać, póki nie mamy ostatecznego potwierdzenia! – usiłowałam ją powstrzymać. Zawsze w takich chwilach wolałam zachować ostrożność, by uniknąć późniejszego rozczarowania. Zbyt wiele razy tego doświadczyłam.

Wykonałam tego dnia jeszcze salpingografię z lipjodem u innej chorej, aby potwierdzić puchlinę jajowodów, będącą przyczyną niepłodności i przewlekłych bólów podbrzusza, zanim z ulgą

przekręciłam klucz w zamku mojego gabinetu, kończąc pracę. Powieki same zamykały mi się ze zmęczenia. Niebo się tymczasem przejaśniało i teraz rozświetlały je słoneczne promienie.

W drodze powrotnej wstąpiłam na pocztę, gdzie czekał na mnie list od Lili.

*Droga Lauro,
przepraszam Cię najmocniej za moje długie milczenie, ale jak się zapewne domyślasz, nie dzieje się teraz u nas najlepiej. Solange, nieślubna córka mojego brata, ostatecznie przyjechała z Paryża do swojego ojca. Róża w akcie protestu wyprowadziła się od męża, znajdując schronienie pod moim dachem. Ciągłe wybuchają kłótnie i padają wzajemne oskarżenia... Fryderyk z jednej strony ma poczucie winy i stara się skłonić żonę do powrotu, z drugiej bagatelizuje swój wieloletni romans, uważając, że w wyższych sferach posiadanie kochanki obok prawowitej małżonki nie jest niczym wyjątkowym, ale raczej czymś w rodzaju męskiego przywileju.*

Sama czuję na niego wściekłość i nie dziwię się postępowaniu Róży, ale przy tym wszystkim muszę przyznać, że Solange to naprawdę urocza dziewczyna! I przecież nie jest niczemu winna. Ma zamiłowanie do książek, potrafi całymi dniami przesiadywać w bibliotece. W przeciwieństwie do swojej matki, która wybrała sceniczną karierę, chce studiować. Nie odziedziczyła też po niej tej oszałamiającej urody ani uwodzicielskiej natury. Ma mały, zadarty i piegowaty nosek, na którym opierają się okulary, do tego kręcone włosy w kolorze bursztynu i mądre szarozielone oczy. Jest przy tym bardzo pracowita i skromna.

Z innym jeszcze zmartwieniem boryka się moja familia. Mój brat bez wiedzy rodziny zainwestował pieniądze w kilka

interesów, które zakończyły się fiaskiem. Uległ namowom różnych wpływowych przedsiębiorców i wizjonerów, a w obliczu kryzysu wszystko upadło. Tym samym spora część naszego majątku poszła pod zastaw. Nie mogę go za to w pełni obwiniać, bo wiem, że podejmując decyzję, nie był świadomy, w jakie tarapaty może się wpakować. Do tego dochodzi jeszcze jego choroba. Aby wierzyciele dali nam spokój, trzeba było zaciągnąć w banku pożyczkę. Teraz próbujemy wszystko powoli spłacać.

Wciąż nie daje mi spokoju pytanie o to, kto posłużył się pieczęcią mojego rodu i wysłał przed wieloma laty tamten list... Pod nieobecność Fryderyka udało mi się dostać do jego gabinetu, gdzie w biurku znalazłam pamiątki mojej zmarłej matki. Myślałam, że tam wyczytam coś, co naprowadzi mnie na ślad. W ostatnich miesiącach wspominała w zasadzie tylko o tym, jak romans z Ludwikiem Gestnerem zniszczył jej życie, doprowadzając do jej zguby i śmierci jej pierworodnego syna Wilhelma. Obwiniła Gestnera o to, że się w ogóle pojawił, a potem w porę nie odszedł, chociaż go o to błagała. Na koniec złorzeczyła mu, przeklinając go w najgorszych słowach. Nie ma to sensu, ale zapewne, pisząc te wyznania, była pod wpływem sporej dawki laudanum, z którym praktycznie nie rozstawała się pod koniec swoich dni.

Próbowałam wybadać ojca, czy może wiedzieć coś na ten temat, ale on jak zawsze żyje w swoim świecie i wydaje się, że nie pomoże w rozwiązaniu tej kwestii. W dalszym ciągu, chociaż mu tego surowo zabraniamy ze względu na wiek, zdarza mu się chodzić na salę operacyjną. On twierdzi, że nigdy nie przestaje się być chirurgiem.

Znając charakter mojej babki, sądzę, że ona mogła mieć z tym coś wspólnego. Podobno, jak mi opowiadała potajemnie służba,

nigdy nie przepadała za Ludwikiem Gestnerem, wyczuwając zagrożenie z jego strony. Nawet jeżeli tak było, to i tak zabrała ów fakt jako jeden z licznych swoich sekretów w zaświaty...

Chociaż trudno mi to przyznać, zdaję sobie sprawę z tego, że nie miała łatwego charakteru i gotowa była bronić za wszelką cenę honoru rodu oraz jego interesów. Nie wiem, ile było w tym prawdy, ale posądzano ją nawet o to, że maczała palce w katastrofie morskiej, do której doszło wiele lat temu, bo w 1866 roku, na Morzu Północnym. Zaginął wówczas spadkobierca rodzinnej fortuny, starszy brat jej męża, wraz ze swoją młodą, świeżo poślubioną żoną. Chciałabym wierzyć, że to tylko kłamstwo, powtarzane przez zawistnych ludzi, by zniszczyć jej dobre imię. Ale im więcej rzeczy wychodzi na jaw, tym bardziej jestem przerażona tym, kim była nestorka mojej rodziny.

Nie wiem, czy uda nam się kiedykolwiek rozwikłać zagadkę tego, kto nadał ów tajemniczy list i jaki miał w tym cel. Sądzę, że mogła to być zaplanowana okrutna zemsta. Proszę Cię jednak, Lauro, abyś nie żyła przeszłością, bo z własnego doświadczenia wiem, że to może zbyt wiele kosztować.

Napisz do mnie, jak mają się Twoje sprawy. Mam nadzieję, że już udało Ci się przejść przez formalności rozwodowe. Czy pan Arens dalej Cię nachodzi i zabiega o Twoje względy? Pamiętaj tylko, abyś była ostrożna.

*Całuję mocno
Twoja przyjaciółka Lilia*

– Co czytasz, Lauro? – usłyszałam za swoimi plecami ciepły głos Lothara. Siedziałam akurat na werandzie, przeglądając korespondencję. Piłam herbatę z czerwonej koniczyny, która szczególnie dobrze działała na moje ostatnie dolegliwości.

– Nic ważnego. Damskie sprawy – odparłam, składając mu na powitanie pocałunek na policzku. – Miałam bardzo ciężki dzień...

– Zabieram cię zatem na kolację przy świecach, a potem będziemy tańczyć tango... – rozmarzył się.

– Daj spokój! – upomniałam go. – Przecież wiesz, że nie możemy oficjalnie tego robić.

– Pragnę po prostu być blisko ciebie... – rzekł, upajając się moim zapachem. – Mogę sam przyrządzić dla nas wieczerzę, o ile zadowolisz się żołnierskim gulaszem, jaki gotowałam na froncie. Był ze świńskiego łba z warzywami i sosem z solonych ogórków. A na deser pudding drożdżowy. Pyszności! – zaśmiał się.

– Obyśmy już nigdy nie doświadczyli wojny z całym jej wyniszczeniem! – skomentowałam i wzdrygnęłam się na wspomnienie tamtych czasów, gdy zwykłą kawę zastępowano kukurydzianą lub sporządzoną z prażonych korzeni mniszków lekarskich. Na śniadanie, obiad i kolację do czerstwego, brązowego pieczywa podawało się tak zwany ser doniczkowy, czyli okruchy sera wymieszane z musztardą i margaryną, a potem zapieczone. Miałam odruch wymiotny na samą myśl o tym daniu.

– Chciałbym, żeby tak było, ale myślę, że wcześniej czy później ciemne chmury znów zbiorą się nad niebem Europy... Traktat wersalski był bardzo niesprawiedliwy, i to nie jest tylko moje zdanie. Budzi powszechne niezadowolenie po dziś dzień. Te gigantyczne reparacje wojenne, które Niemcy muszą płacić, jakby tylko one były winne! Zabrano nam Alzację i Lotaryngię, a z części naszych ziem powstały nowe kraje, których wcześniej nie było na mapie, jak chociażby Polska i Litwa. Z mocarstwa staliśmy się niewiele znaczącym krajem. Wiesz, ile jest frustracji w społeczeństwie umęczonym biedą, bezrobociem i głodem? To jest

jak wrząca lawa w kraterze, która w końcu znajdzie ujście i wybuchnie.

– Ale żeby zaraz z tego powodu miał się zrodzić nowy konflikt zbrojny? Jestem pewna, że istnieje pokojowa droga dojścia do poprawy sytuacji gospodarczej i podpisania nowego porozumienia – wyraziłam swoje zdanie. – Sądzę, że ludzie ciągle pamiętają tę czteroletnią pożogę, która przetoczyła się przez świat, i zrobią wiele, by utrzymać pokój.

– Cóż, żyjmy naszym pięknym życiem i nie myślmy o smutnych sprawach – rzekł, ucinając temat, i przyciągnął mnie do siebie. – Chodźmy do mojego domu. Mam w brytfance pieczoną kuropatkę z masłem tymiankowym w szalotce i marchwi. Teresa wyjechała na kilka dni i nie chciała, abym umarł w tym czasie z głodu – zażartował.

– Daj mi tylko chwilę, abym mogła się przygotować – przystałam na jego propozycję.

Przywdziałam biustonosz bez ramiączek, utrzymujący się jedynie na gumce, i dolną część *dessous* o kroju przypominającym figi, z lekko poszerzonymi nogawkami z koronkowym godetem. Wiedziałam, jaki cel ma to zaproszenie, i chciałam wyglądać ponętnie. Założyłam koszulkę z *crêpe-de-satin*, która była ostatnim krzykiem mody. Zamówiłam ją z katalogu wysyłkowego aż z Paryża. Wybrałam też wieczorową suknię z tiulu w kolorze bzu, z plisami z podwójnego materiału, i pasek z kłamrą. W skórę twarzy wklepałam opuszkami palców krem ogórkowy z lanoliną, lekko wybielający i działający udelikatniająco. Usta pomalowałam pomadką w kolorze fuksji, a zniszczone paznokcie wyczyściłam wybielającym proszkiem, po czym nałożyłam na nie emalię. Musiałam się śpieszyć, bo z dołu słyszałam niespokojny odgłos

kroków i pochrząkiwania Lothara, który w ten sposób dawał mi do zrozumienia, że się niecierpliwi.

– Wyglądasz tak cudownie, że chyba zaczniemy od deseru... – rzekł na mój widok gorącym szeptem wprost do mojego ucha.

Gdy znaleźliśmy się na miejscu, wziął mnie na ręce i zaniósł prosto na aksamitną sofę. Ściągnął moją suknię, a potem mozolnie rozwiązywał wszystkie wstążeczki od bielizny. Położył się na mnie w dominującym geście i wkrótce połączyliśmy się w jedność. Nagle ujął moje dłonie i przytknął do swojej szyi.

– Zaciśnij... – wysapał. – Tak będzie mi jeszcze przyjemniej...

Cofnęłam z przestachem ręce, nie wiedząc, do czego zmierza, ale mnie uspokoił.

– Uwierz mi! Kiedyś to przypadkiem odkryłem.

Pomimo wewnętrznych oporów uczyniłam, o co prosił. Szczytując, wydał z siebie głośny okrzyk, a gdy skończył, opadł bez sił.

– Spełniłaś jedno z moich marzeń, Lauro! – rzekł, przyciągając mnie, abym położyła głowę na jego torsie.

Uśmiechnęłam się w odpowiedzi, czując się onieśmielona jego zachowaniem. Chociaż wydawać by się mogło, że jestem doświadczoną kobietą i niewiele powinno mnie zaskoczyć, było mi nieswojo.

– Przyniosę nam tutaj wieszak – powiedział, wstając i całując moje włosy. – Czy masz coś przeciwko temu, żebyśmy zjedli palcami? Trochę nieelegancko, ale...

– Nie przeszkadza mi to – odparłam krótko.

Okryłam się wełnianą narzutą, oczekując na jego powrót. Rozejrzałam się dookoła. W kącie spostrzegłam drzwi prowadzące do buduaru, z kluczem w zamku. Najwyraźniej musiały być niedawno otwierane. Nigdy nie byłam wewnątrz, bo nawet gdy

mieszkałam w tym miejscu, zawsze pilnowano, by to pomieszczenie było zamknięte. Nie zastanawiając się długo, podeszłam do drzwi i dotknęłam palcami framugi. Serce zabiło mi żywiej, gdy poczułam nutę piżmu, cedru i jaśminu. Byłam pewna, że kiedyś ta świątynia kobiecości musiała należeć do pani Arens.

Obejrzałam się za siebie niespokojnie, by się upewnić, że jestem sama. Nasłuchiwałam, czy Lothar nie idzie po schodach, ale w dalszym ciągu dobiegały mnie odgłosy z kuchni. Nacisnęłam mosiężną klamkę. Zawiasy zaskrzypiały cicho i żałośnie, a moim oczom ukazał się rzeźbiony sekretarzyk. W centralnym miejscu stała czarno-biała ślubna fotografia kobiety ubranej w portfelową suknię, najpewniej z atłasu, z rękawami wykończonymi satyną, i z naręczem lilii. Na głowie miała wianek z kwiatów pomarańczy. Spoglądała w obiektyw dużymi, roześmianymi, ciemnymi jak węgle oczami, otoczonymi koroną podwiniętych rzęs. Jej usta były kusząco rozchylone, ukazując ładne białe zęby. Nad wargami widoczny był malutki pieprzyk, którego nie udało się ukryć pod warstwą pudru – jedyna burząca idealny obraz skaza, jakiej się dopatrzyłam. Ubiór wskazywał na to, że zdjęcie wykonano ponad dekadę temu. Obok ustawiono wazon z suszonymi, herbacianymi różami, pokrytymi kurzem. Pokruszone i pozwijane płatki leżały na biurku wraz z zerwanym sznurem pereł. Pozostawiono na nim również przybory do pisania, kałamarz z zaschniętym atramentem, zdobioną papeterię, wodę fiołkową i pudernicę z lusterkiem. Dostrzegłam jej pięknie wykaligrafowane imię na bileciku. „Aurora” – wyszeptałam sama do siebie. Na ścianie w połączanej ramie powieszono jej namalowany portret z rozwianymi włosami w wianku z kwiatów maku. Na płótnie uwieczniono jej okrągłe, wielkie źrenice iskrzące uwodzicielskim blaskiem. Z niedomkniętej szafy wystawały sukienki, kapelusze, skórkowe rękawiczki

z rozciągaczem z kości słoniowej, kostiumy *tailleur* i inne części garderoby. Chwyciłam ręką jedwabną apaszkę i przysunęłam ją do twarzy, a wtedy ledwo wyczuwalna woń perfum pomieszana ze stęchlizną zalała moje nozdrza. Aurora była piękna, tak bardzo, że poczułam, jak tysiące szpilek wbijają się w moje ciało i serce.

Tkwiłam przez chwilę w bezruchu. Przymknęłam powieki, a w wyobraźni zobaczyłam wszystkie szczęśliwe chwile, jakie razem przeżyli, ich pierwszy pocałunek, namiętne zespolenie ciał, wspólny śmiech oraz momenty wzruszeń. Te poranki i wieczory, gdy budzili się i zasypiali w swoich objęciach, aż do tego straszego dnia, gdy zniknęła bez śladu. Wydawało się, że w tym miejscu jest cały czas obecna.

– Lauro? – Ktoś wołał moje imię. Próbowałam się pośpiesznie wycofać, ale Lothar stał już w progu.

– To nie tak, jak myślisz – usprawiedliwiłam się, kierując moje kroki do wyjścia.

– Co ty robisz?! – spytał, starając się wyraźnie ukryć wzburzenie.

– Przepraszam, nie chciałam... Naprawdę nie wiem, dlaczego tutaj weszłam... Nie powinnam... – próbowałam załagodzić sytuację, ale wewnątrz mojego serca przechodził teraz prawdziwy tajfun zazdrości.

– Niczego nie ruszałaś? – zapytał, marszcząc brwi, a ja pokręciłam przecząco głową. – Zostaw, proszę, wszystko tak, jak było... – rzucił, sprawdzając nerwowo, czy żaden z przedmiotów nie zmienił swojego położenia.

– Po co trzymasz te wszystkie rzeczy?! – nie wytrzymałam i zadałam pytanie, które od samego początku cisnęło mi się na usta. Wyczuł chyba, że kryło w sobie zarzut. – Czy ciągle masz nadzieję, że ona wróci?

– Proszę, przestań... – odezwał się teraz już spokojniejszym tonem.
– Chciałbym o tym wszystkim zapomnieć, ale na razie nie potrafię... Wyjawiłem ci, co się stało. Zwierzyłem się tylko tobie, bo mam do ciebie zaufanie. To z pewnością był nieszczęśliwy wypadek. Ani ona, ani ja tego nie chcieliśmy... Tamtej feralnej nocy, gdy...

– Już mi o tym opowiadałeś! – przerwałam, nie chcąc dłużej słuchać opowieści o kobiecie, której tak bardzo nienawidziłam, chociaż na to nie zasłużyła. – Żyjmy, proszę, naszym życiem. Sam mi to ciągle powtarzasz, chociaż urządziłeś w swoim domu ołtarz dla tamtej miłości...

– To była moja żona...

– Nie chcę tego słuchać!

– Mówisz tak, jakbyś była o nią zazdrosna. To absurdalne!

– Dla mnie nie... – broniłam się, czując słony smak łez, które spływały powoli po moich policzkach.

– Dobrze, skoro tego chcesz! – Ze złością chwycił zamszowy album z fotografiami.

– Co zamierzasz? – zapytałam, łapiąc go za rękaw, ale wyrwał mi się i ruszył wprost w stronę kominka, gdzie paliły się szczapy drewna.

– Niszczę moje wspomnienia. Robię to dla ciebie, żebyś dała wreszcie spokój! – wykrzyczał, nie panując nad emocjami. Odkręcił zębami korek od stojącej na barku butelki i polał kartki alkoholem, po czym wrzucił je w płomień. Łatwopalna substancja szybko obróciła wszystko w pył. Patrzyłam, jak ogień trawi kolejne strony, na których uwieczniono sceny z ich życia. Nagle spostrzegłam wśród płomieni fotografię przedstawiającą damę w kapeluszu z woalką. Patrzyłam na nią jak zahipnotyzowana. Widziałam, jak klisza robi się czarna, jak miejsca po oczodołach zmieniają się w wypalone otwory. Wstrzymałam oddech, czując, że zaczynam

krztusić się dymem. Dusiałam się i nie umiałam na nowo zaczerpnąć powietrza. „Nie, nie!” – krzyczała niemo moja rozdarta dusza. „To nie może być ona...” Powtarzałam te słowa uporczywie w swoich myślach, a serce rozrywało mi się z rozpacz...

ROZDZIAŁ XVII

Lipcowe słońce prażyło bez litości. Ukojenie niosła nadmorska bryza, która była prawdziwym wybawieniem w skwarne dni. Woda rozpryskiwała się z hukiem na falochronach, do których przyczepiały się omułki. Plażę pokrywały kłęby piany, przez co wyglądała, jakby ktoś właśnie wyszedł z kąpieli w łaźniakowej wannie. Oderwane obłoczki piany tańczyły na wietrze, przesuając się po mokrym piasku. Zimą zwykle gromadziło się jej więcej. Na początku ten widok mnie zadziwiał, ale później dowiedziałam się, że to wynik metabolizmu alg żyjących w głębinach morskich. Ich produkty przemiany materii były bardzo bogate w białko, które ulegało spienieniu wraz z wyrzuceniem na brzeg przez fale.

Już przyzwyczaiałam się do tłumów plażowiczów, które na kilka letnich tygodni zalewały wyspę, tak że ciężko było się przecisnąć na molo i przejść wzdłuż bulwarów spacerowych. W letnich miesiącach nie można było znaleźć wolnych koszy plażowych. Na wydmach czasem rozstawiali swoje sztalugi malarze, zaciągający się fajkami z długim cybuchem. Uwieczniali na płótnie niezwykle pejzaże lub wykonywali portrety.

W takie pogodne dni czułam, że kocham to miejsce i nigdy nie zechcę go opuścić.

Posiadłość na czerwonym klifie po powrocie moich córek znów nabrała życia. Z dobrymi wynikami przeszły do następnej klasy. Adalia, w przeciwieństwie do starszej siostry, miała słabsze stopnie z matematyki, chemii i fizyki. Nigdy nie była dobra z przedmiotów ścisłych. Brylowała za to w muzyce, sztuce i literaturze. Skrycie marzyła o karierze gwiazdy filmowej. Mieszkając na co dzień

w dużym mieście, często bywała w kinie, gdzie z wypiekami na twarzy oglądała projekcje niemych filmów, takich jak *Gabinet doktora Caligari*, *Metropolis*, *Nibelungi* czy *Nosferatu*. Rewolucją stało się wprowadzenie filmów dźwiękowych. Jako jeden z pierwszych miałam okazję oglądać *Całuję twoją dłoń, madame* z udziałem Marleny Dietrich. Możliwość nie tylko podziwiania gry aktorskiej, ale i słyszenia dialogów odbierałam jako cud techniki. Przypomniałam sobie pierwszą projekcję filmu na dużym ekranie, w której uczestniczyłam. Była to *Podróż na księżyc* z 1902 roku. Tak wiele zmieniło się przez te lata...

Dziewczynki bardzo wyrosły w ciągu tych tygodni rozłąki, co widać było głównie po ich ubraniach. Sukienki ledwo sięgały im do kolan. Widziałam, że nabierają także kobiecych kształtów. Zarysowała im się talia, a pod sukienkami zaczęły uwidaczniać się piersi. Wydawało mi się, że spoważniały i wydoroślały. Po powrocie przystąpiły do pakowania swoich ostatnich lalek i zabawek, prosząc, abym przekazała je potrzebującym dzieciom, czym zaakcentowały swoją dorosłość. W bezwietrzne dni chodziły grać w badminton albo poczytać książki na wybrzeże. Pani Edeltraud dawała im na drogę kanapki, mirabelki, papierówki i głowę dojrzałego słonecznika, który wyrósł na grządkach w naszym warzywniku.

Wiedziałam, że był to dla dziewczynek także pretekst, aby wyrwać się z domu i przebywać w męskim towarzystwie. Nie brakowało młodzieńców popisujących się przed młodymi damami lekkoatletyką, pływaniem, grą w siatkówkę czy też boccie. Czasem moje córki dołączały do chłopców i dziewcząt z wyspy bawiących się w grę, którą znałam także z czasów mojej młodości, o nazwie „zakochany, zaręczony, poślubiony”. Gracze ustawiali się w kręgu i rzucali do siebie piłkę, a osoba, która nie zdołała jej złapać,

otrzymywała kolejno wymienione w nazwie statusy, aż w końcu odpadała. Wygrywał ten, który pozostał do końca.

Hanna od powrotu wydawała się smutna i milcząca. Sądziłam, że zapewne miało to związek ze sprawami sercowymi, nie chciała się jednak przede mną otworzyć. Cierpiałam razem z nią, obserwując ją z boku, choć wiedziałam, że zawody miłosne są nieodłącznym elementem dorastania.

Pewnego dnia Hanna przybiegła do biblioteki, gdzie zgłębiałam literaturę naukową.

– Mamo, czy mogłabym przenieść się na pensję do Berlina? Podobno mają tam szkoły na najwyższym poziomie! – zawołała od progu. – Byłabym w połowie drogi pomiędzy obydwoma domami. Wiesz, tato jest teraz taki samotny... Mogłabym częściej go widywać. Na pewno by się bardzo ucieszył. A później rozpocząłabym studia w Charité – wyliczała zalety. Od razu domyśliłam się, jaki był ukryty cel jej pomysłu.

– Myślę, że plan nie jest zły. Ale musiałabym omówić to najpierw z twoim ojcem – odparłam. – Zobaczymy, czy to możliwe.

Drugą część lata córki miały spędzić u Tadeusza. Ostatnimi czasy w swoich listach przestał wspominać o rozwodzie, proponując spotkanie i jeszcze jedną spokojną rozmowę. Czułam, że sprawy mogą przyjąć taki obrót. Nerwowo pogmiotłam kolejną kopertę z korespondencją od niego, zwinęłam ją i wrzuciłam do kosza. Nie wyobrażałam sobie, że mogłabym zmienić decyzję. Niemożliwe byłoby zbudowanie czegoś nowego ze zgliszczy na gorącym jeszcze pogorzeliisku.

Moje latorośle najwyraźniej trzymały stronę ojca, bo za każdym razem, gdy wychodził ten temat, zaciekle go broniły. Bolało mnie to, bo uważałam, że ich osąd nie jest w pełni sprawiedliwy. Wyczułam, że namawiałyby mnie do powrotu, tylko nie miały

odwagi poruszyć tej kwestii. Tym bardziej musiałam uważać, aby uczucie, które wybuchło między mną a Lotharem, pozostało w absolutnym sekrecie, co jednak stawało się coraz trudniejsze. Odkąd nie mieszkałam sama, nakazałam mu zaprzestać odwiedzania rezydencji na czerwonym klifie. Przyjął to z chłodnym spokojem, twierdząc, że rozumie moją sytuację. Widziałam jednak w odbiciu jego źrenic niewysłowioną tęsknotę za minionymi chwilami, które na jakiś czas miały pozostać jedynie wspomnieniem. Ja także przeżywałam to, że znów kładłam się do łóżka sama, a budząc się w środku nocy, nie słyszałam jego równego oddechu ani nie mogłam wtulić się w męskie ramiona. Nie było jednak innego wyjścia.

Pozostały nam spotkania w szpitalu. Czasem odwiedzałam jego gabinet, gdy już ambulatorium było puste. Pewnego dnia zastukałam do drzwi, będąc niemalże pewna, że jest sam. Weszłam do środka i zastałam na kozetce pacjentkę. Chciałam się pośpiesznie wycofać, ale doktor Arens mnie zatrzymał.

– Niech pani zobaczy, co potrafi nowoczesna medycyna! – zwrócił się do mnie oficjalnie, jak zawsze w podobnych sytuacjach.

To powiedziawszy, podszedł do kobiety, niewiele młodszej ode mnie. Ujął delikatnie w dłoń jej podbródek, prezentując mi nos. Domyśliłam się, że najpewniej przeszła zabieg jego rekonstrukcji.

– To przeszczepiony odłamek kostny z talerza biodrowego. Najpierw wszczepiono go do przedramienia, gdzie otoczony skórą stworzył zarys przyszłego nosa. Dopiero wówczas przeniesiono całość na twarz – prezentował doktor z dumą. – Operował kolega Goldman, do którego chorą skierowałam z powodu kilaka. Był rozległy i zniszczył przegrodę nosową.

– Mam teraz nową twarz – rzekła kobieta, a na jej obliczu umęczonym bólem i cierpieniem pojawił się uśmiech.

– Prawdziwy cud! – wyszeptałam z podziwem i wzruszeniem, bo takie momenty zawsze przypominały mi, że medycyna to nieustanna walka, której napędem jest wola życia pacjentów.

– To bardzo przejmująca historia – dodał Lothar. – Myślę, że nie będzie pani miała nic przeciwko, jeśli opowiem ją doktor Laurze Kader? – zwrócił się do niewiasty, która skinęła z przyzwoleniem głową. – Gdy pacjentka miała zaledwie kilkanaście lat, została zgwałcona przez człowieka chorego na syfilis, który wierzył, że współżycie z dziewczicą wyleczy go z choroby. Tak się oczywiście nie stało. Za to zaraził kolejną, niewinną istotę, skazując ją na prawdziwe tortury...

– Niestety, słyszałam o tym przesądzie, który pomimo postępu wiedzy w dalszym ciągu jest w niektórych kręgach popularny... – W moich oczach odmalowało się współczucie dla tej kobiety.

W kulturach starożytnych, gdzie znana była kara polegająca na odcięciu nosa, z czasem wykształciły się techniki jego odtwarzania. Pierwsze wzmianki na ten temat można znaleźć już na papyrusach. Odtworzenie utraconej części ciała ze skóry policzka praktykowano od dawna w Indiach. W późniejszym okresie, a dokładnie w 1597 roku, we Włoszech Gaspare Tagliacozzi, profesor chirurgii i anatomii na Uniwersytecie Bolońskim, opublikował dzieło *De curtorum chirurgia per insitionem*, mówiące o naprawie defektów poprzez przeszczepy. Ilustracje przedstawiały odtworzenie nosa przy użyciu płata nasadowego bicepsa. Pozostawał on przyczepiony do twarzy przez trzy tygodnie po zabiegu, w czasie których dokonywano rekonstrukcji i ostatecznie – odcięcia ręki połączonej z twarzą. Operacje te wykonywano najczęściej żołnierzom rannym w czasie walk. Do tego z czasem doszła konieczność rekonstrukcji nosa zniszczonego na skutek

zaawansowanej kiły. Inne metody, jakich się chwymano, to chociażby używanie arszeniku lub parafiny.

– Na szczęście tym razem udało się chociaż częściowo pomóc. Pacjentka wierzy, że teraz rozpoczyna życie na nowo, już jako zdrowa osoba, bez piętna kalectwa – powiedział doktor Arens, pomagając jej wstać i odprowadzając kobietę do drzwi.

Odczekał jeszcze kilka sekund, aż oddaliła się korytarzem, po czym przekręcił klucz w zamku i podszedł do mnie.

– Nie wytrzymam tego dłużej, Lauro... Ta cała sytuacja jest dla mnie torturą... Dlaczego tak musi być? – zapytał, zbliżając swoją twarz do mojej. Stykaliśmy się teraz czołami, a on głąaskał mnie delikatnie po policzku. – Czy twój mążnek robi ci jakieś trudności? – dopytywał, wpatrując się we mnie.

Widziałam w jego źrenicach swoje odbicie i przez chwilę milczałam.

– Chyba że ty nie jesteś pewna, czy... – Bał się dokończyć.

– Ależ nie! – zaprotestowałam. – Wiem, czego chcę, i na pewno nie wrócę do męża! Nie mam pojęcia, dlaczego tyle czasu musimy czekać... – skłamałam, nie chcąc wyjawic prawdy. Wiedziałam, że wcześniej czy później będę musiała spojrzeć w oczy Tadeuszowi i nie będę mogła dać się złamać.

Cieszyłam się, że Lilia i Róża wspierały mnie w moim postanowieniu szukania szczęścia i obrania innej drogi, niż oczekiwały tego społeczne konwenanse. Niestety, nie mogłam w tym względzie liczyć na zrozumienie mojej przyjaciółki Iris. Od dnia, kiedy opuściłam mój dom, przestała odpisywać na moje listy, dając tym samym wyraz swojej nieprzychylności wobec mojej decyzji. W judaizmie każda ceremonia zaślubin była traktowana jak odnowienie przymierza, czyli związku zawartego pomiędzy Bogiem a ludem Izraela na górze Synaj. Była to rzecz święta i tylko

naprawdę wyjątkowe okoliczności dopuszczały unieważnienie związku. Nie był to pierwszy moment, kiedy nasze spojrzenia na świat okazały się diametralnie różne. Prawdziwa przyjaźń jednak powinna przetrwać nawet w tak trudnych momentach...

– Czymś się martwisz? – z zamyślenia wyrwał mnie zatroskany głos Lothara.

– Chyba jestem po prostu zmęczona – odparłam, rozmasowując sobie palcami skronie. W tym momencie naszą wymianę zdań przerwało pukanie do drzwi. Pośpiesznie się cofnęłam.

– Doktor Kader! Wszędzie pani szukam! – oświadczyła pielęgniarka, gdy weszła do pomieszczenia. – Widziałam, że na podjeździe stoi jeszcze horsch należący do pani, tym samym pomyślałam, że nie opuściła pani budynku.

– W czym mogę pomóc? – zapytałam, starając się ukryć niezadowolenie wynikające z tego, że przyłapano nas razem, gdy byliśmy sam na sam w gabinecie.

– Przyszła pewna biedna staruszka. Nazywa się Sylta Holz.

– Ile ma lat?

– Chyba z dziewięćdziesiąt! – odparła moja rozmówczyni, wykrzywiając usta i machając ręką. – Nikt tego nie wie na pewno! Nawet ona sama nie ma pojęcia, kiedy ani gdzie się urodziła.

– Pewnie to otępienie starcze – podsumowałam.

– Kiedy ona taka była podobno od młodości, odkąd tutaj przybyła. Tak powiadali najstarsi mieszkańcy wyspy. Ciężko się z nią czasem porozumieć, bo prawie się nie odzywa, a jej mowa bywa powolna i niewyraźna.

– Może to jakaś wrodzona przypadłość albo przeszła w młodości poważny uraz głowy? – Moja rozmówczyni w odpowiedzi wzruszyła ramionami. – Z czym teraz się do nas zgłasza?

– Nie chciała wyjawic. Powiedziała, że pokaże wszystko dopiero lekarzowi.

– Proszę jej oznajmić, że zaraz ją przyjmę – odparłam, po czym ruszyłam w stronę wyjścia, zabierając z krzesła moją lekarską torbę. Doktor Arens odprowadził mnie spojrzeniem do drzwi. Musieliśmy zachować profesjonalny dystans.

Wiekowa pacjentka w milczeniu rozebrała się przede mną. Widziałam, że wstydziła się swojego problemu i przysła do mnie jedynie z konieczności. Moim oczom ukazała się wypadnięta macica. Popatrzyłam na nią ze współczuciem, a ona odwzajemniła spojrzenie. Miała duże oczy oraz mieniące się kolorem szmaragdu tęczęwki, które otaczała pomarszczona i opadająca skóra powiek. Byłam przekonana, że w młodości musiała być anielsko piękną kobietą.

Problem, z którym przychodziła, ostatnimi czasy zdarzał się także u zupełnie młodych niewiast, zmuszonych do pracy ponad siły w czasie wojny, gdy mężczyźni walczyli na frontach.

– Dużo pani miała dzieci?

– Dziesięcioro – wycharczała z trudem. – I aż ośmioro dożyło dorosłości – dodała, po czym złapała moją dłoń wychudzoną ręką i ścisnęła ją jakby w akcie rozpacz.

Popatrzyłam na jej zniszczoną, pogrubiłą skórę pokrytą *lentigo senilis* i garbaty kręgosłup. Nie miałam wątpliwości, że jej życie wypełnione było kieratem. Do tego doszły ciąży i porody.

– Da się coś z tym zrobić? – zapytała, cedząc powoli każde słowo.

– Konieczne jest wykonanie operacji – orzekłam, stwierdzając w duchu, że najskuteczniejsza będzie w tym wypadku kolporrhaphia przez zdwojenie ściany pochwowej. – Postaram się, aby odbyła się jak najszybciej – obiecałam.

Dostrzegłam wyraz ulgi odmalowujący się na jej twarzy. Próbowałam dowiedzieć się od niej czegoś więcej, ale niestety niewiele była w stanie mi przekazać. Obiecałam sobie przeszukać archiwum, bo musiała już kiedyś być tutejszą pacjentką. Gdy się żegnałyśmy, raz jeszcze mnie uścisnęła.

– Jest pani dobrym i pomocnym człowiekiem. – Ostatnie słowa wypowiedziała z namaszczaniem.

– Po prostu jestem człowiekiem... – szepnęłam bardziej do siebie, bo starsza kobieta powoli się już oddalała, zostawiając mnie samą.

* * *

Tego dnia, gdy nacisnęłam klamkę drzwi wejściowych do domu, dopadły mnie wrzawa i krzyki. Z przerażeniem stwierdziłam, że w środku fruwało mnóstwo białego pierza. Nagle moim oczom ukazała się przedziwna scena. Pierwsza leciała dorodna gęś, siejąc po drodze prawdziwe spustoszenie. Za nią biegł bury kocur, pewien, że w końcu ją dopadnie. Adalia i Hanna próbowały pochwycić zwierzęta. Całość zamykała zasapana i czerwona z wściekłości pani Edeltraud.

– Kupiłam na targu żywy drób – rzuciła do mnie od progu, przystając i poprawiając ręką zsunięty z włosów czepek. – Mówię do siebie, że oskubię go i będzie jak znalazł do wielkiego gara na rosół. Przycisnęłam go w środku cięższymi sprawunkami, aby nie uciekł. Ale panienki zajrzały do kosza i uwolniły ptaszysko! – wykrzyczała, wznosząc ręce ku niebu, jakby stamtąd oczekiwała pomocy.

– Tylko spokojnie! – odparłam, zostawiając przy drzwiach nakrycie wierzchnie i берет.

– Do licha z tym! – przekląła pani Edeltraud. – A jeszcze chciałam smalcu na zimę zrobić! Będzie jak znalazł do nacierania

na przeziębienie! Chce człowiek dobrze, a zawsze wyjdzie nie tak... – słyszałam za plecami jej pretensje.

– Mamo, złapałam ją! – krzyknęła Hanna, przynosząc na rękach przerażoną gęś. Patrzyła swoimi małymi jak główki od gwoździ oczami, jakby próbowała wybadać, co ją czeka.

– Kota wyrzuciłam do ogrodu – wtórowała jej Adalia.

– I niech tam już zostanie na wieki wieków! – dokończyła pani Edeltraud. – Co to za moda, żeby sierściuchy z ludźmi pod jednym dachem mieszkały! – Kręciła z dezaprobatą głową. – Czekaście no, zaraz pójdę po tasak, zanim znów nam gdzieś pryśnie! – powiedziała, patrząc w stronę uciekiniarki.

– Nie! – Jedna z moich córek osłoniła ptaka swoim ciałem. – Nie możemy tego zrobić! Prawda, mamo? – Popatrzyła błagalnie, prosząc mnie o wstawiennictwo.

Tego wieczoru na kolację jadłyśmy kluski śląskie i gotowaną kapustę. Na talerzu światło odbijało się od pustego miejsca, gdzie miało leżeć udko z gęsi. Zamiast tego z kąta w kuchni raz po raz dobiegało donośne gęganie.

– Chyba chce jeszcze ziarna! – oświadczyła Hanna. – Strasznie była wygłodniała!

– Nasz dom będzie niedługo jak z powieści *Doktor Dolittle i jego zwierzęta* – poparła ją uradowana siostra.

– Jutro macie znaleźć zagrodę, w której ktoś ją przyjmie! Już o tym rozmawiałyśmy – upomniałam córki. – Nie możemy trzymać tutaj gęsi. Kompletnie nie znam się na hodowli! Nie wspominając już o tym, że nie mam na to czasu... – oznajmiłam stanowczo mimo rozczarowania odmalowującego się na twarzach córek.

Wieczorem odwiozłam naszą gosposię na stację kolejową, po czym udałam się na nocny spoczynek. Zasnęłam od razu, gdy tylko ciężkie od zmęczenia powieki się zamknęły. Wybudził mnie

jednak dziwny szmer dochodzący z ogrodu, jakby ktoś przedzierał się przez krzaki. Usiadłam na łóżku z szybko bijącym sercem, nasłuchując. Wtem pochwyciłam odgłos małych kamyczków uderzających o szybę. Podeszłam do parapetu i wyjrzałam na zewnątrz. Na dole stał Lothar, oświetlony jedynie poświatą księżycową.

– Lauro! – szepnął, gdy otworzyłam okno.

– Co ty tutaj robisz? – odparłam wzburzona. – Przecież ktoś może cię zobaczyć! Wiesz, że nie jestem sama...

– Nie mogłam już wytrzymać bez ciebie...

– Zachowujesz się jak *petit-maitre*! Ile ty masz lat?! – zwróciłam mu uwagę, starając się mówić jak najciszej.

– Po prostu jestem wariatem. Zakochanym wariatem! – poprawił się i roześmiał.

– Poczekaj... – odparłam, sprawdzając, czy nikogo nie ma w pobliżu i czy dziewczynki się nie obudziły. Czułam, jak złość ze mnie opada, a brzuch zaczyna drgać ze śmiechu. – Zaraz do ciebie zejdem...

Ufryzowałam pośpiesznie włosy, nakładając na nie perfumowaną pomadę, pomalowałam wargi i wzięłam do ust kilka miętowych pastylek dla odświeżenia. Wszystko musiałam robić po ciemku. Okryłam się pulowerem w kolorze przebiśniegów i zeszłam schodami na dół.

– Chodźmy na plażę... – zaproponował, pociągając mnie za sobą.

Nie oponowałam. Raz jeszcze tylko obejrzałam się za siebie, by sprawdzić, czy nikt nas nie śledzi. Ale cały budynek zdawał się pogrążony we śnie.

– Zamknij na chwilę oczy – poprosił Lothar, gdy byliśmy już blisko morza. Prowadził mnie ostrożnie, podtrzymując za ramię, po czym powiedział: – Teraz już możesz otworzyć!

Moim oczom ukazał się koc posypany płatkami dzikiej róży. W piasek powbijane było kilka palących się świec.

– Poczekaj! Odkorkuję tylko butelkę wina – rzekł i zabrał się za wyciąganie korka zębami. – Nie znalazłem korkociągu – wyznał zawstydzony. – Ale za to mam kieliszki!

Wręczył mi jeden i nalał do niego wytrawny trunek. Napełnił swój kieliszek i zbliżył do mojego. Szło brzdęknięto delikatnie. W krwistoczerwonej toni odbijały się miliony gwiazd.

– Za ciebie i za mnie – rzekł, wpatrując się w moje oczy. – I za to, abyśmy mogli się razem szczęśliwie zestarzeć...

– Za nas... – powtórzyłam i upiłam spory łyk. Skrzywiłam się, bo napój był kwaskowaty.

Lothar zbliżył się i odgarnął moje włosy z czoła, składając pocałunki na moim karku i szyi.

– Przepraszam, ale dziś nie jestem w nastroju... – wyszeptałam, delikatnie się odsuwając.

Przypomniałam sobie jego ostatnie zachowanie podczas naszego zbliżenia i bałam się, że może je powtórzyć. Wiedziałam, że powinnam poruszyć z nim ten temat, ale ciągle nie miałam odwagi. Jak zawsze, gdy w relacji z drugim człowiekiem pojawiał się problem, wolałam go nie dostrzegać i uciec jak najdalej.

– Czuję się zmęczona, trochę boli mnie głowa. Po prostu usiądźmy i popatrzmy na morze...

– Jak sobie życzysz... – odparł doktor, siadając obok i chwytając moją dłoń. – Nic na to nie poradzę, że tak na mnie działasz. Jeszcze w życiu się tak nie czułem.

– A z nią? – zapytałam drżącym głosem, przełykając z trudem ślinę. – Jej tak nie kochałeś?

– Kochałem ją inaczej. Każda miłość jest inna i niepowtarzalna. Poznałem ją w czasie Wielkiej Wojny. Była sanitariuszką na froncie

i asystowała przy moich zabiegach. Ale była w niej niepokorna i buntownicza natura. Potrafiła zapalić cygaro, a wieczorami rzucić poplamiony krwią fartuch i przywdziać czerwoną suknię z falbanami, by z innymi tancerkami zabawiać żołnierzy kankanem.

– Ja taka nie jestem...

– I nie musisz być! Ona miała w sobie jakieś szaleństwo. Ostatecznie to ją zgubiło...

Wziął głęboki wdech i wpatrzył się w dal. Widziałam, jak ciężko oddycha, zanim znów się odezwał i zaczął wspominać. Wypity alkohol musiał popłynąć tętnicami do mózgu, bo Lothar zaczął się przede mną otwierać. Nie spodziewałam się takich zwierzeń, ale mu nie przerywałam.

– Pamiętam, jak pewnego dnia opuściliśmy obóz, udając się do okopów, by opatrywać rannych. Było to na początku wojny, jesienią 1914 roku. Kiedy jeszcze każdy wierzył w rychłe zwycięstwo. Mieliśmy pecha, bo trafiliśmy akurat na linię ostrzału. Pociski dziurawiły karoserię samochodu, tak że wyglądał niczym szwajcarski ser. To ja byłem wówczas kierowcą i próbowałem uciekać, ale zdołano przestrzelić nam opony. Stłukła się przednia szyba i posypało się szkło, raniąc nas dotkliwie swoimi odłamkami. Trzeba było bezzwłocznie opuścić pojazd. Mieliśmy na ramionach opaski z krzyżem, ale one nie uchroniły nas przed lufami karabinów. Osłaniałem ją własnym ciałem... Czułem, jak cała drży, chociaż nawet nie krzyczała. Byłem pewien, że oboje zaraz zginiemy. W życiu tak się nie bałem. Pragnąłem tylko, aby śmierć była jak najszybsza i w miarę bezbolesna. Nie mam pojęcia, jak długo to trwało, gdy wróg ostatecznie odpuścił. Zesztywniały ze strachu dłuższy czas nie miałem odwagi się ruszyć. Wsłuchiwałem się w nasze walące z przerażenia serca, które były jednym rytmem. Pierwsze, co zrobiłem, to sprawdziłem, czy mam

w dalszym ciągu dwie ręce i nogi oraz wszystkie palce. Potem uklęknąłem przed nią i się oświadczyłem. Nie wiem, co mi wtedy strzeliło do głowy. Zrodziła się we mnie taka nieodparta potrzeba... Byłem w szoku. Nie miałem, rzecz jasna, pierścionka, toteż użyłem w zamian metalowej nakrętki od śruby do czołgu, którą wygrzebałem z kieszeni... – westchnął z nostalgią, po czym ciągnął dalej: – Uznałem, że to, co razem przeszliśmy, było znakiem danym prosto od Boga. Byliśmy sobie pisani. Sądziłem, że skoro udało nam się wyjść cało z takiej opresji, to już nic gorszego się nie wydarzy... Myliłem się... – Wymawiając ostatnie słowa, popadł w melancholię.

– A jak ona zareagowała? – próbowałam nakłonić go do dalszych wynurzeń.

– Odrzuciła moją ofertę matrymonialną, sądząc, że nie jest poważna. Ale od tego momentu zwracała na mnie baczniejszą uwagę. Nie brakowało jej wielbicieli, toteż wcześniej mnie nie dostrzegała, mimo że mnie wpadła w oko już wtedy, gdy ją po raz pierwszy ujrzałem. Kolejny raz oświadczyłem się już tu, na Sylcie. Ale nie chcę o tym dłużej mówić... – urwał niespodziewanie, jakby zezłościł się na siebie, że zbyt wiele mi zdradził. – Teraz jesteś ty i tylko ty.

Zawiał zimniejszy wiatr, więc otuliłam się szczelniej okryciem.

– Następnym razem rozpalę ognisko – obiecał Lothar. – Będzie ciepłej.

Niebo stawało się coraz jaśniejsze. Lada moment mogło zacząć świtać. Nagle ogarnęło mnie znów to znane mi uczucie, że ktoś mnie obserwuje. Obróciłam się z przestachem i zobaczyłam nieruchomą czarną postać w oddali na wydmach.

– Tam ktoś jest! – zawołałam głosem ogarniętym trwogą.

– Gdzie?! – Lothar zerwał się na nogi i nerwowo rozejrzał się dookoła.

– Teraz się oddala! Zaraz zniknie mi z oczu! Popatrz, o tam! –
Wskazywałam rozpaczliwie palcem.

– Naprawdę nikogo nie widzę! – krzyknął bezradnie, próbując
przeniknąć wzrokiem ciemność.

Czarny cień rozplątał się w powietrzu tak samo niespodziewanie,
jak się pojawił. Stałam jeszcze dłuższą chwilę, wpatrując się
w piaszczyste wzniesienia, z których biła teraz pustka
i niewysłowiony smutek...

ROZDZIAŁ XVIII

Jak można być zazdrosnym o przeszłość, która już się wydarzyła i nas nie dotyczy? Pytałam o to samą siebie, próbując zrozumieć targające mną uczucia. Tego popołudnia, mimo że zbierało się na deszcz, udałam się do domu Lothara, mając nadzieję tam go zastać. Sądziłam, że Teresa będzie jechała jak co tydzień po sprawunki do Altony, gdzie czasem nawet zdarzało jej się zostawać na noc u rodziny. Pomyliłam się jednak.

Nie zdążyłam nawet zapukać do drzwi frontowych, a już zostały otwarte.

– Pani Kader! – zawołała od progu gospodyni swoim śpiewnym, radosnym głosem. – Jak miło panią widzieć! Zapraszam do środka. Zrobię pani coś ciepłego na rozgrzanie. Dopiero sierpień, ale dzień mamy dziś chłodny i wietrzny. Chyba tego roku jesień nadejdzie wcześniej – prorokowała.

Wciągnęłam głęboko do płuc rześkie, wilgotne powietrze.

– Czy jest doktor Arens? – wyrzuciłam z siebie, starając się, aby mój głos brzmiał jak najbardziej obojętnie.

– Bardzo mi przykro, ale niestety nie. Pojechał na wezwanie do szpitala – odparła z właściwą sobie kurtuazją. – Podobno pęknięty wyrostek... – westchnęła, zaciskając wargi dla oddania powagi sytuacji. – Zapewne wróci dopiero za kilka godzin. Ale proszę wejść! – zachęciła.

– Ależ nie chciałabym robić kłopotu! – broniłam się. – W zasadzie przyszedłam jedynie pożyczyć książkę... – skłamałam.

– Ach, rozumiem! – Wyszczrzyła zęby w uśmiechu. – Proszę powiedzieć tylko tytuł, a odnajdziemy ją w bibliotece! –

zaoferowała ochoczo.

W głowie miałam kompletną pustkę. Próbowałam pośpiesznie wymyślić, o jaką pozycję mogłoby mi chodzić.

– Potrzebny mi podręcznik do elektroterapii autorstwa Josefa Kowarschika – wypaliłam, bo tylko to przyszło mi na myśl. Teresa w odpowiedzi ściągnęła brwi i podrapała się palcami po brodzie.

– Poszukamy, czy doktor ma coś takiego. Proszę pozwolić ze mną na piętro. – Zaprosiła mnie gestem do środka.

W korytarzu poustawiane były liczne pudełka i drewniane skrzynie. Wystawiono też kilka par butów, zmechancone męskie swetry w kratę, płaszcze i kamizelki z dziurami, zapewne wygryzionymi przez mole.

– Przepraszam za ten bałagan! – Gospodyni złapała się za głowę. – Właśnie robię generalne porządki.

– Naprawdę proszę sobie nie robić wyrzutów! To w końcu ja przyszłam bez zapowiedzi.

Weszłam do salonu, spoglądając najpierw w kierunku aksamitnej sofy. Przeszedł po mnie delikatny dreszcz podniecenia na wspomnienie namiętnych chwil spędzonych na niej z Lotharem. Na szczęście nie można było zauważyć gęsiej skórki pod warstwą ubrań. Nie zdołałam się oprzeć, by chociaż nie dotknąć miękkiej tkaniny i przejechać po niej dłonią. Pomoc domowa doktora Arensa tymczasem przesuwiała palcami po grzbietach kolejnych woluminów stojących na regale. Nagle mój wzrok powędrował w stronę buduaru. Ku mojemu zaskoczeniu drzwi były otwarte na oścież, a ze środka ziała jedynie kłująca w oczy biel ścian. Czuć było jeszcze w powietrzu unoszący się zapach świeżej farby. Zatrzęsłam się i uszczypnęłam, jakbym próbowała przekonać się, że to, co widzę, nie jest snem.

– Jest! – krzyknęła nagle moja towarzyszka, aż podskoczyłam w miejscu. – Trochę zakurzona. Widocznie dawno jej nie czytał – powiedziała, przecierając okładkę i wręczając mi książkę.

– Dziękuję – odparłam wątłym głosem. Stałam się jakby zupełnie nieobecna. Miałam wrażenie, że moim sercem targa sztorm uczuć, na zewnątrz jednak musiałam zachować kamienną twarz.

– Coś blado pani wygląda – skwitowała życzliwie gospodyni, kiwając głową. – Proszę się rozsiąść wygodnie, a ja tylko wstąpię do kuchni i już do pani wracam. Właśnie wyciągnęłam z pieca babkę piaskową. Jeszcze ciepła! – zapewniła.

Chociaż nie miałam ochoty zostawać, wiedziałam, że powinnam uczynić to z uprzejmości.

– Czy napije się pani ze mną Ovomaltine? – spytała, zanim opuściła pokój. Był to napój ze sproszkowanego jaj i mleka z dodatkiem słodu oraz kakao, produkcji szwajcarskiej, polecany szczególnie dla wzmocnienia organizmu. Skinęłam głową, siląc się na uśmiech. – To na podniesienie odporności! Wszystkim nam się przyda, zanim przyjdzie zimna, deszczowa aura – dodała Teresa na odchodne.

Zostałam sama. Jeszcze raz popatrzyłam w stronę dawnego królestwa pani Arens. Bił z niego niemy, przejmujący chłód. Nie przestawało mnie nurtować, co się mogło stać z jej rzeczami. Nie mogłam jednak o to zapytać.

Po chwili gospodyni przyniosła dymiącą filiżankę i piętrową paterę z ciastem. Z trudem przełykałam kolejne kęsy, które stawały mi w gardle. Zaraz przybiegły też leonbergery, zwabione zapachem, i ułożyły swoje ogromne czarne kufy na moich kolanach. Śledziły każdy mój ruch w nadziei, że podzielę się z nimi jedzeniem, a z pysków ściekały im coraz dłuższe strużki śliny. Za każdym razem,

gdy mój wzrok spotkał się z ciemnobrązowymi ślepiami, merdały swoimi zakręconymi ogonami, strącając ze stolika różne przedmioty.

– Cukiernica! – Teresa złapała ją w ostatniej chwili, by nie rozprysnęła się na podłodze w drobny mak. – Okropne psiska! – zganiła je, wzdygając się z obrzydzenia. – Idźcie stąd! Proszę sobie wyobrazić, że ostatnio wytarzały się podczas spaceru w jakiejś padlinie i musiałam je szorować. Do teraz zbiera mi się na wymioty! – wyznała, ale po chwili zmieniła temat, najwyraźniej zorientowawszy się, że odbiera w ten sposób apetyt swojemu gościowi. – Miałam jechać na zakupy, ale podobno ma być nawałnica. Zapowiadali ją kilkakrotnie w rozgłośni radiowej. Proszę tylko spojrzeć na te chmurzyska. – To powiedziawszy, odsunęła zasłony z okna, za którym ukazało się szarostalowe niebo.

– Sądzę, że meteorolodzy się nie pomylili – stwierdziłam. – Uprzejmie dziękuję za gościnę. Powinnam już pójść, wolałabym zdążyć przed burzą... – wykorzystałam pretekst, by się pożegnać.

Na szczęście Teresa nie próbowała mnie zatrzymać. Szłam więc powoli przez ogród, czując krople dżdżu zmieszanego ze smagającym wiatrem odgarniającym mi włosy z twarzy. Raz po raz spoglądałam na trzymaną w rękę książkę, starając się osłonić ją, aby nie zmokła. Gdy wreszcie dotarłam z powrotem do siebie, odwiesiłam na hak ociekającą pelerynę przeciwdeszczową. W samą porę, bo morze huczało już, wyrzucając skłębione, pieniające się fale, a na niebie pojawiły się pierwsze błyskawice. Zapaliłam lampę, ale żarówka mrugała, jakby zaraz miała nastąpić przerwa w dostawie prądu, co zdarzało się dość często. Znużona udałam się po schodach na górę. Nawet nie wiem, kiedy zasnęłam w fotelu nad książką.

Gdy się obudziłam, towarzyszyło mi dziwne uczucie, że ktoś mnie obserwuje. Nasłuchiwałam uważnie, czy nie dobiegnie mnie jakiś szmer lub skrzypnięcie podłogowych desek, ale wokół panowała

niezmacona, hipnotyzująca cisza. Podeszłam do szyb, w które uderzał z impetem wiatr zmieszany z kroplami deszczu. Wydawało się, że w okolicy także nie było żywej duszy. Spojrzałam w stronę lustra w mojej sypialni, wpatrując się przez chwilę w swoje odbicie. Od dłuższego czasu miałam podkrążone oczy oraz ziemistą cerę i musiałam używać grubej warstwy pudru, aby to ukryć. Moje włosy, niegdyś gęste, teraz zaczęły wypadać. Na szczotce zostawały całe ich kłęby. Wszystko to wynikało z nadmiaru trosk i niepewności co do tego, co przyniesie przyszłość.

Nagle usłyszałam delikatne skrzywienie, a następnie trzaśnięcie frontowej furtki. Poderwałam się z bijącym sercem i ruszyłam, by wyrzeć przez okno na ścieżkę prowadzącą w stronę drzwi. W strugach ulewy ujrzałam kobiecą postać ubraną w czarną suknię z barażu i szal z kaszmiru. Była lekko przygarbiona i posuwała się powoli, osłaniając się parasolem. Na głowie miała biały kapelusz ze wstążką z tafty, ale nie potrafiłam dostrzec więcej szczegółów. Zastanawiałam się, kim może być i co tutaj robi wieczorową porą. Kilkakrotne, natarczywe dzwonicie przerwało moje rozmyślenia. Pośpiesznie zbiegłam na dół. Czując wewnętrzny paraliż, niezdarnym ruchem przekręciłam zamek i odsunęłam rygiel. Tajemniczy gość uniósł twarz, a wtedy moim oczom ukazało się białe, wychudzone oblicze. Tylko czarne tęczęwki, błyszczące jak dwa turmaliny, pozostały te same.

– Iris?! – wykrzyknęłam z niedowierzaniem, nie wiedząc, czy nie jest ona jedynie iluzją lub sennym wytworem mojej wyobraźni. – Jak mnie tutaj znalazłaś? – zapytałam, rzucając się jej na szyję.

– Ze stacji pojechałam prosto do szpitala, sądząc, że wskażą mi drogę. A tam spotkałam niejakiego doktora Arensa, który mnie tutaj przywiózł. To bardzo uprzejmy człowiek. Mój pociąg znacznie się

opóźnił przez sztorm – wyjaśniła po wejściu do sieni. Wyczułam bijące od niej przygnębienie. Przytuliłam ją jeszcze raz mocno.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię widzę. Tyle lat minęło! Co ty tutaj robisz? – Jeszcze raz zlustrowałam ją od stóp do głów, jakbym w ten sposób mogła odczytać powód tej niezapowiedzianej wizyty. Czułam, że przynosiła złe wieści.

– Kilka dni temu skończyłam szeloszim... – wychrypiała łamiącym się głosem, po czym zamilkła, sięgając do kieszeni po chusteczkę, którą otarła wilgotne oczy. Widziałam, jak walczyła sama ze sobą, zanim ponownie odezwała się grobowym głosem: – Mój mąż odszedł niespodziewanie na atak serca.

– Mój Boże! Tak mi przykro... – odparłam, dzieląc jej ból.

– Był sporo ode mnie starszy... A problemy zdrowotne miał już od dłuższego czasu, więc liczyłam się z tym, że ta chwila w końcu nadejdzie. Miałam nadzieję, że dane nam będzie spędzić razem więcej czasu, ale cóż, takie jest życie... – odparła z właściwym sobie rozsądkiem. – Teraz już oficjalnie mogę zakończyć żałobę.

Nigdy nie potrafiła okazywać uczuć, jakby była pokryta z zewnątrz szorstką skorupą. Nie pozwalała sobie także na rozczulanie się nad sobą czy chwile słabości. Zaprosiłam ją do środka i pomogłam wnieść bagaże dotąd stojące przed schodami.

– Mam nadzieję, że mój przyjazd nie będzie dla ciebie kłopotem? – zapytała, a ja pokręciłam przecząco głową. – Chciałam chociaż na chwilę wyrwać się z miejsca, gdzie wszystko przypominało mi o Samuelu. Wiem, że powinnam była cię uprzedzić...

– Ależ przestań! – przerwałam jej. – W tej sytuacji jest to całkowicie usprawiedliwione! Poza tym wiesz, że te drzwi są i pozostaną zawsze dla ciebie otwarte. Moje córki kilka dni temu wyjechały i jest tu teraz znów bardzo pusto... – wyznałam. – Pani Edeltraud, moja gosposia, wyruszyła w rodzinnych sprawach

do Wangen, skąd pochodzi, więc zostałam zupełnie sama. Poczekaj, zaparzę nam herbatę i podam konfiturę z róży – zaproponowałam.

Sięgnęłam ręką za piec, gdzie zawsze trzymałam zapałki, chcąc rozpalić ogień pod fajerkami. Pod palcami poczułam jedynie chłód kafli. Nagle spostrzegłam, że pudełko leży na stole. Byłam pewna, że go tam nie odkładałam. Obok mieniło się kilka zastygłych kropel wosku. Najpierw przyszło uderzenie gorąca, a potem pot wystąpił mi na czoło. Ktoś musiał być w moim domu, gdy zdrzemnąłam się w fotelu!

Zdenerwowana napełniając imbryk wrzątkiem, rozlewałam go na boki. Serce łomotało mi ze zdwojoną siłą. Nie chciałam dać po sobie poznać przed przyjaciółką, że coś jest nie tak. Rozstawiłam spodki i porcelanowe filiżanki z delikatną krakelurą na powierzchni, po czym przyniosłam rzeźbioną, secesyjną cukiernicę zamykaną na kluczyk. Iris przez dłuższy czas milczała, wpatrując się w haftowaną serwetę na stole. Chociaż cisza była męcząca, starałam się ją uszanować.

– Gdzie jest teraz twój syn, Aaron? – odważyłam się wreszcie odezwać.

– Wyjechał do moich rodziców. Nie chciałam, aby patrzył na to wszystko. Miałam nie najlepszy okres i momentami przestawałam sobie z tym radzić. Wróci dopiero na rozpoczęcie roku szkolnego. Bardzo przeżywa utratę ojca. Byli ze sobą silnie związani – wyznała z żalem w głosie.

– Ilu jest ludzi, którzy nie zasługują na dar życia, nie szanują go i wyrządzają światu wiele zła... Nikt by po nich nie płakał, gdyby z dnia na dzień zniknęli z ziemskiego padołu. Ale zwykle odchodzą właśnie ci, którzy są tutaj najbardziej potrzebni... Niezbadane są wyroki boskie i nie nam, zwykłym śmiertelnikom, je oceniać...

– Nasz Stwórca najwyraźniej lubi patrzeć, jak ludzie cierpią... – wtrąciła Iris z goryczą. – I nie doszukujemy się w tym żadnego wyższego sensu, bo go po prostu nie ma.

– Wierzę, że jednak jest. Sądzę, że nic nie dzieje się bez przyczyny. Chciałabym ci jakoś pomóc... Dodać otuchy...

– Są momenty, w których nie pomagają żadne słowa pocieszenia. Nikt nie może zresztą tego lepiej wiedzieć od ciebie... – przerwała, ciężko wzdychając. – Los cię nie oszczędzał i bywał bezlitosny. – Poczułam smak cierpkich łez spływających po policzkach. – Ale w życiu smutek jest tak samo potrzebny jak szczęście. Cierpienie wzbogaca człowieka o wiele bardziej niż arkadia. Kształtuje nasze człowieczeństwo i wrażliwość na świat – kontynuowała swój wywód.

Miałam wrażenie, że jej słowa stają się coraz odleglejsze, jakby przemawiała do mnie z zaświatów.

– Nie popełniaj, proszę, tego błędu, Lauro! – Kolejne zdanie wyrwało mnie z ponurych refleksji. – Wróć do Tadeusza. Może oddaliliście się od siebie, ale powinniście dać sobie jeszcze jedną szansę. Tyle razem przeszliście i udowodniliście nieraz, że potraficie stawić czoła problemom. Będiesz tego żałować, jeśli nie spróbujesz. Jeżeli to małżeństwo się rozpadnie, to głównie z twojej winy!

Przez kilka sekund nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Parę razy otwierałam usta, ale nie byłam w stanie wydobyć z siebie żadnego słowa.

– Mieszkasz tutaj praktycznie sama, w wielkim, przygnębiającym budynku. – Rozejrzała się dookoła, gdy zegar smętnie oznajmił północ. – Od ścian odbijają się echa twojej samotności. Od tego można popaść w szaleństwo... Problemy z twojego poprzedniego życia przyjechały na wyspę razem z tobą. Sądziłaś, że się

od wszystkiego uwolnisz... że uciekniesz, bo tak było ci najłatwiej. Zamiast stanąć do walki.

– To nie tak! – zaprotestowałam, pragnąc, by chociaż na chwilę zamilkła. Jej przemowa była jak sól sypana na świeże rany. Moja rozmówczyni znana była jednak ze swojej szczerości. Nawet przyjaciół nie oszczędzała, konfrontując ich z bolesną prawdą, wewnątrz przekonana, że czyni to dla ich dobra.

– Ktoś musi tobą potrząsnąć, zanim popełnisz następne głupstwa! Nie oczekuj, że ludzie będą ci zawsze mówić to, co chcesz od nich usłyszeć, i utwierdzać cię w błędnych decyzjach.

– Zatem co twoim zdaniem powinnam zrobić?! – spytałam prowokująco. – Tak łatwo przychodzi nam ocenianie innych!

– Lauro, znam cię od bardzo dawna. Martwię się, że zmierzasz w złym kierunku. Chciałam cię tylko ostrzec. Twoja sprawa, czy zechcesz mnie posłuchać – odparła łagodząco, widząc moje wzburzenie.

Gdy Iris udawała się na nocny spoczynek, pożegnałam ją sucho i ozięble, dając tym samym do zrozumienia, że jestem jej postawą rozczarowana. Zupełnie nie tego oczekiwałam. Przemknęło mi przez myśl, że może byłoby lepiej, gdyby nie zawitała w progi domu na czerwonym klifie.

Sen przyszedł szybko, gdy tylko przyłożyłam policzek do poduszki, ale później z niejasnych powodów wybudziłam się i nie potrafiłam z powrotem zasnąć, kręciłam się tylko nerwowo w łóżku. Znowu miałam wrażenie, że nie jestem sama i że ktoś mnie obserwuje. Pograżony w ciemności nieboskłon przeszywały wyładowania elektryczne, rozświetlając noc na krótkie chwile. W tym blasku wyrzeźbione na przyczółku kupidyny, podobnie jak niewiasta ze zwierciadłem, zdawały się mieć w sobie coś upiornego. Usłyszałam przeraźliwy trzask i zobaczyłam, jak gałąź jednej

z jabłoni obrywa się i spada na ziemię. Zastanawiałam się, jak długo jeszcze będzie trwała nawałnica i czy wyrządzi poważniejsze szkody. Rozmyślałam o starym safianniku i o tym, czy to w tej alkowie zapadł w letarg, po którym fałszywie uznano go za zmarłego. Ogarnęła mnie panika na myśl o tym, że jeśli w końcu uda mi się znów odpłynąć w marzenia senne, to już się więcej nie obudzę. Chociaż nie było w tym żadnej logiki, wywołało we mnie realny strach.

– Muszę wyrzucić ten przeklęty antyk – wyszeptałam do siebie.

Przyłożyłam po raz kolejny głowę do poduszki, starając się leżeć w całkowitym bezruchu. Sądziłam, że w ten sposób uda mi się uspokoić i wreszcie zasnąć. Wtem od ściany za komodą doszedł mnie dziwny pomruk, niczym czyjś głęboki oddech, i szelest, jakby coś przesuwano się po zewnętrznej stronie. Było to jednak niemożliwe, bo pokój graniczył w tym miejscu z klatką schodową. Próbowałam zapalić światło, ale nie było prądu. Zapaliłam więc naftową lampę i oślepiona przez chwilę jej płomieniem brnęłam naprzód, mrużąc oczy. Nacisnęłam klamkę i wyjrzałam na korytarz. Starałam się stąpać jak najciszej, by stare deski nie zaskrzypiały. Klatka schodowa była zupełnie pusta, raz po raz oświetlana błyskawicami. Nasłuchiwałam znów, ale dźwięki ustały tak samo niespodziewanie, jak się pojawiły. Nie zastanawiając się długo, wróciłam do sypialni i spróbowałam odsunąć ciężki mebel. Udało się wreszcie, choć było to okupione wielkim wysiłkiem. Ostukałam tapetę, ale nie wybadałam niczego ciekawego. W akcie desperacji zdarłam jeden pas, ale pokazała mi się tylko warstwa starej farby i spękany tynk.

– Popadam w obłąd – rzekłam do siebie, spoglądając w duże zwierciadło naprzeciwko mnie.

Zagadkowe odgłosy musiały być najpewniej wzniecone przez jakieś nocne zwierzę. Być może była to kuna albo zwykła mysz. Odłożyłam wszystko na swoje miejsce, ale gdy już wracałam, aby się znów położyć, potknęłam się i omal nie przewróciłam, kiedy moja noga wpadła w zagłębienie w podłodze. Najprawdopodobniej powstało w czasie przesuwania komody. Zasyczałam ze złością, zwijając dywanik z owczej skóry i przystając na chwilę, aby przyjrzeć się miejscu, w którym straciłam równowagę. Przetarłam oczy, by się upewnić, że to się dzieje na jawie.

– Tu jest jakiś schowek! – zawołałam sama do siebie.

Wcześniej nie zwróciłam na to uwagi, bo deski w tym miejscu były przysłonięte. Usunęłam jedną z nich i włożyłam rękę w zagłębienie. Serce biło mi jak oszalałe. Czułam pulsowanie całego ciała, ale chociaż płynęła w nim teraz wrząca krew, moje dłonie pozostawały lodowate. Pod palcami wybadałam skórzaną oprawę. Chwycałam znalezisko, by wyciągnąć je na zewnątrz.

– To czyjś dziennik... – stwierdziłam, kartkując pomięte, pożółkłe strony.

Moim oczom ukazało się wykaligrafowane czarnym tuszem imię: „Laura”. Dalsze kartki zawierały jego wielokrotne powtórzenie, zapisane literami o różnych stylach i różnej wielkości. Niektóre były staranne, inne nakreślone zamasztywym pismem, jakby osoba, która je tworzyła, działała pod wpływem pasji. Zapiski nie zawierały nic innego. Im bliżej było końca, tym więcej widziałam kleksów z krwistoczerwonego atramentu. Odrzuciłam od siebie z odrazą osobliwy pamiętnik, tak że upadł z hukiem na ziemię. W tym momencie wysunęły się z niego dwie fotografie. Podniosłam je ostrożnie. Jedna z nich przedstawiała wysoką, kamienną bramę. Miała półkolisty kształt i była porośnięta bluszczem. U jej szczytu zawieszona była latarnia. Sądząc po bezlistnych drzewach, zdjęcie

wykonano zimą lub późną jesienią. Na ulicy zdawała się unosić szara mgła. Na drugim negatywie uwieczniono młodego mężczyznę. Miał duże oczy, odrobinę wyłupiaste i wodnistojasne tęczówki. Pod nosem i dookoła ust widoczny był nieznaczny zarost. Rysy jego były bardzo delikatne, prawie kobiece. Wpatrywałam się w kliszę dłużej czas, bo spojrzenie owego człowieka wydawało mi się znajome. Nie mogłam jednak za nic przypomnieć sobie, gdzie je wcześniej widziałam. Obróciłam fotografię, aby sprawdzić, czy jest podpisana, ale zawierała jedynie datę: „20.12.1897”. Zrezygnowana wsunęłam zdjęcie z powrotem pomiędzy kartki, po czym zabrałam wszystko, co znalazłam, i położyłam w kuchni, by nazajutrz wrzucić papiery do pieca, gdy już będzie rozpalony.

Rzęsisty deszcz nie przestawał bębnić głucho o szyby. W dalszym ciągu szalała burza. Sprawdziłam jeszcze raz włączniki światła. Tym razem żarówka się zapaliła, migocząc wątłym światłem. Nagle ujrzałam na deskach w korytarzu mokre plamy, jakby czyjeś kroki. Prowadziły w stronę biblioteki, do której drzwi były uchylone, po czym urywały się na dywanie. Od razu przypominałam sobie zasłyszane historie o gongerach, czyli zmarłych duszach ludzi utopionych w morzu, powracających po śmierci do miejsca, gdzie mieszkali za życia. Chociaż wiedziałam, że to tylko ludowe wierzenia mieszkańców Fryzji, teraz, w środku nocy nabrały one realności. Po chwili paranoicznego lęku opanowałam się jednak, stwierdziwszy, że sprawcą całego zamieszania musiał być mój gość. Mogłam przypuszczać, że ta noc była bezsenna również dla Iris, która zapewne wybrała się na spacer, by w samotności pooddychać świeżym, nadmorskim powietrzem. Musiała zmoknąć, a wtedy schroniła się tutaj, wśród leciwych woluminów. Zawsze była moim księżkowym, chociaż irytowała się, gdy ją tak nazywano.

Podeszłam bliżej i chwyciłam klamkę u drzwi, by zamknąć pomieszczenie. Wtem do moich nozdrzy doleciał dziwny zapach, jakby padliny, od którego zebrało mi się na mdłości. Rozejrzałam się zaniepokojona po bibliotece, niczego jednak nie dostrzegłam. Uchyliłam jedno z okien, aby przewietrzyć wnętrze.

Dygocąc z zimna i próbując opanować emocje, wróciłam na górę. Zabrałam poduszkę i pierzynę, by skierować swoje kroki do jednej z dodatkowych sypialni. Wiedziałam, że po tym wszystkim, co było moim udziałem, nie chcę wracać do własnego łóżka.

Obudziło mnie dopiero odległe pianie kogutów. Wykonałam pośpiesznie poranną toaletę i ubrałam się. Gdy zesłam na dół, przy kuchennym stole siedziała już moja przyjaciółka. Zawsze była rannym ptaszkiem. Długie wysypianie się w jej mniemaniu było objawem lenistwa i gnuśności.

Miała mocno zafrasowany wyraz twarzy. Zatopiona w myślach, początkowo nie zauważyła mojego przybycia.

– *Moin, moin!* – zawołałam po fryzyjsku, a ona uniosła głowę.

– Dzień dobry – odrzekła nienaturalnym tonem, bacznie mi się przyglądając.

– Dobrze spałaś? – wyraziłam troskę, patrząc na jej podkrążone oczy.

– Tak... – odparła niezbyt przekonująco i zamilkła, by upić spory łyk z filiżanki, po czym ciągnęła: – Czy ty też czujesz ten dziwny zapach, jaki tutaj panuje?

– Co masz dokładnie na myśli? – odparłam zdezorientowana.

– Jest tutaj jakaś dziwna woń... Jakby gnijącego mięsa... Przypomina mi odór rozkładających się zwłok, jaki czułam w prosektorium.

– Być może moja gospodyni zostawiła jakieś jedzenie, które się popsuło... – zbyłam ją, nalewając sobie herbaty z dzbanka.

– To chyba nie to... Był wyczuwalny również w bibliotece. Tak naprawdę jest w całym budynku, tylko pewnie już zdążyłaś się do niego przyzwyczaić i nie zwracasz na to uwagi...

– Cóż, może koty zostawiły jakąś upolowaną przez siebie zdobycz i to powoduje ten fetor – spekulowałam, udając obojętność. – Zwrócę na to uwagę pani Edeltraud, gdy będzie sprzątać.

Poczułam szybko narastający niepokój. Moja towarzyszka tymczasem rzuciła okiem w stronę kaflowego pieca, na którym w nocy odłożyłam notatnik.

– Przepraszam cię za moją bezpośredniość. Nie mam w zwyczaju naruszania niczyjej prywatności... – zaczęła ostrożnie. – Ale gdy tutaj rano weszłam, ten memuar był otwarty. Uznałam więc, że nie jest niczym sekretnym...

Słuchałam jej uważnie, a przez głowę przeleciała mi niepokojąca myśl. Byłam przekonana, że zostawiłam notatki zamknięte...

– Zerknęłam do środka... Lauro, czy to należy do ciebie? – zapytała Iris z wyraźną trwogą.

– Nie! – zaprotestowałam gwałtownie. – Jak w ogóle mogłaś tak pomyśleć?! – rzekłam z nieukrywaną pretensją w głosie.

– Tak sądziłam, ale wolałam się upewnić – odparła, lecz niepokój nadal było słychać w jej głosie. – Kto jest zatem autorem tego dzieła? – zapytała, marszcząc brwi.

– Nie mam pojęcia! Odkryłam je zupełnie przypadkiem i nie zdążyłam zniszczyć, nim wpadło w twoje ręce... – odrzekłam, zmęczona koniecznością składania wyjaśnień.

– Czy te napisy zostały wykonane krwią? – spytała, wskazując na ostatnie kartki dziennika, a ja poczułam się, jakby moje ciało zostało rażone prądem.

– Trudno powiedzieć... Trzeba by było przeprowadzić badania z użyciem izoaglutynin. Ale chyba nie będę drażnić tego tematu –

skłamałam, żeby moja przyjaciółka dała spokój.

– Jak to?! – zdziwiła się. – Lauro, to z pewnością nie jest normalne! Ktoś, kto wykonał te napisy, najwyraźniej miał albo ma obsesję na twoim punkcie. Być może znajdujesz się w śmiertelnym niebezpieczeństwie! Moim zdaniem powinnaś opuścić to miejsce jak najszybciej – przestrzegła mnie. – To nie wróży niczego dobrego... – zakończyła posępnie.

– Jak to sobie wyobrażasz? Przecież mam pracę w tutejszym szpitalu, zobowiązania... Przeniosłam na Sylt całe moje dotychczasowe życie i ułożyłam je na nowo – wyliczałam, a w myślach przywołałam obraz Lothara. – Nie mogę z dnia na dzień po prostu wyjechać! Poza tym kto twoim zdaniem mógłby to zrobić? Dom wcześniej należał do Sybilli Gebler, mojej ciotki, która zginęła tragicznie. Nikogo innego tutaj nie znałam, a schowek został przygotowany przed jej śmiercią. Szczerze mówiąc, mojej krewnej też nigdy nie miałam okazji spotkać...

– Jesteś tego pewna?

– Nie rozumiem... – odparłam zdeorientowana.

– Czy masz przekonanie, że ta kobieta rzeczywiście była twoją familiantką? Lauro, to wszystko jest bardzo dziwne i podejrzane. Jesteś przeświadczona, że ona naprawdę nie żyje? Dla mnie wygląda to tak, jakby ktoś próbował zwabić cię do tego miejsca. Być może to pułapka... albo pomsta... – Zamilkła, jakby bała się dalej wypowiadać na głos swoje przemyślenia, bo były one zbyt straszne, aby mogły przejść przez gardło.

Słuchałam jej, a przez moje ciało przechodziły raz po raz dreszcze. Słowa Iris przeraziły mnie. W każdym nerwie i w każdym mięśniu czułam bolesne napięcie, które było nie do wytrzymania. Przypomniałam sobie wszystkie niewytłumaczalne odgłosy, jakie nieraz słyszałam nocą. Tajemnicze dudnienie roznoszące się echem

w ciemności, które tłumaczyłam sobie osiadaniem domu na grząskim terenie. Przedmioty, które zmieniały swoje położenie, jakby ktoś je przesuwiał pod moją nieobecność. Niemalże od samego początku, odkąd zamieszkałyśmy w tym domu razem z córkami, miałam przeczucie, że nie jesteśmy tutaj same. Do tej pory wydawało mi się to jedynie wytworem mojej wyobraźni, makabrycznym skutkiem przemęczenia. Sądziłam, że mimowolnie uległam przerażającym historiom, jakie opowiadano o klątwie ciężącej nad posiadłością. Przecież do tej pory nigdy nikogo podejrzanego tu nie widziałam, nie miałam też innych namacalnych dowodów czyjejs bytności.

– Ale jaki byłby sens tego wszystkiego? – odezwałam się, wpatrując się w nią bezradnie.

– Nie umiem odpowiedzieć ci na to pytanie. – Iris uniosła swoje ciemne oczy, przepełnione współczuciem i troską. Spojrzała na mnie, a przez jej źrenice przeszedł kasandryczny blask. – Musisz się tego dowiedzieć. Odkryć, jaka jest prawda, chociażby była ona najstraszniejsza. Musisz dociec, po co wezwał cię tutaj los. I proszę, nie zwlekaj, bo nie wiesz, ile zostało ci czasu...

ROZDZIAŁ XIX

Przeszłam przez bramę, na której obok krzyża widniał połączony napis *Congregatio Sororum Sancta Elisabeth*. Podążałam szybkim krokiem za powiewającym w pędzie czarnym habitem, ze szkaplerzem przepasanym białym sznurem z trzema węzłami i długim welonem. Przemierzałam krużganki, mijając arkady wsparte na ciągu filarów. Na ścianach powieszono były obrazy przedstawiające męczeńską śmierć osób wyniesionych na ołtarze. Minęłam malowidło, na którym uwieczniono ukamienowanie Świętego Szczepana. Kolejne płótno przedstawiało Świętego Dionizego, trzymającego swoją ściętą głowę, ociekającą jeszcze krwią. Na ostatnim portrecie anonimowy artysta upamiętnił postać z pustymi oczodołami. Była to Święta Łucja, która wyłupiła sobie oczy i której ciało, zanim umarła, polewano wrzącym olejem. Cała ta galeria napawała mnie grozą, mroząc krew w żyłach. Zmierzałam w stronę przyklasztornego zakładu opiekuńczego.

– Nie wiem, czy matka panią pozna – upредиła mnie zakonnica.
– Ostatnio jest coraz gorzej, jeżeli chodzi o jej pamięć.

– Zdaję sobie sprawę, że lepiej już nigdy nie będzie – odrzekłam, czując bolesny skurcz trzewi. – Ale muszę się z nią koniecznie zobaczyć – nalegałam.

– Wydaje mi się, że przebywa teraz w wirydarzu. Zwykle o tej porze pije tam herbatę. Na co dzień opiekuje się nią siostra Meluzja. Ona będzie w stanie udzielić więcej informacji. Ja dopiero niedawno przestałam być nowicjuską – wyjaśniła.

– Wiem, jestem z nią w stałym kontakcie listownym – zapewniłam. – Ale sprawa, w jakiej przybywam, jest poufna i chciałabym pomówić z matką na osobności – poprosiłam.

– W cztery oczy się nie da. Jest jeszcze Bóg – wyjaśniła, wskazując palcem na błękitny nieboskłon. – On słucha i odpowiada, nawet wtedy, gdy wydaje się nam, że milczy... Proszę pójść w stronę fontanny – poleciła mi na koniec.

– Bóg zapłać – odszepnęłam, udając się we wskazanym przez zakonnicej kierunku.

Rozglądałam się dookoła, przypatrując się wypielegnowanym rabatkom, na których rosły majeranek, szałwia, ruta, goździki i krokosz. Na ścieżce wysypanej białymi kamyczkami wyłoniła się przede mną drobna postać. Miała włosy w kolorze gołębiczych piór, starannie zaplecione w kok podpięty wsuwkami. Odziana była w suknię z białym żabotem, wykonaną z oliwkowego szyfonu. Położyłam delikatnie dłoń na jej ramieniu, aby dać znać o swojej obecności. Powoli obróciła się w moją stronę. Dłuższy czas wpatrywała się we mnie, nie wypowiadając żadnego słowa, po czym nagle po jej pomarszczonym policzku spłynęła łza.

– Laura... – szepnęła. – Córeczko...

– Poznałaś mnie! – Poczułam, że wzruszenie ściska mi gardło, i nie byłam w stanie powiedzieć nic więcej. Przyklękłam obok matki.

– Jak dobrze cię widzieć – powiedziała, przyciskając mnie do swojej piersi. – Nie ma chwili, abym o tobie nie myślała. Opowiedz mi, jak sobie radzisz. Jak twój mąż i dzieci?

– Wszystko w absolutnym porządku – skłamałam, nie chcąc jej martwić. – Jesteśmy bardzo szczęśliwi na Sylcie i nie chcemy stamtąd wracać. Można by rzec, że odkryliśmy swoje nowe miejsce na ziemi.

– Gdzie? – zapytała matka, robiąc ze zdziwienia duże oczy.

– Na tej fryzyjskiej wyspie, na którą się przeprowadziliśmy.

– A tak! Wspominałaś mi! I pisałaś o tym w korespondencji, którą czytają mi na głos – poprawiła się.

– Dom, który odziedziczyłam w testamencie, to posiadłość położona nad malowniczym, czerwonym klifem. Widać z niego taflę morza, gdy jest przypływ. Nieopodal jest też piękna plaża, z drobnutkim złotym piaskiem. Można codziennie moczyć stopy w morskich falach.

– To brzmi jak baśń! – skwitowała z uśmiechem, gładząc mnie matczynym gestem po włosach. – Ale zasłużyłaś na wszystko, co najlepsze!

Poczułam się tak, jakby ostrze pugi nałtu trafiło mnie prosto w serce. Przecież to, co opowiadałam, było w dużej mierze nieprawdą, a jedynie moim marzeniem, które nie miało szans się spełnić.

– Chciałabym, abyś wyjawiała mi wszystko, co wiesz o ciotce Sybilli Gebler. To dla mnie bardzo ważne – wyrzuciłam z siebie, usiłując zachować spokojny i opanowany głos. – Proszę cię, nie śpiesz się. Postaraj się przypomnieć sobie jak najwięcej...

– O kim? – Matka uniosła brwi ze zdziwienia. – Nie znam nikogo takiego. Mogłabym przysiąc, że nigdy nie słyszałam o tej kobiecie. – Pokiwała głową, a następnie uderzyła się pięścią w piersi dla zapewnienia, że wszystko, co powiedziała, było prawdą.

– Przecież ostatnim razem, kiedy się widziałyśmy, utrzymywałaś, że to twoja daleka kuzynka od strony dziadka! – powiedziałam, z trudem ukrywając wzburzenie. Nie miałam przecież prawa się na nią złościć. Postępująca demencja poczyniła nieodwracalne zmiany w jej umyśle.

– Ja tak mówiłam? Zatem może tak było, Laurenko! – odpowiedziała matka, nazywając mnie zdrobnieniem, którego

używała, gdy byłam dzieckiem. – Kto mógłby po tylu latach to pamiętać, gdy większość już pomarła. Naprawdę nie wiem... Wszystko mi się pomieszało. – Zaciśnęła powieki, jakby próbowała przeniknąć najdalsze zakamarki swojej świadomości. – Czasem nawet zastanawiam się, kim jestem ja sama. Starość Panu Bogu nie wyszła... – żaliła się tonem pełnym gorzkości.

Widziałam, że prowadzenie dalszej rozmowy na ten temat pozbawione jest sensu. Czułam się zrezygnowana i zrozpaczona.

– Zobacz, co tutaj mam – zwróciła się do mnie, wyciągając z torebki pomiętą obrazek. Gdy go rozprostowałam, moim oczom ukazał się oleodruk przedstawiający zakonnicę w habicie, wpatrzoną w niebiosa i robiącą zapiski w księgach, jakby spisywała swoje wizje.

– Kto to jest? – spytałam.

– To Hildegarda z Bingen – odpowiedziała matka. – Dostałam ten wizerunek od twojego ojca, aby święta miała mnie w swojej opiece. Kupił go dawno temu, gdy przebywał w Eibingen. To miejsce jej kultu. Lubił je odwiedzać, odnajdywał tam spokój i duchową równowagę, gdy tracił nadzieję. Zabierz ją, proszę, ze sobą – rzekła, zwijając matowy papier w rulon i wsuwając mi go do ręki. – Zobaczysz, że ci pomoże, gdy o to poprosisz...

Nie dyskutowałam z nią, tylko uczyniłam, jak chciała. Ta żyjąca w średniowieczu benedyktynka, nazywana także Sybillą znaną z Renu, była w swoich czasach jedną z najbardziej postępowych, a zarazem dobrze wykształconych kobiet. Miała swój wkład również w rozwój nauki. Nazywano ją anachoretką, mistyczką i wizjonerką. Doświadczała objawień boskich, które papież Eugeniusz nakazał jej spisywać. Miała podobno widzieć, jak będzie wyglądać koniec świata w dniu, w którym nastanie zapowiadany w Ewangelii Armagedon. Dopiero w 1917 roku naukowcy wykluczyli, jakoby

owe wizje wynikały z nadprzyrodzonej mocy, zasugerowali w zamian podłoże migrenowe. Hildegarda przyczyniła się jednak do rozwoju medycyny, tworząc *Liber simplicis medicinae*, w którym zawarła między innymi opisy różnych chorób i wiedzę z zakresu ziołolecznictwa, opatrywania oraz pielęgnowania ran. W innym ze swoich dzieł zamieściła cenne informacje na temat cyklu menstruacyjnego, a co najciekawsze, opisała współżycie pomiędzy kobietą a mężczyzną jako coś pięknego, wysublimowanego i płomiennego, co powinno sprawiać przyjemność obu stronom. Można by dywagować, w jaki sposób rozmodlona mniszka, żyjąca za klasztornymi murami doszła do takich wniosków. Faktem było jednak, że Hildegarda wyprzedziła swoją epokę o kilka stuleci. Jako że znałam jej dokonania i życiorys, nie dziwiło mnie, iż ojciec powierzył matkę właśnie jej opiece.

Chociaż moja wizyta w klasztorным domu opieki trwała jeszcze przez dłuższy czas, moje myśli były już z powrotem przy posiadłości na Sylcie. Pomimo setek dzielących nas kilometrów przyciągała mnie do siebie jakąś złowróżbną mocą.

Pożegnałam się z moją rodzicielką tak, jakby było to nasze ostatnie spotkanie. Zawsze w ten sposób rozstawałam się z najbliższymi – w przekonaniu, że nigdy nie wiemy, kiedy wybije godzina naszej śmierci. Nie chciałam żałować niewypowiedzianych słów, jak miało to miejsce w przypadku mojego tragicznie zmarłego ojca.

– Przepraszam panią najmocniej – usłyszałam niespodziewanie za swoimi plecami, gdy już kierowałam się do wyjścia. – Przez przypadek byłam świadkiem pani rozmowy – rzekła jedna z wiekowych staruszek zamieszkujących klasztor.

Siedziała pod pergolą porośniętą winoroślą. Miała powykrzywiany kręgosłup i poruszała się o lasce. Powoli wstała

i kulejąc, ruszyła w moją stronę. Jej włosy pozostające w nieładzie zdobiły teraz srebrzyste pasma siwizny, ale w przeszłości musiała być bardzo elegancką damą. Zastanawiałam się, do czego zmierza. Przystanęłam, czekając na jej dalsze słowa.

– Moim zdaniem, o ile wie pani, skąd pochodzi pani familia, powinna pani poszukać informacji w księgach parafialnych. Być może tam odnajdzie pani jakiś ślad.

– Dziękuję za pomoc! – odezwałam się. – Niestety, moja matka wychowała się w domu, gdzie niewiele mówiło się o rodzinnych korzeniach. Mojemu dziadkowi powodziło się najgorzej z całego rodzeństwa, był z całej trójki najbiedniejszy. Jako jedynemu nie udało mu się wyrwać do miasta. Kilkakrotnie tracił ziemię i rodzina musiała się przenosić w inne miejsca w poszukiwaniu pracy i chleba. Dodatkowe zniszczenia przyniosła wojna prusko-francuska. Nie miałabym więc pojęcia, gdzie zacząć takie poszukiwania... Przepraszam, że panią zanudzam – zmitygowałam się. – Nie miałam komu o tym powiedzieć.

– Chętnie pani wysłucham. Co innego mi zostało... Straszna jest samotność i czekanie na koniec naszej ziemskiej drogi. Przez całe życie wiemy, że śmierć nadejdzie, ale nigdy nie jesteśmy na nią gotowi. Nie przedstawiłam się – przerwała nagle. – Nazywam się Cynthia Angerer. – Podała mi swoją kościstą dłoń.

Na dźwięk jej nazwiska przez chwilę zamarłam, lecz staruszka kontynuowała:

– Zostałam na świecie zupełnie sama po tym, jak odszedł najpierw mój mąż, a potem jedyny syn Edward... Nie miał dzieci, nie zdążył się nawet ożenić. Zginął w czasie Wielkiej Wojny – rzekła łamiącym się głosem. – Rozerwał go granat. Chociaż minęło tyle lat, nie mogę się z tym pogodzić, ale która matka by mogła? – zakończyła, a jej oczy zalśniły blaskiem łez.

Zadygotałam, czując, jak krew odpływa mi z ciała, powodując, że stało się jak z waty. Miałam okazję poznać jej syna, przed wieloma laty, ale ona nie mogła o tym wiedzieć.

– Pani wybaczy, na mnie już czas – pożegnałam się uprzejmie.

– Tak, oczywiście, nie będę pani zatrzymywać...

* * *

Pociąg powoli zmierzał w stronę stacji, a ja mogłam obserwować z przedziału toczące się za oknami życie. Obrazy przesuwały się przed moimi oczami niczym kadry kolorowego filmu. Wpatrywałam się w czarny dym ulatniający się z kominów fabryk, sterowce pasażerskie unoszące się leniwie na bezchmurnym niebie i liczne mosty rozpościerające się nad Odrą. Patrzyłam, jak obok starych kamienic, gotyckich kościołów i barokowych kopuł wznoszą się nowoczesne konstrukcje. Dojrzałam w oddali dom towarowy Wertheima, nowo wybudowany w duchu modernizmu. Ten prąd w architekturze diametralnie zmieniał panoramę wielkich metropolii. Rok wcześniej w Breslau powstało wzorcowe dla tego stylu osiedle, które było częścią wystawy pod hasłem „Mieszkania i miejsce pracy”. Miała ona być inspiracją dla projektantów i wyznaczać trendy nowej epoki, w której coraz bardziej liczyła się klasa pracująca. Podobne osiedla usytuowano także w Pradze, Wiedniu i Zurychu. Pamiętałam te wszystkie zakątki z okresu studiów, kiedy auta należały jeszcze do rzadkości i wywoływały sensację, gdziekolwiek się pojawiły. Teraz nie było chodnika, przy którym nie stałby zaparkowany samochód. Dorożki, niegdyś licznie czekające na postoju, ze znudzonymi końmi skubiącymi trawę z pobliskich skwerów, zostały w większości zastąpione przez taksówki.

Pogoda była ładna, więc po torach jeździły jeszcze letnie wagony tramwajowe z otwartym nadwoziem. Zwróciłam uwagę na podróżujących nimi pasażerów – dostojnych gentlemanów, zaczytanych w prasie i wytworne panie, ubrane w płaszcze o barwach świeżych bananów, dojrzałych pomidorów, beżu czy ostatniego krzyku mody, to jest kłującej w oczy jaskrawej zieleni nazywanej po francusku *ver luisant*, co oznaczało robaczka świętojańskiego. Po bokach pojazdu szynowego niczym kiście winogron zwisali młodzieńcy, często podróżujący na gapę.

Dzieci z dzielnic nędzy bawiły się przy rynsztokach, w pozostałych po deszczu kałużach, a te z bogatszych domów jeździły obok na rowerach. Biedne kobiety, ubrane w łachmany, robiły pranie w rzece. Eleganckie damy, prezentujące smukłą kibić w dopasowanych kostiumach, spacerowały nieśpiesznym krokiem po bulwarach z jamnikami lub wystrzyżonymi pudłami, trzymanymi na pozłacanej smyczy. Widziałam panów z klasy posiadającej, strzyżonych i golonych w zakładach fryzjerskich, i tych, którzy w poszukiwaniu tańszej alternatywy w ulicznych zakamarkach oddawali się w ręce balwierzy. Wydawało się, że codzienne życie toczy się tutaj niczym niezakłóconym rytmem.

Lokomotywa wreszcie zahamowała, piszcząc tak głośno, że aż poczułam w uszach ból. Wysiadłam na stacji głównej. Jak zawsze na dworcu i na podjeździe wokół niego panowały zgiełk i zamieszanie. Z rogatek nawoływali sprzedawcy gazet. Przygarbieni pucybuci pastowali skórzane loafery, monki i sztyblety swoich klientów. Żebracy wyciągali żałośnie rękę, prosząc o jałmużnę. Jakaś staruszka, siedząc na ławce, rzucała gołębiom kawałki chleba, które wcześniej formowała w palcach w kulki. Mijałam charakterystyczne dla tego rejonu „budy kiełbasiane”, z których zwisały pęta białych i czerwonych kiełbas. Przekąskę chętnie zapijano piwem, a i ono

słynęło z niezwykłego smaku. Szeroko rozpowszechniony był *schöps*, który potrafił niejednego zwalić z nóg swoją mocą. Szczególnie znanym miejscem konsumpcji złocistego trunku dla mieszkańców i przybyszów były podziemia miejskiego ratusza, gdzie jako zakąskę wzmagającą konsumpcję napoju serwowano suto posoloną rzodkiew. Szynek działał nieprzerwanie od średniowiecza.

W powietrzu unosił się zapach świeżo pieczonych drożdżowych rogali marcińskich, nadziewanych bakaliami, precli posypanych migdałami oraz serwowanych na słono, z kminkiem. Smak rogali nieodłącznie przypominał mi o pewnych smutnych wydarzeniach w moim życiu, jakie miały miejsce w czasach mojej młodości. Od tamtego dnia nie potrafiłam przełknąć ani okruszka, chociaż Tadeusz szczególnie je lubił, jako że jego rodzina pochodziła z okolic Poznania. Tam pieczono je zgodnie z tradycją na Dzień Świętego Marcina.

Zaglądałam jeszcze do podświetlonych witryn sklepowych, prezentujących jesienną kolekcję z szalowymi wieczorowymi kreacjami z boa i pawimi piórami. Ale kierowałam się już w stronę hotelu Monopol, gdzie zamierzałam przenocować. Nie chciałam wracać do domu. Postanowiłam nawet nie informować męża, że przyjechałam. Przybyłam w zasadzie jedynie po to, aby zobaczyć się z Różą. Nalegała na spotkanie w ostatnim ze swoich listów. Umówiliśmy się w Café Geier kwadrans przed szóstą.

Mój pociąg się spóźnił, dlatego musiałam pędzić, by zdążyć na czas. Gdy próbowałam dodzwonić się do niej z przydrożnej budki telefonicznej, otrzymałam wiadomość, że już zdążyła wyjść. I rzeczywiście, czekała na mnie, rozglądając się dookoła, a gdy wyłoniłam się z ulicznego tłumu, wstała i pomachała mi kapeluszem.

– Zapewne to sprawy rozwodowe cię tutaj sprowadziły? – zapytała, składając na powitanie pocałunek na moim policzku.

– Nie – zaprzeczyłam. – Odwiedziłam matkę w Naumburg, a ponieważ to niedaleko stąd, postanowiłam w drodze powrotnej zatrzymać się w Breslau, bo chciałaś się ze mną zobaczyć...

– Tak... – popadła w chwilową zadumę, jakby stała się nieobecna.
– Potrzebuję rozmowy z tobą, i to w cztery oczy – odezwała się ponownie. – Sądziłam, że odwiedzę cię na wyspie, ale jak dobrze cię znów tutaj widzieć! To miasto tęskni za tobą, bez ciebie nie jest takie samo!

Przełknęłam z trudem ślinę na dźwięk jej słów. Wyjrzałam ponownie przez zabrudzoną szybę. Ulicę akurat zalała fala zachodzącego słońca, wypełniając ją mistycznym światłem. Obserwując ten obraz, miałam wrażenie, że moje serce wypełnia niewysłowiona nostalgia za czymś, co utraciłam, za tym miejscem, z którego uciekłam.

– Czasem za jeden błąd możemy płacić przez całe życie – podjęła Róża niepewnie. – Trudno mi to przyznać nawet przed samą sobą, ale wiem, że przed laty dokonałam złego wyboru. – To powiedziawszy, zagryzła wargi. – Pewnie gdybym postąpiła inaczej... Ale czasu już nie uda się cofnąć...

Domyśliłam się, że musi chodzić o Fryderyka. Słuchałam cierpliwie, nie przerywając jej.

– Mariaż ten dawał mi wiele korzyści... Szansę na społeczny awans do wyższych sfer, szlachetne nazwisko i tytuł, byt w warunkach, o jakich wcześniej mogłabym jedynie śnić. Ale przede wszystkim byłam w nim naprawdę zakochana, dlatego przyjąłam jego oświadczenia. Była to moja pierwsza prawdziwa miłość. Zawsze elektryzował mnie swoją osobą. Imponowało mi, że ktoś taki zwrócił na mnie uwagę. Nie znałam świata,

bo za murami sierocińca toczyło się inne życie. Każdy tam snuł marzenia o tym, jak pewnego dnia się z niego wyrwie i ucieknie. Ja otrzymałam od losu szansę na zdobycie wykształcenia. Siostry zakonne opłacały moją edukację. Moja przyszłość zapowiadała się świetlanie, ale wtedy on stanął na mojej drodze... – Westchnęła ciężko, wyrzucając z siebie nagromadzoną gorycz. – Przez swoją chorobę i osamotnienie był mi w jakiś sposób bliski. Teraz, po upływie lat, sądzę, że jego rodzina zgodziła się na ten mezalians tylko dlatego, że wiedziała, jakim defektem jest obarczony i że tylko cudem mógłby stworzyć udany związek. Szukali kogoś, kto otoczy go opieką i poświęci się dla niego. – Zamilkła nagle, chwytając filiżankę i biorąc spory łyk *mélange*, jakby nagle zaschło jej w gardle.

– Nie możesz mieć co do tego pewności! – próbowałam przerwać jej monolog, ale mnie powstrzymała.

– Wiem, co mówię, bo nawet gdy miał ataki manii, bronili go i usprawiedliwiali, starając się tuszować wszystkie jego występki. Problemy pośpiesznie zamiatano pod dywan. Szantażowano i przekupywano służbę, aby trzymała w tajemnicy wstydlivy sekret o tym, kim naprawdę jest dziedzic. Na leczenie wysyłano go jedynie w ostateczności. Na zewnątrz miał za wszelką cenę uchodzić za zdrowego, a od każdego, kto zauważył jego obłąd, natychmiast się odsuwano i zrywano z nim kontakt. Jesteś jedną z nielicznych osób, które o tym wiedzą. – Zrobiła przerwę, aby włożyć papierosa do cygaretki i go zapalić. – Najbardziej bali się stygmatyzacji dobrego imienia rodu. Mnie także podporządkowali tym zasadom i nauczyli egzystować, dbając o to, żeby prawda nigdy nie ujrzała światła dziennego. Utwierdzali mnie w błędnym przekonaniu, że moim najważniejszym zadaniem jest chronienie tajemnicy, nawet kosztem siebie. Miałam dobrze odgrywać rolę szczęśliwej

małżonki, nikogo nie obchodziło piekło, w którym żyliśmy. Ale teraz koniec z tym. Chcę rozpocząć wszystko od nowa, sama, na własną rękę. Wiem, że nikt mi w tym nie pomoże, ale mam trochę oszczędności. Będę jeszcze jakiś czas odkładać, a gdy zbiorę odpowiednią sumę, ostatecznie się z nim rozstanę.

Wysłuchałam jej, czując, jak wszystko we mnie drży. Współczułam jej ogromnie. W słowach mojej przyjaciółki zawierało się tyle skrywanych przez lata bólu i cierpienia. Nie zauważyłam tego wcześniej, bo zawsze dobrze się kamuflowała.

– Jesteś bardzo silną i dzielną kobietą. – Ścisnęłam jej dłoń.

– Muszę być – odparła ledwie słyszalnie.

– Dokąd zamierzasz wyjechać? – zapytałam po chwili milczenia.

– Jeszcze nie wiem. Myślałam o tym, aby wrócić w rodzinne strony mojej matki. Tamte tereny przywodzą mi na myśl jedynie dobre wspomnienia, a praca znajdzie się wszędzie. Matka pochodziła z okolic Hirschberg. Chyba nigdy ci o tym nie wspominałam, ale wychowali ją zupełnie obcy ludzie. Istniało silne przypuszczenie, że jest owocem zakazanego romansu nastoletniej arystokratki, niejakiej Alicji Neumayer, i pewnego żołnierza przejściowo stacjonującego w jej rodzinnym domu. Pozwolono jej podobno wybrać dla nieślubnej córki imię, zanim musiała ją oddać. Nazwała ją Sarą. Zhańbioną dziewczynę wydano później szybko za męża. Zginęła tragicznie podczas podróży w czasie miesiąca miodowego... Ach! – przerwała nagle. – To stare dzieje, niemające dziś już żadnego znaczenia. – Zakończyła, odstawiając filiżankę na spodek. – Zamówię jeszcze mazagran. – Róża uniosła rękę, by dać znak kelnerowi. – Proszę cię, nie popełnij mojego błędu, Lauro... Wybierz mądrze! – przestrzegła mnie, a w jej głosie wyczułam złowieszcze nuty.

– Kiedy dokonujemy wyboru, w danym momencie jest on zawsze w naszym przekonaniu najlepszy, a dopiero czas daje nam odpowiedź, czy mieliśmy rację – odparłam z goryczą. – Będę musiała pomału wracać, bo jutro skoro świt wsiadam do pociągu do Westerland. Czekam na długą podróż z kilkoma przesiadkami – oświadczyłam, sięgając nerwowo po torebkę, która zahaczyła o kant stołu i upadła na ziemię. Wysunął się z niej oprawiony w skórę dziennik, który znalazłam w domu ciotki Sybilli. Dwa zdjęcia tkwiące pomiędzy kartkami wylądowały teraz na podłodze.

– Poczekaj, pomogę ci to pozbierać – zaoferowała usłużnie Róża.

– Nie, dziękuję, poradzę sobie sama – próbowałam zaprotestować, ale było już za późno. W dłoni mojej przyjaciółki znalazła się jedna z fotografii, przedstawiająca porośniętą pnączami bramę. Uniosła ją do światła, jakby chciała się jej lepiej przyjrzeć. Widziałam skurcze mięśni mimicznych na jej zafrasowanym obliczu. Skamieniała, jakby na dłuższą chwilę zapadła w akinezję, zanim przerwała milczenie.

– Lauro, skąd to masz? – zapytała. – To ty wykonałaś to zdjęcie?

– Nie. Znalazłam je zupełnie przypadkiem w domu mojej ciotki, wraz ze starym diariuszem. – Wskazałam na oprawiony tomik.

– Niemożliwe! – wykrzyknęła Róża, otwierając usta i zakrywając je dłonią.

Przez chwilę wahałam się, czy powinnam wtajemniczać ją w całą sprawę. Widziałam jednak po jej spojrzeniu, że tego wyraźnie oczekiwała.

– Nie chciałam ci wcześniej o tym mówić – zaczęłam niepewnie. – Ale skoro już zaczęłyśmy, nie mam wyjścia... To właśnie ten notatnik jest powodem mojej obecnej wizyty... Zastanawiam się, w jakich okolicznościach powstał i kto jest jego autorem. Zawiera bardzo dziwne, niedorzeczne wręcz treści, które są źródłem mojego

niepokoju. Przez wszystkie jego kartki przewija się tylko jedno słowo, moje imię...

– Boże! – wykrzyknęła, a jej oblicze przybrało trupioblady kolor. – Spełnia się moje najgorsze przeczucie co do posiadłości na czerwonym klifie. Nie powinnaś tam pod żadnym pozorem wracać!

– Nie rozumiem?! – odparłam, marszcząc brwi. Nie miałam pojęcia, co moja przyjaciółka mogła mieć na myśli, nie kazała mi jednak długo czekać na wyjaśnienie.

– Zdjęcie przedstawia wjazd do zakładu dla chorych na umysł i nerwy w Obernigk. Rozpoznałabym je wszędzie. – Przełknęła z trudem ślinę.

Poczułam silne uderzenia serca, które tłuło się teraz we mnie, jakby odmierzało uderzenia zegara, bijącego ostatnią godzinę mojego życia.

– Osoba, do której należał ten pamiętnik, musiała być jednym z jego pacjentów – dokończyła Róża kasandrycznym tonem. – A z całą pewnością mieszkańcem posiadłości, którą otrzymałaś w testamencie.

– Sama fotografia, podobnie jak ten memuar, to przecież żaden dowód – polemizowałam. – Być może znalazły się tam w inny sposób. Muszę się tego właśnie dowiedzieć! Gdybym tylko wiedziała, kim był mężczyzna, którego portret wypadł z kartek dziennika. – To powiedziawszy, wyciągnęłam zdjęcie młodzieńca i podałam je mojej przyjaciółce.

– Nie mam pojęcia, kto to może być – przyznała po chwili wpatrywania się w czarno-białą fotografię. – Ale to wszystko nie podobało mi się od samego początku, jeżeli chcesz znać moje zdanie. Cała historia o otrzymaniu w spadku rezydencji położonej w północnej Fryzji od osoby, o której istnieniu nigdy nie słyszałaś...

To mógł być tylko zły omen. Bardzo chciałabym się mylić, ale na razie wszystko, niestety, tylko potwierdza moją teorię.

– Nie mam wyjścia. Muszę tam wrócić i rozwikłać tę tajemnicę. Inaczej nigdy nie zaznam spokoju. Nic nie dzieje się przez przypadek. Zostałam tam po coś wezwana. To moja misja, którą muszę wypełnić.

– Powinnaś zostać! – nalegała Róża, łapiąc mnie błagalnie za rękaw. – Jeżeli wrócisz do tamtego upiornego domu na Sylcie, być może już nigdy się nie zobaczymy! Nie wiesz, co cię tam czeka!

– Rózo, wszędzie może grozić mi to niebezpieczeństwo. Zauważ, że po śmierci mojej ciotki prawnik bez problemu odnalazł mój adres. Jeżeli naprawdę ktoś czyha na moje życie, może dopaść mnie również tutaj.

– Bądź zatem ostrożna – rzekła Róża na pożegnanie z rezygnacją w głosie i ścisnęła moją rękę. – I pisz do mnie jak najczęściej! Gdybyś czegoś potrzebowała, to wiesz, że będę przy tobie, nawet gdy przedzielią nas kilometry.

Padłyśmy sobie w ramiona po raz ostatni, zanim udałam się w stronę wyjścia. Drzwi zadzwoniły dzwoneczkiem, oznajmiając, że ktoś przekracza próg.

Szłam promenadą wzdłuż Odry, mając w głowie kompletny mętlik. Od dnia mojego przyjazdu, gdy po raz pierwszy przemierzyłam groblę Hindenburga, łączącą wyspę z lądem, sprawy coraz bardziej się komplikowały. Na jaw co rusz wychodziły nowe fakty, ale w żaden sposób nie łączyły się ze sobą. Co gorsza, nie znałam nikogo, kto byłby w stanie mi pomóc.

Gdy wsiadałam na peronie do pociągu, moje wątpliwości co do słuszności tej decyzji przybrały na sile. Był jednak jeszcze on, mój Lothar. Wyjechałam tak szybko, że pozostawiłam mu tylko

krótki liścik z enigmatycznym wyjaśnieniem. Nie mogłam napisać nic więcej, na wypadek, gdyby list wpadł w niepowołane ręce.

* * *

Wróciłam, gdy była już późna noc. Ciemność rozświetlały tylko latarnie morskie i miliardy gwiazd. Poczułam na policzkach znajomy, chłostający ciało chłodny wiatr, który jesienią i zimą stawał się nie do zniesienia. Obserwowałam z oddali, jak na horyzoncie wyłaniają się ponure mury domu na czerwonym klifie. Wyglądał z daleka, jakby był pogrążony w koszmarnym śnie.

Przekręcałam powoli klucz, wsłuchując się w szcęk zamka rozrywający martwą ciszę. Udałam się od razu do kuchni, skąd dochodził zapach zupy rybnej. Pani Edeltraud, wiedząc, że się zjawię, zostawiła ją na kuchence, abym miała czym się posilić po długiej podróży. Rozpaliłam ogień, aby podgrzać potrawę, a gdy już zaczęła bulgotać, nalałam sobie chochelkę do glinianej miski. Próbowałam się zmusić do przełknięcia pierwszej łyżki. Danie to, chociaż popularne w rejonach nadmorskich, nie należało do moich ulubionych. Pływające w talerzu kawałki oskubanej głowy flądry powodowały, że zupa z trudem przechodziła mi przez gardło. Nagle pośród rybiego mięsa dostrzegłam coś białego, jakby odłamek porcelany albo zwierzęcej kości, ale gdy wyłowiłam znalezisko na brzeg talerza, natychmiast odsunęłam się z odrazą.

– To spróchniały ząb! Ludzki siekacz! – krzyknęłam sama do siebie, czując, jak zbiera mi się na wymioty.

Wlałam zupę z powrotem do garnka, po czym wyniosłam go poza ogrodzenie, aby pozbyć się jego zawartości z dala od domu. Dreszcze obrzydzenia wstrząsały moim ciałem. Zastanawiałam się, jakim sposobem fragment uzębienia mógł się dostać do potrawy. Na samą myśl dostawałam kolejnego ataku mdłości. Pomyślałam,

że zapewne należał do któregoś z cierpiących na szkorbut rybaków, których widywałam w porcie.

Oświetlałam sobie ścieżkę latarką. W pewnym momencie zorientowałam się, że obok moich śladów są jeszcze drugie, odcisnięte świeżo na mokrym piasku. Sądząc po rozmiarze, zostawił je duży męski but. Najwyraźniej nie byłam tutaj sama. Wszystkie moje tętnice nabrzmiały od fali pulsującej krwi. Przystanęłam w napięciu, nasłuchując, ale dookoła wydawała się panować drętwa cisza. Oświetliłam okolicę strumieniem latarki w poszukiwaniu człowieka, do którego mogły należeć odciski. Powykręcane konary drzew rzucały ponure cienie, niczym długie szpony wiedźmy. Przypomniałam sobie te wszystkie mrozące krew w żyłach historie o tajemniczym ludzkim monstrum, jakie widywano nocą na wydmach. Wtem do moich uszu doleciało dziwne charczenie. Nie zastanawiając się dłużej, rzuciłam się szalonym pędem w stronę domu. Gdy wreszcie dotarłam zdyszana do progu, zamknęłam za sobą drzwi wejściowe na wszystkie spusty i dłuższą chwilę próbowałam się uspokoić. Wyglądałam zza kotary, ale w mroku nic nie było widać. Pomyślałam, że gdy tylko będzie to możliwe, zainstaluję telefon w posiadłości na czerwonym klifie, aby w razie czego móc wezwać pomoc. W obecnej sytuacji byłam zupełnie bezbronna i nawet gdybym zdarła gardło, nikt nie usłyszałby mojego wołania.

Kładąc się spać, położyłam na stoliku obok lampy obrazek przedstawiający Hildegardę z Bingen.

– Mój ojciec ci ufał, więc i ja ci zaufam – wyszeptałam do niej. – Wiem, że będziesz mnie miała w swojej opiece, cokolwiek się wydarzy...

Odpowiedział mi jedynie szum morskich fal i pohukiwanie puszczyka, który przysiadł na starej gruszy w ogrodzie.

ROZDZIAŁ XX

Właśnie skończył się długo trwający poród, a krzyk zdrowego, różowego noworodka odbił się echem od ścian sali. Dla bezpieczeństwa pacjentki postanowiłam założyć tamponadę hydrauliczną, używając w tym celu gumy, z której robiono piłki do footballu. Zwinęłam ją jak cygaro, włożyłam do macicy i za pomocą metalowej rurki połączyłam kiszkę z irygatorem. Położna podniosła go ku górze i wypełniła wodą pod ciśnieniem, tak że płyn rozszedł się równomiernie, uciskając ściany narządu. Był to nowy sposób hamowania krwotoków poporodowych. Wcześniej używałam do tego gazy, ale zdarzało się, że przy jej wyjmowaniu krwawienie nawracało. Po pewnym czasie zaczęłam powoli wypuszczać płyn, obserwując, czy nie pojawia się żywo czerwona krew. Wszystko wskazywało na to, że sposób jest skuteczny.

Kończyłam zabieg, gdy do moich uszu dobiegł natarczywy dźwięk dzwoniącego telefonu.

– To doktor Weber – oświadczyła moja asystentka. – Prosi panią na moment. To chyba coś bardzo ważnego! – przestrzegła mnie, podając słuchawkę.

Ściągnęłam niciane rękawiczki, pośpiesznie obmyłam ręce w zimnej wodzie i wytarłam je w fartuch. Sądziłam, że doktor najprawdopodobniej chce poinformować mnie o stanie hipotroficznego dziecka z wrodzonym syfilisem, którego poród odbierałam przed kilkoma tygodniami. Słabo przybierało na wadze, miało marny apetyt, do tego zapalenie nosogardzieli z wyrostkami adenoidalnymi, a na skórze pojawił się ognipiór. Niemowlę leczone

było wyciągami z tarczycy ludzkiej, bardzo skutecznymi w takich sytuacjach.

– Pani Kader? – zaczął doktor, upewniając się na początek, że rozmawia z właściwą osobą. W jego głosie wyczułam nerwowość.

– Przy telefonie – odparłam.

– Nigdzie nie mogę znaleźć doktora Arensa! A bez chirurga sobie tym razem nie poradzę! Potrzebuję go na *cito*! – dodał prawie histerycznie. – Czy wie pani, gdzie może teraz być?

– Niestety nie. Ale proszę powiedzieć, co się stało – zachęciłam go. – Może ja będę umiała pomóc.

– Najlepiej będzie, jak przyjdzie pani do ambulatorium i sama zobaczy – rzekł przestraszonym tonem. – I proszę się pośpieszyć! – jęknął błagalnie.

Wyczuwając grozę sytuacji, bezzwłocznie chwyciłam swoją torbę lekarską i ruszyłam pędem w stronę izby przyjęć. Gdy znalazłam się na miejscu, zobaczyłam doktora Webera stojącego bezradnie na środku pomieszczenia, z zakrwawionym koszykiem Gräfego. Dookoła niego biegał spanikowany pacjent.

– Teraz mówię jak gramofon! – krzyczał rozpaczliwie, chwytając się za okolice gardła. Z ust wychodziła mu rdzawoczerwona piana. – Ratunku!

– Co tu się wydarzyło? – zapytałam zdezorientowana.

– Pan Kurzhals, mój dobry znajomy, udał się dzisiaj do pewnej nadmorskiej knajpy, gdzie zamówił na obiad dorsza i popił go ciemnym piwem. Pech chciał, że natrafił na wyjątkowo ościsty egzemplarz. Ość wbiła mu się w *esophagus* i biedak nie mógł sobie poradzić, dlatego przyszedł do mnie. A ja, poczciwy pediatra, od dawna nie wykonywałam takich zabiegów! Nie było jednak nikogo innego, a chciałem koniecznie skrócić te cierpienia –

wyjaśnił pokrótce, drapiąc się po głowie, jakby zastanawiał się, co powinien teraz począć.

– To się panu udało! – wtrącił rozsierdzony chory, szarpiąc rękami włosy na głowie. – Po co ja tutaj przychodziłem! – Jego głos rzeczywiście miał nienaturalną barwę, jakby w trakcie operacji doszło do uszkodzenia krtani.

– Gdy już miałem narzędzie w przełyku, pacjenta nagle zemdlilo i chciał zwymiotować. Zaczął się ze mną siłować, a że ma więcej mięśni ode mnie, wyrwał mi z rąk metalowy instrument! – usłyszałam dalszą część relacji.

– Proszę dać się zbadać – rzekłam najspokojniej, jak umiałam, zwracając się do poszkodowanego.

Mężczyzna powoli zbliżył się do mnie. Przez jego twarz przebiegały grymasy bólu. Zaczęłam obmacywać jego grubą i krótką szyję. Nie dostrzegłam jednak żadnych nieprawidłowości.

– Czy jest tutaj lusterko laryngologiczne? – zapytałam. Pielęgniarka stojąca w pobliżu wysunęła jedną z szuflad i podała mi przyrząd, którego potrzebowałam. Po wsunięciu go do jamy ustnej pacjenta spostrzegłam na nasadzie języka wbitą cienką ość. – Kleszczyki! – zaordynowałam. W ciągu kilku sekund udało mi się usunąć ciało obce. Po chwilowej uldze chory znów zaczął być niespokojny.

– Twarz mi puchnie! – wołał, patrząc w lustro zawieszone nad zlewem i obmacując swoje policzki.

Dotknęłam opuchlizny, a pod palcami poczułam trzeszczenie. Taki sam objaw zauważyłam, macając skórę szyi i klatki piersiowej. Było dla mnie oczywiste, że musiało dojść do perforacji przełyku.

– Trzeba podawać dwadzieścia kropel adrenalinę co trzy godziny i kostki lodu do ssania – wydałam polecenie. Musimy przekazać pacjenta do szpitala na ląd. Tutaj, na wyspie, z naszym

wyposażeniem, nie jesteśmy w stanie mu więcej pomóc – zwróciłam się do doktora Webera.

– Zatelefonuję w tej sprawie. Mam znajomego w Hamburgu. Jeszcze dziś wyślemy pacjenta transportem sanitarnym. Mój Boże, żeby tylko nie było sztormu, bo wszystko się wówczas opóźni!

– Co za straszny początek urlopu! – lamentował cierpiący wczasowicz. – Już nigdy nie zjem ryby!

– Proszę się uspokoić. Wszystko będzie dobrze – powiedziałam dla dodania mu otuchy, chociaż w głębi ducha zdawałam sobie sprawę, że sytuacja jest poważna.

Sylt w czasie burzy stawał się prawdziwym więzieniem. Nie było żadnej możliwości opuszczenia wyspy. Nie jeździły pociągi, nie pływały statki ani kutry. W nagłych wypadkach pozostawała zwykła furmanka zaprzężona w konia, która mogłaby przejechać po nasypie kolei. Na szczęście tego dnia słońce świeciło aż do samego zachodu, a na niebie nie było ani jednej chmury.

Wróciłam do domu i odpoczywałam zmęczona na hamaku w ogrodzie, oddając się lekturze. Nagle usłyszałam skrzypienie furtki. Gdy spojrzałam w stronę wejścia, zobaczyłam Lothara trzymającego w ręku bukiet z polnych maków.

– To już ostatnie w tym roku – zwrócił się do mnie na powitanie, wręczając mi kwiaty i składając pocałunek na moich ustach. – Musiałem długo przemierzać łąki, aby je znaleźć!

– Są piękne! – wyszeptałam, gładząc go ręką pieszczotliwie po brodzie.

– Czy zechciałabyś udać się ze mną na kolację do starej winiarni?

– Propozycja jest cudowna, ale nie wiem, czy to dobry pomysł – odparłam. – Już i tak za plecami słyszę coraz więcej plotek na nasz temat... Wspólne wyjście niewątpliwie dodatkowo podsyciłoby zakusy nowinkarzy.

– Ależ musimy żyć! Nie możemy cały czas pozostawać w ukryciu! Poza tym widzę, że gdy zbyt długo przebywasz w tym miejscu sama, stajesz się jakaś przytłoczona, smutna... Gaśniesz w oczach. Jakbyś przestawała być sobą.

– Wydaje ci się! – zbyłam go, spuszcżając wzrok.

Nie chciałam, aby za dużo wyczytał z mojego spojrzenia. Postanowiłam nie mówić mu o ostatnich wydarzeniach, jakie miały miejsce w posiadłości na czerwonym klifie, ani o szczegółach mojej nagłej podróży. On także nie drażył tematu, widząc, że nie chcę o tym rozmawiać.

– Ale skoro tak uważasz, to poczekaj chwilę. Znajdę jakąś kreację pasującą do twojego szarobłękitnego garnituru w kratkę! – dodałam, uśmiechając się.

Wystrojona w stylową suknię z czarnej *satin-liberty* z haftem z metalowych koralii, a do tego w gęsto marszczoną spódnicę zakończoną plisą z białej georgetty zajęłam miejsce w samochodzie obok Lothara. Owinęłam się szalem spiętym platynową klamrą z diamentami, a na głowę założyłam aksamitny *cloche* z białym skrzydełkiem. Przez większą część drogi milczałam.

– Jesteś ostatnio bardzo małowólna, Lauro – odezwał się Lothar, odrywając jedną dłoń od kierownicy, aby mnie dotknąć. Zadrżałam.

– Po prostu czasem wydaje mi się, że wszystko w moim życiu dzieje się za późno. Zbyt długo musiałam czekać na ciebie – odpowiedziałam, wzdychając mimowólnie. W myślach dodałam jeszcze, że spóźniona przyszedłam na ten świat, tym samym nie było mi dane długo nacieszyć się latami spędzonymi z moim ojcem.

– Jestem pewien, że przyjdzie taki moment, gdy stwierdzisz, że wszystko wydarzyło się we właściwym momencie. Pamiętaj, że to, co nas spotyka, ma swój głębszy sens...

Zbliżyliśmy się do molo. Na wyspie sezon dla letników osiągnął przesilenie. Chociaż było już po zachodzie słońca, na plaży, bulwarach i deptakach w dalszym ciągu przebywały tłumy.

Na szczęście udało nam się znaleźć wolny stolik w *lounge* z widokiem na morze. W pomieszczeniu, na białych, okrągłych stołach płonęły świece w złotych kandelabrach, odbijając swój blask od kryształowych, mieniących się żyrandoli. Kelner wystrojony w kamizelkę i czarną muszkę przyniósł korzenny traminer, a jako przystawkę podano *foie gras*.

– Lauro, muszę cię na chwilę przeprosić – odezwał się Lothar, niespodziewanie wstając.

– Dokąd idziesz? – zapytałam zaskoczona.

– Mam jedną sprawę do załatwienia. Obiecuję, że zaraz wrócę – uspokoił mnie i się oddalił.

Rozglądałam się dookoła, przypatrując się zebranemu towarzystwu. Wznoszono toasty, stukając się kieliszkami. Obsługa podawała schłodzone butelki szampana i słomkowitza i złotego chardonnay. Widziałam eleganckie damy, odziane w różnokolorowe sukienki do tańca w odcieniu seledynowym, cytrynowym, białym i wrzosowym, z jedwabiu, tafty i krepy. Miały starannie ufryzowane loki, jakby cały dzień przesiedziały w wałkach na głowie lub były po trwałej ondulacji. Gentlemani, ubrani w smokingi, fraki i garnitury, z włosami zaczesanymi z przedziałkiem na bok, opowiadali dowcipy, zaciągając się cygarami. Grano w brydża lub stawiano zakłady na pokera. Prowadzono też rozmaite dysputy na tematy gospodarcze i polityczne. Szczególnie żywa była dyskusja o zakończonej niedawno okupacji Nadrenii w konsekwencji zawartego traktatu pokojowego. Po jego podpisaniu drogi na prowincjach zamieniły się w rzeki jankesów, przemieszczających się samochodami

z symbolem rozplatanego toporem niemieckiego hełmu. Żołnierze panoszyli się na pływających po Renie barkach i zatrzymywali się w luksusowych hotelach, przed którymi stały tabliczki z napisem „Niemcom wstęp wzbroniony”. Do oświetlonych okien zaglądały głodne i wychudzone dzieci o bladoszarych, smutnych buziach, które w życiu nie widziały steka. W ramach zarobku oferowały sprzedaż pamiątek – pikielhauby lub metalowej klamry z napisem „Gott mit uns”.

Wszechobecna nędza odciskała trwałe piętno na psychice. Wiele kobiet padło ofiarami napaści zwycięzców, dla których takie postępowanie było częścią łupu. Obce, stacjonujące na tych terenach od zakończenia Wielkiej Wojny wojska miano za horde uzbrojonych nieznajomych, wciskających się do domów i życia prywatnego. Okupanci zaglądali we wszystkie szpary, dziury oraz schowki, zajmowali zapasowe łóżka, a na noc nakazywali pozostawiać otwarte okna, by odrzec już i tak upokorzoną ludność z resztek intymności. Bez pozwolenia nie wolno było pisać listów, telefonować ani telegrafować. Nie mówiąc już o wydawaniu prasy, podróżowaniu czy gromadzeniu się w kawiarni.

Teraz ogromna, widoczna z kilku kilometrów amerykańska flaga, powiewająca w Koblenz, została ściągnięta, a uciśniona przez lata ludność znów była wolna.

– Anglia musiała nas zagłodzić, w przeciwnym razie nie wygrałaby tej wojny! – rzucił lekko podpity młodzieniec, który sam nie mógł pamiętać tamtych czasów. – Nasi dzielni żołnierze na froncie nigdy by nie ustąpili i nie byłoby dyktatu wersalskiego!

– Panowie! – wtrącił mężczyzna z przepaską na oku. Sądząc po wyglądzie, mógł pełnić niegdyś funkcję feldfebla. Gałkę oczną stracił zapewne w czasie walk. – Zostaliśmy przede wszystkim oszukani! Pamiętam, jak w grudniu 1918 roku przybyłem wraz

z cesarską armią przed Bramę Brandenburską. Na balkonie zamku królewskiego zamiast naszego kajzera stała wówczas ta kreatura, Friedrich Ebert, przewodniczący Rady Delegatów Ludowych. To zdradzieccy politycy w Berlinie wbili nam nóż w plecy. Otwórzcie oczy i popatrzcie tylko, kto na ochotnika poszedł na front, a kto został w domu przy biurku – zasyczał złowrogo. – Kto tkwił beczynnie w zaciszu kantyn i urzędów? Którzy lekarze uchronili pobratymców przed okopami, a nas skazali na los mięsa armatniego, uznając za zdolnych do służby? – stawiał kolejne, przepełnione jadem pytania retoryczne. – Odpowiedź jest tylko jedna! – wykrzyknął, aż na moment wszyscy ucichli i spojrzeli na niego. – To Żydzi działali na szkodę narodu niemieckiego! I robią to dalej!

– Precz z żydostwem! – zawtórowano mu.

– Gdyby przyszło mi walczyć i wiedziałbym, że obok mnie w szeregu stoi Żyd, to podczas szturm naprzód przebiłbym bagnetem tego wyznawcę Mojżesza, a dopiero potem poszedłbym do ataku! – odgrażał się młody blondyn w idealnie skrojonym garniturze. Zewsząd posypały się dla niego brawa i słowa uznania.

Przez kilka sekund panowało zamieszanie, a ja poczułam niemiłe mrowienie na ciele. Chociaż nastroje antysemickie były obecne w kraju od dawna, to teraz zdawały się wyraźnie przybierać na sile.

Nagle usłyszałam odgłos przesuwanego krzesła.

– Pani Kader! Witam! – zwrócono się do mnie. – Czy pani pozwoli, żebym się na chwilę przysiadł?

Uniosłam wzrok i zamarłam. Stał przede mną Klemens Gestner. Przez chwilę nie wiedziałam, co odpowiedzieć, wykonałam więc jedynie przyzwalający ruch ręką.

– Tego lata przybyłem na Sylt o wiele później niż zwykle. Proszę sobie wyobrazić, że miałem długo ciągnące się powikłania

po przebytej grypie. Piłem hiszpańskie wino tonizujące z fosforanem wapnia, korą chininową i sokiem mięsny, polecane ozdrowieńcom. W ogóle ten rok był bardzo trudny. Zmarła moja matka. Od lat cierpiała na reumatyzm, ale na szczęście choroba była dla niej łaskawa. Dbałem o to, aby była leczona najnowocześniejszymi medykamentami. Dostawała zastrzyki podskórne z radu i stosowała kąpiele z jego dodatkiem. Kosztowało to sporo, ale w takich sytuacjach nie liczy się pieniędzy.

– Bardzo mi przykro – odezwałam się ze współczuciem. Wiedziałam, że reumatoidalne zapalenie stawów jest przewlekłą, postępującą chorobą, prowadzącą w wielu przypadkach do przedwczesnej śmierci lub ciężkiego kalectwa. Nie wynaleziono na nią dotychczas żadnych skutecznych leków. Słyszałam kiedyś o szokującej terapii, jaką stosowano u wybrzeży Australii. Pacjent musiał przez wiele godzin siedzieć w ciele rozkładającego się wieloryba, które miało mieć rzekomo na niego dobroczynny wpływ. Obserwacje te jednak nie potwierdziły się.

– Takie jest życie... – westchnął głęboko. – Obyśmy tylko wszyscy mogli odejść z tego padołu w podeszłym wieku, a nie wcześniej, tak jak mój ojciec. Zginął w wypadku automobilowym, jak chyba pani kiedyś wspominałem. Zdziwiająca jest dla mnie to, że jadąc po prostej drodze, nagle zboczył i uderzył w drzewo. Biegli sądowi także się temu dziwili. Może zasnął za kierownicą? – snuł domysły. – Miał w końcu za sobą długą podróż. Był w drodze od paru dni i niewykluczone, że gdzieś jeszcze się zatrzymywał. To zdarzenie mogło też być celowym działaniem. Ale nie chciałbym nawet dopuszczać do siebie myśli, że mógł być samobójcą... To przecież rzucałoby złe światło na całą naszą rodzinę. – Przerwał nagle swoją dramatyczną opowieść, wpatrując się we mnie, jakby badał, czy

mam ochotę słuchać go dalej. Wyraźnie potrzebował, aby się przed kimś zwierzyć ze swoich rozterek.

– To wszystko jest takie straszne – wtrąciłam, spuszczać wzrok.

Orkiestra akurat zaczęła grać *Truxa-Fox* autorstwa Adalberta Luttera, jeden z popularnych szlagierów dancingowych. Dzięki temu mój rozmówca nie mógł usłyszeć mojego serca, które było jak oszalałe.

– Nie mogę pojąć wielu rzeczy. Wie pani, co w tym wszystkim jeszcze mnie intryguje? – zapytał, a ja pokręciłam przecząco głową. – Otóż, gdy dokonywaliśmy przeniesienia grobu Ludwika Gestnera, aby jego prochy spoczęły obok prawowitej małżonki w nowej, wykupionej przez nas krypcie, okazało się, że po tylu latach po trumnie nie było śladu, całkowicie się rozsypała, a w jej miejscu zostały tylko kości i... bluchery! Te, w których go pochowaliśmy, te same zresztą, które miał na sobie w momencie śmierci. Miał wyjątkowo dużą stopę i zawsze zamawiał specjalne obuwie. Tym razem były to eleganckie buty, czarne, skórzane, z wyrytym emblematem węża. Co to musiała być za jakość, że przetrwały katastrofę drogową i tyle lat w cmentarnej ziemi! Człowiek nie przeżył, ale zostały po nim buty – zakończył, wykrzywiając usta w ironicznym uśmiechu. – Nasze istnienie jest takie kruche...Poczułam, jak moje całe ciało drży z napięcia. Serce miałam przepełnione żalem. Starłam się to ukryć, ale niestety nie udało się. Widząc mój stan, Klemens Gestner natychmiast się zmitygował.

– Nie chciałbym pani zasmucać w tak piękną sierpniową noc. Lato zaraz się skończy – odparł, strzepując popiół z niedopałka. – A życie jest zdecydowanie zbyt krótkie i zbyt piękne, by tracić je na smutki! Zamówię dla nas po lampce burgunda Chambertin z 1920 roku – zaproponował, ale w tym momencie spostrzegł drugie nakrycie przy naszym stole. – Och, przepraszam, przecież nie

przyszła pani tutaj sama! A ja niepotrzebnie się naprzykrzam z moimi problemami.

– Proszę nie robić sobie wyrzutów. Jeżeli wysłuchanie przeze mnie sprawiło, że poczuł się pan lepiej... – odezwałam się, starając się mówić spokojnym tonem.

W progu przy wejściu do sali stanął Lothar. Ruszył w naszą stronę, machając ręką do przyjaciela, a wtedy ten zorientował się, że to doktor Arens jest moim towarzyszem. Odwzajemnił gest, po czym na chwilę jeszcze nachylił się nade mną, mrużąc oczy, i szepnął przenikliwie:

– Nie chciałbym więcej psuć wieczoru, ale pomogła mi pani, więc i ja coś dla pani uczynię, dając ostrzeżenie. Proszę uważać, gdzie lokuje pani swoje uczucia...

Po tych słowach jego źrenice rozszerzyły się nienaturalnie. Poczułam, jak wszystkie moje mięśnie się spinają, jakby przeszedł przez nie prąd.

– Jak miło znów cię widzieć, stary druhu! – powiedział Klemens Gestner na powitanie, gdy mój ukochany zbliżył się do nas. – Kiedy wpadasz na partyjkę szachów i kieliszek koniaku? – Poklepał kompana po ramieniu, szczerząc zęby w sztucznym uśmiechu.

– Nie mam pojęcia. Choć jutrzejsze popołudnie miałbym być może wolne – odparł Lothar, częstując się papierosem.

– Właśnie opowiadałem pani Kader, jak doszło do tego, że idea buddyzmu zawitała na Sylt – skłamał pan Gestner z dużą lekkością, po czym kontynuował: – Widok kamiennych i glinianych figurek Buddy na wyspie w północnej Fryzji wygląda co najmniej egzotycznie, jakby to była zamorska kolonia zamieszkała przez dzikusów! – zadrwił. – Tymczasem na początku dwudziestego wieku homeopata i lekarz Paul Dahlke przywiózł tę ideę do Europy. Wcześniej odwiedził Cejlon, gdzie zafascynował się tą religią. Ale

po zrealizowaniu projektu połączenia kolejowego poprzez groblę Hindenburga z niewyjaśnionych przyczyn zrezygnował ze swojego pomysłu zbudowania tutaj buddyjskiego domu. A może ktoś zwyczajnie wybił mu to z głowy!

– Ostatecznie powstał on w Berlinie, gdzie do dziś pomagają mu mnisi – wtrącił doktor Arens.

Przysłuchiwałam się tej rozmowie, mając wrażenie, że słowa rozmywają się i oddalają ode mnie. Wszystko dookoła wirowało niczym w koszmarnym śnie. Czułam, jakby moja dusza lewitowała gdzieś w przestworzach. Dopiąłam pośpiesznie kieliszek, który stał przede mną, i odstawiłam go z hukiem na stół. Poczułam uderzenie gorąca do skroni i duszność. Z trudem nabierałam powietrze.

Wtedy ogarnęło mnie znów to znajome wrażenie, że ktoś natarczywie mi się przygląda. Rozejrzałam się dookoła i dostrzegłam ją. Siedziała zupełnie sama przy stoliku. Była ubrana na czarno, jak zwykle, w kapeluszu z woalką. Zasłaniała się koronkowym wachlarzem, tak że nie widziałam jej twarzy. Wydawało mi się jednak, że przeszywa mnie wzrokiem. Z cygaretki, którą trzymała w smukłych palcach, unosił się leniwie dym. Gdy spostrzegła, że patrzę w jej kierunku, pośpiesznie zabrała kopertową torebkę i wyszła, zostawiając niedopalonego papierosa w popielniczce. Jakaś siła kazała mi wstać i za nią biec. Chciałam się dowiedzieć, kim jest i czego ode mnie chce. Była jednak o wiele szybsza niż ja. Przeciskałam się przez stłoczonych w pomieszczeniu ludzi. Cenne sekundy uciekały nieubłaganie. Gdy znalazłam się na ulicy, nie wiedziałam, w którym mogła się udać kierunku, bo zdołała już wmieszać się w tłum. Coś jednak ciągle pchało mnie naprzód, kazało się nie poddawać. Nie rezygnując z pogoni, biegłam przed siebie, co chwilę przystając, by odpocząć po morderczym wysiłku i rozejrzeć się wokół. Wydawało mi się,

że widzę rąbek jej kapelusza i skrawek sukni. Rozpoczęłam więc na nowo swój pościg, zanim poczułam, że ktoś ściska moje ramię.

– Lauro! – usłyszałam. – Wyszłaś bez słowa wyjaśnienia! Dokąd tak gnasz?!

Lothar, który wybiegł za mną, zdołał mnie w końcu pochwycić. Przez kilka chwil głośno dyszał, wpatrując się we mnie z niepokojem.

– Była tu! – wykrzyknęłam.

– O kim mówisz?! – dopytywał się.

– Ta kobieta, która od paru miesięcy mnie śledzi!

– Nikogo nie zauważyłem.

– Siedziała w rogu sali! Ale niestety zorientowała się, że ją dostrzegłam, i zdążyła zbiec. Była odziana w staromodną kreację wieczorową, jakby z poprzedniej epoki. Miała jak zawsze nakrycie głowy z koronkową woalką przysłaniającą oblicze, dlatego nie wiem, jak dokładnie wygląda – wyrzucałam z siebie wszystko, czując, że zaczyna brakować mi tchu. – Nie domyślasz się, kim ona może być i dlaczego mnie śledzi? – zapytałam, sondując, czy aby na pewno nic przede mną nie ukrywa.

– Nie! – zaprzeczył. – To wszystko jest bardzo dziwne...

– Ja również nie mam pojęcia, o co może chodzić! – odparłam, bezradnie rozkładając ręce. – Ale muszę się tego dowiedzieć! Jestem pewna, że przyjdzie moment, gdy rozwikłam tę tajemnicę...

Księżyc, który akurat wyszedł na nocne niebo, nagle został przesłonięty przez ciemne chmury. Przez moment zapanowała kompletna ciemność. Tylko wicher hulał wokół nas, jakby szeptał do moich uszu złowrogie słowa. Jesteś już blisko, Lauro... Jesteś blisko odkrycia prawdy...

ROZDZIAŁ XXI

Kończyłam poranną filiżankę kawy z dodatkiem kilku łyżeczek *Passiflora incarnata*, która pomagała mi na dolegliwości związane z menopauzą.

Czytałam właśnie czasopismo lekarskie, w którym ostro krytykowano stosowanie pólśnu w czasie porodu. Zdaniem autora artykułu ta metoda znieczulenia była zarezerwowana wyłącznie dla pacjentek nerwowych i osłabionych. U zdrowych położnic nie należało jej wykorzystywać, ponieważ wykluczenie świadomości bólów porodowych osłabiało miłość macierzyńską, wspierało zwyrodnienie psychiczne i dekadencję moralną. Nie kryłam swojego oburzenia, że o sprawach natury kobiecej po raz kolejny wypowiadają się mężczyźni, i to w sposób tak autorytarny. Zastanawiałam się jednocześnie, jak daleko może sięgać taki mizoginizm. Jak widać, biblijny nakaz wydawania na świat potomstwa w cierpieniach w dalszym ciągu miał grono zatwardziałych zwolenników, nawet w świecie uczonych.

Popatrzyłam w dal, za okno, na przelatujące po wrześniowym niebie mewy białogłowe i srebrzyste. Miałam tego dnia wykonać operację wytworzenia sztucznej pochwy z powodu zarośnięcia warg sromowych u młodej mężatki. Jej defekt wyszedł na jaw dopiero podczas nocy poślubnej. Wówczas przyznała się też swojemu wybrankowi, że nigdy nie miała menstruacji, chociaż z zewnątrz wyglądała na kobietę w pełni dojrzałą. Zrozpaczona szukała u mnie pomocy, licząc, że uratuję ją i jej małżeństwo.

Ginekolodzy zalecali, aby zabieg przeprowadzany był u pacjentek, które zamierzały rozpocząć współżycie, bo stosunki płciowe

zapewniały utrzymanie drożności i zapobiegały zarośnięciu. Pora była więc idealna dla przeprowadzenia operacji. W innym wypadku konieczne byłoby zastosowanie specjalnego rozszerzacza.

Aż trudno w to uwierzyć, ale pierwsze próby odtworzenia wagiary podejmowano już w XVI wieku. Pracował nad tym między innymi słynny chirurg Napoleona, Guillaume Dupuytren. Próbowano z kawałków skóry uda wytworzyć ściany pochwy, ale zabiegi te kończyły się niepowodzeniem, bo była ona zbyt sucha, a na dodatek owłosiona. Dopiero w latach dwudziestych XX wieku lekarze Haeberlin, Mori i Baldwin przeprowadzili rekonstrukcję tego narządu, wykorzystując jelito cienkie. Inną techniką było zaproponowane przez Schuberta wypreparowanie i wycięcie w tym celu kawałka odbytnicy, po uprzednim usunięciu kości ogonowej. Górną, pozostałą część kiszki stolcowej łączono z powrotem z *rectum*.

Gdy na dnie filizanki pozostały już tylko fusy, odstawiłam porcelanę na spodek, zerkając w stronę sali zabiegowej. Na miejscu przygotowany był już aparat Ombredanne'a, służący do precyzyjnego podawania narkozy eterowej. Pielęgniarki akurat zawiązywały troczki od bawełnianej koszuli, w którą ubrano chorą. Siedziała na brzegu stołu, sztywna i blada ze strachu, nie wiedząc, co ją czeka. Uśmiechnęłam się od progu, starając się dodać jej otuchy. Następnie przygotowałam pole operacyjne. Gdy już zasnęła pod maską, a ja sprawdziłam głębokość uśpienia, dotykając palcem jej rogówki, przystąpiłam do działania. Najpierw wykonałam nacięcie pomiędzy pęcherzem moczowym a odbytnicą, stwarzając kanał w tkance łącznej, aż do otrzewnej. Kolejnym krokiem było otwarcie jamy brzusznej z góry i wycięcie kawałka *ileum* z dostatecznie długą kreską oraz połączenie obu końców przeciętego jelita w celu odtworzenia jego ciągłości. Przez środek wyciętej części

przeprowadziłam pętlicę. Otworzyłam jamę otrzewnową i ściągnęłam jelito do wytworzonej wcześniej przestrzeni, tak że jego czubek wystawał trochę ponad krocem. Na koniec pozostawało mi złączyć jego brzegi ze skórą, tworząc tym samym wejście do nowej pochwy. Całość trwała kilka godzin, a ja czułam ból we wszystkich mięśniach, gdy odkładałam zakrwawiony pean i kocher na stolik. Cieszyłam się jednak, że operacja przebiegła zgodnie z planem i nie natrafiłam po drodze na trudności.

Ostatnie dni nie były dla mnie łatwe. Zgłosiła się do mnie młoda dziewczyna z krwotokiem z powodu pękniętej ciąży pozamacicznej. Przyszła bardzo późno i udało się ją uratować tylko dzięki przeprowadzonej na szybko bezpośredniej transfuzji. Po wykonanej próbie krzyżowej i stwierdzeniu zgodności grup chorej z jedną z pielęgniarek wypreparowałam ich żyły, wykonując tymczasowe połączenie poprzez zeszyte ścian. Po tym, jak krew na nowo wypełniła łożysko naczyniowe, pacjentka ocknęła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, a jej powłoki, usta oraz policzki powoli się zaróżowiły i ociepliły.

W położnictwie najczęściej trzeba było wykonywać przetaczanie metodą pośrednią, gdyż prawie niemożliwe było znalezienie dawcy i wykonanie przetoki w pobliżu umierającej kobiety, często niespokojnej i wycieńczonej wielogodzinnym porodem. Służył do tego specjalny jałowy pojemnik z roztworem soli kuchennej i cytrynianem sodu, który najpierw ogrzewano, a następnie upuszczano do niego krew. Musiała zostać przefiltrowana przez podwójną warstwę sterylizowanego muślinu, zanim przez gumowy wąż spływała wprost do żyły biorcy.

* * *

Siedziałam z powrotem przy biurku, uzupełniając dokumentację medyczną, gdy do moich uszu dobiegło nieśmiałe pukanie.

– Proszę wejść! – zachęciłam, nie przerywając pisania. Usłyszałam skrzypienie drzwi i odgłos ich zamykania. – W czym mogę pomóc? – zapytałam, podnosząc głowę. Przede mną stała starsza pani, która przed kilkoma tygodniami była przeze mnie operowana z powodu wypadania narządów miednicy małej.

– Pani doktor, wydaje mi się, że mój problem nawrócił – wyznała przygnębiona.

Posadziłam ją na fotel i przystąpiłam do badania. Niestety, słowa chorej się potwierdziły. Westchnęłam ciężko, zanim znów zabrałam głos.

– Bardzo mi przykro, ale konieczny będzie ponowny zabieg. Tym razem przeprowadzimy go inną metodą, mam nadzieję, że bardziej skuteczną – oświadczyłam. – Czy wyraża pani na niego zgodę?

– I tak nie mam innego wyjścia – odparła zrezygnowana, wzruszając ramionami.

Postanowiłam, że odsunę pęcherz moczowy od szyjki macicy i przyszyję *collum uteri* do powięzi powłok brzusznych.

– Proszę przypomnieć mi, jak się pani nazywa – zwróciłam się do niej.

– Sylta Holz – odparła lakonicznie, powoli się ubierając i zbierając do wyjścia.

– No tak! Powinnam była zapamiętać! Ma pani takie nietypowe imię.

– Takie sobie wybrałam, gdy przybyłam na Sylt.

– A jak się wcześniej pani nazywała?

– Tego niestety nie wiem. Podobnie jak nie znam okoliczności, w jakich tutaj trafiłam. Całe moje poprzednie życie jest dla mnie niewiadomą – niespodziewanie otworzyła się przede mną. –

Znaleziono mnie pewnej nocy w porcie, przemoczoną i zziębniętą. Tam zaopiekowali się mną dobrzy ludzie – wyznała, a jej pomarszczoną twarz rozjaśnił przez krótki moment cień uśmiechu.

– W którym to mogło być roku?

– Nie pamiętam dokładnie. Dawno temu... Wszystko mi się już miesza, a moje wspomnienia rozmywają się coraz bardziej, im więcej przybywa mi lat.

– To w pełni zrozumiałe – pocieszyłam ją i podałam ramię, aby towarzyszyć jej w drodze do drzwi.

Wychodząc ze szpitala, skierowałam swoje kroki do ambulatorium, skąd dochodził podniesiony głos Lothara. Był zdenerwowany, bo akurat przywieziono cierpiącego mężczyznę z pękniętym wrzodem żołądka. Wydawał polecenia pielęgniarkom, pośpieszając je, bo każda minuta była w tej sytuacji na wagę złota. Próbował zahamować krwotok działaniem bodźcowym, które polegało na podaniu domięśniowo zastrzyku z krwi własnej pacjenta. Widząc zamieszanie, postanowiłam wycofać się i pomówić z nim innym razem.

Gdy podjechałam pod bramę domu na czerwonym klifie, na niebie zbierały się chmury, jakby za chwilę miał zacząć padać deszcz. Od strony morza wiał silny wiatr, zmieszany z piaskiem i słoną wodą. Wyciągnęłam ze skrzynki kopertę zaadresowaną charakterem pisma Tadeusza. Rzuciłam ją na stół kuchenny, nie mając ochoty czytać znajdującego się w niej listu. Wiedziałam jednak, że przed tym nie ucieknę. Chodziłam niespokojnie po pomieszczeniu, czekając, aż zagotuje się woda na herbatę. W końcu zdecydowałam się otworzyć korespondencję.

Droga Lauro,

co oznacza Twoje milczenie? Nie odpowiadasz na moje prośby i unikasz spotkania ze mną. Chciałbym, abyśmy mogli jeszcze raz

spokojnie porozmawiać i wszystko sobie wyjaśnić. Skoro jednak nie masz odwagi, by w cztery oczy usłyszeć to, co mam Ci do powiedzenia, opiszę wszystko tutaj.

Odkąd wyjechałaś, zachowujesz się tak, jakbyś przestała być sobą. Myślałem, że samotny pobyt na wyspie będzie dla Ciebie czasem refleksji i poukładania wszystkich spraw, ale odnoszę wrażenie, że to miejsce ma na Ciebie zły wpływ. Wydajesz się pogubiona we własnym życiu. Jesteś taka skryta i tajemnicza. Mam przeczucie, że dzieje się u Ciebie coś niedobrego. Gdy otrzymałaś wiadomość o testamencie ciotki Sybilli, przestrzegałem Cię przed wyjazdem, ale nie chciałaś mnie posłuchać, traktując to jako sposób na ucieczkę...

Przerwałam w tym miejscu, nie zamierzając kontynuować. Jego słowa były jak przypalanie skóry rozgrzanym żelazem. Nie zastanawiając się dłużej, zgmiotłam list i wrzuciłam go do pieca, po czym obserwowałam z rozkoszą, jak trawia go płomień. Podeszłam do lampowego radia i chwyciwszy pokrętło, szukałam grającej stacji. Akurat natrafiłam na lokalną prognozę pogody. Spiker przestrzegał przed wychodzeniem z domu i zapuszczaniem się w morze. Miał nadejść wyjątkowo silny sztorm. Wyjrzałam przez okno, za którym wrony przysiadły na przewodach rozciągniętych między słupami, kracząc i obserwując mnie z oddali. Zegar wybił właśnie szóstą po południu. Było więc jeszcze sporo czasu do zachodu słońca.

– Musisz się w końcu odważyć – powiedziałam do siebie, jakbym chciała w ten sposób dodać sobie otuchy. Otuliłam się wełnianą etolą i zabrałam z szuflady latarkę. Ruszyłam w stronę drzwi prowadzących do piwnicy, wsłuchując się w okropne skrzypienie starych podłogowych desek. Przekręciłam z wysiłkiem klucz w zamku, którego szczęknięcie rozeszło się echem po pomieszczeniu.

Wewnątrz panowała nieprzenikniona ciemność. Od ścian biły chłód i wilgoć. Przenośna lampka dawała wąty strumień światła, który musiał mi jednak wystarczyć. Schodziłam powoli, dostrzegając coraz więcej szczegółów, gdy oczy przyzwyczajały się do półmroku.

– Musi być gdzieś tutaj – rzekłam do siebie, ale odpowiedziała mi jedynie cisza. Szłam powoli naprzód, rozglądając się dookoła. W pewnym momencie potknęłam się o jakiś przedmiot. – To osłona od aparatu fotograficznego! – stwierdziłam, gdy światło latarki padło na znalezisko. Serce biło mi mocno, jakbym zaraz miała odkryć coś strasznego.

Otworzyłam futerał, a do moich nozdrzy doleciał dziwny, niepokojąco drażniący zapach. „Tak pachnie śmierć” – przeszło mi przez myśl.

– Jest! – krzyknęłam, wyciągając ze środka zakurzony album, z pogiętymi i zgrubiałymi od zawilgocenia kartkami.

Postanowiłam zabrać go na górę, by móc przestudiować go w lepszym oświetleniu. Gdy znalazłam się z powrotem przy moim biurku w bibliotece, na zewnątrz rozpętała się prawdziwa nawałnica. Grad zmieszany z deszczem uderzał w szyby, jakbym rozbudziła gniew umarłych tym, że chcę im wydrzeć sekrety, które zabrali ze sobą na zawsze w zaświaty. Drżącymi palcami otworzyłam pierwszą stronę. Był na niej trumienny portret jakiegoś mężczyzny z wykaligrafowanym imieniem oraz nazwiskiem i datą pogrzebu. Przeglądałam kolejne pergaminowe kartki, na których znajdowały się podobne fotografie. Były ułożone chronologicznie. Szukałam jakiegoś śladu bądź ukrytej wiadomości. Wydawało mi się nieprawdopodobne, że Sybilla Gebler, odchodząc z tego świata, nie zostawiła dla mnie żadnego przesłania, które pomogłoby mi rozwikłać tajemnicę posiadłości na czerwonym klifie.

Zbliżając się ku końcowi makabrycznego zbioru, powoli traciłam nadzieję, bo nie znałam żadnego z przedstawionych na zdjęciach ludzi. Wtem moim oczom ukazała się data, którą pamiętać będę do końca życia: „26 marca 1899 roku” – dzień, w którym na zawsze pożegnałam mojego kochanego ojca, towarzysząc mu w ostatniej drodze. Uniosłam wzrok i spojrzałam na mocno wyblakłą kliszę przedstawiającą orszak żałobny niosący trumnę Ludwika Gestnera. Zadrzałam, wolumin omal nie wypadł mi z rąk. W moim gardle uwiązł zdławiony krzyk. Sięgnęłam do szuflady po lupę, dzięki której wśród tłumu zdołałam wypatrzeć siebie. Stałam z tyłu, spoglądając tępym wzrokiem w dal. Wówczas na moment zatrzymał się mój świat. Przesunęłam palcami po matowym papierze, by przenieść się znów w myślach do tamtych strasznych chwil. W przeciwieństwie do innych, starannie podpisanych fotografii ta była oznaczona wyjątkowo niedbale. Atrament rozmazał się, tym samym odczytanie wykaligrafowanych słów stało się niemożliwe. Charakter pisma wskazywał jednoznacznie, że słowa musiała skreślić ta sama ręka, która tworzyła demoniczny pamiętnik z moim imieniem. Przysunęłam fotografię do światła, a wtedy zauważyłam, że zawiera odcisnięte linie papilarne, rysy oraz smugi brudu, jakby była wyjątkowo często oglądana. Lodowaty pot wystąpił mi na skronie i powoli spływał po twarzy. Czułam ścisk wnętrzości podchodzących do gardła, jakbym zaraz miała zwymiotować.

– O co w tym wszystkim chodzi?! – zapytałam samą siebie, marszcząc brwi i podchodząc do parapetu, aby spojrzeć w dal przez okno.

Miałam już niemalże pewność, że to safiannik mieszkający w tym miejscu wykonał specjalne buty dla mojego ojca. Zostały przez niego założone w feralnym dniu, w którym wydarzył się

tragiczny w skutkach wypadek. Wysoce prawdopodobne było, że zawierały w sobie barwnik będący jednocześnie toksyną. Po przeniknięciu przez skórę spowodowała ona zatrucie i przyczyniła się do jego śmierci.

– Jeżeli to prawda, wówczas była to zapewne zaplanowana zbrodnia... – rzekłam do siebie grobowym szeptem, którego sens i brzmienie mnie samą przeraziły.

W dalszym ciągu enigmatem pozostawało, na czyje zlecenie działał kurdybanik i co łączyło go z kobietą, która z niewiadomego powodu wybrała sobie mnie na spadkobierczynię. Nie miałam pojęcia także, kto mógł podszyć się pod Melanię von Schiller, by wysłać z Syltu dramatyczny list. Dręczyło mnie ponadto pytanie, kim był młody mężczyzna uwieczniony na negatywie ukrytym wraz ze zdjęciem z Obernigk i autor osobliwego dziennika, a jednocześnie ów funeralny portrecista. Chciałam zrozumieć i dociec, co mogło łączyć ich wszystkich ze mną.

W tym momencie w niedużej odległości od domu musiał uderzyć piorun, bo chwilę po oślepiającym błysku za oknem rozległ się potworny huk. Z przerażeniem odsunęłam się w głąb pokoju.

– Jeżeli za tym wszystkim stoi, tak jak przypuszczam, płatny zabójca, wówczas zdjęcia kadawerów służyłyby za dowód wykonania zlecenia! – zawołałam nagle olśniona swoim odkryciem.

Ponownie chwyciłam album do rąk, chcąc za wszelką cenę rozwikłać tę zagadkę.

– Eberhard Stolberg-Wernigerode, 21 marca 1929... – wymamrotałam do siebie zdrętwiałymi ustami, dotykając czarno-białego wycinka gazety, przedstawiającego kondukt pogrzebowy hrabiego. – To musiała być ostatnia ofiara...

Wydarzenia miały miejsce na kilka miesięcy przed moim przybyciem na Sylt. O tym morderstwie pisała prasa w całych

Niemczech. Arystokrata został zastrzelony we własnym pokoju, do którego wstęp miała tylko najbliższa rodzina i służba. Te niejasne okoliczności sprawiły, że sprawa toczyła się w sądzie przez kilka miesięcy. Ostatecznie pierworodny syn zeznał, że do zabójstwa ojca doszło w czasie przypadkowego wystrzału, gdy czyścili wspólnie broń. Dziedzica skazano na kilka miesięcy więzienia za nieumyślne spowodowanie śmierci. O tej bulwersującej sprawie z czasem zapomniano.

Czułam, jak moim ciałem wstrząsają konwulsje grozy i jednocześnie odrazy. Nie wiedziałam jeszcze wówczas, że najgorsze miało dopiero nastąpić. Gdy przewróciłam ostatnią stronę, moim oczom ukazało się puste miejsce na fotografię. Pod nim naszkicowany był napis wykonany ołówkiem. Grafit zlewał się z ciemnym tłem, musiałam więc przysunąć go do światła, by móc odczytać treść.

– Laura Kader! – wykrzyknęłam, jednocześnie upuszczając album. Spadł z impetem na podłogę, a jego okładka się rozsypała.

W gardle uwięzła mi zdławiona kakofonia. Przez chwilę nie potrafiłam złapać tchu. To nie mogło dziać się naprawdę. Tak bardzo chciałam się obudzić z tego sennego koszmaru.

Gorączkowo i niedbale zebrałam wszystko z powrotem i schowałam na półkę za rząd książek. Nie miałam już najmniejszych wątpliwości, że mój przyjazd na Sylt i cały testament był jedynie pułapką, niczym wnyki zastawione na zwierzyne łowną.

Jedyne, o czym w tej chwili marzyłam, to znaleźć się jak najdalej od tego upiornego miejsca, które było domem samego diabła. Desperacko chciałam uciec z tej przeklętej wyspy, bez słowa pożegnania. Niestety, natychmiastową realizację planu udaremniała trwająca nawałnica i odcięcie od świata. Radio nadawało właśnie

kolejną audycję, w której informowało, że załamanie pogody może potrwać nawet następnych kilka dni. Ponownie apelowano, aby w tym czasie nie opuszczać bezpiecznego schronienia. Głos spikera był co rusz przerywany przez szumy i trzaski. Postanowiłam spakować swoje rzeczy i gdy tylko sztorm ustanie, udać się na stację kolejową albo do portu w poszukiwaniu drogi na ląd.

Pobiegłam na górę do sypialni, wyjęłam walizkę i wrzucałam do niej ubrania wyjęte z szafy. Moje ruchy stały się chaotyczne i nerwowe. Miałam wrażenie, że nogi zmieniły się w kamienny cokół. Wtem do moich uszu dobiegł odgłos szarpnięcia klamki i skrzypienie zawiasów. Wicher zawył żałośnie, a drzwi do pozostałych pomieszczeń zatrzęsnęły się z hukiem. Usłyszałam charakterystyczne trzeszczenie desek podłogowych i stukot zbliżających się kroków. „Przyszedł po mnie... Wybiła moja ostatnia godzina”. Ta makabryczna myśl zakołatała mi w głowie i chociaż niewypowiedziana na głos, przeszła mnie niczym ostrze mizerykordii.

– Albo może to ona! To ona jest morderczynią... – dodałam półszeptem, przywołując w pamięci damę zakrytą czarną, koronkową woalką, która śledziła mnie od momentu, gdy przybyłam na Sylt.

Wepchnęłam kufer pod łóżko i rozejrzałam się rozpaczliwie, szukając dla siebie kryjówki. Schowałam się za winklem i przylgnęłam nieruchomo do ściany. Zdołałam jeszcze pochwycić stojącą obok lekarską torbę i wyciągnąć z niej szpikulec używany do wymóżdżania, po czym zacisnęłam powieki, gotowa na najgorsze. Wtem usłyszałam skrzypienie podłogi tuż za progiem mojej alkowy.

– Lauro! Dobry Boże! Co tu się dzieje? Nic ci nie jest? – usłyszałam głos Lothara. Brzmiał jednak inaczej niż zwykle.

Otworzyłam oczy, gdy się zbliżył. Z jego szerokich i czarnych niczym otchłań źrenic bił dziwny chłód. Miał kredowobiałe oblicze i mięśnie twarzy ściśnięte od skrywanego napięcia. Stał przede mną przemoczony, a z jego płaszcza ściekały powoli krople wody. Zauważyłam, że ma krwawiącą ranę na rękę.

– Masz jakiś bandaż i spirytus do odkażania? – zapytał. – Zahaczyłem o wystający z framugi gwóźdź. Drzwi od ogrodu były niedomknięte... Chyba znów zamek jest uszkodzony. Jak tylko ustanie sztorm, powinnaś wezwać ślusarza. Woda wlała się do środka i zmoczyła podłogę – oznajmił.

Przez moją świadomość przemknęła błyskawiczna myśl, jak to możliwe, skoro nie było tutaj nikogo oprócz mnie. Mogłabym przysiąc, że zamknęłam drzwi na klucz. Podałam Lotharowi kawałek gazy nasączonej środkiem dezynfekcyjnym. Po chwili do pokoju wbiegły dwa leonbergery, węsząc przy podłodze swoimi czarnymi jak smoła pyskami. Popatrzyłam na Lothara, próbując ukryć ziarno nieufności, jakie zaczynało kiełkować w mojej duszy.

– Co ty tutaj robisz? – odezwałam się, starając się, by moje pytanie brzmiało zwyczajnie. W rzeczywistości jednak nie spuszczałam z niego wzroku.

– Nie zasunęłaś rygla od głównego wejścia! To bardzo ryzykowne dla samotnej kobiety mieszkającej w takim miejscu – pouczył mnie najpierw, zamiast odpowiedzieć na moje pytanie. – Przyszedłem, bo martwiłem się o ciebie. Rozpętała się straszna burza i nie chciałem, żebyś była sama w tej przytłaczającej posiadłości – wyznał, bacznie mi się przyglądając, jakby próbował wyczytać coś z mojej fizjonomii.

Nie chcąc się z niczym zdradzić, odwróciłam się tyłem, cały czas obserwując go w lustrzanym odbiciu. Wszystko, czego się dowiedziałam, musiałam za wszelką cenę utrzymać w sekrecie.

Znajdowałam się w śmiertelnym niebezpieczeństwie i nie mogłam mieć zaufania do nikogo. Każdy mógł kryć w sobie bestię.

– Przepraszam, masz oczywiście rację. Gdy usłyszałam kroki, od razu pomyślałam, że to włamywacz... – usprawiedliwiłam się, wciąż jeszcze trzymając w rękach szpikulec. – Naprawdę byłam przekonana, że wszystko starannie pozamykałam na noc, więc przeraziłam się, gdy dotarło do mnie, że nie jestem sama...

Zmierzył mnie jeszcze raz dziwnym spojrzeniem, po czym ponownie się odezwał:

– Powinnaś odpocząć. Boję się, że jesteś przemęczona. Zachowujesz się w sposób budzący mój niepokój... Jakbyś to nie była ty.

– Wydaje ci się – zbyłam go, starając się uspić jego czujność. – Wszystko jest w absolutnym porządku! – zapewniłam, siląc się na uśmiech. Odwzajemnił go, ale widziałam, że pozostał nieprzekonany. Podeszłam do niego, by odgarnąć mu z czoła włosy. – Dlaczego w to wątpisz?! Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że przyszedłeś i że zostaniesz tutaj ze mną, chociaż mam do zaoferowania na kolację jedynie czerstwy chleb, puszkę sardynek i gorzką herbatę.

– Jeżeli znajdzie się też otwieracz do konserw, to nie będzie źle – odparł, ściągając wierzchnie okrycie. – Nie lubię otwierać ich scyzorykiem, to mi przypomina okopy. A co do herbaty to osłodziś mi ją ty... – próbował zażartować. – Chyba że zechcesz rozgrzać mnie w inny sposób. Już dawno tego nie robiłaś – dodał, a ja poczułam jego oddech na swojej szyi. Muskał ją wargami, po czym delikatnie przejechał opuszkami palców po moim dekolcie. Poczułam elektryzujący prąd rozkoszy. Przez chwilę poddałam się jej, zapominając o wszystkim, co się wydarzyło. Rozsądek mówił mi jednak, że nie powinnam ulegać, tylko zachować czujność. Ale

namiętność rozbudzona na nowo pod wpływem pieszczot była jak żar wypełniający serce i duszę. Pragnęłam poczuć to od środka.

Najpierw uwolnił moje piersi z koronkowej bielizny, a potem schodził coraz niżej. Czułam, jak mój opór słabnie, dałam mu się zanieść na łóżko i pozwoliłam wejść pomiędzy moje uda. Widząc nieme przyzwolenie, nie zwlekał i wkrótce połączyliśmy nasze spragnione bliskości ciała. Delikatnie ścisnął moją szyję dłońmi w momencie szczytowania, tak że przez moment nie mogłam złapać oddechu. Próbowałam się oswobodzić, ale eksplozja ekstazy wypełniła mnie od wewnątrz. Nigdy czegoś podobnego nie doświadczyłam.

Leżeliśmy potem w zupełnej ciszy, ale nie było już między nami tej intymności, co zawsze, jedynie zwykłe, zaspokojone pożądanie. Niespodziewanie dobiegło nas warczenie leonbergerów, które po chwili zmieniło się w tubalne szczekanie, aż ciarki przeszły mi po skórze.

– Pójdę sprawdzić, co się dzieje – oświadczył mój kochanek, po czym narzucił na siebie ubranie i ruszył schodami w dół.

Czując ponownie narastający niepokój, podążyłam za nim, okryta jedynie jedwabnym szlafrokiem. Dźwięki dochodziły z biblioteki.

– Co robisz?! Nie wolno! – skarcił czworonoga, który drapał antyczny regał z intarsją, jakby chciał przedostać się na jego drugą stronę. – Przestań! – krzyknął Lothar, ale zwierzę nie reagowało na jego prośby. – To stary, solidny mebel. Pewnie stoi tu, odkąd zbudowano ten dom. – Dotknął fraktury drewna. – Pies szczeka, bo chce nas przed czymś ostrzec, jakby był tutaj ktoś jeszcze poza nami. Ale to pewnie tylko zapach należący do kogoś, kto mieszkał tu wcześniej. Dziwne tylko, że dopiero teraz to wyczuły...

Spojrzałam w stronę półki, na której ukryłam album, i przesyłał mnie ziąb. Ja też wyczuwałam tę okropną woń zła zmieszanego

z agonią...

ROZDZIAŁ XXII

Na posterunku policji inspektor Haberland siedział jak zwykle o tej porze w swoim biurze. Sporządzał właśnie pilne raporty, maczając stalówkę w czarnym atramencie. Nie spodziewał się zapewne, że tego deszczowego, pochmurnego poranka ktoś do niego przyjdzie, dlatego pozwolił sobie poluzować krawat i ściągnąć marynarkę od munduru. Na biurku stała też szklanka z fusami od kawy i popielniczka pełna niedopałków.

Zapukałam do drzwi, a usłyszawszy przyzwalający pomruk, odważyłam się nacisnąć klamkę i wejść do środka. Podniósł swoją wielką, ciężką głowę i popatrzył na mnie przekrwionymi oczami. Jego tęczy w tym oświetleniu zdawały się żółtozielone.

– Czemu zawdzięczam pani wizytę? – powitał mnie od progu, baczenie mi się przyglądając i wskazując niedbale krzesło przed sobą. Podziękowałam skinieniem głowy i odsunęłam je od biurka. Wydało z siebie pisk, który przeszył moje uszy. Musiał też obudzić śpiącego na posłaniu w kącie wyżła niemieckiego w kolorze brązowego deresz, bo ten wstał powoli i merdając kikutem ogona, ruszył w moją stronę, aby mnie obwąchać. Wiedziałam, że ta rasa jest używana do odnajdywania zwłok z uwagi na swój niezwykły węch.

Rozejrzałam się po pomieszczeniu, by jeszcze raz się upewnić, że jesteśmy sami, zanim wyjawię cel mojego przybycia. Sięgnęłam do torby i wyjęłam z niej starannie zawinięty w stare gazety album.

– Wydaje mi się, że znalazłam się w śmiertelnej pułapce – wyznałam ze łzami w oczach. – Powoli zaczynam rozumieć, dlaczego Sybilla Gebler sporządziła testament, czyniąc mnie swoją jedyną spadkobierczynią. Koniecznie chciała, abym znalazła się na tej wyspie. Dom na czerwonym klifie to moje fatum, moja matnia. Potrzebuję pomocy...

– Nie rozumiem! Czy może pani mówić jaśniej? – Funkcjonariusz wyglądał na zdezorientowanego.

– Proszę spojrzeć na ostatnią stronę – zachęciłam go, drżącymi dłońmi podsuwając znaleźisko. Grzebał długo w szufladzie, zanim wyciągnął z niej monokl.

– Widzę tutaj pani imię i nazwisko napisane ołówkiem. Nie wiem tylko, w jakim zamiarze – odparł, marszcząc brwi.

– Zaraz to panu wyjaśnię. – To powiedziawszy, ściszyłam jeszcze bardziej głos i otworzyłam stronę, na której znajdowała się jedna z funeralnych fotografii. – Jest ich tutaj kilkanaście. Każda przedstawia innego człowieka. Na jednej z nich uwieczniono Ludwika Gestnera, chirurga, który przed laty zginął w dziwnym wypadku samochodowym. Okoliczności jego śmierci nie zostały nigdy w pełni wyjaśnione. Znalazłam też na ostatnim zdjęciu hrabiego Stolberga-Wernigerode, zmarłego ponad rok temu. Według prokuratury został zastrzelony przez własnego syna w majątku w Jannowitz. Zapewne słyszał pan o nim dzięki rozgłosowi, jaki nadały temu wydarzeniu gazety. Każda z tych osób odeszła przedwcześnie w sposób tragiczny i tajemniczy... – przerwałam, bo szloch, który uwiązał mi w gardle, przez chwilę nie pozwolił mi kontynuować. – Stoi za tym najprawdopodobniej ten sam zabójca, który działał na zlecenie i pozbywał się wskazanych ofiar. Ten zbiór fotografii to dowód, że wykonał swoje zadanie.

Wynika z niego jasno, że ja będę następną... – dokończyłam, czując, jak całe moje ciało drży.

Inspektor Haberland oparł się na swoim trzeszczącym fotelu i przez dłuższą chwilę milczał. Nie mogłam odczytać, jakie myśli krążą w jego głowie, bo przymknął powieki, jakby nad czymś głęboko się zastanawiał. Wreszcie nabrał powietrza w płuca. Otworzył usta otoczone podkręconymi wąsami, po czym wydobył z siebie potężny rechot, aż echo odbiło się od ścian pokoju.

– To wszystko, co miała mi pani do powiedzenia?

– Przepraszam, ale nie rozumiem, co pana tak rozbawiło?! – zapytałam, nie kryjąc oburzenia.

– Przynosi mi pani kilkanaście starych, pożółkłych, wyblakłych fotografii nieboszczyków w trumnach, wykonanych w dniu ich pochówku, i próbuje mnie pani przekonać, że to *sceleris indicium*. Na dodatek większość z tych domniemanych zbrodni wydarzyła się jeszcze w ubiegłym stuleciu. Dziwnym trafem rodzina rzekomo zamordowanych nie dociekała i nie upominała się o sprawiedliwość, chociaż jak pani twierdzi, ich bliscy odeszli w nietypowy sposób. Na podstawie nagryzmołonego grafitem na ostatniej stronie napisu wysnuła pani wniosek, że znajduje się pani w poważnych tarapatach i ktoś czyha na pani życie. Dla mnie ta opowieść jest pozbawiona logiki...

– Nie wie pan jeszcze wszystkiego!

– Zatem proszę mówić – zachęcił mnie, nieudolnie starając się zachować powagę i splatając dłonie, aż usłyszałam trzask paliczków.

– Raban von Spiegel, safiannik, który mieszkał w tym domu, wytwarzał obuwie ze specjalnym, trującym barwnikiem. Przenikał on do krwi, powodując *exitus letalis*. Buty takie oznaczał specjalnym symbolem węża...

Mój rozmówca przetarł zgrubiałymi palcami oczy, po czym otworzył je szeroko, jakby chciał się upewnić, czy nie jestem przypadkiem wytworem jego snu. Następnie odsunął się od biurka i spojrzał w dół. Wstał i zbliżył się do mnie.

– Czy ma pani na myśli ten emblemat? – Wskazał na eskulapa wyrytego w skórze jego butów. Przełknęłam z trudem ślinę, czując, jak piecze mnie gardło. – Te bluchery kupiłem od kurdybanika, gdy zaczynałem tutaj służbę. Poszła na nie cała moja pierwsza wypłata, ale było warto, bo jak pani widzi, są bardzo solidne. – Po tych słowach wrócił na swoje miejsce. – Chciałbym pani pomóc, ale naprawdę nie wiem jak. – Rozłożył bezradnie ręce.

– Jest jeszcze kobieta, która od jakiegoś czasu mnie śledzi. Pojawia się nagle. Nie umiem podać jej rysopisu, bo zazwyczaj ma twarz zasłoniętą woalką. Wydaje mi się, że ona może posiadać cenne informacje... Nie mam pojęcia, jakie ma zamiary, ale wyczuwam, że nie są one dobre.

– Czy ktoś jeszcze oprócz pani ją widywał?

– Chyba nie... – odpowiedziałam niepewnie.

Funkcjonariusz westchnął ciężko i sięgnął do kałamarza. Nie mogłam ujrzeć, co zanotował, bo zasłonił kartkę ramieniem.

– Gdyby jeszcze raz się pojawiła, proszę dać mi znać. Wie pani, gdzie mnie szukać – oświadczył na zakończenie.

– To wszystko? – zapytałam zawiedziona, czując, że rozgoryczenie pali mnie od środka.

– A co więcej mógłbym uczynić?

– Proszę tutaj spojrzeć! – Sięgnęłam ponownie do torebki, by wydobyć z niej tajemniczy pamiętnik. Podałam mu zawiniątko, a inspektor rozpakował je i przekartkował.

– Chyba musi się pani nudzić sama w tym wielkim domostwie – orzekł, widząc wykaligrafowane moje imię, które zapełniało całą

stronę.

– To nie ja! Na Boga, nie ja to stworzyłam! – krzyknęłam pełna irytacji. – Zrobił to ktoś, kto ma obsesję na moim punkcie! Nie mam pojęcia, kim jest, ale może mi zagrażać! To nie jest normalne!

– Proszę wrócić do pracy, o ile oczywiście jest pani w stanie – powiedział stróż prawa, siląc się na spokojny ton. – Myślę, że za długo przebywa pani w samotności. To prowadzi do obłądu...

– Ostatnie słowa wypowiedział półszepem, przybliżając się do mnie. Jego tęczyówki mieniły się jak u kobry. Cofnęłam się, czując niemiłe mrowienie na skórze. Pożegnałam go chłodno, zlekceważona i ośmieszona.

Poszłam prosto na plażę i molo, by się trochę uspokoić. Z uwagi na złą pogodę byłam tam zupełnie sama. Wiejący wiatr podrywał tumany piasku, który dostawał się do moich oczu i ust. Nie pomagało osłanianie się parasolem i mrużenie powiek. Chłodne powietrze i wdychanie zapachu morskiej soli spowodowało, że powoli się wyciszałam.

– Nikt mi nie wierzy i nie traktuje moich słów poważnie. Ale ja udowodnię wszystkim, że się mylą! – Odpowiedziały mi jedynie głosy mew, które właśnie pochwyciły jakąś zdobycz i biły się o nią nad taflą morza. – Teraz pozostaje mi tylko dostać się do pałacu, gdzie popełniono ostatnią z tych okropnych zbrodni. Być może morderca pozostawił tam jakiś ślad, który poprowadzi mnie dalej... Muszę w końcu odkryć, o co w tym wszystkim chodzi – mamrotałam do siebie, osłaniając oczy ręką i wpatrując się w horyzont, gdzie na wzburzonych falach kołysały się w oddali okręty.

Każda godzina wydawała się cenna. Nie wiedziałam przecież, ile jeszcze zostało mi czasu. Podjęłam natychmiastową decyzję i w następnych dniach uporządkowałam wszystkie bieżące sprawy.

Poinformowałam przełożonego szpitala, że jestem zmuszona na kilka dni opuścić Sylt z powodów rodzinnych. Nie był z tego powodu zadowolony, ale też nie oponował. Pożegnałam się z Lotharem, który odprowadził mnie do samego wagonu. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego znów wyjeżdżam, a ja nie mogłam mu powiedzieć prawdy. Po ostatnich wydarzeniach oddaliliśmy się od siebie. Miałam przed nim coraz więcej tajemnic, a nie ufałam mu na tyle, aby mógł stać się ich powiernikiem.

Machał mi na pożegnanie tak długo, aż zniknął z pola widzenia. Zabrałam ze sobą jedynie skórzaną walizkę zamykaną na pasek, do której wpakowałam kilka sukienek jumprowych i typu *robes-manteaux*, a także moją lekarską torbę, z którą praktycznie nigdy się nie rozstawałam. Miałam do pokonania aż kilkaset kilometrów. Jakaś wewnętrzna siła i chęć dotarcia za wszelką cenę do prawdy gnały mnie naprzód.

* * *

Gdy po wielu godzinach krajobraz z równinnego zmienił się na górzysty, przesiadłam się blisko okna, by móc podziwiać widoki. Nie każdemu dane było zobaczyć chociaż raz w życiu Sudety jesienią. Zbocza i szczyty porośnięte przez jawory, brzozy, buki i jarzębinę mieniły się odcieniami złota, pomarańcza oraz brązu. Roztaczała się nad nimi mistyczna mgła. Krajobraz przecinały żelazno-stalowe i kamienne wiadukty kolejowe. Przed kilkoma laty poprowadzono tutaj trakcję elektryczną, tym samym parowozy zastąpiono nowoczesnymi pociągami. Wśród szlaków górskich można było odnaleźć szemrzące strumyki, rwące potoki i wodospady. Z chat i domów unosiły się pasma szarego dymu z kominów. Powietrze o tej porze roku przesycone było zapachem węgla i palonych liści.

Gdy wysiadłam na peronie, świeciło piękne popołudniowe słońce, a krople deszczu wiszące na liściach mieniły się niczym kryształły. Z pobliskiego drewnianego kościółka rozbrzmiewał nostalgiczny hejnał, niosący się echem po okolicy. Nie wiedząc, dokąd skierować swoje kroki, zawołałam dorożkę. Gdy już jechałam aleją prowadzącą od dworca, wzdłuż której rosły jarząby szwedzkie, zaczęłam rozglądać się za miejscem, w którym mogłabym przenocować. Zastanawiałam się również, jakiego użyję fortelu, by dowiedzieć się jak najwięcej. Było dla mnie jasne, że mury pałacu są praktycznie niedostępne dla przybyszów z zewnątrz.

Koń maści kasztanowej ciągnął z werwą naprzód, tak że trzeba było hamować jego pęd lejcamy. Moje refleksje przerwało żalosne miauczenie. Przy drodze siedział czarny kocur o zmierzwionej, posklejanej sierści, obserwując mnie z daleka swoimi ślepiami w kolorze miodu. Jak się okazało, czaił się, by przebiec w ostatniej chwili przez drogę, i omal nie został stratowany końskimi kopytami.

– Co to za straszdyło?! – krzyknął woźnica, wymachując batem i próbując ochłonać ze złości. – Słyszała pani o złym duchu Karkonoszy? – zwrócił się mnie niespodziewanie, ale pokręciłam przecząco głową. – Miejscowi nazywają go Liczyrzepą. Stwór ten według legendy przekazywanej od lat z ust do ust przypomina jelenia stojącego na tylnych kopytach, ma rosochate rogi i diabelski ogon – ciągnął swoją gawędę, najpewniej, by zabić nudę, która powoli nas dopadała. – Kto wie, gdzie się teraz przyczaił ten demon i na kogo czyha... Znam pewną staruszkę, która go spotkała, gdy była jeszcze młodą dziewczyną, i ledwo uszła z życiem! – Widząc, że opowieść mnie nie wciągnęła, zamilkł, po czym zmienił temat: – Zapewne pani przyjechała w te strony, aby odwiedzić dom Hugo Scheinerta. Najwięcej turystów przybywa właśnie w tym celu.

– Nie zgadł pan. Chociaż znam i cenię tego malarza – odparłam, popadając w chwilową zadumę.

– To po co pani się tutaj zjawiała? – dopytywał wścibsko.

Rzuciły mi się w oczy okropne braki w jego uzębieniu. Czuć było także woń przetrawionego alkoholu zmieszanego z potem.

– Ściągnęły mnie tu służbowe sprawy – próbowałam go zbyć.

– Bardzo pani tajemnicza – skwitował woźnica, osłaniając się ręką od oślepiających promieni słonecznych. Żuł w ustach tytoń, spluwając raz po raz na pobocze. – Tam zaraz zaczynają się mokradła i torfowiska. – Wskazał ręką zarośnięty krzakami i drzewami teren. – Niejeden, który się tam udał, utonął i nigdy nie powrócił. To jak wielki cmentarz. Lepiej się tam nie zapuszczać – przestrzegł mnie. – A ta droga pod górę prowadzi do ruin zamku. Przez lata była siedzibą raubritterów i niebezpiecznie było zapędzać się w tamte rejony. Zaraz za zakrętem będzie gospoda, gdzie mają wolne pokoje. Jesteśmy prawie na miejscu.

– Dziękuję za pomoc. Czy wie pan, jak dojść do pałacu Stolbergów? – zapytałam, czując, że moje serce przyspiesza.

– Mogę tam panią zawieźć – zaproponował, po czym zmrużył podejrzliwie powieki, przyglądając mi się. – Ale jeżeli jest pani dziennikarką i tropi sprawę zabójstwa hrabiego, to proszę się nie łudzić, że dowie się pani czegokolwiek nowego, o czym już by nie napisano. Rodzina jest bardzo skryta, a od czasu tragedii strzeże jeszcze bardziej swojej prywatności.

– Nie! – stanowczo zaprzeczyłam. – Przybyłam do Jannowitz, bo...

– Na chwilę zamilkłam, zastanawiając się, co powiedzieć. Przełknęłam powoli ślinę. – Szukam posady ochmistrzyni – zakończyłam, czując wewnętrzną ulgę, że z pomocą przyszło mi kłamstwo. – Jeżdżę po okolicy i pytam, czy ktoś miałby podobne stanowisko do zaoferowania.

– Pewnie panią wyrzucili z poprzedniej pracy... – Kuczer pokiwał głową, okazując zrozumienie.

Przytaknęłam tylko i spuściłam wzrok.

– Zmienił się dziedzic i nie mogliśmy dojść do porozumienia – wyjaśniłam, wzdychając. – Ale nie żałuję, że opuściłam tamto miejsce.

Najwyraźniej woźnica pomyślał, że rozmowa na temat ostatniego chlebobdawcy jest dla mnie bolesna, bo nie dociekał więcej.

– Cóż, hrabina Erika także nie ma najłatwiejszego charakteru. Ale o tym już się sama pani przekona, o ile zechce dać pani zatrudnienie u siebie. Przepraszam, że początkowo wzięłam panią za nuworyszkę. – Uderzył się pięścią w pierś. – Jesteśmy przecież z tej samej klasy robotniczej! – Spojrzał ze współczuciem na moje dłonie zniszczone przez spirytus mydlany i sublimat. – Nikt tak jak my nie wie, co to ciężka praca... – W akcie braterstwa wyciągnął z kieszeni zwinięty w kawałek serwety komiśniak. – Pewno głodna? Bierz pani! – zachęcił mnie.

Uśmiechnęłam się jedynie w odpowiedzi i oderwałam palcami kawałek pieczywa. Odmowa w tej sytuacji byłaby jednoznaczna z obrazą. Poza tym jedno nieopatrznie wypowiedziane słowo mogłoby zbyt wiele zdradzić i mnie zgubić.

– Umie pani szyć? – rzucił.

W pierwszej chwili chciałam wykrzyknąć pełna entuzjazmu, że jestem w tym bardzo dobra. Dopiero po chwili uświadomiłam sobie jednak, że przecież nie chodzi mu o igłę chirurgiczną z katgutem i rany operacyjne. Zdażyłam na szczęście w porę ugryźć się w język.

– Tak trochę – bąknęłam, marząc o tym, by dał mi wreszcie spokój.

– Wiem, że miejscowa szwalnia szuka krawcowej. Jeżeli nie uda się pani dostać pracy w pałacu, to można tam popytać. A ja przenocuję panią za darmo pod moim dachem.

– Ależ nie chciałybym robić kłopotu! – zaprotestowałam gorąco.

– Bzdura! – zachnął się. – Moja żona tylko się ucieszy, że będziemy mieć towarzystwo przy wieczerzy. Mieszkam niedaleko pastorówki. Wystarczy, że pani zagadnie miejscowych, to wskażą dokładnie gdzie.

– Bardzo pan uprzejmy – podziękowałam.

Ta wymiana zdań stawała się dla mnie coraz bardziej krępująca. Mój rozmówca chciał poznać więcej faktów z mojego życia, a ja obawiałam się, że podstęp, którego się uchwyciłam, może omyłkowo wyjść na jaw. Ucieszyłam się więc podwójnie, gdy nagle zza drzew wyłoniły się wreszcie fragmenty muru obronnego z bramą.

– Pałac uległ zniszczeniu w trakcie wojny trzydziestoletniej, kiedy podpaliły go wojska szwedzkie – wyjaśnił furman, gdy zatrzymaliśmy się przed wjazdem. – Zamieszkująca wówczas dwór hrabina Hedwiga zaznała wielu cierpień i biedy. Zasłynęła za to tym, że okazała solidarność z całą okoliczną ludnością. Chroniła się razem z nią w trakcie najazdów w okolicznych lasach. Przez krótki czas byłam stangretem jaśniepaństwa, stąd znam niektóre historie dotyczące tego miejsca – wyjaśnił.

– To wszystko, co pan opowiada, jest bardzo ciekawe – podsumowałam, wciskając mu do rąk zapłatę, chociaż się przed nią wzbraniał.

– Jak pójdzie pani tędy prosto, minie folwark, wozownię i spichrz, to powinna pani natrafić na drzwi prowadzące do służbówki! – zawołał na odchodne, ostatni raz oglądając się za siebie.

Znalazłam się w parku, w którym obok potężnych wiekowych dębów i lip rosły także buki, kasztanowce oraz jesiony. Gdy wreszcie dotarłam przed drewniane wrota, użyłam metalowej kołatki, aby zapukać. Czekałam jednak długo, nim ktoś raczył zejść i mi otworzyć. Robiło się ciemno i zimno. Zapach opadniętych, gnijących liści, pomieszany z dymem okolicznych ognisk drażnił moje nozdrza. Wieśniacy piekli chleb z cebulą nadziany na patyki oraz ziemniaki w popiele. Powoli zbierała się też mgła, idąca od strony sadu.

– Czego pani chce? – z zamyślenia wyrwało mnie pytanie zadane nieprzyjemnym tonem przez chudą, wysoką kobietę. Miała oczy w kolorze agrestu, wyłaniające się spod opadających powiek. Była ubrana w ciemnogramatową wełnianą sukienkę z długimi rękawami, na którą założyła mniejszy, biały fartuszek z falbanką, a jej głowę zdobiła biała przepaska. Wysuszone i pomarszczone oblicze kobiety wydawało się surowe.

– Szukam pracy jako pomoc domowa – ponownie posłużyłam się kłamstwem, starając się, aby głos mi nie zdrzął. Sama nie wierzyłam, że posunęłam się aż tak daleko. To, co robiłam, graniczyło przecież z szaleństwem. Sądziłam jednak, że to jedyny sposób, aby dostać się do pałacu i zbadać sprawę.

Fizjonomia mojej rozmówczynie złagodniała, a jej wąskie usta wykrzywiły się delikatnie, jakby zamierzała się uśmiechnąć. Sądząc po zarysach zmarszczek mimicznych na jej twarzy, musiała robić to niezwykle rzadko.

– Doprawdy z nieba nam pani spada! – zawołała, składając w teatralnym geście dłonie i unosząc je do góry. – Właśnie wczoraj odprawiliśmy jedną dziewczynę. Prowadziła się niemoralnie i zaszła w ciążę. Nikt nie pozwoli, aby ladacznica mieszkała pod tym dachem – syknęła.

Nie odezwałam się. Poczułam jedynie żal, że służąca została skazana na wygnanie wraz ze swoim nienarodzonym dzieckiem. Wiedziałam, że sytuacja wielu tych młodych kobiet była bardzo trudna. Nieraz wbrew swojej woli, wzięte gwałtem, były wykorzystywane przez panów traktujących je jak swoją własność. Będąc całkowicie zależne od nich, nie mogły się w żaden sposób bronić. Trafiały potem do mnie, błagając, abym pomogła im rozwiązać problem, który skazywał je na wieczną banicję i ostracyzm społeczny. Ich los, chociaż często nosiły w swoim łonie potomka osób z wyższych sfer, nie obchodził nikogo.

– Na dodatek kamerdyner nam się rozchorował, a dzisiaj akurat mamy proszoną kolację. To pierwsza taka uroczystość od... – zaczęła, ale zaraz urwała, jakby zmitygowała się, że nie powinna zbyt wiele mówić na temat tego, co wydarzyło się w tym miejscu. – Potrzebujemy pilnie kogoś do podawania dań. Zaraz zjadą się biesiadnicy. Jesteś gotowa, by zakasać rękawy i od razu wziąć się do roboty? – zmieniła nagle ton na bardziej bezpośredni.

– Tak... – odparłam mało przekonująco. W mojej głowie pojawiły się wątpliwości, czy na pewno dobrze robię.

– Jak się sprawdzisz, to na koniec przedstawimy cię pani i zadecyduje, czy możesz zostać. Chodź za mną – zwróciła się do mnie, nakazując gestem ręki, bym za nią podążyła. – Pokażę ci, co na siebie założysz. W chłodnych okresach roku nosimy stroje z barchanu i flaneletki, latem z nieprzezroczystej bawełny – wyjaśniła. – Do sprzątania trzeba założyć duży, kolorowy, najlepiej płócienny fartuch w paski. Do gotowania i siania łóżek służą białe stroje. Oczywiście do każdej z tych czynności osobne! – doprecyzowała.

Szłyśmy po krętych schodach, jak się okazało, w stronę kuchni. Była ona ulokowana na ostatnim piętrze, aby dym, brzydkie

zapachy i inne wyziewy nie dostawały się do pomieszczeń, w których przebywali mieszkańcy pałacu i ich goście. Kucharze właśnie przystrajali pieczonego prosiaka z jabłkiem w pysku, ustrajając go w garnitur z talarków z marchwi i liści kapusty. Dzień wcześniej trzeba było go zapewne wypatroszyć i opalić nad spirytusowym płomieniem, by później wystudzić w zimnej wodzie. Tak przygotowanego poddawano trybowaniu, mającemu na celu usunięcie wszystkich kości. Akurat wynoszono suto zastawione półmiski. Był na nich sandacz po parysku, pasztet z dziczyzny na gorąco w kruchym cieście z dodatkiem żurawiny i pieczeń z indyka z kasztanami.

Dostałam do rąk mundurek, czepek i fartuch. Tkanina była szorstka i gryząca. Nie było jednak czasu, aby się nad tym zastanowić, bo już pospieszano mnie i wołano do pomocy.

– Zanieś to – dostałam polecenie, gdy podano mi srebrną tacę, na której znajdowała się polędwica z sosem maderowym i garniturem ze smażonych borowików. Pomimo że cały dzień prawie nic nie jadłam, nie odczuwałam głodu. Sycił mnie mój strach. Nie miałam pojęcia, w którą stronę iść, dlatego podążałam za moimi poprzednikami, starając się dotrzymać im kroku. „To szaleństwo” – w głowie jak mantra powracała mi jedna myśl. Czułam, jak robi mi się gorąco, jak cała się pocę i coraz trudniej złapać mi oddech.

Wreszcie dotarłam do sali balowej, która zajmowała aż dwie kondygnacje. Znajdowała się w niej empora, podtrzymywana przez kolumny w stylu włoskiej Toskany. Umieszczono na niej fortepian, na którym przygrywano gościom do posiłku utwory Clary Schumann. Na suficie pomieszczenia namalowano barokowy plafon – ten jednakże przybladł z upływem lat. Poszliśmy do sali obok, gdzie rozstawiono długie stoły, przy których biesiadowano.

W kominku z ozdobną tarczą herbową i żeliwnymi płytami płonęły szczapy świerku, wypełniając wnętrze zapachem żywicy. Na lichtarzach dymiły świece. Suknie wieczorowe miały fasony odzwierciedlające rozliczne kaprysy i fantazje. Zostały uszyte z tiulu, tafty, koronki czy też *mousseline de soie*, z upiętymi falbanami, turniurami i wolantami. Ozdobiono je ogromnymi kokardami, puffami, trenami bądź skrzydłami, opadającymi z ramion lub boków. Królowały rozmaite kolory, od perłowosinych poprzez bakłażanowo-złociste aż do jednego z najmodniejszych – złocistoblond odcienia nazywanego *cheveux de reine*.

Na naczelnym miejscu siedziała hrabina Erike Wernigerode-Stolberg, otoczona swoimi najstarszymi dziećmi, jak wywnioskowałam z podobieństwa ich rysów.

– Połóż to na końcu stołu i postaraj się nie rzucać w oczy – usłyszałam polecenie wyszeptane do mojego ucha. Skinęłam głową i ruszyłam we wskazane miejsce. Siedziały przy nim akurat dwie matrony.

– Moim zdaniem zadziwiające jest, że tak szybko zrzucano stroje żałobne. Przecież wydarzyła się wielka tragedia... – powiedziała ściszym głosem jedna z nich. – Już wyprawiają wytworne uczyty, a ciało nieboszczyka ledwo co złożono w grobie.

– Ale przecież na wiosnę miną dwa lata! – odpowiedziała jej rozmówczyni.

– Podobno młody dziedzic po odsiedzeniu wyroku za nieumyślne spowodowanie śmierci zaciągnął się do wojska, nie chcąc wracać w rodzinne strony – odpowiedziała druga.

– Nic dziwnego! Tutaj wszystko będzie mu się przecież kojarzyć z tym nieszczęściem. I pomyśleć, że wydarzyło się to przy zwyczajnym czyszczeniu broni po polowaniu na jelenie... Dlatego śmiertelny strzał oddany został z bliskiej odległości. Gdy przybył

komisarz, biedny młodzieniec był w takim szoku, że ponoć powtarzał tylko jedno zdanie: „Mój tato jest martwy jak głaz, jak głaz...” Kochał go bardzo, to pewne. – Matrona pociągnęła nosem i otarła chusteczką kąciki oczu.

– Jeżeli chce znać pani moją opinię, to osobiście przychyliłam się do innej wersji śledczych. Panicz Friedrich został tylko zmuszony do przyznania się do winy, a prawdziwy zabójca uciekł – rzekła druga z kobiet, ścisząc głos i rozglądając się, czy nikt nie podsłuchuje.

Na chwilę zamilkła, gdy przechodziłam obok, po czym, gdy się wycofałam, kontynuowała. Schyliłam się i udawałam, że sprzątam z podłogi okruszki jedzenia, by móc dłużej przysłuchiwać się ich wymianie zdań.

– Znałam tego chłopaka od dziecka i nie wierzę, że mógłby być tak lekkomyślny. Dziwne jest to, że kilkakrotnie zmieniał zeznania. Szantażowali go, by wziął winę na siebie. Młodszy syn, Teodor, skazany na banicję z rodziny, pracował podobno jako szofer w Berlinie. Moim zdaniem to była jego zemsta. Nasłał kogoś, by wykonał zadanie...

– Skąd takie przypuszczenia? – dopytywała druga, wachlując się intensywnie, by ochłoniąć z szoku.

– W noc zbrodni widziano na dziedzińcu kobietę na motocyklu, która potajemnie opuściła mury zamku, gdy spowijał go już mrok... Nikt nie widział dokładnie jej twarzy, bo miała na głowie pilotkę z goglami.

Poczułam nagle niemiłe szturchnięcie.

– Zostaw to! Później posprzątasz! Rusz się, za chwilę podadzą deser! Żwawiej, żwawiej! – popędzono mnie ostrym tonem.

Nie miałam wyjścia i musiałam wstać, by opuścić salę. Wróciłam na górę, do reszty służby, która pozwoliła sobie na odrobinę

swobody po podaniu dania głównego i rozsiadła się w czeladnej, by chwilę poplotkować. Aby nie rzucać się w oczy i wtopić się w otoczenie, stanęłam w półmroku w kącie, udając, że poleruję srebra.

– Widziałaś, jak brat świętej pamięci hrabiego spogląda na wdowę? – zauważyła jedna z pokojówek. – Musiałam pościelić podwójne łożę w jej komnacie, bo tak mi kazała.

– Cóż, nie jest żadną tajemnicą, że miała z nim romans jeszcze za życia swojego męża. Zawsze z dumą i bez ogródek to przyznawała – odpowiedziała jej, wzruszając ramionami, starsza służąca. – On też nie był jej wierny! Nie przepuścił żadnej okazji! – dodała wzburzona. Siedziała akurat przed lustrem, wyrrywając sobie siwe włosy, by pozbyć się srebrnych pasm z koka. – Straszny był los wszystkich ładniejszych chłopek w okolicy!

– Podobno stary lubieżnik uwiódł nie tylko swoją szwagierkę, ale i jej synów... – wtrąciła jeszcze inna półgębkiem, gdy dosiadła się do wygasającego pieca. Skubała kromkę przyschniętego chleba, łykając go pospiesznie.

– Co też opowiadasz, Gertrudo! To przecież ciężki grzech! – odparła kolejna i przeżegnawszy się, uniosła wzrok do niebios, ściskając w dłoniach różaniec.

– Jedno jest pewne. Ta rodzina ma krew na rękach... Dziewczyna, której nakazano palić listy w piecu w tamtą upiorną noc, w którą zabito pana domu, powiedziała, że zdążyła niektóre z nich przeczytać – oświadczyła szeptem kawiarka, która właśnie skończyła zaparzać kofeinowy napar dla gości. Wszyscy przysunęli się do niej, by posłuchać jej opowiadania. – Sądzone, że jest niepiśmienna, bo jak przyjmowała się do pracy, to podpisała się jedynie krzyżykiem. Ich sekrety miały być więc bezpieczne w jej rękach.

– I czego się dowiedziała? – dopytywała jedna ze zgromadzonych.

– Musicie przysiąc, że nikomu ani słowa! – Kobieta przyłożyła palec do ust. Gdy wszyscy przytaknęli, kontynuowała: – Hrabina Erike w swojej poufnej korespondencji ponoć planowała zemstę za niewierność małżonka. Nigdy nie pisała o tym wprost, ale bez trudu można było odczytać jej intencje. Przez całe życie hrabiemu towarzyszyły rozmaite nałożnice i dzieci z nieprawego łoża. Ostatni list, jaki otrzymał, pochodził od jakiejś flamy, która w dramatycznych słowach prosiła go o pomoc. Został wysłany dosłownie na kilka dni przed jego śmiercią z bardzo daleka... Z wyspy na Morzu Północnym – ściszyła tajemniczo głos, by dreszcz podniecenia pomieszanego ze strachem mógł przejść nam po skórze. Zadygotałam, odwracając się pośpiesznie tyłem, by nikt nie ujrzał mojego oblicza. – Kochanka użyła jedynie swoich inicjałów, więc nie wiadomo, kim dokładnie była. To zdarzenie musiało przepełnić czarę goryczy, skoro od dawna zdradzana żona zdecydowała się pociągnąć za spust. Podczas przesłuchania, gdy zapytano ją, czy to ona jest morderczynią, nie podała jednoznacznej odpowiedzi.

Umilkła nagle, bo drzwi do pomieszczenia otworzyły się z hukiem. Stała w nich ta sama szafarka, która wpuściła mnie do pałacu.

– Przestańcie wreszcie gadać! – Pogoniła współpracownice, wymachując w powietrzu ścierką. – Trzeba podawać espresso, owoce i deser!

Wyszłam z powrotem na klatkę schodową, tym razem uginając się pod ciężarem patery z ciastami i zwisającymi kiściami winogron. Nie pamiętam, ile razy tamtej nocy szłam w górę i w dół. Czułam, że nogi powoli odmawiają mi posłuszeństwa. Wreszcie jednak posiłek dobiegł końca, a ja przysiadłam na drewnianej ławie, rozmasowując bolące mięśnie, gdy nagle ktoś szarpnął mnie za rękaw.

– Jaśnie pani chce cię poznać dopiero jutro, ale kazała mi wcześniej sprawdzić, czy masz pojęcie o służbie. Weź swoje tobołki i chodź za mną! – rozkazał znajomy, nieuprzejmy głos.

Poruszałam się jak w malignie. Głowa pulsowała mi od bólu, a konieczność ciągłego udawania kogoś, kim nie byłam, powodowała, że z trudem panowałam nad drżeniem rąk. Poza tym zbierało mi się na mdłości od tego wszystkiego, czego się dowiedziałam. Nie miałam już wątpliwości, że tajemnicze listy – ten wysłany do mojego ojca przed wieloma laty i ten, który przyszedł do zamordowanego przed ponad rokiem hrabiego – musiała nadać ta sama osoba, a wcielanie się w rolę kochanki potrzebującej pomocy było jednym z jej sposobów działania. Potrafiła dzięki temu osaczyć nieświadomą niczego ofiarę. Trudno było powiedzieć, jakimi jeszcze metodami dysponowała. Nie potrafiłam w dalszym ciągu wydedukować, kim była i co łączyło ją z domem, który otrzymałam w spadku, oraz z Sybillą Gebler. Czy było możliwe, aby chodziło o tę samą osobę? Do mojej świadomości przedzierała się upiorna myśl, którą ciągle wypierałam, że być może ostatnia mieszkanka posiadłości na czerwonym klifie wcale nie umarła, a jedynie upozorowała swoją śmierć, by mnie zwabić na wyspę. Jak mantra powracało do mnie również koszmarne pytanie... Jeżeli ja miałam być następną osobą, na którą wydano wyrok, to kim był człowiek zlecający zabójstwo?

Przechodziłyśmy akurat przez ogromny hall z żyrandolami, gdy niespodziewanie za plecami usłyszeliśmy rozpaczliwe wołanie:

– Pani Rottenger! Z Hermannem jest gorzej, siedzi w kącie izby i się trzęsie! Wygląda jak żywy trup!

Obróciłam się za siebie i zobaczyłam spanikowaną pokojówkę gryzącą ze strachu paznokcie. Moja towarzyszka wykrzywiła usta

w grymasie niezadowolenia, a na jej usta wypełzł cyniczny uśmiech.

– Nie widzisz, że jestem zajęta?

– Kiedy tu trzeba po lekarza posłać! – upierała się młoda dziewczyna.

– Już ci doktor o tej porze do służącego przypędzi! – prychnęła arogancko szafarka, wydymając wargi i przewracając oczami. Popatrzyłam na nią, nie kryjąc zdziwienia, że można być tak obojętnym na ludzkie cierpienie. Najwyraźniej dotarło do niej, że ta reakcja stawia ją w złym świetle jako przełożoną. Westchnęła ciężko i widząc, że nie ma wyjścia, ugięła się pod naciskiem. – Zaraz przyjdę. A ty – zwróciła się do mnie, wręczając mi klucz – wejdź na drugie piętro, znajdziesz tam mój pokój. Pierwsze drzwi po prawej stronie.

Nie byłam do końca pewna, w którym kierunku mam podążać, ale nie widziałam ani jednej osoby, którą mogłabym zapytać o drogę. Na górę prowadziły aż trzy klatki schodowe, wybrałam więc jedną z nich. Była dość mroczna, a moje kroki odbijały się na niej echem, choć starałam się stąpać jak najciszej. W pewnym momencie na samej górze pojawiły się dwie kobiety, głośno dyskutując. Schowałam się we wnęce, by pozostać niezauważona.

– Matko, jak mogłaś oddać ten rodzinny diadem z bursztynami! Przeszukałam dzisiaj cały skarbiec i go nie znalazłam. Początkowo sądziłam, że ktoś ukradł nasz klejnot – wyraziła swoje pretensje jedna z nich.

– Antonino, dobrze wiesz, że musiałam zapłacić jakoś za wykonaną usługę. Trzeba było coś dyskretnie spieniężyć – odparła druga półszeptem.

– Ale dlaczego akurat to? Chciałam założyć go na moim weselu!

– Teraz jeszcze nie wolno nam myśleć o takich przyjemnościach, bo ludzie nabiorą podejrzeń – skarciła ją starsza kobieta. – Do tej pory dobrze wychodziło nam odgrywanie kochającej się rodziny pogrążonej w żałobie. Twój biedny brat nie po to siedział w więzieniu, aby ktoś odkrył... – zakończyła szeptem, którego nie zdołałam usłyszeć.

Moje serce biło tak szybko i głośno, że bałam się, iż zdradzi moją obecność. Wymiana zdań powoli ucichła, a obie damy schowały się w komnatach. Próbowałam się wycofać, lecz u stóp schodów natrafiłam na ochmistrzynię.

– Na Boga! – Załamała dłonie na mój widok. – Przecież ta klatka jest tylko dla jaśniepaństwa! Gdzieś ty wlaźła? Mam nadzieję, że nikt cię nie zauważył, bo od razu wyrzuciliby cię na bruk!

– Przepraszam – wymamrotałam pod nosem.

– Widzę, że brakuje ci bon tonu, ale tutaj nabierzesz oglądy – dodała łagodząco.

Szłam za nią aż do jej ascetycznego pokoju. Zapaliła lampkę na swoim biurku, by rozjaśnić wnętrze, i wskazała mi miejsce, abym usiadła.

– Potrzebujemy kogoś, by robił sprawunki na targu. Ostatnio jedna nierozgarnięta dziewczyna kupiła złe mięso. Już samo spojrzenie na haki u rzeźnika powinno dać jej pewien ogląd, że było mocno przesycone krwią, nietypowo czerwone... – wzdrygnęła się. – Pochodziło od sztuk, które były chore, gdy prowadzono je na ubój. Umiesz rozpoznać, czy nabiał nie jest zafałszowany? – zasyczała, marszcząc czoło.

– To znaczy? – odparłam zdezorientowana, a majordomusa zrobiła wielkie oczy.

– Gdzieś ty się uchowwała? – powiedziała bardziej do siebie. – Nieuczciwi używają krochmalu zmieszanego z wodą do zagęszczenia

mleka. Aby nadać mu pozorów tłustości i uzyskać żółtawy kolor, dodają kroplę wywaru z nagietka bądź sok z marchwi. Do masła wrzucają różne substancje mające zwiększyć jego ciężar i objętość. Przede wszystkim maślanek i wodę bądź papkę kartoflaną, ale czasem też talk, a nawet gips! Nadają mu barwę krokoszem lub sztucznymi farbami – recytowała. – Można się od tego potruć i umrzeć! – przestrzegła mnie. – Umiesz obchodzić się z gazem i elektrycznością?

Skinęłam bez zastanowienia głową.

– Nieostrożna służba może zostać śmiertelnie porażona prądem albo, nie daj Boże, wysadzić w powietrze cały dom! – dopowiedziała. – A jak usuniesz zabrudzenia z wina na obrusie?

Patrzyłam na nią bezradnie, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Przyszła mi znów z pomocą, nie kryjąc jednak irytacji.

– Na starsze plamy trzeba użyć podgrzanego mleka, którym się je naciera, a potem wypłukuje. Świeże usuwa się wrzątkiem – wyjaśniła. – A czym w takim razie wyczyścisz ślady po muchach?

– Ściereczką z octem – wykrztusiłam z siebie z trudem.

– Źle! Należy namaczać ją w piwie! Nie masz pojęcia o prowadzeniu gospodarstwa domowego! – orzekła, wskazując na mnie oskarżycielsko palcem. – Nic dziwnego, że straciłaś tamtą posadę!

Nasza rozmowa ponownie została przerwana, bo ktoś wpadł do pomieszczenia, nawet nie pukając.

– Kamerdyner zasłabł! Jego ciałem targają jakieś straszne konwulsje!

Moja rozmówczyni wyglądała jak rażona piorunem. Widziałam, że wewnątrz miotała nią wściekłość, jednak zachowała posągowy spokój.

– Dożyje rana? – rzuciła, zaciskając usta, aż zrobiły się kredowobiałe. – Wtedy poślę po kogoś.

Odpowiedziała jej jedynie cisza.

– Czy mogłabym zobaczyć chorego? – niespodziewanie wtrąciłam się do dyskusji. – Trochę się znam na leczeniu – dodałam pośpiesznie.

– Jesteś znachorką? – uniosła brwi, przyglądając mi się badawczo.

– Coś w tym rodzaju – powiedziałam, machając ręką i starając się ją zbyć, by dalej nie drążyła tematu.

– I tak nie mamy wyjścia. Wskaż jej drogę! – wydała dyspozycję. Chwyciłam moją walizkę, w której znajdowały się też lekarstwa i narzędzia. Zastanawiałam się, co zastanę na miejscu i czy będę potrafiła w jakikolwiek sposób pomóc.

Zaprowadzono mnie do ciasnej i dusznej izdebki. Chory leżał na prowizorycznym łóżku, nakryty prześcieradłem. Był cały wilgotny od potu. Zapadł w półsen i oddychał ciężko. Zbliżyłam się do niego, a wtedy spostrzegłam, że ma zażółcone powłoki, a skórę jakby oszronioną. W powietrzu unosił się charakterystyczny zapach wskazujący na uremię.

– To wina nerek – postawiłam oczywistą diagnozę. Analizowałam, w jaki sposób można by w tych ciężkich warunkach ulżyć choremu. Środki były mocno ograniczone. Należało jak najszybciej usunąć toksyny mocznicowe, o ile mężczyzna miał przeżyć. – Musimy upuścić mu krwi! – odezwałam się po dłuższej chwili zastanowienia.

Popatrzone na mnie z przerażeniem, jakbym była wiedźmą uprawiającą czary. Odeszłam na bok, aby przygotować potrzebny sprzęt. Wyjęłam dyskretnie z torby zestaw do flebotomii. W międzyczasie przyniesiono mi miedzianą miskę. Zanim przystąpiłam do właściwych czynności, postanowiłam wykonać nakłucie lędźwiowe, aby oczyścić w ten sposób płyn mózgowo-

rdzeniowy. Zatrucie centralnego układu nerwowego spowodowało drgawki, a później śpiączkę. Z pomocą zgromadzonych ułożyłam nieprzytomnego w pozycji embrionalnej, by wymacać kości kręgosłupa i dostać się do kanału rdzeniowego. Upuściłam igłą kilka kropli płynu, po czym ponownie przewróciłam chorego na plecy, by zyskać dostęp do jego żył. Czerwone i gęste osocze skapywało powoli do naczynia. Musiało to wyglądać dość makabrycznie, bo przełożona omal nie omdlała. W ostatniej chwili oparła się o ścianę i opuściła nas szybko, przytykając pod nos flakon z solami trzeźwiącymi. Nakazałam podawać cierpiącemu doustnie płyn, aby się nie odwodnił. Gdy zeszło około pół litra, zamknęłam kateter. Wtedy wreszcie pacjent odzyskał na chwilę świadomość i otworzył oczy.

– Trzeba ugotować dobrze osłodzony kompot z jabłek i dać mu do picia – rzekłam. Była to dieta zalecana przez niektórych lekarzy w stanach mocznicowych.

– Gdzie ja jestem? – odezwał się pacjent ochrypłym głosem.

– W dobrych rękach – uspokoiliam go, a on ponownie się położył i szybko zasnął. – Nazajutrz powinien trafić do szpitala. Więcej tutaj nie zdziałamy – powiedziałam do zgromadzonych, powoli się wycofując.

Zastanawiałam się, jak uciec z tego miejsca. Wiedziałam już, że najprawdopodobniej nie pozyskam więcej istotnych informacji, a moje położenie stawało się coraz bardziej niebezpieczne. Niewiele brakowało, by ktoś zauważył mój podstęp, dzięki któremu wkradłam się w łaski czeladzi. Gdy znalazłam się na korytarzu, poczułam na policzkach chłód wiatru i przeciąg, co wskazywało na to, że w pobliżu muszą się znajdować drzwi prowadzące na zewnątrz. Ruszyłam naprzód, starając się stawiać kroki jak najciszej. Po kilku minutach znalazłam się w pałacowym parku.

Puściłam się pędem przez jego aleje, a gdy dotarłam zasapana do bram, raz jeszcze obejrzałam się za siebie. Budynek, podobnie jak w tamtą pamiętną noc, był spowity już tylko przez sen i mrok...

ROZDZIAŁ XXIII

Robiłam właśnie codzienny poranny obchód na oddziale, zaglądając po kolei do moich pacjentek. U jednej z położnic, cierpiących od wielu lat na gruźlicę, musiałam dzień wcześniej wykonać leczniczą odmě, aby zapobiec postępowi choroby. Powszechnie znanym faktem w świecie medycznym było gwałtowne odnawianie się tuberkulozy w ciągu kilku dni po porodzie, co tłumaczono nagłym zniesieniem ucisku płuc, wcześniej wywieranym przez ciężarną macicę. Brak powietrza w oskrzelikach, a tym samym brak tlenu hamował rozwój *Mycobacterium tuberculosis*. Wiedza ta dała początek zabiegom mającym na celu insuflację prowadzącą do terapeutycznego zapadnięcia płuca i wydłużenia gruźlikom życia.

Była też pierworódka, u której musiałam wydobyć ręcznie łożysko. Zabieg ten wykonywano jedynie w ostateczności z uwagi na wysokie ryzyko sepsy połogowej. W tym wypadku pacjentka gorączkowała przez kilka dni, aż do momentu podania surowicy przeciwpaciorkowcowej, produkowanej z osocza końskiego. Zwierzę otrzymywało w tym celu wcześniej wyciąg z bakterii. Po stoczonej nierównej walce ze śmiercią tym razem udało się wyrwać chorą z jej szponów.

Przed południem zeszłam jak zwykle do ambulatorium, gdzie najpierw musiałam wyparzyć rozgrzanym żelazem nadżerkę szyjki macicy. Jako następna przyszła do mnie pewna letniczka, zafrasowana długim brakiem menstruacji. Przed wybraniem się na wakacje do kurortu, by móc w pełni korzystać ze swobód lata, postanowiła poddać się czasowej sterylizacji za pomocą radu, który

wprowadzano w tym celu do jej pochwy. Trzeba było ściśle pilnować czasu, gdyż zbyt krótkie działanie pierwiastka było nieskuteczne, natomiast zbyt długie mogło spowodować nieodwracalną niepłodność. W jej przypadku najprawdopodobniej lekarz zastosował niewystarczająco długą terapię, bo niemal z całą pewnością mogłam stwierdzić, że była brzemienna. Oświadczyłam jej niepomyślną dla niej nowinę, co przyjęła ze spokojem, chociaż była blada jak alabaster. Ledwo zdążyła się ubrać, gdy złapały ją nudności. Okazało się, że w domu zostawiła męża, przemysłowca, który z powodu interesów nie mógł jej towarzyszyć. Wpadła w popłoch i wyznała mi, że teraz pozostawało jej jak najszybciej wrócić i go uwieść, zanim ciąża zacznie być widoczna. Inaczej straciłaby nie tylko partnera, ale także wygodne życie w luksusach.

Metody antykoncepcji były w dalszym ciągu dalekie od doskonałych i niezawodnych, nie wspominając już o uciążliwości stosowania części z nich. Pamiętam, jak pewnego dnia do moich drzwi, gdy jeszcze pracowałam w klinice w Breslau, zapukała pewna kobieta, którą rodzina zmusiła do małżeństwa wbrew jej woli. Zgodziła się zostać żoną mężczyzny, który był jej zupełnie obcy, ale nie chciała za nic w świecie urodzić jego potomka. Kochała w dalszym ciągu młodzieńca, z którym zaręczyła się tuż przed jego poborem do wojska. W czasie Wielkiej Wojny zesłano go na front wschodni i tam przepadł bez wieści. Lata mijały i nikt nie wiedział, co dokładnie mogło się z nim stać. Ona była jednak pewna, że żyje i pewnego dnia ją odnajdzie. Czekwała więc niczym wierna Penelopa. Gdyby na świecie pojawiło się dziecko, nie uzyskałaby łatwo rozwodu. W czasie pobytu w Ameryce natrafiła w gazecie na nagłówek, w którym światowej sławy naukowiec donosił o swoim niezwykłym odkryciu. Przekonywali, że ejakulat wprowadzony podskórnie wywołuje u kobiety czasową

niepłodność. Zjawisko to tłumaczono wytwarzaniem się w surowicy czynników zabijających nasienie. Efekt wygasał jednak po kilkunastu miesiącach, kiedy trzeba było powtórzyć zastrzyk. Była to jednak pewnego rodzaju rewolucja w medycznym świecie. Za oceanem udało się kobiecie otrzymać potajemnie pierwszy zastrzyk, przyszła więc do mnie, aby kontynuować kontrowersyjną terapię. Łkała, że nie ma wyjścia i że to jej jedyna szansa. Czasem zastanawiałam się, jak potoczyły się jej losy. Przyzwyczaiałam się, że jako lekarz i zarazem kobieta stałam się powiernikiem najintymniejszych sekretów moich pacjentek.

Tego przedpołudnia czekało na mnie jeszcze sporo obowiązków. Praca miała jedną wielką zaletę – nie pozwalała mi zbyt wiele myśleć o innych problemach. Miałam przed sobą nie lada zadanie, bo kilka dni wcześniej po poradę zgłosiło się bezdzietne małżeństwo. Starali się bezskutecznie o potomka już od lat. Zrezygnowani i zniechęceni licznymi próbami poczęcia zdecydowali się wreszcie przełamać wstyd i poszukać lekarskiej pomocy. Gdy badałam żonę, jej mąż chodził cały spięty po korytarzu, bojąc się werdyktu. Wcześniej, po obejrzeniu próbki jego spermy pod mikroskopem, orzekłam, że jest zdolna do zapłodnienia komórki jajowej, więc problem leżał gdzie indziej. Po wstępnym badaniu ginekologicznym doszłam do wniosku, że przyczyną tego stanu rzeczy może być zbyt wąskie ujście maciczne, uniemożliwiające dostanie się plemników do wnętrza macicy. W takich sytuacjach problem można było rozwiązać poprzez sztuczną inseminację. Mieli zgłosić się do mnie dwanaście dni po okresie celem przeprowadzenia procedury.

Nieoficjalnie notuje się, że pierwsze próby sztucznego zapłodnienia kobiety podjęto już w XV wieku. Król Henryk IV, władca Kastylii, określany przydomkiem Impotent, poślubił

księżniczkę Juanę z Portugalii. Dopiero po sześciu latach pożycia małżeńskiego monarchini powiła pierworodną córkę. Wielu badaczy i kronikarzy zakładało, że dynasta był niezdolny do spłodzenia dziecka, stąd królewski medyk wpadł na pomysł, aby nasienie dostało się do macicy w sposób sztuczny – za pośrednictwem lekarskich rąk. Później twierdzono, że poczęcie jednak odbyło się w sposób zupełnie naturalny, a nowo narodzona dziewczynka nie była wcale córką elekta.

Pierwsze udokumentowane zastosowanie sztucznej inseminacji u ludzi wykonano ponad trzysta lat później w Londynie, a przeprowadził je John Hunter. Swojemu pacjentowi, handlarzowi tekstyliów z ciężkim spodziectwem, zalecił, aby spermę, która uciekła podczas stosunku, zebrał do ogrzanej strzykawki. Potem wstrzyknięto ją do waginy. W połowie XIX wieku na kontynencie amerykańskim James Marion Sims poinformował o wynikach swoich testów, w ramach których po kilkudziesięciu inseminacjach uzyskał jedną ciążę. Tak słaby wynik był spowodowany błędnym założeniem, że owulacja następuje w czasie menstruacji.

Ostatecznie jednak wyprzedził swoją epokę, publikując pracę na temat konieczności podejmowania prób leczenia niepłodności. Od tamtej pory była ona ratunkiem chociaż dla części bezdzietnych par.

Sam zabieg był dość prosty i polegał na wprowadzeniu do wnętrza *uterus* kilku kropel ejakulatu. Trzeba było zrobić to bardzo delikatnie, by nie wywołać skurczów, które skazywały całe przedsięwzięcie na fiasko. Po iniekcji pacjentka musiała przez kilkanaście minut leżeć nieruchomo. Trudność polegała za to na pozyskaniu plemników. Musiały one zostać pobrane metodą *coitus interruptus*, a nie przez *coitus condomatus*, bo prezerwatywa nie zapewniała jałowości. Wprowadzenie drobnoustrojów

do wnętrza macicy mogło się skończyć jej poważnym zapaleniem. Ciężko było sobie wyobrazić, by w warunkach szpitalnych, gdzie tuż za ścianą był lekarz, uzyskać erekcję, a później wytrysk. Musiałam więc dać pacjentom sporo czasu, zanim para oswoiła się z tą krępującą i nową dla nich sytuacją, po czym przystąpiła do działania. Gdy wyciągałam już ostrożnie cewnik, miałam nadzieję, że owo poświęcenie przyniesie im upragnione potomstwo.

Na koniec na kontrolę przyszła Sylta Holz. Była już kilka tygodni po drugim zabiegu i do tej pory wszystko zdawało się układać w najlepszym porządku. Narządy miednicy mniejszej nie wypadają i były na swoim miejscu.

– Udało się! – obwieściłam jej radosną nowinę. – Myślę, że nie musi pani już więcej do mnie przychodzić – dodałam, wkładając wziernik do miski z płynem sterylizacyjnym.

– Dziękuję, pani doktor! – wycharczała powoli staruszka, ściskając mi rękę swoją spracowaną, szorstką dłońią. Po chwili ciszy odezwała się ponownie: – Przychodzi mi do głowy pewna myśl... – przerwała, jakby zawahała się, czy powinna kontynuować. – Czy zechciałaby pani przyjść na wesele mojej najstarszej prawnuczki Cecylii? – zapytała nieśmiało. – Młodzi pobierają się w kolejną niedzielę w Rantum. We Fryzji ślub to nie tylko święto rodzinne. Uczestniczą w nim wszyscy przyjaciele, znajomi i sąsiedzi...

– Będę zaszczycona! – zawołałam uradowana. Mówiąc szczerze, cieszyłam się, że pomału staję się częścią społeczności wyspy.

Gdy znów znalazłam się sama w pomieszczeniu, zobaczyłam w oddali przechadzającą się po dziedzińcu szpitala postać. Miała na sobie beżowy płaszcz, a pod nim elegancką suknię popołudniową w kolorze migdałowo-zielonej *veloutine*, przybraną plisowanymi falbankami. Spod filcowego klosika wystawały kasztanowe pasma włosów. Spoglądała co jakiś czas na zegarek,

niespokojnie się rozglądając. Podeszłam bliżej okna, aby się jej przyjrzeć.

– To niemożliwe... – wyszeptałam i pośpiesznie opuściłam gabinet.

Zbiegłam schodami w stronę wyjścia głównego.

– Róża! – krzyknęłam. Przyjaciółka obróciła się i zrobiła kilka kroków w moją stronę. – Co ty tutaj robisz? – zapytałam, gdy już była w moich objęciach.

– Uciekłam od nich! – zaszlochała. – Próbowali mnie złamać, abym jednak wróciła do Fryderyka. Mój mąż posunął się nawet do tego, że zażądał wykonania testów. Chciał sprawdzić, czy to on faktycznie jest ojcem Solange. Sądził, że gdyby wynik wyszedł negatywny, wówczas coś by to między nami zmieniło... Okazało się jednak, że mają te same grupy krwi. Nie jest to oczywiście jednoznaczne z pokrewieństwem, ale znając resztę tej historii, można tak założyć...

– Dostępne badania z użyciem izoaglutynin mogą jedynie wykluczyć ojcostwo, ale nigdy nie będą jego stuprocentowym potwierdzeniem – oznajmiłam, ale ona nie zważała na moje słowa.

– Nienawidzę go, chociaż wiem, że nie powinnam tak mówić, bo nie jest przy zdrowych zmysłach... Prawda jest taka, że jego choroba nas zniszczyła. Jest jak powoli zabijający rak, trawiący duszę i dający metastazy – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

– Biedactwo... – Objęłam ją ramieniem i przytuliłam do siebie.

– To małżeństwo było największą pomyłką mojego życia – wyznała, odsuwając się ode mnie i odwracając się tyłem, by dyskretnie otrzeć z kącików oczu łzy. – Gdyby można było cofnąć czas... Mieć szansę jeszcze raz przeżyć wszystko od nowa z tą wiedzą, którą obecnie posiadam...

– Nie istnieje chyba człowiek, który nie pragnąłby tego uczynić. Ale uwierz mi, że wszystko jest jeszcze przed tobą! Tak wiele możesz zmienić i dokonać!

– Daj spokój, Lauro! Spójrz tylko na mnie...

– Każdy z nas popełnia błędy, wybiera niewłaściwą drogę, podejmuje tragiczne w skutkach decyzje. Tylko przyszłość pokaże, czy to cierpienie miało sens i czy wyciągnęliśmy właściwe wnioski... Ten, kto żyje przeszłością, umarł dla teraźniejszości.

Wysłuchiwała mnie w milczeniu ze wzrokiem wbitym w ziemię. Mogłam tylko przypuszczać, gdzie krążyły jej myśli.

– Możesz zatrzymać się u mnie na tak długo, jak tylko zechcesz – zaoferowałam, przerywając ciszę wypełnioną jedynie szumem oddalonego morza. – Obiecuję, że nikomu nie zdradzę, że tutaj jesteś – wyprzedziłam jej obawy.

– Nie chcę sprawiać ci kłopotu. Zostałabym jedynie tydzień. Nie wspominałam ci jeszcze, ale otrzymałam niedawno posadę jako lekarz w uzdrowisku w Bad Warmbrunn. Mam zacząć na początku przyszłego miesiąca.

– To wspaniała wiadomość! – ucieszyłam się.

– Załatwiłam już wszystkie formalności i znalazłam kwatere, w której mogłabym się zatrzymać. Myślę, że będzie mi tam dobrze – skwitowała bez większego entuzjazmu, co było uzasadnione, biorąc pod uwagę jej stan psychiczny.

Poczułam bolesne ukłucie w sercu. Tak łatwo przychodzi nam udzielanie rad innym, kiedy we własnym życiu często jesteśmy zagubieni i krążymy jak we mgle...

* * *

Minęło parę dni, a ceremonia zaślubin zbliżała się wielkimi krokami. Zgodnie z wyspiarskim zwyczajem miały one miejsce

późną jesienią, gdy wielorybnicy zdążyli już wrócić z połowów, a na polach zakończono żniwa. Wraz z nastaniem XX stulecia polowania na kaszaloty i walenie traciły powoli na znaczeniu, bo wynaleziono substytuty uzyskiwanych z nich: spermacetu, fiszbinu czy ambry. Wybór tej drogi życiowej stawał się więc coraz rzadszy, nawet tu, w dawnych wielorybnych osadach.

Szczególnie popularną datą zaślubin był czwartek poprzedzający adwent. Mroczna i mglista listopadowa aura na Sylcie kontrastowała z weselnymi nastrojami. By powiadomić gości weselnych, panna młoda chodziła od domu do domu w uroczystym stroju, zapraszając na ucztę. Otrzymywała w zamian kieliszek miodu pitnego oraz drobną przekąskę, a najczęściej też upominek. Zwykle były to przybory kuchenne lub niewielka suma pieniędzy. Towarzyszył jej narzeczony i jego drużba, którzy jechali na koniach. Zsiadali z nich dopiero, gdy gospodarz po tradycyjnym okrzyku „Holla” wyszedł do nich z butelką sznapsa.

W dniu przyjęcia sakramentu tradycją było zbieranie się weselników przed domem panny młodej. Tym razem znajdował się on we wsi na południowym krańcu wyspy. Budynek był jednym z najstarszych, jakie zachowały się na Sylcie, bo pochodził z XVII wieku. Odgradzony od innych tak zwanym murem fryzyjskim, utworzonym z kopca polnych kamieni porośniętych trawą, miał ściany wyłożone porcelanowymi kafelkami. Przedstawiały one popularne motywy biblijne, kwiaty, statki, a także sceny marynistyczne z polowań – potężne cielska morskich ssaków przebite harpunami i lancami. Do środka prowadziły oryginalne fryzyjskie drzwi, które były podzielone na górny oraz dolny wąż. Dzięki temu rozwiązaniu można było swobodnie rozmawiać z sąsiadami lub przechodniami, a drób chodzący po podwórzu nie

wciskał się do środka. Rodzina mieszkająca w tym miejscu zdawała się wyjątkowo przywiązana do tradycji.

Przybyłam jeszcze przed południem, by przyjrzeć się z zaciekawieniem obrzędom, których do tej pory nie znałam. Towarzyszyła mi Róża. Z trudem namówiłam ją do wyjścia, bo odkąd przyjechała, spędzała czas głównie na samotnych spacerach po plaży, wydmach i wrzosowiskach. Była jakby nieobecna. Wydawało mi się, że przyjmowała zbyt wiele leków uspokajających. W jej bagażu podręcznym zauważyłam fiolkę z luminalem.

Pan młody miał przyjechać po swoją wybrankę wraz z orszakiem kilkunastu jeźdźców na odświętnie udekorowanych koniach. Liczna, imponująca świta świadczyła o wysokim statusie społecznym przyszłego małżonka. Zgodnie z obyczajem musiał długo się dobijać, stukając kołatką, zanim mu otworzono. Wtedy rozpoczynało się żartobliwe przekomarzanie, zanim ojciec przyszłej żony pozwolił, aby jego córka opuściła rodzinne gniazdo.

– Mój Boże, jakaż ona jest piękna – wyszeptała moja przyjaciółka, gdy w progu ukazała się młoda niewiasta o złocistych lokach, odziana w odświętny ludowy strój.

Głowę panny młodej zdobiło nakrycie w kształcie czarnego komina rozszerzanego ku górze, z doczepionym czerwonym welonem z jedwabiu. Miała na sobie białą, haftowaną bluzkę z wysokim kołnierzem i szeroką, rozłożystą spódnicę układającą się niczym harmonijka. Spodem wystawały bordowe rajstopy, a na stopach dziewczyny świeciła klamra czarnych lakierków.

– Dziś powie mu „tak”, bo jest zakochana, ale to przyszłość będzie czasem próby dla tej miłości – dodała po chwili milczenia, z nutą gorczy w głosie. Chciała wyraźnie jeszcze coś dorzucić, ale ugryzła

się w język, uznając zapewne, że to niestosowne w takim momencie.

W ogrodzie czekali już muzykanci, wygrywając radosne melodie zachęcające do tańca. Koniecznie musiał się wśród nich znaleźć jakiś skrzypek. Pierwszy taniec należał zawsze do głównego drużby, a dopiero drugi do pana młodego. Wszystko trwało dobre dwa kwadransy, zanim wyruszono wreszcie w stronę kościoła Świętego Seweryna. Specjalnie wyznaczony mężczyzna ze świty pana młodego musiał pomóc wejść jego przyszłej żonie do karety, co było nie lada wyzwaniem z uwagi na obszerność stroju, jaki miała na sobie.

Na poboczu i przydrożnych domach powiewały flagi. Wystrzeliwano salwy na cześć młodej pary i raczono gości przyśpiewkami, czasem bardzo frywolnymi, które mogłyby zgorszyć niejedną dostojną matronę.

– Kogo moje oczy widzą! Pani Kader! – usłyszałam niespodziewanie za swoimi plecami. Ktoś mocno zdyszany próbował nas dopędzić. Odwróciłam się, przystając.

– Doktor Weber! Co za miłe spotkanie! – powiedziałam, gdy ujmował szarmanckim gestem nasze dłonie i z namaszczeniem składał na nich pocałunki. Zdziwiłam się, że tym razem był sam, bez rodzicielki, która przecież nie odstępowała go na krok. Najwyraźniej zauważył moją konsternację, bo pośpieszył z wyjaśnieniem:

– Moja biedna, schorowana matka cierpi akurat na półpaśca, dlatego nie mogła przybyć na uroczystość – wyrzekł bolejącym głosem, jakby żałował, że nie ma jej przy nim. – Doktora Arensa także nie będzie. Wyjechał do Hamburga, gdzie ma podobno jakieś ważne sprawy – dodał, tym razem nie kryjąc triumfu, że pozbył się rywala.

Moje myśli przez chwilę uciekły do Lothara. Ostatnimi czasy wydawał mi się dość skryty, jakby nie mówił mi wszystkiego. Zastanawiałam się, o co mogło chodzić. Nie był to jednak stosowny moment na takie rozważania.

– Panią już miałem okazję poznać – wyrzekł, przytrzymując rękę Róży o wiele dłużej niż moją i wpatrując się głęboko w jej oczy, jakby chciał ją oczarować swoim męskim wdziękiem. Zauważyłam, że zostawił na jej dłoni niechcący mokry ślad, co sprawiło, że się wzdrygnęła i dyskretnie wytarła ją o płaszcz.

Doktor wyprostował się, po czym otarł chusteczką pot z czoła i schował ją z powrotem do butonierki.

– Uwielbiam oglądać śluby! Zawsze wzruszam się i płaczę, gdy młodzi składają sobie przysięgę – wyznał. – Miłość aż do grobowej deski! Aż śmierć ich nie rozłączy... Nie tracę nadziei, że i mnie będzie dane wypowiedzieć te słowa przed wybranką mojego serca!

Popadł w melancholijne zamyślenie, ale zmitygował się po chwili, przypomniawszy sobie, że powinien zgodnie z dawnymi konwenansami zabawić damy rozmową.

– Czy wiedzą panie, że ową świątynię postawiono jeszcze w średniowieczu w najwyższym punkcie wyspy? Dawniej roztaczał się stąd widok na ląd, ale przez kilkaset lat woda wydarła ten skrawek ziemi, zatapiając bezpowrotnie postawione na nim budowle. Teraz Dom Boży podobnie jak cmentarz leżą tuż obok morza – objaśnił, wskazując palcem na linię brzegową. Spojrzałam w kierunku oddalonej nekropolii, na której spoczywali między innymi Sybilla Gebler i stary safiannik. Z oddali biel nagrobków odbijała słoneczne światło. Poczułam niemiły dreszcz, który niczym prąd przeszył moje ciało.

Znaleźliśmy się wreszcie wewnątrz fary, której nawę i apsydę zbudowano z bloków granitowych, tufu reńskiego oraz cegieł.

Poczułam woń kadzidła zmieszanego z wilgocią i zapachem starego drewna. Z empory pobrzmiwały leciwe organy, wypełniając powietrze boskim majestatem. Chłonełam niezwykłą atmosferę.

Gdy trwało nabożeństwo, znów nabrałam dziwnego przekonania, że ktoś mnie obserwuje. Rozejrzałam się kilkakrotnie niespokojnie dookoła, ale nie zauważyłam niczego, co mogłoby wzbudzić moje podejrzenia.

– Co się dzieje, Lauro? – usłyszałam szept Róży. – Cała się trzęsiesz.

– Wszystko jest w porządku – uspokoiliam ją, ściskając delikatnie jej ramię.

Gdy nastąpił moment wymiany obrączek, gromkie brawa odbiły się echem po wnętrzu świątyni. Młoda para połączyła się w pocałunku. Odszukałam w tłumie Syltę Holz. Łzy szczęścia spływały po jej wysmaganej wiatrem i pomarszczonej twarzy. Miała przeszkłone i błyszczące oczy, w których jak w zwierciadle odbijała się przeszłość. Nie wyglądały, jakby należały do prostej, niewykształconej chłopki. Zdawały się mieć w sobie coś szlachetnego i mądrego.

Zagrano marsza, a zgromadzeni zaczęli tłumnie przepychać się ku wyjściu, podążając za nowożeńcami, by obsypać ich hojnie ryżem i drobnymi pieniędzmi.

– Czy to twoja pacjentka? – zapytała moja towarzyszka, podążając za moim spojrzeniem.

– Tak, to właśnie ona – odparłam. – Smuci mnie, że dla jednego swojego życia jest już jak umarła...

– Co masz na myśli? – spytała Róża, marszcząc ze zdziwieniem czoło.

– Dawno temu utraciła pamięć, najprawdopodobniej w wyniku urazu głowy. Nie wie, kim się urodziła i kim była przedtem –

wyjaśniłam. – Zupełnie jakby odeszła i narodziła się na nowo.

– Odnaleziono ją zagubioną, błukającą się po wybrzeżu – niespodziewanie do rozmowy wtrącił się doktor Weber, który widocznie przysłuchiwał się naszej wymianie zdań. – Znam tę historię z opowiadań mojej matki. Pytała ludzi, czy wiedzą, gdzie się znajduje i jak tutaj trafiła. Wkrótce potem okazało się, że przybywając tu, była już brzemienna. Zastanawiające jest to, że przez lata nikt nigdy nie szukał ani jej, ani chłopca, który się narodził... Jej rysopis rozesłano po okolicznych posterunkach policji, ale nie było żadnego odzewu.

– To straszne... – wyszeptała Róża, wyraźnie przejęta losem starszej kobiety.

– Być może ciąża była skutkiem czynu zabronionego? Albo była nie na rękę ojcu nienarodzonego potomka? Może ktoś próbował w ten niecny sposób pozbyć się dowodów? – wyraziłam swoje przypuszczenie. W swojej praktyce przecież nieraz spotykałam się z ofiarami gwałtu, czasem noszącymi w łonie dziecko swojego oprawcy.

– Któż to wie... Po tylu latach i tak już się prawdy nie dowiemy – podsumował doktor. – Miejscowi ludzie pomogli jej, a kilka miesięcy później wyszła za bardzo porządnego człowieka. Usynowił Leonharda, jej pierworodnego, i stworzyli razem rodzinę.

– Czy ów chłopiec nigdy nie chciał się dowiedzieć, kim był człowiek, który dał mu życie? Nie próbował go odszukać? – dociekała Róża. Sama przed laty także przeszła długą i trudną drogę do odkrycia własnej przeszłości, jako że wychowała się w sierocińcu.

– Z tego, co wiem, to nie. Bardziej zaczął go interesować, niestety, alkohol...

Przerwały nam okrzyki drużbów na koniach:

– Dołączcie do uczyty weselnej! – nawoływali, wskazując kierunek, w którym mieli podążać goście.

Poczęstunek przygotowano w domu pana młodego. Było tam bardzo tłoczno, a za prowizoryczny stół służyły długie deski podparte pieńkami i nakryte obrusem. Serwowano rosół z kury, kaszę, suszone lub solone ryby, a także skorupiaki. Nie mogło zabraknąć świeżo pieczonego chleba, wędzonej szynki, musztardy, kapusty i domowego piwa do popicia. Każdy biesiadnik musiał przynieść własne sztucce, ale i tak większość jadła po prostu palcami. Po posiłku przyniesiono specjalny napój będący mieszaniną brandy i wyciągu ze słodu browarnego z dodatkiem chmielu, nazywany przez miejscowych mianem *Swetskilk*. Muzykanci przygrywali wesoło na akordeonie, a młodzieńcy ruszyli, by prosić wstydliwe panny do tańca. Niektórzy biesiadnicy wypili już za dużo i drzemali oparci o ścianę, głośno pochrapując. Z ich otwartych ust wydobywała się woń przetrawionej gorzałki. Inni zaczęli się przekrzykiwać, gestykulując coraz energiczniej i bijąc pięściami w stół, by przekonać rozmówców do swoich racji. Coraz częściej słychać było wybuchające spory, dla których jedynym rozwiązaniem był pojedynek. Ktoś usiadł za blisko żony sąsiada, narażając się jej mężowi. Inny napalony lubieżnik złapał za kolano młodą dziewczynę, za co został przez nią spoliczkowany. Wypity alkohol usuwał społeczne normy. Pewna mała urodziwa panna poluzowała troczki swojej sukni, uwidaczniając kuszące, okrągłe piersi, by tym sposobem zwabić przystojnego kawalera do stojącej obok stodoły. Dobiegały z niej jednoznaczne odgłosy, świadczące o tym, że weselnicy bawią się w najlepsze.

Za oknami niebo powoli szarzało, gdy słońce kryło się za horyzontem. Nastała październikowa noc migocząca milionami gwiazd. Doktor Weber znalazł w Róży wierną słuchaczkę i to z nią

głównie spędzał czas. Zostawiłam ich samych. Wyszłam na chwilę do ogrodu, kuląc się od przeszywającego do szpiku kości zimna. Patrzyłam na wysuszone aksamitki i poskręcane pnącza winorośli, na których zwisały pojedyncze, pomarszczone od przymrozków grona. Wdychałam wilgotne, lodowate powietrze, przesycone zapachem zbutwiałych roślin, przemijania i niewysłowionej nostalgii. Przez cały czas czułam na sobie spojrzenia innych ludzi. Miałam wrażenie, że obserwują każdy mój ruch i szepczą na mój temat. Gdy przechodziłam obok, rozmowy nagle cichły, a oni odsuwali się ode mnie, jakby się bali, że jestem przeklęta. Wróciłam do bufetu i przystanęłam na chwilę, by nalać sobie ponczu z czarnego bzu.

– Ten spadek, który otrzymała, to zemsta z za grobu. Każdy wie, że nikt nie pomieszka w tym domu długo. Już ma obłęd w oczach – usłyszałam szemranie za plecami.

Obróciłam się, ale nikogo nie zauważyłam. Poszłam dalej, czując, jak mimowolne dreszcze wstrząsają moim ciałem.

– Stary safiannik, zanim zapadł w śpiączkę, miał pianę na ustach, jakby był chory na wodowstręt. Kilka dni później omyłkowo go pochowano. Umarł ostatecznie w niewyobrażalnych męczarniach... Drapał palcami wieko trumny, aż zdarł sobie z nich całkowicie skórę... – do moich uszu doleciały kolejne słowa.

– Podobno żonie kurdybanika po śmierci rosły w dalszym ciągu włosy i paznokcie. Tak mówił grabarz, który rozkopał jej grób. Widział też ich dziecko. Do dziś słychać spod ziemi jego płacz. Ta klątwa nigdy nie minie! A ona pożałuje dnia, gdy jej stopa stanęła w posiadłości na czerwonym klifie... Tam krew spływa po ścianach.

Udawałam, że ich nie słyszę, i przyspieszyłam kroku, jakbym chciała uwolnić się od chmary szarańczy. Poczułam, że mnie mdli,

a żołądek podchodzi mi do gardła. Podążyłam w stronę studni, by obmyć twarz zimną wodą.

Powoli zbliżała się północ i punkt kulminacyjny przyjęcia, kiedy to zgodnie z tradycją miano porwać i ukryć pannę młodą, by jej mąż wykazał się męskością i odnalazł ją całą i zdrową. Po tym już tylko druhna w ostatnim tańcu ściągała pończochy z nóg świeżo poślubionej żony, aby ta mogła udać się do sypialni, gdzie czekał na nią pan młody.

– Nie przypuszczałam nigdy, że dożyję wieku prawie możeszowego – powiedziała Sylta Holz, gdy przysiadłyśmy się do niej tego wieczoru. – Nie mam pojęcia, kim byłam przez pierwsze lata mojego życia. Za to wiem, kim teraz jestem. Szczęśliwą kobietą – wyznała głosem drżącym ze wzruszenia.

– Zastanawia się pani czasem, jak mogłyby się potoczyć pani losy?
– zapytała moja przyjaciółka.

Staruszka wzięła głęboki wdech, zanim odezwała się ponownie. Spoglądała w dal niczym zahipnotyzowana.

– Nie ma dnia, bym o tym nie rozmyślała! Skradziono mi moją tożsamość – wychrypiała z trudem. – Myślałam, że wydarzy się coś, co spowoduje, że odzyskam pamięć, że sobie coś przypomnę lub natrafię na jakiś ślad... Jednak już dawno straciłam nadzieję. Widocznie tak chciał Bóg... – urwała, walcząc ze szlochem, który uwiązał jej w gardle. – Jedyne, co mi zostało, to ten sekretnik z puklem włosów – rzekła, odpinając srebrną ozdobę z motywem kwiatowym, przypiętą do bluzki. – Nigdy się z nim nie rozstaję. Miałam go ze sobą także w dniu wypadku. Jest jedynym cienkim mostem łączącym mnie z przeszłością. Należał do niejakiej Sary, kimkolwiek ona była...

– Czy mogłabym zobaczyć? – poprosiła Róża i drżącymi rękami odebrała od leciwej wieśniaczki przedmiot, by przysunąć go

do płonących na lichtarzach świec.

Na chwilę jej oblicze przybrało nieodgadniony wyraz. Wyciągnęła wsuwkę i rozpuściła włosy, by porównać ich kosmyk z puklem zatopionym w biżuterii.

– To niemożliwe! – krzyknęła tak głośno, że weselnicy nagle zamilkli, spoglądając w jej stronę.

Muzyka niespodziewanie ucichła, a pary na drewnianym parkiecie zastygły w bezruchu. Róża, nie zważając na nic, rzuciła się na szyję Sylcie Holz, rzewnie płacząc. Zgromadzeni przyglądali się z zaciekawieniem tej scenie.

– To musisz być ty! – powtarzała w kółko, jakby coś ją opętało i nagle przestała być sobą. Widziałam, że ogromne emocje odebrały jej zdolność powiedzenia czegoś więcej. Trwało to dłuższą chwilę, zanim ponownie się odezwała. – Jesteś Alicją Neumayer, która oficjalnie zginęła w katastrofie morskiej w 1863 roku! Byłaś wówczas w podróży poślubnej po tym, jak wyszłaś za mąż za hrabiego von Schillera! – wyrzuciła z siebie jednym tchem, tuląc się do starowinki, jakby się bała, że jest ona jedynie iluzją i zaraz zniknie.

Wszyscy zgromadzeni skupili wzrok na obliczu nestorki, która wyglądałaby jak kamienny posąg, gdyby po jej policzkach nie spływały wolno łzy. Nikt nie miał odwagi przerwać ciszy. Minęło może kilka minut, chociaż wydawały się one wiecznością, gdy fizjonomię sędziwej niewiasty wykrzywiły grymasy bólu i cierpienia, jakby próbowała przeniknąć swoją świadomość.

– Adolf... – powiedziała niemal bezgłośnie. – Tak miał na imię – wycharczała przez ściśnięte, suche gardło. Zakryła twarz dłońmi, na których żyły wystawały niczym oplatające je węże, i rozpłakała się.

– W biżuterii nosisz loki swojej córki, a mojej matki. Musiałaś ją porzucić i dać na wychowanie obcym ludziom. Zmusili cię do tego...
– Róża łkała, nie odstępując na krok swojej odnalezionej babci, a ta tuliła teraz mocno wnuczkę, o której istnieniu nie miała dotąd pojęcia. Tyle lat żyły w dwóch równoległych światach, rozdzielonych przez rozpacz i tęsknotę, zanim ich drogi mogły się skrzyżować.

Dookoła zebrali się członkowie rodziny. Wszyscy stali się teraz jedną rodziną. Wzruszenie odebrało mi mowę. Odsunęłam się od nich, aby mogli przeżyć te chwile sami i zacząć nadrabiać lata, które bezpowrotnie stracili.

Dopiero po chwili zauważono, że od dłuższego czasu nikt nie widział młodej pary. Nowożeńcy powinni byli już dawno wrócić po zabawie w poszukiwania. Zarządzono, że jeźdźcy zbiorą się i ruszą przeczesywać okolicę. Pośpiesznie osiodłano konie. Niebo pokryły chmury zasłaniające księżyc. Zaczął siąpić z nich deszcz. Od strony wzgórz porośniętych dziką różą złowrogo huczał wiatr. Postanowiłam pomóc, wsiadłam więc za kierownicę swojego horscha. Reflektory auta dawały długą smugę światła. Jechałam jedną z piaszczystych, wijących się dróg. Widoczność utrudniała zbierająca się coraz gęstsza mgła. Bałam się, że koła mogą ugrzęznąć w piasku, a wtedy nie uda mi się wydostać z pustkowia.

– Co za straszna pogoda – powiedziałam do siebie, słuchając bębnienia kropel dżdżu o szyby i karoserię. Stwierdziłam, że dalsza jazda nie ma sensu, więc zawróciłam.

Do moich uszu doszły odgłosy wystrzałów oddanych w powietrze. Zobaczyłam, że koło domu, gdzie odbywała się biesiada, zebrał się tłum. Wokół panowało zamieszanie, przerywane rżeniem przerażonych koni. Pomyślałam, że coś musiało się stać. Czując pulsowanie krwi w skroniach, przeciskałam się przez ciżbę,

aż dotarłam wreszcie do wnętrza chaty. Na jej środku siedziała trzęsąca się z zimna i strachu panna młoda, okryta kocem. Miała mokry, posklejany solą i piaskiem warkocz. Na twarzy widoczne były liczne krwawiące zadrapania, jakby przedzierała się przez chaszczę lub stoczyła z kimś walkę.

– Spotkałam go na plaży, nieopodal klifu – łkała. – Wyłonił się tak nagle, tuż obok mnie, zupełnie jakby wyszedł spod ziemi. Mogłabym przysiąc, że nikogo wcześniej tam nie widziałam... Poruszał się, kulejąc... Sądziłam, że to zwykły włóczęga, bo miał w ręku jakieś tobołki. Obserwowałam go od tyłu... Najpierw doleciał do mnie straszny fetor, jakby zepsutego mięsa lub padliny. Wtedy obrócił się i zobaczyłam... – urwała, zagryzając wargi. – Jak dobrze, że zdołałam przed nim uciec... Nie wiem, co chciał mi zrobić ani kim był.

– Uspokój się, proszę! Przypomnij sobie, jak dokładnie wyglądał! Obiecuję ci, że go złapiemy – błagał ją mąż.

Dziewczyna zamilkła, a jej ciałem wstrząsały raz po raz dreszcze przerażenia pomieszanego z odrazą.

– Był okaleczony... – wymamrotała trupiobladyimi ustami. – Nie miał kawałka twarzy. Jego dziąsła świeciły zielonkawym światłem. Jestem pewna, że był potworem, a nie człowiekiem...

ROZDZIAŁ XXIV

– Kim jesteś, Lauro? – pytałam samą siebie przenikliwym szeptem, jakbym chciała, żeby dusza mieszkająca w moim ciele udzieliła mi odpowiedzi. Słyszałam jednak wyłącznie tykanie sędziwego zegara dobiegające z dołu.

Siedziałam przed lustrem przy toalecie w mojej sypialni i wpatrywałam się intensywnie w swoje odbicie. Miałam wrażenie, że mam przed sobą zupełnie obcą kobietę. Chusteczką wytarłam spienioną ślinę z kącików ust. Pozostawiłam na niej ślad krwistoczerwonej szminki, którą pomalowałam wcześniej usta. Ostatnie dni należały do wyjątkowo trudnych.

Któregoś popołudnia do mojego gabinetu wbiegł nieogolony mężczyzna w średnim wieku. Po ubiorze oceniłam, że musiał być rybakiem. Nerwowo żuł tytoń, bez skrępowania spluwając na posadzkę.

– To pani jest lekarzem? – rzucił arogancko na mój widok.

– Zgadza się – potwierdziłam. Wyczułam w jego głosie ukrytą pretensję, przełknęłam więc powoli ślinę, czekając na to, co nastąpi.

– Założyła pani mojej żonie jakąś metalową sprężynę, przez którą od ponad roku pomimo regularnego pożycia nie zachodzi w ciążę! Przyznała mi się wreszcie, jak ją przycisnąłem do muru! – wykrzyczał oskarżycielsko, wymierzając palec w moją stronę. Jeśli my, Niemcy, nie będziemy się pręźnie rozmnażać, to Rosja i jej masy zmiażdżą nas w ciągu stu lat! – zacytował powtarzaną od dawna w polityce formułkę.

Przypomniałam sobie wyniszczoną przez liczne porody kobietę błagającą mnie o wybawienie. Pomogłam jej, zakładając wkładkę

wewnątrzmaciczną.

– To, co pani zrobiła, jest też wbrew woli Boga i Kościoła! – kontynuował swój wywód. – Nie życzę sobie, aby ingerowała pani w moje małżeństwo i naturę!

– Przepraszam, ale chyba nie zdaje pan sobie sprawy, jakim ogromnym wysiłkiem dla organizmu jest ciąża! – próbowałam argumentować. – Zbyt liczne i częste porody doprowadzają do wyniszczenia, rozmiękania kości i przedwczesnej śmierci!

– Dobrze sobie! – zakpił. – Gdyby to była prawda, co pani opowiada, nasz Stwórca zaplanowałby ten świat inaczej! Niewiasta jest stworzona do tego, by rodzić potomstwo. Na szczęście istnieją jeszcze prawdziwi lekarze noszący spodnie zamiast spódnic. Jeden z nich usunął mojej małżonce to żelazne ustrojstwo.

To powiedziawszy, rzucił spiralą o podłogę. Odgłos upadającego przedmiotu odbił się słabym echem od ścian pomieszczenia.

– I żeby mi to było ostatni raz, bo inaczej zapewniam, że pani tego pożałuje! – odgrażał się, gdy już wychodził. – Niech panią piekło pochłonie!

Trzęsłam się cała ze złości i poczucia krzywdy, jaką męski świat wyrządzał od dziesięcioleci kobietom, mimo że poznano już metody kontroli urodzeń.

Wcześniej tego dnia odebrałam bardzo trudny poród. Noworodek płci żeńskiej urodził się w zamartwicy i żył tylko kilkanaście minut, pomimo moich prób przywrócenia go do życia poprzez cucenie i podanie Cardiazolu w celu wzmocnienia jego serca. Zdołałam jeszcze zanurzyć palce w wodzie, by wykonać na jego czole znak krzyża, zanim wydał ostatnie tchnienie.

Nakryłam stygnące małe ciało sterylną chustą i udałam się do mojego gabinetu, by pobyć sama w ciszy. W takich chwilach nienawidziłam całego świata za to, że został tak stworzony.

Usłyszałam ciche pukanie i do środka wszedł Lothar.

– Dowiedziałem się, co się stało – rzucił od progu ściszym głosem. – Pielęgniarki mi powiedziały. Wiem, że zrobiłaś wszystko, co mogłaś, aby uratować to dziecko... – Otulił mnie delikatnie ramieniem, jakby nie był pewien, czy tego chcę.

– Ciągłe w głowie słyszę płacz matki. Najchętniej zrzuciłabym ten fartuch, który mam na sobie, i już go nigdy więcej nie założyła – powiedziałam z goryczą w głosie. – Nie potrafię patrzeć na ludzkie cierpienie... Takie zdarzenia to dowód na to, że żaden Bóg nie istnieje! – Odwróciłam się, naciskając palcami powieki, jakbym chciała w ten sposób zahamować wypływ łez.

– Rozumiem, co czujesz. Ale życie nauczyło mnie, że nie ma takiej tragicznej sytuacji, z której nie mogłoby ostatecznie wynikać coś dobrego.

– To znaczy?

– Znam pewną niewiastę, która kilka miesięcy temu straciła oba jajniki po naświetlaniach promieniami rentgenowskimi jamy brzusznej z powodu nowotworu jelita. Choroba nowotworowa jest w remisji. Ale chora bardzo się zmieniła pod wpływem przedwczesnej menopauzy będącej wynikiem sterylizacji. Opoterapia nie jest w jej przypadku skuteczna i martwię się, czy historia ta nie będzie miała nieszczęśliwego finału, bo pacjentka popadła w ciężką melancholię.

– Jak to się ma do tego, co się dzisiaj wydarzyło? – zapytałam zdezorientowana.

– Słyszałaś kiedykolwiek o włoskim lekarzu nazwiskiem Nicola Pende?

– Czy to ten, który przeszczepiał gruczoły płciowe od małp do ludzi, lecząc w ten sposób zaburzenia hormonów płciowych?

– Tak, ten sam! Czytałem jego prace i jak się okazało, nie był on pionierem w swojej dziedzinie, bo podobne zabiegi wykonywał już wcześniej urodzony w Rosji chirurg Siergiej Woronow. Z sukcesem przeszczepiał tarczycę od szympanów ludziom cierpiącym z powodu jej niedoczynności. Złośliwi nazywają go człowiekiem-małpigruchołem. Posunął się nawet do tego, że oferował transplantację jąder od straconych przestępców celem odmłodzenia. Popyt przerośł podaż... Ten człowiek jest dziś milionerem!

– Chcesz pobrać gruczoły dokrewne od oseska i wszczepić je tamtej kobiecie? – zapytałam, podążając za jego tokiem myślenia.

– Nie mamy chyba nic do stracenia. Wziąłbym kawałek nadnercza, szyszynki, gruczołu tarczowego, przysadkę oraz oba jajniki, by przeszczepić wszystko do tkanki tłuszczowej w sutkach. Czytałem kiedyś o podobnej kazuistyce, terapia przyniosła niesamowite rezultaty! Czasem ze śmierci potrafi się zrodzić życie. Dla mnie to właśnie zmartwychwstanie, chociaż w ujęciu religijnym oznacza oczywiście coś innego.

– Ale chyba nie możemy tak bez zgody...

– Daj mi z nią porozmawiać – przerwał mi Lothar. – Myślę, że ją przekonam. – To powiedziawszy, pocałował mnie w czoło i wyszedł z gabinetu.

Tamten wieczór i noc spędziłem razem, ale miałam wrażenie, że doktor Arens zachowuje się inaczej niż zwykle, jakby coś go niepokoiło. Kochał się ze mną w pośpiechu i nerwowo, a zaraz potem wstał, by się ubrać.

– Czy coś cię trapi? – wyszeptałam wprost do jego ucha, podchodząc do niego od tyłu i obejmując go za szyję.

– Nie, dlaczego tak uważasz? – zaprzeczył, ale patrzył gdzieś w dal mętnym, nieprzytomnym wzrokiem.

– Wydaje mi się, że nie mówisz mi wszystkiego... Ostatnio wyjechałeś bez słowa z wyspy. Nie uprzedziłeś mnie...

– Zrozum, że czasem potrzebuję chwili samotności. Jak każdy z nas. Nie doszukuj się w tym ukrytych intencji – odparł, głaszcząc mnie po głowie. – Mam kilka niezłatwionych spraw z przeszłości i próbuję sobie to wszystko uporządkować.

Nie dociekałam, co miał na myśli, z obawy przed tym, co mogłabym usłyszeć z jego ust. Pozwoliłam, aby czas odpowiedział mi na te wszystkie pytania i rozterki.

– Ty także powinnaś odpocząć. Może wyjedziemy razem na kilka dni? Co powiesz, by udać się do Królestwa Danii? Wystarczy, że wsiądziemy na statek i za godzinę będziemy na miejscu – zaproponował. – Byłaś tam kiedyś?

W odpowiedzi pokręciłam przecząco głową.

– Niestety, nie będzie to możliwe. Ostatnio mam zbyt wiele pracy, a na dodatek ze względów rodzinnych musiałam kilkakrotnie wziąć dzień wolny. Nie mogę zawieść moich pacjentek... – Westchnęłam ciężko.

Następnego dnia przy odbieraniu porodu znów musiałam przyspieszyć jego ostatnią fazę. W tym celu rozszerzyłam palcami ujście szyjki macicy pierworódki, a następnie przebiłam pęcherz płodowy. Podałam też zastrzyk z pituitryny. Płód płci żeńskiej przyszedł na świat szybko i bez dalszych komplikacji. Wszystko wydawało się zmierzać do szczęśliwego zakończenia, ale moja radość nie trwała długo. Dwa dni później niespodziewanie nastąpił krwotok z narządów rodnych, niedający się zahamować żadnymi dostępnymi metodami. Najprawdopodobniej wewnątrz musiała pozostać resztką łożyska, która spowodowała trudne do opanowania powikłanie. Musiałam szybko przeprowadzić histerektomię z dostępu brzuszego, co niosło ze sobą ryzyko

gorączki i sepsy. Z uwagi na wielkość macicy po ciąży nie było możliwe usunięcie jej w bezpieczniejszy sposób poprzez pochwę. Niewątpliwie ocalałam pacjentkę, ale jednocześnie pozostawiłam ją okaleczoną i bezpłodną do końca życia. Najtrudniejsze było dla mnie powiedzenie jej o tym. Gdy usypiała pod maską eterową, nie przypuszczała, że tak to się może skończyć.

– Gdybym wiedziała, że nie będę mogła mieć więcej dzieci, nigdy nie zgodziłabym się na ten zabieg! To wszystko pani wina! – wykrzyczała w pasji, rwąc w rozpacz włosy z głowy. – Teraz nie urodzę już syna, a co mi po córce? Trzeba będzie już zacząć odkładać na posag. Mąż mi tego nie wybaczy – lamentowała.

– Sama jestem mamą dwóch dziewczynek i uważam, że są najcudowniejsze w świecie. Niech się pani cieszy, że córka urodziła się zdrowa i silna. Znam historię kobiety, która nie mogła ponownie zająć w ciążę i jeszcze do tego musiała mierzyć się ze stratą. A gdyby nie ta operacja, pani maleństwo byłoby pólsierotą... – powiedziałam na odchodne, zamykając drzwi. Nie miałam ochoty z nią dłużej rozmawiać. Wszystko wewnątrz mnie buzowało.

Nazajutrz na jesienne ferie miały przyjechać na wyspę Adalia i Hanna, a ja byłam w psychicznej rozsypce. Wzięłam kilka kropel Eukodalu na uspokojenie. Nie chciałam przed córkami pokazać, że sobie nie radzę. Wiedziałam, że ta informacja niechybnie dotarłaby do Tadeusza. Musiałam więc wziąć się w garść i udawać, że wszystko jest w najlepszym porządku. Starannie przypudrowałam sińce pod oczami i nałożyłam na policzki sporo różu, by moja blada cera wyglądała zdrowiej.

Miałam odebrać dziewczynki jak zwykle ze stacji w Westerland. Ufryzowałam pospiesznie włosy i rzuciłam się do wyjścia, w biegu narzucając na ramiona trenecz.

Na miejscu okazało się, że jest spore opóźnienie, co często się zdarzało, gdy listopadowe morze bywało wzburzone. Chodziłam nerwowo po peronie, spoglądając na zegarek. Robiło się powoli ciemno, a oprócz mnie nie było na dworcu prawie nikogo. O tej porze roku nie przyjeżdżali już letnicy. Przysiadłam na ławce, spuszczać głowę. Musiałam chwilę przysnąć ze zmęczenia, bo ocknęłam się dopiero, słysząc gwizdanie parowozu. Wstałam pośpiesznie, ale okazało się, że to nie pociąg, na który czekałam. Przez chwilę na sąsiednim peronie zrobiło się tłoczno. Nagle w tłumie dostrzegłam ją. Wpatrywała się we mnie z oddali, sądząc, że jej nie widzę. Jak zwykle miała na sobie ten sam kapelusz z woalką, a w ręku trzymała niewielką walizkę. Ruszyłam w stronę schodów, by przejść bezpiecznie przez tory. Zorientowała się wówczas, że ją spostrzegłam, bo ruszyła pędem do wyjścia. Gdy zdyszana dotarłam na miejsce, pozostał po niej już tylko pusty chodnik. Rozglądając się bezradnie, podeszłam do konduktora przechadzającego się wzdłuż rampy.

– Ta kobieta, która przed chwilą biegła, czy wie pan, w którą stronę się udała?

– Nikogo nie zauważyłem – odparł szorstko, dając mi do zrozumienia, że ma w tej chwili ważniejsze obowiązki i mam mu dać spokój. Grzebał chwilę w kieszeni, by wyciągnąć wiszącą na złotym łańcuszku dewizkę, po czym chwycił w zęby metalowy gwizdek. Usłyszałam dudnienie zwiastujące, że zbliża się lokomotywa.

– Mamo! – Moja młodsza latorośl machała mi w podskokach, sądząc zapewne, że jej nie widzę wśród podróżnych. Padłyśmy sobie w ramiona. Po chwili dołączyła do nas Hanna.

Po raz kolejny nie mogłam uwierzyć, jak dziewczynki bardzo urosły. Stały się już prawdziwymi panienkami. Pod grubą warstwą

ryżowego pudru starały się maskować wypryski, jakie coraz częściej pojawiały im się na twarzach.

Wsiadłyśmy do auta i ruszyłyśmy w stronę domu. Hanna była milcząca i zamyślona. Widziałam, że znów coś ją trapi.

– Wypiszesz mi receptę? – poprosiła niespodziewanie. – Potrzebuję Acnylu. Może ta szczepionka pomoże mi na te okropne pryszcze – jęknęła zrozpaczona, przeglądając się w podręcznym lusterku.

– Nie chce, aby ją tak zobaczył Artur – dodała Adalia, szturchając siostrę wymownie.

– Przestań! – krzyknęła Hanna z wściekłością.

– Kto taki? – zapytałam zdziwiona.

– To nasz nauczyciel od muzyki. Przepięknie gra na fortepianie – szepnęła mi do ucha młodsza córka.

– Myślałam, że... – zaczęłam, nie wiedząc, jak dokończyć.

– Że Hanka kocha się w Alexandrze von Schillerze? – przyszła mi z pomocą. – Nic z tych rzeczy! Odkochała się, gdy znalazł narzeczoną, a potem musiał wziąć szybki, potajemny ślub, bo ona była... – ściszyła głos do szeptu – ...w ciąży! – Adalia zasłoniła usta dłonią, jakby żałowała, że powiedziała za wiele.

– Ty wszystko wypaplasz! Nic nie można ci powiedzieć! – zirytowała się moja starsza pociecha. – Przecież mówiłam ci, że nawet ciocia Róża jeszcze nic o tym nie wie...

„Dobry Boże” – pomyślałam. Ciekawa byłam, jak moja przyjaciółka zareaguje na to wszystko. Tak wiele działo się ostatnimi czasami w jej życiu, a teraz jeszcze okazało się, że za kilka miesięcy miała zostać babcią. Jak to nieprawdopodobnie brzmiało! Dla mnie była ciągle tą dziewczyną z kasztanowymi, rozwichrzonymi lokami, z którą siedziałam przy stole sekcyjnym na ćwiczeniach z anatomii, a potem przerysowywałam obrazy spod mikroskopu na histologii.

Należało się jednak tylko cieszyć, bo była to w gruncie rzeczy pozytywna nowina!

– Mamo, jak wygląda ten pierwszy raz, gdy jest się sam na sam z mężczyzną? – Ciszę przerwało niespodziewane pytanie Hanny.

Usłyszawszy je, ledwo zdołałam zapanować nad kierownicą. Wiedziałam, że słowa te muszą kiedyś paść z ust moich córek, ale nie przygotowałam sobie żadnej odpowiedzi. Nie spodziewałam się także, iż stanie się to tak szybko.

– Cóż, jesteście jeszcze bardzo młode... Chyba za wcześnie, by mówić o takich sprawach. Ale skoro już o tym wspomnieliście, to... – zaczęłam bezradnie, czując, jak kropelki potu występują mi na plecy. Rumieniec wstydu zalał moje policzki.

Ja sama nigdy nie odważyłabym się nawet pomyśleć w obecności moich rodziców o tak intymnych kwestiach. Ale czasy się zmieniały, a z racji wykonywanego przeze mnie zawodu temat ten nie był moim córkom zupełnie obcy. Mimowolnie czasem słyszały, jak opowiadałam różne historie z mojej praktyki.

Zatrzymałam pojazd na poboczu i wzięłam głęboki oddech.

– Czasem ten pierwszy raz może nie być tak przyjemny, jak sobie wyobrażamy, ale potem jest już o wiele lepiej. Zdarza się też ból i krwawienie...

– Nie rozumiem... – Moja córka zrobiła wielkie, zdziwione oczy. – Pytałam, jak to jest wyjść na pierwsze spotkanie, gdy jest się tylko we dwoje, bez innych osób. Dostałam zaproszenie do kina. Zupełnie nie wiem, jak się ubrać i o czym powinnam rozmawiać, aby on się we mnie zakochał...

Odczułam w głębi duszy ogromną ulgę, że nie muszę robić wykładu o przerywaniu hymenu i penetracji pochwy członkiem. Pamiętałam jeszcze dzień, gdy moje córki dostały pierwszej

menstruacji, a ja musiałam im udzielić krępującej dla obu stron lekcji na temat tej comiesięcznej kobiecej przypadłości...

– Bądź po prostu sobą. I nie udawaj kogoś, kim nie jesteś, a wtedy, gdy spotkasz na swojej drodze właściwego człowieka, wszystko się ułoży! – poradziłam jej.

Dni podczas wizyty dziewczynek w posiadłości na czerwonym klifie mijały w zastraszającym tempie. Spędzałyśmy czas na długich spacerach po plaży, puszczając latawce, bo nigdy nie brakowało wiatru. Czasem wstępowałyśmy do herbaciarni na filiżankę fryzjijskiego naparu i konfiturę, różany tort lub kruche ciasto z makiem. Jeździłyśmy też na rowerach, zapuszczając się w dalsze krańce wyspy. Zmierzch nastawał szybko o tej porze roku, a świt przychodził o wiele później niż na południu. Zdarzało nam się jeść śniadanie, gdy za oknami panowała jeszcze ciemność. Poranki były szare i ponure. Najbardziej nie lubiłam, gdy wyspę spowijała mlecznobiała mgła, a niebo pozostawało szare i gęste. Trudno było mi uwierzyć, że gdzieś może świecić słońce. Była to dla mnie alegoria życia – gdy przytłaczają nas problemy, nie wierzymy, że jeszcze kiedyś będzie dobrze... A przecież słońce nigdy nie znika, tylko czasem przysłaniają je chmury.

* * *

W niedzielne popołudnie otrzymałyśmy nieoczekiwane zaproszenie na podwieczorek od doktora Arensa. Specjalnie na tę okazję przywiózł z Hamburga świeże bułeczki cynamonowe i tort bezowy. Chciał najwyraźniej zaprezentować się od najlepszej strony i zaskarbić sobie sympatię potencjalnych przyszłych pasierbic, które wyczuwały podświadomie, o co toczy się gra. Chociaż w dalszym ciągu zwracał się do mnie oficjalnie i trzymał dystans, żadna z moich latorośli nie dała się zwieść.

Spotkanie przebiegało w napiętej atmosferze pomimo czynionych przez pana domu wysiłków. Hanna i Adalia siedziały sztywno, jakby połknęły kije, i nerwowo popijały gorącą herbatę. Baczenie obserwowały każdy gest i spojrzenie moje i doktora, próbując wyczytać z naszych twarzy jak najwięcej.

– Podobno marzycie, aby mieć psa? – zwrócił się do nich Lothar. Akurat do salonu wbiegły jego wierne czworonogi, węsząc smakołyki. – Wiecie, że Amber będzie miała niedługo młode?

Dopiero w tym momencie zwróciłam uwagę na to, że suczka ma gruby brzuch i powiększone wymiona, przygotowujące się do laktacji.

– Gdyby wasza mama się zgodziła, mógłbym podarować wam jednego! – zaoferował ochoczo, sądząc zapewne, że spotka się z wybuchem radości.

– To miłe z pana strony – odrzekła kurtuazyjnie Adalia, po czym przełknęła nieśpiesznie kęs ciasta i ciągnęła: – Ale nasz tato już obiecał, że sprawi nam wkrótce szczeniaka.

– On jest najlepszy i nikt go nigdy nie zastąpi! – wtórowała starsza z moich córek.

Spąsowiałam ze wstydu pomieszanego ze złością na tak niestosowne zachowanie. Nie miałam wątpliwości, że uczyniły to z premedytacją. Pomyślałam, że będę musiała o tym z nimi koniecznie pomówić na osobności.

– Ależ oczywiście! Jakże mogłoby być inaczej! – zaśmiał się doktor Arens, próbując niezręczne zajście obrócić w żart. – Dla każdego ojca córka powinna być małą księżniczką do rozpieszczania! Niestety, nie było mi dane tego doświadczyć – zakończył z nutą smutku, sięgając po imbryk, aby odwrócić uwagę od łez, które zaszklily jego oczy.

Poczułam ukłucie w sercu, aż przez moment nie byłam w stanie nabrać powietrza. Do tej pory nie rozmawialiśmy nigdy o tym,

dlaczego nie doczekał się w swoim małżeństwie potomstwa, a mnie nie przeszło nawet przez myśl, że mogło to być dla niego źródłem cierpienia. Nagle zdałam sobie sprawę, że w naszej relacji skupiłam się głównie na sobie i swoich problemach, szukając w Lotharze wybawiciela. Zadręczałam go swoimi rozterkami i utrapieniami, których cierpliwie godzinami wysłuchiwał. W tym wszystkim zapomniałam o jego uczuciach. On sam niechętnie o nich mówił, jakby bał się otworzyć przede mną, a ja nie pytałam. Poczułam falę rozpaczyny zalewającą mnie od środka.

Po poczęstunku dziewczynki wybiegły do ogrodu, by bawić się z pupilami naszego gospodarza. Nie było nam jednak dane porozmawiać na osobności, bo do pokoju weszła Teresa, niosąc kompot z dyni.

– Akurat ugotowałam! – oznajmiła swoim radosnym, śpiewnym głosem.

– Bardzo dobry... – wymamrotałam, upijając spory łyk ze szklanki.

– Dam pani do domu słoik! Tego roku wyrosły mi piękne plony. Jeszcze takich nie miałam! Sporządziłam tyle zapasów na zimę, że ledwo mieszczą się w spiżarni. Porobiłam też dżemy z czarnych porzeczek i konfiturę z płatków róży – rozgadała się, jakby czuła się w obowiązku wypełnić niezręczną ciszę. – Przyda się do herbaty na te chłodne, długie wieczory...

Lothar wstał z sofy, przygryzając nerwowo wargi i spoglądając na zegarek. Podeszedł do okna i odgarnął zasłony, które zaskrzyphiały żałośnie na karniszu. Obserwował zapadający zmrok, jakby czegoś wypatrywał lub na kogoś czekał. Wziął głęboki oddech, wzdychając cicho i smutno.

– Późno już, powinnam powoli wracać – oświadczyłam, wygładzając dłońmi fałdy na sukience.

– Tak szybko? – zdziwiła się gospodyni. – Przecież tak dawno pani u nas nie było! Proszę zostać i opowiedzieć, co u pani słychać! A ja zaparzę jeszcze herbaty!

– Może innym razem – wykręciłam się. – Przepraszam, ale czuję, że zaczyna mi się migrena... Mam aurę – skłamałam, łapiąc się dłonią za czoło. – Pójdę zawołać dziewczynki, zanim objawy rozwiną się na dobre...

– Może powinienem odwieźć panią do domu? – przyszedł z pomocą doktor Arens.

– Dziękuję, ale nie – zaprotestowałam. – Dam sobie radę sama – dodałam, czując w gardle bolesny ścisk, a w ustach cierpkość od stłumionego płaczu. W głębi serca miałam do niego żal. Byłam niemalże pewna, że myślał o swojej byłej żonie. To za nią musiał tęsknić, chociaż próbował to ukryć.

Narzuciłam niedbale płaszcz i szal, by jak najprędzej stamtąd wyjść.

W drodze do auta, gdzie czekały na mnie Hanna i Adalia, usłyszałam, że ktoś próbuje mnie dogonić. Odwróciłam się i zobaczyłam Teresę biegnącą do furtki.

– Zapomniała pani zabrać przetworów! – powiedziała, wręczając mi zawiniątko. – Niech pani nie bierze sobie do serca jego złego nastroju – dodała półszepem, kładąc dłoń na moim ramieniu. – Zawsze jesienią popada w melancholię... Ma tak od lat. Wszystko mu się wówczas przypomina i kojarzy z tragedią, która miała miejsce w jego życiu. Sama pani rozumie... Wiem, że z tym walczy, ale to silniejsze od niego...

– Nic się nie stało... Dziękuję za gościnę – pożegnałam się szybko, aby nie zdradzić prawdziwych uczuć, jakie targały moim sercem.

Naciskałam mocno pedał gazu, aż silnik samochodu zaczynał wyć. Pojazdem rzucało na nierównej drodze, a koła zapadały się

w koleiny. Jechałyśmy bardzo szybko, jakbym chciała w tym pędzie zgubić swoje myśli i demony nostalgii, które zawładnęły moją duszą.

– Mamo, zwolnij! – usłyszałam prośbę z tylnego siedzenia.

Dopiero wtedy się zreflektowałam i zwolniłam.

– Gniewasz się na nas o coś? – dopytywały moje córki. – Dlaczego wciąż milczysz?

Dłuższą chwilę nie byłam w stanie wypowiedzieć żadnego słowa, jakbym się w tym wszystkim pogubiła.

– Zachowywałyście się dzisiaj wyjątkowo arogancko w stosunku do doktora Arensa! – wyładowałam na nich swoją złość. – Jakbyście zapomnieli, ile dla nas zrobił i co mu zawdzięczamy! Nie będę tego więcej tolerować!

Zauważyłam, że w ich oczach odmalowało się przerażenie. Jeszcze nigdy nie widziały mnie w takiej furii. Ja sama byłam zaskoczona swoim wybuchem, którego zaraz pożałowałam.

– Nie chcemy więcej do ciebie przyjeżdżać! – wykrzyczała Adalia, pochlipując głośno. – Nie jesteś już tą samą mamą, jaką miałyśmy. Bardzo się zmieniłaś. To wszystko przez ten dom!

– Proszę, przestańcie... Nie chciałam, aby to tak zabrzmiało... – zaczęłam już łagodniej. – Może niepotrzebnie się tak uniosłam, ale nawet nie zdajecie sobie sprawy z tego, ile mam na głowie i co się dzieje w moim życiu. Jestem pewna, że wszystko się w końcu ułoży, ale do tego potrzeba czasu i sił, których pomału zaczyna mi brakować... – tłumaczyłam chaotycznie, czując, jak z bólu pulsują mi skronie i zbiera mi się na wymioty.

Na szczęście akurat zajechałyśmy pod bramę. Zauważyłam, że w jednym z pomieszczeń jarzy się zapalona żarówka.

– Zostawiłyście włączoną lampę w bibliotece! I to nie pierwszy raz, jakbyście nie wiedziały, ile kosztuje prąd! – Wbiegłam

do korytarza, by jak najszybciej ją zgasić. Ze złością przekręciłam wyłącznik.

– To nie my! – broniły się, ale i tak im nie wierzyłam.

– Idźcie już lepiej na górę, a porozmawiamy jutro, gdy opadną emocje – zwróciłam się do córek, zatrzymując się przy schodach. Usłyszałam tupot ich stóp na drewnianych stopniach, a następnie donośne trzaśnięcie drzwiami. Westchnęłam bezradnie, ciesząc się, że zostałam sama.

Wygrzebałam z torby lekarskiej aspirynę i z ulgą popiłam ją wodą z kranu. Przekręciłam klucze we wszystkich drzwiach, upewniając się jeszcze, że są zamknięte. Gdy już znalazłam się w sypialni, poczułam, że nadepnęłam na kruchy przedmiot, który pękł pod wpływem nacisku. Schyliłam się, aby mu się przyjrzeć. Była to sztuczna, porcelanowa szczeka. Poczerniałe zęby wydzielały obrzydliwy zapach, jakby jej właściciel dawno jej nie czyścił. Wzdrygnęłam się z odrazy, zastanawiając się, jak mogła się znaleźć w tym miejscu. Wtem ujrzałam, że jedna z ceramicznych szkatułek stojących na komodzie jest stłuczona. Wyleciało z niej kilka przedmiotów należących najpewniej do poprzedniej mieszkanek posiadłości. Miałam je przejrzeć i wyrzucić już dawno temu, ale nie było ku temu okazji. Usłyszałam mruczenie i poczułam, jak o moje nogi ociera się kocur.

– To ty jesteś sprawcą tego zamieszania? – zaśmiałam się, głaszcząc go pod brodą, aż uniósł dumnie pyszczek do góry i mrużył powieki z rozkoszy. – Musimy to jutro zakopać... – powiedziałam, zbierając rozbite szczątki na szufelkę, którą wyniosłam do kuchni.

* * *

Następne dni były wyjątkowo piękne i słoneczne. Wypełniły mnie tym samym nową energią i nadzieją, mimo że zbliżał się pomału

czas wyjazdu dziewczynek do szkoły z internatem. Ostatniej nocy, gdy poszły już spać, siedziałam w salonie, słuchając radia. Ogień buzował żywo w kominku, a iskry raz po raz strzelały w górę. Audycja była przerywana przez szумы i trzaski. Właśnie leciała piosenka zespołu Harry'ego Frommermana śpiewającego rzewnym głosem: „Gdzieś na świecie zaczyna się moja droga do nieba”. Za oknami i w kominie żałośnie zawodził wicher, uprawiając momentami szyby w drgania. Czułam się, jakbym znajdowała się w zapomnianym zakątku świata, do którego zaglądamy tylko zbłąkane dusze. Nagle muzyka się urwała i światło zgasło. Była to zapewne jedna z częstych przerw w dostawie elektryczności. Popatrzyłam na żarzące się jeszcze druciki w żarówce, w nadziei, że znów się rozpalą. Niestety, nie zanosiło się na to w najbliższym czasie. Ruszyłam do kuchni po świeczkę i by ponownie zalać wrzątkiem imbryk. Za oknem panowała głucha, nieprzenikniona ciemność.

Nagle usłyszałam ciche pukanie do drzwi wejściowych. Spojrzałam na zegarek. Dochodziła północ. Zastanawiałam się, kto to mógł być o tak późnej porze. Raczej nie żadna pacjentka. Wołano mnie do trudnych przypadków tylko w ostateczności, ale wówczas dobijano się do drzwi głośno, aby mnie pośpieszyć. Dom na czerwonym klifie przez swoją złą sławę odstraszał większość przybyszów. Poza Lotharem, który miał zabronione odwiedzanie mnie, gdy w domu nie byłam sama, nikt inny nie przychodził w gościnę.

Podniosłam zasłony, ale nie dostrzegłam żadnego pojazdu na podjeździe. Zatrzymałam się w korytarzu, zastanawiając się, czy w ogóle powinnam otwierać. Czułam, że serce bije mi mocno w piersiach, pompując gorący strumień krwi do głowy. Odgłos stukającej kołatki znów się powtórzył, odbijając się echem

po pogrążonym w półmroku hallu. Otworzyłam kuchenną szufladę i wyjęłam z niej nóż, który schowałam pod pled okrywający moje ramiona. Tak wyposażona ruszyłam powoli w kierunku sieni. Wyrzałam przez wizjer. Wydawało mi się, że ujrzałam fragment koronki i czarne rondo kapelusza. Do głowy uderzyła mi szaleńcza myśl, że oto zbliża się mój koniec. Po chwili jednak wzięłam głęboki wdech i powoli wypuszczając powietrze, uspokoiłam się.

Jakiś wewnętrzny głos powtarzał jak mantrę słowa: „Musisz to zrobić, Lauro, inaczej nigdy nie dowiesz się prawdy”. Niewidzialna siła pchała mnie naprzód. Czułam, jak cała dygoczę, gdy przekręcałam klucz. Zamek szczęknął dwa razy, przerywając dzwoniącą w uszach martwotę. Nacisnęłam klamkę i otworzyłam powoli skrzypiące drzwi. Na progu stała ciemna postać. Uniosła głowę i pod woalką ukazała się jej trupioblada twarz. Tuż nad górną wargą kobiety widoczny był niezręcznie ukryty pod pudrem mały pieprzyk. Ujrzałam ją po raz pierwszy z bliska. To była ona. Prawie nic się nie zmieniła od momentu, gdy uwieczniono ją na czarno-białej fotografii stojącej na sekretarzyku w buduarze domu doktora Arensa. Spoglądała na mnie swoimi wielkimi czarnymi oczami, błyszczącymi niczym hematyt. Jej usta zastygły w szyderczym półuśmiechu, niczym w teatralnej masce. Całe moje ciało zeszywniało. Uszczypnęłam się mocno, chcąc się upewnić, że to nie sen.

– Myślała pani, że już nigdy tutaj nie wrócę i że uda się pani uwieść mojego męża? – zapytała ochrypłym, grobowym głosem, mrużąc powieki. – Sądziła pani, że się o tym nie dowiem i że pani nie odnajdę? – Świdrowała mnie wzrokiem, a jej szerokie źrenice ziały chłodem i nienawiścią, jakby chciały mnie pochłonać.

– Naprawdę nie wiem, o czym pani mówi! – odparłam, broniąc się. Zbita z tropu, nie miałam pojęcia, jak powinnam się zachować.

Nie spodziewałam się takiego najścia. Każda tętnica mojego ciała pulsowała teraz jak w malignie.

– Proszę nie udawać! – zasyczała złowrogo dama w woalce, podchodząc do mnie. Poczułam duszący zapach Habanity i wstrzymałam przez chwilę oddech. – Obserwuję was od dłuższego czasu! Wiem, że zostaliście kochankami – dodała i westchnęła ciężko, spuszczając wzrok na swoje skórkowe rękawiczki. – Ale powiem ci, że tak naprawdę nic o nim nie wiesz... Nie znasz mętnych zakamarków jego duszy – rzuciła z nieukrywany cynizmem w głosie, po czym zbliżyła się, by wyszeptać mi wprost do ucha słowa: – On nigdy nie przestał mnie kochać, bo tylko ja wiem, jak spełnić jego pragnienia... Te najskrytsze... Tylko ja znam jego mroczny sekret. Gdy był z tobą, myślał tylko o mnie... Musiał się pilnować, by nie wyrzec mojego imienia... Aurora...

Odsunęłam się gwałtownie, rozrywana uczuciem rozpacz. Widząc mnie w takim stanie, niechciany gość zaśmiał się cicho, karmiąc się moim cierpieniem.

– Jesteś złą kobietą! – wykrzyknęłam i wymierzyłam w nią oskarżycielsko palec. – Najpodlejszą, jaka istnieje! Zostawiłaś go bez słowa! Odeszłaś, nie mówiąc dokąd... A gdy odzyskał częściowo spokój, ty powracasz, by dalej go dręczyć!

– To wszystko już minęło. Teraz moglibyśmy rozpocząć nowy rozdział w naszym życiu! Wiem, że cały ten czas na mnie czekał. Otrzymałabym z pewnością jego przebaczenie. Zawsze mi je dawał, cokolwiek bym uczyniła – stwierdziła z sarkazmem. – Ale ja nie daruję mu tego, co mi zrobił. Gorzko pożałuje! Przybyłam tylko po zemstę. Zapłaci za to swoją krwią! Tak jak ty, jeżeli go natychmiast nie zostawisz! – dodała przenikliwym głosem, który brzmiał, jakby należał do samego Szatana. – Dałam ci już jedno

ostrzeżenie, paląc twoją kukłę podczas święta ognia, ale mnie nie posłuchałaś...

– Więc to byłaś ty... – powiedziałam ledwo słyszalnie, trzęsąc się z napięcia.

– Teraz muszę znów opuścić wyspę, ale gdy wrócę, wszystko między wami ma być skończone. Rozumiesz? – To powiedziawszy, próbowała pochwycić mnie za przedramię, ale zdołałam się uchylić. Poczułam ostrze paznokcia zatapianego w skórze. Zagryzłam zęby, starając się nie wydać z siebie żadnego dźwięku.

– Jesteś opętana! Odejdź ode mnie! Opuść natychmiast te progi i nie waż się tutaj wracać! – krzyczałam w amoku.

Palce mimowolnie zacisnęłam na trzonku noża schowanego pod ubraniem. Byłam coraz bliższa jego użycia. Ale ta *femme fatale* zaśmiała się tylko po raz ostatni, pokazując rząd perłowobiałych zębów, po czym obróciła się, by ruszyć w stronę furtki. Po kilku sekundach usłyszałam trzaśnięcie, a tajemnicza postać rozmyła się w ciemnościach i mgle.

Stałam tak jeszcze dłuższą chwilę, wdychając zimne powietrze i wpatrując się w czarne niebo. Próbowałam się uspokoić po tym, co się przed chwilą wydarzyło. Nagle spostrzegłam, że na progu leży rękawiczka. Podniosłam ją i raz jeszcze poczułam w nozdrzach znajomą woń pachnidła. Musiała ją upuścić przez nieuwagę.

Zamknęłam drzwi i skierowałam się na schody. Tam omal nie wpadłam na Hannę. Wyrosła przede mną niespodziewanie w białej koszuli nocnej.

– Mamo, z kim rozmawiałaś? – zapytała zasnym głosem.

– Z nikim. Musiało ci się coś przyśnić, kochanie – próbowałam ją uspokoić, głaszcząc po policzku. – Wracaj, proszę, do łóżka...

– Cała się trzęsiesz... – Córka bacznie mi się przyglądała.

– To zaraz minie. Muszę napić się czegoś na rozgrzanie. Strasznie tutaj chłodno! – stwierdziłam, rozcierając zgrabiąle z zimna dłonie. W tym momencie jej wzrok padł na krwisty ślad zadrapania. Pośpiesznie zakryłam go rękawem.

Moja starsza latorośl niechętnie spełniła polecenie, a ja znów zostałam sama. Usiadłam na fotelu, wpatrując się w tarczę kurantowego zegara, który od tylu lat odmierzał czas w tym miejscu. Bił także w godzinę śmierci poprzednich mieszkańców tego domu.

Wyciągnęłam z szuflady pognieciony wizerunek Świętej Hildegardy. Przejechałam palcami po zagięciach papieru, myśląc o tym, że mój ojciec dawno temu też trzymał go w swoich rękach.

– Ciągle wierzę, że masz mnie w swojej opiece... – wyszeptałam, przyciskając obrazek do piersi.

ROZDZIAŁ XXV

Przebijające się przez szyby słońce raziło swoim blaskiem. O tej porze roku świeciło już bardzo nisko. Po wielogodzinnej operacji odłożyłam pokryte skrzepami narzędzia. Ściągnęłam maseczkę i zakrwawiony fartuch. Chociaż zabieg się udał i nie było żadnych niespodzianek, czułam wewnątrz przenikliwy żal. Na metalowej nerce leżała usunięta macica. Pacjentka, którą była dwudziestoletnia stenotypistka, jeszcze spała, oddychając miarowo i spokojnie. Za kilka minut będzie musiała się wybudzić i żyć dalej z tym, co się stało. Kilka dni wcześniej trafiła do mnie na dyżur z powodu nawracających krwotoków z dróg rodnych. Były nieregularne i na tyle obfite, że kobieta cierpiała na anemię. Od dawna nie miała menstruacji, a z całą pewnością nie była w ciąży. Rozpoznanie postawiłam od razu po zbadaniu wyskrobin macicznych pod mikroskopem.

– Niestety, nie mam dobrych informacji – oznajmiłam, biorąc głęboki oddech, by przekazać niepomyślną wieść. – To gruźlica trzonu macicy.

– Czy jest na to lekarstwo? – zapytała, wpatrując się we mnie z nadzieją. Jej oblicze było tak blade, że cera wydawała się niemalże przezroczysta.

– Możliwe jest jedynie leczenie operacyjne – odpowiedziałam, odwracając wzrok. Nie miałam odwagi spojrzeć jej w oczy.

– Czy będę mogła mieć później dzieci? – wykrztusiła z trudem.

– Nie. Ale za to będzie pani żyć...

– Nie zgadzam się! – zaprotestowała chora kategorycznie i wybuchła szlochem. – Wolę w takim razie wcześniej umrzeć!

Tuberkuloza narządów rodnych dotykała głównie młode niewiasty, stając się przyczyną ich dramatu. Medycyna nie знаła na to innego lekarstwa poza okaleczającym zabiegiem usunięcia narządu. Niegdyś w początkowych stadiach choroby stosowano oczyszczanie jamy macicy, ale porzucono tę metodę, ponieważ choroba z czasem nawracała, grożąc poważnymi powikłaniami i rozsiewem procesu gruźliczego, co prawie w każdym przypadku kończyło się zgonem.

– Niestety, ale musi się pani pogodzić z tym, że nigdy nie będzie pani miała biologicznego potomstwa. Schorzenie to prowadzi do niepłodności. Jama macicy jest prawie zarośnięta, a to uniemożliwia ciążę – wyjaśniłam, starając się mówić jak najspokojniej. – Ale można przecież znaleźć inną drogę życiową, która da szczęście... – zaczęłam ostrożnie. – Albo zdecydować się na adopcję...

– Pani ma swoje dzieci? – zapytała niespodziewanie.

Skinęłam jedynie głową, nie będąc w stanie wypowiedzieć słowa z obawy, że zadrży mi głos.

– Więc co pani może wiedzieć o moim cierpieniu?!

Spuściłam wzrok, nie chcąc się wdawać w dalszą dyskusję. Nosłam w sercu własny smutek, o którym pacjentka nie mogła wiedzieć. Kobieta w tym czasie ubrała się pośpiesznie i skierowała do wyjścia.

Nazajutrz, gdy kończyłam pracę w ambulatorium, do gabinetu wszedł młody człowiek. Nawet nie zapukał do drzwi.

– Pani doktor, czy mógłbym zająć pani chwilę? – rzucił od progu.

– Oczywiście, proszę wejść.

– Badała pani wczoraj moją narzeczoną. Ona nie zgadza się na leczenie, ale wiem, że bez tego czeka ją śmierć – powiedział z rozpaczą w głosie. – Już raz straciłem w ten sposób bliską mi osobę. Błagam, niech ją pani przekona!

– To może być wyłącznie jej decyzja...

– Ale ja i tak się z nią ożenię! Nawet jeśli nie będzie mogła dać mi syna – wyrzekł ze łzami w oczach. – Kocham ją i nic tego nie zmieni.

– Musi pan jej to powiedzieć – zasugerowałam. – Ona bardzo potrzebuje pańskiego wsparcia.

Ostatecznie wrócili do mnie we dwoje.

– Chciałabym, żeby pani mnie zoperowała. Muszę żyć, mam dla kogo – powiedziała kobieta, a ukochany uściskał jej dłoń z pierścieniem błyszczącym na serdecznym palcu. Patrzyli sobie w oczy, w których lśniły teraz łzy wzruszenia. Ustaliliśmy, że nie ma na co czekać. Przyjęłam chorą do szpitala, wpisując ją jako pierwszą do planu operacyjnego na kolejny dzień.

W końcu mogłam zdjąć maskę z twarzy mojej pacjentki, odcinając tym samym dopływ eteru, a ona otworzyła oczy i rozejrzała się po pomieszczeniu. Zawczasu podałam dożylnie zastrzyk z morfiny, by oszczędzić jej bólu.

– Zaraz będzie tu pani narzeczoną! – rzekłam, a chora spróbowała się uśmiechnąć.

Zostawiłam ją samą i skierowałam się w stronę mojego gabinetu. Nagle na korytarzu usłyszałam głos doktora Arensa, więc pośpiesznie schowałam się we wnęce budynku. Tłumaczył jakiemuś pacjentowi dawkowanie strychniny w leczeniu choroby wrzodowej żołądka. Przeczekałam, aż przejdzie, nie chcąc, aby mnie ujrzał. Ostatnio starałam się go unikać. Czekala nas poważna rozmowa, którą pragnęłam odsunąć w czasie. Musiałam przekazać mu wieść

o powrocie jego żony i opowiedzieć o jej nieoczekiwanej wizycie w domu na czerwonym klifie. Nie byłam jeszcze na to gotowa, znajdowałam więc coraz to nowsze wymówki.

Moje córki miały przyjechać ponownie dopiero na Boże Narodzenie. Ponieważ rzuciłam się w wir pracy i więcej czasu spędzałam w szpitalu, poprosiłam panią Edeltraud, by przychodziła do mnie rzadziej. Znowu byłam więc zupełnie sama.

Tego dnia w ambulatorium oczekiwała na mnie pewna świeżo upieczona mężatka, u której poprzez zastosowanie diatermii starałam się powiększyć zbyt małą i hipoplastyczną jamę macicy. Była to główna przyczyna jej niepowodzeń w zajściu w ciążę. Miałam u niej wykonać serię zabiegów. Jedną elektrodę wkładało się do pochwy lub do *rectum*, a drugą należało umiejscowić na brzuchu. Całość podłączało się do prądu o sile około jednego ampera. *Uterus* z czasem powiększał się do stanu normalnego, rozwijały się mięśnie, a miesiączka wracała do normy. Według publikacji naukowych metoda ta była skuteczna, o ile narząd nie był w formie szczątkowej.

– Pani doktor, kiedy te tortury przyniosą efekt? – dopytywała zniecierpliwiona pacjentka, skręcając się z bólu. Był on niestety nieunikniony w tej terapii. Zawsze podziwiałam moje pacjentki i to, ile są w stanie wycierpieć dla upragnionego macierzyństwa.

– Trudno dokładnie powiedzieć, ale pocieszę panią, że część kobiet staje się brzemienna już po miesiącu.

Następna w kolejce była ciężarna, u której pod sukienką rysował się dobrze widoczny, zaokrąglony brzuch.

– Zachodzę w głowę, pani doktor, jak to się mogło stać! Kilka lat temu urodziłam dziecko. Teraz znowu jestem w stanie błogosławionym. Mąż jest marynarzem, nie było go w domu przez kilka tygodni, a wtedy okazało się, że... – zawstydzona ściszyła głos

– ...nie umie we mnie wejść – ostatnie słowo wypowiedziała prawie szeptem, oblewając się rumieńcem. – Jakby wszystko zarosło! Może za rzadko... – urwała.

– Proszę się przygotować do badania – wskazałam jej fotel.

Nigdy nie słyszałam o podobnej historii, tym bardziej byłam ciekawa, co się okaże. Wśród lekarzy znane było powiedzenie, że medycyna jest jak kino – nie ma w niej rzeczy niemożliwych.

Najpierw wymacałam dno macicy, którego położenie odpowiadało sześciomiesięcznej ciąży. Mała główka dziecka balotowała w dole. Przyłożyłam stetoskop, wysłuchując prawidłowe bicie serca płodu. Następnie chwyciłam wziernik, lecz nie umiałam go założyć. Okazało się, że ujście zewnętrzne jest zamknięte niemal całkowicie poprzez zbliznowaciałą tkankę w kolorze różowawym. Pobrałam jej wycinek, by zbadać ją pod mikroskopem. Zostawiłam chorą samą. Obraz wykonanego preparatu odpowiadał tkance łącznej. Po zastosowaniu dodatkowego barwienia w kierunku bakterii odnalazłam w preparacie dwoinki Neisseria. Wszystko zaczynało łączyć się w jedną całość.

– Czy miała pani ostatnimi czasy objawy zapalenia i jakieś upławy?

– Prawie cały czas przez pierwsze tygodnie ciąży – odparła.

Jej problemem był przewlekły tryper, na który chorowała, nawet o tym nie wiedząc. Musiała się nim zarazić od własnego małżonka, który najprawdopodobniej nabawił się go w czasie swoich podróży. Marynarze często w każdym z portów, do których zawijali, mieli kochanki. Postanowiłam jednak przemilczeć krępujący temat i wykonałam zabieg wycięcia patologicznej błony, po czym zaleciłam leczenie roztworami koloidowego srebra.

Byłam pewna, że w poczekalni są jeszcze inne pacjentki, dlatego zostawiłam uchylone drzwi. Dezynfekowałam ręce w spirytusie mydlanym, czując, jak piecze mnie popękana, zniszczona skóra.

– Lauro! – usłyszałam swoje imię. – Mam wrażenie, że ostatnio wyraźnie mnie unikasz... Czy mogłabyś mi wyjaśnić, co się stało?

Obróciłam się i popatrzyłam na Lothara, czując, jak po moich policzkach spływają łzy.

– Chciałbym, żeby było między nami jak na początku! – wyszeptał, obejmując mnie.

– Nie, nie... – wymamrotałam ledwie słyszalnie, spuszczać głowę. – Zrozum, że już nigdy nie będzie jak dawniej. – Próbowałam się od niego odsunąć, ale mnie zatrzymał.

– Co masz na myśli? – zapytał, unosząc delikatnie dłonią mój podbródek, by spojrzeć mi w oczy.

Milczałam, a on wpatrywał się we mnie badawczym wzrokiem. Przez jego szerokie źrenice przeszedł dziwny błysk. W tym momencie do pomieszczenia wbiegła jedna z położnych. Lothar pośpiesznie się wycofał, by nie zastała nas w niezręcznej sytuacji. Ja także podeszłam do stolika z narzędziami, udając, że jestem zajęta.

– Przywieziono dziewczynę z wioski w bardzo kiepskim stanie. Rodziła dwa tygodnie temu – oznajmiła położna. – Jest cała nienaturalnie powykręcana i sztywna. Jeszcze czegoś tak strasznego na oczy nie widziałam! Boimy się najgorszego!

– Już idę! – oświadczyłam i podążyłam za nią do izby przyjęć. Odwróciłam się jeszcze raz, czując na sobie pełne wyrzutu spojrzenie mojego ukochanego. Stał bez ruchu, jakby skamieniały, i odprowadzał mnie wzrokiem przepętnionym bólem. Chciałam koniecznie zapomnieć o tym widoku, ale stawał mi przed oczami, ilekroć zamykałam powieki. Czułam, że zaczynam się trząść od płaczu, jaki targał mną od wewnątrz.

– Pani doktor, prędszej! – popędziła mnie położna.

Gdy dotarłyśmy na miejsce, ujrzałam położnicę leżącą na kozetce. Zęby jej zaciśnięte były w szczękościsku. Z trudem przełykała spienioną ślinę. Miała sztywne nogi, a jej stopy tworzyły niemalże linię prostą z podudziami. Kończyny górne zdawały się normalne. Co jakiś czas dostawała napadów, trwających po kilkanaście sekund, w czasie których wszystkie mięśnie jej ciała doznawały silnego skurczu, a ona przestawała oddychać.

– Mąż mówił, że rodziła przy pomocy babki wsiowej. Ta kobieta jest znaną znachorką i odbierała też jej poprzednie porody. Podobno przybiegła prosto z pola w ostatniej chwili do pomocy. Wyciągnęła sine dziecko rękami jeszcze brudnymi od ziemi, bo nie było czasu, by je umyć. Oserek miał wiele szczęścia, że przeżył! – odezwała się jedna z pielęgniarek.

Dotknęłam rozpalonego czoła chorej, po czym chwyciłam za przegub jej dłoni, by zbadać puls. Był mocno przyspieszony.

Diagnoza przedstawiała się dla mnie aż nazbyt jasno. Zakażenie tężcem w związku z położeniem występowało szczególnie często w rejonach tropikalnych, ale zdarzało się także w naszym klimacie. Przypadki zakażeń *Clostridium tetani* podczas porodu były znane już starożytnym. Nie mając świadomości istnienia niewidzialnego dla ludzkiego oka świata mikroarów, mylili jednakże drgawki wywołane tą chorobą z rzucawką, padaczką bądź tężyczką.

W 1809 roku sir Charles Bell uwiecznił na swoim malowidle dramatyczny obraz cierpiącego nieszczęśnika w opistotonusie. Poza ta charakteryzowała się łukowatym wygięciem kręgosłupa do tyłu wskutek silnego skurczu mięśni grzbietu. Rzadziej tonicznemu skurczowi ulegały przednie mięśnie. W mojej praktyce spotkałam się przed laty z przypadkiem tężca z *exitus letalis* po próbie spędzenia płodu za pomocą umieszczonego w pochwie korzenia

malwy. Zawierał on, jak się okazało, laseczki bakterii, które po namnożeniu się wywołały wspomniane objawy.

– Proszę natychmiast przenieść pacjentkę do ciemnego i cichego pomieszczenia – wydałam polecenie, wiedząc, że najmniejszy bodziec dźwiękowy lub świetlny może wywołać następny napad. – Potrzebna będzie też surowica przeciwtężcowa. Trzeba podać ją matce oraz noworodkowi! I posłać po doktora Webera, aby się nim zajął!

Wiedziałam, że nawet jeżeli teraz maleństwo nie wykazuje objawów, to mogą się w nim jeszcze rozwinąć. Gdy dostałam ampułkę z antytoksyną, podałam ją najpierw podskórną, a potem do kanału kręgowego. Wykonałam dodatkowo zastrzyk z luminalu, a następnie zdecydowałam się uspić chorą chloroformem. Patrzyłam z ulgą, jak miarowo i spokojnie oddycha. Walka jednakże nie była jeszcze zakończona. Miałam nadzieję, że kobieta ostatecznie zwycięży.

Po wielu godzinach czuwania przy niej zaczęłam opadać z sił. Głowa osuwała mi się w dół, mimo że starałam się walczyć z sennością. Ponieważ drgawki ustąpiły, uznałam, że położnica jest już bezpieczna. Postanowiłam udać się do domu na zasłużony odpoczynek.

Zdażyłam opuścić już budynek, gdy zobaczyłam, że biegnie za mną stróż.

– Pilny telefon do pani! Proszę szybko pozwolić za mną! Cieszę się, że jeszcze udało mi się panią złapać – mówił zasapany, kuśtykając z powrotem w stronę szpitala.

– O tej porze? – zdziwiłam się.

– Widocznie to coś niecierpiącego zwłoki – odparł, przyspieszając kroku.

Zawróciłam do portierni, gdzie stał aparat telefoniczny.

– Słucham! – odezwała się.

– Proszę zaczekać. Ma być łączenie z Rendsburgiem – otrzymałam informację od telefonistki. Przez następną minutę słyszałam tylko trzaski i szumy. Każda sekunda powodowała, że mój lęk przed tym, co miałam usłyszeć, narastał.

– Halo! Lauro, jesteś tam?! – Po drugiej stronie odezwał się poruszony głos Tadeusza. – Nie miałem jak inaczej się z tobą skontaktować. Nie odpowiadasz na moje listy. Przeczytałaś je w ogóle? To bardzo ważne, więc posłuchaj mnie uważnie...

Powoli odsuwałam słuchawkę od ucha, a jego słowa ginęły gdzieś w oddali. Wydawało mi się, że mówił „Nie wracaj na noc do tego domu”, ale nie byłam pewna, bo odkładałam już słuchawkę na widełki. Nie chciałam z nim rozmawiać. Wybiegłam z budynku, zatrzasnąwszy za sobą drzwi wejściowe do szpitala.

Księżyc był w pełni, a niebo usiane gwiazdami, więc noc pozostawała wyjątkowo jasna. Gdy zjechałam w drogę prowadzącą do posiadłości na czerwonym klifie, zobaczyłam, że na jej końcu stoi zaparkowany samochód należący do doktora Arensa. Pomimo późnej pory czekał, aż się pojawię. Zatrzymałam się, gasząc światła i chcąc opóźnić moment spotkania. Wyszedł z samochodu i ruszył powoli w moją stronę. Jego fizjonomia zdradzała zdenerwowanie, chociaż bardzo starał się je ukryć. Moje serce zaczęło łomotać. Nie umiałam powiedzieć dlaczego, ale wygląd jego twarzy przeraził mnie, a intuicja podpowiadała mi, że nie ma dobrych zamiarów. Wsiadłam z auta i ruszyłam mu naprzeciw.

– Co robisz tutaj o tej godzinie? – rzekłam z irytacją w głosie. – Jestem zmęczona, chciałabym wreszcie odpocząć...

Spojrzałam na zegarek, który wyjęłam z kieszeni. Na jego białej tarczy z trudem dojrzałam wskazówki. Dochodziło w pół do trzeciej nad ranem. Do świtu było jeszcze kilka godzin.

– To chyba jedyny sposób, abyśmy mogli w spokoju porozmawiać... – zaczął chłodnym tonem.

Wiatr rozwiął moje włosy. Bałam się, że nie jesteśmy sami. Intuicja cały czas szeptała mi, że to jakiś podstęp i że znajduję się w niebezpieczeństwie. Rozejrzałam się nerwowo wokół siebie, ale nie zauważyłam niczego podejrzanego.

– Wiele razy już ci mówiłem, że się o ciebie martwię... Odkąd zamieszkałaś w tym miejscu, zachowujesz się coraz dziwniej – kontynuował. – Spójrz w lustro, Lauro! Nie jesteś tą samą osobą, którą poznałem... W ostatnich dniach utwierdziłem się tylko w przekonaniu, że dzieje się coś bardzo niedobrego. Teraz celowo unikasz konfrontacji ze mną. A przecież obiecaliśmy sobie kiedyś, że będziemy wobec siebie szczerzy...

Myśli kłębiły się w mojej głowie jak po erupcji wulkanu. Oddychałam przez kilka chwil, powoli nabierając powietrza w płuca i nie wiedząc, od czego powinnam zacząć. Te sekundy musiały się wydawać dla niego nieskończonością.

– Ona wróciła... – zdołałam wypowiedzieć tylko dwa słowa, zanim moja ściśnięta i wysuszona krtani odmówiła mi posłuszeństwa.

– Na Boga, kto taki?! – Podszedł i chwycił mnie za ramiona. – Powiedz kto! – Potrząsnął mną, jakby chciał wyrwać mnie w ten sposób z marazmu. – Czy ta kobieta, która cię kiedyś śledziła?

Widziałam, jak przez jego źrenice przepełnione amokiem przelatują dziwne błyski. Odwróciłam się i patrzyłam otępiała w dal, czując spływające po policzkach słone, lodowate łzy.

– Przybyła tylko po to, by zemścić się na nas... Uważa, że ją skrzywdziliśmy! – wybuchnęłam szlochem, zakrywając twarz dłońmi. – Groziła nam... Poprzysięgła zemstę!

– Kim ona jest?! – wykrzyknął z pasją, aż cofnęłam się przestraszona.

– To twoja żona, Aurora... – załkałam. – Była tutaj... Przyszła w późną noc, gdy wszyscy już spali. To ona okazała się kobietą ukrywającą się pod kapeluszem z woalką... Poznałam ją od razu, bo wyglądała tak samo, jak na tamtym zdjęciu stojącym na sekretarzyku w twoim domu. Prawie w ogóle się nie zmieniła pomimo upływu czasu... – przerwałam nagle, bacznie śledząc jego mimikę i próbując odgadnąć jego myśli.

Milczał, zaciskając szczęki i nie spuszczał ze mnie przeszywającego wzroku.

– Dlaczego nic nie mówisz? – wyszeptałam. – Dlaczego się nie odzywasz?!

Upłynęła kolejna chwila, która wydawała mi się wiecznością, gdy wreszcie do mojej świadomości dotarła oczywista prawda. Wbiła się w nią niczym kolce pełne toksycznego jadu.

– Ty ją nadal kochasz! Miała rację, gdy mi to powiedziała! Nigdy nie przestałeś i łudziłeś się, że kiedyś do ciebie wróci! – Sama przeraziłam się brzmienia własnego głosu. – Przez cały ten czas na nią czekałeś!

– Przestań, Lauro! – zaprotestował, usiłując złapać mnie za przeguby dłoni, ale nie udało mu się to, bo w porę zrobiłam krok w tył, omal nie tracąc przy tym równowagi.

– Nie zaprzeczaj! I nie próbuj mnie zatrzymać!

– Ona nie żyje od ponad dziesięciu lat! – przerwał mi, wydierając się nieludzko, aż po okolicznych wydmach rozniosło się złowrogie echo. Wszystkie mięśnie jego twarzy były teraz napięte. Oddychał szybko i płytko, próbując nad sobą zapanować. – Mówiłem ci o tym! Jesteś jedną z nielicznych osób, które znają prawdę i którym opowiedziałem tę historię! Nie pamiętasz, jak ci to wyznałem?! –

wyrzucił z siebie jednym tchem. – Popełniła samobójstwo, skacząc z klifu po jednej z naszych kłótni. Jak się później okazało, tamta noc zabrała ze sobą dwa życia, zostawiając mnie na skraju rozpacz i szaleństwa... W czasie autopsji okazało się, że była we wczesnej ciąży. Nie powiedziała mi o tym... Nie mogłem sobie tego darować i przez wiele lat miałem poczucie winy. Zostawiła mi tylko list pożegnalny. Oskarżała mnie o doprowadzenie ją do takiego stanu. Jej ciało po wielu tygodniach wyłowiono przy brzegach wyspy Amrum. Tam też została pochowana... Zabiorę cię na jej grób, jeżeli mi nie wierzysz... – dodał już spokojniej.

Z trudem nabrałam w płuca arktycznego powietrza i wypuściłam je, patrząc na parę wodną unoszącą się z moich ust.

– Dlaczego w takim razie ją widywałam? – wymamrotałam pod nosem.

– To musiały być halucynacje. Nikt inny poza tobą jej nie zauważył! Wytworzyłaś sobie w swojej głowie jej obraz i uroiłaś, że cię śledzi.

– Znalazła apaszkę z moimi inicjałami, którą musiałam zgubić kiedyś w kościele, próbując ją dogonić. Spaliła ją potem zawiązaną na słomianej lalce w czasie *Biikebrennen*. Próbowała mnie w ten sposób zastraszyć! – upierałam się przy swoim.

– Przecież sama dałaś mi tę chustkę i kazałaś zniszczyć, twierdząc, że to prezent od byłego męża, którego nienawidzisz... Prosiłaś, abym to zrobił, bo chciałaś zapomnieć o poprzednim życiu.

– To musiała być ona! Słyszałam jej głos... Czułam nawet zapach jej perfum. Jest jeszcze coś, co potwierdza, że mam rację! – Rozpaczliwie przetrząsałam torebkę. – Zobacz! To przecież jej rękawiczka! Poznajesz ją?

Odebrał ją ode mnie, ciężko wzdychając.

– Zastanawiałem się, gdzie mogła zagać. Nie widziałam jej, gdy sprzątałem buduar...

– Popatrz, mam jeszcze zadrapanie po tym, jak złapała mnie za rękę! – Wskazałem ślad na skórze. – Ona mi to zrobiła!

– To stare zacięcie po skalpeli! Pamiętasz, jak kilka miesięcy temu ostrze wyślizgnęło ci się z rąk?

Zacisnęłam powieki, usiłując sięgnąć do zakamarków pamięci.

– Od jakiegoś czasu spostrzegłem, że ciągle rozdrapujesz to miejsce. Jesteś bardzo chora, Lauro! – powiedział z troską. – Potrzebujesz pomocy! Inaczej wydarzy się coś strasznego... – Błagalnie złapał mnie za przedramię, ciągnąc w stronę swojego samochodu. – Zawiozę cię do szpitala. To ten dom... Przez niego popadłaś w szaleństwo!

Chciał uchwycić moją dłoń, ale uderzyłam go w policzek, a następnie odepchnęłam ze wszystkich sił. Był zaskoczony moją zdecydowaną reakcją. Zbity z tropu puścił mnie, robiąc krok w tył.

– Nie wierzę ci! Kłamiesz! To wszystko jest nieprawdą! Zostaw mnie w spokoju! – wykrzykiwałam podniesionym głosem.

Widziałam, jak zaciska pięści, a jego mięśnie tężą, jakby szykował się do ataku.

– Nie każ mi, abym wziął cię tam siłą! Wsiądź dobrowolnie do mojego auta – wycedził przez zęby. – Chcę ci pomóc... – dodał tonem pobrzmiwającym złowieszczą nutą.

W kieszeni płaszcza wyszukałam klucze, starając się zrobić to jak najciszej. Wycofywałam się powoli, a gdy uznałam, że jestem już wystarczająco daleko, nieoczekiwanie odwróciłam się i puściłam pędem w stronę drzwi. Próbował mnie dogonić, ale strach dodał mi nadludzkich mocy. W ostatniej chwili zdołałam zamknąć zasuwkę. Dobijał się jeszcze dłuższy czas, domagając się, abym mu otworzyła i wpuściła go do środka. Usiadłam na podłodze w sieni, bo byłam

zbyt wyczerpana, by udać się do pokoju. Próbowałam ochłoniąć po morderczym biegu. Czułam ból wszystkich mięśni i pieczenie zdartej skóry. Było mi już jednak wszystko jedno. Oparłam głowę o zimną ścianę i tak, nie wiedząc kiedy, zasnęłam...

ROZDZIAŁ XXVI

Nie miałam pojęcia, ile czasu upłynęło. Ocknęłam się, gdy do moich uszu dobiegło głośne stukanie metalową kołatką do drzwi frontowych. Początkowo myślałam, że to tylko sen. Wokół mnie panowała ciemność i niczym niezmacona cisza. Wówczas pukanie powtórzyło się, utwierdzając mnie w przekonaniu, że nie było jedynie złudzeniem.

– Jest tam kto?! – usłyszałam wołanie inspektora Haberlanda.

Snop światła z latarki wpadł do wnętrza poprzez okno w kuchni. Policjant obchodził budynek dookoła.

– Proszę dać jakiś znak! Jest pani w domu?

Nagle zobaczyłam, jak jego twarz przykleja się do szyby w jadalni. Skuliłam się w korytarzu, aby mnie nie dojrzał, i wstrzymałam oddech. Gdy odszedł, przeczołgałam się powoli pod schody. W tym miejscu nie miał szans mnie dostrzec. Domyślałam się, że został nasłany przez doktora Arensa, który musiał zawiadomić go o zajściu między nami. Przeszło mi przez myśl, że byli w zмовie. Przypomniałam sobie moją ostatnią wizytę na posterunku, gdy funkcjonariusz zachowywał się w dziwny sposób i zbagatelizował moje doniesienia. Od tamtej pory mu nie ufałam.

– Jeżeli mnie pani słyszy, proszę się natychmiast odezwać! Przybyłem pani na ratunek! – krzyczał. – Powinna pani niezwłocznie opuścić to miejsce i udać się ze mną!

Dłuższą chwilę chodził po ogrodzie, przeczesując go, a ja słyszałam trzask gałęzi łamanych pod jego butami. Wreszcie musiał dać za wygraną. Przypomniałam sobie, że na środku drogi

zostawiłam zaparkowane auto. Być może to wzbudziło jego niepokój i postanowił zajrzeć do posiadłości na czerwonym klifie.

Zdecydowałam się nie opuszczać mojej kryjówki przed nastaniem świtu. Kurantowy zegar w pokoju wybił cztery razy. Znów zapadłam w drzemkę, starając się jednak zachować przy tym czujność. Śniły mi się jakieś koszmary, których treści po przebudzeniu nie pamiętałam. Poczułam nagle, że się krztuszę własną śliną. Otworzyłam szeroko oczy, a wtedy zorientowałam się, że w ustach i na wargach mam mnóstwo pianistej wydzieliny. Z przerażeniem wytarłam ją, ale po chwili pojawiła się na nowo, tak że moje usta znów były jej pełne. Żadną siłą nie mogłam opanować męczącego ślinotoku. Udałam się powoli do łazienki, stawiając ostrożnie kroki i omijając skrzypiące deski. Nie mogłam zapalić światła, bo zdradziłoby moją obecność. Na szczęście na dworze świecił jasno księżyc w pełni, a moje oczy przyzwyczyły się już do ciemności.

W mroku przesuwalam się wzdłuż pobielonej ściany. Wreszcie dotarłam na piętro, a potem do salonu kąpielowego i stanęłam przed zwierciadłem. Padało na nie nieco odbitego światła, tak że mogłam ujrzeć w nim swoją trupioblada, upiornie wyglądającą twarz z podkrążonymi i zapadniętymi oczodołami. Wyglądałam, jakbym nie należała już do świata żywych, lecz była jedynie błakającą się po ziemskim padole potępioną duszą. Wtem poczułam silny, skręcający wewnątrzności ból brzucha, jakiego nigdy jeszcze w życiu nie doświadczyłam. Zebrało mi się na mdłości. Odkręciłam ostrożnie kran. Podstawiłam dłonie, a gdy uzbierała się wystarczająca ilość wody, napiłam się, a następnie obmyłam twarz. Uniosłam głowę znad umywalki, chcąc ponownie się sobie przyjrzeć. Nagle w lustrzanej tafli dostrzegłam niewyraźny zarys ciemnej postaci. Stała na końcu korytarza, zupełnie nieruchomo.

Przetarłam oczy, wyteżając wzrok. Sądziłam, że to jedynie przywidzenie i wytwór mojej wyobraźni. Ale gdy spojrzałam ponownie, tajemnicza postać w dalszym ciągu tam tkwiła. Wydawało mi się, że przemieściła się w stronę sypialni. Odwróciłam się, czując, jak w piersiach łomocze mi serce, a krew pulsuje w całym ciele. Sięgnęłam do szufladki w komodzie po zapałki i ogarek, który trzymałam w tym miejscu na wypadek, gdyby brak prądu zastał mnie w trakcie kąpieli. Nagle zorientowałam się, że tajemniczy cień zniknął, a przedpokój znów jest pusty. Opuściłam łazienkę i ostrożnie posuwałam się w ciemności. Staralam się oddychać bezgłośnie, delikatnie wciągając powietrze w płuca. Co kilka kroków przystawałam, nasłuchując odgłosów. Dookoła panowała jednak martwa cisza. Nie słychać było nawet tykania zegara, który musiał się zatrzymać.

Zajrzałam po kolei do wszystkich pokoi, ale nie zauważyłam niczego podejrzanego. Wróciłam schodami na dół. Wtem moich uszu dobiegł dziwny szelest z biblioteki. Drzwi do niej były otwarte na oścież, chociaż wydawało mi się, że wychodząc o poranku do pracy, dokładnie je zamknęłam. Jednak nie dowierzałam już sobie w pełni. Weszłam do środka. Oprócz znanego mi zapachu kurzu i starych woluminów wyczułam coś niepokojącego, nieprzyjemnie drażniącego nozdrza. Potknęłam się o jakiś przedmiot i omal nie upadłam. Jedna z książek musiała spaść, bo leżała na dywanie. Schyliłam się, aby ją podnieść, gdy niespodziewanie owionął mnie straszliwy fetor przypominający woń rozkładających się zwłok. Skamieniałam w bezruchu i poruszając jedynie oczami, rozejrzałam się po otoczeniu. Wtedy go dostrzegłam. Znajdował się w samym kącie, nie dalej niż dwa metry ode mnie. W ciemności błysnęły białka jego oczu. Sięgnęłam niezdarnymi ruchami do kieszeni i wyjęłam świeczkę. Z nerwów złamałam pierwszą

zapałkę. Dopiero za drugim razem wątlły płomień, który miał za moment zgasnąć, wypełnił wnętrze światłem. Zacisnęłam powieki, cała drżąc z napięcia, a gdy je ponownie otworzyłam, przede mną ukazały się czeluście piekieł. Z półmroku wyłoniło się ludzkie monstrum. Nie miało zuchwy, a górna część jego twarzy była przeraźliwie zniekształcona. Stworzenie oddychało ciężko przez otwarte usta, w których sterczały resztki zębów z zielonożółtą, fosforyzującą obwódką.

– Nie jesteś prawdziwy! – wybełkotałam. – Jesteś tylko omamem!
– powtarzałam do samej siebie, próbując się uspokoić i wycofując się w stronę drzwi.

Stwór zacharczał jak zwierzę, nie wydając z siebie żadnego słowa.

– Odejdź tak, jak tu przyszedłeś! Wróć do *infernus*, z którego przybyłeś! – Wykonałam ręką w powietrzu znak krzyża. Nie spuszczać wzroku z potwora, wycofywałam się na korytarz.

Gdy byłam już w progu, zauważyłam, że regał z książkami nie stoi na swoim miejscu. Był przesunięty, a za nim roztaczał się ziejący czernią tunel.

– Pomocy! – wydałam z siebie nieludzki okrzyk, rzucając się ku schodom na piętro. Chciałam dobiec do sypialni i zaryglować się w niej w oczekiwaniu, aż ktoś mnie ocali, zanim mój oprawca dostanie się do środka. – Ratunku! Czy ktoś mnie słyszy?! – wołałam ile sił w płucach. Nie miałam jednak złudzeń, że poza mną i tym frankensteinem nie ma tu nikogo.

Byłam już na ostatnim stopniu, a tuż za sobą czułam oddech i przeraźliwy smród piekielnego monstrum. Stwór złapał mnie za nogę, rozszarpując mi pończochy i zatapiając w moich łydkach swoje ostre, dawno nieobcinane paznokcie. Pociągnął mnie tak, że straciłam równowagę i upadłam, uderzając głową w słup. Byłam oszołomiona, ale wciąż próbowałam mu się wyrwać. Poczułam

wyrzut adrenaliny i przypływ nowych sił. Walka była jednak nierówna. Był mocniejszy ode mnie i umiał obezwładnić przeciwnika, jakby miał w tym wprawę. Pochwycił mnie i włókł po podłogowych deskach w stronę salonu kąpielowego. Próbowałam wczepić się w cokolwiek po drodze, ale moje palce nie natrafiły na żaden wystający obiekt. Złapałam się rozpaczliwie za framugę, nie chcąc dać się wciągnąć do łazienki, ale wtedy przytrzasnął mi ręce drzwiami. Puściłam futrynę, czując ból miażdżonych palców i wydając z siebie rozdzierający krzyk. Wtedy musiał mnie czymś ogłuszyć, bo na moment straciłam przytomność. Gdy ją ponownie odzyskałam, leżałam w wannie, trzęsąc się z zimna. Nad sobą słyszałam szum wody, która zakrywała mi już piersi. Gdy spostrzegł, że odzyskałam przytomność, złapał mnie za włosy, chcąc wepchnąć moją głowę pod powierzchnię. Wciąż próbowałam się bronić. Lodowata ciecz wlewała mi się do uszu, nosa i ust. Byłam pewna, że oto nadszedł mój koniec, że mam przed sobą ostatnie minuty życia. Przed oczami widziałam jedynie mętną, krwistą ciecz. Zaczęłam się modlić, pragnąc, by mój koniec był jak najszybszy.

Nieoczekiwanie uścisk potwora zelżał. Z nadludzkim wysiłkiem chwyciłam żeliwny brzeg wanny, by się wynurzyć. Wypełzłam z niej ostatkiem sił i położyłam się na kaflach, łapiąc haustami powietrze, kaszląc i krtusząc się. Musiałam tak chwilę trwać półprzytomna, zanim zaczęło do mnie docierać, co się stało. Rozejrzałam się mętnym wzrokiem dookoła. W łazience nie było nikogo. Wtem dobiegł mnie straszny rumor z dołu, jakby ktoś wyważał wejściowe drzwi.

– Policja! Stój! Ręce do góry! – słyszałam okrzyki w korytarzu. W sieni trwała szarpanina.

– Stój, bo będę strzelać! – Policjant ostrzegał napastnika.

Huk wystrzału rozniósł się po budynku echem, aż zatrzęsły się szyby. Po kilku minutach wszystko ucichło. Leżałam dalej w tym samym miejscu, z przymkniętymi powiekami, zbyt wycieńczona, by wstać czy chociażby się poruszyć.

– Lauro! Gdzie jesteś? – nawoływał męski głos. – Nic ci nie jest? Odezwij się, proszę! Już jest po wszystkim! Jesteś bezpieczna!

– Tadeusz... – wychrypiałam przez ściśnięte gardło.

– Panie Kader, widzę ją! Jest tutaj! – oświadczył inspektor Haberland, podbiegając do mnie. – Mój Boże, co tu się wydarzyło? Czy trzeba panią zawieźć do szpitala?

Nie miałam siły, by wydać z siebie jakikolwiek dźwięk, więc jedynie pokręciłam przecząco głową.

– Zaniesiemy ją na razie do łóżka. Wydaje się być w kiepskim stanie... – orzekł inspektor. – O mały włos, a przybylibyśmy za późno...

Przelewałam mu się przez ramiona, moje ciało było zupełnie wiotkie. Ułożono mnie w sypialni na poduszkach. Przymknęłam powieki, czując, jak zapadam w półsen. Ktoś ścisnął moją dłoń, ale nie zareagowałam.

– Jestem przy tobie – usłyszałam szept mojego męża. Zimna membrana stetoskopu dotykała mojej klatki piersiowej. – Płuca są chyba w porządku – stwierdził.

Zbadał delikatnie mój brzuch, a następnie sprawdził, czy nie mam złamanych kończyn. Na koniec zaśwycił latarką w moje źrenice i próbował zajrzeć do gardła.

– Nic poważnego nie widzę, ale przez najbliższe godziny trzeba ją obserwować. W dalszym ciągu jest w szoku. Musi teraz odpocząć – oznajmił komuś, kto stał obok, po czym pogładził mnie po mokrych włosach. – Trzeba pomóc jej się umyć, a potem przynieść suche, czyste ubranie.

– Zajmę się tym – odpowiedział kobiecie głos, jak się później okazało, należący do laborantki. – Pobrałam już próbki do analizy i teraz chwilowo jestem wolna. Zejdę do kuchni, by zagotować wodę na kąpiel, a potem przeszukam szafę i coś wybiorę.

– Znakomicie! W takim razie zostawmy je same i porozmawiajmy na zewnątrz – zaproponował mój mąż, wychodząc.

– Ma pan rację. Dopiero jak pani Kader trochę wydobrzeje, będzie można ją przesłuchać. – Drugi głos wtrącił swoją uwagę.

Pozostawili na szczęście niedomknięte drzwi, więc mogłam ich dyskretnie obserwować i podsłuchiwać. Po chwili dołączyła do nich reszta ekipy z oddziału kryminalnego. Przypuszczałam, że mogą paść istotne informacje, dlatego znalazłam w sobie resztki sił i wyteżyłam uwagę.

– Doktorze, proszę nam wyjaśnić, jak rozwikłał pan tę makabryczną zagadkę – dopytywał podekscytowany inspektor Haberland.

W jego pracy na Sylcie takie zdarzenia były zapewne równie rzadkie jak komety na niebie.

– Naprawdę nie mieliśmy pojęcia, że w domu po świętej pamięci Sybilli Gebler ukrywa się seryjny morderca! – kontynuował wzburzony inspektor. – Gdy przeczytałem ściśle tajny telegram nadany z posterunku policji w Rendsburgu, początkowo nie wierzyłem własnym oczom! Natychmiast udałem się do posiadłości na czerwonym klifie, próbując zawczasu powiadomić jej mieszkańców o grożącym im śmiertelnym niebezpieczeństwie. Chciałem dostać się do środka, ale nikt mi nie odpowiadał, panowała tutaj tylko głucha cisza. Mogłem więc sądzić, że nikogo nie ma w domu. Podejrzane natomiast wydało mi się, że auto pani Laury porzucono na środku drogi. Wróciłem więc do siebie,

wzywając przez radiostację posiłki z lądu. W międzyczasie pan wraz z prokuratorem zdołaliście dotrzeć już na wyspę.

– Proszę się nie dziwić, że działałem tak szybko. W końcu sprawa dotyczyła mojej żony... – odparł drżącym z przejęcia głosem Tadeusz.

– Że też nie skojarzyłem państwa nazwiska! – klepnął się dłonią w czoło. – To pan jest wybitnym ekspertem medycyny sądowej! To dzięki panu rozwikłano najtrudniejsze przypadki, o których pisała prasa...

– Cóż, miałem kilka małych sukcesów... – odrzekł z wrodzoną sobie skromnością mój mąż. – Pamiętam, jak przed ponad rokiem poproszono mnie o pomoc w identyfikacji odnalezionego niedaleko torów ciała, które było już w zaawansowanym stadium rozkładu. Wszystko wskazywało na morderstwo poprzez zmiżdżenie głowy ciężkim przedmiotem, najpewniej kamieniem. Twarz była zupełnie zmasakrowana, nie dało się więc wywnioskować, jak nieboszczyk wyglądał za życia. Ponadto odcięto mu ręce, co dodatkowo utrudniało śledztwo. Bardzo podobną sekcję wykonywałem już pięć lat wcześniej. To obudziło moją czujność. Zasugerowałem prokuratorowi, by zainteresował się przypadkami zwłok odnalezionych w pobliżu linii kolejowych. Przeszukano w tym celu akta policyjne z ostatniej dekady. Wtedy okazało się, że podobnych zdarzeń było jeszcze kilka... Ostatni trop prowadził na groblę Hindenburga, gdzie z Morza Wattowego wyłowiono martwą kobietę...

– Śmierć Sybilli Gebler od początku wydawała mi się podejrzana. Byłem przekonany, że brały w niej udział osoby trzecie – wtrącił się inspektor Haberland. – Przeprowadzona autopsja jednak nie wniosła nic, co mogło pomóc udowodnić moją tezę. Ostatecznie uznano to za nieszczęśliwy wypadek, a teczkę schowano

do archiwum. Pojawiła się jeszcze mało prawdopodobna hipoteza samobójstwa, ale nie było na to wystarczających dowodów.

– *Modus operandi* został w tym wypadku niezwykle dobrze przemyślany – do wymiany zdań wtrącił się nieznany mi męski głos.

– Czy pan prokurator mógłby zdradzić szczegóły?

– Zabójca przemieszczał się po całym kraju, tym samym był nieuchwytny dla śledczych przez wiele lat, bo jego zbrodnie dzielił nie tylko upływ czasu, ale także kilometry. Wsiadał do nocnych pociągów, by nie rzucać się w oczy za dnia. Tam odnajdywał swoje ofiary, na które wybierał najchętniej samotnie podróżujące kobiety. Najlepiej starsze. Współpasażerowie na przesłuchaniu wspominali, że człowiek ten zagadywał do nieznajomych, podając się za inwalidę wojennego spod Verdun i prosząc o drobną jałmużnę. Wzbudzał wówczas współczucie, ale także pewne zaufanie. Tak nawiązywała się rozmowa. Gdy orientował się, że osoba, z którą ma do czynienia, nie ma rodziny i mieszka sama, najlepiej w odludnym miejscu, wprowadzał w życie swój plan. Czasem prosił o udzielenie schronienia bądź jednorazowego noclegu, innym razem pozornie się żegnał, by zacząć się później w krzakach i dokonać mordu. Ciała pozbywał się na różne sposoby. Ukrywał je w chaszczach albo wrzucał pod pociąg. Zdarzało się też, że wypychał swoją ofiarę z pędzącego pojazdu wprost pod jego koła. Finał był zawsze taki sam... – Prokurator przerwał na chwilę, najpewniej, by sięgnąć do kieszeni po bibułkę i papierosa. – Wprowadzał się do domów denatek, żyjąc z ich pieniędzy i zasobów przez możliwie długi okres. Gdy jego obecność zostawała zauważona, a okoliczni mieszkańcy zaczęli się nim interesować, wówczas pakował się i ruszał w dalszą drogę, szukając dla siebie nowego schronienia.

– Zabierał ze sobą dokumenty zamordowanych osób, by opóźnić ich identyfikację. Naturalnie przywłaszczając sobie także klucze do nowego lokum – dorzucił swoją uwagę jeden z biegłych. – Ponieważ osoby te nie miały bliskich krewnych, z reguły nie były przez nikogo poszukiwane. Proceder mógł więc trwać przez długi okres.

Z dołu dobiegł stukot żeliwnej kołatki.

– Ja otworzę – zaoferował się funkcjonariusz.

– To z pewnością koroner. Przybył zabrać zwłoki zastrzelonego do prosektorium – stwierdził inspektor Haberland i indagował dalej: – Skoro zabójca nie był weteranem Wielkiej Wojny, to w takim razie kim? I czy wiadomo, kto go tak oszpecił?

– Horst Ruhn, bo tak się nazywał, według danych z komisji poborowych był zwykłym szeregowcem, który na początku konfliktu zbrojnego trafił do niewoli brytyjskiej. Jako jeńca przydzielono go do wytwarzania amunicji, w tym bomb fosforowych – zrelacjonował śledczy.

– Panowały tam wyjątkowo szkodliwe warunki – dodał mój mąż.
– Od dawna znany jest wpływ tego pierwiastka na powstawanie *osteonecrosis*, ropni jamy ustnej i ogólnej martwicy tkanek. Co jest dość charakterystyczne, dziąsła przyjmują wówczas zielonkawy kolor, świecący w ciemnościach. Aby ocalić życie, wykonuje się okaleczający zabieg usunięcia kości. Była to choroba zawodowa dziewiętnastowiecznych robotników zatrudnionych w fabrykach zapalek. Żółty fosfor był tańszy od czerwonego, więc częściej go używano, a ze zdrowiem najniższej klasy społecznej kapitaliści się nie liczyli. W 1910 roku oficjalnie zabroniono tej szkodliwej produkcji. Ale przez prawie pięćdziesiąt lat podobne przypadki przybrały skalę niemalże epidemii. Później odnotowywano ich

znacznie mniej, a obecnie mają już jedynie kazuistyczny charakter – zakończył.

– Udało się po pewnym czasie sporządzić portret pamięciowy podejrzanego. Gdy pokazano go doktorowi Kaderowi, niemal natychmiast przedstawił diagnozę „szczęki fosforowej” jako możliwą przyczynę takiego oszpecenia – wyeksplikował prokurator.

– Bazując na rejestrach, przesledzono, w których klinikach po 1918 roku wykonywano operacje usuwania żuchwy, przy założeniu, że przeprowadzał je lekarz doświadczony w chirurgii głowy i szyi. Była to benedyktyńska praca i mogła nie przynieść efektów. Szczęśliwie jednak dokumentacja pacjenta wraz z załączoną fotografią znajdowała się jeszcze w archiwum kliniki w Kolonii.

– To wszystko jest nie do uwierzenia! – zawołał inspektor Haberland. – Moi ludzie jeszcze raz przeszukają dokładnie budynek i teren wokół. W świetle tego, co teraz wiem, zastanawiam się, czy nie miała tutaj miejsca jeszcze jedna zbrodnia. Wkrótce po przybyciu pana żony na Sylt z morza wyłowiono zwłoki niejakiej Klary Lindner. Z polecenia prawnika miała doglądać posiadłości do czasu przejęcia jej przez spadkobierczynię, aby nie doszło do grabieży mienia. Być może w czasie swojej wizyty zetknęła się oko w oko z Ruhnem...

– Nie można tego na tym etapie wykluczyć. Stworzony portret psychologiczny mówi, że zabijał on tylko w ostateczności, gdy czuł się bezpośrednio zagrożony lub ktoś odkrył jego istnienie. Poza tym raczej starał się żyć w tle, pozostając niezauważonym. Na pewno przykrą niespodzianką był dla niego przyjazd pani Kader. Zupełnie się tego nie spodziewał. Nie mógł przecież wiedzieć o testamencie...

– Zadziwiające jest dla mnie to, że przez cały ten okres, gdy zbrodniarz był praktycznie tuż za ścianą, tak długo udało mu się maskować swoją obecność. Naprawdę nie było nic, co zaniepokoiło

mieszkańców? – Funkcjonariusz popadł w zadumę. – Nigdy się nie zdradził, stawiając kroki na skrzypiącej podłodze, otwierając drzwi czy upuszczając jakiś przedmiot?

Słowa te sprawiły, że zadrżałam w swoim łóżku, przypominając sobie te wszystkie niewyjaśnione odgłosy, które wybudzały mnie ze snu, ludzki ząb odnaleziony w potrawie, ślady butów, a także człowieka, który wyłonił się nagle z ciemności i omal nie wpadł pod moje auto, gdy po raz pierwszy tu przyjechałam. Ile razy czułam się przez kogoś obserwowana lub zdawało mi się, że widzę ciemną postać przemykającą po wydmach! W najgorszych koszmarach nie mogłam jednak przypuszczać, że za tym wszystkim mógł stać seryjny morderca, przemierzający prawie bezszelestnie korytarze mojego domu.

– Sądzę, że człowiek ten był aktywny głównie w nocy lub pod nieobecność właścicieli posiadłości, tym samym pozostawał nieuchwytny – usłyszałam wyjaśnienie z ust jednego ze śledczych.

Nagle do moich uszu dobiegł okrzyk:

– Inspektorze, proszę tutaj przyjść! Prędko! W bibliotece za regałem z książkami znajduje się sekretny pokój!

ROZDZIAŁ XXVII

Południe dawno już minęło i niebawem znów miał zapaść zmierzch. Dni były teraz bardzo krótkie. Chociaż w dalszym ciągu byłam skrajnie wyczerpana, zmusiłam się do wstania z łóżka. Nogi miałam jak z waty, uginały się pod moim ciężarem. Idąc, musiałam więc podtrzymywać się ściany oraz krawędzi mebli, aby nie upaść. Okresowo dostawałam napadów silnego bólu brzucha i nudności. Podeszłam ostrożnie do okna i odsunęłam zasłonę. W strugach deszczu niesiono akurat do karawanu zawinięte w zakrwawione prześcieradło zwłoki. Ustalono, że nazajutrz odbędzie się sekcja. Nakazem prokuratora zlecono ponadto ekshumację grobu Sybilli Gebler oraz Klary Lindner, by jeszcze raz w świetle nowych faktów przyjrzeć się przyczynie ich śmierci. Chciałam w tym wszystkim uczestniczyć, czując, że jestem coraz bliżej rozwikłania tajemnicy testamentu i domu na czerwonym klifie. Miałam nadzieję, że ponowna autopsja nieznanym kobiecie, która zapisała mi w spadku swoją posiadłość, odpowie mi na wiele pytań.

– Nie powinnaś się teraz forsować! Połóż się, proszę! – Do pokoju wszedł Tadeusz.

– Nic poważnego mi nie jest. Jestem tylko trochę poobijana i mam kilka siniaków – machnęłam ręką, próbując zbagatelizować moje dolegliwości.

– Wyglądasz w dalszym ciągu blado, jakbyś cierpiała na anemię... Tak bardzo schudłaś, że ledwo cię poznałem! – przyznał. – Przyniosłem ci rosół... Pani Edeltraud, gdy dowiedziała się, co się wydarzyło, natychmiast tutaj przyjechała i obiecała się tobą zająć. To dobry człowiek i wspinała gospodyni. Zapropomowałbym jej

posadę u nas, gdybyś tylko zechciała ze mną wrócić. – Urwał niespodziewanie, jakby się bał, że powiedział za dużo. Nie rozmawialiśmy jeszcze o naszej przyszłości. Najwyraźniej liczył na to, że będę chciała wyjechać razem z nim.

Przysiadłam na brzegu łóżka, biorąc do rąk tacę z dymiącą zupą.

– Nie miałam okazji ci podziękować – powiedziałam ochrypłym głosem. – Gdyby nie ty, nie byłoby mnie już wśród żywych... Nie pierwszy już raz zresztą mnie ocaliłeś... – wymamrotałam spierzchniętymi ustami.

Pamięcią uciekłam do tamtej nocy, gdy jako młoda dziewczyna omal nie wykrwawiłam się na śmierć. Zrobiłam wówczas coś strasznego, co pragnęłam na zawsze wymazać ze swojej świadomości. Tadeusz, który był jeszcze wtedy młodym adeptem sztuki medycznej, czuwał nade mną całą noc. Po tym, co przeszłam, chciałam poświęcić się i pomagać kobietom, dlatego zdecydowałam się zostać specjalistą od chorób niewieścich.

– Lauro, przecież ja nigdy nie przestałem cię kochać... Może tak uważałaś, bo nie okazywałem ci mojej miłości. Gdy tak nagle oznajmiłaś mi, że mnie opuszczasz i zamierzasz zamieszkać na Sylcie, byłem zupełnie oszołomiony, a jednocześnie wściekły, bo sądziłem, że to twoja ucieczka przed naszymi problemami i codziennością. Pomyślałem sobie wtedy, że o wiele łatwiej stworzyć wszystko od nowa, niż odbudować coś, co się właśnie zawaliło... Uznałem, że dokonałaś wyboru za nas dwoje, nie licząc się z moimi uczuciami. Musiałem sam zostać w naszym starym domu, gdzie ciągle jeszcze jest pokój Adama. Wszystko mi się tam z nim kojarzyło. I z chwilą, w której od nas odszedł... – wyrzucił z siebie, a w pomieszczeniu zapadła głucha, dzwoniąca w uszach cisza.

– Wydawało mi się, że masz do mnie żal o to, co się stało... że go nie dopilnowałam. Przysięgam ci, że nie widziałam, jak wsiadał

na ten przeklęty rower! – Łzy przesłoniły mi obraz. Tadeusz podał mi chusteczkę, bym mogła je otrzeć. – Upadł nieszczęśliwie i doznał krwotoku, który go zabił.

– To mogło się skończyć tylko w jeden sposób. Oboje o tym wiedzieliśmy jako lekarze, od dnia, w którym odkryliśmy, że cierpi na hemofilię. Współczesna medycyna nie zna na to schorzenie lekarstwa. A on chciał mieć normalne dzieciństwo. Miał dość chowania pod kloszem. Pragnął być jak inni chłopcy w jego wieku. Myślę, że chociaż przez krótki moment był szczęśliwy... – Zapatrzył się w dal, a jego oczy zrobiły się wilgotne. – Zawsze podziwiałem, z jaką troską zajmowałaś się naszym synem. Chociaż nigdy ci tego nie powiedziałem... – wyszeptał, po czym odszukał moją dłoń i ścisnął ją, zanim odezwał się ponownie. – Przepraszam, że nie zrobiłem nic, by cię zatrzymać.

Otoczyłam go ramieniem, a wtedy on odwrócił się, by mnie objąć. Wtuliliśmy się w siebie mocno, czując, jak wypełnia nas spokój. Wydawało mi się, że czas na moment cofnął się do dnia, gdy byliśmy jeszcze zupełnie młodzi i nieświadomi, jak trudne może być życie.

– Lauro, dajmy sobie drugą szansę. Następnej już nie dostaniemy... – wyszeptał Tadeusz, wpatrując się w moje oczy, jakby chciał zajrzeć przez źrenice do mojego wnętrza.

Spuściłam wzrok, nie wytrzymując jego spojrzenia. Przez dłuższą chwilę się nie odzywałam, a gdy poczułam, że nie mogę już więcej przedłużać milczenia, odpowiedziałam:

– Potrzebuję trochę czasu... Nie jestem jeszcze gotowa, by podjąć jakąkolwiek decyzję. Przepraszam, że zostawiam cię w niepewności...

– Oczywiście, rozumiem cię... – Wypuścił mnie z objęć. – Nie chciałbym na ciebie w żaden sposób naciskać.

– Po prostu nie masz pojęcia, co się wydarzyło przez te wszystkie miesiące, gdy żyliśmy z dala od siebie...

– Jak będziesz chciała, to mi o tym opowiesz. Ale nie zmuszaj się do niczego – wyrzekł, przełykając z trudem ślinę i gładząc mnie dłonią po policzku. – Cokolwiek się działo, ważna dla mnie będzie jedynie twoja deklaracja, że chcesz znów stworzyć ze mną rodzinę – oświadczył, zapewne przeczuwając, że może chodzić o drugiego mężczyznę. – Nie mam prawa cię osądzać, jakkolwiek postąpiłaś... Formalnie dążyliśmy przecież do rozwodu.

– Ale ja... – zaczęłam, lecz w tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Klamka się poruszyła i nie czekając na przyzwolenie, do środka wszedł inspektor Haberland.

– Okazuje się, że z biblioteki wychodzi sekretny tunel, który prowadzi aż na wydmy – oznajmił podekscytowany.

– Co pan powie! – Tadeusz nie krył zaskoczenia.

– Właz znajduje się niedaleko plaży, ale bardzo trudno go znaleźć, jeżeli się o nim nie wie. Osłaniają go krzaki i skały. W tym miejscu z piasku wystaje zardzewiała kotwica. Ciekawi mnie tylko, po co safiannik von Spiegel zbudował taki tajny przekop przy wznoszeniu domu. – Podrapał się po głowie. – Wydrążenie go musiało zabrać mu bardzo dużo czasu, nie wspominając już o kosztach. Niestety, już się od niego tego nie dowiemy. To już tyle lat, jak nie żyje...

– Zwykle robi się takie podziemne przejście po to, aby móc się przemieszczać, pozostając niezauważonym. Nikt nie mógł widzieć, kiedy opuszczał dom i kiedy tu wracał – wtrącił mój mąż, ale jego uwaga nie została skomentowana, bo mundurowy zwrócił się do mnie.

– Chciałbym koniecznie coś pani pokazać. O ile oczywiście dałaby pani radę ze mną pójść.

– To nie jest najlepszy pomysł – odpowiedziano za mnie. – Moja żona jest jeszcze zbyt osłabiona, aby wstawać z łóżka. Powinna najpierw wypocząć i się wzmocnić.

– Dam radę! – zaprotestowałam i chcąc udowodnić, że mam rację, podniosłam się z pościeli.

Ból potłuczonego ciała przeszył mnie do szpiku. Spojrzenia mężczyzn skupiły się przez moment na mnie.

– Potrzebuję tylko, by ktoś mnie podtrzymał... – poprosiłam.

– Skoro się tak upierasz... – Tadeusz dał za wygraną, oferując mi swoje ramię. Pomógł mi najpierw dojść do korytarza, a potem zejść na parter. Znaleźliśmy się z powrotem wśród starych ksiąg i woluminów w bibliotece. Rozejrzałam się dookoła. Pomieszczenie wyglądało tak jak zwykle i nie budziło podejrzeń, że może być jednocześnie portalem do sekretnych części domu.

– Proszę, aby to, co zobaczymy, zostało na razie jedynie między nami – powiedział półszepem pan Haberland. – Otworzyć przejście! – wydał polecenie swojemu podwładnemu.

Policjant podwinął dywan, po czym podważył wystającą deskę i ją wyciągnął. Naszym oczom ukazała się sporej wielkości metalowa korba.

– Pod podłogą muszą znajdować się szyny, po których porusza się regał – rozumował na głos.

Po chwili usłyszałam szuranie, a wtedy mebel z książkami przesunął się w bok. Powstała za nim wąska, ziejąca przestrzeń.

– Nie da się już bardziej poszerzyć szczeliny. Trzeba będzie się przeciskać – oznajmił posterunkowy.

Większości z nas udało się to bez trudu, ale stróż prawa musiał na moment wciągnąć brzuch i wstrzymać oddech. Pierwsze, co poczułam, to okropny zapach stęchlizny, zmieszany z odorem ludzkiego potu. W środku panowała nieprzenikniona ciemność.

Funkcjonariusz potarł zapałkę o pudełko i rozpalił lampę naftową. Przebiegłam wzrokiem dookoła. Stało tam dębowe łóżko z pomiętą, dawno niepraną pościelą, dziurawy, wełniany koc, stół z krzesłem i niedomknięta szafa, z której wystawało kilka ubrań. Pokój wydawał się bardzo ciasny, ale zdatny do zamieszkania.

– Zwyrrodnialec miał tutaj idealne warunki, by się ukrywać – oświadczył funkcjonariusz, po czym dodał: – W tym miejscu znajduje się mechanizm otwierający, gdyby chcieli państwo wrócić. – Wskazał na umieszczoną od strony schowka blokadę regału, po której zdjęciu wystarczyło jedynie go pchnąć. W ten sposób z obu stron można było odsuwać mebel, robiąc przejście. – Ale proszę pozwolić za mną!

Mundurowy skierował światło w stronę małych drzwi, które znajdowały się z boku. Uchylił je, a wtedy naszym oczom ukazały się wąskie drewniane schodki na piętro oraz inne, wykute w skale, prowadzące w dół, do piwnicy.

– Co się tam znajduje? – Złapałam za poręcz i spojrzałam w górę.
– Sama pani zaraz zobaczy!

Z trudem łapałam oddech, wchodząc coraz wyżej, podpierana przez mojego męża. Widziałam w półmroku, że obserwuje mnie z niepokojem. Nie mówił jednak nic.

– Poznaje pani to miejsce? – zapytał mnie inspektor, gdy dotarliśmy na piętro.

Przez kilka sekund na zmianę zamykałam i otwierałam powieki, jakbym chciała się przekonać, że to, co widzę, jest jawą.

– Przecież to moja sypialnia! – wykrzyknęłam zszokowana.

– W zasadzie tylko jej widok zza lustra – poprawił mnie. – Ktoś mógł stać za nim, obserwując panią i słuchając tego, co działo się w środku, samemu pozostając niewidzialnym!

Poczułam na ciele lodowaty dreszcz. Przypomniałam sobie od razu wieczór, w którym pies doktora Arensa stanął przed zwierciadłem, warcząc i szczekając. Wyczuł wówczas, że nie byliśmy sami.

– W życiu czegoś podobnego nie widziałam... – Zmarszczyłam czoło.

– To lustro półprzepuszczalne, zwane też weneckim. Zrobiło sporą karierę od czasu pierwszej produkcji na początku XX wieku – wyjaśnił Tadeusz, przyglądając się znalezisku.

– Sądzi pan, że morderca mnie stąd podglądał? – zadałam inspektorowi pytanie, na które sama znałam odpowiedź. Moim ciałem ponownie wstrząsnęły dreszcze, a irracjonalny lęk przeszył mnie niczym prąd. – Jakim cudem Horst Ruhn odkrył to miejsce, skoro ja, przebywając tutaj tak długo, nie miałam o nim pojęcia?

– Moim zdaniem jest tylko jedno wytłumaczenie. Denatka Sybilla Gebler musiała zostawić otwarte wejście do sekretnej części posiadłości, wybierając się w swoją ostatnią podróż, albo z jakiegoś powodu wspomnieć mu o tym, gdy spotkali się w pociągu. Nie mamy pojęcia, jaki charakter miała znajomość, którą z nim zawarła, i jak wyglądały jej ostatnie chwile. Nie wierzę, że mógł sam natrafić na to przejście, było zbyt dobrze zamaskowane. Radziłbym jednak zaprzestać snucia domysłów, bo i tak nigdy się już nie dowiemy, jak było naprawdę – podsumował pan Haberland, przygryzając wąsa. – Zdecydowanie bardziej frapuje mnie, jakie było pierwotne przeznaczenie tego miejsca. Sądząc po konstrukcji, musiało zostać zbudowane w tym samym czasie, co reszta budynku – orzekł, oświetlając lampą stropy.

– Czy mógłby pokazać nam pan jeszcze tunel? – poprosiłam.

– Oczywiście! Wejście do niego znajduje się za kamiennymi schodkami. Jego korytarze mają układ krzyża. Jak zdążyłam się

zorientować, ten dłuższy prowadzi od biblioteki do wyjścia na zewnątrz przy plaży, a drugi, krótszy, z obu stron kończy się ślepo... Być może z jakichś powodów nie został dokończony? – dywagował, prowadząc nas do celu.

– Czy coś się w nich znajduje? – dopytywałam.

– Nic – odpowiedział, rozkładając ręce. – Tylko gołe ceglane ściany. Te ukryte podziemia pozostają dla mnie jedną wielką zagadką i nie wiem, czy komukolwiek udałoby się ją wyjaśnić. Tak czy owak, trzeba będzie zasypać ten szyb. Został wykonany bez pozwolenia. Może być niebezpieczny.

Stąpaliśmy dłuższy czas po kamiennej powierzchni, która z czasem zmieniała się w udeptane klepisko. W środku było coraz chłodniej i bardziej wilgotno. Czułam zapach pleśni bijący ze starych murów. Z drewnianego, podtrzymującego strop szkieletu skapywały krople wody, a na powierzchniach wytrącała się sól. Wreszcie na samym końcu szybu ukazała się wątła, jaśniejsza smuga.

– Muszę przesunąć płytę z kamienia – oświadczył nasz przewodnik.

– Pomogę panu – zaoferował się mój mąż, przyspieszając kroku.

– Nie trzeba – stęknął inspektor z wysiłkiem. – Udało się!

Poczułam na policzkach chłodną bryzę. Już nie padało. Zachmurzone niebo było szare i lada moment miał zapaść zmrok. Wyszłam na zewnątrz, a w oddali moim oczom ukazała się czarna tafla wody. Morze było wyjątkowo spokojne, panowała flauta.

– Teraz poznała pani całą tajemnicę tego miejsca – zwrócił się do mnie pan Haberland, przerywając ciszę.

– Chyba jedynie uchylono przede mną jej rąbek... – odparłam, popadając w zadumę. Stróż prawa nie dociekał, co miałam na myśli.

– Proszę, wracajmy! – nalegał mój małżonek. – Powinnaś ochłoniąć i odpocząć! Przecież cała się trzęsiesz!

– Jak zwykle przesadzasz – usiłowałam go zbyć.

Udaliśmy się jednak z powrotem do domu. Wszystko wyglądało w nim teraz dokładnie tak, jak przed ostatnimi tragicznymi wydarzeniami, chociaż zdawało mi się, że na dywanie widzę rdzawą, spraną plamę. Staralam się nie patrzeć w jej stronę.

Mundurowy skierował się do sieni.

– Będę się żegnał – zakomunikował. – Moi ludzie zakończyli czynności operacyjne, a ja mam jeszcze sporo pracy. Muszę spisać raport z całego zajścia. Z panem będę się kontaktował, gdy uzyskam już zgodę na wykonanie ekshumacji – rzucił na koniec, uchylając eleganckiego borsalina. Wpatrywałam się w jego szpilkowe źrenice otoczone szafranowobrazowymi tęczówkami, które zdawały się mieć w sobie coś niepokojącego i hipnotyzującego.

Zostaliśmy w końcu sami. Wewnątrz znów zapanowała cisza, mącona jedynie tykaniem zegara.

– Czy zgodzisz się, abym tutaj przenocował? – zapytał niepewnie Tadeusz. – Jeżeli moja obecność będzie cię krępować, poszukam jakiegoś hotelu na wyspie.

– Co to za pytanie! – obruszyłam się. – Oczywiście, że możesz zostać! Zajmiesz pokój gościnny na piętrze.

– Dziękuję. Pomogę ci dojść do salonu, abyś mogła odpocząć, a potem pójdę rozpakować moje rzeczy. – Posadził mnie na sofie, po czym zniknął z pola widzenia.

Przejechałam ręką po złotawej tkaninie, a mój wzrok padł na dywan przed kominkiem. Nieraz był miejscem miłosnych uniesień, jakie przeżywałam z Lotharem. Teraz jednak chciałam wymazać z pamięci te wspomnienia, chociaż powracały do mnie niczym uporczywa czkawka.

– Nienawidzę tego miejsca... – wyszeptałam sama do siebie.

Przed oczami stanęły mi jeszcze raz koszmarne sceny, jakie rozegrały się poprzedniej nocy. Przypominał mi o nich pojawiający się przy każdym ruchu ból. Ponownie poczułam, że w ustach zbiera mi się piana. Kuśtykając i podtrzymując się mebli, pobiegłam do łazienki, aby wypluć dziwną wydzielinę i obmyć twarz. Niepokój znów narastał. Bałam się, że w dalszym ciągu nie byłam bezpieczna, a nieprzenikniona ciemność roztaczająca się za oknami tylko potęgowała te uczucia. Po cichu się cieszyłam, że Tadeusz został ze mną.

Wróciłam do frontowych drzwi, by sprawdzić, czy na pewno są dobrze zamknięte. Nie mogłam opanować drżenia rąk. Usłyszałam brzdęk kluczy spadających na podłogę. Podniosłam je za brelok z trzema symbolami. Ponad rok temu otrzymałam je w kopercie od prawnika zajmującego się sprawą spadkową. Dłuższą chwilę mu się przypatrywałam.

– Miejsce pochówku... – powiedziałam na głos do siebie i nagle doznałam olśnienia. – To musi być tam! – krzyknęłam nienaturalnym głosem, aż echo rozniosło się po domu. – Jak mogłam na to nie wpaść?!

– Co się stało?! – Tadeusz natychmiast przybiegł zaniepokojony. – Miałaś przecież nie wstawać bez mojej pomocy! – zganił mnie.

– Musimy jeszcze raz wejść do tunelu – oświadczyłam, otwierając szufladę komody w poszukiwaniu latarki.

– Nie ma mowy! Przecież obiecaliśmy inspektorowi, że nie będziemy tego robić! Czy nie zdajesz sobie sprawy, jak to może być niebezpieczne? – zaprotestował. – Belki podtrzymujące sufit są na pewno zbutwiałe. Mogą nam spaść na głowę!

– Nic nie rozumiesz! – odparłam, nie kryjąc złości. – Otrzymanie tego domu w spadku miało być moim przekleństwem... Pułapką...

Okrutną zemstą... Sybilla Gebler, sporządzając swój testament, miała w tym ukryty cel. Chciała, abym najpierw popadła w obłąd, a potem umarła...

– O czym ty mówisz, Lauro?! Przecież to nie ma sensu! – Przypatrywał mi się z niepokojem, jakby się bał, że dostałam maligny i zaczynam bredzić.

– Muszę się dowiedzieć, kim tak naprawdę była i co mnie z nią łączyło! Inaczej nigdy nie zaznam spokoju! Wiem już, że z całą pewnością nie chodziło o żadne pokrewieństwo... Chcę dociec prawdy, muszę to uczynić! – wyrzuciłam z siebie twardym głosem.

– Spójrz tylko! – Podałam mu metalowy przedmiot.

Obracał go chwilę w palcach, milcząc.

– Korytarze się przecinają, co ma symbolizować krzyż. Przy wejściu do szybu jest zatopiona stara kotwica... – dedukowałam. – To wszystko jest przecież na znakach, które doczepiono do pęku kluczy. Pozostaje jeden, który musimy odnaleźć! Chodzi o kielich!

Popatrzył na mnie nieprzekonanym wzrokiem, ale nie oponował. Zanim ruszyłam do biblioteki, zabrałam z kuchni lampę naftową.

– Pośpieszmy się! – poganiałam go.

– Ostatni raz się na coś takiego zgadzam! – zarzekał się. – Dlaczego znów ci ustąpiłem? Przecież to czyste szaleństwo! – pomrukiwał niezadowolony, gdy otwierał ponownie przejście.

Pociągnęłam go za rękę. Nieoczekiwany przypływ energii sprawił, że zapomniałam o towarzyszącym mi bólu. Intuicja podpowiadała mi, że jestem bliska odkrycia czegoś ważnego.

Wreszcie znaleźliśmy się na kamiennym chodniku. Ze stropu spadały na nas lodowate krople przyprawiające o dreszcze.

– Zaczęłabym od miejsca, w którym przecinają się tunele i z którego odchodzą ślepo zakończone korytarze. Jeżeli naprawdę

coś jest tutaj ukryte, to najpewniej właśnie tam! Tak byłoby najlogiczniej...

– Tak naprawdę nie do końca wiemy, czego szukamy... – orzekł mój mąż, wyciągając z kieszeni zapałki, by zapalić knot. – Szkoda, że nie zachowała się żadna mapa...

– Daj spokój! Przecież istnienie tych podziemi było utrzymywane w wielkim sekrecie! Jestem jednak przekonana, że gdzieś tu pozostawiono jakiś znak! – Nakręciłam korbkę od latarki i rzuciłam strumień światła na cegły. Przesunęłam po ich chropowatej powierzchni palcami.

Zapuszczaliśmy się coraz dalej, ale w dalszym ciągu nie wpadliśmy na żaden ślad. Powoli kończył mi się zapał i gasła nadzieja.

– To nie ma sensu! – przerwałam ciszę, mącą jedynie odgłosami skapującej wody. – Być może mój tok rozumowania był błędny...

Nogi zaczęły odmawiać mi posłuszeństwa, więc zatrzymałam się, oparłszy o ścianę. Nagle poczułam, jak pod naporem mojego ciała mur odchyła się, a ja tracę równowagę i upadam.

– Lauro! Nic ci nie jest? – Mój towarzysz w jednej sekundzie znalazł się przy mnie.

– Chyba nie... – odparłam niepewnie, podnosząc się z ziemi. – To stara i zawodna konstrukcja... Powinnam była przewidzieć, że coś podobnego może się zdarzyć, i nie opierać się o nic. Lepiej stąd wyjdźmy, bo nie wiadomo, jak długo to wszystko jeszcze wytrzyma...

– Zaczekaj... Tam coś jest! – wykrzyknął Tadeusz nieswoim głosem. Ścisnął mocno moje ramię, a ja poczułam, jak serce zaczyna mi łomotać, pompując fale krwi do tętniących skroni. Mój mąż zaczął grzebać w kieszeniach marynarki, aż znalazł scyzoryk, którym zwykle przycinał cygara. – Pomiedzy tymi cegłami nie ma zaprawy,

więc można je łatwo wyciągnąć. – Wskazał na wgłębienie powstałe w murze. – Moim zdaniem zrobiono to celowo. Ktoś chciał za nimi coś ukryć. Poświeć mi latarką, a ja spróbuję je wysunąć!

Gdy podważył ostrzem pierwszą z cegieł, trzęsłam się cała z emocji i zimna, ale to nie było teraz ważne.

– Tam jest jakaś wydrążona wnęka, jakby krypta – stwierdziłam, zaglądając przez szczelinę.

Rozbieraliśmy mur powoli, aż ukazał nam się otwór na tyle duży, że można było się przez niego przecisnąć.

– Zostań tu, a ja sprawdzę, co jest w środku! – zwrócił się do mnie mój kompan.

– Bądź ostrożny! – przestrzegłam go.

Następne sekundy ciągnęły się w nieskończoność. Przykucnęłam i przygryzałam z nerwów wargi, czując dookoła złowrogą martwość. Zaczynałam powoli żałować, że wpadłam na pomysł, by na własną rękę eksplorować te piekielne podziemia.

– Tu są ludzkie szczątki! – usłyszałam wreszcie przejęty okrzyk.

Zacisnęłam powieki i uszczypnęłam się, sycząc z bólu. Pragnęłam się już obudzić z tego koszmaru, ale gdy ponownie otworzyłam oczy, wciąż byłam w upiornym tunelu. Tymczasem mój mąż wychylił się z krypty.

– Jak zdążyłem się zorientować, są tu przynajmniej dwa szkielety. Być może to jakieś nietypowe mogiły albo... – urwał, przełykając głośno ślinę, jakby do jego świadomości nagle dotarła straszna myśl – ...miejsce ukrycia zwłok. Sądząc po stopniu rozkładu, śmierć miała miejsce ponad dekadę temu, bo na kościach nie ma już tkanki łącznej.

– Proszę, zapomnijmy o tym! – błagałam. – Niepotrzebnie złamaliśmy dane słowo i tutaj przychodziliśmy!

– Lauro! – Tadeusz stanął przede mną i potrząsnął mnie za ramiona. – Być może natrafiliśmy przez przypadek na ważny ślad! Czy podejrzewasz, czyje to mogą być ciała? Co wiesz o historii tej posiadłości i jej wcześniejszych mieszkańcach? – ciągnął swoje przesłuchanie.

Dłuższą chwilę nie odpowiadałam, zbierając w sobie siły, by stawić czoła okrutnej prawdzie.

– Powiedz mi! – nalegał. – Musisz być ze mną szczerą!

Wreszcie wyrzuciłam z siebie:

– Mieszkający tutaj safiannik, pierwszy właściciel domu na czerwonym klifie, był tak naprawdę płatnym zabójcą... Wytwarzał buty, które powoli uwalniały truciznę. Za jego życia nikt nie zdołał odkryć tego mrocznego sekretu.

Przez oblicze Tadeusza przeszedł piorun. To, co usłyszał, całkowicie zbiło go z tropu. Zaczął nerwowo szukać chustki, by otrzeć z czoła krople potu.

– Jak zdobyłaś te informacje? – wycedził przez zaciśnięte zęby.

– Jedną z jego ofiar był mój tata... – wymamrotałam, czując, jak głos mi się łamie.

– Utrzymywałaś zawsze, że zginął w wypadku samochodowym.

– Do tej pory tak sądziłam. Jednak zupełnie przypadkowo dowiedziałam się od niejakiego Klemensa Gestnera, że ojciec tuż przed śmiercią otrzymał bardzo dziwny list. Został w nim poproszony w dramatycznych słowach o pomoc i niezwłoczny przyjazd na Sylt. Osoba, która nadała tę korespondencję, podszyła się pod kobietę, którą ojciec kiedyś kochał... Nie mam pojęcia, co się działo dalej... aż do momentu tragedii. Ale we wraku pojazdu znaleziono go w butach, na których odcisnięty był emblemat węża. Posługiwał się nim właśnie ów kurdybanik. W szewskich przyborach w piwnicy znalazłam fiołki z barwnikiem anilinowym,

którego używał, by uśmiercać ofiary. Był tam album z portretami zmarłych. Każda fotografia miała być dowodem wykonanego zlecenia... Odnalazłam w nim także... – Szloch, który targnął moim ciałem, nie pozwolił mi dokończyć.

– Nie wiem, co powiedzieć! – wykrzyknął zdruzgotany Tadeusz. – Człowieka tego nie ma już wśród żywych, więc nawet jeśli to, co mówisz, jest prawdą, i tak nic z tym nie można zrobić...

– Mam pewność, że nie działał sam. Po jego śmierci morderstwa były kontynuowane. Miał przynajmniej jednego pomocnika albo pomocniczkę...

Oblicze mojego męża zbladło. Oddychał ciężko, próbując zapanować nad emocjami.

– Sądzisz, że była nią Sybilla Gebler? – wychrypiął grobowym głosem.

– Nie mam co do tego pewności, ale wiele na to wskazuje. Ostatnie zabójstwo zostało dokonane 19 marca 1929 roku w pałacu Jannowitz. Kilka tygodni później dotarła do mnie wiadomość o otrzymaniu spadku...

– Czy chodzi o głośną śmierć hrabiego Eberharda Stolberga-Wernigerode?! – zawołał poruszony, marszcząc brwi.

– Właśnie tak...

– Zajmowałem się przecież tą sprawą! Była bardzo zawikłana. Wielu osobom zależało na tym, by prawda nigdy nie ujrzała światła dziennego... Ostatecznie karę odsiedział syn arystokraty, ale ja nigdy nie byłem przekonany o jego winie!

– Nie wiesz jeszcze wszystkiego!

Widziałam, że Tadeusz z trudem panuje nad emocjami.

– Ja miałam być następna... – wyszeptałam ledwie słyszalnie. – Moje imię i nazwisko widniało na pustej stronie albumu...

– Lauro, mówiłaś o tym komuś?! Byłaś z tym na policji?!

– Tak, ale nie uwierzono mi wtedy. Sądzono, że popadłam w obłąd. Historia ta wydała się inspektorowi Haberlandowi zbyt nieprawdopodobna, by uznał ją za wiarygodną.

– Dlaczego nie chciałaś wtajemniczyć w to mnie?

– Nie było kiedy... – odparłam lakonicznie.

– Pójdziemy jutro na posterunek i jeszcze raz mu o tym powiesz!

– Nie, nie chcę tam iść! – zaprotestowałam. – Wolę sama rozwikłać tę zagadkę... Czuję, że jestem już bardzo blisko! Musimy tylko odnaleźć trzeci symbol. Tam może kryć się wskazówka.

Mój mąż nabrał powietrza i wypuścił je powoli, zastanawiając się nad czymś głęboko.

– Dlaczego tak zamilkłeś?!

– W jadalni zauważyłem obraz... *Ostatnią wieczerzę* Leonarda da Vinci.

– Mieszkańcy Fryzji są głęboko wierzący. Widywałam go tutaj w wielu domach. Dlaczego akurat teraz o tym wspominasz? – uniosłam brwi, nie rozumiejąc, do czego zmierza.

– Zastanawiam się, czy chodziło o kielich, czy może raczej o Świętego Graala... Gdyby tak było, oznaczałoby to, że malowidło nie zostało powieszone w tym miejscu przypadkowo.

– Jesteś genialny! – zawołałam, rzucając mu się na szyję. – Bez ciebie nigdy bym na to nie wpadła!

– Przekonajmy się, czy dobrze rozumię... – odparł, kierując się w stronę wyjścia.

Starałam się za nim nadążyć, ale wrócił silny ból brzucha i mdłości. Zgięłam się w pół, próbując je opanować. Na szczęście dolegliwości szybko minęły, a mój kompan w panującym półmroku niczego nie zauważył.

Gdy znaleźliśmy się w pokoju stołowym, przyjrzałam się niepozornemu oleodrukowi przedstawiającemu Jezusa wraz

z uczniami. Mój mąż złapał za posrebrzaną ramę, po czym drżącymi rękami ściągnął obraz ze ściany.

– Jest! – zawołałam, nie kryjąc łez, gdy naszym oczom ukazał się metalowy sejf.

Zapanowała cisza zakłócana jedynie tykaniem leciwego zegara.

– Nie mam tylko pojęcia, w jaki sposób go otworzyć...

– Jak powiesz mi, gdzie znajdę skrzynkę z narzędziami, to spróbuję wyłamać zamek. Nie wygląda specjalnie solidnie – stwierdził Tadeusz, przyglądając się zabezpieczeniu.

– Powinna być w piwnicy – przypomniałam sobie. Jednocześnie poczułam silne zawroty głowy, jakbym miała zaraz stracić równowagę. Złapałam za kant stołu i w ostatniej chwili przysiadłam na krześle.

Zanim mój mąż wrócił, znów poczułam się lepiej. Wstałam, by obserwować, jak zręcznym ruchem obraca bębenek i przemieszcza zasuwkę. Do naszych uszu dobiegło zgrzytanie, po czym drzwiczki się uchyliły.

– Boję się tego, co jest w środku... – wyznałam, czując rosnące napięcie.

– Teraz nie ma już odwrotu – odpowiedział i pociągnął za uchwyt.

Zamknęłam powieki, zastygając w bezruchu. Odważyłam się otworzyć je z powrotem dopiero, gdy usłyszałam okrzyk.

– To klejnoty!

Spojrzałam nieprzytomnym wzrokiem. Na wierzchu leżało kilka medalioników z zaśnieżonego srebra. Obok nich spoczywały: obrączka ślubna, pierścion z almandynem, kamea z ametystowym oczkiem, kolczyki z agatem oraz broszka w kształcie motyla, wysadzana chryzolitem i mieniącym się kryształem górskim. Wszystko spowijał długi naszyjnik z pereł. Największym blaskiem

iskrzył położony w samym centrum, na aksamitnej poduszeczce, diadem ozdobiony bursztynami. Na moment odjęło mi mowę.

– W życiu nie widziałam tylu kosztowności! – zawołałam.

– Zapewne te rzeczy należały do ofiar... – wyraził przypuszczenie mój mąż.

Wzdrygnęłam się na samą myśl o tym, co się stało z tymi wszystkimi ludzkimi istnieniami. Rzuciłam jeszcze raz okiem na znaleziony skarb. Wpatrywałam się w niego, pragnąc ujrzeć zielonkawobłękitny blask chryzoprazu osadzonego w kolii, ale nie było go tam. Jej los pozostawał zatem wciąż tajemnicą.

Nagle dojrzałam w samym rogu kieszonkowy zegarek wykonany z litego złota. Jego wskazówki zatrzymały się na trzeciej, jakby wskazywały godzinę, w którym zawałił się czyjś świat. Sięgnęłam po niego drżącą ręką i zbliżyłam do żarówki, by móc odczytać grawer i upewnić się, że się nie mylę. Złotnik wyrył wyraźnie litery składające się na łaciński napis: *Tempus fugit, aeternitas manet* – czas ucieka, ale wieczność pozostaje. Ojciec nigdy się z tym zegarkiem nie rozstawał. Aż do dnia swojej tragicznej śmierci.

Ścisnęłam odnaleziony przedmiot w dłoni tak mocno, że z palców całkowicie odpłynęła krew. Poczułam niewyobrażalny żal, że ojca już nie ma wśród żywych. Moje ramiona zaczęły niespodziewanie podrygiwać, jakbym całkowicie straciła nad nimi kontrolę. Nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Miałam wrażenie, że się oddalam, jakbym opuściła własne ciało i lewitowała w przestworzach. Wydawało mi się, że znalazłam się w tunelu, jak wielokrotnie zdarzało mi się to w snach, tylko teraz światło gasło w nim na zawsze...

ROZDZIAŁ XXVIII

Gdy otworzyłam oczy, ujrzałam nad sobą biały, popękany sufit. Nie wiedziałam, jak długo byłam nieprzytomna. Próbowałam rozpoznać miejsce, w którym się znalazłam, ale gdy poruszyłam ręką, zorientowałam się, że jest przywiązana do metalowej barierki łóżka. Tkwił w niej kateter, z którego do postawionego na podłodze naczynia powoli skapywała moja krew. Zaczęłam się niespokojnie wiercić, próbując się oswobodzić. Nagle usłyszałam czyjeś kroki i strzępki rozmowy prowadzonej za drzwiami.

– Przyznam, że ostatni raz, gdy widziałem pana żonę, byłem bardzo zaniepokojony jej stanem. Sądziłem, że ma halucynacje. Utrzymywała przede mną, że jest śledzona przez osobę, o której wiem, że nie żyje od wielu lat. – Doktor Arens urwał i ściszył głos. – Już wówczas próbowałem zawieźć ją do szpitala, ale kategorycznie się temu sprzeciwiła. Niestety, nie miałem możliwości, by ją do tego zmusić... Wiedząc dziś, co było dalej, mam ogromne poczucie winy, że zostawiłem ją wtedy samą.

– Proszę nie robić sobie wyrzutów! Ostatecznie uratował pan przecież Laurze życie – zawołał z nieskrywaną wdzięcznością mój mąż. – Naprawdę nie wpadłbym na to, że może to być saturnizm. Zauważyłem, że się zmieniła i nie była już taka jak dawniej. Gdy ujrzałem ją po wielu miesiącach rozłąki, trudno było mi ją rozpoznać, ale zrzuciłem to na ostatnie traumatyczne przejścia, jakich doświadczyła.

– W trakcie badania neurologicznego rzuciło mi się w oczy osłabienie mięśni prostowników, a to przecież jeden z objawów patognomicznych zatrucia ołowiem. Co prawda nie miała na dziąsłach charakterystycznej dla *stomatitis mercurialis* szarej obwódki, ale przecież nie występuje ona u wszystkich chorych. Połączyłem tylko fakty. Powiedział pan, że przed przyjazdem na oddział dostała napadu drgawek jak w padaczce spowodowanej zatruciem. To wraz z omamami wzrokowymi składało się na obraz ołowiczej encefalopatii. Pewność zyskałem po obejrzeniu pod mikroskopem rozmazu krwi i wykryciu obecności nakrapiania zasadochłonnego w erytrocytach.

– Proszę mi wierzyć, że gdy pojechałem jeszcze raz do posiadłości na czerwonym klifie, by sprawdzić instalację, nie mogłem uwierzyć, że ktoś wykonał je z tego toksycznego metalu! Przecież w czasach, gdy wznoszono ten budynek, wiedziano już, jak szkodliwy wpływ na organizm ma ołów... Podejrzewam, że mogło to nie być jedyne źródło intoksykacji. Myślę, że uwalniał się także ze ścian, które pomalowano bielą cynkową, a jak wiadomo, ona także zawiera ten szkodliwy pierwiastek.

– Mieszkańcy wyspy od lat uważali to miejsce za przeklęte. Cieszyło się bardzo złą sławą, bo według powtarzanej przez miejscowych legendy żadnemu z jego mieszkańców nie udało się dożyć w tym domu starości. Za to wszyscy popadali wcześniej lub później w obłąd. Mówiono, że klątwa zaczęła się od safiannika, który omyłkowo został pogrzebany żywcem po tym, jak zapadł w letarg. Przybyłem na wyspę wiele lat po tym tragicznym zdarzeniu, nie byłem więc bezpośrednim świadkiem. Przyznam, że nie dawałem w pełni wiary tym historiom. Teraz okazuje się, że wszystko znalazło naukowe wyjaśnienie!

– Słyszał pan kiedykolwiek o Domu Głuchego? – wtrącił mój mąż.

– Szczerze mówiąc, nie – przyznał doktor Arens.

– To nazwa nieistniejącej już madryckiej rezydencji należącej do Francisca de Goi. Zburzono ją na początku XX wieku, aby wybudować stację kolejową. Sławny artysta mieszkał tam w ostatnich latach życia. To właśnie na ścianach tego budynku powstał znany cykl czternastu czarnych obrazów, które frapują krytyków sztuki do dziś. Zostały uratowane przed zniszczeniem, bo wcześniej przeniesiono je na płótno i przekazano do Muzeum Prado. Spekuluje się, że malarz mógł cierpieć z powodu zatrucia ołowiem, gdy tworzył te szkaradne malowidła.

– Nie wiedziałem o tym! Ale czytałem kiedyś, że na saturnizm zmarł podobno Ludwig van Beethoven. Podejrzewano, że to schorzenie mogło być także przyczyną jego problemów ze słuchem. Kiedyś z uwagi na powszechność zastosowania tego metalu w przemyśle, w tym do produkcji zabawek, lekarze spotykali się z ołowicą o wiele częściej. Obecnie są to niezwykle rzadkie przypadki.

– W dalszym ciągu, o czym trzeba pamiętać, jest to choroba zawodowa drukarzy oraz szlifierzy kamieni szlachetnych, jeżeli używają oni w swojej pracy ołowianych płyt zamiast karborundowych.

– Ma pan oczywiście rację! – zgodził się doktor Arens, po czym zmienił temat: – Jak długo zamierza pan pozostać na Sylcie? – Słyszając to pytanie, poruszyłam się niespokojnie na łóżku.

– Cóż, oprócz kwestii zawodowych trzymają mnie tutaj, rzecz jasna, sprawy osobiste. Nie wyobrażam sobie, abym pozwolił, by moja żona pozostała tutaj sama po tym, co ją spotkało. Liczę, że wyjdzie z tego i w pełni wyzdrowieje.

– Upusty krwi pomogą oczyścić organizm z toksyny, ale trzeba będzie je regularnie powtarzać. Nie wiadomo też, czy niektóre uszkodzenia neurologiczne nie okażą się trwałe. Miejmy jednak nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

– Oczywiście zdaję sobie sprawę, że okres rekonwalescencji może być bardzo długi, ale jestem na to przygotowany. Już nadałem telegram o przedłużeniu pobytu – oświadczył Tadeusz, nabierając głęboko powietrza.

– Ważne, że będzie pan w tym czasie przy niej... – wyrzekł Lothar tonem, w którym pobrzmiwała nuta melancholii. – Widać, jak jest dla pana ważna, skoro rzucił pan dla niej wszystko... Trzeba mieć na świecie kogoś, dla kogo jesteśmy centrum wszechświata.

– To prawda, istnienie takiej osoby w życiu nadaje naszej egzystencji prawdziwy sens. Inaczej byłaby ona jedynie wegetacją.

Doktor Arens westchnął ze smutkiem.

– Czasem dopiero gdy ją stracimy, dowiadujemy się, że była dla nas wszystkim...

Z pewnością rozmyślał o Aurorze – jej pełnych ustach zastygłych w uśmiechu i błyszczących oczach w kształcie migdałów, którymi spoglądała na niego w dniu ślubu, gdy wykonano jej portret. Nagle odkryłam, że nie ma już we mnie bólu ani zazdrości. Nie czułam nic poza chłodną obojętnością. Zastanawiałam się nawet, czy kiedykolwiek darzyłam Lothara prawdziwą miłością. Nigdy mu tego nie wyznałam ani on nie powiedział, że mnie kocha. Był jedynie odzwierciedleniem mojego pragnienia szczęścia i poczucia bezpieczeństwa, ucieczką od raka samotności, który przeżerał moją duszę. Miał się stać spełnieniem marzeń o nowym, lepszym życiu. Pojawił się, gdy najbardziej tego potrzebowałam, i wypełnił powstałą pustkę.

– Chciałbym wrócić razem z żoną do Breslau. Tam wszystko się zaczęło. Zamierzam walczyć o nią i o nasze szczęście. – Tadeusz przerwał niezręczną ciszę. Nie miał pojęcia, że odsłania się ze swoimi zamiarami przed człowiekiem, który był moim kochankiem.

– Dom jest tam, gdzie są ci, których kochamy. Mój zawsze był we Fryzji. Tu się urodziłem. Nie miałem okazji odwiedzić rejonów, o których pan wspomina, ale słyszałem, że są malownicze – odparł kurtuazyjnie doktor.

Po tym, co usłyszałam, byłam pewna, że nie będzie próbował mnie przy sobie zatrzymać. Być może ogień namiętności, jaką mnie obdarzył, powoli dogasł lub najzwyczajniej w świecie Lothar uznał, że nie chce wchodzić w drogę prawowitemu małżonkowi, który za wszelką cenę pragnął uratować swoje małżeństwo.

Do pokoju weszła pielęgniarka, niosąc w ręku strzykawkę do infuzji.

– Panie Arens, obudziła się! – zawołała, gdy zobaczyła, że mam otwarte oczy.

– Proszę podać jeszcze jeden zastrzyk z luminalu i *Natrium bromovalerianicum* na wypadek, gdyby drgawki miały nawrócić – wydał polecenie doktor i przekroczył próg sali. – Czy jest pani lepiej? – zapytał uprzejmie, ale nie wyczułam w tym troski ani tkliwości. Jakby to wszystko, co się między nami wydarzyło, było jedynie iluzją.

Przez moment nasze spojrzenia się spotkały, ale jego źrenice zdradziły, że jest nieobecny duchem.

– O wiele lepiej, dziękuję – wyszeptalam, odwracając głowę i wyglądając przez okno. Rozpościerał się z niego widok na ceglany mur sąsiedniego budynku.

– Lauro! Tak bardzo się o ciebie martwiłem! – Tadeusz chwycił moją dłoń. Zacisnęłam ją na jego ręce, starając się uśmiechnąć. Moje oczy zrobiły się wilgotne. – Rozmawiałem z twoim lekarzem. Mówi, że jak wszystko dobrze pójdzie, niebawem cię stąd wypuszczą.

– Kiedy ja nie mam dokąd pójść. Nie wrócę już do tamtego domu... Spotkało mnie tam zbyt wiele zła.

– Pomyślałem o tym i zarezerwowałem dla nas apartament w hotelu Rungholt. Zostaniemy tam tak długo, jak będzie trzeba.

– Marzę tylko o tym, by uciec. Wyjechać stąd... – wymamrotałam błagalnie prośbę o ratunek.

Mój mąż zauważył, że mam spierzchnięte usta. Sięgnął więc po szklankę wody, aby dać mi się napić.

– Jak tylko zamkniemy wszystkie sprawy, zabiorę cię stąd – obiecał. – Był tutaj dzisiaj inspektor Haberland. Mamy już na szczęście zgodę na ekshumację. Musimy tylko poczekać, aż przybędzie prokurator. Ma się pojawić na Sylcie w ciągu tygodnia.

– Chciałabym w tym uczestniczyć – wychrypiałam.

– Wykluczone! – zaprotestował. – Powinnaś najpierw dojść do siebie. Jesteś za bardzo osłabiona!

– Kiedy ja muszę tam być! To jedyna szansa, abym odkryła całą prawdę! Jeśli się nie zgodzisz, to wystąpię o oficjalne pozwolenie. Mam do tego prawo. W końcu była to moja rzekoma ciotka, której spadek omal mnie nie zabił.

Tadeusz ustąpił, jak zawsze w takich momentach, gdy stawiałam sprawę na ostrzu noża. Widziałam jednak, że nie był zadowolony, iż po raz kolejny postawiłam na swoim.

– Musimy być na cmentarzu w Keitum jeszcze przed świtem. Taka jest procedura – oświadczył zrezygnowany. – Pora roku jest idealna,

bo nie jest gorąco ani ziemia nie jest zmarznięta. Jeżeli nie zmienisz zdania, to zawiozę cię na miejsce...

Trochę jeszcze się boczył. Wzięłam jego dłoń i przyciągnęłam do mojego policzka, by poczuć jego bliskość. Nie miałam siły, by dalej mówić. Opadłam na poduszkę i nawet nie wiem, kiedy znów odpłynęłam w sen.

* * *

Każdy kolejny dzień przynosił poprawę mojego stanu. Leżenie w łóżku na oddziale było dla mnie prawdziwą torturą. Jak każdy lekarz, który nagle znalazł się po drugiej stronie, nie potrafiłam odnaleźć się w roli pacjenta.

Gdy zaczęłam wstawać, pozwolono mi chodzić na spaceru na pobliską plażę. Chociaż listopadowe morze bywa najczęściej kapryśne i wietrzne, to zdarzały się też słoneczne dni, gdy na niebie majaczyły tylko lekkie białe obłoczki.

Na spacerach zawsze towarzyszył mi mój mąż, który nie odstępował mnie teraz na krok. Był to nasz czas, którego tak potrzebowaliśmy, a którego nam tak często brakowało.

Ustaliliśmy, że na razie nie będziemy wtajemniczać Adalii i Hanny w to, co się stało, by dodatkowo ich nie martwić. Dla nich przyjazd ojca na Sylt miał mieć inne znaczenie.

Nadszedł wreszcie dzień, gdy mogłam opuścić szpitalne mury. Hotelowy apartament, w którym zamieszkałam, miał widok na latarnię morską i wzgórze porośnięte krzakami dzikich róż. Zwisały na nich pomarszczone od przymrozków pomarańczowe owoce, zjadane przez drozdy i jemiołuszki.

W pomieszczeniu znajdowała się biała, rzeźbiona szafa w stylu ludwikowskim z witrażem przedstawiającym lecące gołębie, a także sporej wielkości łóżko, okrągły stół na wygiętych nóżkach i fotel

z zagłówkiem. Obsługa przynosiła mi śniadanie do pokoju, ale na obiad szłam do restauracji. Zazwyczaj towarzyszył mi Tadeusz, ale akurat tego popołudnia byłam sama.

– Dzień dobry, pani Kader! – usłyszałam słowa powitania. Uniosłam głowę i ujrzałam Klemensa Gestnera, który uchylał gentelmańsko fedory. Zauważyłam, że trzymał pod pachą zwinięty egzemplarz pisma „Der Stürmer” z hasłem „Żydzi są naszym nieszczęściem” nakreślonym frakturą na pierwszej stronie.

– Nie wiedziałam, że jest pan na Sylcie – zdziwiłam się.

– Tak się akurat złożyło. Przywiozłem moją siostrę, Lottę. Biedaczka od dzieciństwa chorowała na napady epilepsji. Po zabiegu chirurgicznym, który był dla niej jedynym lekarstwem, stała się prawie rośliną. Chociaż tak mogę jej ulżyć.

Wpatrywałam się w niego, próbując ukryć zaskoczenie. Byłam pewna, że kobieta, o której mówi, z całą pewnością nie mogła być jego siostrą, bo miał on jedynie braci. Pominęłam jednak ten fakt milczeniem.

– Byłabym rada, gdyby mi ją pan przedstawił – poprosiłam.

– Chyba nie będzie to możliwe. Tak jak wspomniałem, nie jest z nią dobrze i praktycznie nie opuszcza swojego pokoju. Opiekujemy się nią wraz z moją żoną. Nie lubi, gdy ktoś obcy zjawia się w jej otoczeniu. Proszę zrozumieć! Jej bardzo krucha i delikatna, niczym orchidea...

– Oczywiście. W takim razie nie będę nalegać.

– Słyszałem, że podobno nosi się pani z zamiarem sprzedaży domu na czerwonym klifie. Tak mówią miejscowe plotki. Zastanawiała się już pani nad ceną?

Poczułam, że kęś, który przed chwilą przełknęłam, staje mi w przełyku.

– Jeszcze nie podjęłam ostatecznej decyzji. Budynek wymaga poważnego remontu, a przede wszystkim wymiany niebezpiecznej instalacji. Zamieszkanie w nim w chwili obecnej jest niemożliwe.

– Słyszałem coś niecoś o tym. Pomyślałem jednakże, że gdyby kwota nie była zawrotna, wtedy nabyłbym tę nieruchomość dla mojej siostry. Miałaby tutaj swoje miejsce. Wszakże klimat wyspy jest idealny dla zdrowia!

– Dam panu znać, jeżeli ostatecznie wystawię posiadłość na sprzedaż... – zbyłam go, chcąc jak najszybciej uwolnić się od nieproszonego towarzystwa. Czułam intuicyjnie, że moim rozmówcą nie kierują szczerą intencją.

– Zostawię na wszelki wypadek wizytówkę. – Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej bilecik.

Obracałam go dłuższy czas w palcach, gdy już się pożegnał, i zastanawiałam się, jaki był ukryty cel jego działań.

* * *

W końcu nadszedł ponury poranek, gdy jeszcze przed wschodem słońca trzeba było udać się na cmentarz, gdzie miała się odbyć ekshumacja. Była to bardzo stara nekropolia, służąca za miejsce pochówku jeszcze w czasach przedchrześcijańskich, jak donosiły historyczne źródła.

Pan Krauter wraz z pomocnikami kopał w półmroku. W oddali na słupie siedział gawron, obserwując wszystko niczym strażnik zmarłych dusz. Wreszcie łopata zgrzytnęła, natrafiwszy na drewniane wieko. Wiał porywisty wiatr, a dookoła panował przeszywający chłód, jakby szpony wszechobecnej śmierci próbowały nas opleść. Zaplombowaną trumnę ze szczątkami Sybilli Gebler przeniesiono do kostnicy, gdzie miano ją otworzyć.

Wstrzymałam na chwilę oddech, bojąc się tego, co miało zaraz nastąpić. Nie było już jednak odwrotu.

Zgrzytnęły metalowe okucia, a moim oczom ukazały się zwłoki kobiety. Miała zapadnięte gałki oczne, a małżowiny uszne zeschnięte. Czerwień wargowa była wysuszona, w kolorze brudnoszarym. W otworach nosowych i w jamie ustnej widoczne były liczne, wydostające się na zewnątrz muszki. Wpatrywałam się w jej oblicze, zastanawiając się, czy już je gdzieś widziałam. Niestety, rysy twarzy zostały zniekształcone przez upływ czasu i procesy rozkładu.

Rozebrano zmarłą z czarnej koronkowej sukienki. Plamy opadowe na tułowi były już niewidoczne z powodu jednolitego, zielonkawowiśniowego, trupiego zabarwienia. Pod ubraniem skóra była pergaminowa, szarawożółta. W pozostałych miejscach pokrywała ją biaława warstwa pleśni. Widziałam linię poprzednich cięć sekcyjnych, które prowadziły od szyi poprzez klatkę piersiową i zapadnięty brzuch, a kończyły się w okolicach pępka.

– Jako przyczynę śmierci poprzednio wskazano uraz wielonarządowy spowodowany przez uderzenie pociągu. Ciało leżało przy brzegu, w płytcźnie Morza Wattowego, zaraz przy nasypie kolejowym. – Prokurator przeczytał na głos fragment akt. – Najprawdopodobniej znajdowało się tam zaledwie kilka godzin. Wówczas uznano to za nieszczęśliwy wypadek i nie potwierdzono udziału osób trzecich.

– W obliczu tego, co teraz wiemy, jest jasne, że tamto badanie pośmiertne musiało zawierać błędy, przez co przeoczono istotne ślady. – Tadeusz w skupieniu dokonywał oględzin.

– Nie przeprowadzał go w końcu medyk sądowy, ale miejscowy lekarz – wtrącił jeden ze śledczych.

– Na potylicy pod włosami są wyraźne ślady uderzeń tępym przedmiotem. Tkanka jest w tym miejscu zmiażdżona – oznajmił mój mąż zgromadzonym.

– Czy uszkodzenie to nie mogło powstać w inny sposób? Na przykład przy upadku? – zapytał biegły.

– Podobne ślady są również na skroniach, a to mało prawdopodobne, by upadając, denatka uderzyła się w tylu miejscach. Wydaje mi się ponadto, że krtań jest zmiażdżona pod wpływem zagardlenia. Gdyby chodziło o koła lokomotywy, wówczas doszłoby do dekapitacji. Podejrzewam, że była to próba zadławienia ludzką ręką. By wydać ostateczny werdykt, muszę jednak przeprowadzić dokładniejszą sekcję – oświadczył.

Zapanowała cisza, przerywana jedynie odgłosem odkładanych na stolik narzędzi.

– Czy weźmie pan pod uwagę ewentualne seksualne tło napaści? – padło pytanie prokuratora.

– Oczywiście, że to zrobię, chociaż wcześniejsze zbrodnie dokonane przez oskarżonego nie miały takiego podłoża. Jest to najmniej prawdopodobna teoria.

Tadeusz rozerwał nożem nić z katgutem jodowego, założoną na rozcięte poprzednim razem powłoki. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, jak przeraźliwy odór wypełniał pomieszczenie. Poczułam, że muszę je na chwilę opuścić. Starając się pozostać niezauważona, wyszłam tylnymi drzwiami i przysiadłam na ławce obok kaplicy. Okna sali były uchylone, tym samym dobiegały do mnie fragmenty prowadzonej w jej wnętrzu wymiany zdań.

– Osobiście uważam, że bezpośrednią przyczyną zgonu był krwotok wewnątrzczaszkowy powstały na skutek urazu zadanego z dużą siłą tępym narzędziem, w połączeniu z uszkodzeniem narządów wewnętrznych. Najprawdopodobniej miało to miejsce

w trakcie wypadania z szybko jadącego obiektu. Wezmę jeszcze naturalnie do badania fragment tkanki płucnej, by stwierdzić, czy w momencie, gdy nieboszczka znalazła się w wodzie, jeszcze żyła.

Słyszając, że autopsja dobiega końca, wstałam i zaczęłam przechadzać się po pobliskiej ścieżce. Znowu mżyło, a opady przybierały na sile. Krople coraz intensywniej dudniły w mój parasol. Wolałam jednak stać tutaj i moknąć, niż wrócić do tego makabrycznego miejsca. Wtedy w strugach wody ujrzałam Tadeusza. Rozmawiał z funkcjonariuszami, paląc papierosa, co zwykle robił w takich sytuacjach dla rozładowania negatywnych emocji. Gdy wreszcie podszedł do mnie, jego fizjonomia zdradzała, że coś musiało się stać. Przez chwilę zaciskał szczęki, nic nie mówiąc. Znałam go dobrze i wiedziałam, że zachowywał się tak zazwyczaj, gdy miał do przekazania ważną wiadomość, ale bał się mojej reakcji.

– Czy coś się stało?

Pozostawił moje pytanie bez odpowiedzi.

– Chodźmy najpierw do samochodu, opowiem ci po drodze – odparł, wyciągając następną bibułkę, by zawinąć w nią tytoń.

Wsiedliśmy do auta, słuchając, jak deszcz bębni o karoserię. Mój mąż zapalił silnik i ruszył, ale w dalszym ciągu się nie odzywał. Gdy skręcił na główną drogę, nie mogłam już dłużej tego znieść:

– Nie trzymaj mnie dłużej w niepewności, bo oszaleję!

Wcisnął mocno pedał hamulca, aż zapiszczały opony, a pojazd wpadł w poślizg. Przeraziłam się, ale na szczęście dookoła było pusto. Mój mąż popatrzył na mnie dziwnym, nieobecnym wzrokiem.

– Zastanawiałem się, dlaczego ten ktoś upatrzył sobie właśnie ciebie jako swoją ofiarę... W jaki sposób mogły spleść się wasze losy

w przeszłości? – zaczął ledwie słyszalnie. – Czego ten człowiek chciał i za co pragnął się na tobie zemścić?

– O kim ty mówisz?! – krzyknęłam, czując, jak w środku zaczynam się trząść z nadmiaru napięcia.

– O osobie, która zostawiła ci to przeklęte dziedzictwo! – wybuchnął.

– Wspominałam ci nieraz, że nie mam pojęcia, co mogło mnie łączyć z tą denatką, Sybillą Gebler. Cały czas, niemalże od dnia, gdy tutaj przybyłam, próbuję tego dociec!

– W tym rzecz, że ona nie była kobietą! – przerwał mi niespodziewanie.

Słowa jego poraziły mnie niczym piorun, odbierając mi na chwilę mowę. Zapadła martwa cisza. Drżącą dłonią dotknęłam swojego rozpalonego czoła, jakbym chciała sprawdzić swój stan zdrowia. Znów popatrzyłam na Tadeusza, oczekując, że poda mi więcej szczegółów.

– Jego fenotyp, to znaczy wygląd zewnętrzny, w tym drugo- i trzeciorzędowe cechy płciowe, sprawił, że ludzie mieli przekonanie, iż był niewiastą. Po przeprowadzonej sekcji mogę jednak wyraźnie stwierdzić, że urodził się jako mężczyzna i zapewne w swojej psychice cały czas nim pozostał...

– Co się w takim razie stało? – zapytałam.

– Był pseudohermafrodytą...

Wiedziałam, że u osobników cierpiących na obojnactwo rzekome, gonady są inne, niż należałoby oczekiwać na podstawie posiadanych zewnętrznych organów rozrodczych. Badaniem tego rzadkiego zaburzenia zajął się między innymi królewski ginekolog James Young Simpson. Dotychczas w literaturze opisano kilkanaście takich przypadków.

– Gdy przyszedł na świat, musiano mylnie osądzić, że jest noworodkiem płci żeńskiej. Przepuszczalnie straszna prawda wyszła na jaw dopiero, jak to najczęściej bywa przy takich diagnozach, w okresie adolescencji...

Byłam oszołomiona tym, czego się przed chwilą dowiedziałam. Szumiało mi w uszach i nie mogłam opanować drżenia nóg, ale przede wszystkim odczuwałam lęk. Spodziewałam się, że autopsja przyniesie w końcu odpowiedź na pytanie, co było przyczyną zgonu Sybilli Gebler, i w tym względzie się nie pomyliłam. Pozostawało pytanie, czy to, że w jej wnętrzu mieszkał mężczyzna, mogło wyjaśnić, dlaczego miała na moim punkcie obsesję i pragnęła się tak okrutnie zemścić. Odpowiedź zdawała się aż nadto oczywista.

Kładąc się spać, odszukałam fotografię dziwnego młodzieńca, którą znalazłam wiele miesięcy wcześniej pomiędzy kartkami upiornego dziennika. Przysunęłam ją do światła, jeszcze raz analizując szczegóły.

– Więc to ty... To ty musiałeś być Sybillą Gebler... – wyszeptałam do zdjęcia. – Tylko dlaczego mi to zrobiłeś? Dlaczego tak mnie nienawidziłeś?

ROZDZIAŁ XXIX

Szłam wzdłuż Odry, znad której unosiły się opary mgły. Słońce chyliło się ku zachodowi, odbijając się ognistą łuną nad taflą wody. Na drugim brzegu widoczne były okazałe budynki z czerwonej cegły, które powstały w latach siedemdziesiątych XIX wieku jako część kontrybucji, jakie Francuzi musieli zapłacić Prusom po przegranej wojnie. Mieścił się w nich wydział medyczny uniwersytetu, w którym przed laty studiowałam. Było mroźne grudniowe popołudnie. Z boku chodnika leżał odgarnięty śnieg, a na czubkach butów wytrącał się solny osad. Słychać było krakanie gawronów i wron, które miały zwyczaj pod wieczór siadywać chmarami na okolicznych, teraz bezlistnych zimowych drzewach. Z moich ust na mrozie wydobywała się para.

Znów byłam w moim mieście, po wielu miesiącach nieobecności... Zostawiłam tamtą przeklętą wyspę, która do końca mojego pobytu nie odsłoniła przede mną wszystkich swoich tajemnic, pozostawiając mnie z mnóstwem pytań.

Z każdym tygodniem nabierałam sił. Niebawem miałam rozpocząć pracę na oddziale położniczym, nie chcąc czekać do nowego roku, jak radził mi mój mąż. Tymczasem zamieszkałam w naszym starym domu. Zająłam jedno piętro, tak że nie musieliśmy sobie z Tadeuszem wchodzić w drogę.

Wracałam właśnie po konsultacji u znanego profesora neurologii i neurochirurgii Otrfida Foerstera, który zasłynął między innymi z tego, że był osobistym lekarzem Włodzimierza Lenina w jego ostatnich miesiącach życia. Foerster, będąc jeszcze studentem, uczęszczał na wykłady Carla Wernickego, ówczesnego kierownika

psychiatrii, który zapisał się w historii medycyny jako odkrywca części mózgu odpowiedzialnej za mowę. To właśnie on zachęcił młodego adepta sztuki medycznej, by zainteresował się układem nerwowym i zgłębiał jego sekrety. Jeszcze przed Wielką Wojną Foerster rozpoczął zabiegi na rdzeniu kręgowym i przeprowadził wiele pionierskich operacji. Zajmował się też uśmierzaniem bólu i leczył padaczkę pourazową. Odwiedzali go licznie weterani z dawnego frontu oraz chorzy z całego świata, dla których wydawał się ostatnią deską ratunku. Wieść o wybitnym lekarzu dotarła także do sowieckiej Rosji, gdzie Józef Stalin usilnie poszukiwał kogoś, kto mógłby uratować ciężko chorego przywódcę rewolucji październikowej.

Doktor nie zastanawiał się długo, bo honorarium za opiekę nad specjalnym pacjentem było astronomiczne. Podczas pobytu w Moskwie starał się bezskutecznie przywrócić zdrowie dawnemu wodzowi, uwielbianemu przez naród. Niestety, po kilku wylewach ten był już sparaliżowany i rokowania należało stawiać ostrożnie. Postanowiono odsunąć Lenina od polityki, sądząc, że jako aktywny działacz pogarsza tylko swój stan. To nie mogło mu się spodobać. Lenin nie był zadowolony z wyniku konsultacji i rozgorączony pisał w swoich listach: „Mam nadzieję, że wyrzucicie tego idiotę, niemieckiego profesora, i spółkę”. Straszny moment nadszedł 24 stycznia 1924 roku – trzeba było podpisać akt zgonu, a następnie sporządzić protokół z autopsji. Wybitny medyk miał też czuwać przy trumnie zmarłego w straży honorowej. Przez jakiś czas krążyły plotki, że zabrał ze sobą mózg najważniejszego z bolszewików, by go potajemnie zbadać, ale były one niepotwierdzone.

Mój mąż uparł się, abym przed powrotem do pracy koniecznie skorzystała z konsultacji tego fenomenalnego lekarza.

– Czy jest widoczna poprawa, panie profesorze? – zapytałam go, gdy odkładał młoteczek neurologiczny. Z natury był małomówny, tym samym ciężko było się od niego czegoś dowiedzieć.

– Wydaje się, że ołowica i spowodowana nią encefalopatia wycofują się. Wyniki badań krwi też się poprawiają. Nie stwierdza się już nakrapiań zasadochłonnych w erytrocytach – oznajmił. – Może pani wrócić do normalnego życia.

– Nie ukrywam, że się tego boję. Po halucynacjach, których doświadczyłam, nie dowierzam samej sobie. Nie wiem już, co jest prawdą, a co dzieje się tylko w moim umyśle... – wyznałam, spuszczając wzrok i zaciskając nerwowo usta.

– Rozumiem pani obawy, ale nie może się pani poddawać.

– Jestem przybita tym wszystkim, co się stało... – wyszeptałam.

– Proszę spróbować cieszyć się chwilą. Nigdy nie wiemy, ile nam ich zostało. Smutek jest niestety wpisany w naszą egzystencję, wiemy, że jesteśmy śmiertelni i kiedyś przeminiemy. Wszystko, co nas otacza, jest bardzo kruche.

– To prawda...

– Przecież ma pani jeszcze na tym świecie wiele do zrobienia. I przede wszystkim ma dla kogo żyć – rzekł na odchodne, uśmiechając się, gdy już się zegnaliśmy.

Tego dnia rankiem odbyłam kolejną rozmowę z Tadeuszem. W dalszym ciągu nie wiedziałam, jaka będzie przyszłość naszego małżeństwa.

– Rozumiem, że potrzebujesz jeszcze czasu – powiedział.

Ale w jego głosie wybrzmiewała wyraźna nuta rozczarowania i zawodu. Najprawdopodobniej sądził, że moja decyzja o wyjeździe z Syltu to jednocześnie deklaracja chęci powrotu do niego. Najgorsze było to, że w dalszym ciągu nie wiedziałam, czego tak naprawdę sama chcę. Pragnęłam być szczęśliwa, ale jednocześnie

nie miałam pojęcia, którą drogą powinnam podążać, by to osiągnąć. Czułam się chwilami kompletnie zagubiona.

Gdy wracałam z wizyty, postanowiłam raz jeszcze odwiedzić budynki uczelni, w której przed laty studiowałam. Sądziłam, że w moim stanie psychicznym dobrze zrobi mi taki sentymentalny spacer.

– Lauro! – wyrwana z zamyślenia, usłyszałam swoje imię i zobaczyłam, że ktoś macha mi z naprzeciwka, biegnąc w moją stronę. Zbliżała się do mnie Róża. Po chwili padłyśmy sobie w objęcia.

– Co za spotkanie! Nie spodziewałam się, że cię tutaj zobaczę!

– Jestem tylko przejazdem. Wybieram się znów do Bad Warmbrunn, gdzie podjęłam już pracę. Pomyślałam, że przy okazji wstąpię tutaj i zabiorę resztę rzeczy. Zaufana pokojówka powiedziała, że Fryderyk nie zmienił swoich zwyczajów i jak w każdy czwartek wychodzi, by grać w brydża w męskim klubie. Znając go, wróci pewnie dopiero przed północą, po kilku mocnych drinkach. Zawsze miał słabość do alkoholu i hazardu. Chciałabym uniknąć spotkania z nim twarzą w twarz. Boję się, że znów próbowałby mnie zatrzymać. Sama rozumiesz...

– Odprowadzę cię – zaoferowałam. – Będziemy miały chwilę, by spokojnie porozmawiać.

Willa von Schillerów mieściła się niedaleko, więc Róża chętnie przystała na moją propozycję. Skierowałyśmy się w stronę ceglanoego mostu w pobliżu ogrodu zoologicznego.

– Wyglądasz o wiele lepiej niż ostatnim razem, gdy się widziałyśmy – stwierdziła, bacznie mi się przyglądając. – Nabrałaś rumieńców, a twoje oczy znów błyszczą chęcią do życia. Opuszczenie domu na czerwonym klifie to była najmądrzejsza

decyzja, jaką mogłaś podjąć. Wiem, że tutaj nie jest ci łatwo, ale wszystko powoli się ułoży.

– Obyś miała rację, bo czasem ja sama w to nie wierzę... – westchnęłam ciężko.

– Masz przy swoim boku wspaniałego człowieka – wyrzekła Róża po chwili ciszy. Wiedziałam, że ma na myśli mojego męża. – Udowodnił nieraz, ile jest w stanie dla ciebie poświęcić. Nie popełnij błędu i nie odtrącaj go! – pouczyła mnie. – Kiedyś możesz tego żałować – dodała, odwracając głowę, jakby nie chciała, abym odgadła z jej twarzy zbyt wiele.

Chociaż nigdy tego otwarcie nie przyznała, miałam wrażenie, że Tadeusz był jej w pewien sposób bliski. Zastanawiałam się, czy w przeszłości mogło zaiskrzyć między nimi jakieś uczucie, którego płomień wówczas się nie rozpałił. Róża zawsze wypowiadała się o moim mężu bardzo pochlebnie, podkreślając jego zalety. Miałam za to nieodparte wrażenie, że on z jakichś powodów unikał rozmów o mojej przyjaciółce, jakby o coś chował do niej urazę.

Na wspomnienie problemów trapiących nasze małżeństwo poczułam znów ból, jakby sztylet powoli rozdzierał moją duszę od środka. Róża wypowiadała na głos moje lęki, które starałam się zepchnąć do podświadomości.

– Masz oczywiście rację – odparłam lakonicznie, próbując zakończyć drażliwą kwestię. – To wszystko jest jednak bardziej skomplikowane, niż mogłoby się wydawać.

– Życie postawiło cię przed wyborem. I niestety nie da ci kolejnej szansy, jeżeli podejmiesz złą decyzję... – przestrzegła. – Pamiętaj, że twój czas nie jest nieskończony. Jeśli każesz Tadeuszowi zbyt długo czekać, możesz go tym do siebie bezpowrotnie zrazić!

Musiła zauważyć, że jej słowa ranią moje serce, bo nagle zamilkła. Skręciłyśmy w jedną z parkowych alei. O tej porze

oświetlały ją już latarnie gazowe. Pamiętam, jak przed laty w tym miejscu znaleziono zwłoki kobiety, co zapoczątkowało późniejszą serię morderstw w naszym mieście. W dalszym ciągu, ile razy tędy przechodziłam, czułam na plecach ciarki. Była to jednak najkrótsza droga do rezydencji von Schillerów.

Chciałam wypytać przyjaciółkę o wiele spraw, ale nie miałam odwagi. Czekałam, aż sama zapragnie się przede mną otworzyć.

– Zamierzam zabrać moją wiekową babkę do Krummhübel! Zwierzyła mi się, że zanim umrze, chciałaby po raz ostatni zobaczyć to miejsce. Martwię się jedynie tym, jak zniesie tak długą podróż i czy to na pewno dobry pomysł.

– Skoro się przy tym upiera... Może dzięki temu odzyska pamięć i przypomni sobie, kim była?

– Na to właśnie liczę. Chociaż nie można spodziewać się w tym względzie cudów.

Przystanęłyśmy, bo właśnie zbliżyłyśmy się do bramy domostwa.

– Musimy zejść od tyłu – oświadczyła półszepem moja przyjaciółka, czujnie się rozglądając w obawie, czy ktoś nas nie śledził.

– Może wejść razem z tobą? Byłoby ci na pewno różniej – zaproponowałam.

– Dziękuję, ale nie wiem, czy to na pewno dobry pomysł. Muszę dostać się do środka bocznym wejściem, które ma być dla mnie otwarte. Nie chciałabym, by ktoś nas zobaczył – odpowiedziała. – Służąca, która mi pomaga, mogłaby przez to stracić posadę...

– Poczekam na ciebie w takim razie tutaj i zaniesiemy razem bagaże do dorożki, abyś mogła pojechać bezpiecznie na dworzec.

– Jesteś kochana – odrzekła, całując mnie w przelocie w policzek. Zniknęła za furtką, zostawiwszy ją uchyloną.

Nie wracała przez dłuższy czas. Żeby nie zmarznąć, zaczęłam przechadzać się wzdłuż ogrodzenia, rozcierając sztywne od zimna dłonie. Zapadł już wczesny zimowy wieczór i gdyby nie mieniący się na poboczach śnieg, panowałaby kompletna ciemność. Popatrzyłam w stronę okna w buduarze Róży. Paliło się w nim światło, co świadczyło, że musiała ciągle być w środku. Dookoła panowała martwota, przerywana tylko dobiegającym z oddali szczekaniem psów, odgłosami jadących po szynach tramwajów i pokrzykiwaniami rozmaitych straganiarzy na ciągnące wozy konie. Metropolia powoli zamierała, by za kilka godzin znów zacząć tętnić życiem.

Wtem usłyszałam skrzywienie otwieranej bramy. Na półokrągłym podjeździe obok fontanny parkował jakiś pojazd. Szofer w białych rękawiczkach wyskoczył pośpiesznie, by otworzyć drzwi pasażerowi.

– Już panu wręczyłem zapłatę! – oświadczył nonszalancko mężczyzna w przekrzywionym szapoklaku na głowie, ubrany w pognieciony płaszcz. Zastukał donośnie laseczką spacerową w drzwi. – Otworzyć natychmiast! Pan domu wrócił!

Rozpoznałam z przerażeniem, że to Fryderyk. Sądząc po chwiejnym kroku i bełkotliwej mowie, musiał być nietrzeźwy. Zaczął się niecierpliwić, jako że jego polecenie nie zostało niezwłocznie spełnione. Nikt nie spodziewał się go zapewne o tak wczesnej porze. Splunął z wściekłością, po czym kopnął we framugę.

– Ile każecie mi jeszcze czekać?! Wyrzucę was wszystkich na bruk! Nie płacę wam za to, żeby tu stać na zimnie! – wyrzucał z siebie ze złością.

Przemknęła mi przez głowę straszna myśl, że ktoś powiadomił go o wizycie żony, więc Fryderyk postanowił zakończyć grę w karty,

by zdążyć się z nią zobaczyć. Musiałam jak najszybciej ostrzec moją przyjaciółkę. Udałam się w tym celu do pozostawionego przez Różę uchylonego wejścia od ogrodu. Rozejrzałam się, sprawdzając, czy nikt mnie nie widzi, po czym pobiegłam krętą ścieżką do domu. W tym miejscu znajdowały się schody dla służby. Byłam tutaj tylko kilka razy przed wieloma laty, musiałam się więc kilka sekund zastanowić, którędy najszybciej dotrę na piętro. Czasu było niewiele. Wydawało mi się, że kamerdyner był już w hallu i odbierał od pana domu wierzchnie nakrycie. Dobiegły mnie strzępki awantury, jaką urządził mu jego chlebodawca.

– Różo! – szepnęłam przenikliwie. – Odezwij się!

– Jestem tutaj! W sypialni! – Skierowałam swoje kroki w stronę, z której dochodził głos. – Na Boga, co się stało? – zapytała, widząc, że jestem zdenerwowana.

– Pośpiesz się! Twój mąż jest tutaj! – zawołałam spanikowana. – Zaraz będzie na górze! Jest w furii...

Widziałam, że wiadomość ta przestraszyła ją, bo ręce zaczęły jej drżeć, a ruchy stały się nerwowe. Chaotycznie wrzucała rzeczy do torby.

– Prędko! Tędy! – wydała mi polecenie, kierując się w stronę jednego z korytarzy. Nagle do naszych uszu dobiegł stukot męskich butów i pogwizdywanie. Ktoś się zbliżał. Poczułam strużkę zimnego potu na plecach. Błyskawicznie zawróciłyśmy do pokoju.

– Musisz się schować! – powiedziała ledwie słyszalnie. – Nie uda nam się uciec. – To powiedziawszy, popchnęła mnie w stronę szafy. Niewiele myśląc, wskoczyłam do środka. Czułam przez ściany strach przyjaciółki i prawie słyszałam przyspieszone bicie jej serca. Biedna Róża szykowała się do walki. Po chwili przez niedomknięte drzwi poczułam woń cygara.

– Kogo moje oczy widzą! – zawołał od progu Fryderyk. – Myślałem, że twoja noga już nigdy tutaj nie postanie. Skąd ta nagła zmiana? Odkryłaś, że życie na własną rękę to ciężka praca za nędzne ochłapy? Brakuje ci tego luksusu, w którym żyłaś dzięki mnie?

– Zamilcz! – przerwała mu. – Przyszłam tylko na chwilę i nie chcę kłótni. Pozwól mi zabrać to, co należy do mnie!

– Włamujesz się tutaj pod moją nieobecność... Zakradasz się po ciemku jak złodziej... Mógłbym teraz chwycić do ręki słuchawkę i zadzwonić na posterunek policji – wycedził powoli. Czuł swoją przewagę i upajał się strachem bezbronnej kobiety.

– Nie bądź śmieszny!

– Jesteś moją żoną i twoje miejsce jest przy mnie! – wybełkotał.

Usłyszałam, jak przekręca klucz w zamku.

– Nigdy nie dam ci rozwodu! Przysięgałaś, że mnie nie opuścisz. Pamiętasz jeszcze? – Przez szparę zobaczyłam, jak Róża wycofuje się na tył pokoju. Próbował złapać ją za rękę, ale mu się wyrwała.

– Jesteś pijany. Odejdź ode mnie!

Usłyszałam szuranie krzesła i zorientowałam się, że najwyraźniej... padł przed nią na kolana.

– Okaż mi litość! – zapłakał, zmieniając niespodziewanie ton. – Jestem tylko ofiarą mojej rodziny! To oni doprowadzili mnie do tego obłędu... To wszystko przez nich... Odkryłem prawdę, którą przede mną zataili. Musiałem się zemścić!

– Przestań bredzić! – przerwała mu ostro, po czym wykonała zwrot w tył i nieopatrznie strąciła kryształową karafkę. Dźwięk rozpryskującego się szkła odbił się echem od ścian.

– Wyspowiadam się przed tobą jak przed księdzem! – oświadczył.

– Wyznam ci wszystkie moje grzechy i będę błagał o twoje przebaczenie! Chciałbym, żebyś mnie znów pokochała... Od tej pory nie będę mieć przed tobą żadnych sekretów.

– Nie rób tego! – próbowała go powstrzymać.

– Daję ci słowo honoru, że ta historia z matką Solange to jedyny raz, gdy nie byłem ci wierny! Nie możesz mieć o to do mnie żalu. Przebywałem na froncie w okopach, oddalony setki kilometrów od ciebie. Od wielu miesięcy trwała wojna i nikt nie widział jej końca. Nie miałem pewności, czy jeszcze kiedykolwiek wrócę do ciebie... Mogłem przecież w każdej chwili zginąć...

– Gdybym nie wiedziała, że jesteś chory, powiedziałabym, że to żalosne... – wyrzekła Róża łamiącym się od płaczu głosem.

– Muszę ci wyznać najmroczniejszą z moich tajemnic. Nigdy o tym nikomu nie mówiłem... Przysięgnij, że ty także nie powiesz.

– Błagam cię, nie... – prosiła go, ale on wydawał się głuchy na jej słowa.

– Moja kochana matka, odkąd tylko pamiętam, cierpiała na melancholię. Odeszła przez to przedwcześnie, po tym, jak pewnego dnia przedawkowała opioidy. Praktycznie nie rozstawała się z flakonem laudanum przez ostatnie miesiące swojego życia... Próbowała w ten sposób uśmierzyć ból zranionej duszy. Dopiero po jej śmierci, gdy przeczytałem zapiski, jakie prowadziła, zrozumiałem, co tak naprawdę się wydarzyło. Wszystkiemu winny był jej dawny kochanek, który latami ją nękał, nie dając jej spokoju. Najpierw uwiódł ją w perfidny sposób, a potem wykorzystał. Uległa mu, bo była młodą i niedoświadczoną dziewczyną. Nikt inny, tylko on przyczynił się do jej zguby...

– Proszę cię, oszczędź mi tego... Pozwól mi odejść.

– Wysłuchasz mnie do końca! Czy tego chcesz, czy nie! – krzyknął z pasją, po czym kontynuował: – W czasie mojego pierwszego pobytu w Obernigk poznałem pewną dziwną kobietę. Przebywała w zakładzie dla chorych umysłowo i na nerwy, bo twierdziła, że jest mężczyzną o imieniu Guenther, zamkniętym w ciele

niewiasty. Zachowywała się zgodnie ze swoją drugą płcią, zaczęła więc nosić spodnie, golić się, palić cygara, ubiegać się o względy innych dam... Uznano ją za niebezpieczną wariatkę, którą trzeba było odizolować od społeczeństwa.

– Dlaczego mi o tym teraz wspominasz? – zapytała Róża, ale Fryderyk nie przerwał swojego wywodu.

– Leczone ją elektrowstrząsami, by wybić jej z głowy raz na zawsze wszystkie niedorzeczności. Zdarzało się, że przez wiele godzin czekaliśmy na zabieg przed gabinetem doktora. Miałem więc czas opowiedzieć jej całe moje życie i to, w jaki sposób znalazłem się w szpitalu. Rodzina umieściła mnie tam, wmawiając lekarzom, że to atak manii. Tak naprawdę jednak przestraszyli się, że przypadkowo dowiedziałem się za dużo, zgłębiając pamiętniki. Udało mi się do nich dotrzeć, nie pytaj mnie jak. Były tam sprawy, które chcieli za wszelką cenę przemilczeć, by zabrać je ze sobą do grobu. Lepiej było wmówić wszystkim, że jestem pomyleńcem, niż wyjawić wstydlive sekrety. A ja pragnąłem jedynie pomścić moją matkę i brata, bo to ich skrzywdził najbardziej... Nie mogłem mu tego darować...

– O kim ty mówisz?!

– O Ludwiku Gestnerze! – ryknął, aż szyby w oknach zadrżały. – I nie przerywaj mi!

Na dźwięk tych słów cała się zatrzęsałam. Serce zaczęło mi głośno łomotać, aż się obawiałam, że zdradzi moją obecność.

– Chciał zniszczyć też mojego ojca, ale mu się nie udało! Udaremniłem mu to! Już nie zdążył. To ja kazałem go zabić! – wykrzyknął, szczerząc zęby w szaleńczym uśmiechu.

– Potrzebujesz pomocy... To, co mówisz, nie ma najmniejszego sensu – zaczęła łagodnie Róża, ale to tylko spotęgowało jego

wściekłość. – Człowiek, o którym mówisz, zginął przecież w katastrofie automobilowej! Jestem tego pewna!

– Nie, nie! – zaprotestował. – To nie był żaden wypadek! Jedyne tak to upozorowano, by nikt nie szukał innych przyczyn tragedii. On został otruty! Truciznę podała mu na moje zlecenie tamta kobieta. Nie miała żadnych skrupułów, by zabijać za pieniądze... Przyjęła więc i ode mnie sowitą zapłatę, po czym wysłała do niego list, podając się za moją świętej pamięci rodzicielkę. Błagała go o pomoc. Prosiła, by jak najszybciej przyjechał. Użyła pieczęci naszego rodu, by dodatkowo uspić jego czujność. W najgorszych snach nie mógł przeczuwać, że to pułapka i że wyrusza w ostatnią podróż. Na miejscu zwabiła go do swojego domu. Miał tam rzekomo czekać na swoją oblubienicę. Skłamała mu, że Melania von Schiller przebywa w Królestwie Danii w Instytucie Światłolecznictwa, gdzie przez lata leczyła tuberkulozę u niejakiego doktora Finsena. Obiecywała mu, że przybędzie do niego za kilka dni... Ale on nie chciał zostawać dłużej. Był bardzo niecierpliwy. Coś gnało go naprzód, kazało ruszać w dalszą drogę. Dała mu więc buty, koszulę oraz spodnie nasączone toksyną. Miała się wchłonąć przez skórę, a potem spowodować krwotok i duszności. Wręczając mu części garderoby, powiedziała, że to prezent od jego ukochanej.

– Przestałeś brać leki i znów masz urojenia! – wykrzyczała Róża, zatykając uszy. – Nie wierzę w ani jedno twoje słowo! To wszystko wytwory twojego chorego umysłu...

– Zaklinam, że mówię prawdę! Trucicielka musiała mieć pewność, że mężczyzna postąpi tak, jak mu kazała, bo inaczej plan nie miałby szans powodzenia. Przez zbudowany specjalnie w tym celu sekretny pokój potajemnie obserwowała, jak się ubiera i szykuje do wyjścia... Postanowiła towarzyszyć mu w tej wyprawie, chociaż się przed tym wzbraniał. Jechali bardzo długo. Zdążyli przekroczyć

granicę i dotrzeć do Kopenhagi. W klinice, ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu, nie zastał Melanii. Dowiedział się, że od dłuższego czasu pacjentka ta nie odwiedzała oddziału. To wzmogło jego podejrzliwość, ale było za późno! Śmiercionośny jad płynął już w jego żyłach... W pewnym momencie zaczął tracić panowanie nad kierownicą, a kilka minut później zjechał na pobocze, uderzając lekko w drzewo, gdzie wyzionął ducha. Na dowód, że zadanie zostało wypełnione, otrzymałem zdjęcie z pogrzebu... Z rozkoszą patrzyłem, jak leży w trumnie martwy i sztywny.

– Dostyc tej ułudy! – przerwała mu żona. – Musisz trafić jak najszybciej na leczenie! Dzwonię po karetkę. – To powiedziawszy, chwyciła telefon i zaczęła wykręcać numer. Podbiegł do niej, próbując wyszarpnąć jej słuchawkę.

– Nie rób tego! Bo też skończysz jak on! – zagroził, przytrzymując jej dłoń, aż syknęła z bólu.

– Ratunku! On postradał zmysły! Chce mi zrobić krzywdę!

W kilka chwil do pomieszczenia zaczęła dobijać się służba. Zastanawiałam się, czy powinnam stanąć w obronie przyjaciółki, zdradzając tym samym, że byłam świadkiem całej rozmowy. Na szczęście drzwi do pokoju zostały otworzone i do środka wbiegł kamerdyner, który odciągnął Fryderyka od jego ofiary.

– Pojedziesz do szpitala jeszcze dziś! – usłyszałam głęboko poruszony głos Lilii. – Powiadomiono mnie, co się tu wyrabia, i przybyłam bezzwłocznie! Nic ci nie jest? – zwróciła się z troską do bratowej, obejmując ją ramieniem, ale ta zdołała jedynie pokręcić przecząco głową. Cała dygotała z nerwów po tym, co przed chwilą usłyszała. – Ewald już zatelefonował do ordynatora. Niebawem przybędzie tutaj zespół medyczny – oświadczyła Lilia.

– Pożałujecie tego! – odgrażał się Fryderyk, wyrywając się z uścisku. – Po raz kolejny wmawiacie mi, że postradałem zmysły!

Niczego już się ode mnie nie dowiecie! Zamilknę na zawsze! Wszystko, co wiem, odejdzie razem ze mną w zaświaty! – wykrzykiwał, ale nikt specjalnie na niego nie zważał.

Usłyszałam odgłos syreny ambulansu. Potem pielęgniarz przy pomocy lekarza musiał najpewniej obezwładnić agresywnego pacjenta, sądząc po długo trwającej szamotaninie. Wszystko to wydawało się ciągnąć w nieskończoność. Tkwiłam w bezruchu, bojąc się nawet oddychać, by ktoś nie odkrył mojej obecności. Wreszcie odgłosy oddaliły się, a potem ucichły. Odważyłam się opuścić moją kryjówkę, sądząc, że nikt po mnie już nie wróci. Stąpając ostrożnie, wyjrzałam na pogrążony w ciemnościach korytarz, a gdy upewniłam się, że jestem sama, przemknęłam w stronę schodów prowadzących do ogrodu. Dopiero gdy biegłam po trzeszczącym pod butami śniegu, powoli zaczęło do mnie docierać, co się właśnie wydarzyło.

– Więc to ty go zabiłeś... – mamrotałam do siebie szeptem. – Nigdy ci tego nie wybaczę! – powtarzałam w malignie, a moje słowa przecinały panującą wokół ciszę. – Najwyraźniej umarli potrafią czasem przemówić zza grobu...

Obejrzałam się za siebie, jakbym liczyła, że na parkowej alei ukaże mi się nagle postać mojego ojca...

ROZDZIAŁ XXX

Nadchodził najpiękniejszy okres w roku – święta Bożego Narodzenia. Wraz z początkiem adwentu w okolicach rynku rozstawiano jarmark bożonarodzeniowy. Miał on w naszej metropolii kilkusetletnią tradycję, przyciągając nie tylko mieszkańców, ale i przyjezdnych. Słynął z regionalnych wyrobów i smakołyków, a z każdym rokiem rozrastał się coraz bardziej, zajmując nowe ulice, wzdłuż których stragany rozciągały się aż do samej rzeki. Kusiły stoiskami z pieczonymi lub glazurowanymi jabłkami, orzechami i migdałami w miodzie, marcepanem, słynnymi pralinami z Neisse czy piernikami w kształcie serca, którymi czasem dekorowano choinkę. Można było zaopatrzyć się w prezenty świąteczne, wełniane ciepłe skarpety, czapki i szaliki, zabawki z drewna, lalki czy też figurki porcelanowe. Zewsząd nawoływali rozmaici sprzedawcy, w tym handlujący karpiami hodowanymi w stawach w Militsch. Unosił się zapach wędzonych na miejscu wędlin, a na mięsnych hakach wisiała dziczyzna, z której można było na święta przygotować tradycyjne danie, czyli piezonego zająca w śliwkach. Nie mogło zabraknąć również bud, w których sprzedawano kiełbasy z musztardą i bułką. Szczególnie popularne stały się dwie ich odmiany, tak zwana trzaskająca, która przy nagryzaniu wydawała charakterystyczny dźwięk, i czosnkowa. Te wyroby masarskie były tak popularne, że Breslau zyskało sobie przydomek „miasta kiełbasianego”.

Gdziegdzie kręciła się karuzela lub przygrywał kataryniarz. Na dorosłych czekały beczki z korzennym winem i grzane piwo w kufkach. Dzieci szukały figurek z ciasta chlebowego lub piernikowych bomb wypiekanych w Liegnitz.

Na długo przed Wigilią otrzymałam radosny telegram informujący, że Hermina von Schiller, wnuczka Róży, jest już na świecie. Dziewczynka odziedziczyła po babci kasztanowy kolor włosów. Urodziła się w Charité, kilka tygodni wcześniej, niż przewidywano, ale mimo to była okazem zdrowia.

Od paru dni znów pracowałam w szpitalu. Wróciło zamieszanie, które nie pozwalało mi rozmyślać na smutne tematy.

Jedną z pierwszych pacjentek, jaka do mnie trafiła, była dziewczyna niewiele starsza od moich córek, która próbowała samodzielnie usunąć niechcianą ciążę. Z przyczyn oczywistych bała się przyznać komukolwiek, że nosi w sobie dziecko. Zdołała wreszcie miksturę berlińskiego aptekarza Heisera, który reklamował swój specyfik jako całkowicie bezpieczną metodę, idealną do zastosowania w domowym zaciszu, by pozbyć się kłopotu. Środek ten bazował na substancjach od dawna znanych w medycynie ludowej, mających właściwości poronne, takich jak rozmaryn, aloes, mirra, krokus, ruta czy cynamon. Dodatkowo wzbogacono go w wyciąg z tylnego płata przysadki i nalewkę jodową. Wszystko to miało postać pasty wkładanej do specjalnych, ostro zakończonych tubek, które wprowadzano do ujścia zewnętrznego macicy. Po kilkunastu godzinach od zastosowania preparatu pojawiały się silne bóle i krwawienia. Niestety, takie próby często kończyły się poważnym krwotokiem i wizytą w szpitalu, a w najgorszych przypadkach zgonem z powodu zatorów tłuszczowych lub powietrznych.

Tym razem dziewczyna miała dużo szczęścia, bo w porę trafiła na salę operacyjną, gdzie została odratowana. Gdy leżała wciąż na stole zabiegowym, jeszcze blada i wycieńczona z powodu przebytego wstrząsu, ocknęła się i rozejrzała dookoła. Jej przytępiony wzrok padł na metalowe narzędzia, powleczone krwistą masą, i mój zabrudzony rdzawoczerwonymi plamami fartuch. Założyłam jej na ramię aparat Brauna-Katza do mierzenia ciśnienia tętniczego.

– Gdzie ja jestem? – wycharczała przez wysuszone gardło. – Tak chyba nie wygląda piekło?

– Nie bój się. Jesteś pod opieką lekarzy – odparłam, starając się dodać jej moimi słowami otuchy. – Wszystko powinno być dobrze, ale musisz tu zostać jeszcze przez jakiś czas.

– Pani wie, co się stało? – zapytała, a ja przytaknęłam w odpowiedzi. – Czy pani mnie za to potępia? Sądzi, że jestem zepsutą do szpiku kości ladacnicą? Tak mnie określił pewien ginekolog, gdy poszłam do niego po pomoc.

– Absolutnie nie! – zaprotestowałam. – Ta sytuacja cię przerosła. Nie otrzymałaś wystarczająco dużo wsparcia, by sobie z nią poradzić. Nikt nie ma prawa cię oceniać...

Odwrociłam się do niej tyłem, by nie ujrzała, jak po moich policzkach spływały łzy. Widziałam w niej siebie sprzed wielu lat...

Zawsze trzymałam się zasady, że nie znając sytuacji innych ludzi, nie powinniśmy osądzać ich postępowania. Nie wiemy nigdy, jak wyboistą i ciernistą drogą podążają, bo nie chodzimy w tych samych butach.

– Na szczęście udało się uniknąć większej tragedii. Wyjdiesz z tego silniejsza. Tak jest zawsze, gdy doświadcza nas los... – powiedziałam na zakończenie, kierując się już do wyjścia.

– Ale dlaczego w ogóle spotyka nas zło? – zadała naiwne pytanie.

– Cóż... – westchnęłam smutno. – Chyba tylko po to, by umieć rozróżnić, co jest naprawdę ważne w życiu, umieć cieszyć się pięknymi momentami i doceniać chwile, gdy jesteśmy naprawdę szczęśliwi.

Szłam korytarzem pod łukami neogotyckiej budowli. Za oknami prószył śnieg. Jego wielkie płatki wirowały w powietrzu, a szyby ozdobione były białymi kryształami szronu. Przesunęłam palcami po lodowatym szkle, patrząc na opustoszały dziedziniec. Wszyscy śpieszyli się do swoich domów, by szykować Wigilię.

Przygotowania rozpoczynały się na długo przed pierwszą gwiazdką. Już latem i jesienią gromadzono niektóre składniki, mające uświetniać wigilijny stół, takie jak jabłka, grzyby czy orzechy włoskie. Przypomniałam sobie moje dzieciństwo, gdy zarządzano świniobicie, a następnie przez kilka tygodni wędzono i peklowano mięso, by przygotować wędliny. Dzięki mrozom nie trzeba było obawiać się o ich przechowywanie. W drewnianych dzieżach przez kilka tygodni leżakowało ciasto na pierniki. W pomieszczeniach oprócz zapachu korzennego unosiła się woń terpentyny, którą czyszczono podłogi, ściany i skórzane meble. Dzieci wycinały z papieru ozdoby na choinkę, które wieszały obok bombek, anielskich włosów i świeczek z odbłaśnicami. Podarunki były bardzo skromne, ale dawały wiele radości. Lalka dostała nową sukienkę lub łóżko, pluszowy miś znów miał obie ręce i oko z guzika, a drewniany koń na biegunach został przemalowany na nowy kolor.

Przyglądałam się tym przygotowaniom z oddali, zamknięta w swoim świecie.

– Pani doktor! Dobrze, że panią znalazłam! Przywieziono właśnie rodzącą kobietę. Czeka w izbie przyjęć – usłyszałam słowa położnej.
– Ma rozwarcie na dwa palce.

– Już idę – odpowiedziałam, kierując się do ambulatorium. W środku ujrzałam pacjentkę skręcającą się w cierpieniach na kozetce. Była dosyć chuda, a jej brzuch wydawał mi się ogromny.

– Choruję na cukrzycę – wycedziła przez zaciśnięte z bólu zęby, gdy się zbliżyłam.

Popatrzyłam na nią szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami. Zajście w ciążę i donoszenie jej można było w tej sytuacji uznać niemalże za cud.

Pomimo że *diabetes mellitus* była chorobą znaną od tysiącleci, ciężko sobie wyobrazić, jak wyglądało życie pacjentów z tą dolegliwością, zanim dokonano przełomowego odkrycia insuliny w 1921 roku. W zastraszającym tempie tracili oni wagę, byli zmęczeni i osłabieni, a do tego cierpieli z powodu niedającego się w żaden sposób zaspokoić pragnienia oraz częstego oddawania moczu. W końcu zapadali w śpiączkę, z której nigdy już się nie wybudzali. Jedynym znanym sposobem leczenia, przynoszącym chwilowy skutek, była drakońska dieta oparta na niskim spożyciu węglowodanów, co i tak mogło przedłużyć ich życie o maksymalnie kilka lat. Zalecano, by między innymi gotować warzywa trzykrotnie przed ich spożyciem, co miało zmniejszać ilość cukru. Na samą myśl o tej papce dostawałam odruchu wymiotnego!

W rejonie Teb, na południu Egiptu znaleziono w jednym z grobowców dokument nazwany od jego odkrywcy papirusem Ebersa, który zawierał opis różnorodnych chorób, w tym jeden pasujący do cukrzycy. Jak powiedział starożytny uczonec Aratos, choroba ta oznacza powolne topnienie ciała i kończyn, przemieniających się w urynę. Pacjent nigdy nie przestaje pić wody, a przepływ płynów przez niego jest nieustanny, niczym po otwarciu akweduktów. Po wystąpieniu pierwszych symptomów

jego dni są policzone. Samo słowo *diabetes*, którym nazwano tę dolegliwość, oznaczało po grecku syfon. Perski uczonec Awicenna opisał niektóre powikłania cukrzycowe, jak uszkodzenie nerwów, zgorzel czy zaburzenia erekcji.

Jeszcze w V wieku przed naszą erą mówiono, że mocz diabetyków jest słodki, ale potem jakby o tym zapomniano. Dopiero w 1675 roku angielski lekarz Thomas Willis odkrył to ponownie, mówiąc, że jest on jakby przesiąknięty miodem, stąd dodano do nazwy nozologicznej słowo *mellitus*. Sto lat później potwierdzono tę cenną obserwację, wykazując w moczu obecność cukru. Początkowo sądzono, że wynika to z choroby nerek, które miały produkować nadmiar glukozy, wydalanej następnie do moczu. Dopiero potem zorientowano się, że jej nieprawidłowy poziom występuje także we krwi.

Kolejny kamień milowy do badań dołożył Oskar Minkowski. Zasłynął on swoją zręcznością, gdy wykonał na gęsi pierwsze na świecie udane usunięcie wątroby. Ptak przetrwał sam zabieg, a potem jeszcze żył przez krótki czas. Kto wie, jak potoczyłaby się historia cukrzycy i chorych na nią pacjentów, gdyby nie pewne burzliwe popołudnie w bibliotece, gdzie Minkowski spotkał drugiego uczonego, niejakiego Josepha von Meringa. Naukowa dysputa o roli lipaliny, czyli handlowego preparatu enzymów trzustkowych, przemieniła się najpierw w kłótnię, a później w zakład. Jeden z profesorów utrzymywał, że trzustka nie jest potrzebna do trawienia tłuszczów, drugi temu zdecydowanie zaprzeczał. Najprostszym sposobem, by się o tym przekonać, było usunięcie tego organu u psa. Jeszcze tego samego dnia przystąpiono do operacji. Okrutny eksperyment wykazał, że u czworonoga rozwinęła się cukrzyca. Świadczyły o tym chociażby roje much siadające na jego moczu. Pies pił przeraźliwie dużo wody i chudł

w zastraszającym tempie, zanim zdechł z wyniszczenia. Przebieg i objawy przypominały bardzo los diabetyków.

Jesienią 1920 roku młody chirurg z miejscowości Alliston w prowincji Ontario w Kanadzie, niejaki Frederick Banting, zainspirowany między innymi doświadczeniami swoich europejskich kolegów, zaangażował się w badania nad trzustką. Uzyskał ekstrakt z tego narządu i podawał go dożylnie psom, którym wcześniej go wycięto. Zauważył, że poziom cukru w osoczu zwierząt obniżał się. Efekt ten był jednak krótkotrwały, dlatego potrzebował stale nowych zwierząt, by móc produkować leczniczy wyciąg. Z ulic praktycznie zniknęły bezdomne kundły, które badacz kupował od hycli za kilka dolarów. Dzięki temu udało mu się utrzymać przez kilka miesięcy przy życiu jedną suczkę, której usunięto trzustkę.

Dzięki włączeniu do badań chemików zdołano wreszcie wyizolować czystą insulinę i można było przejść do następnego etapu, czyli badań na ludziach.

Pacjentem został czternastoletni Leonard Thompson, który pierwsze iniekcje otrzymał na początku 1922 roku. W momencie przyjęcia do szpitala był w skrajnej kacheksji i wydawało się, że jego los jest przesądzony. Wtedy wydarzył się prawdziwy cud. Dziecko zaczęło na powrót przybierać na wadze, nie miało patologicznego pragnienia ani moczówki. Od tamtego przełomowego wydarzenia dla tysięcy chorych na świecie zapaliło się światło nadziei w ciemnym tunelu.

– Wydaje mi się, że duży brzuch spowodowany jest wielowodniem, ale samo dziecko nie jest duże – stwierdziłam po badaniu.

Zdecydowałam się skrócić męki położnicy, stosując uśpienie pernoktonowo-skopolaminowo-kofeinowe. Wreszcie po kilku

godzinach narodził się zdrowy chłopiec. Słyszając jego pierwszy płacz w tę grudniową noc, nie mogłam opanować łez wzruszenia. Jeszcze przed kilkoma laty zarówno jego poczęcie, jak i pojawienie się na świecie byłyby niemożliwe. Pozwoliła na to medycyna! Pełni poświęcenia lekarze i zdesperowani pacjenci, szukający dla siebie rozpaczliwie pomocy, byli motorem do jej rozwoju.

Gdy zbliżyłam się do domu, zauważyłam przed furtką ośnieżoną paczkę. Okazało się, że to kolejna skrzynia z rzeczami z posiadłości na czerwonym klifie. Uważając, żeby się nie poślizgnąć, zaniostałam ją do domu. Nie miałam nawet kiedy jej rozpakować podczas pobytu na Sylcie, tym samym wróciła nienaruszona, tak jak naszykowałam ją do przeprowadzki w pośpiechu przed ponad rokiem. Otrzeptałam ze śniegu drewniane wieko, by zajrzeć do wnętrza. Zawierała głównie pamiątki. Na samym dnie znajdowały się spodnie z szelkami, w których przebrana za mężczyznę rozpoczęłam studia medyczne. Byłam do tego zmuszona, bo miałam zbyt słabe wyniki, aby dostać się na nie jako kobieta. By „zmienić płęć”, ścięłam na krótko włosy i paliłam cygara, aby nadać głosowi bardziej męskie brzmienie. Przez kilka miesięcy musiałam udawać, że jestem Ludwikiem Gestnerem, zanim moje oszustwo wyszło przypadkowo na jaw. Na szczęście pozwolono mi kontynuować naukę.

W środku znalazłam również drewnianą szkatułkę. Przechowywałam w niej drobiazgi, głównie z czasów młodości. Nie zastanawiając się długo, przekręciłam kluczyk w kłódce, by na moment przenieść się do minionej epoki. Ze środka unosił się zapach starego papieru, kurzu i płatków suszonych róż, które tam przechowywałam. Znalazłam porcelanową laleczkę ubraną jak baletnica. Chwyciłam za metalowe pokrętko, by ją nakręcić, a wtedy zaczęła cudnie wirować, grając nostalgiczną melodię. Upływ czasu

i rdza spowodowały, że po chwili pozytywka się zacięła, a muzyka na przemian to cichła, to rozbrzmiewała. Przez kilka sekund wewnątrz laleczki wypełniały rzewne nuty. Pamiętam, że dostałam ją od Róży. Kupiła ją, bo chciała mnie w ten sposób pocieszyć w jednym z najstraszniejszych dni mojego życia. Znalazłam także zielnik przygotowany na botanikę i notatnik z anatomii, w którym na marginesie kreśliłam ołówkiem serca – i nie były to bynajmniej rysunki anatomiczne. Zakochałam się wówczas po uszy w Edwardzie Angererze, człowieku, który nie zasługiwał na to uczucie.

Przejechałam palcami po pożółkłych kartkach, zmoczonych teraz od moich łez. W rogu tkwił plik starych listów związanych postrzępioną tasiemką. Część z nich dostałam od dawnych wielbicieli. Była tam także korespondencja od Tadeusza, mojej pierwszej odwzajemnionej miłości. Gdy wyjechał na uniwersytet, nasze młodzińcze uczucie nie wytrzymało próby czasu. Pochłonięty nauką pisywał bardzo rzadko, przyjeżdżając jedynie na wakacje i święta. Czułam się zapomniana, a ponieważ nie dałam mu wtedy żadnego słowa, bo nie zdecydował się poprosić o moją rękę, byłam w pełni wolna. Dopiero czas sprawił, że nasze drogi przecięły się ponownie i splotły na zawsze.

Otworzyłam jedną ze starych kopert. Zaadresowana była w szczególny sposób, bo zamiast mojego imienia i nazwiska widniało na niej: „Dla ślicznej pani o dużych orzechowych oczach”. Wyciągnęłam ze środka kawałek pergaminu zapisanego czarnym atramentem.

*Piękna Nieznajoma,
ujrzałem Panią pierwszy raz na pogrzebie. Pomijając
okoliczności, w jakich się to stało, zrobiła na mnie Pani
oszałamiające wrażenie. Do dziś nie potrafię uspokoić bicia*

mojego serca na samą myśl o Pani spojrzeniu. Błyszcząło wówczas smutkiem, ale ja potrafiłbym sprawić, że pojawiłyby się w nim znów iskry szczęścia.

Zapewne nie wierzy Pani w uczucie od pierwszego wejrzenia, ale moje takie jest. Przyznam się, że śledziłem Panią tak długo, aż dowiedziałem się, gdzie Pani mieszka, a potem zdecydowałem się wysłać ten list. Proszę wybaczyć mi moją śmiałość, ale jestem przekonany, że to przeznaczenie. Nic nie dzieje się przypadkiem...

Gdyby zdecydowała się Pani ze mną zobaczyć, byłby to najpiękniejszy dzień w moim życiu. Będę czekał co czwartek po południu w restauracji Haasego w parku Południowym aż do jej zamknięcia, licząc, że kiedyś się Pani zjawi, aby mnie poznać.

Tajemniczy wielbiciel

Kompletnie zapomniałam o tym, że kiedyś otrzymałam taki sekretny list. Sięgnęłam po kolejną kopertę, zaadresowaną tym samym charakterem pisma. Widniały już na niej słowa: „Szanowna Pani Laura Gestner”. Wzięłam do ręki ozdobną, poperfumowaną papeterię w róże. Zapach bergamotki zdołał już prawie zupełnie ulecieć.

Wciąż Pani milczy... Nie mam pewności, czy aby na pewno przeczytała Pani to, co napisałem. Być może brzmi to jak szaleństwo, ale czuję, że jest Pani moją drugą połówką, moim dopełnieniem. Wiem już, jak się Pani nazywa. Obserwuję Panią i zauważyłem, że chodzi Pani na cmentarz, by odwiedzać grób zmarłego ojca. Bardzo mi przykro, że spotkała Panią taka tragedia. Chciałbym służyć moim ramieniem, by było opoką w trudnych chwilach. Otrzeć Pani kryształowe łzy chusteczką... W tym cierpieniu staje się Pani jeszcze piękniejsza... Nie tracę

*nadziei, że w końcu pojawi się Pani w wyznaczonym miejscu...
Będę na Panią oczekiwał także w niedzielne poranki w kawiarni
wiedeńskiej Café Fahrig.
Zakochany w Pani bez pamięci*

Nie był to koniec dziwnych listów od nieznanego. W tym samym stosie znalazłam kolejne koperty.

*Gdzie Pani jest?... Ostatnio zniknęła mi Pani zupełnie z oczu.
Przestałam Panią widywać w tych wszystkich miejscach,
w których Pani bywała... Czy coś się stało? Czy wyjechała Pani
na zawsze? Czy jeszcze Pani kiedykolwiek wróci? Tęsknię bardzo.
Chociaż nie było mi dane Pani poznać, to chcę, żeby Pani
wiedziała, iż jest dla mnie kimś bardzo ważnym... Bratnią duszą...*

Przeczytałam na głos ostatnich kilka zdań. Nigdy nie zainteresowałam się bliżej tym, kim był tamten mężczyzna ubiegający się tak wytrwale o moje względy. To, że ktoś taki istniał, łechtał miłą kobiecą próżność i to mi w zupełności wystarczało. Nie odczuwałam potrzeby, by dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Wszak kochałam wtedy kogoś innego. Cała reszta po prostu przestała istnieć.

*Lauro,
cały czas tutaj byłaś! Jak mogłem nie poznać, że to Ty! Wdziałaś
na siebie męski strój, ścięłaś swój dorodny warkocz, który zawsze
upinałaś w kok. Zaczęłaś nosić szapoklak i żuć tytoń. To mnie
zupełnie zmyliło. Twoja metamorfoza była tak nagła... Ale czuję,
że odgadłem, dlaczego tak postąpiłaś. Teraz jesteś jeszcze
bardziej mi bliska... Mam już pewność, że jesteśmy sobie pisani.
Lauro, masz najcudowniejsze imię na świecie i pozwól mi Cię tak*

*nazywać... Ma w sobie magię. Wywodzi się ze starożytności,
od drzewa wawrzynowego. Wieniec z jego gałązek był
symbolem chwały.*

*Przyjdź, bo czekam na Ciebie pełen miłości, podziwu
i bezgranicznego uwielbienia...*

Wierny Ci na zawsze

Ostatnich kilka kopert nie zostało przeze mnie nigdy otwartych. Widniały na nich w dalszym ciągu nieprzerwane pocztowe stemple. Sądząc po datach, listy przysły do mnie akurat w okresie, gdy opuszczałam swoją pierwszą stancję. Wyprowadzałam się do nowego lokum, które miało być wspólnym gniazdkiem dla mnie i wybranka mojego serca. Zaraz później przeżyłam mój pierwszy raz i zostaliśmy kochankami. Pchana uczuciem, zaślepiona dziewczęcą naiwnością, nie widziałam, że wszystko zmierzało w jednym kierunku, o czym musiałam się boleśnie przekonać. Wtedy wydawało mi się to końcem świata, największym dramatem. Teraz mogłam spoglądać na to wszystko z chłodnym dystansem.

Postanowiłam, że najwyższy czas, by całą tę korespondencję spalić w piecu. Po tylu latach nie miała już przecież żadnej wartości poza zwykłym sentymentem. Wzięłam do rąk jeden z nieprzeczytanych listów, by go otworzyć i odczytać jego treść, zanim strawi go na zawsze ogień.

Lauro,

*dlaczego nadal się do mnie nie odezwałaś? Czy nie rozumiesz,
że doprowadzasz mnie tym powoli do szaleństwa? Kocham Cię...
Jestem o tym przekonany. Chyba już postradałem rozum od tego.
Pragnę Cię poznać wszystkimi moimi zmysłami. Chcę Twojego
ciała, marzę, by ujrzeć je nagie... Nie każ mi dłużej czekać...*

Może jeśli zdradzę ci moją największą tajemnicę, to zrozumiesz, dlaczego jesteśmy bratnimi duszami, które los zetknął ze sobą nie bez powodu, o czym nieraz wspominałem. Ja też jestem tak jak ty mężczyzną zamkniętym w ciele kobiety... Próbowali mnie z tego wyleczyć, ale nigdy im się to nie uda. Pozostanę zawsze sobą. Możemy iść przez życie razem, jeżeli tylko zechcesz...

Guenther

Ostatnie słowo wymamrotałam zdrętwiałymi ustami. Poczułam, jak cała krew odpływa z mojego ciała. Doznałam takiego szoku, że przed oczami zrobiło mi się na kilka sekund prawie zupełnie ciemno.

– To niemożliwe! – krzyknęłam, odrzucając od siebie list i sięgając po kolejne zaklejone koperty, które rozrywałam teraz niecierpliwymi palcami. Wyciągnęłam kartkę, na której widniały rdzawe plamy, niczym zaschnięta krew.

Zdradziłaś mnie! Odkryłem, co oznaczało Twoje milczenie... Ktoś inny jest w Twoim życiu... Oszukiwałaś mnie przez cały ten czas, dając złudną nadzieję, że będziemy kiedyś razem. Ale Ty tylko bawiłaś się moimi uczuciami. Spijałaś chciwie komplementy płynące z moich ust, bo dodawały Ci sił... Niczym modliszka... Wiedziałaś, że jesteś dla mnie jak narkotyk, bez którego nie potrafię już funkcjonować, a uzależnienie doprowadzi do mojej zguby. Ktoś kiedyś powiedział, że od miłości do nienawiści jest tylko jeden krok. Przekonałem się, że miał rację... Zemszczę się za to, jak mnie skrzywdziłaś! Zapłacisz mi swoją krew...

– Co to jest?! – usłyszałam nagle za plecami podniesiony głos mojego męża. Odskokczyłam w przestraszu, bo nie spodziewałam się

jego obecności. Stał tuż za mną, spoglądając przez moje ramię. – Proszę, powiedz mi. Nie miejmy przed sobą więcej tajemnic.

– Sam zobacz... – wyrzekłam, podając mu poplamiony papier. W pośpiechu przesuwiał oczami po tekście. Widziałam, jak mięśnie jego twarzy napinają się, a szczęki zaciskają.

– To dzieło jakiegoś szaleńca... – stwierdził. – Sterta urojeń i bzdur. Stałaś się jego chorą obsesją!

– Dlatego potem stworzył ten upiorny dziennik... – To powiedziawszy, wręczyłam mu notatnik, który znalazłam przed kilkoma miesiącami w schowku w podłodze. – A na koniec dokonał swojej zemsty. Był nią testament, w którym zapisał mi posiadłość na czerwonym klifie. A w zasadzie dom szaleńców, bo każdy, kto w nim zamieszkał, musiał popaść w obłąd i umrzeć...

– Więc to była... – zaczął i urwał, jakby bał się dokończyć. Zmarszczył brwi i przygryzł wargi z napięcia.

– Sybilla Gebler... – dopowiedziałam. Zapanowała między nami martwa cisza, jakbyśmy ponownie stali nad jej ekshumowanym grobem. – Wystarczy porównać charakter pisma. Jest ten sam. Z czasem uległ zniekształceniu, najprawdopodobniej pod wpływem rozwijającej się wskutek zatrucia ołowiem encefalopatii. Nie mógł jednak tego wiedzieć, chociaż na pewno czuł, że dzieje się z nim coś niedobrego. Ubzdurał sobie, że podobnie jak on cierpię na pseudohermafrodytyzm, bo widział mnie, jak chodziłam w męskich strojach. Nie przypuszczał, że robiłam to z zupełnie innego powodu. Wtedy w jego zaburzonym umyśle musiała zrodzić się *idée fixe*, że jesteśmy sobie pisani... Gdy te wyobrażenia nie znalazły pokrycia w rzeczywistości, znienawidził mnie i poprzysiągł zemstę.

– Gdyby tak było, dlaczego nie zrobił tego w inny sposób? Przecież umiał pozbawiać życia innych ludzi. Tym się zajmował...

– Sądzę, że chciał się tym delektować i dokonać zbrodni możliwie najokrutniejszą metodą, jaka mu przyszła do głowy. Nie ma nic gorszego niż popadanie w psychozę i powolna śmierć...

– To wszystko jest nie do uwierzenia... – skomentował Tadeusz, zasłaniając ręką twarz. – Dobrze, że tego człowieka nie ma już wśród żywych, tym samym nikogo więcej nie skrzywdzi.

– Wszystko zaczęło się od pogrzebu Ludwika Gestnera. To tam ujrzałam mnie po raz pierwszy... – odezwałam się, przełykając powoli ślinę.

– To już minęło. Jesteś teraz bezpieczna. – Mąż otoczył mnie ramieniem. Wtuliłam się mocno w jego pierś, słuchając rytmicznych tonów jego serca.

Przymknęłam powieki, a przed oczami stanęły mi różne sceny, wśród których najczęściej pojawiał się obraz legendarnej kolii z chryzoprazem, która zapadła się pod ziemię. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek naprawdę istniała i jakie były jej dalsze losy po tym, jak opuściła rodowy skarbiec. Później, jak w koszmarnym filmie, śledziłam przesuwające się klatki z widokiem rezydencji na czerwonym klifie, morskich fal, w których się topiłam, zdeformowanej twarzy mordercy, jego zwłok i czarnego korytarza, na którego końcu zgasło właśnie światło...

ROZDZIAŁ XXXI

Nastał wreszcie wigilijny poranek. W tym roku wypadał w środku tygodnia. Tego dnia miałam się udać do kliniki jedynie na obchód, a potem planowałam powrót do domu, by kontynuować przygotowywanie wieczerzy. To miały być wyjątkowe święta, bo znów mieliśmy je spędzić razem w pełnym rodzinnym gronie. Chociaż kryzys panujący w kraju i związane z nim bieda, bezrobocie oraz głód nie dotyczyły nas bezpośrednio, postanowiliśmy, że będziemy obchodzić Boże Narodzenie skromnie, aby stało się dla nas przeżyciem głównie duchowym.

Adalia i Hanna miały przyjechać wczesnym popołudniem, a Tadeusz obiecał odebrać je z dworca głównego. Gdy wychodził, wydawał się dość tajemniczy, co wzbudziło moją podejrzliwość. Odpowiadał mi jedynie półsłówkami, twierdząc, że bardzo się śpieszy.

– Do zobaczenia wieczorem – powiedział, całując mnie w policzek.

– Pójdę do szpitala tylko na kilka godzin, a potem postaram się przygotować coś pysznego do jedzenia na wieczór – odrzekłam, uśmiechając się. – Dam sobie radę, pomimo że nie mam teraz pomocy domowej. Wszystko zaplanowałam – zapewniłam go.

Spojrzałam w stronę cynowej ogromnej misy, w której pływały dwa karpie. Wzdrygnęłam się na myśl, że będę musiała własnoręcznie pozbawić je życia.

– Przecież wszystko, co robisz, jest zawsze wyśmienite – rzucił, stojąc już w progu.

Rozczulił mnie, bo doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, jak mizerna była ze mnie gospodyni. Nawet jajecznicza czy ziemniaki w moim wykonaniu rzadko kiedy były nieprzypalone. Ryż, makaron i kluski niemal zawsze stanowiły rozgotowaną papkę, a z piekarnika wyciągałam najczęściej zakalce. Nie umiałam nawet pokroić cebuli, by się przy tym nie popłakać. Nie lubiłam ślęczeć nad książką kucharską, rozłożoną pomiędzy workiem mąki, stolnicą z ciastem a trzepaczką do jajek, gdy musiałam brudnymi, lepiącymi się palcami szukać właściwej strony, śledząc gęsto zapisane linijki. Zajmowało to zdecydowanie zbyt wiele czasu. Zamiast tego wolałam improwizować, łudząc się, że wyjdzie mi coś dobrego.

Tym razem jednak wszystko miało być inaczej. Dopijałam powoli czarną kawę z filiżanki, patrząc, jak dozorca odśnieża chodnik w świetle latarni gazowych, by ludzie idący do pracy nie musieli brodzić w zaspach. Nienawidziłam zimy za to, że było ciemno, gdy opuszczało się ciepły dom, a gdy się do niego powracało po kilku godzinach, ulice spowijał już mrok.

Stałam w przedpokoju ubrana w kozuch, gdy usłyszałam dźwięk telefonu na półpiętrze. Zawróciłam, ściągając z szyi futrzany szalik z lisa, by się nie zgrzać.

– Wesołych świąt, Lauro, i szczęśliwego nowego roku. – W słuchawce rozbrzmiał głos mojej przyjaciółki. Wydawał się bardzo smutny. Byłam przekonana, że chodzi o jej brata Fryderyka. Nie chciałam jednak o to pytać. Człowiek ten wyrządził niewyobrażalnie dużo zła w moim życiu, chociaż zapewne z powodu swojej choroby nie był tego do końca świadomy.

– Dziękuję, Lilio. Tobie życzę, aby był to czas pełen miłości i magii, spędzony w gronie tych, których kochasz – odparłam. Chwilowo zapanowała cisza, po czym usłyszałam stłumiony kaszel.
– Dobrze się czujesz? – zapytałam z troską.

– Cóż... – westchnęła ciężko. – Latem było zupełnie dobrze. Przyjmowałam tylko preparat z wyciągu ze świeżych płuc zwierzęcych. Staralam się też oszczędzać, bo jak powiadają, zdrowy człowiek może odpoczywać dopiero po wysiłku, a gruźlik musi to zrobić, zanim się zmęczy. Ale jesienią, niestety, mój stan uległ pogorszeniu. Czekam obecnie na zabieg frenikotomii... – Urwała, jakby nie potrafiła dalej mówić przez ściśnięte gardło.

Wiedziałam, że chodziło o jedną z najnowszych metod leczniczych polegających na jednostronnym wycięciu lub zgnieceniu *nervus phrenicus* celem unieruchomienia przepony. W przypadku pierwszej techniki było to nieodwracalne, a przy drugiej ruchy wracały po kilku miesiącach. Uciśnięcie płuca, łączące się ze zmniejszeniem dopływu krwi i limfy, było pożądanym rezultatem mającym ograniczyć żywotność prątków.

– Mój Boże... – wyszeptałam. – Mam nadzieję, że ta operacja ci pomoże!

Jako lekarz wiedziałam jednak doskonale, czym jest gruźlica. Nieraz poznałam bezsilność medycyny wobec tej choroby. Był to tak naprawdę wyrok śmierci z odroczeniem.

– Ale pomówmy lepiej o czymś weselszym. Niezmiernie ucieszyła mnie wiadomość, że wróciłaś do domu, do Tadeusza. To najlepsza decyzja, jaką mogłaś podjąć po tym wszystkim, co cię spotkało – stwierdziła. – Udowodniliście, że wasze uczucie jest w stanie przetrwać wszystko! To cudowne...

Chociaż nie taki miała zamiar, jej słowa zadziały jak sól sypana na świeże rany. W głębi serca nie czułam, abym kochała mojego męża. Wydawało mi się, że wszystko między nami bezpowrotnie zgasło. Niewątpliwie był mi bardzo bliski, miałam w nim oparcie i mogłam na niego liczyć w trudnych momentach, co udowodnił w ostatnich tygodniach. Stał się najzwyczajniej w świecie moim

najlepszym powiernikiem i przyjacielem. Nie miało to jednak nic wspólnego z żarzącą się namiętnością, o ile w ogóle takiego uczucia można było doznawać w moim wieku, po tylu latach po ślubie. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek łączył nas ogień pożądania. Tak bardzo pragnęłam przeżyć jeszcze chwile podniecenia, wzruszeń i ekstatycznych uniesień. Byłam u szczytu swojej kobiecości i chciałam jak najlepiej wykorzystać te lata.

– Lauro, pozwól, że udzielę ci pewnej rady – odezwała się Lilia ponownie zachrypniętym głosem, jakby czytała moje myśli. – Nie ulegaj złudnym pokusom, że gdzieś czeka na ciebie lepsze życie. Zamiast do niego uciekać, zmień lepiej to, które już masz, abyś umiała tutaj odnaleźć spokój i spełnienie. Jeżeli tego nie potrafisz, to znaczy, że najprawdopodobniej nigdzie nie zaznasz szczęścia... Bo ono rodzi się w nas...

Musiałam przyznać, że w jej słowach było sporo prawdy. Pożegnałyśmy się wreszcie, obiecując sobie, że wkrótce się zobaczymy.

* * *

Wchodząc po oblodzonych, marmurowych schodach do szpitala, musiałam trzymać się mocno poręczy, aby nie upaść. Przebrałam się w fartuch i ruszyłam na oddział, by badać położnice. Jedna z nich cierpiała na *phlegmasia alba dolens*, czyli trombozę żył głębokich kończyny dolnej, z towarzyszącą temu gorączką i obrzękiem – jedno z powikłań ciąży i porodu, nazywane potocznie mleczną nogą z uwagi na objawiające się przy tym zabarwienie skóry. Pomacałam napuchniętą skórę i dotknęłam czoła chorej, stwierdzając, że niestety na razie nie ma poprawy.

– Czy będę mogła wreszcie wstać? – wycharczała.

– Musi pani jeszcze wytrzymać. Gdyby zaczęła pani teraz chodzić, groziłaby pani śmierć... – orzekłam.

Chora musiała leżeć bezwzględnie nieruchomo, aby powstałe zakrzepy nie oderwały się od ścian naczynia i nie popłynęły z prądem krwi, doprowadzając do zatorowości płucnej i zgonu. Ważne było jednak, aby wskutek braku aktywności nie dopuścić do powstania zaników mięśniowych. Zalecano od momentu normalizacji temperatury ciała pozostawanie w łóżku jeszcze przez około miesiąc. Przyjęła moje wyjaśnienie ze zrozumieniem, a ja poszłam dalej. W tej samej sali leżała położnica, która urodziła kilka tygodni wcześniej, niż wynikało to z daty wyliczonej metodą Naegelego. Noworodek ważył niewiele ponad kilogram. Musiał zostać przeniesiony na osobny oddział, gdzie panował ścisły rygor sanitarny. Wstęp mieli tam tylko wyznaczeni członkowie personelu klinicznego, a każda osoba z infekcją, nawet najmniejszym katarem, była natychmiast odsuwana od pracy.

Dziecko umieszczono w wannie Credego, przystosowanej do opieki nad wcześniakiem, zanim ten osiągnął na tyle dużą masę, że można go było przenieść do zwykłego łóżeczka ogrzewanego butelkami z gorącą wodą. Tam dokarmiany był mlekiem matki kilka razy dziennie, a gdy nie umiał jeszcze ssać, zakładano specjalną sondę. Od trzeciego tygodnia życia podawano maślankę z mondaminą i cukrem Stoeltznera. Po osiągnięciu dwóch kilogramów wagi dzieci wypisywane były do domu.

– Kiedy uda mi się zobaczyć ponownie moje maleństwo? – zapytała pacjentka, gdy skończyłam ściągać jej szwy i odkładałam narzędzia, by oddać je do sterylizacji. – Widziałam je zaledwie przez krótką chwilę zaraz po narodzinach, a potem mi je zabrano. Nie wytrzymam tego dłużej!

– Na razie, niestety, trzeba uzbroić się w cierpliwość – odpowiedziałam. – Synek musi w dalszym ciągu pozostawać pod opieką lekarzy. Proszę nie tracić nadziei, wszystko będzie dobrze – pocieszyłam ją.

Wiedziałam od pediatrów, którzy opiekowali się dzieckiem, że doszło u niego do napadów asfiktycznych, trzeba było podawać tlen oraz zastrzyki z cardiazolu i adrenaliny na podtrzymanie serca. Konieczne było również zaaplikowanie w lewatywie osocza krwi na wzmocnienie. Transfuzja nie wchodziła w grę. Wydawało się jednak, że najgorsze już minęło, a stan dziecka od kilku dni był stabilny.

– Pani doktor, czy mogłaby pani przyjść do ambulatorium i zobaczyć jedną pacjentkę? – usłyszałam prośbę położnej. – Brzuch boli ją tak bardzo, że aż się od tego skręca. Twierdzi, że jest we wczesnej ciąży.

Od razu przemknęła mi przez głowę przerażająca myśl, że może to być pęknięta *graviditas extrauterina*, kiedy to zapłodnione jajo ulega implantacji poza macicą. Gdyby moje obawy się potwierdziły, życie chorej byłoby w niebezpieczeństwie. Zbyt wiele widziałam już podobnych przypadków.

Pośpiesznie ruszyłam w stronę izby przyjęć. Gdy przybyłam na miejsce, ujrzałam stosunkowo dobrze odżywioną i porządnie ubraną niewiastę. Czoło jej było zroszone kroplami potu, a na twarzy miała wypisane cierpienie. Trzymała się kurczowo za prawy bok. Na oko mogła liczyć nie więcej jak trzydzieści wiosen.

– Kiedy pojawiły się dolegliwości? – zapytałam po tym, jak pośpiesznie dezynfekowałam ręce.

– Mam je od kilku tygodni, ale nasilenie bólu jest zmienne i momentami nie ma go w ogóle – wysapała z trudem, a grymas

cierpienia przeszedł przez jej oblicze. – Boję się, że to oznacza coś złego dla dziecka, które noszę pod sercem. Ostatni period miałam jakieś trzy miesiące temu – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

Najpierw pomogłam jej wstać i przejść na fotel ginekologiczny. Założyłam ostrożnie wzierniki. Ujrzałam zasinienie błony śluzowej, a później odkryłam rozpulchnienie cieśni *uterus*, nazywane także objawem Hegara. Świadczyło to o wczesnej ciąży, ale nie rozstrzygało, czy zarodek umiejscowił się w macicy, czy poza nią. Przystąpiłam do badania palpacyjnego brzucha. Ciężko było mi wyczuć brzeg wątroby i śledzionę przez nadmiernie rozwiniętą tkankę tłuszczową, ale stwierdziłam, że były niepowiększone. Powłoki wydawały mi się blade, słabo napięte. Badałam chorą delikatnie, nie chcąc sprawić jej bólu. Gdy ucisnęłam nieco mocniej, wyczułam nad talerzem biodrowym opór, a badana aż podskoczyła i krzyknęła. Sprawdziłam objaw Rousinga i z przerażeniem stwierdziłam, że jest dodatni.

– Niestety, nie mam dobrych wieści. Konieczne będzie niezwłoczne otworzenie jamy brzusznej – oświadczyłam.

Objawy, jakie prezentowała, były wskazaniem do pilnej laparotomii. Nie istniała bowiem żadna inna metoda diagnostyczna, która mogłaby rozwiązać jednoznacznie moje wątpliwości.

– Czy to coś bardzo złego? – wyrzekła drżącym głosem. – Pierwszy raz jestem w szpitalu.

– Na razie jeszcze nie umiem podać ostatecznego rozpoznania. Ale jeżeli nie wykonam natychmiast zabiegu, może pani umrzeć.

– A co z moim dzieckiem? – zadała pytanie, którego obawiałam się najbardziej. Nic nie było jeszcze przesądzone. Wszystko miały rozstrzygnąć kolejne godziny, a ja nie lubiłam dawać złudnych nadziei. – A może nie jestem w ogóle w stanie błogosławionym, tylko tak mi się ubzdurało?

– Nie potrafię powiedzieć pani nic więcej. Czy zgadza się pani na operację? – dopytywałam, a pacjentka skinęła głową, odwracając wzrok.

– Nie mam wyjścia. Nie jestem w stanie dłużej tego wytrzymać...
– wyszeptała ledwo słyszalnie.

Pielęgniarki przebrały ją w sterylną koszulę, obmywszy wcześniej skórę roztworem jodyny, po czym pomogły kobiecie przejść na nosze. Ja także udałam się w stronę sali zabiegowej.

– Brakuje mi asysty – zwróciłam się do instrumentariuszki. – Zadzwoń, spytać, czy nie ma jakiegoś wolnego chirurga, który by mi pomógł. Nie wiem, co zastanę w środku...

Gdy wykryłam numer kliniki chirurgicznej, przez dłuższy czas w słuchawce odpowiadała mi jedynie cisza. Wreszcie ktoś odebrał i w wielkim pośpiechu oznajmił mi, że przez najbliższe godziny nie ma szans, aby którykolwiek z doktorów był wolny. Wiedziałam, że niestety nie mogę pozwolić sobie na czekanie, bo każda minuta mogła przynieść nagłe pogorszenie i zgon.

Spojrzałam przez drzwi na leżącą w napięciu na stole młodą kobietę. Miałam w swoich rękach jej życie, duszę i ciało, co czyniło ze mnie chwilowo Boga – tutaj, na ziemi. Ode mnie zależało, czy wyjdzie stąd o własnych siłach, czy zostanie wywieziona w drewnianej trumnie i pochowana w zmarzniętej cmentarnej glebie.

– Może ja mogłabym potrzymać haki? – dobiegły do mnie nieśmiało wypowiedziane słowa.

Obróciłam się i ujrzałam młodą dziewczynę o czarnych, kręconych włosach. Nosila okrągłe okulary, które zsuwały jej się na garbek małego nosa. Zza szkieł patrzyły na mnie błyszczące mądrością i zamiłowaniem do nauki oczy.

– Kim pani jest? – zapytałam.

– Jestem studentką czwartego roku medycyny. Przychodzę tutaj, bo w przyszłości także chciałabym zostać ginekologiem.

– Dziecko, wybierz lepiej dziedzinę, która nie przyprawi cię o siwe włosy, zanim skończysz czterdziesty rok życia – wyrwało mi się nieopatrznie. – To jeden z najpiękniejszych zawodów, ale niewiele osób zdaje sobie sprawę z tego, jaki koszt ponoszą ci, którzy go wykonują.

– Kiedy ja kocham tylko to i nic innego!

– Umiesz się umyć do zabiegu? – spytałam, zmieniając ton na bardziej bezpośredni, a ona przytaknęła. – To widzimy się za chwilę przy stole! Położne dadzą ci maskę i rękawiczki.

Widziałam, że aż podskoczyła z radości po tym, co usłyszała, a później zawstydzila się swojego dziecięcego entuzjazmu i spłonęła rumieńcem.

Wreszcie nastąpił moment, gdy chwyciłam do rąk skalpel, by wykonać pierwszy ruch. Wcześniej wprowadziłam chorą w uśpienie morfinowo-eterowe. Cieczem skośnym naprzemiennym rozcinałam powoli powłoki. Ze środka wypłynął najpierw wysięk. Od razu rzuciła mi się w oczy obniżona, ściągnięta ku dołowi kątnica. Była otoczona przez zrosty, które jednocześnie pociągały ku górze prawą trąbkę jajnikową. Jajowód nie był zmieniony ani rozdęty, co jednoznacznie wskazywałoby na ciążę pozamaciczną.

– Musimy odszukać wyrostek robaczkowy – zwróciłam się do młodej adeptki sztuki medycznej.

Przesuwałam się powoli po taśmie wolnej, aż wreszcie dotarłam do jelita ślepego. Było dziwnie zakrzywione, a gdy je pomacałam, natrafiłam na kulisty twór wielkości orzecha włoskiego, który był otorbiony ropniem. Wydawało mi się, że w środku jest coś twardego, najprawdopodobniej ciało obce. Po oddzieleniu zrostów łączących nasadę wyrostka z jajnikiem poczułam niespodziewanie

ukłucie czegoś ostrego. Ostrożnie wypreparowałam i usunęłam patologicznie zmienioną tkankę i założyłam szew kapciuchowy oraz gumowy sącdek. Sprawdziłam jeszcze inne okoliczne narządy. Jeden z rogów macicy zdawał się uwypuklony. Żywiej zabiło mi serce. „Więc tam jesteś i rośniesz, by pewnego dnia dać o sobie znać, gdy zaczniesz się ruszać i kopać” – pomyślałam, uśmiechając się w duchu. Gdy zawiązałam ostatni węzeł katgotu, mogłam wreszcie zająć się moim nietypowym znaleziskiem.

– To szpilka! – wykrzyknęłam, otwierając szeroko oczy ze zdumienia. – Całe to zamieszanie spowodowała mała połknięta szpilka... – Ogarnęło mnie uczucie ulgi i otarłam pot z czoła.

– Chora nie zdążyła zapewne pani wspomnieć, że jest krawcową – wtrąciła jedna z pielęgniarek.

Wiedziałam, że wiele kobiet wykonujących ten zawód lubiło przytrzymywać zębami krawieckie akcesoria w trakcie pracy. W ten sposób metalowy przedmiot musiał dostać się do przewodu pokarmowego i omal nie doprowadził do tragedii. Do pomieszczenia zajrzał doktor, który miał tej nocy pełnić dyżur. Zdziwił się, że zastał jeszcze kogoś o tej porze w klinice, na dodatek w tak szczególnym dniu w roku.

– Proszę zdać mi raport o chorej, abym wiedział, na co być przygotowanym – rzekł, gdy opuszczałam już salę operacyjną. Przekazałam mu wszystko i pożegnaliśmy się, tradycyjnie życząc sobie wesołych świąt.

Za oknami panowała już ciemność. Z wieży kościelnej biły właśnie dzwony. Doliczyłam do sześciu i wpadłam w popłoch. Przecież za godzinę miała się rozpocząć nasza uroczysta wigilijna wieczerza, a ja stałam tutaj w zakrwawionym lekarskim kitlu, ledwie żywa ze zmęczenia. Nie wspominając już o tym, że w kuchni pozostawiłam straszny bałagan i nie miałam już szans przygotować

na czas żadnej z zaplanowanych przeze mnie potraw. Choć niewątpliwie tego popołudnia ocalałam jedno, a może dwa ludzkie istnienia, to zawiodłam jako żona i matka.

Rzuciłam się pędem najpierw, by się przebrać, a potem do wyjścia, starając się jak najszybciej opuścić to miejsce. W oczach miałam łzy, a w głowie zupełny mętlik. Nie wiedziałam, co powiem dzieciom i Tadeuszowi. Zapewne czekali na mnie w salonie przy pustym okrągłym stole, nienakrytym nawet białym obrusem. Zastanawiali się, gdzie się podziewam i dlaczego nie ma mnie razem z nimi. Wyrzucałam sobie, że nie zasługuję na to, by mieć tak wspaniałą rodzinę, bo nie potrafię w najważniejszych momentach być przy niej.

Jechałam opustoszałymi ulicami, na których nie było żywej duszy. Przez szyby w oknach widziałam blask mieniących się choinek, wiszące gwiazdy morawskie i podświetlone szopki betlejemskie. Spoglądałam na schowanych za firankami, złączonych w kręgu ludzi, trzymających się za ręce. Śnieg dalej prószył, pokrywając okolice białym, nienaruszonym puchem. Dociskałam pedał gazu, silnik wył przeraźliwie, a koła ślizgały się po oblodzonej nawierzchni. Zaparkowałam niedbale na chodniku przed domem. Dopadłam do drzwi, czując, jak całe moje ciało pulsuje. Tak bardzo bałam się widoku, który czekał na mnie za nimi. Gdy zamykałam powieki, stawały mi przed oczami smutne, rozczarowane oblicza moich córek, które zapewne siedziały teraz w kuchni i skubały czerstwą pajdę chleba, słuchając w radiu kolęd. Na samą myśl o tym z rozpacz skręcały mi się wnętrzności. Nerwowo szukałam po kieszeniach klucza, a wtedy ktoś nacisnął klamkę od wewnątrz.

– Lauro! Gdzie byłeś tak długo?! – usłyszałam głos mojego męża.

– Naprawdę nie chciałam się spóźnić! Uwierz mi, wszystko miało być inaczej... Wiem, że po raz kolejny sprawiłam wam zawód, ale

obiecuję to zaraz naprawić... – próbowałam się niezdarnie tłumaczyć, spuszczając głowę i czując, jak z nerwów oblewa mnie pot. – Musiałam operować na szybko trudny przypadek. Tamta pacjentka bez tego mogłaby nie doczekać jutra...

Weszłam pośpiesznie do sieni, gdzie otrzepałam się ze szronu i rozebrałam z wierzchniego okrycia.

– Postaram się coś ugotować i zasiądziemy do naszej kolacji. Tylko trochę później, niż planowaliśmy! Gdzie są dziewczynki? – zapytałam, rozcierając zgrabiące od mrozu palce.

Tadeusz w dalszym ciągu tylko na mnie patrzył, uparcie milcząc. Próbowałam odczytać z jego twarzy emocje, ale miała kamienny wyraz. Nie wiedziałam, co miało to oznaczać. Przełknęłam z trudem ślinę i spuściłam głowę, walcząc z poczuciem winy.

– Dlaczego nic nie mówisz? – odważyłam się wreszcie odezwać, a wtedy on otworzył drzwi prowadzące do korytarza i puścił mnie przodem.

– Wszystko jest już gotowe! Czekamy tylko na ciebie – powiedział ściszym, uroczystym tonem.

Uderzyło mnie ciepło i spokój bijące ze środka. Do moich nozdrzy doszedł korzenny aromat, zmieszany z zapachem leśnego świerku, pieczonej ryby w ziołach, świeżego pieczywa i cytrusów. W centralnym miejscu stało przystrojone drzewko z błyszczącą gwiazdą na czubku. Świece migotały żywo, a płyta w gramofonie obracała się powoli, wygrywając nuty melodii *Cicha noc*. Obok stał okrągły stół z haftowanym obrusem i porcelanową zastawą z połączanymi brzegami. Pamiętam, że otrzymaliśmy ją w prezencie ślubnym. Na żyrandolu zawieszono pęk jemioly. Zawsze dziwiło mnie, że tradycja, by całować się pod gałązkami tego wiecznie zielonego półpasożyta, przywędrowała z dziewiętnastowiecznej,

pruderyjnej, wiktoriańskiej Anglii. Był to jeden z dawnych celtyckich zwyczajów.

Popatrzyłam pytająco na Tadeusza, zastanawiając się, jak zdołał to wszystko przygotować.

– Martwiłem się, czy nie stało ci się coś złego – wyrzekł, zbliżając się do mnie i całując mnie w czoło. – Nie mogłem się dodzwonić do szpitala, bo pod wpływem opadów zerwało linię telefoniczną. Już miałem wyruszać na poszukiwania. Jak dobrze, że jesteś z nami! – dokończył, tuląc mnie.

– Mama! – usłyszałam za swoimi plecami i poczułam, jak ktoś wieszka się na mojej szyi. Wzruszenie odjęło mi mowę.

– Bardzo was kocham – wychrypiałam. Całkowicie się rozkleiłam, a łzy wielkie jak groch spływały jedna po drugiej.

– Tak jak my ciebie. – Uścisnęli mnie tak mocno, że nie byłam w stanie złapać oddechu.

Wtem ktoś wszedł do pomieszczenia.

– Trzeba prędko siadać do stołu, bo zaraz wszystko wystygnie! Jak dobrze, że tutaj nie biegają te wstrętne kociska, bo już by ich sierść była na stole i w potrawach! Jeszcze by co potłukły!

– Pani Edeltraud! – zawołałam pełna niedowierzania, po czym ruszyłam w stronę gospodyni, by ją uściskać. – Jak się pani tutaj znalazła?

– Wsiadłam najzwyczajniej w świecie w pociąg w Lindau i po kilkunastu godzinach podróży zawitałam w Breslau. Ze stacji odebrał mnie już pan Kader. Co za piękne miasto! Przyznam, że nigdy nie byłam w dawnych Prusach.

– Tak dobrze panią znów widzieć!

– Zostanę z wami na dłużej. Muszę o panią zadbać, bo dalej jest pani blada i zbyt szczupła, jakby chorowała na chlorozę – skwitowała, uważnie mi się przyglądając.

– Dlaczego wystawiła pani tylko cztery talerze? – wtrącił się Tadeusz. – Proszę usiąść razem z nami, nie chcę słyszeć odmowy! – nalegał, gdy starsza kobieta zaczęła się wzbraniać.

– Wyciągnę tylko z pieca razowiec owocowy – dała się przekonać, kierując się do kuchni. – Górny Allgäu, w którym się urodziłam, jest bardzo biednym rejonem z jałową glebą. Dlatego na święta pieczemy gruszkowy chleb z ciemnej mąki. Ten, który dzisiaj przyrządziłam, jest uszlachetniony rodzynkami, morelami, figami oraz daktylami – powiedziała, ustawiając przed nami gorący bochenek. – Nie mogło go zabraknąć! Boże Narodzenie bez niego się nie odbędzie.

Rozejrzałam się dookoła, znajdując na świątecznym stole smażonego karpia w tradycyjnym sosie piernikowo-piwnym, kiszoną kapustę gotowaną z czosnkiem, cebulą, smalcem i liściem laurowym, a także wiele innych, dobrze mi znanych potraw, do których smaku tęskniłam przez cały rok. Do tego zaserwowano ziemniaki, białą i brązową kiełbasę, kluski z makiem oraz sałatkę kartoflaną. W dymiącej wazie z zupą z rybiej ikry tkwiła chochla. Na paterze do ciast leżały pokrojony piernik z marchwi i placek drożdżowy z suszonymi owocami.

Mój mąż podał mi *oblatum*, czyli bardzo cienki biały płatek chlebowy. Był on przaśny – niesolony i niekwaszony, wypiekany bez dodatku drożdży. W jego rodzinnym domu zgodnie z tradycją należało się nim podzielić.

Stanęliśmy naprzeciwko siebie jak zamknięci w szklanej kuli. Przejrzałam się w jego źrenicach. Ich blask nie zmienił się przez lata. Wpatrywał się we mnie tak samo, jak wówczas, gdy miałam kilkanaście lat. Piegi na nosie były tam i teraz, odrobinę tylko większe i ciemniejsze. Upływ czasu zarysował drobne, promieniste

zmarszczki wokół jego oczu, a także jedną pionową, zwaną lwią, od częstego marszczenia brwi.

– Lauro, zapewne wiesz, co chcę teraz powiedzieć... – zaczął, ale nie dałam mu dokończyć.

– Ja też nie wyobrażam sobie mojego świata bez ciebie – wyszeptałam wprost do jego ucha. – Sylt, ta wyspa samotności, pojawiła się w moim życiu po to, abym to zrozumiała. Była dla mnie szansą na nowe życie, ale nie w tym znaczeniu, w jakim oczekiwałam. Pozwoliła mi dostrzec to, co miałam wcześniej, zobaczyć to, co utraciłam... i to docenić.

Złączyliśmy się w pocałunku. Tak dawno tego nie robiliśmy, że wyszliśmy z wprawy, jakbyśmy znów stali się niezdarnymi nastolatkami, odkrywającymi swoje ciała.

– A zawsze mówiliście, żeby nie całować się przy dzieciach! – Córki zaśmiały się na nasz widok.

– Wy już nie jesteście małymi dziewczynkami. Wyrosłyście na piękne i mądre panienki! – powiedział Tadeusz, przyciągając je do siebie. – Jesteśmy z was bardzo dumni.

Po złożeniu życzeń zasiedliśmy ponownie do stołu, złączeni w modlitwie. Trzymaliśmy się za dłonie, a ja czułam, jak przepływa przeze mnie eliksir szczęścia. Wszystkie przygotowane specjały, nawet zwykłe solone ziemniaki, wydawały mi się najwykwintniejszymi i najsmaczniejszymi z potraw, jakie kiedykolwiek jadłam.

– Już czas na prezenty! – oświadczył mój mąż.

– Daj spokój, przecież mówiliśmy, że będziemy świętować skromnie! – upomniałam go. – Poza tym zawsze rozpakowujemy je dopiero po pasterce!

– W tym roku, niestety, nie możemy tak długo czekać... – powiedział tajemniczo.

Wtem dobiegł do mnie szelest gałązek choinki i trzask bombek rozpryskujących się o podłogę. Spojrzałam w kierunku, z którego dochodziły niepokojące odgłosy, i ujrzałam czarny pyszczek szczeniaka, który niezdarnie próbował przejść obok przyozdobionego drzewka. Miał wielkie łapy i długą złotawą sierść.

– Co to jest?! – zapytałam z przerażeniem.

– Pies! – odparły moje córki, tuląc z czułością puchatą, piszczącą kulę z przewiazaną czerwoną kokardą na szyi.

– Ale chyba nie nasz?! – zawołałam, chwytając się ostatniej iskry nadziei.

– To suczka leonbergera! – oświadczyła radosnym głosem Adalia.

– Tato do ostatniej chwili nie chciał nam powiedzieć, jaką ma dla nas niespodziankę. Pewnie ukrywałby ją jeszcze dłużej, gdyby nie zostawiła mokrej plamy na dywanie i nie zaczęła niszczyć nóg od stołu! – wyjaśniła.

– Będzie miała na imię Vena, czyli żyła. To po łacinie – wtórowała jej Hanna.

– Akurat wychodzą jej zęby, dlatego trzeba jej dać coś do gryzienia – orzekł mój mąż. Zwierzę chwilowo zadowolilo się jego wypastowanymi na czarno wiedenkami, które miał na stopach.

– To chyba najpiękniejszy prezent, jaki mogliście nam podarować! – stwierdziła moja młodsza latorośl.

– Boże Narodzenie to czas, gdy marzenia powinny się spełniać – odpowiedział jej ojciec. – Moim było to, abyśmy znów byli razem i stanowili jedną rodzinę – zakończył, przyciągając mnie i całując w skroń.

To wszystko było dla mnie jak piękny sen, z którego nigdy nie chciałam się obudzić. O północy jak zwykle udaliśmy się na mszę do naszego kościoła, wybudowanego z muru pruskiego. Chmury

zdążyły już się rozwiać i nocne niebo było teraz pięknie rozgwieżdżone. Okolicę spowijała jasna łuna powstała od odbitego śniegu, który pokrył puchatą warstwą dachy budynków i drzewa. Spacerowaliśmy nieśpiesznym krokiem, wsłuchując się w stukot naszych butów o bruk. Czułam, że moje ciało sztywnieje z zimna, a z nosa cieknie mi woda. Sięgnęłam po chusteczkę, po czym schowałam zmarznięte dłonie w futrzaną mufkę, próbując się rozgrzać. Po chwili poczułam na skórze dotyk jego ciepłych rąk.

– Nowy rok chciałbym przywitać z tobą w Bad Altheide – odezwał się mój mąż, przerywając ciszę. – Dzwoniłem już do jednego z hoteli, mogliby dla nas zarezerwować apartament, o ile zgodzisz się ze mną pojechać... Bylibyśmy tam tylko we dwoje...

Domyśliłam się, co miało to oznaczać, i przez chwilę poczułam strach przed taką bliskością. Miesiące rozłąki zrobiły swoje i potrzeba było czasu, aby przepaść, która powstała między nami, znów scaliła się w jeden łąd.

Wiedziałam jednak, że powinnam przystać na jego propozycję.

Kilka dni później pozostawiliśmy dom pod opieką pani Edeltraud i wsiedliśmy do pociągu zatrzymującego się w górskim uzdrowisku. Mijaliśmy za oknami prawdziwie baśniową scenerię z oszronionymi świerkami i soplami lodu zwisającymi niczym kryształami. Przymknęłam powieki, a promienie słońca, które rozświetlało okolicę, wypełniły nasze serca na powrót otuchą.

Przetańczyliśmy sylwestrowy wieczór na pięknym balu zorganizowanym po sztuce *Minna von Barnhelm* w Teatrze Zdrojowym. Zastanawiałam się, kiedy ostatni raz byliśmy na spektaklu, i przez moment dałam się ponieść wspomnieniom. Jak przypuszczałam, miało to miejsce zaraz po Wielkiej Wojnie. Nie pamiętałam, co wówczas oglądaliśmy, ale w ten sposób chociaż

na chwilę można było się oderwać od smutnej, przytłaczającej rzeczywistości. Nędza oraz głód towarzyszyły nam na każdym kroku, pomimo że zakończyły się już krwawe walki na froncie. Ze scenariusza sztuki powycinano sceny odbywające się przy stole i wszystkie z choćby drobnymi wzmiankami o jedzeniu. Nie chciano nimi dręczyć wychudzonej i wymizerowanej publiczności. Siedzieliśmy w jednym z ostatnich rządów, a ja miałam na sobie zacerowane pończochy i kreację uszytą z aksamitnych zasłon. Gdy wisiały jeszcze na oknie, zostały powygryzane przez mole, tym samym w tkaninie prześwitywały dziury. Nikt się jednak tym nie przejmował, bo trzeba było zająć się istotniejszymi kwestiami. Każdy się cieszył, że przeżył wojenną zawieruchę i nie został inwalidą, a później nie zachorował na hiszpankę. Byliśmy jeszcze młodzi, piękni i pomimo przebytej traumy konfliktu zbrojnego mieliśmy wiarę w dobrą przyszłość. Ta jednak długo nie nadchodziła.

Pojawiła się hiperinflacja, pieniądze przestały mieć jakąkolwiek wartość, a pensję do domu woziło się taczkami. Bezużytecznymi banknotami można było wytapetować ściany lub używać ich do rozpałki w piecu. W prasie ukazywały się osobliwe ogłoszenia: „Wymienię jamnika na sweter”, a w kolejce do rozdawanej żywności stawali ramię w ramię profesor z robotnikiem. W tym burzliwym czasie przez kraj przeszły też pucze, próbujące obalić władzę. Potem nastąpiło „pięć złotych lat”, gdy uzyskano stabilność gospodarczą, a los ludności wyraźnie się poprawił. Trwało to aż do pamiętnego czwartku na nowojorskiej giełdzie. Wszystko było takie nieprzewidywalne i kruche...

Wirowałam w walcu ubrana w suknię koloru łososiowego, ozdobioną plisowanymi falbankami i paskiem z futra króliczego, przybraną bukietem kwiatów. Dookoła nas kołysały się inne

pary. Panowie we frakach i jedwabnych rękawiczkach – zgodnie z zasadami savoir-vivre’u nie wypadało dotykać kobiecego ciała gołymi, często spoconymi dłońmi – prowadzili swoje partnerki w swingu, tangu i fokstrocie.

Wreszcie zegar zabił ostatni, dwunasty raz, oznajmiając, że nastął pierwszy dzień stycznia. Na naszą głowę polały się krople wstrząśniętego szampana. Słysząc było stuk kryształowych kieliszków. Każdy miał nadzieję, że 1931 to będzie dobry rok. Ja także na to liczyłam, chociaż jednocześnie odczuwałam strach przed przyszłością.

– Może pójdziemy już spać? – zaproponował Tadeusz.

Zadrzałam, domyślając się, do czego zmierza. Nie byłam pewna, czy jestem na to gotowa.

– Dobrze – odparłam krótko i wkrótce wróciliśmy do hotelowego pokoju z wielkim, rzeźbionym łóżem.

Stanął naprzeciw mnie, by ściągnąć mi z ramion futrzaną etolę. Pogładził moją skórę. Zobaczyłam, że ma w kieszeni jedwabną chusteczkę. Zaszedł mnie od tyłu.

– Wiem, że tego ci brakowało – wyszeptał namiętnie, po czym zaczął zawiązywać mi kawałek materiału wokół oczu.

Gdy już niczego nie widziałam, delikatne musnął moją szyję wargami. Zaczął rozpinać mi guziki, a ja czułam, jak ramiączka muślinowej halki zsuwają mi się z ramion. Poddałam się tym pieścizotom, czując rozkosz wypełniającą mnie od środka. Ale nagle stało się coś, co przeszkodziło mi w oddaniu się chwili ekstazy. Ściągnęłam opaskę i poprawiłam ubranie.

– Nie podobało ci się? – Tadeusz wyraźnie posmutniał.

– Nie o to chodzi. Po prostu kocham cię takim, jakim jesteś, i nie chcę, abyś dla mnie stawał się kimś innym... – Wtuliłam się mocno

w jego silne ramiona. – Czasem chodzi tylko o to, by być razem i upajać się ciszą...

* * *

Minęły kolejne dni, a potem tygodnie i miesiące. Ten czas był nam potrzebny, by odbudować nasz świat, który pewnego dnia runął w gruzach. Nowo wzniesiony był odporniejszy na wichry losu, bo scalił nas ponownie w jedność.

Zdałam sobie sprawę, że poznałam największą tajemnicę mojego życia. Odkryłam źródło siły i odwagi, by móc pewnym siebie krokiem stąpać naprzód. Biło ono w moim sercu.

Pewnego niedzielnego, wrześniowego popołudnia siedzieliśmy jak zwykle o tej porze dnia w cieniu liści gruszy i popijaliśmy espresso na tarasie naszego domu. Pies drzemał leniwie w naszych nogach, a dookoła bzyczały owady, przydając atmosferze wymiar błogości.

Tadeusz zapytał niespodziewanie:

– Jak myślisz, co mogło się stać ze złotą kolia z chryzoprazami?

Zamyśliłam się, mrużąc oczy, i spojrzałam w dal, jakbym mogła w niej odczytać nieznaną przeszłość.

– Jest tyle różnych możliwości, że nie sposób byłoby wszystkie wymieniść... Być może w dalszym ciągu jest ukryta gdzieś w posiadłości na czerwonym klifie albo jakiś złotnik użył jej kruszców, by przerobić ją na nową biżuterię. Czasem jeszcze się nad tym zastanawiam, ale tylko z czystej ciekawości. Nie wierzę już, by kiedykolwiek została odnaleziona. Dziwię się, dlaczego w ogóle mój ojciec zabrał ją wtedy ze sobą. Czy chciał ją ofiarować Melanii von Schiller? Jaki byłby tego sens? Nadal wszystkiego nie wiemy i być może nigdy się nie dowiemy.

– I nikt nie jest w stanie nam pomóc – dopowiedział Tadeusz. – Ale lubię czasem po prostu tropić takie zagadki. Odtwarzanie po śladach tego, jaki był przebieg zdarzeń, to w końcu część mojej pracy – zaśmiał się.

Przerwała nam pani Edeltraud, wnosząc na tacy ryż na mleku z jabłkami i cynamonem. Postawiła na stoliku salaterki z deserem.

– Przyniosłam państwu popołudniową prasę. W nagłówku jest informacja, że spłonął barokowy kościół w Eibingen nad Renem. Stało się to wczoraj w nocy i nie ustalono na razie, jakie było źródło pożaru.

– Czy ktokolwiek zginął? – wtrąciłam się.

– Chwała Bogu, nie! I na szczęście nie ucierpiały także relikwie Świętej Hildegardy. Język, serce, pukiel włosów, czaszka oraz kości, trzymane w relikwiarzu w pozłacanej skrzyni, uchowały się pomimo gorąca i dymu. To prawdziwy cud! Świątynia była miejscem jej kultu – tłumaczyła, wygładzając fałdy na obrusie i zbierając z niego wysuszone okruszki. – Ale jeszcze nie powiedziałam najciekawszego! Proszę sobie wyobrazić, że znaleziono tam podobno jakiś skarb. Ktoś musiał złożyć go w ofierze, licząc najprawdopodobniej na wstawiennictwo błogosławionej zakonnicy.

– Proszę pokazać mi ten artykuł! – Niemalże wyrwałam jej gazetę z rąk i zaczęłam czytać.

Znaleziony klejnot zawiera w sobie niebieskozielony kamień szlachetny, który był uważany przez Hildegardę z Bingen za święty i posiadający niezwykłą moc. Uważała, że ma on zdolność uzdrawiania nieuleczalnie chorych. Jej sanktuarium zmieniło się w zgliszcza. Potrzebne będą lata, aby je ponownie odbudować, nie wspominając już o kosztach...

Nagle poczułam, jakby przeszył mnie piorun, i zamarłam w bezruchu.

– Czy coś się stało? – zaniepokoił się mój małżonek. – Zbladłaś, jakbyś zobaczyła ducha!

Nie odezwałam się, tylko wstałam pośpiesznie i pobiegłam do naszej sypialni. Słyszałam, że Tadeusz podążył za mną. W szufladzie nakastlika miałam schowany obrazek, który podarowała mi dawno temu moja matka. Rozprostowałam go, by przysunąć do światła. Widniała na nim rozmodlona kobieta w habicie, spisująca do ksiąg swoje wizje.

– Czy powiesz mi wreszcie, co się tutaj dzieje? – Mój mąż wbiegł za mną na piętro, zupełnie zбитy z tropu moim dziwnym zachowaniem.

– Muszę natychmiast wyruszyć w drogę! Powiadomię telegramem kierownika kliniki, że wezwwały mnie ważne sprawy rodzinne. Myślę, że nie będzie miał nic przeciwko, by dać mi teraz wolne, zwłaszcza że od dawna nie byłam na urlopie i sam mi o tym przypominał... – Sięgnęłam do szafy po walizkę, by spakować do niej kilka najpotrzebniejszych rzeczy. Zauważyłam, że Tadeusz bez słowa dokłada do mojego bagażu swoje koszule, krawat i przybory do golenia.

– Gdziekolwiek się wybierasz, jadę razem z tobą. Nie puszcę cię samej po tym wszystkim, co się wydarzyło! – oświadczył z poważnym wyrazem twarzy. – Tylko błagam cię, zanim opuścimy dom, wyjaw mi, o co chodzi!

– Zadałeś mi dzisiaj pewne pytanie i myślę, że nie stało się to przypadkowo. Jeżeli wierzyć w opatrność, to musiała nad nami czuwać. Albo istnieje jakieś życie po śmierci i mój ojciec chciał mi przekazać w ten sposób wiadomość. Inaczej nie potrafię tego wyjaśnić.

Na obliczu mojego męża odmalowało się zdziwienie, ale słuchał cierpliwie i nie przerywał mi.

– Wydaje mi się, że ją odnaleźliśmy... – wyszeptałam ze łzami w oczach, a wzruszenie odebrało mi mowę.

Odgadł od razu, co miałam na myśli. Mieliśmy niewiele czasu, zanim wieść o nietypowym znalezisku ściągnie archeologów, naukowców i zwykłych poszukiwaczy przygód.

Gdy wreszcie dotarliśmy do nadreńskiego miasta po wielu godzinach podróży, byliśmy ledwie żywi ze zmęczenia, ale jakaś nadprzyrodzona siła gnała nas do przodu. Postanowiłam udać się najpierw na plebanię, sądząc, że to najwłaściwszy adres. Starsza kobieta, zapewne gospodyni, która nam otworzyła, wcale nie miała ochoty nam pomóc, sądząc, że jesteśmy dziennikarzami poszukującymi taniej sensacji.

– Proszę pozwolić nam zobaczyć się z proboszczem. Obiecuję, że nie zajmiemy mu dużo czasu. To bardzo ważna sprawa, inaczej nie przejeżdżalibyśmy setek kilometrów – nalegał mój mąż. – Nie zamierzamy stąd odejść, zanim ktoś z nami nie porozmawia. Zapewniam zarazem, że nie pracujemy dla żadnego z brukowców.

– Muszę najpierw dokładnie wiedzieć, o co chodzi. – Kobieta wreszcie dała za wygraną. – Kwestie bezpieczeństwa, sami państwo rozumieją...

– Nazywam się Tadeusz Kader i jestem medykiem sądowym. – To powiedziawszy, pokazał jej służbową legitymację. – Nie musi pani się niczego obawiać z naszej strony.

Kobieta wycofała się w głąb korytarza, zachęcając nas ruchem ręki, byśmy podążyli za nią. Weszliśmy do kancelarii, gdzie wskazała nam krzesła, na których mieliśmy zaczekać. Minuty ciągnęły się w nieskończoność niczym średniowieczne tortury.

– Co jest tak ważnego, że przyjeżdżacie tutaj w ciemną noc, zakłócając mój spokój? – usłyszałam za plecami słowa wypowiedziane ochrypłym głosem.

Ksiądz, który stał przed nami, wyglądał na wyrwanego ze snu, sądząc po zapuchniętych okolicach oczodołów.

– Chodzi o odnalezioną kolię z chryzoprazem i herbem czarnej róży – ściszyłam głos, rozglądając się z obawy, że ktoś nas podsłuchuje.

– Skąd pani o niej wie?! – Duchowny uniósł brwi, po czym cały zeszywniał niczym kamienny posąg. – Specjalnie kazałem nie pisać, o jaki klejnot chodzi, żeby nie nadawać sprawie zbędnego rozgłosu...

– Należał on do mojego ojca... Złożył go w ofierze wiosną 1899 roku. Kilka dni później, czyli 16 marca, zginął tragiczną śmiercią. Wiem, że Święta Hildegarda była dla niego drogowskazem w trudnych momentach życia i to jej opiece powierzył siebie oraz swoich bliskich.

To, co usłyszał, wstrząsnęło kapłanem i wprawiło go w chwilowe osłupienie. Ściągnął z szyi mosiężny klucz, by następnie sięgnąć do schowka w swoim biurku. Stamtąd wyjął kolejny pęk.

– Proszę pozwolić za mną... – mruknął pod nosem. Chwycił latarkę i wspólnie udaliśmy się w stronę piwnicy.

Doleciał do mnie stęchły zapach wilgoci pomieszanej z pleśnią, jaki zwykle panował w podziemiach. Stanęliśmy przed drzwiami zamkniętymi na kilka kłódek. Gdy wreszcie ustąpiła ostatnia z nich, ukazało się nam stare archiwum. Ksiądz przekreślił włącznik i usłyszeliśmy skwierczenie starych żarówek. W centrum stała skrzynia z okuciami. Wstrzymałam oddech i zamknęłam powieki, gdy szczęknął jej zamek. Otworzyłam oczy ponownie dopiero po chwili.

Była tuż przede mną, olśniewając swoim wyjątkowym blaskiem, jeszcze piękniejsza, niż sobie mogłam wyobrazić. Dotknęłam zimnego złota i poczułam na skórze delikatny chłód bijący od zatopionych w niej kamieni. Odnalazłam wyryty kolczasty czarny kwiat. Obok był napis. Przysunęłam go do światła, by móc go odczytać.

– *Nihil sine Deo...*

– To po łacinie oznacza „nic bez Boga” – przetłumaczył duszpasterz.

– Czy nie tak brzmiała dewiza rodu Hohenzollernów? – trafnie spostrzegł Tadeusz. Serce zabiło mi żywiej.

– Legenda mówi, że klejnot pochodzi od samego Fryderyka II Wielkiego – rzekłam, gładząc palcami litery.

– Niech pani zobaczy! – zwrócił się do mnie pleban, który z monoklem przy oku studiował teraz jedną z wiekowych ksiąg. Powoli zbliżyłam się do niego. – To wpisy osób, które odwiedziły tę świątynię. Przenieśliśmy je tutaj, dzięki czemu ocalały z pożogi.

Mój wzrok padł na datę „13 marca 1899 roku” i tekst nakreślony znajomym mi pismem.

Światło, które dostrzegam, jest dużo jaśniejsze od chmury noszącej w sobie słońce. Gdy podziwiam widowisko, jakim jest owo światło, wszelki smutek i żal znikają z mojej pamięci. Miej wszystkich, których kocham, w swojej opiece, nawet wtedy, gdy już nie wrócę, jak już mnie tutaj nie będzie.

Łzy gorzkie i wielkie niczym perły skapywały na papier, rozmazując czarny jak smoła atrament. Czyżby przeczuwał, co miało go spotkać?

– Lauro, nie bądź, proszę, smutna. – Mąż próbował mnie pocieszyć. – On by tego nie chciał... Najchętniej widziałby cię teraz

uśmiechniętą.

Przez krótką chwilę pozwoliłam moim myślom wirować w głowie, zanim ponownie się odezwałam. Głos mi się łamał, a gardło było ściśnięte od wzruszenia, gdy wypowiadałam te słowa:

– Jestem mu wdzięczna nie tylko dlatego, że był moim ojcem, ale przede wszystkim za to, że pozwolił mi odnaleźć w życiu właściwą drogę. Szczęście rodzi się w nas...

JUŻ W KSIĘGARNIACH



Miłość, medycyna i rodzinne tajemnice, które ozywają i budzą demony przeszłości... Pozwól się przenieść w czasy la belle époque, kiedy pierwsze kobiety wkraczały w świat medycyny. Daj się uwieść mocy „Różanego eteru” i „Liliowego opium” Julii Gambrot!

www.wydawnictwolira.pl

L i R A
WYDAWNICTWO

JUŻ W KSIĘGARNIACH



Lira poleca powieści Pauliny Kuzawińskiej!
To doskonałe połączenie sensacyjnej intrygi,
subtelno go wątku romantycznego
i tajemniczych zbrodni.

www.wydawnictwolira.pl

L I R A
WYDAWNICTWO

Schyłek lat dwudziestych ubiegłego stulecia. Doktor Laura Kader, której małżeństwo przeżywa kryzys, niespodziewanie otrzymuje w spadku wiekową rezydencję położoną na wyspie Sylt. Postanawia wykorzystać szansę od losu. Pakuje dotychczasowe życie do walizek i wraz z dwiema córkami wyrusza do północnej Fryzji, by tam szukać szczęścia.

Wszystko się jednak komplikuje. Nad nowym domem Laury ciąży klątwa. Krewna, która spisała testament, zginęła w niejasnych okolicznościach, a miejscowy inspektor badający sprawę podejrzewa morderstwo. Dodatkowo w życiu bohaterki pojawia się intrygujący doktor Arens.



Jakie tajemnice skrywa wyspa Sylt i położona na niej osobliwa posiadłość? Czy Laura odnajdzie na wyspie to, czego pragnie?



Julia Gambrot – na co dzień zajmuje się badaniem i leczeniem oczu i uważa, że największym szczęściem dla okulisty jest oślepnąć z miłości. Właścicielka dwóch kotów oraz psa, towarzyszących jej podczas pisania, które jest jej pasją. Autorka wydanych nakładem wydawnictwa Lira powieści: „Różany eter” i „Liliowe opium”.



www.wydawnictwolira.pl

LIRA
WYDAWNICTWO

Patronat medialny:

STYLE

**WIELKI
BUK**

ISBN: 978-83-67084-21-5



9 788367 084215

Cena: 46,99 zł
(w tym 5% VAT)